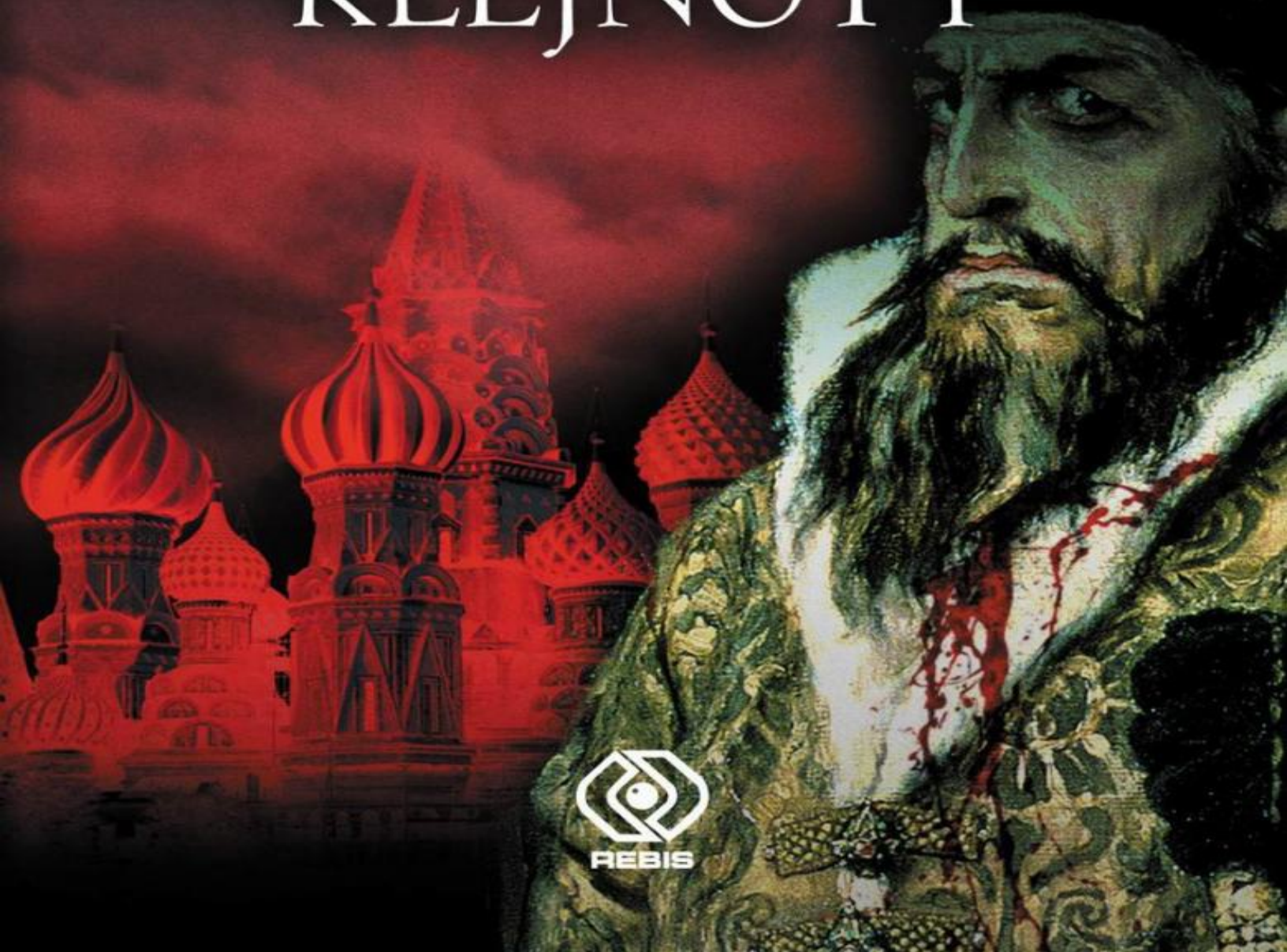


CHELSEA QUINN
YARBRO



MROCZNE
KLEJNOTY



Spis treści

- Karta tytułowa
- Dedykacja
- Mapa
- UWAGI AUTORKI
- CZĘŚĆ PIERWSZA
- CAR
- .1.
 - .2.
- .3.
 - .4.
- .5.
 - .6.
- .7.
 - .8.
- .9.
- CZĘŚĆ DRUGA
- KSENIA JEWGIENIJEWNA KOSZKINA PANNA MŁODA
- .1.
 - .2.
- .3.
 - .4.
- .5.
 - .6.

- .7.
 - .8.
- .9.
- CZĘŚĆ TRZECIA
- FERENC RAKOCZY HRABIA SAINT-GERMAIN
- .1.
 - .2.
- .3.
 - .4.
- .5.
 - .6.
- .7.
 - .8.
- .9.
- EPILOG

CHELSEA QUINN YARBRO

MROCZNE KLEJNOTY



Przełożył: Andrzej Sawicki



2011

*Dla Lou Puopolo,
który zna hrabiego
niemal tak dobrze jak ja.*

Carstwo Rosyjskie 1533-1585



UWAGI AUTORKI

Podczas minionych trzystu lat dla większości Europejczyków Rosja była krainą bardziej legendarną niż Chiny i mniej znaną niż Afryka: bywali tam tylko nieliczni; z tych, którzy tam pojechali, wróciło niewielu, a tych, którzy wrócili, nie witano tak entuzjastycznie jak innych, którzy przywozili wieści z bardziej przyjaznych miejsc. W Europie zdawano sobie sprawę z istnienia Rosji – wiedzano, że jest to kraj jak najbardziej rzeczywisty – ale mało (albo nic zgoła) wiedzano o nim samym i ludziach go zamieszkujących.

Oczywiście były wyjątki. Polacy mają bogatą historię rywalizacji z Rosją, Szwedzi zaś wdawali się w wojny z tym rozległym i tajemniczym krajem. Nadbałtyckie Estonia i Liwonia (jedna z krain tworzących współczesną Łotwę) przez większą część swoich ośmiu setek lat historii ze zmiennym szczęściem toczyły wojny z Rusią i Rosją, a problemy, które wynikły z tamtych wojen, trwają do dziś. Przez ponad trzysta lat Rusią rządili Mongołowie ze Złotej Ordy, spadkobiercy wojowników Czyngis-chana.

Mimo że Grecki Kościół Prawosławny Europy Wschodniej i Bliskiego Wschodu utrzymywał pewne stosunki z będącym sercem chrześcijańskiej Rusi Księstwem Moskiewskim, Europa Zachodnia, katolicka, skierowała uwagę gdzie indziej. U źródeł jednego z niewielu aktywnych konfliktów pomiędzy Europą Zachodnią a Rusią w średniowieczu legła religia: w roku 1237 grupa rycerzy niemieckich z Zakonu Kawalerów Mieczowych podjęła próbę nawrócenia Rusi na katolicyzm. W kwietniu 1242 roku siły ruskie pod wodzą młodego księcia Aleksandra Newskiego starły się z Kawalerami Mieczowymi na jeziorze Pejpus, odnosząc nad nimi zwycięstwo. Za ten akt heroizmu i

wiary oraz późniejszą polityczną przenikliwość, jaką Aleksander się popisał, prowadząc układy z mongolskimi najeźdźcami ze Złotej Ordy, Newski został uznany za jednego ze świętych prawosławnych.

W średniowieczu Ruś zwracała uwagę i wysiłek na wschód, w kierunku Saraju, gdzie zbierali się Mongołowie ze Złotej Ordy i Tatarzy, którzy próbowali przesunąć dawniej ustalone granice na zachód i na północ. W tym czasie większa część Europy niemal nie utrzymywała stosunków z Rusią.

Za panowania wielkiego księcia moskiewskiego Iwana III, późniejszego Iwana III Wielkiego, cara Wszechrusi (władał nią w latach 1462-1505), państwo to większą część wysiłków skierowało na odebranie ziem utraconych na rzecz Złotej Ordy. Z powodu walk na Wschodzie Ruś traciła zachodnie tereny, zajęli je Polacy i Szwedzi, którzy blokowali jej dostęp do Bałtyku. Sytuację tę bez większego zresztą powodzenia usiłował zmienić Wasyl, syn Iwana III.

Następcą Wasyla był jego energiczny, bezwzględny i ambitny syn, Iwan IV Groźny – władca zdolny, nieustępliwy i inteligentny, pełen jednak kompleksów i sprzeczności, cierpiący na ataki niekontrolowanej wściekłości i pogrążony w trwałej paranoi. Jego wojska z niezwykłą wytrwałością wypierały Mongołów z Rusi Środkowej. Udało mu się też na pewien czas zdobyć dostęp do Bałtyku, co po raz kolejny wprowadziło Rosję do Europy, i to w czasie, gdy ta jej potrzebowała.

Europa miała bowiem własne problemy: Imperium Osmańskie zdobywało dla siebie nowe terytoria, zajmując Grecję i część Europy Wschodniej, co budziło coraz większy niepokój wśród władców i hierarchów Kościoła katolickiego. Podejmowano wysiłki zjednania sobie Kościoła prawosławnego w walce przeciwko najeźdźcom osmańskim, sojusze te były jednak krótkotrwałe i pełne wewnętrznych napięć z powodów, które teraz określamy wspólnym

mianem kulturowego szoku w dziedzinach militarnych. Znaczną rolę odgrywały też ogromne odległości, które trzeba było pokonywać, w krajach słynących z surowego klimatu.

Jednym z powodów, dla których dysponujemy nielicznymi tylko świadectwami dotyczącymi tego, co działo się w Rosji w burzliwych latach 1100-1650, były wielokrotne oblężenia więkkszych miast, które palono, plądrowano i obracano w ruinę, co niszczyło historyczne kroniki i zapiski. W owych czasach na Rusi zaledwie pięć do dziesięciu procent dorosłych jej mieszkańców potrafiło czytać i pisać – za najbardziej wykształconych uważano mieszkańców Nowogrodu, a najmniej wykształceni byli obywatele Muromu, jeśli w ogóle można czynić jakiegokolwiek szacunki. W przeciwieństwie do duchownych Kościoła katolickiego mnisi prawosławni przeważnie byli niepiśmienni, dlatego na Rusi rzadkością były kroniki często znajdowane w kościołach Europy Zachodniej. Jak na ironię, ci z Rusinów, którzy potrafili czytać i pisać, często władali też biegle innymi językami – znali łacinę i grekę. Odrobina edukacji dostępna była dla chłopców. Kobiety rzadko miały możliwość uzyskania choćby elementarnego wykształcenia.

Jak to często bywa z podymnymi opowieściami, wielu bohaterów tej książki ma swoje odpowiedniki wśród postaci historycznych, sportretowałam ich tak dokładnie, jak tego wymagały zwroty akcji. Wśród nich znajdziecie: Stefana Batorego, króla Polski i księcia Siedmiogrodu; carewicza Iwana Iwanowicza, dwudziestoosmioletniego następcę moskiewskiego tronu, w roku 1581 przypadkowo zabitego przez ojca, cara Iwana Groźnego; podejrzanego o zespół Downa carewicza Fiodora Iwanowicza, jedyne go pozostałego przy życiu dziedzica Iwana; jezuitę i papieskiego wysłannika na dwór moskiewski ojca Antonia Possevina; papieża Grzegorza XIII Wielkiego; królową Anglii Elżbietę; jezuitę i

misjonarza ojca Edmunda Campiona, odkrywcę, poszukiwacza przejścia północno-wschodniego i pierwszego angielskiego ambasadora na Rusi Richarda Chancellora; sir Jerome'a Horseya, angielskiego ambasadora w Moskwie z czasów naszej opowieści; Nicholasa Bowera, sekretarza sir Jerome'a; księcia Wasy Iwanowicza Szujskiego, któremu na potrzeby książki zmieniłam wiek o dziesięć lat; jego braci Iwana i Dymitra Szujskich; rodziny Nagojów i Kurbskich; Nikitę Romanowicza Zacharyna; Borysa Fiodorowicza Godunowa, który faktycznie władał Rusią zamiast poślubionego jego siostrze carewicza Fiodora Iwanowicza; żonę Borysa Marię Skuratową; i znaną później jako Krwawa Hrabina siostrzenicę króla Stefana Batorego, Elżbietę Batory.

Biorąc pod uwagę fakt, że historię osadziłam w Rosji i wśród Rosjan, którzy mówili oczywiście po rosyjsku, zdecydowałam się na rosyjską pisownię imion i nazwisk. Mamy więc tu Wasyla, Fiodora, Iwana, Marię, Gawriłę i Fiedosija. Zastosowałam również patronimiki, to znaczy drugie imię oznaczające synostwo: Iwan Iwanowicz to Iwan syn Iwana, Anastasij Siergiejewicz to Anastazy syn Sergiusza, Galina Aleksandrowna to Helena córka Aleksandra. Rosjanie z wyższych sfer rzadko używali patronimików, zwracając się do ludzi z gminu*.

Słówko o rosyjskiej wymowie – w szesnastowiecznej ruszczyźnie akcent w większości przypadków padał na przedostatnią sylabę, choć bywały wyjątki takie jak Nikołaj (NIK-o-łaj), czy Anastasij (A-NAS-ta-sij). Były również imiona podwójnie akcentowane, takie jak Borys (BO-RYS), Iwan (I-WAN) czy Siergiej (SIER-GIEJ). Istniały również nieliczne akcentowane na ostatniej sylabie, takie jak Michaił (Mi-cha-IŁ), Gawriła (Gaw-ri-ŁA). W przypadku męskich patronimików akcentowano je przeważnie jak imię ojca: Iwanowicz był I-WAN-owiczem, Andriejewicz stawał się An-DRIEJ-ewiczem, choć Grigorij (Gri- -GO-rij) w patronimiku stawał się Gri-go-RJE-wi-czem. Imiona

kobiece nie były aż tak zróżnicowane: Galina była Ga-LI-ną; Ksenia KSE-nią; Ludmiła Lud-MI-łą.

Żeńskie patronimiki

* W rzadkich wypadkach, w których to czynili, używali patronimiku skróconego. Tak więc Iwanowicz stawał się Iwa nyczem, Grigorjewicz-Grigoryczem, Stiepanowicz - Stiepanyczem i tak dalej (przyp. tłum.) miały najczęściej akcent na przedostatniej sylabie: Jewgienijewna była Jew-gie-ni-JEW-ną; Iwanowna I-wa-NOW-ną, a Borisow-na Bo-ri-SOW-ną.

Postępowałam tak też w stosunku do bohaterów innych narodowości: polskie nazwiska i tytuły pisałam jak Polacy (z wyjątkiem tytułu królewskiego, który można przetłumaczyć jako Jego Wysokość, zastąpiłam go bardziej powszechnym, ale mniej dokładnym tytułem Jego Królewskiej Mości). Węgierskie nazwiska stosowałam wobec mieszkańców Transylwanii, greckie dla Greków i angielskie dla Anglików. W miarę możliwości tę samą zasadę stosowałam w przypadku broni, odzieży i żywności.

Niewiele w powieści jest miejsc czy budowli, które nie są w użytku do czasów dzisiejszych: sobór Świętego Wasyla (cerkiew o dziewięciu nierównej wielkości bulwiastych kopułach poma lowanych w jaskrawe, barwne ornamenty) na Placu Czerwo nym jest soborem Marii Dziewicy Orędowniczki z gro bem świętego Wasyla na Placu Czerwonym; w szesnastowie cznej ruszczyźnie słowo “piękny” miało bardzo bliskie znaczenie słowu “czerwo ny” (kрасiwyj/kрасnyj) i bywało używane zamiennie. Nie wybu dowano jeszcze portowej fortecy w Archangielsku na Morzu Bia łym; pierwsze angielskie okręty przybijały do mieszczącego placówki kupców handlujących futrami i rybą portu w Nowych Chołmogorach. W opisywanym przeze mnie okresie w Rosji nie pito też wódki. Ziemniaki były dla Europejczyków nowinką i rzadkością przewiezioną z Ameryki Środkowej. W dziesięć

lat po wydarzeniach opisywanych w tej książce wódkę wynaleźli Polacy, którzy w roku 1596 zaczęli ją eksportować do Rosji.

Członkowie jezuickiej ambasady wysłanej przez Stefana Batorego do Moskwy są postaciami fikcyjnymi, ale wiemy, że ów król wysłał do Rosji kilku kapłanów w misjach dyplomatycznych, niekoniecznie – jak w przypadku Antonia Possevina – w porozumieniu z papieżem, tylko na własną rękę.

Za pomoc w odnajdywaniu materiałów historycznych i dokładnych, konkretnych informacji chcę raz jeszcze podziękować niezrównanemu Dave'owi Nee, po raz pierwszy zaś Josephowi Lindstromowi i Leighanne Barwell. Wszelkiego rodzaju pomyłki historyczne należy przypisać mnie samej, nie im. Równie gorąco chcę podziękować za ich entuzjazm Maurine Dorris i komitetowi World Horror Convention z roku 1991, czytelnikom moich manuskryptów za komentarze i uwagi, mojej agentce Ellen Levine za dodawanie otuchy i wytrwałość, mojej prawniczce Robin Dubner za starania przy wydawaniu książek o hrabim Saint-Germainie, redaktor Beth Meacham, która pomogła mi się przebijać przez rozmaite warstwy rosyjskiej historii, i kierownictwu wydawnictwa Tor Books za pomoc w utrzymaniu hrabiego przy nieżyciu i w dobrym zdrowiu.

CZĘŚĆ PIERWSZA

CAR

List napisany po grecku przez nieznanego z nazwiska rosyjskiego bojara do króla polskiego Stefana Batorego, wysłany 6 sierpnia 1582 roku:

Do szlachetnego, władającego Polską Węgra, najszczerze pozdrowienia od moskwicina, który dobrze Mu życzy i szuka Jego pomocy.

Od śmierci carewicza Iwana Iwanowicza widzimy wielkie zmiany w charakterze i zachowaniu cara Iwana, którego przepętnia poczucie winy i dręczą nieustannie wyrzuty sumienia, ponieważ własną ręką zabił syna i tylko u Boga może szukać odpuszczenia winy. Ogłosił, że jedynie Bóg może dać mu rozgrzeszenie, ponieważ pozwolił swojemu Synowi umrzeć na krzyżu i będzie miał dla niego współczucie i zrozumienie za to, co popełnił w chwili nierozumnej furii.

Jest udręczonym, cierpiącym człowiekiem, w niczym nieprzypominającym dalekowzrocznego przywódcy, jakim był, gdy wypierał z Rusi Tatarów i odbierał im nasze ziemie. Prześladowają go koszmary i strachy równie wielkie jak niegdyś wizje. Prosił o pozwolenie na abdykację, ale Metropolita nie wyraził zgody, bo Fiodor Iwanowicz jest prawdziwie niezdolny do sprawowania rządów, interesują go jedynie dzwonki. Nie interesuje go Ruś, żona ani żadna inna sprawa, która przystałaby carowi. Postanowiono więc, że Iwan będzie rządził, dopóki sam Bóg nie położy kresu jego władaniu. Jeżeli mamy powstrzymać kraj przed wewnętrznym buntem i rebelią, nie możemy postąpić inaczej.

Wbrew pozorom niepokoje na dworze szerszą się z każdą godziną. Z każdym mijającym dniem rozchodzą się nowiny o wewnętrznych rozterkach cara. Wspiera go jedynie własna wiara w znaczenie i moc

klejnotów; ogarnięty jest wręcz bezgraniczną obsesją i żądzą ich posiadania. Nieustannie szuka nowych, coraz czystszych, ponieważ twierdzi, że przebaczenia i łaski dostąpi dzięki klejnotom, podobnie jak w przeszłości zapewniały mu one zwycięstwa.

Niechże mi będzie wolno w tym miejscu przytoczyć pewną ciekawą uwagę, jaką car Iwan wygłosił o klejnotach, które podziwiał, szukając w nich pocieszenia.

“Diamenty kryją w sobie wielką moc. Największe i najczystsze mają tyle energii, że jedynie najdzielniejsi mogą ich dotykać. Ludzie mniejszego ducha zostaną unicestwieni i spopieleni przez moc klejnotu. Mniejsze kamienie nie stanowią aż takiego niebezpieczeństwa dla tchórzów, ale w ich dłoniach tracą blask, ponieważ światło kryształu pochodzi z dzielności. Perły są klejnotami dla kobiet, ponieważ znaczą łzy, a łzy są udziałem każdej kobiety. Ich biel wskazuje na czystość, radość i smutek. Są jednak ciemniejsze klejnoty: rubiny, szmaragdy, ametysty i szafiry, które mogą przenikać namiętności i sekrety ukryte w sercu. Żaden z żyjących ludzi nie potrafi zmierzyć ich głębi. Odbijają wewnętrzne światło duszy”.

Car Iwan pożąda wiedzy, jaką mogą dać ciemniejsze klejnoty. Gubi się w swoim szaleństwie i koszmarach. Błądzi po Kremlu, jakby już był trupem, który nawiedza świątynie i pałace. Jeżeli nadal będzie tak postępował, boję się o naszą przyszłość. Śmierć carewicza była tragicznym wydarzeniem, obawiam się jednak, że stanie się dla nas katastrofą, jeżeli nikt nie zdoła wyrwać potężnego cara z jego szaleństwa.

My, władający Rusią, bylibyśmy wdzięczni każdemu, kto pomógłby nam uchronić kraj przed spustoszeniami dokonanyymi przez tego człowieka, który sam doprowadził go do wielkości.

Wysyłam ten list w tajemnicy. W Twoich rękach, panie, jest życie moje i mojej rodziny, błagam i proszę o ochronę. Nie zdradzaj tego, dzięki komu posiadłeś tę wiedzę. Przysięgam na Ciało Chrystusa, że pragnę jedynie

dobra Moskwy i Rusi. Jeżeli Wasza Królewska Mość postanowi pozostać wrogiem cara Iwana, niechaj spali ten list i zapomni o tym, co czytał. Jeżeli zechcesz, panie, udzielić nam wsparcia, jakiego nie poskapiłeś w przeszłości, będę się modlił, żeby Bóg nappełnił Twoje serce łaską przebaczenia i żebyś uczynił, co w Twojej mocy, by Iwan mógł odzyskać swoją dawną energię i rozum. Polecam też Iwana Twoim modlitwom: bardzo jest mu potrzebna ozdrowieńcza siła modłów i magii.

Ten, kto boi się o siebie i całą Ruś.

Pocierając twarz, król Stefan Batory usiłował się pozbyć ogarniającego go zmęczenia: przed wieczorną mszą czekały go jeszcze trzy audyencje. Tłumiąc westchnienie, pogładził się po brodzie. Od dwu godzin największym jego pragnieniem był sen; ale na to akurat nie mógł sobie pozwolić. Jeszcze kilka lat temu, zanim rozpoczął zwieńczoną powodzeniem kampanię przeciwko Rusi, rad byłby takiej aktywności, teraz jednak bardziej niż kiedykolwiek wcześniej odczuwał coraz większy ciężar mijających godzin i szybszy upływ czasu. Usiłował zmienić pozycję na wygodniejszą, ale mimo że siedział w wielkim, rzeźbionym fotelu udostępnionym przez jego szlachetnego gospodarza, nie potrafił znaleźć na tyle wygodnej, żeby ustąpił ból rozciągającej się od kolana po biodro rany sprzed dziesięciu lat. W lecie dokuczała mu mniej, teraz jednak zbliżała się zima i znów dawała mu się we znaki. Wdzięczny był za płonący na kominku ogień, który przynosił mu pewną ulgę.

– Jest tu Rakoczy – oznajmił sekretarz Batorego – młody, ambitny jezuita – wróciwszy właśnie po przekazaniu królewskich wyrazów wdzięczności właścicielowi dworu, w którym się zatrzymali. – Przybył przed godziną.

– Rakoczy – powtórzył król, ignorując nową falę bólu. – Nie marnuje czasu.

– Wezwałeś go w trybie pilnym. Przybył odpowiednio szybko. – Jezuita nigdy się nie uśmiechał, ale niekiedy, tak jak teraz, okazywał zadowolenie z pochwały. – Może być hrabią, księciem, czy jak tam siebie raczy nazywać, ale ty, panie, jesteś królem.

– Owszem – stwierdził Batory, rzucając mu czujne spojrzenie

otoczonych już zmarszczkami i nieco wyblakłych oczu. Poprawił przy tym niewielką koronę, jaką nosił na co dzień. – Przybył jednak natychmiast, nie jak inni wzywani...

– Jego ojczyznę zajęli Turcy – przypomniał królowi jezuita. Choć liczył sobie zaledwie dwadzieścia sześć lat, między brwiami miał już mocno zaznaczoną, pogłębiającą się zmarszczkę. – Wyparto go z kraju, mimo że stawiał zaciekły opór. Taki los spotkał wielu mieszkańców Wołoszczyzny. Powinien być rad temu, że w ogóle poświęca mu się uwagę.

Stefan obrzucił jezuitę bystrym, uważnym spojrzeniem.

– Ojciec Mietku, polegam na ludziach takich jak on i zależy mi na jemu podobnych. Bez nich nie moglibyśmy spełniać papieskiej woli. Nie mamy dość ludzi, żeby uderzyć na Ruś. Nie moglibyśmy też liczyć na to, że Rusini pomogą nam się rozprawić z Imperium Osmańskim. To, że Turcy zajęli kraj Rakoczego, nie jest jego winą i nie powinno go w naszych oczach dyskredytować. Wielu z tych, którzy się poddali, przyłączyło się do wrogów i to właśnie, a nie stawianie bohaterskiego oporu jest hańbą. – Rzadko udzielał kapłanowi tak poważnej reprimendy; żywił respekt wobec jego powołania i bał się potęgi, jaką Kościół mógł w owych czasach zgromadzić.

– Mówi się, że Rakoczy dzielnie walczył – odpowiedział pojednawczo ojciec Mietek. – To nazwisko od bardzo dawna otoczone jest szacunkiem.

– Owszem – odparł król, przypieczętowując zawarty pokój.

Ojciec Mietek wskazał ciężkie, zamknięte drzwi, za którymi znajdował się korytarz.

– Czeka tam na wezwanie.

– Na korytarzu? – zdumiał się Batory zaskoczony tym, że zagranicznego arystokratę potraktowano tak kiepsko.

– W przedpokoju – potwierdził ojciec Mietek. – Zostawiłem go tam

w towarzystwie dwu gwardzistów. Zęby okazać mu szacunek.

– Mam nadzieję, że on też tak właśnie zechce na to spojrzeć – odparł z przekąsem król. – Lepiej go wprowadź. Ze strażą czy bez, hrabiemu Saint-Germain nie należy kazać czekać jak zwykłemu kupcowi. – Niecierpliwie skinął ręką jezuitę. – Gdzie jest mój przyboczny? Gdzie kapitan mojej straży? Muszę posyłać kapłana, żeby wprowadził Rakoczego?

– Jedzą kolację, najjaśniejszy panie – odpowiedział kapłan. – Sam ich tam posłałeś.

Król kiwnął głową.

– A pozostali szykują się do jutrzejszego przeglądu. Tak, oczywiście. – Rozejrzał się po komnacie, jakby chciał sobie przypomnieć rozmiary dworu. – Czy nasz gospodarz rozlokował kompanię po innych posiadłościach, czy wszyscy zostaną my tutaj? – Zgromadzenie ich w jednym miejscu było wielce ryzykowne. Gdyby wrogowie odkryli miejsce jego pobytu, ze wszystkimi oficerami i rękodajnymi, łatwo mogliby go dopaść pewni, że w pobliżu nie ma żadnych wojsk, które mogłyby mu przyjść z pomocą albo go pomścić.

– Niedaleko stąd jest miasteczko. Większość żołnierzy odesłano tam na nocleg – oznajmił ojciec Mietek. – Przegląd jest dla nich sprawą wielkiej wagi. Nie wiemy, ile zostało nam zapałów i co z oręża należałoby naprawić. Ty sam, panie, nalegałeś, że...

Król podniósł dłoń.

– Nie inaczej, wiem o tym – powiedział. – Ufam, że hrabia Saint-Germain zrozumie moją obecną sytuację.

– Wszystko mu wyjaśnię – stwierdził ojciec Mietek, ruszając ku drzwiom.

– Nie – zatrzymał go król. – Jeżeli trzeba będzie coś wyjaśniać, zrobię to sam. Nie ma powodu, żebyś się tym, ojcze, trudził.

Jezuita pokornie pochylił głowę.

– Jak Wasza Królewska Mość rozkaże.

Batory lekko pogroził mu palcem.

– Trochę pokory, ojczy Mietku. Potrzebuję pomocy tego hrabiego; jest jedynym ze znanych mi ludzi, któremu może się powieść w tym przedsięwzięciu. To ważne.

– Jestem tu, żeby ci służyć, Najjaśniejszy Panie – powiedział jezuita, opuszczając komnatę, którą Batory uczynił swoją tymczasową kwaterą główną.

Gdy ojciec Mietek wyszedł, Batory wstał i zaczął się przechadzać po komnacie, by rozprostować nogi i rozluźnić skurczone mięśnie. Był zmęczony, ale też niespokojny. Chętnie by się pomodlił, ale niewiele mu pozostało próśb, które mógłby skierować do boga. Zamiast tego zaczął odtwarzać w pamięci treść listu, który przywiózł mu kupiec sukienny przysięgający, że otrzymał go od jednego z wyższych moskiewskich dowódców. List – zakładając, że był prawdziwy – otwierał przed nim okienko nadziei na uzyskanie wpływu na cara Iwana. Jego treść skłoniła go do wydania wiadomości hrabiemu Rakoczemu, który był znany ze swej rozległej wiedzy alchemicznej, mądrości potrzebnej do tworzenia klejnotów i zdrowego rozsądku, dzięki któremu potrafił unikać pułapek i kompromitacji.

W drzwiach stanął ojciec Mietek.

– Hrabia Saint-Germain – zaanonsował, niechętnie ustępując w bok, by wpuścić gościa, Ferenc Rakoczego.

– Wasza Królewska Mość – powitał króla Rakoczy, wymawiając te słowa wyraźnie i nieco wedle starej mody. Zamiast opaść na jedno kolano, złożył władcy włoski ukłon, trzymając sobolową czapkę w prawej dłoni. Był bardzo dwornie odziany, miał na sobie i czarny aksamitny płaszcz, a pod nim haftowany srebrem czarny dolman z rubinowymi guzikami. Ferenc Rakoczy, hrabia Saint-Germain był człowiekiem o dostojnym i eleganckim wyglądem. Jego czarne, obcisłe

spodnie utkano z przedniej wełny, a małe trzewiki na wysokich obcasach wykonał prawdziwy mistrz szewskiego fachu. Ciemne kędziory przycinał dość krótko i wbrew powszechnej modzie gładko golił twarz. Na drobnych dłoniach miał jeden tylko pierścień, sygnet z ciemno czerwonym rubinem, na którym wyryto jakiś znak zodiaku. Choć był człowiekiem przeciętnego wzrostu, zdominował komnatę tak, że mógłby mu tego pozazdrościć człek znacznie wyższy i bardziej rośły. W jego ciemnych oczach było coś frapującego, miały wyraz jednocześnie tajemniczy i pełen współczucia. Zachował imponujący spokój: większość ludzi pod badawczym wzrokiem króla traciła rezon; Rakoczy był niewzruszony.

Hrabia zrobił na Batorym spore wrażenie, choć król nie dał temu wyrazu.

– Panie, prezentujesz się bardzo godnie. I jesteś punktualny – stwierdził wreszcie.

– Wasza Królewska Mość jest bardzo łaskaw – odparł Rakoczy.

– Wcale nie – powiedział król. – Ojciec Mietku, jestem pewien, że obowiązki wzywają cię gdzie indziej.

Młody jezuita niemal spopielił króla wzrokiem, ale zebrawszy całą godność, stwierdził tylko:

– Oczywiście.

– Z mojego pozwolenia możesz się nimi zająć.

Batory odczekał, aż za księdzem zamkną się drzwi, i obszedł Rakoczego dookoła.

– Rozumiem, że wiele podróżowałaś.

– Wobec tego, co spotkało mój kraj rodzinny, stało się to koniecznością – odparł spokojnie gość.

– Owszem, to nieszczęście. Ale może zechciałbyś, hrabio, rozważyć to, co mam ci do zaoferowania: chciałbym, żebyś podróżował dla mnie.

– Cóż, przynajmniej przybyłem z Czech do Polski – odpowiedział Rakoczy z półuśmiechem na ustach. – Tak szybko, jak sobie tego życzyłeś, Wasza Królewska Mość. – Całą odległość pokonał konno w towarzystwie jednego tylko sługi, bo drogi były zbyt kiepskie na podróż powozem, zbyt wielu też czaiło się na nich opryszków, żeby ich kusić bogactwem, jakie sugerowała większa eskorta.

– A może przyjdzie ci pojechać jeszcze dalej – stwierdził Batory tonem niedopuszczającym sprzeciwu. – Jeśli jesteś człowiekiem, za jakiego cię uważam.

Hrabia nie zdradził się nawet drgnieniem twarzy, ale przeszył go dreszcz niepokoju, równie denerwujący jak pozbawiony podstaw. Od ponad czterdziestu lat ukrywał swoją prawdziwą naturę i z pewnością jej nie ujawnił. Wiedział, że polskiego króla lepiej nie prosić o wyjaśnienie, co miał na myśli. Uspokoił się gotów na ryzyko popadnięcia w niełaszkę.

– A jakież to człowiek, Wasza Królewska Mość?

– Przebiegły, mający reputację śmiałego, o zimnym umyśle – odparł król. – Może zresztą wymagałbym od niego więcej...

Obawy Rakoczego wzrosły, ale nadal panował nad swoją I warzą.

– Panie, jeśli posiadam jakiegokolwiek zalety, których potrzebujesz, są do twojej dyspozycji.

Król parsknął chrapliwym, rzadkim u niego śmiechem.

– Bardzo to pięknie wywiodłeś. Gdzie się uczyłeś dwornosci, panie? Z pewnością nie w Transylwanii. Ani w Polsce.

Rakoczy wzruszył ramionami.

– W rozmaitych miejscach, Wasza Królewska Mość. W Italii. – Wypowiedzenie tego słowa obudziło w nim wciąż bolesne wspomnienia sprzed stu lat. Przepędził przed oczu wizje Demetrice i Lorenza oraz widok płonących obrazów Sandra Boticellego.

– Miałeś tam jakieś kłopoty, co? – zapytał Batory, zauważywszy

zmianę nastroju Rakoczego, która zresztą natychmiast zniknęła, gdy tylko o tym wspomniał.

– W Italii zawsze, od wielu stuleci są kłopoty – stwierdził gładko hrabia.

Król spostrzegł unik, ale postanowił go zignorować.

– Cóż, to już przeszłość. Są inne sprawy, którymi powinieneś się zająć.

– Doprawdy? – Rakoczy uniósł pięknie zarysowane, kruczoczarne brwi.

– Tak myślę – odparł król, sięgając do rękawa, żeby wyjąć z niego list od nieznanego moskwicina. – Czytaj. – Polecenie było rodzajem próby, o czym obaj dobrze wiedzieli.

Rakoczy szybko przebiegi pismo wzrokiem, marszcząc się nieco na widok niestarannych bazgrołów.

– Hm... ciekawe wiadomości – odezwał się ostrożnie, gdy skończył. – Autor zna nieco grekę, ale jeśli miałbym sądzić z tego przykładu, to powiedziałbym, że nie posługuje się nią zbyt często. Wasza Królewska Mość sądzi, iż to pismo jest autentyczne?

– Zadaję sobie to pytanie od chwili, w której je otrzymałem. – Król mlasnął językiem, żeby podkreślić dręczące go wątpliwości. – Oczywiście słyszałem plotki.

– Każdy je słyszał – stwierdził Rakoczy. – Nawet kmiotkowie rozprawiają o carze.

– I niewątpliwie mówią, że jada obiad z samym czartem i pożera dziewice – odparł kwaśno Batory. – Kto dałby wiarę takim opowieściom?

Rakoczy pozwolił sobie na przelotny uśmieszek.

– W rzeczy samej, kto?

Król zatrzymał się i potarł dłonią obolałą nogę.

– Ale ten list mnie niepokoi. Jeżeli to, co pisze autor, jest prawdą,

może oznaczać... no... wiele rzeczy. Jeżeli car jest tak zagubiony, jak twierdzi nieznany nadawca listu, w Moskwie mogą wybuchnąć niepokoje. Co może, choć nie musi, posłużyć moim celom.

– Ale ty, Najjaśniejszy Panie, i Szwedzi zawarliście z Rusią pokój – odparł Rakoczy. – Wasza Królewska Mość z pewnością nie zamierza kontynuować kampanii wojennej.

– Owszem, zawarliśmy z Iwanem jakby pokój – stwierdził nieco poirytowany król. – Skoro jednak popadł w szaleństwo, to jakież będziemy mieli pokój? I jakie są szanse, że Ruś przyłączy się do nas w powstrzymaniu inwazji osmańskich Turków?

Ojciec Possevino nie zdołał jeszcze nakłonić Moskwy do sojuszu z nami, a jeżeli car jest w takim stanie, o jakim pisze autor tego listu... – Król wskazał list, który Rakoczy zdążył mu oddać. – I dlaczego pisze do mnie? Co nim powoduje?

Rakoczy dobrze wiedział, czego od niego oczekiwano. Spojrzał wprost na króla.

– Może.... Jeżeli umysł cara jest tak przepelniony pragnieniem odkupienia... grzechu, będzie bardziej skłonny do udzielenia wam, panie, pomocy, niż w jakimkolwiek innym czasie...

Król udał, że przedtem o tym nie myślał.

– Tak. Tak. To możliwe.

– Najjaśniejszy Panie... – odezwał się Rakoczy, na którego twarzy pojawił się teraz jakby wyraz znużenia nieprawościami tego świata. – Czemu nie zrezygnujemy z udawania? Co chcesz, żebyśmy zrobili? Mam udać się do Moskwy, żeby odkryć, czy to, co napisał autor tego listu, jest prawdą?

Pytanie było bardziej bezpośrednie, niż król sobie tego życzył, ale musiał przyznać rozmówcy rację.

– Owszem, po części tak. Chcę, panie, żebyś udał się do Moskwy. Liczę na to, że zdołasz mi przekazać wieści o aktualnym stanie umysłu

cara Iwana i o tym, co myślą na jego dworze. Jeżeli w Moskwie ma wybuchnąć bunt lub jakieś zamieszki, chcę o tym wiedzieć.

– I czemu niby akurat ja miałbym to zrobić dla Waszej Królewskiej Mości? – zapytał hrabia. – Masz, panie, w Polsce szlachciców, którzy poczuliby się zaszczytzeni, gdybyś im zlecił takie zadanie. Posłałeś gońca aż do Czech, żeby mnie tam odszukał. Czemuż to, Najjaśniejszy Panie?

Król kiwnął głową, uznając wagę pytania.

– Powiedziano mi, że jesteś, panie hrabio, szczwany i kuty na cztery nogi. – Uszczypnął się w dolną wargę. – Dobrze, odpowiem ci: w twoich żyłach płynie węgierska i wołoska krew, równie stara i dobra jak moja. Mówiono mi nawet, że pochodzisz ze starszego rodu niż mój. – Skinieniem dłoni uciszył Rakoczego, który najwidoczniej chciał coś wtrącić. – A z powodu Turków stałeś się wygnańcem.

– Wygnańcem... – powtórzył Rakoczy nie bez ironii w głosie.

– Z tego też powodu Rusini będą patrzeć na ciebie mniej podejrzliwie. Nie lubią cudzoziemców, ale wygnaniec nie będzie ich może tak niepokoił. – Złożył razem koniuszki palców. – Jest jeszcze jeden, znaczniejszy niż te dwa powód, choć one same byłyby wystarczyły.

– Jakiż to powód, Najjaśniejszy Panie? – Rzadko się zdarzało, żeby jakiś szlachcic ważył się żądać od Batorego wyjaśnić, a jeszcze rzadsze były wypadki, w których ten ich udzielał.

Król jednak doszedł do wniosku, że pytanie odpowiada jego celom.

– Mówiono mi, że jesteś alchemikiem. – Skinieniem dłoni wskazał zamknięte drzwi. – Możesz mówić otwarcie, hrabio. Nie masz tu kapłana.

O to więc chodzi, pomyślał Rakoczy. Wiedział, że gdyby był na miejscu króla, spróbowałby tego samego podejścia.

– Owszem, posiadam pewną znajomość arkanów Wielkiej Sztuki.

– Powiedziano mi, że twoja wiedza i umiejętności są rozległe i głębokie – odparł Batory. – Mówi się, panie hrabio, że posiadasz sekrety klejnotów.

– I któż to mówi? – zapytał Rakoczy, ponownie czując, jak jego obawy rosną.

– Dostałem wiadomości od Jego Świątobliwości papieża Grzegorza, że przy fundowaniu przezeń Collegium Germanicum w Rzymie dostarczyłeś mu zrobione przez siebie cztery rubiny i cztery diamenty. Było to osiem lat temu. Powiesz mi teraz, hrabio, że Jego Świątobliwość zełgał? – Choć znużony, król wciąż był zręcznym manipulatorem. – Kazałem zasięgnąć wieści o kilku węgierskich arystokratkach, których Turcy pozbawili ziem. Jego Świątobliwość łaskawie przekazał mi to, co wiedział.

– Rozumiem... – Rakoczy patrzył w płonący na kominku ogień, jakby płomienie skrywały jakąś tajemnicę. – Dobrze więc. Dostarczyłem papieżowi kamienie. – Urwał znacząco. – Mam w Rzymie posiadłość i niekiedy ją odwiedzam.

– Czy właśnie dlatego dałeś papieżowi owe klejnoty? – zapytał Stefan z nagle rozbudzonym zainteresowaniem w głosie.

– Nie, nie tylko dlatego – odpowiedział Rakoczy. – Nie chodziło też o to, by podkreślić wagę ufundowania Collegium Germanicum. – Był to jedyny sposób, jaki mu przyszedł do głowy, żeby odwrócić uwagę od jego zainteresowań alchemią i odsunąć od siebie podejrzenia o kontakty z szatanem, jako że liczni księża i biskupi głosili, iż alchemia jest sztuką diabelską. Złożony na ręce papieża dar oszczędził mu kościelnego śledztwa.

Król postanowił przejść do spraw ważniejszych.

– Więc jednak dałeś papieżowi klejnoty. Zrobiłeś je sam?

– Owszem. – Hrabia spojrzał badawczo na polskiego króla.

– I potrafiłbyś zrobić więcej? – zapytał ten.

– Gdybym miał odpowiednie materiały i wyposażenie pracowni, to tak – odpowiedział Rakoczy. – Bez tego nic nie wskóram.

– Rozumiem – stwierdził Batory z rosnącą satysfakcją. – Ale mając jedno i drugie, mógłbyś obdarzyć Iwana klejnotami? Z mojej poręki?

– Jeżeli dostanę odpowiednie przyrządy, a materiały będą dobrej jakości, to rzecz jest do zrobienia. – Hrabia wiedział, że przenikający go chłód niewiele ma wspólnego z porą roku lub zachodem słońca.

Król klasnął w dłonie.

– Mam na dworze sześciu jezuitów, którzy szykują się do podróży na Ruś z wiosną, gdy tylko zaczną topnieć najgłębsze śniegi. Chciałbym, panie hrabio, żebyś pojechał z nimi.

– Do Moskwy – stwierdził Rakoczy.

– Będiesz moim wysłannikiem, nie kapłanem, ale wygnanym z ziem magnatem. Sam zdołasz opowiedzieć o tym, jak bardzo niebezpieczni są Turcy. – Król ponownie potarł obolałą

nogę. – Jeżeli car okaże się zbyt szalony, żeby cię wysłuchać, daj mu klejnoty. Liczę na to, że dzięki ich magii zdołasz go udobruchać, bo on w nią wierzy.

Rakoczy spojrzał bacznie na króla.

– Najjaśniejszy Panie, ty cierpisz?

Król wzruszył ramionami; nie lubił przyznawać się do słabości.

– Niekiedy. W zeszłym roku zostałem lekko ranny. Są momenty... – Jego głos złagodniał. – Owszem, dziś rana mi mocno doskwiera.

– Mam coś, co mogłoby pomóc Waszej Królewskiej Mości – odezwał się pospiesznie Rakoczy. – Skorzystasz, panie?

Król potrząsnął głową.

– Nie. Choć bardzo trzeba mi ulgi, ta księżyca mikstura powstrzymuje ból, ale też mąci w głowie i utrudnia myślenie.

Rakoczy przyglądał się królowi jeszcze przez chwilę.

– Mój lek nie zaćmi ci rozumu ani nie zatrzyma w łóżu na długie

godziny. Nie chodzi o usypianie. – Dał królowi chwilę do namysłu. – Wożę takie leki ze sobą, ot, na wszelki wypadek. Najjaśniejszy Panie, nie musisz czekać, żeby go zażyć. Mogę ci dać porcję przed kolacją.

– Ciekawa propozycja. – Batory nie potrafił ukryć zainteresowania.
– Czy to inny aspekt twoich alchemicznych umiejętności?

– Owszem – odpowiedział Rakoczy, wiedząc, że jest w tym sama prawda, ponieważ alchemia znaczyła “sztukę egipską”, on zaś nauczył się przygotowywać tę miksturę przed trzema tysiącami lat w tebańskiej świątyni Imhotepa.

– Widzę, że twoje umiejętności są bardzo różnorodne – mruknął król, a potem stwierdził bardziej stanowczym tonem: – Owszem, skorzystam z twojej propozycji. – Patrzył teraz na Rakoczego z większym respektem. – Przyznam, że tego, co mi o tobie opowiadano, panie hrabio, wysłuchałem z niedowierzaniem; sądziłem, iż ludzie przesadzają. Teraz zaczynam wierzyć,

że nie doceniają twoich możliwości. – Klepnął Rakoczego po ramieniu. Poufały ten gest wzbudziłby zazdrość wśród wielu dworzan, gdyby go zobaczyli.

Rakoczy nauczył się nie ufać podobnym wyróżnieniom; takie czyny obiecywały niewiele łask i sprowadzały na niby uszczęśliwionych królewską uwagą liczne niebezpieczeństwa. – Wasza Królewska Mość jest bardzo łaskaw – odpowiedział tak, jak się tego po nim spodziewano; rad był, że nikt ich nie obserwuje. – Wszystkie moje talenty i umiejętności są na twoje rozkazy, Najjaśniejszy Panie. – Złożył królowi idealny ukłon. – Nawet w Moskwie.

Król uśmiechnął się szeroko, postanowiwszy wykorzystać okazję do końca.

– Zgodnie z tym, co mi mówiono, na domiar wszystkich twoich talentów, panie hrabio, jesteś pono doskonałym muzykiem i znasz biegle kilka języków.

Rakoczy pojął, że znów stąpa po grząskim gruncie.

– Owszem, nieźle śpiewam i gram, jak wielu innych. I tak, znam kilka języków.

Batory niby mędrzec skinął głową.

– Czy przypadkiem jednym z nich nie jest angielski? Mówi się, że w Moskwie są Anglicy, którzy kupują liny okrętowe.

Gdybyś mógł się z nimi dogadać, hrabio, oddałbyś mi ogromną przysługę, większą jeszcze niż ta, którą już oddajesz.

– Potrafię wybąkać kilka zdań – odpowiedział Rakoczy, który po angielsku, jak zresztą w kilkunastu innych językach, mówił bardzo płynnie.

Królowi przypomniało się coś jeszcze i zwrócił się do Rakoczego z pytaniem:

– Po rusku też mówisz, oczywiście?

Rakoczy ukrył westchnienie ulgi.

– Najjaśniejszy Panie, służba dla ciebie będzie dla mnie zaszczytem – odpowiedział w czystej ruskiej mowie.

List z Londynu od Alicji Oliwii Klemens, napisany po łacinie:

Mojemu najdroższemu i najbardziej nieznosnemu przyjacielowi, Rakoczemu Saint Germainowi Franciskusowi serdeczne pozdrowienia...

A więc do Moskwy, czy nie tak? Niezbyt ukontentowany walką z ‘Turkami będziesz teraz szukał guzów na Rusii? Nie tłumacz się, że jedziesz tam z rozkazu polskiego króla. Wiesz równie dobrze jak ja, że gdyby Ci to nie odpowiadało, znalazłbyś tysiąc doskonałych powodów, dla których takie postannictwo byłoby nie tylko niemożliwe, ale i wysoce niewskazane. Nie próbuj protestować i tłumaczyć się, że Cię do tego zmuszono. Co prawda muszę Ci przyznać, że nigdy się nie zniżyłeś do takich protestów.

Nadal jednak jestem na Ciebie zagniewana, panie Sanct' Germain. Coraz bardziej się ode mnie oddalasz, co nie budzi we mnie zadowolenia. Przyznam się też do pewnej irytacji. Chętnie powiem; że dobrze jest, iż Jej Królewska Mość poleciła wysłać do Moskwy poselstwo – to akurat prawda – ale sugerowanie, że mogłabym wykorzystać posta w charakterze posłańca do Ciebie, może się okazać niebezpiecznym szaleństwem, z czego niechybnie zdajesz sobie sprawę. Nie znasz królowej Elżbiety i nie wiesz niczego o jej temperamencie. Wystarczy powiedzieć, że odziedziczyła po ojcu skłonności do wybuchania gniewem, ale wspiera je żelazną wolą. Raz tylko widziałam, jak daje upust swojemu gniewowi, i dość mi tego było, żebym zrozumiała, iż muszę być w razie czego gotowa na pospieszną ucieczkę do Rzymu.

Napisałeś w ostatnim liście, że nie wierzysz, iż w niedługim czasie będzie Ci dane wrócić na ziemię rodzinne. Smuci mnie to, bo wiem, co znaczy długi pobyt poza Rzymem. Skrzynie z ziemią nie są tym samym, czym jest ziemia. Podtrzymują trwanie, braknie im jednak domowych bogactw i różnorodności. Opisałeś zabezpieczenia, jakie podjąłeś, żeby mieć pewność, że w Moskwie Ci nie zabraknie wołoskiej ziemi. Szczerze ufam, że będą dostateczne, bo Dację, Transylwanię, czy jak się zwą Twe górzyste ziemie, od Moskwy dzielą wielkie odległości. Nie przypominaj mi, że masz w tym względzie większe ode mnie doświadczenie, dobrze o tym wiem, niczego to jednak me zmienia. To Ty podejmujesz ryzyko i Ty będziesz cierpieć, jeżeli coś pójdzie nie tak, jak powinno.

Wszystko to przywodzi mi na myśl jeszcze jedną sprawę. Nie wspomniłeś o tym, kiedy zamierzasz wrócić. Podkreślasz, że król Batory nie wyznaczył czasu Twojej misji. Może zechciałbyś to odgadnąć? Być może pragnie, żebyś tam pozostał, dopóki nie spełni się jego marzenie i dopóki Rosja nie zjednoczy się z Polską? Przyszło Ci to na myśl. Proponuję więc, żebyś za rok wrócił do Rzymu, jeżeli to nie wystarczy, niech będą dwa lub trzy lata.

Tak się też składa, że Elżbieta nazym tego Twojego polskie go króla Stefanem, a nie z węgierska Istvanem, choć nie żenienia imienia cara Iwana na John. Jest kobietą o bystrym umyśle i stanowczą w realizacji celów, o czym na swoje nieszczęście prze konał się ojciec Edmund Campion. Sprzeciwia się też zmianom kalendarza wprowadzonym przez obecnego papieża. Niełatwo będzie zyskać jej aprobatę dla wszystkich papieskich zamierzeń, obojętnie, czy rozumnych czy niewiele znaczących. Tak więc Anglia pozostanie skłócona i z tymi krajami europejskimi, które pozostały katolickie. Przypuszczam, że niesnaski będą trwały, dopóki atmosfera się nie oczyści.

Pośród ludzi, którzy będą stanowili obsadę angielskiej amba sady, jest pewien człowiek, którego z pewnością zechcesz poznać. Nazywa się Benedict Lovell i przypuszczam, że znajdziesz w nim oddanego przyjaciela. Jako student Oksfordu był w grupce żaków wyznaczonych do wspólnej nauki z rosyjskim posłem, które go przywiózł tu Richard Chancellor. Biegłemu w grece Benedic towi polecono też opanowanie języka ruskiego. Gdy londyńczycy wytrzeszczali oczy na Rusina, Lovell nauczył się jego mowy, ku niezadowoleniu swego brata, któremu zamarzyło się zostać dwo rakiem, choć nie ma odpowiednich manier ani dostatecznych fun duszy. Benedict i ja znamy się dość dobrze i ze względu na mnie może okazać Ci przychylność. Nie wie nic o naszej krwi; tylko dwa razy byliśmy kochankami i nie uznałam, że trzeba mu o tym mówić. Poślałam mu wiadomość i prośbę, żeby zechciał się z Tobą spotkać po Twoim przyjeździe do Moskwy. Ma trzydzieści cztery– trzydzieści pięć lat i na żądanie ambasadora, sir Jerome'a Horseya, został odwołany z Oksfordu ze względu na swoją znajomość języka Rusinów. Nie śmiej się, drogi hrabio, biedny ambasador nie jest winien temu, że ma takie nazwisko*. Mam nadzieję, że w uszach Rusinów nie będzie brzmiało tak zabawnie jak w Anglii. Spotkałam sir Jeromed dwa razy, ale nie mam pojęcia, czy mógłbyś go sobie zjednać. W tym względzie będziesz się musiał zdać na

Benedicta Lovella.

Życzę Ci bezpiecznej podróży i powodzenia we wszystkim, co zamierzasz. Gdy jesteś daleko, brak mi Ciebie tak, jakby brakowało mi ręki albo ciepłego płaszcza w czasie deszczu. Nie podejmuj ryzyka, hrabio. Nie dopuszczę do tego. Nie, żebym mogła cię zatrzymać, gdy sobie coś postanowisz.

Wyślij mi wiadomość, gdy tylko będziesz mógł. I wiedz, irytujący człowieka, że nigdy nie zdołasz oddalić się ode mnie tak, by nie mogła Cię znaleźć moja miłość.

*Spisane własną ręką z wyrazami najgłębszych uczuć przez
Oliwię Greengages nieopodal Harrow 11 listopada 1582 roku wedle
kalendarza angielskiego*

Ang. hors(e)y znaczy "koński" (przyp. tłum.).

. 2 .

Dom Anastasija Siergiejewicza Szujskiego dwa lata wcześniej spłonął do fundamentów, więc ten, który stanął na jego miejscu, nie miał w pełni ukończonych wnętrz: cieśle i malarze starali się ze wszystkich sił, żeby kniaź i jego dwór mogli wygodnie w nim zamieszkać.

– Wiesz o tym doskonale, że chciałem, by ta komnata była gotowa na Boże Narodzenie – zwrócił się bojar do jednego z rozdygotanych ze strachu cieśli. – Powiedziałaś, że będzie... i spójrz, jak to wygląda. – Wskazał ręką drzwi do jednej ze spornych, niegotowych komnat. – Przed świętami nie zdążycie zrobić wszystkiego, co trzeba.

– Wasza Wielmożność, sprowadzimy więcej ludzi. Będziemy pracować dzień i noc.

– I być może raz jeszcze spalicie cały dom – stwierdził posepnie Anastasij. – Nie, to nie do przyjęcia, nie życzę sobie, żeby wchodziły tu i wychodziły całe tabuny ludzi. – Wstał i obszedł komnatę dookoła, opuszczając głowę na piersi i usiłując się opanować. Wolałby raczej zawstydzić cieśłów, niż ich karać, przynajmniej w tym momencie.

Cieśla pochylił głowę, spodziewając się, iż lada moment padnie polecenie chłosty. Nie ośmielił się otworzyć gęby, bo wiedział, że tylko pogorszy sprawę.

– Przeklęty pożar! – Kniaź się zatrzymał i spojrzał na nieszczęsnego rzemieślnika. – Kazałbym ci dać kije, ale wtedy nie mógłbyś pracować, tłumacząc się niemocą, a tego akurat nie chcę. Nie unikniesz pracy. Powiadam ci więc, że ty – ty sam z dwoma swoimi pomocnikami, nikt inny – będziesz pracować bez ustanku, aż padniesz z wyczerpania.

Cieśla nie spodziewał się aż takiej łagodności. Przeżegnawszy się, jeszcze niżej skłonił głowę.

– Będzie, jak Wasza Łaskawość rozkaże...

– Cały dzień będę was miał na oku. Jak osłabniecie, dostaniecie baty i odeśle się was precz, jeśli zostanieie przy życiu. – Książ spojrział w kierunku komnaty. – Nie przyjmę żadnej partaniny, lepiej się więc postarajcie.

– Tak, Wasza Dostojność – potwierdził cieśla, choć na samą myśl o czekającej go pracy poczuł ból w plecach.

– Skończycie w terminie. – Było to coś więcej niż rozkaz, było to stwierdzenie niepodlegające negocjacjom.

– Tak jest, Wasza Łaskawość – przytaknął cieśla, myśląc o tym, że spotkała go surowa nagana, bo jeżeli miałby zawieść, jego dwaj pomocnicy – a właściwie siostrzeńcy – dostaną takie same baty jak on. Gdyby nie spełnili żądań kniazia, wespół ze swymi rodzinami popadliby w skrajną nędzę, jeśli w ogóle przeżyliby chłostę.

Moskwa często padała ofiarą pożarów – była miastem drewnianych budynków, w których z powodu ostrych zim i śniegów intensywnie i długo palono w piecach. Moskwianie już dawno temu nauczyli się przygotowywać zawczasu elementy budowli i w razie potrzeby mogli szybko wznosić domy, żeby ich mieszkańcy nie musieli spędzać nocy pod gołym niebem. Dom kniazia Anastasija Szujskiego był bardziej okazały od innych, czego zresztą wymagała pozycja właściciela, ale zbudowano go podobnie jak większość moskiewskich dworów. Na parterze i piętrze miał czternaście komnat, kuchnię, piekarnię i łaźnię na tyłach posiadłości, a po drugiej stronie kamiennego murku śmietnik i wychodki. Jak na tak znacznego pana był w sumie dość skromnym dworkiem, ale książ Anastasij Siergiejewicz Szujski pochodził ze starego, szanowanego rodu i nie musiał kłuć w oczy rodaków wystawnością siedziby.

We dworze mieszkało dziewięć osób, które obsługiwało ponad trzydzieścioro służby. Nie był tak duży jak inne miejskie rezydencje, bo żona i dzieci Anastasija przebywały w jego wiejskiej posiadłości, gdzie wszyscy byli mniej narażeni na niebezpieczeństwa życia dworskiego. W moskiewskiej rezydencji rządziła kuzynka Anastasija, starsza od niego o dziesięć lat Galina Aleksandrowna, która z obawy przed nędzą zaspokajała niektóre jego zachcianki. Jej córka, dwudziestotrzyletnia Ksenia Jewgienijewna Koszkin, pozostawała niezamężna i uważano ją za rodzinną nieudacznicę. Większość czasu poświęcała działalności dobroczynnej, co sugerowało, że może zostać mniszką i dzięki Innu zakończy staropanieństwo. Dwaj nieco dalsi krewni kniazia mieszkali we dworze z rodzinami; byli na jego łasce, o czym dobrze wiedzieli i co sprawiało, że okazywali taką samą uległość jak Galina Aleksandrowna. Dwie komnaty zajmował starszy już ksiądz, który dbał o potrzeby duchowe domowników – ojca Ilię uważano za uczonego męża, co wzmacniało nieco jego pozycję. Dziewiątym rezydentem był Piotr Grigorjewicz Smolnikow, wiekowy i ślepy już człowiek, który jednak kiedyś należał do najlepszych żołnierzy wielkiego księcia, ojca obecnie panującego cara. Żył na łasce szanującego jego bohaterskie czyny Szujskiego; kniaź w ten sposób zachowywał wpływy wśród starych wojaków, którzy wciąż kontrolowali armię.

Anastasij Szujski nie zadał sobie trudu odprowadzenia wzrokiem cieśli, który bijąc pokłony, tyłem opuścił komnatę. Kniaź z westchnieniem usiadł przy długim stole, na którym rozłożył kilka listów z niepokojącymi wieściami z Polski. Od trzech miesięcy nie dochodziły żadne nowiny, co miało potrwać, dopóki zima nie wypuści Rusi z bezlitosnych uścisków. Wydobył już z tych listów wszystko, co się dało, nadal jednak je przeglądał w nadziei, że może znajdzie coś, co przeoczył. Coraz bardziej trapiła go wiadomość o poselstwie, które

Batory miał osadzić w Moskwie z nadejściem wiosny. Jezuita. Budzili jego podejrzenia, był zaś ! człowiekiem bardzo podejrzliwym, a wiadomość o jezuitach nie była tym, czego się spodziewał. Jezuita. Potrząsnął głową.

– Coś ważnego? Dostałeś złe wieści? – pytała kuzynka Galina. Weszła do komnaty niczym cień; stanęła z dala od Szujskiego, kryjąc twarz pod wdowim czepcem.

Pełna szacunku postawa, którą przybrała, żeby uśmierzyć gniew kniazia, jeszcze go tylko podsyciła.

– Nic, czym mogłabyś się kłopotać – odparł Anastasij, niezadowolony, że się zjawiała.

– Wyglądasz, jakbyś się złościł – zauważyła Galina, nie starając się nawet podejść bliżej. – Przepraszam, jeżeli cię uraziłam.

– Nie bezpośrednio, nie. Mam jednak ważną pracę i wolałbym, żeby mi nie przeszkadzano. – Wiedział, że zachowuje się szorstko i odpychająco, ale nie zamierzał za to przeproszać. Kuzynka Galina też była od niego zależna i powinna przyjmować wszystko, czym ją częstował.

Skłoniła się, nie tak służalczo wprawdzie jak cieśla, ale równie pokornie.

– Przykro mi, że ci przeszkodziłam. Pójdę się wyspowiadać do ojca liii.

– Tak. Idź do niego. – Odprawił ją gestem, jakim mógłby odpędzić irytującego owada.

Jezuita. Nie można im zaufać. Niewątpliwie pragną zniszczyć Cerkiew prawosławną. Wszędzie, gdzie tylko docierali, usiłowali nawracać ludzi na katolicyzm. Niedawna próba Moskwy pojednania się z Rzymem była błędem. Teraz jezuita korzystają z okazji, żeby się tu umocnić. Podniósł jeden z napisanych po grecku dokumentów i przeczytał go raz piąty. Czytał uważnie, rozważając każde słowo,

szukając ukrytych znaczeń i alternatywnych przekładów, które mogłyby rzucić nowe światło na treść listu.

Przez następną godzinę przeglądał dokumenty, aż wreszcie sługa oznajmił mu, że ma nowego gościa.

– Przyszedł człowiek, który chce się widzieć z Waszą Łaskawością.

– Co to za jeden? – zapytał Anastasij, odsuwając na bok listy i doniesienia; podczas minionej godziny uwaga nieco już go zawodziła i przerwa mogła być pożądaną odmianą, dzięki której rozwieje się jego niepokój.

– Jest z Jeruzalem – odparł sługa, mając na myśli przedstawiciela Kościoła prawosławnego, którego centrum przeniosło się do tego miasta po zdobyciu Konstantynopola przez wyznawców Allaha. – Mówi, żeby powiedzieć Waszej Łaskawości, że nazywa się Stawros Nikodemios z wyspy Hydra.

– Z Hydry – odparł władczo Anastasij, jakby doskonale wiedział, o co chodzi, choć nigdy przedtem o takiej wyspie nie słyszał. Wstał. – Przynieś mi ręcznik i miskę z wodą.

Strażnik pochylił głowę i odszedł, żeby spełnić pańską wolę.

Do wejścia i czekającego tam gościa wrócił dopiero, gdy przyniósł kniaziowi to, czego ów żądał.

– Witaj w moim domu, gościu z Hydry – powitał przybysza Anastasij, ujmując jego ręce swoimi dłońmi. – Pozwól, że ofiaruję ci gościnę. – Odwróciwszy się do miski, ceremonialnie umył dłonie i starannie wytarł je przyniesionym mu przez strażnika ręcznikiem, co było zwyczajową ochroną po wpuszczeniu do domu cudzoziemca.

Grecki gość kiwnął głową wcale niezdziwiony zachowaniem gospodarza.

– Dziękuję, żeś raczył mnie przyjąć, kniazium – odezwał się, mówiąc łamaną, ale zrozumiałą ruszczyzną. – Mam za sobą trudną podróż. Niewiele brakło, a musielibyśmy przeczekać zimę w Kursku i tak

bylibyśmy zrobili, gdyby nasza misja nie była pilna. – Podał gospodarzowi list. – Od Jurija z Kostromy. To pismo ci powie, dlaczego tu jestem.

Anastasij przeczytał list, rozmyślnie zachowując obojętny wyraz twarzy. Kuzyn Jurij informował go, że Nikodemios ma dlań bardzo ważne informacje od jerozolimskiego patriarchy. Sugerował, iż można uzyskać poparcie głównego ośrodka prawosławia; w obecnej sytuacji taki sojusz posłużyłby sprawie Świętej Rusi. j Ujawnił też swoje rosnące zaniepokojenie zdrowiem cara. Namawiał Anastasija, żeby uważnie wysłuchał Nikodemiosa, zanim podejmie jakąkolwiek decyzję, co zrobić z przywiezionymi przezeń wiadomościami. Zakończył list zwyczajowymi życzeniami zdrowia i ostrzeżeniem, że boi się tego, co może się stać, jeżeli ojczulek popadnie w większe szaleństwo.

– Odgaduję, że rozmawiałeś już z moim krewniakiem.

– Nie doszliśmy do ostatecznego porozumienia, ponieważ niektóre nasze zamierzenia zależą od twoich decyzji, kniaziu – odparł Nikodemios, popisując się znajomością dworskiego sposobu prowadzenia rozmów.

– Powinienem był się tego domyślić z treści listu – odpowiedział Anastasij, rozkazując jednocześnie strażnikowi, żeby podsunął gościowi krzesło. – Jestem zaintrygowany. Co cię skłoniło do podróży o tej porze roku? I po co tu przyjechałeś? Dlaczego do mnie?

– Konieczność, kniaziu. Czytałeś list. Musisz się domyślać, po co tu jestem. Trzeba nam natychmiast działać. – Usiadł, patrząc wprost w twarz gospodarza. – Należy zdać sobie sprawę z tego, że...

– Być może potrzeba nagli ciebie, ale niekoniecznie mnie – przerwał mu Anastasij. – Jeżeli przybyłeś to po tu, by poprosić mnie o wsparcie sprawy tych, co pragną oddać ruską Cerkiew pod zwierzchnictwo Jerozolimy, to przyjechałeś na próżno. Po stracie

Konstantynopola Moskwa stała się trzecim Rzymem. W tym względzie nigdy nie zgadzałem się z moim kuzynem. Prawosławny Kościół Jerozolimski nigdy nie miał praw do narzucania woli Moskwie. Tylko Cerkiew prawosławna może decydować o tym, jak uporać się z wewnętrznymi sprawami i problemami Rusi. W tej sprawie nie będę popierał Jerozolimy. Zbyt wielkie jest ryzyko, a Jerozolima nie zna naszych trudności i nie powinna wydawać sądów.

Stawros Nikodemios zmierzył gospodarza uważnym spojrzeniem.

– Mam wierzyć, kniaziu, że zadowolili cię czekanie, aż Bóg wszystko rozstrzygnie. Nie podejmiesz żadnych działań i zostawisz sprawy ich własnemu biegowi? Naprawdę będziesz popierał cara? Nawet teraz?

– Oczywiście – odparł Anastasij bardziej pośępnie. – On reprezentuje siłę tego kraju. Nawet teraz. – Ostatnie zdanie podkreślił naciskiem w głosie; Nikodemios nie powinien mieć wątpliwości. – Ci, którzy sądzą inaczej, to zdrajcy i głupcy.

– Głupcy i zdrajcy – powtórzył Nikodemios, zwracając się ku ścianom, zamiast mówić do Anastasija. – Dlaczego tak sądzisz?

– Jestem ruskim kniazem, Anastasijem Siergiejewiczem Szujskim. Nasza rodzina pozostanie wierna tronowi. Car Iwan odparł Tatarów i odzyskał dawne ruskie ziemie. Uczynił Ruś sławną. Wszyscy bojarzy i oprycznicy wiedzą, że car Iwan stwo rzył nam nowy świat. Byłbym nędznikiem, gdybym podjął jakie kolwiek działania przeciwko dziełu Iwana. – Książ prze szedł się po komnacie, ignorując dolatujący z zewnątrz stuk młotków. – Przybyłeś tu, żeby przywieźć mi informację, i zaczynasz od mowy przeciwko carowi. To głupie. Gdybyś nie był cudzoziemcem, zostałbyś zachłostany na śmierć za zdradę. Możesz zostać pociągnięty do odpowiedzialności za każde słowo, które jeszcze wypowiesz.

– Nie ty mnie zdradzisz, kniaziu – stwierdził Nikodemios. – Nie zaryzykujesz utraty tych wiadomości, jakie ci przynisłem, bo jesteś

bardzo ambitny. Chcesz też ochronić Jurija i resztę rodziny. Rozgłaszanie twierdzeń o twojej wierności tronowi jest ci na rękę. Dlatego też deklarujesz się po stronie Iwana, choć wiesz, że on jest zgubiony.

– Nieprawda! – Książ podniósł głos niemal do krzyku i wykonał nagły gest, jakby odpierał atak agresywnego zwierzęcia. – Pochłonięła go żałoba i smutek. Gniecie go brzemień winy, z którego nie może się wyzwolić bez jeszcze większej skruchy niż ta, na jaką się zdobył. Głęboko odczuwa ciężar swoich grzechów, a to prowadzi do melancholii. Ale dajmy mu czas, a weźmie się w garść.

– Weźmie się w garść? – zapytał Nikodem. – Jak możesz tak mówić, książu, skoro dla wszystkich innych oczywiste jest, że car oszalał? – On też powoli zaczął tracić opanowanie i był coraz bardziej rozdrażniony.

– Pograżył się w boleści, która nadweręza jego umysł – stwierdził uparcie Anastasij. – Car Iwan jest wielkim człowiekiem. Wielcy ludzie potrafią znieść więcej niż my, a ich cierpienia bywają większe od naszych. Car musi myśleć nie tylko o swojej rodzi nie, ale i o całej Rusi. Dlatego jego żal i rozpacz są większe niż moje czy twoje.

Nikodemios splunął ma podłogę.

– Od dziewięciu lat posłowałem dla metropolity i widziałem, jak car się zmienia. Nie udawaj, książu, że jest tym samym człowiekiem, jakim był przed trzema laty. Widzę, kim się stał, ty także to widzisz. Twoja odmowa uznania jego szaleństwa mnie zdumiewa. Osobliwie dlatego, że wiem, iż to ty wysłałeś list do Stefana Batorego.

Powstrzymał go okrzyk:

– Nigdy w życiu! – i purpurowa z gniewu twarz Anastasija, który odsunął się wstecz od gościa. – To oszczerstwo!

– Minionego lata wysłałeś, książu, list do polskiego króla. Zawieźli go kupcy – odezwał się Nikodemios, znajdując z wyraźną satysfakcją

wściekłość gospodarza. – Zastanawiam się, co było w tym liście. Po co go wysłałeś? Co zamierzałeś przez to osiągnąć? Szukałeś sprzymierzeńca? Mówi się, że Polacy szukają sojuszu z Rusią, żeby zepchnąć Turków do Azji. Czy o to ci chodziło? Zaaranżowanie takiego sojuszu...

– Proponowanie czegoś takiego polskiemu królowi byłoby zdradą interesów Rusi. Nigdy nie zdradziłbym cara Iwana. To kłamstwo! – odpowiedział kniaź. Zgarbił się nieco, zacisnął pięści i miał ogień w oczach. – Jeżeli powtórzysz swoje oskarżenia, zadenuncjuję cię jako szpiega. Za coś takiego oprycznicy obedną cię ze skóry.

– Mogą to zrobić w każdej chwili, gdy tylko carowi się tak podoba. Każdego może to spotkać. Car posiada władzę nad waszymi majątkami i życiem, nieprawdaż? Teraz, gdy stracił rozum, lego kaprysom nie będzie końca. – Nikodemios uważnie przyglądał się wierzchom swoich dłoni, jakby spodziewał się znaleźć na nich ukryte skarby. – Szaleńcy potrafią wymyślić coś, czego się nie da przewidzieć.

Szujski wiedział, że nie powinien przedłużać rozmowy, tylko wezwać strażników i wtrącić Greka do lochu. Pomyślał jednak o swoim bratanku i odważył się na lekkomyślną odpowiedź:

– Szalony czy nie, jest carem. Reprezentuje naszą siłę wobec Tatarów, Polaków i Szwedów. Gdyby natarli na nas Polacy, car Iwan wezwałby pod broń swoich ludzi i swoją moc. Poprowadziłby nas do zwycięstwa.

– Za takim, jaki teraz jest, nikt by nie poszedł. Żołnierze usłyszeli by jego brednie i nie wyjęliby szabel z pochew. Żaden oddział Rusinów ani Tatarów nie stanąłby po jego stronie. Baliby się o życie i nie bez powodu. – Nikodemios spojrział na podłogę pod stopami Anastasija. – A czy uważasz za możliwe, by armie poprowadził jego dziedzic?

– Do poprowadzenia armii Ojczulek mógłby wybrać wielu ludzi.

Nie musiałby posyłać z wojskiem swojego jedyne żyjącego dziedzica. – Książ wyprostował się dumnie. – Sam potrafiłbym stanąć na czele wojsk.

Nikodemios parsknął wrednym śmieszkiem.

– O, tego jestem pewien. Ale na to, żeby oddać ci władzę nad wojskiem, car musiałby być jeszcze bardziej szalony, niż jest, książku. Jeszcze przed wieczorną mszą byłbyś mu przysta wił szablę do gardła. – Jego śmiech zamienił się w złośliwy chichot. – Książku, nie chwal się swoją wiernością. Wiem, czego pragniesz. Pragniesz korony i tronu. To jest cel Szujskich.

– Moim celem jest służyć tronowi – odparł Szujski, choć tym razem w jego głosie było mniej uporu i zapału, a więcej przebiegłości. Obudził się w nim kupiec; postanowi podjąć grę z Grekiem, bawiąc się jego konfuzją przechodzącą już w desperację.

– Mimo że Fiodor Iwanowicz bawi się tylko dzwonekami i unika żony jak może, ty, książku, nadal będziesz wspierał tron? Nawet gdy zostanie carem? – Grek wstał z krzesła. – Gdy odzyskasz rozsądek, zechciej mnie, panie, powiadomić. Jerozolima to najlepszy ze sprzymierzeńców, jakich możecie znaleźć w tych niepewnych czasach. Twój kuzyn jest tego świadom, choć ty nie. Jeżeli zamierzasz sięgać wyżej, będziesz potrzebował poparcia Jerozolimy albo twoje wysiłki spełzną na niczym. Jak długo rządzi Kościół, Jerozolima będzie w Moskwie dysponowała znacznymi wpływami.

– Potęga carów jest większa, a Iwan Groźny zasługuje, żeby nią władać – stwierdził Szujski, celowo używając carskiego przydomka.

– Groźny. Może kiedyś. Teraz jednak myślę, że jest inaczej. – Grek musnął palcami obsyty futrem rąbek swojej podróżnej opończy. – Czy pieszczanie klejnotów różni się tak bardzo od zabaw z dzwonekami? – zapytał z sarkazmem w głosie. – Dziękujcie Batoremu, że nie zechciał pójść dalej. Pokładasz w Iwanie fałszywe nadzieje.

Widywałeś cara i wiesz, jak się zachowuje. Widziałeś, jak patrzy w pustkę i mówi, że widzi przed sobą zakrwawionego Iwana. Słyszałeś, jak pośród głębokiej nocy modli się i krzyczy w niebo, błagając Boga, żeby ten go wybawił. Wiesz, że jest szalony, a jednak nie chcesz rzucić wyzwania jego prawu do tronu.

– Nie wtedy, gdy jego dziedzicem pozostaje Fiodor Iwanowicz. Złożyłem przysięgę i jej nie złamię. – Z trudem powstrzymał się od chępliwości i wyjawienia własnych, śmiałych planów w kwestii carskich rozterek i niemocy. Nie wolno mu było nawet o nich myśleć, bo przebiegły Grek mógłby go przejrzeć i wykorzystać je przeciwko niemu.

– Fiodor Iwanowicz nie będzie rządził – stwierdził Nikodemios. – Wszyscy wiedzą, że nie dożyje dnia, w którym mógłby wziąć berło w swoje ręce. W jego głowie nie znajdziesz dwu rozumnych myśli. Gdy już coś mówi, plecie bez sensu. Może car Iwan będzie miał dość rozumu, żeby wyznaczyć regenta, zanim podjęcie takiej decyzji udaremni jego szaleństwo. Jakkolwiek będzie, Fiodor nigdy nie wdzieje na głowę Czapki Kazańskiej. Jest niezdolny do sprawowania rządów i wszyscy się zgadzają, że nie powinien panować, ale osiąść w jakimś klasztorze albo w majątku ziemskim, gdzie będzie mógł do woli zajmować się dzwonkami. Pomyśl, kniaziu. Jego żona bardziej się nadaje do sprawowania władzy, ale jest kobietą i na dodatek na poły Tatką. Pogódź się z myślą, że Fiodor nie zasiądzie na tronie i nie będzie panował, niezależnie od tego, co zrobi Iwan. Zanim do tego dojdzie, wybuchnie bunt bojarów.

– Greku, mówiąc takie rzeczy, ryzykujesz obdarcie ze skóry – stwierdził Szujski. – Gdybym zechciał cię oskarżyć...

– Nie ośmielisz się, kniaziu – stwierdził Nikodemios. – Ja też mógłbym cię oskarżyć o kilka rzeczy. Pozostałych członków twojej rodziny również.

Teraz zaśmiał się Szujski, wydając dźwięk przypominający klaśnięcie o siebie dwu mokrych rzemieni.

– Ty jesteś cudzoziemcem, a ja bojarom i moja rodzina z boła rów pochodzi – oznajmił z przekonaniem w głosie. – Nikt by ci nie uwierzył. Cudzoziemcy nie są u nas gośćmi, są obcymi. Wystarczy, że wskażę cię palcem i powiem, żeś mówił przeciwko carowi i jego synowi. Oprawcy zaczną od twoich stóp i będą darli skórę nie za szybko, żebyś się przedwcześnie nie wykrwawił. Zostrawią cię wiszącego z szerokimi pasmami luźnej skóry. Długo będziesz czekał na śmierć.

– To byłoby niemądre – stwierdził Nikodemios, choć zbladł nieco i jakby stracił dech. – Znam wiele sekretów, które mogłyby sprawić kłopoty licznym bojarom, nie tylko tobie i twojej rodzinie.

– Myślisz, że oprycznicy by się przejęli? A czemu mnie miałoby to niepokoić? – Książ przechylił głowę. – Może jednak nie zadenuncjuje cię jako szpiega. Jeżeli zechcesz mi pomóc, może zdołasz mnie namówić do dyskrecji. – Znacznie mniej intensywny niż przed chwilą kolor jego twarzy wskazywał, że Szujski już się opanował. – Chciałbym się dowiedzieć, czemu myślisz, że to ja jestem autorem tego listu do Stefana Batorego. I czemu przyszedłeś akurat do mnie.

– Pewien... kapłan stwierdził, że widział taki list i że napisano go w tym domu. Na jego informacjach można polegać, nigdy przedtem nas nie zawiódł. – Widać było, że Grek jest mniej pewien swego niż przedtem. Przyszedł tu, zakładając, że zdoła dobić targu z Szujskim, co okazało się założeniem błędnym. Teraz nie bardzo wiedział, jak poprowadzić rozmowę.

– Nie jest to kapłan żyjący w moim domu – powiedział Szujski, licząc na to, że usłyszy zaprzeczenie.

– Nie – odparł Grek, zdradzając się zbyt szybką odpowiedzią.

Można już się było uśmiechnąć: uśmiech był zimny.

– I w jakim to sposób w ręce ojca Ilii dostał się list, który, jak twierdzi, przeczytał? – zapytał Anastasij, próbując ostrożnie przechytryć rozmówcę.

– Nie wiem. – Grek doszedł do wniosku, że ujawnienie pewnych informacji, o które Szujski nie pytał, polepszy jego sytuację. – Ale jako mąż boży powiadomił patriarchę w Jerozolimie. Bał się, że ujawnienie tego metropolicie doprowadzi do oskarżeń i uwięzienia jego samego, choć odkrył zdradziecki spisek. Wpływy bojarów... – Grek był przestraszony. Spojrzenie jego ciemnych, głęboko osadzonych oczu przerzucało się niespokojnie z jednego miejsca w drugie, jakby szukał łaski u Anastasija.

– Rozumiem – odparł Szujski, wierząc w szczerść rozmówcy. Tak właśnie postąpiłby starzec. On sam był sobie winien; nie trzeba było wpuszczać do domu człowieka piśmiennego. Następnym razem będzie mądrzejszy. – Musiał oddać swój list w ręce mnichów lub popów.

– Przywiózł go jakiś mnich – stwierdził Nikodemios, kiwając kilkakrotnie głową, jakby chciał jeszcze bardziej upewnić Anastasija w swojej szczerści.

– Należy się spodziewać, że i oni o tym wiedzą. – Szujski szybko myślał nad następnymi posunięciami. Przede wszystkim trzeba było odesłać kłopotliwego gościa w jakieś miejsce, gdzie można by się z nim rozprawić. – Sądzę, że najlepiej będzie, jeżeli wrócisz do majątku mojego kuzyna. Pozostawanie w Moskwie może być dla ciebie niebezpieczne. Zawieziesz list mojemu bratankowi i poczekaś na dalsze polecenia. – Zakołysał się na piętach. – Jeżeli zawiedziesz, zdradzę cię przed carem i metropolitą, a wtedy twoje życie będzie warte mniej od krowiego łajna.

Nikodemios patrzył na bojara ze skupieniem równym temu, z jakim szczur obserwuje domowego kota.

– A co z patriarchą Jerozolimy? – zapytał po chwili.

– A co ma być? – odpowiedział Szujski. – Dla mnie to tylko drobna niewygoda. Jeżeli zechcesz go powiadomić, mój kuzyn szybko się z tobą rozprawi. – Obmyślał już, jaki list powinien wysłać Jurijowi, i polecenia, jakie wyda najmłodszemu członkowi rodziny.

– Patriarcha spodziewa się informacji – stwierdził Nikodemios. – Jeżeli ich nie otrzyma, może...

– Och, otrzyma je, otrzyma... – odpowiedział spokojnie Anastasij. – Będzie je dostawał bardzo regularnie. – Spojrzał Nikodemiosowi w oczy, uśmiechając się coraz bardziej złowrogo. – To się da załatwić...

Niepokój Nikodemiosa wzrastał z każdą chwilą.

– Kniaziu, grzechem będzie oszukiwanie patriarchy. I grzechem będzie oszukiwanie jego wysłannika.

Anastasij potrząsnął głową; jego uśmiech przywodził na myśl błysk promieni słońca odbijających się od lodowego sopła.

– Tyle już grzechów ciąży na moim sumieniu... Jeden czy dwa więcej nie sprawią żadnej różnicy. Grzechy są częścią naszego życia, cudzoziemcze, i żaden z nas ich nie uniknie. Pamiętaj o tym – dodał, gdy Nikodemios wycofał się w bardziej odległą część komnaty. – Grzeszny ze mnie człowiek... jakąż różnicą będzie to oszustwo? Albo morderstwo? – Spojrzał na niego, w jego oczach pojawił się wyraz łagodnej pogardy. – Idź do kuchni, tam cię nakarmią. Jeden z moich strażników jutro odwiezie cię do posiadłości mojego kuzyna. – Zwłoka była ustępstwem na rzecz jego sług, nie gościa. – Starszy kucharz pokaże ci, gdzie będziesz spał.

– Bogu niech będą dzięki – odparł Nikodemios po grecku, gorzko żałując, że zamiast wprost do metropolity przybył do domu tego uśmiechniętego, śmiertelnie niebezpiecznego bojara.

List od ojca Wojciecha Kownowskiego do jego siostry w Gnieźnie:

W imię Trójcy Przenajświętszej pozdrawiam Ciebie, Danuto, i Twojego małżonka.

Błagam Boga, by podczas tej srogiej zimy zachował Cię w zdrowiu i pozwolił spokojnie doczekać wiosny. Kapłan, który dostarczy Ci ten list, wie, jakim, ważnym zadaniem obarczyli nas papież i król Stefan; polegaj na nim, gdy Ci będzie wyjaśniał, jakim honorem obarczono nas ośmioro. Przepetnia mnie wdzięczność za tę możliwość okazania oddania Bogu i Kościołowi.

Na czas naszego wyjazdu przewiduję, że niełatwo będzie któremukolwiek z nas wysyłać z Moskwy prywatne listy, potraktuj to więc, pani sestro, jako tymczasowe pożegnanie. Nie desperuj, jeżeli przez rok nie otrzymasz ode mnie żadnych wieści. Jeżeli Bóg pozwoli, spotkamy się jeszcze w tym życiu, a jeżeli nie taka będzie Jego wola, to spotkamy się w niebie.

Nie umiem sobie wyobrazić bardziej szlachetnego i pięknego dzieła niż wspieranie Kościoła katolickiego w czasach potrzeby. Uzyskanie szansy przywiedzenia na łono Prawdziwej Wiary dusz uwięzionych w sieci prawosławia to największa z radości. Przepetnia mnie szczęście i wdzięczność. Słyszę krzyk ruskich dusz, które wołają do mnie, pożądając krwi Odkupiciela. Wcześniejsze próby zjednoczenia dały nam wiedzę, że jest wielu Rusinów, którzy chcieliby powrócić na łono Prawdziwego Kościoła, ale szans na zbawienie pozbawiły ich knowania patriarchy Prawosławnego i moskiewskiego metropolity. Potęga Konstantynopola przeminęła i miasto wpadło w ręce wyznawców islamu. Lud ruski wie, że bez Rzymu będzie zgubiony tak jak mieszkańcy Konstantynopola, i pragnie wrócić do nas, stać się częścią naszego Świętego Kościoła i służyć Chrystusowemu. Tym razem nie zawiedziemy i wypetnimy naszą powinność, wrócimy, gdy Ruś ponownie stanie się częścią katolickiej społeczności i wspólnie z nami stanie przeciwko sułtanowi i siłom islamu.

Podróżujemy w towarzystwie rotacji lekkiej kozackiej jazdy. To

pięćdziesięciu zbrojnych, którzy nas odprowadzą do Moskwy, nie przeciwko Rusinom, ale bandytom i innym opryszkom chętnym do rabunku na drogach. Pozwolono nam też zabijać osobistych służących do obsługi poselstwa w Moskwie.

Towarzyszy nam też pewien hrabia, graf czy książę – słyszałem, jak nazywano go tymi wszystkimi tytułami – Z Transylwanii. Jest krajanem króla Stefana. Powiadają o nim, że para się alchemią, ale niewiele z nim miałem do czynienia i nie dostrzegłem w nim ani przy nim niczego diabelskiego. Wolą króla jest, żeby człek ten zjednał sobie cara, dając mu klejnoty. Niewłaściwe byłoby, żeby czynił to kapłan, więc ten Wołoch ma posłużyć jako królewski postaniec.

Choć nie powinienem Ci się do tego przyznawać, nie potrafię oprzeć się nadziei, że moje czyny na Rusi ukontentują króla Stefana do tego stopnia, iż poprze moje starania o wyższe stanowisko w naszym Świętym Kościele. Mając większe wpływy, mógłbym uczynić wiele dobrego. Pokornie godzę się z moim miejscem w kościelnej hierarchii, ale podczas tej podróży pozwałam sobie na większe marzenia. Do tej pory sądziłem, że pozostanę zwykłym kapłanem, i rad służyłem Bogu w tym charakterze. Teraz jednak pojąłem, że z powierzonego mi zadania może wyniknąć dobro, i modlę się, bym sprostał wymaganiom wyższej pozycji, która na mnie czeka. Nie, nie mam ambicji wyższych niż biskupie fiolety, nie sądzę jednak, żeby taki awans był poza moim zasięgiem, jeżeli dobrze sprawię się w Moskwie. Mój spowiednik wytknął mi już pychę, nie umiem jednak pozbyć się tych nadziei i nie sądzę, żeby były bezpodstawne.

Niechaj Bóg błogosławi Ciebie i Twoją rodzinę, droga siostrze, i niech darzy Was wszystkich łaskami do mojego powrotu. Wiedz, że zawsze modlę się za Ciebie i jak tylko będzie to możliwe, prześlę Ci kolejną wiadomość. Proszę też, byś pamiętała o mnie podczas mojej nieobecności.

Z wyrazami braterskiej miłości ojciec Wojciech Kownowski Własną ręką
w dniu świętego Jana Chryzostoma Dwudziestego siódmego stycznia AD

1583 U świętego Jerzego Kościoła ormiańskiego.

. 3 .

Luty był srogi, zawieje i zamiecie czyniły podróż prawie niemożliwą. Stefan Batory przeniósł dwór na zimę tak blisko ruskiej granicy, jak tylko wydało się rozsądne, i miał teraz do czynienia z niecierpliwymi młodszymi synami rozmaitych szlacheckich rodów i coraz liczniejszymi księżmi, którzy byli gotowi do podróży na Wschód, w samo serce ziem ruskich; wszyscy teraz jednak pozostawali więźniami bezlitosnych mrozów.

– Całe to czekanie szkodzi zdrowiu koni! Gryzą drewno w żłobach i puchną im nogi – sarknął hrabia Dariusz Żary, przemierzając krokami izbę żołnierską niczym zamknięty w klatce tygrys. – Całymi dniami nie mają nic do roboty i tylko się rozleniwiają.

– Nie da się ich wyprowadzić w śnieżną zawieję – odpowiedział król z irytacją w głosie. Doskwierało mu zimno i był niewyspany. – Jeżeli zechcesz oczyścić starą zbrojownię, to możesz z niej zrobić kryty maneż.

– Ha! – sarknął Żary, niecierpliwie potrząsając głową. – jakież pożytek będzie z objeżdżania konia w zamkniętym pomieszczeniu? Znudzą się jeździec i wierzchowiec. – Złożywszy wyzywająco ręce na piersiach, czekał na królewską nagane.

Nie doczekał się tej reakcji, bo drzwi się otworzyły i do komnaty, krocząc ciężko i ze znużeniem, weszli czterej mężczyźni w obsypanych śniegiem opończach, z których jeden paskudnie kaszłał. Gdy zrzucili sztywne od lodu i przemoczone ubrania, okazało się, że dwaj mają na sobie habity jezuitów, a dwaj nieprzemakalne, skromnie tylko zdobione kabaty.

– Kazimierz Pogner – przedstawił się najstarszy z czwórki, wysoki

mężczyzna o poranej zmarszczkami twarzy, twardo patrzących oczach i wąskich, cienkich wargach. – Pozostali to ojcowie Milan Krabbe, Stanisław Brodzki i Kornel Dodek. – Rozejrzawszy się dookoła, zobaczył jedynie Zarego i Batorego, który nie miał na sobie żadnych oznak sprawowania władzy, jakich mogli się spodziewać po królu, i dlatego nie poświęcili mu należytej uwagi. – Kto jeszcze przyjechał?

– Przybyli już ojcowie Tymon Anioł i Wincenty Felikeno – odezwał się młody szlachcic, starając się okazać kapłanom szacunek, którego wymagał odeń król Stefan, choć sam nie miał o księżach zbyt dobrej opinii. – Ojcowie Łomża i Kownowski jeszcze nie przyjechali. Spodziewamy się ich za dzień lub dwa, gdy poprawi się pogoda.

Pogner powoli kiwnął głową.

– Mają przed sobą długą drogę. Z bożą pomocą szybko pokonają tę odległość.

– Oczywiście – stwierdził Żary, który dopiero teraz się zorientował, że król Stefan bada przybyszów i prowadzi jakąś grę. Postanowił jak najlepiej wykorzystać tę okoliczność. – Teraz, gdy już przyjechaliście, macie pewnie sporo do zrobienia. Może zechcielibyście przedstawić się królowi?

– Oczywiście – odpowiedział Pogner dość niedbałym tonem. Skrzywił się przy tym, zwęszywszy woń wilgotnej wełny bijącą od jego habitu. – Zaraz po tym, jak się zobaczymy z biskupem.

Żary zerknął na Batorego, który zajął się woskowaniem siodła przełożonego przez poręcz swojego krzesła.

– Nie stawicie się pierwszej przed królem?

– Król finansuje naszą wyprawę i za to winni mu jesteśmy wdzięczność, którą w swoim czasie okazemy. Szanujemy go jako ludźmi urodzeni na polskiej ziemi. Ale też jesteśmy ludźmi kościoła i jemu przede wszystkim winniśmy okazać posłuszeństwo –

odpowiedział Pogner, patrząc karcąco na pozostałych kapłanów, bo wyglądało na to, że ojciec Kornel zamierza zaprotestować. – Stawimy się więc przed biskupem i poprosimy o błogosławieństwo, a dopiero potem pokłonimy się królowi. – Jezuita rozciągnął nieco wargi, choć nie dałoby się nazwać tego uśmiechem.

– Królowi może to być nie w smak – stwierdził Żary. – To on w końcu wysyła was jako emisariuszy na dwór Iwana.

– Pojedziemy jako kapłani – odparł nieco młodszy od pozostałych ojciec Brodzki. Pochylił głowę ku ojcu Pognerowi, najwyraźniej szukając jego aprobaty.

Nie doczekał się żadnych jej oznak.

– Zechciejcie o tym wszyscy pamiętać – odezwał się ojciec Pogner.
– Gdzie znajdziemy biskupa?

Na pytanie odpowiedział król, zwracając się do jezuitów z demonstracyjnym szacunkiem:

– Zatrzymał się w miasteczku, dobrzy ojcowie, dano mu kwatery w domu obok kościoła Zbawiciela. Gdy zamieć ucichnie, łatwo tam traficie. A na razie...

Pogner wyprostował się jeszcze bardziej.

– Z pewnością ktoś nas tam zaprowadzi. Nie możemy sobie pozwolić na zwłokę. – Skinął dłonią, wskazując na pozostałych kapłanów z wyrazem rezygnacji, ale obstając przy swoim. – Może będzie lepiej, jeżeli wdziejemy opony, skoro trzeba nam znów wyjść w tę zadymkę.

– Możemy posłać kogoś po biskupa – stwierdził Batory, dyskretnym gestem nakazując hrabiemu zachowanie jego tożsamości w tajemnicy.

– Tak się nie godzi – stwierdził Pogner. Patrzył, jak Krabbe ponownie wdziewa oponę, kaszląc z wysiłku. – Ojciec Krabbe, może zwolnimy cię z tego obowiązku – zaproponował. – Jeżeli masz pojechać do Moskwy, pierwszej trzeba ci poszukać pomocy medyka.

Krabbe się przeżegnał.

– *Deo gratias* – wyszeptał i ponownie się rozkaszał. – Zgarbiona sylwetka i ściągnięte gorączką rysy twarzy sprawiały, że wyglądał na starszego i słabszego, niż był w istocie; miał kasztanowe, nieprzyprószone siwizną włosy, a dobrze opięty jezuicki habit wskazywał, że kapłan ma szerokie bary.

– Ojcie Kornelu, ojcie Brodzki, przygotujcie się – polecił Pogner. Spojrzał lekceważąco na Batorego. – Jeżeli jest tu ktoś, kto powinien poinformować króla o naszym przybyciu, wyjaw mi jego miano.

– Sam to zrobię – odpowiedział Batory. – Wy tymczasem pospieszajcie niezwłocznie do biskupa. Król łaskawie poczeka – dodał świadom tego, że jedynie on w tym pomieszczeniu zdołał w pełni ocenić ironię sytuacji.

Trzej księża wyszli na zewnątrz.

Krabbe poczłapał do kominka; jego habit ukazywał duże plamy wilgoci na barkach i grzbiecie. Przez chwilę opierał się o kamienie obudowy, a potem padł na kolana przed ogniem i zaczął modły, przerywając co chwila równie gwałtownym jak przedtem kaszlem. Cały czas wstrząsały nim dreszcze.

– Żary, idź i natychmiast odszukaj Rakoczego. Powiedz mu, żeby tu przyszedł – odezwał się król, wstając z krzesła, na którym zostało na poły wypucowane siodło.

Chwytając w lot okazję, Żary opadł na jedno kolano i ucałował dłoń króla.

– W tejże chwili – powiedział, wychodząc pośpiesznie z komnaty.

Kłęczący przy kominku Krabbe spojrzał na króla, wytrzeszczając oczy. Gdy Batory podszedł bliżej, mnich zbladł, a potem odezwał się z wahaniem w głosie:

– Najjaśniejszy Panie?

Król miał zbyt obolałe plecy, żeby mógł się głębiej pochylić,

niemniej uczynił to, mówiąc:

– Niech cię Bóg błogosławi, żołnierzu Jezusa. Jestem Stefan Batory. Ty, jak sądzę, zgodnie z tym, co rzekł ojciec Pogner, jesteś ojcem Milanem Krabbe. – Mnich przerwał modlitwę, patrząc na króla ze zdumieniem w oczach, ten zaś ciągnął: – Przykro mi, że dręczy cię choroba. Ludzie w mojej służbie nie powinni cierpieć ponad konieczność. Dlatego posiałem po alchemika, który uda się z wami do Moskwy. Potrafi cię wykurować lepiej niż inni medycy, których tu mamy, bo ci umieją jedynie opatrywać drobne rany albo przyżegać większe, ale niewiele ponad to. Rakoczy będzie wiedział, co zrobić, żeby ci się poprawiło.

– Musisz im wybaczyć, Najjaśniejszy Panie. Nie chcieli cię urazić. Ojciec Pogner nie wiedział, z kim ma honor – odezwał się pospiesznie jezuita, zasłaniając dłonią usta przy kaszlu. – Najjaśniejszy Panie, on naprawdę nie wiedział.

– To oczywiste – odparł sucho król, który nie był aż tak jak jego rozmówca przekonany o tym, że wiedza zmieniłaby zachowanie ojca Pognera. – Gdyby wiedział, niezależnie od swoich upodobań przede wszystkim musiałyby zameldować się u mnie.

– On... – Tym razem zakłopotanie mnicha zamaskował kolejny atak kaszlu.

– Przypuszczam, że będzie zakłopotany. Sam ściągnął to na swoją głowę. Ale gotów jestem docenić jego szczerłość. – Króla rwało w nodze, więc dla ulżenia bólowi oparł się o kominek. – Zależnie od tego, jak się zachowa, gdy pojmie swoją pomyłkę, pogłębię jego zakłopotanie – jeśli będzie zakłopotany – albo mu daruję. – Potarł dłonią biodro. – Ta zima wszystkim nam daje się we znaki. Twoja choroba powaliła i niektórych moich ludzi. Musiałem odesłać do klasztorów na kurację czterech z moich kapitanów.

– Mnisi wyleczą ich w imię Pana Naszego – odparł Krabbe z

desperacką pewnością wynikającą z cierpienia na tę samą chorobę.

– Może. – Król podniósł oczy, gdy otworzyły się drzwi i do komnaty wrócił hrabia Żary.

– Rakoczy już idzie, Najjaśniejszy Panie – powiedział, składając niedbały ukłon. – Prosi, żebyś zechciał chwilkę poczekać i wybaczyć mu to, że nie przyszedł razem ze mną; musi skończyć przygotowywanie preparatu.

W innych okolicznościach taka wiadomość zirytowałaby Batorego, ale wobec wyrachowanej obojętności ojca Pognera korzyści wynikające z tej odpowiedzi były jak najbardziej satysfakcjonujące.

– Żeby tylko nie kazał mi czekać zbyt długo.

– Wkładał coś do tego swojego osobliwego piecyka, który wygląda jak ul z cegieł i kamienia – stwierdził z niesmakiem w głosie hrabia Żary. – A ten jego sługa przesiewa przez sito jakieś zielone kamyki. Rakoczy utrzymuje, że te kamyki połączone z kwasem dadzą miedź. – Tę bzdurę hrabia skwitował potrząśnięciem głowy.

– Powiedziałeś mi o ojcu Krabbe? – zapytał Batory z nutką potępienia w głosie.

– Powiedziałem, że przybyli kolejni jezuici i że jeden jest chory – odparł hrabia, szybkim ruchem głowy odrzucając jasne włosy na gronostajowy kołnierz. – Odparł, że jego praca pójdzie na marne, jeżeli nie napełni piecyka tak, jak należy.

– Przypuszczam więc, że zrobił, co w jego mocy – odparł król, marszcząc lekko brwi, co pogłębiło nieco zmarszczkę na jego czole.

– Z pewnością tak właśnie powie – stwierdził Żary, sugestywnym gestem wyciągając do połowy kindżał z pochwy. – Mógłbym go zmusić.

– Nie, nie mógłbyś – odpowiedział sucho król. – Jeżeli spróbujesz czegoś równie głupiego, on szybko się z tobą rozprawi.

Hrabia parsknął śmiechem.

– On? Ma ponad czterdzieści lat i ubiera się jak nauczyciel tańca.

– Nie daj się zwieść pozorom – poradził Batory, patrząc z troską na ojca Krabbe, który ponownie zaniósł się kaszlem. Ksiądz miał szarą twarz i niemal rzeził, oddychając.

– Jeżeli Wasza Królewska Mość rozkaże traktować mi go jak żołnierza... – zaczął Żary i przerwał, bo do komnaty wkroczył Rakoczy.

Hrabia odziany był w ciężką, czarną podbitą futrem opończę narzuconą na czerwono-czarny, wyszywany srebrem dolman. Podeszedłszy wprost do Batorego, złożył mu dworny włoski ukłon.

– Przepraszam za zwłokę, Najjaśniejszy Panie; mój piecyk jest wreszcie rozgrzany dostatecznie, bym mógł się zająć tym, czego ode mnie zażądałeś. Za trzy dni będę miał talizmany, o których wspomniałem. – Rakoczy ucałował królewską dłoń, a potem pojrzał na ojca Krabbe. – To ten ksiądz? – zapytał, klęcząc.

– Owszem. Jak słyszysz, kaszle. – Król odszedł od komnaty i wrócił na swoje krzesło. – Czy możesz coś dla niego zrobić? – zapytał, siadając i przybierając jak najwygodniejszą pozycję.

Rakoczy odpowiedział nie od razu. Szybko i sprawnie zbadał kapłana, nie omieszkawszy zauważyć, że mnich oddycha z trudem, a w piersiach coś mu świszczy. Potem dotknął czoła księcia, zbadał palcami jego puls, dotykając szyi i rąk, i dopiero wtedy odpowiedział:

– Owszem, myślę, że mogę pomóc. Choroba daleko się posunęła, ale jest szansa na to, że go uratujemy. – Spojrzał księdzu prosto w oczy i zażądał, żeby ten uważnie go wysłuchał. – Jest pewien lek, który mogę ci dać, ojcze. Nie składa się z substancji aprobowanych przez Kościół, choć mogę cię zapewnić, że nie ma w nim niczego diabelskiego. Możesz poprosić jednego z towarzyszących ci księży, żeby poświęcił miksturę, co powinno cię uspokoić. Przyjmiesz ją ode mnie?

Ojciec Krabbe spróbował zaczerpnąć tchu, ale to mu się nie udało. Rozkaszłał się, a gdy spazm minął, stwierdził tylko:

Tak.

– Więc są spore szanse na to, że szybko ci się poprawi – odpowiedział Rakoczy, dając jednocześnie dyskretny znak królowi. – Teraz trzeba ci tylko ciepłego łoża i gorącego wina.

– Natychmiast to przygotujemy – stwierdził Batory i dał znak hrabiemu Zaremu, który westchnął dramatycznie i złożył królowi ukłon będący niezdarną imitacją tego, co przed chwilą zaprezentował Rakoczy. – Łóżko i sługa do doglądania tego kapłana.

– Będzie mu potrzebny gorący rosół – odezwał się Rakoczy. – Sam porozmawiam z kucharzem. – Ten ostatni zwrot przeznaczony był dla hrabiego, który niemal spopielił Saint-Germaina wzrokiem.

– Jezuitów ci u nas pod dostatkiem – mruknął, wychodząc z komnaty.

Rakoczy ukląkł obok ojca Krabbe.

– Powiedz mi, ojcze, bardzo cię boli w piersiach?

– T-trochę... – wystękał jezuita.

– Gniecie cię? – pytał dalej Rakoczy. – Czujesz, jakby legł ci na piersi jakiś ciężar?

Krabbe skinął głową.

– Ojciec Pogner powiada, że to ciężar moich grzechów.

Choć było to niezbyt mądre, Rakoczy potrząsnął głową z desperacją.

– To po prostu natura twojej choroby, księżo. Nie wiń za to swoich grzechów. – Ponownie przyłożył drobną dłoń do szyi jezuita, badając puls. – Powinieneś się przespać. Osłabiła cię choroba, ale i sam się zmuszałeś do wysiłku ponad miarę. Czemuż, u licha, zdecydowałeś się na tak ciężką podróż? – zapytał i zawiesił głos, doskonale wiedząc, czemu Krabbe podjął się tych wszystkich trudów. – Ojciec Pogner.

– Napominał nas, żebyśmy oddali wszystkie siły naszej misji... – Ostatnie dwa słowa przerwał kolejny atak kaszlu. Mnich spojrzał na Rakoczego podkrążonymi oczami. – Czy można coś jeszcze zrobić? Może zamierzasz dać mi łaskę szybkiej, spokojnej śmierci? – Rakoczy chciał już coś powiedzieć, ale Krabbe nie dał sobie przerwać. – Jeżeli to właśnie zamierzasz zrobić, proszę, byś tego nie czynił. Jeżeli muszę cierpieć, ofiaruję mój ból Bogu, a ty nie trać medykamentów na próżno.

Na ustach Rakoczego pojawił się przelotny uśmiech.

– Bardzo to dzielnie powiedziałaś, ojczu. Obawiam się jednak, że jest w tobie dość życia, żeby leczenie dało wyniki. – Raz jeszcze klepnął mnicha po ramieniu, a potem wstał i odszedł nieco w bok, gestem dłoni przywołując króla. – Przez następne cztery dni ten człowiek będzie potrzebował ciągłej opieki – stwierdził półgłosem.

– Gniją mu płuca? – zapytał Batory, który wiele już razy widywał podobne choroby.

– Owszem – odparł Rakoczy – ale jeszcze nie umarł. – Wiedział, jak szybko rezygnuje się z leczenia chorych na płuca, i chciał oszczędzić ojcu Krabbe zaniezań, które byłyby dlań gorze od samej choroby. – Podam mu wywar z maku, który pomoże mu zasnąć, i przygotowaną przeze mnie hermetyczną miksturę. Jeżeli ktoś będzie miał o niego staranie, to wróci do zdrowia.

Batory wzruszył ramionami.

– Są mnisi, którzy...

– Racz wybaczyć, Wasza Królewska Mość – odezwał się Rakoczy, jakby przerywanie królowi nie było dla niego niczym niezwykłym. – Mnisi są dobrzy w tym, co robią, to znaczy w wypełnianiu kapłańskich posług wobec biednych. Opieka nad tym człowiekiem wymaga większych umiejętności i pomocy wykraczającej poza zwykłe modły.

Król przechylił głowę i ostrzegł rozmówcę, podniósłszy dłoń.

– Hrabio, nie pozwól, żeby usłyszeli to jezuici, jeżeli nie ze względu na dobro ojca Krabbe, to na twoje własne. Starożytne nazwisko i tytuł nie ochronią cię, jeżeli oni zobaczą w tobie sługę szatana.

Rakoczy skinął głową i jakby spojrział ciemnymi oczami w pustkę wspominając gorliwość kapłanów sprzed trzech tysięcy lat.

Dawno już poznał ułomności tych ludzi, poczynając od nienawiści arcykapłana Niniwy, poprzez zazdrość Denima Mahnipy ze świątyni Imhotepa, histeryczną surowość spowiednika Renegondy, nastawione na samozniszczenie wybryki Tamasradźasiego, aż po wyparcie się wszelkich żądz Savonaroli. Na rozmaite sposoby służyli różnym bogom, ale wszyscy cierpieli na tę samą manię. – Najjaśniejszy Panie, znam już tę lekcję.

– Nie wątpię – stwierdził król, ujrzawszy w twarzy Rakoczego coś, co ujawniło więcej, niż wiedział. – Zechciej więc o niej pamiętać, przyjacielu.

Rakoczy kiwnął pojednawczo dłonią.

– Tymczasem trzeba wyznaczyć dwu lub trzech sług, którzy na zmianę będą się zajmowali ojcem Krabbe. Przyślę Rothgera, żeby doglądał go w nocy.

Usłyszawszy nowy atak kaszlu kapłana, król krytycznie łypnął nań okiem.

– Jesteś pewien, hrabio, że jezuita wyzdrowieje? Widywałem j mniej chorych, którzy umierali.

– Jest młody i krzepki – stwierdził Rakoczy. Kontynuując obserwację, rozglądał się po komnacie, jakby szukając miejsc, w których mogliby się kryć podsłuchujący. – Najważniejsze jest, żeby trzymać go w cieple. Jedyнным prawdziwym jego wrogiem jest wyziębienie, z resztą mogę się uporać. Gdy położy się go w ciepłym, suchym łożu, trzeba mu podawać rosół i gorące wino, aż przestanie

kaszleć i spadnie mu gorączka. Potem, jeśli nie zostanie zmuszony do opuszczenia łoża, zanim wydobrzeje, odpoczynek i dobre jedzenie powinny sprawić, że w pełni odzyska siły. – Stał tyłem do ojca Krabbe. – Może byłoby najlepiej załatwić to wszystko, zanim wrócą pozostali jezuici.

– Rozumiem, o co ci chodzi, hrabio – odpowiedział król. – Natychmiast się tym zajmę. Ten człowiek dość już się nacierpiął. – Podszedłszy do krzesła, wziął spory, mosiężny dzwonek leżący obok siodła. – Chcesz nadzorować przeniesienie ojca zapytał Rakoczego, potrząsając dzwonkiem.

– Tak byłoby najlepiej. I za twoim pozwoleniem, Miłościwy Panie, polecę mojemu słudze, żeby sobie wybrał trzech pomocników, którzy wspólnie z nim zajmą się ojcem Krabbe. – Rakoczy ponownie skłonił się królowi. – Dziękuję Waszej Królewskiej Mości. – Powiedziawszy to, odwrócił się i pomógł jezuicie dźwignąć się na nogi.

Mnich kilkakrotnie zamrugał, zanim zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje, a potem się zachnął, protestując, że nie godzi się, by szlachcic pomagał księdzu. Ponieważ kończąc protesty, zgiął się wpół w ponownym ataku kaszlu, Rakoczy wcale się nimi nie przejął.

Gdy trzech jezuici wrócili, przedarłszy się pod wiatr przez męzną zamieć, Krabbe leżał już w ciepłym łożu przykryty pierzyną i niedźwiedzią skórą. Rothger nadzorował niezbyt zręczne poczynania Tomcia. Rakoczy zdążył już zaaplikować choremu pierwszą z pięciu porcji hermetycznego sublimatu, który wyekstrahował ze spleśniałego chleba.

Wróciwszy do komnaty, którą niedawno opuścił, Pogner nie bez zdziwienia zobaczył, że starszawy arystokrata wciąż pucuje swoje siodło. Przed zwróceniem się do niego rozwiesił swoją oponkę przed kominkiem.

– Gdzie się podział ojciec Krabbe?

Spojrząwszy uważnie na jezuitów, Batory stwierdził, że dwaj pozostali wyglądają na bardziej pokornych niż przedtem.

– Został odesłany do łoża, gdzie będzie mógł odpocząć i się kurować, dopóki nie wyzdrowieje.

– Modły pomogłyby mu bardziej niż leki i odpoczynek – stwierdził ojciec Pogner, pogardliwym gestem kwitując królewską odpowiedź. – Wyzdrowieje, jeżeli taka będzie wola naszego Pana.

– Być może, ale Pismo zaleca nam szukanie rozwiązań w świecie, w którym żyjemy. – W głosie Batorego zabrzmiały nutki rozbawienia, a jego oczy rozjaśnił uśmiech. Król poczuł się lepiej po przyjęciu przygotowanej przez Rakoczego tynktury z fiołków, kory wierzbowej i dzięgielu, noga już go nie bolała tak, jakby ujęto ją w imadło.

– Człowiekowi twojej pozycji można wybaczyć takie myśli – odparł ojciec Pogner z wyższością w głosie. – Kto zajął się naszym bratem? Powinniśmy go zaaprobować.

– Jeżeli chcesz, pošlę po tego człowieka. – Król sięgnął po dzwonek.

Okazało się to niepotrzebne. Drzwi komnaty się otworzyły i do izby wkroczył Ferenc Rakoczy, który tym razem zamiast ukłonić się na włoską modłę, opadł na jedno kolano. – Najjaśniejszy Panie – odezwał się, nie zwracając uwagi na jezuitów. – Zostawiłem ojca Krabbe z ojcem Mietkiem, który go spowiada.

– Doskonale – odpowiedział Batory, nakazując Rakoczemu gestem, by wstał. Zobaczył błysk wściekłości w twarzy ojca Pognera, wyraźnie przez chwilę widoczny, który jednak niemal natychmiast zniknął zastąpiony udaną, demonstracyjną pokorą.

Ojciec Kornel się przeżegnał:

– Chroń mnie, Jezu Chryste!

Ojciec Brodzki spojrział na Batorego z bezbrzeżnym zdumieniem w oczach.

– Ty, panie, jesteś królem? – zapytał, nie zdążywszy ugryźć się w

język.

– Z łaski Najwyższego – odpowiedział ten, czerpiąc satysfakcję z konsternacji jezuitów. Gdybyż tylko równie skutecznie mógł kierować polską szlachtą. – A oto człowiek, który zajął się ojcem Krabbe, hrabia Rakoczy Saint-Germain. Jak ja sam, pochodzi z Siedmiogrodu. – Skinieniem dłoni polecił Rakoczemu, żeby wstał i stanął obok niego na znak zrozumiałej dla księży łaskawości.

– Jestem zaszczycony, ojcowie – odezwał się Rakoczy, pozdrawiając księży skinieniem głowy i dyskretnie ich obserwując.

Ojcowie Kornel i Stanisław skłonili się w odpowiedzi, ale Pogner nie pochylił głowy i przez chwilę mierzył Rakoczego spojrzeniem pełnym dezaprobaty. W końcu się odezwał, wymawiając każde słowo niemal wrogim tonem:

– Twoje nazwisko nie jest mi nieznane, panie.

– Pochodzę ze starszej gałęzi rodu, o którym mówisz – odpowiedział Rakoczy nie bez dumy w głosie. – Miło jednak dyszeć, że dobrze się o nich mówi.

Pogner nadal trwał w swej niechęci.

– Tylko głupiec czerpie satysfakcję z łask tego świata albo jego cierpień. – Spojrzał na Batorego tak, że król powinien zaskwierzyć i zniknąć w płomieniach. – Przepraszam Waszą Królewską Mość za to, że za pierwszym razem nie oddaliśmy wam należnej czci. Nikt jednak nam nie powiedział, z kim mamy honor, a my niewiele dbamy o dworskie uprzejmości i ceremoniały.

Ukłuło to Batorego dostatecznie głęboko, żeby nie mógł się powstrzymać od kąśliwej uwagi.

– Lepiej będzie, jeżeli nauczycie się zwracać uwagę na ceremoniały, skoro macie zaprezentować moje interesy na dworze Iwana. Powiedziano mi, że on jest z tych, co przykładają znaczną wagę do formalności. Jeżeli go zlekceważycie, możecie zapłacić a to skórą.

Brodzki złożył królowi nieco spóźniony ukłon, opadając na jedno kolano, mimo nagannego spojrzenia, jakim to skwitował Pogner.

- Najjaśniejszy Panie, obraza nie była moim zamiarem. Tylko nieświadomość powstrzymała nas od okazania ci czci. Prosimy, byś zechciał pamiętać, że nigdy przedtem cię nie widzieliśmy.

Na dodatek... – przerwał na chwilę i wskazał na staromodną, wyświechtaną kurtkę, którą miał na sobie król – powinieneś nam wybaczyć, biorąc pod uwagę fakt, że raczyłeś się odziać dość skromnie.

Król stanowczo skinął głową.

- To już jest bardziej zbliżone do tego, czego będę wymagał od moskiewskiej misji. Twoje słowa mocno mnie pocieszyły, ojciec Brodzki. Zaczynałem myśleć, że wybrałem nieodpowiednich ludzi. – Ostatnie słowa skierowane były do Pognera, ale koleś poczuł ojciec Kornel.

Jezuita opadł na jedno kolano obok Brodzkiego.

- Najjaśniejszy Panie, posłużymy ci, jak tylko będziemy w stanie. Trzeba tylko, żebyś nam powiedział, czego sobie życzysz, bo nie godzi się, żebyśmy odgadywali twoje zamiary, ryzykując, że popełnimy błąd i nietrafnie odgadniemy twoją wolę. – Po tych słowach opuścił głowę.

Ojciec Pogner spojrzał nań z naganą w oczach, ale zaraz potem, wraz z innymi – choć nie bez oporów – opadł na jedno kolano.

- Nie zamierzałem cię urazić, Najjaśniejszy Panie – powiedział tonem sugerującym coś przeciwnego.

- Nie będę żywił urazy, jeżeli od tej pory zaczniecie się zachowywać jak należy. – Król po raz ostatni podniósł dzwonek. – Czeka na was posiłek. Ponieważ zjawiliście się po południu, straciliście obiad. Na wieczór planowaliśmy tylko kolację, ale poleciłem kucharzom, żeby przygotowali wam coś bardziej pożywnego, co was wzmocni po chłódach i trudach podróży.

Przewidując wasz powrót, przygotowano wszystko, podczas gdy wy oznajmialiście swoje przybycie biskupowi. Słudzy podadzą wam wszystko w komnacie przylegającej do spiżarni. W ten sposób będą mogli wam usłużyć, nie zaniedbując jednocześnie swoich obowiązków. Zaprowadzi was tam ochmistrz. – Odczekawszy chwilę, dodał: – Chyba że zechcecie pierwszej zobaczyć się z ojcem Krabbe.

– Będę zaszczycony, jeżeli pozwolicie mi się do niego zaprowadzić – wtrącił gładko Rakoczy.

Pogner wstał. Jego oczy nabrały niemal metalicznego połysku.

– Cóż za uprzejmość – stwierdził, mówiąc przez zaciśnięte zęby. Spojrzał z góry na obu towarzyszy, jakby starając się zapamiętać dwulicowość, z jaką składali hołd królowi. – Pomodlimy się u jego boku i pokropimy go święconą wodą – oznajmił obojętnie, cofając się do kominka, podczas gdy ojcowie Kornel i Stanisław mozolnie wstawali. – Zrobimy to jeszcze przed posiłkiem.

Obaj jezuici przyjęli to bez protestu, choć ojciec Kornel nie bez rozczarowania na twarzy oblizwał wargi.

- On teraz odpoczywa – stwierdził Rakoczy. Patrzył na Pognera, z niczym się nie zdradzając, choć zachował uprzejmą obojętność. – Lepiej będzie, jeżeli pozwoli mu się spać.

Ojciec Pogner odwrócił się do oponenta zdecydowany podporządkować go sobie tak samo, jak podporządkował innych braciszków.

Jeżeli Bóg zechce go uzdrowić, najlepiej będzie, by dla zba wienia duszy i ozdrowienia ciała przyłączył się do naszych modłów. – Jezuita złożył na piersiach długie ręce i zacisnął wargi nie kryjąc niechęci i sprzeciwu.

Rakoczy wymienił szybkie, porozumiewawcze i pełne współczucia spojrzenia z Batorym, a potem spojrzał kapłanowi w oczy.

Zrobisz, ojcze, co uznasz za najlepsze. Ale w jego dłoniach

znajdziesz różaniec i mszał na pościeli. Mój służący czyta mu Pismo. Jeżeli uznasz, że dobrze zrobisz, przerywając ozdrowieńczy sen, jaki Bóg zesłał ojcu Krabbe, to nie zamierzam ci przeszkadzać. Sam jednak słyszałem, jak składa duszę w ręce swego Anioła Stróża, i nie chcę przeszkadzać bożemu posłańcowi wykonaniu woli Pana.

Głęboka jest twoja wiara – odparł z namysłem Pogner. Zastanawiam się, czemu nie wstąpiłeś do żadnego ze świętych zakonów. W dzieciństwie przygotowywałem się do kapłaństwa stwierdził Rakoczy; było to prawdą, nie wspomniał jednak, że skończył z tym, zanim zbudowano ogrody Babilonu.

Po raz pierwszy w zachowaniu ojca Pognera pojawił się cień szacunku.

– Dlaczego więc teraz nie jesteś zakonnikiem?

Hrabia ponownie odpowiedział na tyle prawdziwie, na ile było to możliwe:

– Musiałem stanąć w obronie mojej ziemi. Na nieszczęście nie byliśmy na tyle silni, żeby pokonać wrogów, którzy podbili nasz kraj – stwierdził, rozmyślając o setkach armii, które od czasów jego młodości pustoszyły Karpaty. Turcy osmańscy byli ostatnimi z długiego szeregu najeźdźców.

Ojciec Pogner uważnie przypatrywał się Rakoczemu, podczas gdy ojcowie Dodek i Brodzki otrzepywali i wygładzali opończe.

– Wielka szkoda – stwierdził wreszcie wysoki jezuita. – Powinieneś wybrać Kościół zamiast rodziny. Twoje ziemie są teraz w rękach nieprzyjaciół, Kościół jednak z każdym dniem rośnie w siłę.

– Chodzi o więzy krwi – odpowiedział Rakoczy skąpym, tajemniczym uśmiechem kwitując oskarżycielskie spojrzenie Pognera i przygotowując się w duchu na to, czego się obawiał: kolejną próbę zdobycia przewagi przez zapytanie o herezję. Raz jeszcze ukląkł przed Batorym i ucałował królewską dłoń.

– Porozmawiamy później, hrabio – stwierdził król, starając się nadać głosowi szczególnie serdeczne brzmienie.

– Wasza Królewska Mość jest bardzo łaskaw – odparł Rakoczy, wstając.

Raport, który Stefanowi Batoemu przesłał jeden z jego geografów:

Najłaskawszemu Stefanowi Batoemu, z Bożej łaski królowi polskiemu, pozdrowienia od oddanego sługi Pawła Donieckiego z modłami, by owoce zwycięstwa Wam przypadły, panie mój.

Rozmawiałem z kupcami, którzy niedawno przybyli z Moskwy. Powiadają, że drogi są ciężkie, ale można podróżować bez obawy, iż na długie miesiące ugrzęźnie się w śniegach. Najważniejszy z nich ostrzegł przed alarmująco wysokimi wodami w rzekach z powodu topniejących lodów i stwierdził, że wszyscy udający się na ziemie Iwana Groźnego powinni baczyć na możliwość powodzi. Radził też, żeby rzeki pokonywać, korzystając z promów i tratw zamiast mostów, ponieważ z powodu wiosennych roztopów i wilgoci i wiele z nich nie pozostało bezpiecznymi.

Miałem też sposobność porozmawiać z hodowcą koni, który skłonny jest sprzedać dwa tuziny najsilniejszych młodych wierzchowców na użytek członków naszego udającego się do Moskwy poselstwa. Wymienił rozsądną cenę, ja zaś mu powiedziałem, że jest ona do przyjęcia. Ponieważ, jak rozumiem, ekspedycja jest już w drodze, domyślam się, że te przygotowania wspólnie z rotą lekkiej jazdy są częścią Twojego, Najjaśniejszy Panie, planu ochrony tych ludzi. Z tego, co nam powiedziano, wnioskuję, że powinni się tu zjawić za dwa do półtrzecia tygodnia, zakładając, że nie będzie deszczy. Droga z Mińska do Smoleńska w wielu miejscach jest podmokła i bagnista, ale w pobliżu nie toczą się żadne walki, więc podróż powinna być w miarę bezpieczna.

Trzeba mi Cię ostrzec, Najjaśniejszy Panie; pierwsze wieści, jakie

otrzymaliśmy z Moskwy, nie wróżą dobrze carowi Iwanowi, ponieważ mówi się, iż pogrąża się w szaleństwie, sądząc, że prześladowuje go duch zabitego przezeń syna. Jest to powód do zachowania ostrożności, bo jeśli car jest szalony, żaden zawarty przez niego układ nie zostanie uznany za wiążący. Jeżeli car istotnie oszalał, członkom Twojego poselstwa może grozić okropne niebezpieczeństwo.

Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby Cię, Najjaśniejszy Ranie, natychmiast informować o wszystkich zmianach na Kusi, gdy tylko o nich usłyszymy. Będziemy osobliwie śledzić wieści z Moskwy i nanosić na mapy wszystko, czego się dowiemy. To, co leży poza Moskwą, jest wielce niepewne; usiłujemy się dowiedzieć czegoś o ziemiach położonych na wschodzie. Jako geografowie często otrzymujemy wsparcie od ludzi uczonych, ci zaś dostarczają informacji, jakich nie zdobyłoby kilkunastu szpiegów. Gdy zatrzymają się tu członkowie poselstwa, postąpię wedle Twojej, Najjaśniejszy Panie, sugestii i skorzystam z wiedzy Twojego alchemika. Z tego, co raczyłeś mi powiedzieć⁴ wnioskuję, że ma za sobą liczniejsze podróże niż większość znanych nam ludzi.

Do tej pory Bóg błogosławił sprawie Waszej Królewskiej Mości i wszyscy modlimy się o to, byś odniósł zwycięstwo. Modląc się, zbieramy jednocześnie mapy i opisy miejsc, których potrzebujesz. Padamy ze zmęczenia, żeby wykonać Twoje rozkazy, i trzymamy mapy w ukryciu przed wszystkimi oprócz Twoich wysłanników, żeby nie zdobyli ich inni, którzy mogliby je wykorzystać przeciwko Tobie. Wszyscy pozostajemy wierni Twojej, Najjaśniejszy Panie, sprawie i będziemy chronić to wszystko, czegośmy się dowiedzieli. Żaden wróg nie zmusi nas do wydania mu naszych wiadomości. Z bożą pomocą nie będziesz się musiał obawiać Rusinów ani Liwonów, ani Madziarów i całej też mocy Imperium Osmańskiego. Jak sam raczyłeś powiedzieć, przy równych siłach zwyciężają ci z władców, którzy mają lepsze informacje.

Dopóki nie dotrą do nas Twoi wysłannicy i nic odeślą Ci raportu, bądź,

Wasza Królewska Mość, pewien mojej wierności i poświęcenia. Moje umiejętności zawsze będą na Twe usługi.

Paweł Doniecki

W bibliotece Anatolija Griszczekowa, nieopodal Smoleńska

16 kwietnia AD 1583.

. 4 .

Czemu stajemy? – zapytał ojciec Pogner, gdy hrabia Zary znakiem ręki zatrzymał konnych.

Jeźdźcy natychmiast uformowali czworobok przed podróżnymi gotowi do obrony przed każdym, kto zechce uderzyć z przodu na idące na tyłach szyku juczne muły z radością powitały chwilę wytchnienia. Kapłani, wszyscy oprócz dwu jadących wierzchem na mułach i ojca Krabbe, który wybrał towarzystwo Ferenca Rakoczego, zebrali się wokół ojca Pognera.

– Ponieważ nie jesteśmy już na polskiej ziemi, ojcie – odpowiedział młody człowiek z kiepsko skrywaną irytacją. – Tutaj jesteśmy obcymi.

– Jesteśmy wysłannikami króla Stefana Batorego i Jego Świątobliwości papieża – stwierdził Pogner, recytując referencje z rytualnym zapalem, jakby same w sobie mogły ich ochronić przed wszelkimi zagrożeniami. – Nie jesteśmy wrogami, wysłali nas dwaj władcy.

– Rusini mogą to widzieć nieco inaczej – stwierdził spokojnie Rakoczy, uderzając lekko piętami swojego siwka Noniusza i ostrożnie podejrzliwie nań patrzących jeźdźców. – Niezależnie od tego, czy czekają nas jakieś kłopoty czy nie, robi się późno i lepiej będzie stawić czoło przeciwnościom unikiem. Jest tu niedaleko jakaś wioska?

– Cóż... była, ale spalono ją do cna podczas wojny przed kilku laty – odpowiedział Zary, wystrzegając się każdego zbytniego słowa, które mógłby wypowiedzieć przy Rakoczym. Niezależnie od woli króla Zary nie ufał eleganckiemu i dwornemu wygnańcowi z Karpat.

– Więc nie masz tam chat, w których moglibyśmy się schronić –

stwierdził hrabia.

– Nie – odpowiedział Zary poirytowany tym, że musi się naradzać z Rakoczym. – Żadnych chat. Wszystko spalono do gruntu.

– Rozumiem – stwierdził Rakoczy i skinieniem dłoni przywołał swojego służącego. – Sądzę, Rothgerze, że lepiej będzie, jeśli się tu trochę rozejrzemy.

Rothger był opanowanym, spokojnym człowiekiem w średnim wieku, o piaskowej barwy włosach i niemal nieruchomym spojrzeniu niebieskich oczu; dosiadał neapolitańskiego gniadosza tak, jakby całodzienna jazda była miłą rozrywką, a perspektywa dalszej jazdy nie bardziej kłopotliwa niż propozycja wizyty w sąsiedztwie. Wysłuchał Rakoczego, nawet nie mrugnawszy powieką.

– Jak sobie życzysz, panie. Ale proponuję zmianę koni, nasze wierzchowce muszą wypocząć.

– Oczywiście – zgodził się Rakoczy. – Nie ma powodu, by zajeździć zwierzęta. – Spojrzał na Zarego. – Czy nie chciałbyś, hrabio, żeby któryś z twoich ludzi pojechał z nami? Tak byłoby najlepiej.

Zary zmrużył powieki, odpowiedział jednak jak najszczerzej:

– Zaraz któregoś wybiorę.

– Pojadę z wami – zaproponował ojciec Krabbe. – Mogę spędzić jeszcze kilka godzin w siodle, zanim zawiodą mnie pośladki. – Zachichotał i nie bez satysfakcji stwierdził, że kilku jeźdźców parsknęło śmiechem; jako kapłan zdawał sobie sprawę z tego, że żołnierze mu nie ufają. Ich śmiech dodał mu pewności siebie.

Rakoczy zastanawiał się przez chwilę, zatroszczywszy się o okazanie szacunku należnego osobie duchownej.

– Jeżeli ojciec Pogner nie wyrazi sprzeciwu, będzie mi to odpowiadało.

Rozczarowany Krabbe usilnie postarał się ukryć swoje uczucie.

– Nie zamierzałem czynić nic bez jego woli.

– Ponieważ on jest przełożonym jezuitów – odezwał się Zary – musi udzielić pozwolenia albo nigdzie, ojcze, nie pojedziesz. W kwestii kapłanów muszę uszanować jego władzę. – W tym stwierdzeniu dźwięczała odrobina irytacji; pomiędzy młodym szlachcicem a ojcem Pognerem wytworzyło się już pewne napięcie.

– Natychmiast go poproszę o pozwolenie – stwierdził Krabbe i zawróciwszy konia, podjechał do miejsca, gdzie skupili się księża.

- Ojciec Pogner mu zabroni – przewidział Zary nie bez satysfakcji w głosie; względem Rakoczego miał swoje podejrzenia, stosował jednak wobec niego zasadę dobrodziejstwa wątpliwości, ale ojca Pognera uznał za wroga. – Nie podoba mu się wpływ, jaki zyskałeś na ojca Krabbe, mości Rakoczy.

- Zdaję sobie z tego sprawę – odpowiedział hrabia; po jego twarzy przemknął cień. – Uważa, że wdzięczność ojca Krabbe za uzdrowienie jest niewłaściwa. Drobiazg, według niego, więc ja też się nie przejmuję, ale...

Ojciec Pogner darzy cię, hrabio, niechęcią, bo nie ma nad tobą żadnej władzy, z wyjątkiem autorytetu kapłana. Uważał się już za przełożonego wszystkich członków poselstwa i nie podoba mu się sposób, w jaki to urządził Batory. Przypuszczam zresztą, że to właśnie legło u podłoża królewskiej decyzji. – Zary odsunął z czoła jasne kędziory i zerknął z ukosa na Rakoczego. – Dziwi cię to, hrabio?

– Co ma mnie dziwić? To, co powiedziałeś, czy fakt, że to powiedziałeś? – odparł gładko Rakoczy i natychmiast odpowiedział na oba pytania. – Z ulgą witam to, że zdajesz sobie sprawę z wewnętrznych napięć między członkami ekspedycji, i dziękuję za tę uwagę. – W jego ciemnych oczach pojawiły się ironia i rozbawienie. – Wiedz, że ojciec Pogner zechce ci jeszcze natrzeć uszu, zanim ruszymy dalej.

– Będę to miał na uwadze – stwierdził Zary nieco zaskoczony tym,

iż Rakoczy postanowił go ostrzec.

W tym momencie do rozmówców podjechał Kownowski, posiadający długonogiej karej klaczy o imieniu Furioso, którą Rakoczy rankiem oddał do jego dyspozycji.

– Ojciec Pogner zdecydował, że to ja będę ci towarzyszył, hrabio, w tej wycieczce. Doszedł do wniosku, że ojciec Krabbe nie doszedł jeszcze do pełni sił, by puszczać się na tak żmudne przedsięwzięcie.

– W rzeczy samej – odpowiedział Rakoczy, nie zdradzając żadnych emocji. – Zapakuj, ojczy, do juków chleb, ser, wodę i jedź z nami. – Potem zwrócił się do jasnowłosego szlachcica: – Wybierz, hrabio, najlepszego ze swoich zwiadowców. Do zachodu słońca pozostały trzy godziny, co oznacza, że może trzeba nam będzie jeździć nocą. Jeżeli tymczasowy obóz rozbijecie w tym miejscu, będziemy wiedzieć, gdzie was odnaleźć. Będą nam potrzebne trzy latarnie – zwrócił się do Rothgera – z zapasowymi knotami, i krzesiwa, dla każdego po jednym. I dwie pochodnie, bo jeżeli znajdziemy odpowiednie miejsce, jak zawsze zdam się na ciebie.

– Jak rozkażesz, panie – odpowiedział Rothger nie bez rozbawienia w głosie. W jego węgierszczyźnie był akcent, którego nikt z pozostałych nie umiał rozpoznać.

Zary zrobił co w jego mocy, żeby odzyskać choć pozór władzy.

– Jeżeli nie mamy zostawać tu na noc, rozbijając solidniejszy obóz, to musicie wyjechać jak najszybciej.

– To zrozumiałe – odpowiedział niezbity z tropu Rakoczy i dodał: – Podczas mojej nieobecności chciałbym, żebyś przydzielił, hrabio, trzech twoich wojaków do pilnowania mojego dobytku i koni. Na tych dwu wozach są cenne rzeczy, z których wielu nie da się zastąpić czymś innym i muszą pozostać nietknięte.

Choć Zary ponownie poczuł ukłucie ciekawości dotyczącej tajemniczych skrzyń Rakoczego, wolał sprzymierzyć się z drugim

szlachcicem przeciwko Pognerowi.

- Zadbam o to – odpowiedział natychmiast, postanawiając, że zawartość dwu wozów spróbuje zbadać później.

W niezgłębionym spojrzeniu Rakoczego pojawił się cień rozbawienia, jakby hrabia przeniknął myśli Zarego.

- To bardzo dobrze, panie hrabio.

Kownowski przysłuchiwał się temu ze zrozumieniem; wiedział, że pomiędzy członkami poselstwa rysują się już pewne napięcia, których nie można lekceważyć. Poruszył się niespokojnie na siodle, zsunął na ziemię i oddał wodze Rothgerowi.

Wezmę zapas żywności i wrócę, mości Rakoczy. – Jak większość w tej grupie nie bardzo wiedział, jak należy zwracać się do odzianego w czerń alchemika, wołał więc obywać się bez tytułów.

- Doskonale – stwierdził Rakoczy i zwrócił się do Rothgera: – Przyrowadź pięciolatka Furioso, tego błękitnego deresza.

- Siodło zostawić? – zapytał sługa.

Owszem, ale zmień podkładkę. Obawiam się, że po tylu godzinach jazdy ta jest już zmatowana i skołtuniona. – Hrabia odprowadził wzrokiem sługę, który odwiódł konia na bok.

Ekspedycja dysponowała czterdziestoma końmi i tuzinem mułów na zmianę, z czego dziesięć koni i cztery muły były własnością Rakoczego, ku irytacji żołnierstwa. Zary sprzeciwiał się takiej liczbie zwierząt, ale Rakoczy zaproponował, że sam zadba pożywienie i opiekę nad nimi, co pozbawiło hrabiego argumentów.

Kownowski spojrział na Zarego, a potem odezwał się stanowczym tonem:

Będzie nam też potrzebne złoto. W tych okolicach trzeba będzie może po prostu kupić miejsce na nocleg. Kościół ma ograniczone fundusze.

Rakoczy spojrział mu prosto w oczy.

– Ja mam złoto – odpowiedział spokojnie.

Tego się Kownowski nie spodziewał, szybko postanowił jednak wykorzystać nieoczekiwaną okazję.

– Najlepiej więc będzie, jeżeli złoto będę wiozł ja, jako że jestem księdzem.

– Zechciej wybaczyć, ojcze – odpowiedział Rakoczy z niedbałym ukłonem. – W tych krajach popi są biedni. Jeżeli będziesz wiozł złoto, ludzie, którzy to odkryją, zaczną podejrzewać, że w istocie nie jesteś kapłanem, i potraktują cię wrogo, uznawszy, że się podszywasz pod osobę duchowną.

Ojciec Kownowski odpowiedział nie bez kpiny w głosie:

– To da się im wyjaśnić. Czy ludziom się podoba, że złoto mają tylko żołnierze albo szlachta?

– Ale tego akurat się spodziewają – odparł Rakoczy pojednawczo. – To, że jesteśmy cudzoziemcami, wystarczy jako powód do wrogości i samo w sobie stwarza niebezpieczną sytuację. Jeżeli nie dostosujemy się do ich sposobu widzenia świata, nie dotrzemy do Moskwy i sprawa Stefana Batorego przepadnie.

Hrabia Zary parsknął gniewnym śmiechem.

– Trafiłeś w sedno, Rakoczy. Nie wolno nam dopuścić do niepowodzenia misji.

– Z pewnością nam się uda – stwierdził Kownowski przez zaciśnięte zęby.

– Miejmy nadzieję – odpowiedział Rakoczy i skłonił się obu rozmówcom. – Zajmę się teraz moim koniem, ale szybko wrócę. – Odszedł, zostawiając ojca Kownowskiego i hrabiego Zarego ich wzajemnej niechęci, którą ujawnili wrogimi spojrzeniami.

Mniej więcej godzinę później grupka zwiadowcza dotarła wreszcie do monasteru o wysokich murach, wokół którego wyrosło niewielkie skupisko chat. W zabarwionych ogniste promieniach zachodzącego

słońca kamienie wyglądały jak złocone, a chatki sprawiały wrażenie kutyh w brązie. Wokół niewielkiej ludni pośrodku wioszczyzny zebrało się kilka kobiet w obszernych, bezkształtnych szatach i osobliwych czepcach na głowach; wieśniaczki kolejno czerpały ze studni wodę. Gdy z lasu wyje chali czterej konni, którzy oświetlając sobie drogę latarniami, ruszyli w ich stronę, wszystkie znieruchomiały przejęte strachem.

Jedna z kobiet, trzymająca w ramionach dziecko, krzyknęła rozpaczliwie, szykując się do ucieczki.

– Stać! – Rakoczy uniósł dłoń i zatrzymał swoich towarzyszy. – Ręce z dala od broni. – Sam też zatrzymał konia i zarzucił wodze na jego kark. Dłonie oparł na kuli łąku siodła. Pozostali trzej jeźdźcy zrobili to samo, a hrabia zawołał: – Nie chcemy nikogo skrzywdzić, dobre kobiety. – Powiedział to po polsku i powtórzył po rusku, licząc na to, że wieśniaczki zrozumieją choć jeden z tych języków; jego znajomość liwońskiego była bardzo nikła.

– Ha! Wszyscy żołnierze tak mówią! – splunąwszy, odpowiedziała po polsku najstarsza z kobiet i zaraz potem się przeżegnała na prawosławną modłę.

– Ale tu jest tylko jeden żołnierz – stwierdził Rakoczy. – I on jest księdzem, to mój sługa... a to ja.

– Gdzieś tam są żołnierze – stwierdziła kobieta z ponurą pewnością siebie. – Nie przyjechałbyś tu bez eskorty żołnierzy, panie w sobolowym kołnierzu.

Kobieta trzymająca dziecko puściła się biegiem ku jednej z chat.

– Jesteśmy ludźmi z poselstwa, wysłanymi przez króla Stelami do Moskwy – Rakoczy ponownie podjął próbę wyjaśnień. – Ośmiu kapłanów i rota lekkiej jazdy kozackiej...

– Żołnierze – stwierdziła stara z ostatecznym potępieniem w głosie.

– Dwudziestu sześciu – odpowiedział natychmiast Rakoczy. – W

waszej wiosce jest z pewnością więcej mężczyzn. A ilu mnichów żyje w tym monasterze?

– Czterdziestu siedmiu – odpowiedziała kobieta, jakby obliczając coś w myślach. – Nasi mężczyźni pracują w polu. Niedługo wrócą. Mają widły, cepy i potrafią ich używać. Mnisi też mogą się bić.

Rakoczy potrząsnął głową.

– Nie chcemy się bić. Szukamy miejsca na nocleg dziś i jutro. Jesteśmy zmęczeni, zapłacimy za spanie i spyżę.

– Czym zapłacicie? – zapytała najwyższa z kobiet. Mówiła głośno i ochrypłym głosem, jakby dzień spędzała, krzycząc na ludzi w polu.

– Złotem – odpowiedział Rakoczy, wyciągając kilka monet z wiszącej mu u pasa sakiewki. – Macie! – Rzucił monety ku studni i patrzył, jak z młaśnięciem padają na wilgotną ziemię.

Stara zebrała je wszystkie, zatroszczywszy się o sprawdzenie każdej zębami; dopiero potem szepnęła coś wysokiej babie.

– Dwie monety od każdego człowieka za jedną noc – Powiedziała ta, nerwowo wymieniając kwotę, która jej samej wydała się niesłychaną.

– Zgoda – odezwał się Rakoczy, zanim ojciec Kownowski lub wachmistrz zdążyli cokolwiek powiedzieć. – Teraz dam dwadzieścia sztuk złota. Przekaze wam je mój sługa. – Skinął Rothgerowi, by ten zsiadł z konia i podszedł do jego boku. – Patrzcie uważnie – zwrócił się do kobiet, odliczając monety w okryte rękawicami dłonie sługi. Upewniwszy się, że liczenie usatysfakcjonowało kobiety, stwierdził: – Widziałyście. Dwadzieścia sztuk złota. Mój sługa je wam przyniesie. – Skinął dłonią, nakazując Rothgerowi wykonanie polecenia, a sam ujął wodze jego konia.

– Nie szukuj broni – ostrzegła stara, gdy Rothger do niej się zbliżał.

– Nawet o tym nie myślę – odpowiedział sługa, podając jej monety.
– Policz je sama.

Gdy kobieta wzięła monety, Rakoczy podjął negocjacje.

Trzeba nam tu przyprowadzić pozostałych członków poselstwa. W tymczasem zaczynajcie przygotowania. Nie ma zbyt wiele czasu na to, co musi być zrobione. Mój sługa i ojciec Kownowski pomogą wam przygotować noclegi dla kapłanów i żołnierzy. Ja z wachmistrzem pojedziemy po resztę naszych ludzi.

Ojciec Kownowski zmierzył Rakoczego gniewnym spojrzeniem.

Bardziej mi przystoi powiadomienie ojca Pognera o tym, to tu znaleźliśmy, żeby mógł podjąć decyzję, czy zechcemy się zatrzymać w tej wiosce.

Rakoczy spojrzał nań, nie zdradzając żadnych uczuć.

Nie wiem, ojczy, czy ci to przystoi czy nie – to jedyna wioska, jaką znaleźliśmy. Jeżeli chcecie dziś spać pod dachem, to tylko tutaj albo nigdzie. Myślę, że lepiej będzie, jeśli zostaniesz. Oni się boją żołnierzy, nie kapłanów.

- Jesteś pewien? – zapytał jezuita.

- Tak – odparł Rakoczy ponuro. – Nie zauważyłeś? Tu nie masz dzieci, poza tym niemowlęciem. Oznacza to, że żołnierze byli tu nie dalej niż dwa lata temu i zabili albo porwali ich dzieci. Lepiej, żebyś został tu ty i mój sługa, wachmistrza pewnie by zabito. Ale mądrze zrobisz, zachowując ostrożność. Ta wieś jest przypisana do monasteru, a ten nie jest klasztorem katolickim, to mnisi prawosławni. Spójrz na krzyż nad bramą – potrójny. Masz swoją pracę.

Prawosławni... – wyszeptał Kownowski i natychmiast przeżegnał. Nie omieszkał przy tym zauważyć zdumionych spojrzeń kobiet, które zauważyły, że żegna się po katolicku.

Myślę, że powinieneś porozmawiać z ihumenem lub kimkolwiek, kto kieruje tym miejscem. Wyjaśnij mu cele naszej misji i zrób to przekonująco. Nie chcemy natknąć się na mnichów z kamieniami w

rękach, prawda? – Rakoczy skłonił się w siodle z równą wprawą jak ironią.

A co będzie, jak te kobiety się rozmyślą, gdy tylko odjedziecie? Zatrzymają pieniądze, a nas przepędzą? – Ojciec Kownowski spojrzał na wiejskie baby, jakby się spodziewał, że zaatakują go wrzątkiem i kuchennymi nożami.

– Myślę, że one wolą dostać resztę pieniędzy – stwierdził Rakoczy. – Za te pieniądze zniosą jakoś naszą obecność przez dzień albo dwa.

Nie to chciał usłyszeć jezuita i znów by się sprzeciwił Rakoczemu, ale spostrzegł, że wachmistrz patrzy na niego nie bez pogardy w oczach, jakby już uznał, że kapłan musi być tchu rzem. Zrobił więc, co w jego mocy, by ocalić pozory samodzielności i odzyskać spokój. – Chciałbym, żebyście zapamiętali, że sprzeciwiałem się tej niezbyt odpowiedzialnej akcji. Jest źle pomyślana i nie zachowuje właściwej godności. Ale jeżeli muszę to zrobić dla dobra powierzonej nam misji, postąpię tak, jak radzisz.

– Bardzo mądrze – odpowiedział Rakoczy.

Ojciec Kownowski zdecydował, że lepiej będzie nie spierać się z Rakoczem. Klepnąwszy po karku swojego konia – a właściwie konia pożyczonego mu przez hrabiego – ruszył naprzód i dotarłszy do studni, zsunął się z siodła. Pobłogosławił baby... i nie bez zdumienia stwierdził, że jedna z nich splunęła i odwróciła głowę.

– Jestem wdzięczny – powiedział, wymawiając słowa powoli i wyraźnie, żeby zostać zrozumianym.

Rothger wskazał na najbliższą chatę.

– Czy któraś z was zechce być tak dobra i powie mi, czyj to dom? – Władał miejscowym dialektem lepiej niż Kownowski i okazywał babom szacunek. – Czy mógłbym porozmawiać z właścicielką tego domu, tak żebyśmy mogli poczynić odpowiednie przygotowania?

Wysoka kobieta kiwnęła głową.

– To dom mojego męża i jego ojca. – Zaciskała w dłoni cztery monety jakby w obawie, że rozłyną się w nicość.

– Dla ilu mężczyzn będziecie mogli przygotować posłania? – Sługa hrabiego potrafił przemawiać serdecznie, choć nic przymilnie; Kownowski szczerze mu tego zazdrościł, bo ta sztuka była mu obca. – Macie jakiś boks czy dwa, gdzie będziemy mogli pomieścić nasze konie i muły?

Wysoka kobieta uśmiechnęła się, ukazując zaledwie połowę zębów, choć nie miała jeszcze dwudziestu pięciu lat. Lubiła się targować i teraz trafiła na swój grunt.

– Mamy ogrodzone pastwisko. Możemy wygonić owce, a wy wprowadzicie tam na noc konie. Ale to będzie kosztować dodatkową sztukę złota za zjedzoną trawę. – Ostatnie zdanie wypowiedziała już z mniejszą pewnością siebie; bała się, że przesądziła.

– To rozsądna cena – stwierdził Rothger. – A może zdołamy kupić worek albo dwa zboża dla naszych zwierząt?

Rozmówczyni uśmiechem skwitowała słowo “kupić”.

– Nie mamy za wiele, ale coś się da załatwić, jeśli zaproponujecie odpowiednią cenę. – Była świadoma, że inne kobiety bacznie się wszystkiemu przysłuchują, i niemal widocznie pęczniała z dumy. – Jeżeli będziemy musieli zabić jakieś zwierzęta, żeby was nakarmić, oczywiście za nie zapłacicie. – Było to najśmilsze posunięcie i pozostałe baby wstrzymały oddech.

– Niczego innego się nie spodziewaliśmy – odparł Rothger, zanim Kownowski zdążył otworzyć usta.

– To zwykły rabunek! – wypalił jezuita.

– Bzdura – odpowiedział Rothger, zwracając się wprost do kapłana, jakby miał dość władzy, żeby mu się przeciwstawić. – Mój pan z chęcią zapłaci za wszystko, czego oni nam dostarczą. Skoro to nie twoje pieniądze, księżu, czemu prote stujesz?

Ojciec Kownowski poczerwieniał, ale nie potrafił powstrzymać własnego oburzenia, co tylko pogorszyło sytuację.

Raz jeszcze Rothger zwrócił się do wysokiej kobiety:

Czy zechciałabyś prowadzić targ w imieniu wszystkich mieszkańców wioski? Nie zamierzam pozbawiać was niczego, co jest wasze, ale jeżeli będę prowadził rozmowy z jedną osobą, zamiast z każdym, wszystko da się załatwić znacznie szybciej. I będzie to uczciwe, ponieważ każdy dostanie tę samą cenę.

Większość kobiet skinęła głową, ale stara zaprotestowała.

– Wiemy, że Aniela jest dobra w rachunkach. Ale co będzie, jeżeli nie spodoba się nam wytargowana przez nią cena?

– To pierwaj omówcie z nią wszystko, żeby mogła zacząć targi zgodnie z waszymi żądaniami – poradził Rothger, zmieniawszy sposób zachowania.

– Dobrze. – Stara spojrzała na wysoką. – Będę się przysłuchiwała i jak coś mi się nie spodoba, to powiem.

– To jest rozsądne – stwierdził Rothger, ignorując gorączkowe szepty ojca Kownowskiego, który protestował, mówiąc, że targi z kobietami nie mają sensu.

Żołnierze i księża dotarli do wioski dopiero o późnym zmierzchu. Wyjechali z lasów, trzymając latarnie; wyglądali groźnie i przerażająco, jak widmowi Łowcy świętego Huberta. Wieśniacy patrzyli wstrząśnięci, a kilku z nich zrobiło znak strzegący od złego.

Mężczyźni wrócili już z pól i stali teraz wzdłuż wiejskiej uliczki, trzymając w dłoniach widły, łopaty i łypiąc ponuro na wszystkich członków grupy misyjnej i poselskiej. Kobiety gdzieś się pochowały.

– Niezbyt obiecujące powitanie – mruknął Zary, zwracając się do Rakoczego.

– Boją się o kobiety – stwierdził łagodnie alchemik. – I nie bez powodu. – Skinieniem głowy wskazał wysokiego, chudego człowieka

w wysokiej czapie stojącego przy wejściu do monasteru. – To ten, z którym trzeba ci będzie się rozmówić, hrabio. Jeśli się nie mylę, chłopci zrobią, co on im każe. Jest tu ihumenem, najwyższą władzą.

– Prawosławnego mnicha trudno uznać za przedstawiciela Boga i prawdziwego zakonnika – stwierdził Pogner.

– Nie mów tak, jeżeli chcesz, żeby car Iwan w ogóle raczy cię przyjąć – poradził mu Rakoczy. – Nie cały świat należy do jezuitów.

Ojciec Pogner nie zniżył się do odpowiedzi.

Ihumen postąpił krok w kierunku członków poselstwa i zatrzymał się na znak hrabiego Zarego. Podchodził powoli, trzymając w dłoni krucyfiks, jakby chciał nim odpędzać diabły. Podeszedł bliżej, mocnym, głębokim głosem zaintonował modlitwę, co przykuło uwagę kmiotków.

Niechaj Bóg ześle ci dobrą noc, ojczy ihumencie, i uchroni przed kryjącymi się w powietrzu demonami – odezwał się Rakoczy po polsku, zsiadając z konia.

Wam też, księża i żołnierze – odpowiedział zagadnięty z godnością, choć oczami strzelał nerwowo na boki.

Rakoczy spojrzał na stojących po obu stronach uliczki wieśniaków.

- Przykro mi, że musieliśmy zatrzymać się w tym miejscu i nadużywamy waszej gościnności, ale, jak powiedzieli wam mój sługa i ojciec Kownowski, wykonujemy pilną misję z rozkazu polskiego króla. Jesteśmy w drodze od kilku tygodni i potrzeba nam odpoczynku nie tylko ze względu na nas samych, ale i dla dobra naszych zwierząt. Droga do Moskwy jest daleka, nie dotrzemy tam, skoro już jesteśmy niemal do cna wyczerpani. Mam nadzieję, że dwie sztuki złota za każdego człowieka i jedną noc będą wystarczające?

Ihumen odchrząknął.

Baby ze wsi powiedziały, że taka suma im odpowiada. Ich mężowie i ojcowie więcej nie zażądają, więc to jest uzgodnione.

To jednak dotyczy wyłącznie wioski i chłopstwa, choć cieszymy ich wzbogacenia. Mnisi pozostający pod moją opieką nie żądają takiej zapłaty, ale monaster jest ubogi i w kwestii jego utrzymania polegamy na chrześcijańskim miłosierdziu.

Złożywszy ukłon, Rakoczy pomyślał, że powinien był się tego spodziewać. Położył dłoń na trzosie.

Złożenie ofiary na rzecz tego klasztoru będzie dla mojej rodziny zaszczytem – powiedział, myśląc o sześciu workach złota ukrytych na jednym z jego wozów. – Czy pięćdziesiąt szczerzonych złotych nie będzie zbyt małym datkiem?

Ihumen wytrzeszczył oczy, jakby nie bardzo umiał ogarnąć myślami tę sumę.

– To... bardzo hojny dar – wystękał wreszcie. – Szlachetny. – Składam to złoto w imieniu mojego ojca – stwierdził Rakoczy, przez którego usta przewinął się nagle przelotny uśmiezek. – Najpierw stracił królestwo, a potem życie.

– Niechaj Bóg okaże mu swą łaskę – stwierdził Ihumen i spojrzał z zaciekawieniem na jezuitów. – Ilu was jest?

– Ośmiu – odpowiedział Pogner, podnosząc głos, jakby chciał tym sobie zrekompensować niedostatki w znajomości języka.

– Ośmiu jezuitów jedzie do cara... – Ihumen jakby szukał w myśli odpowiedniego cytatu z Pisma.

– Taka jest wola polskiego króla – oznajmił Pogner, zeskakując z muła. – Jedziemy do Moskwy z polecenia króla Stefana i papieża Grzegorza.

Ihumen zmrużył oczy.

– W eskorcie roty kozaków.

Rakoczy przerwał rozmowę, zanim zdążyła się rozwinąć w niepożądanie wrogim kierunku.

– Wszyscy jesteśmy głodni i znużeni – oznajmił, obejmując

szerokim gestem księży i jezdnych. Czy moglibyśmy zoba czyć, gdzie umieścimy konie i muły, żeby je nakarmić i oporzą dzieć, zanim sami coś zjemy? I wystawić wartowników na noc? – Przerwał i dodał po chwili: – Współ z moim sługą postoiemy na warcie do północy. – Nie uznał za stosowne wspominać, że on i Rothger nie potrzebują za wiele snu i że mogliby czuwać przez całą noc; tego typu wyznanie mogłoby wzbudzić niebezpieczne podejrzenia. – Współ z nami mogą pełnić wartę jeden z jezuitów i któryś z wojaków.

Zarysowujące się już napięcie zelzało. Ihumen kiwnął głową, który to gest podkreśliła jego wysoka czapka. Stojący po obu stronach ulicy ludzie odłożyli swe narzędzia i przeprasząc pochyliłi głowy przed wojakami i Rakoczym. W stosunku do jezuitów ograniczyli się jedynie do wskazania im domów na nocleg.

Rakoczy ujmował właśnie wodze obu koni, kiedy przez tłum przepchnęła się do niego stara kobieta.

– Powiedziałam twojemu słudze, wielmożny panie, że możesz zanocować w moim domu z trzema jeszcze osobami. Jestem stara i nikt nie weźmie mi za złe, że przyjmuję u siebie trzech mężczyzn. – Powiedziawszy to, potrząsnęła z podziwem głową. – Ze też taki wielki pan ja ty zechciał bronić naszej wioski...

Obejrzał się na nią przez ramię. Miała mniej więcej pięćdziesiąt lat, co dla niego nic nie znaczyło.

– Dziękuję za troskę.

Uśmiechnęła się.

– Ich wszystkich krew zaleje z zazdrości, ale mój wiek ma swoje prawa i oni dobrze to wiedzą. Nikt inny nie ośmielił się was zaprosić pod swój dach, a ja mam miejsca i łóżka. – Jej oczy jaśniały radością. – Przez cały rok będę opowiadała o tobie i twoim słudze, a oni będą musieli słuchać!

Teraz parsknął śmiechem Rakoczy, który pojął drobną i niewinną

złośliwość starej kobiety.

– Zrobię, co w mojej skromnej mocy, żebyś miała co opowiadać.

– Och, wcale nie musisz, panie, jeżeli nie chcesz – powiedziała mu, prowadząc go do miejsca, gdzie mógł zostawić konie. Na jej pomarszczonej twarzy pojawił się przebiegły uśmiezek. – Tak czy owak, sama wymyślę to, czego mi nie zechcesz opowiedzieć.

List od Ferenca Rakoczego hrabiego Saint-Germain do króla Polski Stefana Batorego:

Do mojego szlachetnego, władającego Polską ziomka z Siedmiogrodu, list z Możajska. Rotę kozaków, poza hrabią Żarym i czterema z jego żołnierzy, odprawiono do Polski, gdy zaraz za Wiaźmą natknęliśmy się na kompanię carskich konnych łuczników. Zajęli się naszą eskortą i podróżujemy teraz znacznie szybciej: nie musimy szukać wiosek na nocleg i nie ma potrzeby wystawiania wart na noc. O wszystko dbają łucznicy. Zajmują duże budowle w posiadłościach i mimo że jesteśmy cudzoziemcami, każą okazywać nam szacunek.

Rusini boją się cudzoziemców. Nie okazują tu gościnności i nie witają ich tak przychylnie jak w Polsce, na Węgrzech czy w Austrii. Zamiast tego starają się nas unikać, bo sądzą, że ich skazimy albo splugawimy. Z chęcią dostarczają nam jadła i przydzielają miejsca na nocleg, ale trzymają się na uboczu. Hrabia Żary utrzymuje, że dzieje się tak dlatego, iż nie zostaliśmy przedstawieni carowi i nasza pozycja jest niepewna, wiem jednak, że chodzi o coś więcej. Ci ludzie nie ufają żadnym cudzoziemcom. Po rozmowie z każdym z nas umywają twarze i dłonie, jakby dla pewności, że nic zostało na nich coś obcego, nieruskiego. Staram się uszanować ich zwyczaje, wiem jednak, że to, co robią, ogromnie irytuje jezuitów.

Powiedziano nam, że od Moskwy dzieli nas jeszcze tydzień podróży, co

jak sądzę, jest dość bliskie prawdzie, ponieważ widzimy, że zbliżamy się do stolicy: domy są bardziej okazale, a właściciele majątków i posiadłości ubierają się lepiej niż ci, których widywaliśmy przedtem, utrzymują też obejścia w większym porządku. Kopuły cerkwi są złocone, ci Rusini kochają się w wystawności i zbytku, czego niewątpliwie nauczyli się od rządzących nimi tak długo Mongołów.

Nadeszła wiosna i kraj pełen jest kwitnących sadów. Wczoraj minęliśmy bardzo rozległy niemal las jabłoni, a dziś przez okno zobaczyłem wzgórze pokryte jagodami, których kwiaty właśnie zaczynają tracić płatki. Na polach i w obejściach pracują liczni włościanie, a kobiety zajmują się bydłem, wszystkie zwierzęta zostawia się im właśnie.

Łucznicy powiadają, że chłopci przez cały rok zajmują się sianem i doglądaniem plonów, na zimę zaś gromadzą się w prowizorycznych wioskach. Nasz opiekun i gospodarz pochodzi z nowej szlachty – tych ludzi zwie się tu oprycznikami w odróżnieniu od bojarów należących do starych rodów szlacheckich. Opowiada się za reformami, które zwiążą chłopów z ziemią i określonymi majątkami. Dowódca oddziału łuczników utrzymuje, że wielu chłopów umiera zimą z głodu i chłodu i że przeżyć mogą, tylko jeśli właścicielom ziemskim, nakaże się dbanie o nich przez okrągły rok. Otrzymają też lepszą opiekę religijną, ponieważ ów oprycznik utrzymuje, że wielu z nich nadal składa ofiary ziemi i burzom, zabijając w zimie własne dzieci, co uważa raczej za grzech niż za zbrodnię. Ileż przypisania chłopów ziemi będą ich dręczyły takie okropności, jak głód, susza i brak ochrony podczas wojen. Car Iwan kiedyś był zdolny do przeprowadzenia takich reform, nikt jednak nie wie, czy jest w stanie zrobić to teraz. Mówi o carze w bardzo starannie dobieranych słowach, a jego niedomówienia skłaniają mnie ku myśli, że raporty o stanie carskiego umysłu nie były tak przesadzone, jak początkowo myśleliśmy.

Ufam., że hrabia Żary, rotmistrz lekkokonnych, powierzy ten Ust jednemu ze swoich postaćców i będzie z nich korzystał, jak długo będzie to

możliwe. Gdy stanie się inaczej, znajdę jakiś inny sposób na wysyłanie tych wiadomości bez wiedzy jezuitów.

Pokornie i własną ręką słowa te napisał Ferenc Rakoczy, hrabia Saint-Germain 28 maja 1583 roku w drodze do Moskwy, pieczętujący się znakiem Eklipsy

. 5 .

O świcie zawodzenia cara Iwana ukoił nieco dźwięk spiżowych kremlofskich dzwonów. Odpowiedziały im inne cerkiewne dzwony i powietrze napełniły metaliczne dźwięki. Złote kopuły cerkwi oświeciły pierwsze promienie słońca i pogrążone w mroku miasto zajaśniało splendorem.

Car Wszechrusi Iwan leżał na posadzce za zamkniętymi drzwiami swojej kaplicy, odgrodziwszy się od reszty świata, mierzwiąc dłonią brodę. Święci Gleb i Borys na ikonach obojętnie czekali na swoje męczeństwo. Drugą dłonią car zakrywał oczy przed promieniami słońca, które wdzierały się do kaplicy przez wysokie okno.

– Żadnego słońca, żadnego słońca – powtarzał jak modlitwę.

Jego osobisty sługa, wiekowy rzezaniec zezujący na prawe oko, obdarzony pięknym niczym dziecko głosem, zastukał w zamknięte drzwi i odczekawszy chwilę, aż ucichły dzwony, powiedział:

– Carze, wysłuchaj swego raba. Zgodnie z twoją wolą, pokornie i z bojaźnią przypominam ci, żeś kazał mi się zjawić o właściwej porze. Na twój dwór przybyli cudzoziemcy. Powiedziałeś, że dziś ich przyjmiesz.

– Cudzoziemcy byli w zeszłym tygodniu – odpowiedział car, przemyślawszy słowa Jarosława. – Już się z nimi widzia łem.

– Tamci byli Angliczanami, Ojczulku – oznajmił Jarosław przejęty coraz większym strachem. – Przybyli w imieniu Londyńskiej Kompanii Handlowej, żeby przyłączyć się do sir Jerome’a Horseya, sługi twojej przyjaciółki Elżbiety Angielskiej. Okazałeś już im wielką łaskę. Ci, o których mówię, przybyli od Stefana Batorego z Polski. Przyjechali przed dwoma dniami.

– Z Polski?! – zagrzemiał Iwan, ignorując nienawistne światło i otwierając gniewnie wielkie, błękitnozielone oczy. – Kogo on ośmielił się tu przysłać?

Przerażony Jarosław z trudem znajdował słowa.

– Przybyło ośmiu księży i jeden alchemik z Siedmiogrodu. Eskortują ich jeźdźcy – czterech kozaków i jeden rotmistrz szlacheckiego rodu. To wszyscy. – Z doświadczenia wiedział, że Iwan wymagał absolutnej dokładności w doniesieniach. Niestety, nie zdołał się dowiedzieć, jakie stopnie wojskowe mieli jeźdźcy.

– Kozacy – mruknął Iwan, wstając i otrzepując z resztek jedzenia złoty, brokatowy kaftan. – Stefan Batory przysłał mi kozaków.

– Nie, nie! – zaprotestował Jarosław. – Przysłał ci księży, ojczulku, ośmiu jezuitów i alchemika ze sługą. To nie armia, carze, tylko nieliczna eskorta. Pięciu jeźdźców, Ojczulku. Księża jest więcej.

– Stefan Batory mnie zaatakował – stwierdził Iwan, jakby lekko zbity z tropu. – Zaatakował mnie.

– Owszem, kiedyś tak. Ale nie teraz – stwierdził zdesperowany Jarosław. Pragnął bardzo, żeby Iwan otworzył drzwi i wpuścił go do środka, żeby mógł zrobić, co było konieczne dla poprawienia carskiego wyglądu, który nie powinien stawać się źródłem kolejnych plotek. Słyszając tylko głos cara, bał się, że niewłaściwie oceni jego stan psychiczny.

– Powiedziałeś, że to jezuici – stwierdził Iwan już spokojniejszym głosem.

– Ośmiu – przypomniał mu Jarosław. – Mają dziś zostać przyjęci. A ty, carze, masz swoje powinności. Oczekuje cię Rada, a pod Oknem Błagalników Złotej Komnaty zbrali się wieśniacy. Wszyscy szukają wsparcia w twojej mądrości. Pozwól mi wejść,

Ojczulku. Modliłeś się przez całą noc. Może będzie ci potrzebna moja pomoc.

– Owszem, modliłem się, modliłem się i modliłem przez całą noc, ale Bóg mnie nie wysłuchał, bo wciąż żyję. A mój syn mnie oskarża. Stoi przede mną i oskarża mnie! – Ostatnie słowa car wykrzyczał. Oparłszy się o ścianę, podniósł sztabę ryglującą drzwi. – Dobrze – odezwał się. – Opowiedz mi o tych cudzoziemcach.

Jarosław służył carowi dostatecznie długo, by zachowywać obojętną twarz, tym razem jednak musiał w to włożyć pewien wysiłek. Skłonił się carowi w pas i podszedł bliżej.

– Ojczulku, jakże usilnie się modliłeś.

– Leżałem krzyżem, twarzą do ziemi! Ja! Rzuciłem się do stóp Boga. Błagałem pokornie jak Judasz pod krzyżem. Bóg jednak nie raczył uwolnić mnie od tych wizji. Widziałem na ołtarzu leżącego i brozącego krwią Iwana, który głośno wypominał mi mój grzech... – Car podniósł jedną dłoń, by znów zasłonić oczy. – Wszystko na próżno, na darmo...

Jarosław podszedł bliżej.

– Ojczulku... – odezwał się głosem, jakiego mógłby użyć do uspokojenia rozdrażnionego wilczura – chodź ze mną. Są pewne sprawy, z którymi tylko ty możesz się uporać. Czeka na ciebie wielu ludzi. Zanim przyjmiesz cudzoziemców, powinienes coś zjeść i się wykąpać. Po południowej liturgii zbierze się cały dwór.

– Dlaczego akurat wtedy?! – zapytał nagle i ostro Iwan. Jego wzrok się rozjaśnił, w oczach błysnęła mu dawna przebiegłość.

– Sam tak postanowiłeś – stwierdził Jarosław. – Oznajmiłeś, że właśnie o tej porze zechcesz przyjąć cudzoziemców. To było trzy dni temu, Ojczulku, zanim pozwolono im wjechać do miasta. Pod eskortą łuczników trzymałeś ich za bramami Moskwy, zanim postanowiłeś, co z nimi zrobić. Wszyscy wyłażą ze skóry, żeby się stawić na twoje wezwanie.

– Tak – odpowiedział cicho Iwan. – Oczywiście. Wszyscy.

– Ojczulku. – Jarosław rozpoznał nawrót desperacji u cara i postanowił zrobić, co w jego mocy, żeby temu zapobiec. – To, że Batory przysłał do ciebie poselstwo, wszyscy uważają za dobry znak. Patriarcha już ogłosił, że widzi w tym rękę Boga. Zwiastuje to nowe czasy dla świętej Rusi.

– Nowe czasy... – Iwan wyciągnął przed siebie dłoń z poobijanymi knykciami. – Jakież mogą być te nowe czasy, skoro jestem zbrukany synowską krwią?

– Może miłosierny Bóg postanowił ją zmyć? – odpowiedział Jarosław, usiłując wyprowadzić cara z kaplicy tak, żeby go nie dotknąć.

Car niezbyt ochoczo przeszedł przez drzwi, a potem zatrzymał się przed wspaniałymi ikonami flankującymi wejście do kaplicy, przedstawiającymi dwa ogromne złote anioły – jeden trzymał rylec, a drugi włócznię. Pod aniołami wisiało kilka mniejszych ikon proroków, każda bogato złocona.

– To Trzeci Rzym – stwierdził Iwan z żarem w głosie, trzykrotnie się żegnając. – Tu właśnie będzie królował Chrystus po swoim powrocie.

Jarosław postąpił mądrze, też trzykrotnie się żegnając.

- Liturgia odbędzie się w soborze Uspeńskim. – Bardziej właściwe byłoby odprawienie liturgii w soborze Archangielskim, ale po zabójstwie syna car Iwan odmawiał wejścia do budowli, w której chowano władców Rusi, twierdząc, że i tak niedługo tam trafi.

Piękne to miejsce, sobór Uspeński – pomrukiwał, pozwalając się prowadzić Jarosławowi przez korytarze pałacu.

Gdy car pojawił się publicznie, był odziany w jeden ze swoich najlepszych kaftanów, iskrzący się od klejnotów i złotej nici; był to strój odpowiedni na powitanie emisariuszy króla Polski. Miał umytą i wyczesaną brodę, na głowę zaś wdział złotą, obrębianą futrem czapkę swojego ojca. Wyglądał godnie, okazale i jedynie ci, którzy mieli

okazję obserwować go podczas minionego roku, widzieli niebezpieczne błyski w jego oczach i drzenie carskich dłoni.

Przy wyjściu z pałacu Jarosław powierzył Iwana opiece brata jego synowej, energicznego i bystrego Borysa Fiodorowicza Godunowa, szepnąwszy mu tylko ostrzegawczo:

– Ojczulek całą noc spędził w kaplicy.

– Rozumiem – odparł Borys, natychmiast pojmując złożoność sytuacji, i skierowawszy uwagę na Iwana, skłonił się władcy głęboko i z pokorą. – Witaj, Ojczulku. Niechaj dobry Bóg obdarzy cię dziś swoją łaską. – Przystanął na moment, żeby przeżegnać się przed ikonami, a potem dał znak strażnikom, żeby otworzyli drzwi.

Iwan znieruchomiał przed ikonami.

– Zawsze patrzą... Nieważne, co zrobimy, oni zawsze patrzą.

– Żeby nam przypomnieć o tym, że Bóg widzi wszystkie nasze uczynki – odpowiedział gładko Borys. – Chodź, Ojczulku. Bez ciebie patriarcha nie zacznie liturgii.

– Nie, nie zacznie – odpowiedział car, prostując się i mierząc baczny spojrzeniem wartowników przy drzwiach. – Ci ludzie to potęga Rusi. Nigdzie nie masz tak mocnych jak oni.

– To prawda, Ojczulku – odparł Borys, starając się, żeby jego wypowiedź nie zabrzmiała jak uspokajanie nieprzewidywalnego starucha. – Jechali z tobą od Kazania do Pskowa. Każdego dnia na tysiące sposobów okazywali ci cześć i oddanie.

– Tak – wyszeptał car. – Byli mi wierni.

Stojący nieopodal wieśniacy, ujrawszy cara, padli na twarze i nie podnieśli się, dopóki władca z trzymającymi broń w pogotowiu strażnikami nie zniknęli w wejściu do soboru Uspeńskiego.

W cerkwi panował tłok, a powietrze pełne było dymu z kadzideł. Księża przeciskali się przez tłum, okadzając po drodze wszystkie ikony; ludzie czekali na rozpoczęcie liturgii.

Gdy Iwan dotarł na swoje miejsce, patriarcha zaintonował pierwsze słowa liturgii, które natychmiast powtórzone zostały przez chór. Gdy ruszyła procesja ikon, zebrani rozdzielili się, żeby dać kapłanom przejście, ponieważ w cerkwi nie było żadnych miejsc siedzących; podczas liturgii Rusini stali przed obliczem Boga. Liturgia odprawiana według św. Jana Chryzostoma była długa – trwała blisko dwie godziny. Podczas całej ceremonii Iwan raz tylko stracił panowanie nad sobą: podczas Uwielbienia Dziewicy gorzko się rozplakał.

Zanim ostatnie: “Ameeen...” ucichło, przy boku Iwana stanął już Borys Godunow.

– Ojczulku, cudzoziemcy już są. Wprowadzono ich do sali przyjęć Granowitoj Pałaty. Czekają tam od pewnego czasu. Pozwól, że ich powiadomimy o twoim nadejściu.

– Cudzoziemcy powinni czekać, dopóki nie złożymy hołdu Bogu – odparł Iwan dość spokojnie. – Byłoby bardziej właściwe, gdyby towarzyszyli nam podczas liturgii.

– Jezuici tego zrobić nie mogli – przypomniał mu Borys. – To byłoby wbrew temu, czego ich nauczono.

Iwan rzucił mu gniewne spojrzenie, a jego twarz oblekła się chmurą.

– Więc ich religia jest fałszem. My pozwalamy każdemu wchodzić do naszych cerkwi i modlić się do Boga. Jeżeli im tego robić nie wolno, ich religia jest fałszywa.

– Bardzo możliwe, Ojczulku – odparł Borys, żeby zapobiec kolejnemu wybuchowi gniewu. – Ale pozwól im szukać własnej drogi do Boga. Sam powiedziałeś, że jedna jest tylko droga dla każdego człowieka.

– Hm... – Iwan myślał przez chwilę o tym, co usłyszał, a potem kiwnął głową.

Podchodzili już do Granowitoj Pałaty, ze wspaniałym

renesansowym frontonem, który zachwycał każdego patrzącego. Fasety pałacu, wciąż uznawanego za jeden z najbardziej okazałych budynków Kremla, były dziełem Marca Ruffa i Pietra Antonia Solariego, którzy stworzyli je niecałe sto lat wcześniej.

– Ci cudzoziemcy nie przybyli tu z wojną, lecz z pokojem – ciągnął Borys, bardzo uważnie obserwując Iwana. – To ludzie Kościoła, którzy nie chcą, żeby w bitwach ginęli żołnierze.

– A jednak wielokrotnie im się to nie udawało, wszystko dlatego, że ci jezuici pragną nawrócić Ruś na swoją fałszywą religię. – Iwan podniósł dłoń i poprawił koronę na głowie. – Wysłucham, co mają do powiedzenia, a potem zrobię z nimi to, co uznam za najlepsze.

– Jak zawsze jesteś najmądrzejszy – stwierdził Borys, gdy zbliżali się do Granowitoj Pałaty. – A my będziemy radzi, mogąc się od ciebie uczyć. – Raz jeszcze się nisko uklonił; jako bojar nie musiał padać przez carem na twarz.

Kolejny oddział straży przybocznej otoczył cara przy wejściu do rozległej i wysoko sklepionej Sali Audiencyjnej, gdzie już przedtem porozsiadali się na swoich miejscach obleczeni w kapiące złotem kaftany bojarzy.

– W której komnacie ich trzymają? – zapytał Iwan najbliższego stojącego strażnika.

– W Krasnoj, Ojczulku – odparł służbiście wojak.

– Wielki to honor – stwierdził Iwan, który nawet ruskim bojarom często odmawiał wstępu do tej komnaty, bo uznawał, że jest zbyt piękna, żeby ją pokazywać wszystkim gościom.

– Okazanie szacunku papieżowi nikomu nie ujmuje honoru – stwierdził strażnik. – Zasugerowali to Wasyl i Anastasij Szujscy.

– Szujscy! – sarknął Iwan z mieszanką niechęci i aprobaty w głosie. – Ci moi krewniacy okazują cudzoziemcom zbyt wiele respektu!

– Sam patriarcha stwierdził, że to będzie mądre posunięcie –

odezwał się bardzo łagodnie inny ze strażników. – Papież jest równy chrześcijańskim książętom.

– Aaaa... – z tym conceptem Iwan skłonny byłby się pogodzić. Kiwnął głową i przeczesując palcami brodę, patrzył, jak bojarzy zajmują miejsca w rozległej sali. Na krótko jego uwagę przyciągnęła piękna mozaika na posadzce, a potem zaczął obserwować swoich dworzan. – Gdzie są miska i ręcznik?

– Zaraz przyniosą je słudzy – zapewnił go najbliżej stojący gwardzista. – Chcieli się upewnić, że zanim to zrobią, swoje miejsce zajmie carewicz Fiodor.

Iwan uciekł wzrokiem z bok, a jego nozdrza drgnęły nagle, jakby zwęszył urynę.

– O tym, oczywiście... nie pomyślałem.

Zaledwie przed rokiem Fiodor podczas innej audiencji cudzoziemskich posłów ośmieszył ojca, zabawiając się po swojemu z wodą w misce. Wszyscy udali, że traktują okropną gafę tak, jakby Fiodor naśladował skomorochów śpiewających i dających przedstawienia lalkowe na rynku w dzień targowy. Ale do czegoś takiego nie można było ponownie dopuścić.

– Gdy carewicz zajmie swoje miejsce, będziemy gotowi – odezwał się jakiś stojący za nim strażnik, Iwan jednak odebrał to tak, jakby głos dobiegł z góry, ze sklepienia, albo od samego Boga z niebios.

W przedsionku sali wszczął się nagły ruch sygnalizujący przybycie łagodnego, niedorozwiniętego umysłowo Fiodora; Anastasij Siergiejewicz Szujski obleczony w czerwono-złoty kaftan i wysoką, futrzaną czapę przemknął do Krasnoj Komnaty, skłoniwszy się z szacunkiem przedstawicielom polskiego poselstwa.

– Jesteśmy już niemal gotowi na wasze przyjęcie – stwierdził po grecku, skinieniem dłoni wzywając ich do wejścia.

Ojciec Pogner, który rozumiał grekę, choć kiepsko nią władał,

zwrócił się do Rakoczego:

– Powiedz mu, że i my jesteśmy gotowi.

Rakoczy odpowiedział po rusku i przekazawszy słowa ojca Pognera, dodał:

– Powiedz nam, panie, co mamy robić. Nikt nas nie poinstruował. – Hrabia wdział sobolowe futro, bardzo niewygodne w czerwcowym upale, narzucając je na jedwabny dolman wyszywany złotem i purpurą. Z jego srebrnego kołnierza zwisał pektorał w postaci uniesionych skrzydeł otaczających ciemny, lśniący klejnot.

Anastasij z ulgą powitał wiadomość, że nie musi mówić po grecku.

– Nie wolno wam dotknąć cara. Możecie się zbliżyć dopiero, gdy zostanieie wezwani, w przeciwnym razie trzymajcie się z daleka. Po tym, jak umyje ręce, musicie opuścić pałac. Nie musicie padać przed nim na twarz, trzeba wam jednak skłonić się tak samo nisko, jak się kłaniacie królowi Stefanowi. Zrozumieliście?

– Myślę, że tak – odpowiedział Rakoczy. – Co jeszcze?

– Skoro jeden z was zna ruski, myślę, że jakoś sobie poradzimy. Ojczulek zna biegle wiele języków, rad jest jednak, gdy obcy zwracają się do niego po rusku. – Anastasij rozejrzał się po komnacie. – Mój kuzyn Wasyl robi, co trzeba, żeby was przedstawić.

– Nie ty, panie? – zapytał nieco zaskoczony Rakoczy, gdy przetłumaczył ojcu Pognerowi zasadniczą część wypowiedzi Rusina.

– Obawiam się, że nie mam odpowiednio wysokiej pozycji na dworze – odparł Anastasij z krzywym uśmiechem na ustach. – Niezależnie od tego, jak szlachetna i stara jest rodzina przedstawiająca na dworze cudzoziemców, zawsze musi to robić jej senior. Taki jest nasz zwyczaj. – Złożył na piersi ramiona. – Mój kuzyn jest ode mnie wyższy, szczuplejszy i ma jaśniejsze włosy, ale poza tym wyglądamy podobnie. – Spojrzał na Rakoczego. – Już was sobie przedstawiałem.

– Owszem, rozpoznałem go – odparł Rakoczy, nie zadając sobie nawet trudu, żeby spojrzeć na ojca Pognera. – Dokąd mamy się udać po prezentacji?

– Wróćcie tutaj i zaczekacie na mnie. Zabiorę was w miejsce, które car uzna za odpowiednie, by was zaprezentować dworowi. Pamiętajcie, nie dotykajcie nikogo, chyba że ktoś zechce podać wam rękę. – Szujski skłonił się lekko, odwrócił i wyszedł do Sali Audiencyjnej.

Teraz na czoło grupki wysunął się Pogner z twarzą zastygłą w wyrazie gniewu.

– Kim oni są, żeby nam mówić, co mamy robić i jak się zachowywać?

– Są ludźmi, z którymi trzeba nam będzie pertraktować – odparł spokojnie i łagodnym głosem Rakoczy. – Jeżeli to oznacza, że mamy skubać dla nich kurczęta, będziemy to robić. – Powiódł wzrokiem po gromadce księży. – Dobrzy ojcowie, przybyliście tu ze względu na interes Polski. Tak będzie bezpieczniej.

Jedynie Kownowski wyglądał na przejętego i ucieszonego perspektywą dworskiej prezentacji: ojcowie Tymon i Wincenty byli niemal przestraszeni, Milan Krabbe raczej podenerwowany niż przestraszony, a Brodzki, Łomża i Dodek starali się zachować obojętność wobec wszystkiego, choć żaden nie udawał, że się modli. Wdziali habity, ich pasy przetykane były złotem, mieli też duże, złote i nabijane klejnotami krucyfiksy. W porównaniu bogato odzianymi Rusinami wyglądali niemal na biedaków.

Ojciec Pogner gotów był się spierać z Rakoczym, ale stracił okazję, gdy do Krasnoj Komnaty weszli dwaj rośli gwardziści uzbrojeni w tatarskie bojowe topory i skłonili się gościom, wskazując im wejście do Sali Audiencyjnej. Niestety, polscy delegaci nic zobaczyli nigdzie kuzyna Szujskiego, Wasyla.

Carski dwór zaplanowano tak, żeby robił wrażenie; wszystko było wspaniałe – od rozległości komnaty po bogactwo strojów bojarów, z których każdy miał na sobie kaftan ze złotogłowiu wszytymi w kołnierze klejnotami. Ich wysokie, futrzane czapy ozdobione były nieoszlifowanymi drogimi kamieniami i perłami. W komnacie było kilkuset ludzi i wszyscy patrzyli na wysokiego, siedzącego sztywno pod tylną ścianą, ponurego człowieka odzianego jeszcze bardziej okazale niż pozostali. Niewielka grupka polskich posłów w głębokiej ciszy zbliżyła się do siwowłosego starca w koronie oblamowanej futrem.

Rakoczy i bez ostrzeżenia Szujskiego odgadł, jak blisko polscy emisariusze mogą podejść do cara, nie gwałcąc dworskiego protokołu. Zbliżywszy się na podwójną długość ramienia, zatrzymał się i opadł na jedno kolano, zdejmując jednocześnie swą aksamitną, czarną czapkę.

– Najwspanialszy z carów Wszechrusi, Iwanie – zaczął.

Jego głos rozlegał się po całej sali, nim jeszcze jezuici klękali. – Przybyliśmy od króla Polaków, Stefana Batorego, który pozdrawia cię jak brata i modli się teraz, błagając Boga o to, żeby umożliwił jemu i tobie zakończenie sporów w celu wspólnego wystąpienia przeciwko Turkom.

Iwan przechylił głowę w bok i przez chwilę uważnie wpatrywał się w twarz Rakoczego.

– Nie jesteś z Polski – odezwał się wreszcie.

– Nie, nie jestem. Pochodzę z Siedmiogrodu, a w moich żyłach płynie krew nie gorsza od krwi króla Stefana. Dopóki nie podbito moich ziem, tytułowałem się księciem. Teraz jestem hrabią na wygnaniu. Przybyłem tu na osobistą prośbę króla Stefana. – Rakoczy mówił spokojnie, wyraźnie. Widział, że nastrój cara waha się od gniewu do smutku. Zastanawiał się, co w jego odpowiedzi tak

poruszyło władcę Rusi i jak uniknąć takich błędów na przyszłość.

– Kapłani są Polakami – stwierdził Iwan oskarżycielsko.

Ojciec Pogner odpowiedział po polsku, Rakoczy zaś przełożył to na ruski.

– Jesteśmy w tej samej mierze wysłannikami Kościoła co króla Stefana. Ojciec Krabbe jest Czechem, ojciec Dodek jest Prusem. Ja pochodzę z Galicji. Każdy z nas jest winien świecką lojalność królowi Stefanowi, nasze dusze zaś należą do Kościoła.

– Przełożyłeś to wiernie – odezwał się Iwan, gdy Rakoczy skończył przekład. – Cieszy mnie to, żeś nie zmienił słów kapłana. Ci, którzy zmieniają słowa sług bożych, zasługują na potępienie. – Car potoczył wzrokiem dookoła, na chwilę zatrzymując spojrzenie na pyzatej twarzy carewicza Fiodora. Potem zwrócił oczy na swój dwór.

W tej chwili do Iwana podszedł ciemnooki, urodziwy dworzanin o pociągłej, azjatyckiej twarzy, mający najwidoczniej uprzywilejowaną pozycję. Gdy szeptał carowi coś do ucha, Rakoczy uważnie mu się przyglądał, podziwiając zręczność, z jaką nieznajomy radził sobie z nieprzewidywalnym władcą.

– Godunow ma rację – oznajmił Iwan, gdy brat jego synowej się oddalił. – To godni ludzie. I powitali nas z honorem, jak należy. Trzeba zrobić wszystko zgodnie z ceremoniałem, bo inaczej nasz dwór okryje się niesławą. – Westchnął głęboko. – A na mnie ciąży ogromna odpowiedzialność. – Niezbyt ochoczo wstał i podszedłszy bliżej, ujął dłonie Rakoczego w swoje ręce. – Niechaj Bóg cię strzeże na naszej świętej Rusi.

Rakoczy pochylił głowę, powiedział:

– Amen – i dopiero wtedy podniósł wzrok na cara. Nie odezwał się, tylko przez chwilę patrzył w wielkie, ciemne, przepełnione troską oczy, na których dnie błyskały iskierki szaleństwa.

Car w taki sam sposób powitał każdego z kapłanów, a potem z

widoczną ulgą cofnął się ku tronowi. Klasnął w dłonie i dwaj strażnicy przynieśli mu sporą miskę z wodą, którą podtrzymywali, gdy umywał dłonie. Inny ze sług podał mu ręcznik. Osuszywszy dłonie, car oddał ręcznik służce i podniósł ręce tak, by pokazać je całemu dworowi.

Carewicz Fiodor skwitował to radosnym okrzykiem, ale wszyscy pozostali zebrani zamilczeli.

I wtedy Iwan zrobił coś nieoczekiwanego, a wszyscy zebrani w Sali Audiencyjnej Granowitoj Pałaty patrzyli jak zaczarowani, car bowiem nagle zawrócił i ponownie, jakby kierowany siłą, której nie mógł się oprzeć, podszedł do Rakoczego, a potem dotknął jego pectorału ze srebrnych skrzydeł.

– Carze? – odezwał się Rakoczy świadom tego, że postępuje wbrew ceremoniałowi.

Iwan dotknął gładkiego kamienia, który był w sercu eklipsy. Patrzył i gładził kamień palcami wskazującym i serdecznym. Jego oczy pełne były uczucia wykraczającego daleko poza chciwość i pożądanie. W końcu spojrzął na Rakoczego.

– Nie znam takiego klejnotu – powiedział bardzo spokojnie i łagodnie.

– To szafir, o wielki carze – odpowiedział cicho hrabia.

– Szafir? – Iwan odstąpił i cofnął dłoń, jakby bojąc się, że klejnot może ją sparzyć. – Ale jest czarny i płonie czernią!

– O wielki carze, czarne szafiry istnieją – odparł Rakoczy i zaryzykował, dodając: – Chciałbyś mieć jeden z nich?

Iwan ponownie sięgnął do pectorału Rakoczego i zdumiał się, gdy hrabia zrobił krok wstecz.

– Ma jakąś cenę?

– Ten nie jest na sprzedaż – stwierdził Rakoczy. – Jest bardzo stary i... od zawsze stanowi dziedzictwo mojej rodziny. Nie mógłbym się z nim rozstać, nie ściągając na siebie nieszczęścia... – Klejnot był jego

dziełem, przed ponad siedmiuset laty wykrystalizował go dla Ranegondy. Przerwał w nadziei, że Iwan zechce go wysłuchać. – Mam jednak inne, i możesz, o carze, wybrać taki, który najbardziej ci się spodoba, jeśli to cię zadowoli.

– Ile ich masz? – zapytał Iwan, na którego twarzy malowało się teraz najwyższe zainteresowanie.

– Jeżeli dobrze pamiętam, jedenaście. Nie wszystkie są ciemne jak ten, mają rozmaite odcienie od granatu po czerni. – Urwał na chwilę. – Mam też szmaragdy, ametysty i rubiny. Mam i czarne perły. – Ostatnie stwierdzenie było dość niebezpieczne, ponieważ wielu ludzi uważało, że czarne perły są wrogie człowiekowi i zwiastują żałobę.

– Obejrzę wszystko – stwierdził car i spojrzał na Borysa Godunowa. – Załatw to. Przyjmę tego księcia w mojej komnacie. Was też. – Wykonał dłonią gest obejmujący jezuitów. – Będziecie asystą księcia, który jest przedstawicielem waszego króla. Macie wykonywać jego polecenia, jakby pochodziły z ust króla Stefana. – Urwał i przez chwilę wpatrywał się w pectorał Rakoczego. – Jedenaście ciemnych szafirów. Szmaragdy. Ametysty. Przynieś je wszystkie, czarne perły także.

Zebrani w sali bojarzy zareagowali stłumionymi, pełnymi zdumienia szeptami, ale nikt nie ośmielił się sprzeciwić rozkazowi Iwana. Rozmowy miały rozpocząć się później, gdy car nie będzie mógł już ich usłyszeć.

Iwan klasnął w dłonie, dając znak, że przyjęcie i audyencja się skończyły, i zanim bojarzy zdążyli wstać i pożegnać go ukłonami, wyszedł z sali energicznym krokiem, jakby odmłodniał o dwadzieścia lat. Oprycznicy musieli nieźle wyciągać nogi, żeby za nim nadążyć.

Gdy tylko car opuścił Granowitą Pałacę, bojarzy wszczęli gorączkowe, acz ciche rozmowy. Przy wejściu do sali zostali sami jezuici i Rakoczy.

Zaraz potem do hrabiego podszedł Borys Godunow i złożył mu lekki ukłon.

– Bojarzy są zaniepokojeni tym, że Ojczulek nie umył dłoni po dotknięciu twojego szafiru – wyjaśnił, skinieniem dłoni wzywając jezuitów do wstania z klęczek. – Przed dwoma laty nie zapomnieliby się tak.

Rakoczy wstał i z uwagą spojrział na wyrażającą przebiegłość twarz Godunowa.

– Zakładam, że niektórzy z bojarów uznają to za zły znak.

Borys nie odpowiedział od razu i przez chwilę patrzył na rozchodzących się, odzianych z pozłociste kaftany mężczyzn, którzy starannie unikali spoglądania w kierunku polskich posłów.

– Jeżeli weźmie się jeszcze pod uwagę te czarne perły, to obawiam się, że masz rację, hrabio.

List ojca Milana Krabbe do arcybiskupa Antonina Kutnela, znaleziony i skradziony przez służbę:

W imię Trójcy Przenajświętszej, pozdrawiam Waszą Ekszelencję i modłę się o jej powodzenie we wszystkich przedsięwzięciach.

Minęły dwa miesiące od naszego przyjazdu do Moskwy i miejscowi wciąż nas unikają, jakbyśmy przywieźli ze sobą zarazę. Tutejsza szlachta jest głęboko przesądna i żywi przekonanie, że zaraziliśmy cara samą swoją obecnością, więc wszyscy nas omijają. Rozmawiają z nami jedynie przedstawiciele poselstwa angielskiego, ale i oni ograniczają się do kilkuminutowej wymiany zdań. Księża prawosławni nawet dość chętnie dyskutują z nami o wersjach Pisma, nie dopuszczają jednak do siebie myśli, że ich przekłady mogą być niedokładne, natomiast bardzo starannie wytykają nam błędy naszej wersji spisanej po łacinie. Nieustannie zapewnia się nas, że już wkrótce szlachta zacznie nas lepiej przyjmować,

ale do tej pory nic z tego nie wychodzi. Co prawda otuchy dodaje wszystkim nieco fakt, że bojarzy nie bez przychylności traktują hrabiego Rakoczego Saint-Germaina, który został nawet zaufanym człowiekiem cara Iwana. Ojciec Pogner nalega, żeby hrabia przekonał Iwana, iż ten powinien rozciągnąć zaufanie na pozostałych członków poselstwa, ale bez widocznych rezultatów.

Tutejsi ludzie nauczyli się budować domy z drewnianych, przygotowanych wcześniej elementów i belek, co trwa nie dłużej niż tydzień. Trzeba im tylko powiedzieć, ile i jak wielkie mają być komnaty, i te wiadomości przesyła się na plac budowy. Powiedziano mi, że w tym zbudowanym z drewna mieście liczne i częste bywają pożary, taki sposób budowania jest więc niezbędny, jeżeli podczas długich i surowych zim ludzie nie mają zamarzać na śmierć pod gołym niebem. Domy ogrzewa się zwykłymi, kaflowymi piecami, które dostarczają dostatecznego ciepła, niekiedy jednak stają się przyczynami pożarów, i stąd konieczność szybkiego budowania z wstępnie przygotowanych już elementów.

Rakoczy ma już dom w dzielnicy pełnej złotników i jubilerów, nieopodal Kremla, i zajął się ozdabianiem go w ruskim stylu, czym zaskarbił sobie względy takich bojarów, jak kuzynowie Szujscy i Borys Godunow, który jest tu postrzegany jako przyszły regent Fiodora, jeżeli ten zostanie carem; Godunowa bojarzy jednak nie lubią, mimo iż car obdarza go zaufaniem. Powiedziano mi, że jego matka jest Tatarką, i to wystarcza, by wielu bojarów widziało w nim zdrajcę. Mówiłem o tym Rakoczemu, ten jednak mi odpowiedział, że to nie ma znaczenia, ponieważ Godunow jest prawą ręką cara i dlatego naszym najcenniejszym sojusznikiem.

Mówiłeś, Ekscelencjo, że wśród prawosławia nie masz tylu zakonów, ile ich jest w naszym świętym Kościele. Mają tylko jedną Regułę dla mnichów, jedną dla księży i jedną dla wyższych cerkiewnych dostojników. Kilku z nich powiedziało mi, iż wierzą oni, że istnienie zakonów powoduje podziały w Kościele i nie jest zgodne z naukami Chrystusa. Widzę pewien

sens w takim rozumowaniu, choć nie bardzo byłem skłonny się z nim pogodzić, ale zaskoczyła mnie wiadomość, że bardzo nieliczni mnisi i księża potrafią czytać, pisać i nikt ich do nauki nie zachęca. Treść Pisma przekazują sobie ustnie, tak jak opowieści o księciu Igorze albo o dawno już nieżyjących założycielach Kijowa. Gdy zapytałem o powód takiego podejścia, powiedziano mi, że czyta nie nieuchronnie prowadzi do kontrowersji i dlatego niechętnie traktuje się zapisy, Pisma uczą się na pamięć i powtarzają je wiernie i z pokorą. Wielu księży wierzy, że gdyby katolicy nie umieli czytać, nic powstałby nasz Zakon Jezusowy. Obwiniają nas też o rachubę czasu zaczynającą się od narodzin Chrystusa – ich kalendarz rozpoczyna stworzenie świata, co wedle powszechnych tu wierzeń nastąpiło nieco ponad siedem tysięcy lat temu. Twierdzą też, że inna rachuba czasu oznacza stawianie Chrystu sa ponad Boga Ojca, co uznają za herezję. Gdy poprosiłem o wyjaśnienia, obiecali mi, że wszystko wyłoży mi ojciec Grigorij, czego jednak do tej pory się nie doczekałem.

Ostatecznie muszę zakomunikować Ekscelencji, że znalazłem dla Niego kilka książek, ale po grecku. Powiedziano mi, że pisma ruskie są tylko dla Rusinów i nie wolno ich wywozić za granicę. To tak, jakby się obawiali, że ich myśli uschną i zwiędną z dala od rodzimej gleby. Kiedy wspomniałem o tym Rakoczemu, licząc na to, że jakoś mi pomoże, odpowiedział, że nie tylko idee usychają i umierają z dala od rodzimej ziemi. Nie jestem pewien, czy mówił to poważnie czy żartował.

Wszystkie te wiadomości pochodzą z centralnego targu Moskwy, który umiejscowiono tu przed główną bramą Kremla, skąd rozciąga się widok na cały plac. Spotyka się tu bogactwo owoców i plonów, jakiego nie widziałem w Czechach ani w Polsce – są tu jagody i melony takich rodzajów, jakich nigdy wcześniej nie znałem. W wielkiej obfitości i z daleka zwozi się jabłka i inne owoce. Na tym rynku można też znaleźć wszelkiego rodzaju ziarna zbóż i kwiaty. Przywożą tu nawet żywe ryby w wielkich beczkowszach napelnianych słoną wodą z Morza Czarnego.

Można tu też nabyć płótna lniane i jedwabie, choć najlepszych materiałów tu nie znajdziesz – te bowiem mogą kupować tylko szlachta i bojarzy. Z broni wystawiają na sprzedaż jedynie topory i noże, inne są bardzo nieliczne, bo ten rodzaj handlu kontroluje wojsko. Wszystko jest tu z drewna, od materiałów budowlanych na domy, o czym już wspominałem, przez meble takie jak krzesła i szafy, po szczapy na opal. Za wschodnimi bramami miasta kwitnie handel końmi, byłem i trzodą chlewną. Mówi się tu, że w dobre dni sprzedają i kupują po pięć tysięcy koni.

Do tej pory widzieliśmy niewiele ruskich szlachcianek. Przez większość czasu trzymane są w zamknięciu, choć niekiedy pokazują się na dworze podczas szczególnie uroczystych okazji. Wieśniaczki nie mają tych ograniczeń i często je można spotkać na targach albo pracujące obok swoich mężów przy kramach. Zony bojarów i szlachcianki żyją jednak w swoich kobiecych komnatach pod nadzorem, niemal jak kobiety w haremach. Wszyscy nieustannie plotkują o rywalizacji wielkich rodów i ich przestępstwach, nie słyszałem jednak, żeby kogoś oskarżono o cokolwiek wprost i bezpośrednio. Kobiety pozostają tajemnicą. Ale podczas rzadkich okazji, kiedy są obecne na dworze, wymaga się, żeby przy każdym z bojarskich rodów była przynajmniej jedna, ponieważ brak takowej uznano by za obrazę cara. Dlatego też każdy z mieszkających w Moskwie magnatów na takie uroczystości ma przynajmniej dwie lub trzy kobiety w swoim domu. Powiedziano nam, że większość z tych kobiet potrafi doskonale szyć i szydełkować.

Anglicy okazali nam sporą gościnność, czemu jesteśmy bardzo radzi i ochoczo przyjmujemy ich zaproszenia, bo wszyscy w tym kraju jesteśmy obcy. Nie są ludźmi pełnymi szacunku i piją zdrowie swojej królowej z towarzyszeniem takich toastów, które Polaka kosztowałyby głowę. Zgadzam się jednak w tym względzie z Rakoczym i skoro mam się uczyć od jednych cudzoziemców, hędeń korzystał z każdej okazji, żeby poznawać i innych. Być może, kiedy nasze poselstwo zostanie odwołane do Polski,

będziemy wiedzieć więcej o Anglikach niż o Rusinach.

W Moskwie panują teraz upały, a powietrze jest duszne. Nocami często zdarzają się burze i słyszeliśmy, że ich powodem są carskie błagania Niebios o odpuszczenie win. Pioruny wywołały dwa pomniejsze pożary, szybko jednak je ugaszono, a na pogorzeliiskach wznosi się już nowe budynki. Najgorsze są dokuczliwe owady. Nie ma sposobu, żeby uniknąć pogryzienia i paskudnego swędzenia, które odczuwa się potem. Niektórzy z pustelników utrzymują, że wszy są źródłem oczyszczenia duszy poprzez umartwienia, ja jednak nie wierzę, żeby wolą Pana było poddawanie Jego sług takim cierpieniom. Postanowiłem skorzystać z propozycji Rakoczego, który ma pewien specyfik wcierany we włosy przeciwko wszom. Hrabia zdołał oczyścić moje płuca – może potrafi uczynić to samo z moimi włosami?

Kończę ten list zapewnieniami o moim, oddaniu Waszej Ekscelencji i jedynie prawdziwemu Kościołowi katolickiemu oraz Panu Naszemu, Jezusowi Chrystusowi.

Napisałem to własnoręcznie zgodnie z Waszymi, Ekscelencjo, zaleceniami.

Milan Krabbe, członek Towarzystwa Jezusowego 9 sierpnia AD 1583, Moskwa, dzielnica złotników.

. 6 .

Rothger stał na szczycie schodów, zastępując drogę do drzwi gabinetu Rakoczego; jego twarz, oświetlona płomieniem oliwnego kaganka, ściągnięta była troską. W domu panowała cisza, słychać było jedynie odległy szum wiatru i pohukiwania polujących nocą sów.

Ruszając w górę schodów, Rakoczy spojrział na sługę i potrząsnął głową, uśmiechając się sardonicznie.

– Czyżbyś się martwił, stary druhu?

Milczenie Rothgera było dość wymowną odpowiedzią.

– Nie musisz się trapić – stwierdził Rakoczy. Kiedy szedł po schodach, odsłoniło się rozdarcie czarnego, wełnianego kontusza na rękawie i drugie od pasa do krawędzi szaty kończącej się o szerokość dłoni nad kolaniem.

– Zbliża się świt – stwierdził sługa, nie komentując wyglądu pana.

– Tak, tak. Wiem – odpowiedział cicho Rakoczy, siadając na schodach w połowie podestu. – Obiecałem, że wrócę przed wieczorną modlitwą, i mocno się spóźniam. – Zdejmując futrzaną czapę, musnął dłonią holenderski zegarek ukryty w rozdartym rękawie i przygładził fałdy, a potem potarł się po karku. W końcu wstał. – Nie rób mi wyrzutów, napracowałem się dziś za nas obu. – W świetle lampy widać było prostą linię jego lewej brwi i mocno zarysowanego nosa, a także lewą część górnej wargi, resztę twarzy ukrywał cień.

Rothger zszedł kilka stopni niżej.

– Niepokoilem się.

Rakoczy kiwnął głową.

– Ja też. – Oparłszy oba łokcie o wyższy stopień, odchylił się w tył i spojrział w rozciągający się mrok. Krawędź stopnia wparła się w jego

plecy. – Dziś... było trudniej.

– Gorzej niż przedtem. – Nie było to pytanie, obaj mężczyźni wiedzieli, jak niebezpieczne jest ich położenie.

– Tak. Gdy z nią byłem, niewiele brakło, a by się obudziła. – Parsknął krótkim, pełnym smutku śmiechem. – Powinienem być ostrożniejszy. Ale tak słodko śniła i pogrążyła się w radości... Była wspaniała i tak bardzo oddałem się jej namiętności, jak tylko mogę, gdy one śpią. Potem przyszło mi na myśl... że ona może mnie uwolnić w głębszym śnie. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że jej potrzeba współdziałania dorównuje jej namiętności. Gdy zbierałem się do odejścia, objęła mnie nie z wdzięczności, ale z potrzeby zaspokojenia samotności. – Ponownie potrząsnął głową, tym razem wolniej. Pomyślał przelotnie o Estasii z czasów, zanim zatraciła się w religii. Dzisiejszej nocy Ludmiła przywołała w nim tęsknotę za nią. – Może powinienem był to przewidzieć, zaplanować, ale... – Wzruszył ramionami.

– Czy cię rozpoznano? Czy ona wie, kim jesteś? – zapytał Rothger, starając się nie okazywać głosem żadnych emocji.

– Skąd miałyby wiedzieć? Widziała mnie jedynie we śnie, a jej wizję zmyliło pożądanie innego mężczyzny. Gdyby zaczęła podejrzewać... – Urwał, a gdy podjął wątek, w jego głosie zabrzmiało znużenie: – Nawet gdyby o mnie usłyszała, nigdy nie przyjdzie jej do głowy, że ja słyszałem o niej. Skąd mógłbym ja znać? jest żyjącą w odosobnieniu córką ruskiego bojara, nie bierze udziału w sprawach tego świata. – Ponownie spojrzął w gęste cienie zalegające parter. – Gdyby znaleziono ją ze mną, to by ją zniszczyło. Gorzej, oni by ją za to zabili.

– Ciebie też, panie – wytknął mu Rothger.

– No, przynajmniej mieliby jakiś powód stwierdził spokojnie Rakoczy. – W świetle ich poglądów zrobiłem coś, za co powinienem

ponieść śmierć. Umrzeć z tego powodu... – Uciekł wzrokiem w bok, ale po chwili podjął wątek: – Musiałem ją ponownie uspić i zaczekać, aż pograży się w innym śnie, zanim mogłem odejść, nie ryzykując wszczęcia alarmu.

– Chcesz powiedzieć, panie, nie ryzykując, że ona odkryje, kim jesteś – uściślił Rothger.

– Mmmm... – Rakoczy zrobił gest pełen fatalistycznej rezygnacji.

– Czy nie możesz poczynić jakichś uzgodnień z tą rodziną? – zapytał Rothger po chwili milczenia.

– Cudzoziemcom nie wolno trzymać konkubin – odpowiedział Rakoczy. – Za bardzo to pachnie zwyczajami Złotej Ordy. A ja nie mam możliwości starania się o rękę tej dziewczyny. Nawet zresztą gdyby w tym domu była kobieta... skłonna okazać mi przychylność, istniałoby niebezpieczeństwo, że wyznałaby spowiednikowi coś, co mogłoby się okazać kłopotliwe.

– Czy byłoby to bardziej ryzykowne niż to, co robisz teraz, panie? – zapytał Rothger i zawiesił głos.

– Masz na myśli to, że oskarżenia ze strony kobiety można by zignorować? A niby czemu miałbym pragnąć takiej kobiety? Albo ona mnie? – Rakoczy wstał wolno i kilkakrotnie poruszył ramionami, jakby chciał je rozluźnić. – Co prawda możesz mieć rację. – Spojrzał na rozdarcie kontusza. – Sądzisz, że to się da naprawić?

– Zadbam o to, żeby nie zobaczyła tego służba. Odłóż go gdzieś, panie, a ja obejrzę to rano. W razie wątpliwości sam zadecydujesz – odpowiedział Rothger, godząc się z brakiem odpowiedzi. On także wstał. – Chcesz się wykąpać czy będziesz spał?

– Wykąpię się – odpowiedział natychmiast Rakoczy. – Czuję, że błoto na mnie zaczyna wysychać. – Podeszedłszy kilka kroków w górę, zatrzymał się na chwilę. – Zastanawiam się, czemu tak nie lubię tej ziemi, choć moja rodzinna gleba zawsze mnie uzdrawia.

Nie spodziewał się, że Rothger zareaguje na jego słowa, i zdziwiło go, gdy ten stwierdził:

– Jak wszystko, co żyje, potrzebujesz, panie, pożywienia i pokarmu.
– Głos sługi załamał się na chwilę. – Potrzebujesz dotyku... i czegoś więcej. Jesteś skazany na życie.

Na twarzy Rakoczego pojawił się kpiący uśmiezek.

– Zasłużyłem na to, żebyś zwrócił przeciwko mnie moje własne słowa. Dobrze, przyjmę przytyk. Nie będę ci się narzucał ze swoimi narzekaniami, nie dziś. – Rzucił Rothgerowi futrzaną czapę. – Przynajmniej to się da uratować.

Rothger chwycił kołpak w locie.

– Twoje ubranie, panie? Co się stało? – Wskazał rozdarcia kontusza.

– Och, nic, czym warto by się przejmować. – Uśmiech zniknął z twarzy hrabiego. – Gdy wychodziłem, zaczepiłem o ostry fragment rzeźbionej framugi okiennej. Dach był stromy i kiepsko wzmocniony, źle obliczyłem odległość.

– Oba rozdarcia powstały przy framudze? Dolna część kontusza i rękaw? – zapytał ostrożnie Rothger. – Rozcięcie na rękawie jest równe i proste.

– Sugerujesz, że to było jakieś ostrze, czy nie tak? – Rakoczy utkwił spojrzenie swoich ciemnych oczu w jasnych, błękitnych źrenicach sługi. – W każdym mieście na świecie są jacyś rabusie. Jeden z nich był dość głupi, żeby pójść za mną. – Uciekł wzrokiem w bok. – Znajdą go w rzece, jeśli zechcą zadać sobie trudu szukania tego draba i jeśli nurt rzeki nie zniósł go poza miasto. Nie utonął, złamałem mu kark. – Wypowiadając ostatnie zdanie, skrzywił się z niesmakiem.

– Miał nóż – stwierdził Rothger.

– I topór, jeżeli mamy być dokładni. – Hrabia odwrócił się ku światłu i sługa dopiero teraz zobaczył długą, wąską ranę na jego policzku.

– Topór – powtórzył.

– O długiej głowni, podobny do krótkiej piki. – Rakoczy musnął dłonią policzek, na którym krew zdążyła już zaschnąć. – Zaleczy się.

– Jesteś pewien, panie, że to był zwyczajny rabuś? – zapytał Rothger tak, jakby pytanie dotyczyło kwestii odpowiedniego ubrania.

– A kimże innym mógł być? – odpowiedział Rakoczy, nie, żeby się sprzeciwić; nie chciał po prostu podejmować dyskusji o implikacjach pytania sługi. Odwrócił swe małe dłonie wnętrzem do góry, jakby chciał zademonstrować, że tak czy owak niewiele ma do powiedzenia.

– Sprawdzę, czy woda w balii jest dostatecznie gorąca – stwierdził tylko Rothger.

– Dziękuję – odpowiedział Rakoczy, spoglądając ponuro na sługę. – Zachowałem się grubiańsko. A ty okazałeś uprzejmość, nie wytykając mi tego. Pozwól, że cię przeproszę. Zauważyłem to, mimo że nic nie powiedziałem. – Był już niemal na szczycie schodów. Połowę jego twarzy oświetlał kaganek i rana na policzku wyglądała niczym smuga czerni.

Rothger uklonił się lekko i odszedł na tyły domu, gdzie znajdowały się piekarnia i łaźnia.

Woda w balii została ogrzana dostatecznie dopiero, gdy nie bo pojaśniało do szarości, a na tle chmur rysowała się jaśniejsza plama zakrytego słońca. Cała domowa służba była już na nogach, w dużej kuchni obaj kucharze zajmowali się rozniecaniem ognia w zamykanych na noc piecach. Kolejni trzej służący wystawiali na zewnątrz gołe stoły dla robotników wynajętych do wykończenia wnętrza domu: cieśle i stolarze mieli przyjść zaraz po porannej liturgii.

Rakoczy wiedział, że jest obserwowany; wszystkie jego czynności śledzili wzrokiem słudzy, jakby byli opłacanymi szpiegami, nie omieszkał więc przed wejściem do łaźni przeżegnać się przed ikoną

archanioła Gabriela. Znalazłszy się w ciasnej szatni, zdjął obszerną, luźną szatę z kapturem i stanął nago. Nikłe poranne światło ujawniało rozległą sieć białych blizn rozciągających się od dolnych żeber aż do podstawy miednicy, blizny śmiertelnych ran były ostatnimi, jakie pozostały na jego ciele, od tamtych czasów żadne ostrze nie wyryło na nim trwałego znaku.

Łaźnia była jednym z niewielu miejsc w domu, gdzie mógł pod podłogą ułożyć warstwę rodzimej ziemi; ulga i natychmiastowa poprawa samopoczucia, które odczuł po wejściu do napełnionego parą pomieszczenia, były większe niż te, jakie można by przypisać pieszczocie ciepła. Osunął się do głębokiej, prostokątnej kadzi, zanurzając po biodra, zanim dotknął stopami dna. Westchnąwszy cicho, przeszedł do jednego z rogów i usiadł na specjalnie umieszczonej tam desce. Łaźnia nie była tak obszerna i elegancka jak ta w jego rzymskiej willi, lepsza jednak, niż się spodziewał po Moskwie. Ból i znużenie powoli opuszczały jego umięśnione ciało.

Moskiewska sypialnia Rakoczego była niewielka i surowa jak klasztorna cela. Stało tam wąskie, twarde łóżko, będące tak naprawdę skrzynią pełną ziemi przykrytą cienkim materacem. Hrabia wrócił do niej obleczony znów w swoją luźną szatę z kapturem, zostawiając na schodach mokre ślady małych, wysoko sklepionych stóp. Odświeżywszy się w łaźni, z ulgą legł na łóżku i przykrył się zwykłym kocem. Wkrótce potem zamknął oczy, a jego oddech się zwolnił.

Rothger wszedł do sypialni, żeby obudzić pana, dopiero po t rzeciej liturgii i stał przez chwilę przy łóżku hrabiego, gdy ten wynurzał się z głębokiego, podobnego śmierci snu pozbawionego wszelkich marzeń i majaków.

Hrabia obudził się szybko, przechodząc od snu do jawy z jednym tylko ziewnięciem.

– Kiedy należy się spodziewać Godunowa? – zapytał, siadając. Swój

holenderski zegarek położył na starej skrzyni z czerwonej laki tuż obok drzwi sypialni.

– Będzie tu za mniej więcej godzinę – odpowiedział Rothger, uważnie obserwując Rakoczego. – Wyglądasz lepiej, panie – stwierdził, badając wzrokiem twarz hrabiego. – Na policzku masz już tylko niewielkie zadrapanie.

– Możemy więc liczyć na to, że wkrótce zupełnie zniknie – odpowiedział Rakoczy, wstając. – Ale przypuszczam, że kontusz trzeba będzie pociąć na szmaty.

Rothger kiwnął głową, podziwiając przenikliwość pana.

– Już to zrobiłem. Rękawy podarowałem cieślom i snycerzom, żeby nacierali drewno woskiem. Grzbiet pocięto na dwie części i oddano mnichom z cerkwi świętego Aleksandra, na kurteczki dla biednych dzieci. – Kontusz był obszerną szatą, na którą zużywano sporo materiału.

– Bardzo dobrze – stwierdził Rakoczy, wciągając przyniesioną przez Rothgera piękną włoską koszulę z niewielką kryzą. Przed zawiązaniem kokard przy mankietach musnął palcami materiał, podziwiając niezwykłą miękkość dzieła biegłych tkaczy. – Ile takich jeszcze zostało?

– Pięć – odparł Rothger, podając mu wełniany szkarłatny dolman z szerokim srebrnym pasem. – Przyniosłem też czerwone obcisłe spodnie.

– Doskonale. – Gdy hrabia zakończył zakładanie pętli na granatowe guzy, zapiął też pas, dbając o to, żeby klamra z ekliptycznym emblematem znalazła się na środku. Potem sięgnął po spodnie i wkładając je, spojrzął na Rothgera. – O co chodzi?

Rothger podniósł trzymany w ręku mentyk i wygładził przetykany srebrnymi nićmi materiał.

– Myślałem o Luoyang. Przypomniałem sobie, ile dóbr trzeba było

zostawić, bo cudzoziemcy nagle zrobili się podejrzliwi.

– Uważasz, że coś podobnego może się wydarzyć i tutaj? – zapytał Rakoczy, wciągnąwszy spodnie. – Jeżeli to cię ma pocieszyć, to powiem, że wiem, co czujesz.

– Nie jest to za wielkie pocieszenie – odparł Rothger wcale nierozbawiony. – Ale z ulgą przyjmuję wiadomość, że zdajesz sobie sprawę z zagrożeń, panie.

Rakoczy sięgnął po mentyk i narzucił go sobie na plecy.

– Nie podoba ci się moja decyzja, żeby podjąć się tej moskiewskiej misji. – Przechylił głowę w stronę sługi. – Pomijając, jak ciekawe jest to miejsce, gdzie wolałbyś się udać? Uważasz, że lepiej zrobilibyśmy, zostając w Karpatach i czekając, żeby Turcy nas znaleźli? Bo znaleźliby nas na pewno. Doprowadziłoby to do wielkiej rzezi, a ja mam już ich dosyć. – Jego ciemne, tajemnicze oczy błysnęły niekłamaną odrazą. – Widziałem już więcej wojen, niż mogę wytrzymać. Uważasz, że mądrzej byłoby pojechać do Italii? Gdybym tam teraz wrócił, papież z chęcią zadałby mi kilka pytań. Francja? W Troyes wciąż wyznaczona jest cena za moją głowę, a katolicy szukają pretekstu, żeby wydać wojnę hugenotom. Jak długo trzeba będzie tam czekać, żeby ulicami popłynęły głębokie po kostki strumienie krwi? Państwka niemieckie? Połowa z nich wgrzyła się w gardziele drugiej połowie. Uważasz, że mądrze byłoby odwiedzić Oliwię w Anglii? Albo przepłynąwszy ocean, osiedlić się gdzieś Nowym Swiecie? – Zapiąłwszy ostatnie pętle, wygładził ubranie. – Dobrze wyglądam?

– Jak zawsze – stwierdził Rothger.

Rakoczy skinął głową, jakby myślał o czymś innym.

– Uważasz, że powinienem odmówić naleganiom króla Stefana i nie przyłączać się do jego poselstwa? – Sięgnął po buty, czarne, ozdobione czerwonymi rzemieniami, o grubych podeszwach i wysokich obcasach napęcznionych ziemią z Siedmiogrodu. Najpierw

wzwał prawy, a potem lewy. Był to zwyczaj, który przyswoił sobie jeszcze w dawnym Rzymie.

– Sądzę, że poradziłbyś sobie, gdybyś tylko zechciał, panie – odezwał się Rothger bez śladu aprobaty czy potępienia w głosie, choć nie do końca obojętnie.

– Doprawdy? – Rakoczy przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią, wsuwając dwa pierścienie z klejnotami na serdeczne palce obu dłoni. Oprawne w złoto szafiry i ametysty niemal płonęły na jego drobnych rękach. – Sądzę, że owszem, mógłbym – odezwał się w końcu z powagą w głosie.

Rothger nie odpowiedział, podczas gdy Rakoczy przeczesał włosy grzebieniem z kości słoniowej. Potem jednak stwierdził:

– Drugi atanor jest prawie gotów do użytku.

Zrozumienie pozbawiło obojętność Rakoczego żądła złośliwości.

– To dobrze. Car Iwan, wedle swego zwyczaju, jeszcze przed końcem tygodnia zażąda kolejnego ametystu albo szafiru.

– Chyba nie muszę ci przypominać, panie, że dawanie carowi prezentów zwiększa grożące ci niebezpieczeństwo – stwierdził Rothger, składając hrabiemu oszczędny ukłon. – Upewnię się tylko, że kucharze mają coś, co będziemy mogli podać Godunowowi.

Tym razem Rakoczy uśmiechnął się przyjaźnie i łagodnie.

– Bądź pewien mojej wdzięczności. – Obaj wiedzieli, że podziękowania należą się nie za tę jedną usługę.

Gdy w domu pojawił się Borys Godunow, powitano go przy stole z bogatym, choć pospiesznie przygotowanym zestawem owoców i ciast w głównej, drugiej z wykończonych komnacie. Nie pomalowano jeszcze całego sufitu, Rakoczy rad był jednak, mogąc pokazać gościowi przygotowane przez artystów szkice.

– Bardzo piękne – stwierdził Borys, który po ukończeniu rytualnych pokłonów przed domowymi ikonami archanioła Gabriela i świętej

Teodozji Pustelniczki przyjrzał się wizerunkom czterech ewangelistów. Zachowywał się przyjaźnie i był gotów do dzielenia się informacjami, z czym Rakoczy rzadko się stykał, rozmawiając w bojarami. – Twój wybór świętej Teodozji, hrabio, jest ogromnie interesujący, ponieważ świętych z Kijowa czczą zarówno Rusini, jak i Polacy. Bardzo, bardzo odpowiednie i przemyślane. To święta szanowana przez każdego moskwicina, ale jednak cudzoziemka. Bardzo eleganckie. – Szerokim gestem ramienia wskazał komnatę główną i leżącą za nią jadalnię. – Dokonałeś wielkich rzeczy, hrabio.

– To dzieło biegłych rzemieślników – odparł uprzejmie Rakoczy. – Ja im tylko zapłaciłem.

– Okazujesz też godną podziwu skromność. – Borys wziął do ręki kolejny kawałek ciasta z jabłkami. – Wspaniałe ciasto. A ty nie zechcesz się poczęstować? – Zjadłszy spory kęs, dodał: – Wy, ludzie z Zachodu, jesteście zbyt chudzi. My, Rusini, wiemy, że chudość jest brzydka, i staramy się jej pozbyć. – Jakby dla podkreślenia tych słów, poklepał się w pasie – jak na ruskie standardy bardzo smukłym.

– Piękno i brzydota, jak zauważyłem, często są sprawą obyczajów – stwierdził Rakoczy, pragnąc skierować uwagę Borysa w inną stronę. – Są tacy, co nie przedkładają czerwieni nad inne barwy, i tacy, którzy wolą wełny od jedwabów. Jeden człowiek dosiada koni jabłkowitych, a inny ich unika. Na każdego mężczyznę lubiącego kobiety jasnowłose znajdzie się drugi, który woli damy o włosach ciemnych.

– Nie jesteś, hrabio, dostatecznie tęgi – ciągnął Borys, nie porzucając tematu. – Masz szerokie bary i solidne kości, ale powinieneś przytyć.

– Szanuję wasze obyczaje i upodobania – odparł Rakoczy wciąż uprzejmie, choć w jego głosie zabrzmiały nieco twardsze nutki – ale wśród moich ziomków jedzenie to rzecz bardzo prywatna i niemal intymna. Nieczęsto robimy to publicznie.

– Jak się nad tym zastanowić, to głupi zwyczaj. Nie broń go przede mną, hrabio. Wszyscy cudzoziemcy mają obyczaje, które Rusinom wydają się głupie. – Sięgnął po miskę pełną ciemnoczerwonych jagód, polanych gęstą śmietaną, a potem z kieszonki w pasie wyjął własny widelec i łyżkę. – Czy może być bardziej szlachetny gest niż zaproszenie do wspólnej uczyty? Karmienie to pierwsze, co matka oddaje dziecku. Rezygnujemy zjedzenia dopiero w grobie. Chrystus nakarmił głodnych i chrześcijanin ofiaruje jadło w Jego imieniu. A cóż jest... – Urwał, usłyszawszy dobiegający z głębi domu stuk młotów. – Twoi robotnicy nie marnują czasu.

– Ufam, że tak – odpowiedział Rakoczy, zastanawiając się, w jakim kierunku poprowadzi dalszą rozmowę Godunow. Może Rothger miał rację, może ich sytuacja staje się coraz bardziej ryzykowna.

– Jak się nie postarają, każ im dać baty. Przeżyją, to do końca życia będą ci wiernie służyć. – Borys sięgnął po kandyzowaną w miodzie gruszkę. – Panie hrabio, nie wiem, jak najlepiej przejść do rzeczy. Trapi mnie to od wczoraj. – Spojrzał na wysokie, stojące pod ścianami komnaty krzesła. – Usiądźmy, a wszystko ci wyjaśnię.

– Z chęcią – odpowiedział Rakoczy nie bez ulgi w głosie.

Borys doszedł do wniosku, że może sobie pozwolić na śmiech, i jakby uderzony nową myślą skwitował to chichotem.

– Od twojego widzenia z carem, hrabio, minęły dwa tygodnie, czy nie tak? – Siadł, wybierając jedno z najbardziej wymyślnie rzeźbionych krzesel.

Od prywatnej audiencji u cara minęło siedemnaście dni, ale Rakoczy tylko stwierdził:

– Owszem, mniej więcej.

– No tak... – Godunow nie przerywał jedzenia. – Nieszczęściem podczas ostatnich pięciu dni car był... – Żując dość hałaśliwie, poszukiwał w myślach słowa, które nie mogłoby zostać uznane za

zdradę. W końcu je znalazł. – Car cierpiał bardzo z powodu wizji, których doświadczał. Chodzi o jego syna, Iwana Iwanowicza. Twierdzi, że wciąż ma przed oczami wizerunek syna i buławy, którą go uderzył. Nie potrafi się od nich uwolnić i przegnać ich ze swej duszy.

– To tragedia – stwierdził Rakoczy.

– Twoi jezuici, hrabio, trzykrotnie stawiali się przed carskim pałacem i za każdym razem Ojczulek nie pozwalał ich wpuszczać. – Tym razem wahanie Godunowa było dłuższe i bardziej widoczne. – Ktoś mu zasugerował, a nie sposób odgadnąć, kim była owa osoba, że ci księża wykonują rytuały, które wzmagają siłę dręczących go wizji. Jezuici zachowują się fatalnie. Oni nie są jak Anglicy. Niestety, prawdą jest, że car zaczyna się skłaniać ku myślom, że to, co mu o nich powiedziano, może być prawdą.

– Mówisz o tej plotce, że jezuici są odpowiedzialni za jego wizje – powtórzył Rakoczy, pragnąc się upewnić, czy dobrze zrozumiał intencje rozmówcy.

Borys odpowiedział westchnieniem.

– Jak mówiłem, hrabio, zasmuca mnie to, że nie potrafię ci odpowiedzieć, nie z całkowitą pewnością. Mam swoje podejrzenia, bo na dworze każdy żywi podejrzenia wobec wszystkich pozostałych. Plotki o spiskach rodzą się tam równie łatwo, jak robactwo w gnijącym mięsie. – Twarz bojara spochmurniała.

– Borysie Fiodorowiczu, czego ty ode mnie chcesz? – Rakoczy rzadko zadawał tak bezpośrednie pytania. Przechylił dwornie głowę, który to gest ujął nieco ostrości poruszonej kwestii. – Nie zamierzam nikogo obrażać: przybyłem na dwór cara Iwana jako wysłannik króla Stefana Batorego. By zrobić, co do mnie należy, muszę wiedzieć, czego się ode mnie oczekuje.

Borys nie powziął urazy. Zamiast tego odchylił się na krześle i przez

chwilę mierzył Rakoczego wzrokiem pełnym uznania.

– Mam nadzieję, że Batory wie o tym, jakie ma szczęście, iż zaofiarowałeś mu swoje usługi, panie hrabio. Gdybym miał dwu albo trzech równie oddanych mi ludzi, nie bałbym się nikogo na dworze, włącznie z całą tą bandą Szujskich. – Wciąż lepką od miodu dłonią uderzył lewą ręką w podłokietnik krzesła.

Rakoczy pochylił głowę.

– Pochlebia mi to, Borysie Fiodorowiczu, ale wciąż jeszcze nie usłyszałem odpowiedzi na moje pytanie.

– Nie, nie usłyszałeś – przyznał Borys, kierując spojrzenie w odległy róg komnaty. – Pozwól, że ujmę to w ten sposób: byłoby dobrze dla sprawy jezuitów Batorego, gdybyś miał kolejny ... prezent, który mógłbyś podarować carowi Iwanowi właśnie teraz.

– Mówisz, panie, o klejnotach. – Rakoczy natychmiast pojął, do czego pije rozmówca.

– Nie chodzi mi o diamenty ani topazy... żadnych jasnych kamieni. On twierdzi, że te obecnie go oślepiają. – Godunow zlizął z palców ostatki miodu.

– Mam trzy spore różowe granaty, jeden z niewielką skazą, dwa pozostałe są idealnie czyste – odpowiedział Rakoczy. – I turkusy – dziewięć klejnotów wielkości mojego kciuka, równie wielkich jak klejnoty w koronie cara Iwana. – Zrobił je już miesiąc wcześniej, przewidując to żądanie.

Ku zaskoczeniu Rakoczego Godunow niechętnie potrząsnął głową.

– Zatrzymaj je, hrabio, niewątpliwie przydadzą się później. – Przez chwilę bojar bębnił palcami po podłokietniku krzesła. – Co jeszcze możesz zaproponować? Nie mówię o nefrytach ani lapis-lazuli, ale o przejrzystych, rozsiewających barwne blaski.

Rakoczy odpowiedział nie od razu.

– Mam beryl, tygrysie oko o kolorze prawdziwie ciemnozłotym,

przepuszczający jeden tylko promień światła. Kamień jest mniej więcej tej wielkości. – Złożył razem kciuk i palec wskazujący. Nie wspomniał o czterokrotnych daremnych próbach wykrycia tego klejnotu.

– Ciemnozłoty... – Godunow przez chwilę się zastanawiał. – Jak ciemny?

– Ciemniejszy niż miód dzikich pszczół – odpowiedział Rakoczy, uśmiechając się kątem ust. – Gdyby klejnot nie był pełen blasku, ignorant uznałby kamień za brązowy.

Borys parsknął śmiechem wyrażającym aprobatę.

– Tak, to powinno na jakiś czas przykuć uwagę cara. Upewnij się, że gdy pójdziesz go dać carowi, jezuici będą ci towarzyszyli, i poradź im, żeby uklękli i pocałowali rąbek carskiego kaftana. Przez pewien czas car nie będzie skłonny do słuchania tego, co szepczą mu do uszu ich nieprzyjaciele. – Wstał nagłym, energicznym ruchem. – Wiedziałem, że rozmawiam z mądrym człowiekiem.

Rakoczy uklonił się, ale nadal uważnie obserwował Godunowa.

– Zechciej mi powiedzieć, panie, czemu obdarzasz mnie takim zaufaniem. Czuję się zaszczycony, ale i zaintrygowany. Nasze poselstwo nie cieszy się łaskami dworu, a ty jednak ryzykujesz i tu przychodzisz, choć lepiej byłoby trzymać się od nas z daleka.

Borys zacisnął wargi i podszedł do stołu, udając, że przez chwilę przygląda się jednej z misek orzechów oblanych sokiem malinowym.

– Zapytałeś, ponieważ zdajesz sobie sprawę, że nie jestem dobrze widziany na dworze, i sądzisz, że to może pogłębić nieufność carskich doradców. – Parsknął krótkim, złym śmiechem. – Na dworze nikomu nie ufają, ale mnie nie ufają bardziej niż innym, dlatego że moja matka była Tatarką. Sądzisz, że to dziwne, iż tu przyszedłem. Ale do kogóż miałbym pójść. I tak podejrzewają mnie już o najgorsze, więc wykorzystam ich podejrzewania i postaram się dowiedzieć jak najwięcej,

żeby mądrze carowi doradzić.

– Rozumiem – odpowiedział Rakoczy, wiedząc, iż lepiej będzie nie zgłębiać tematu. – Okazałeś mi wielką łaskę, rozmawiając o tym ze mną.

– Mam powód, by dbać o dobrą opinię w twoich oczach, jak to mówią Angliczanie – stwierdził Borys z dość udatnie naśladowaną szczerością w głosie. – Jeżeli za rok będziesz jeszcze coś o mnie słyszał, obaj uznamy się za szczęściarzy. – Odwrócił się, by spojrzeć Rakoczemu prosto w twarz. – Zaaranżuję wam posłuchanie u cara na wtorek, po czwartej dziennej liturgii. Przyniesź ten ciemnozłoty beryl. I nie mów nikomu, że ja ci to doradziłem. Jeżeli cię zapytają, powołaj się na życzenie króla Stefana.

– Czy to jest twoje życzenie, panie? – zapytał Rakoczy.

– To jest to, co zrobisz – odparł zwięźle Borys, odwracając się nagle na pięcie i idąc ku ikonom flankującym drzwi. Przed archaniołem Gabrielem przystanął i się przeżegnał. Ikona była stara, sądząc z charakteru pisma identyfikującego archanioła, którego błękitnozielone skrzydła wyglądały niczym egzotyczna zbroja, a w dłoniach trzymał długi róg. Borys długo wpatrywał się w poważną, pociągłą, natchnioną twarz Gabriela, otoczoną aureolą wkutych w złoto topazów. – Dlaczego, hrabio, ze wszystkich archaniołów wybrałeś Gabriela?

– Jego święto obchodzi się wiosną, podobnie jak moje urodziny. – Odpowiedź Rakoczego zawierała tyleż prawdy co wyjaśnienia Borysa. Hrabia ukłonił się gościowi.

– Archanioł Zmartwychwstania – mruknął Borys, zegnając się teraz przed ikoną świętej Teodozji. – Osobliwy wybór, ponieważ jego święto wypada na twoje urodziny.

Tym razem hrabia uśmiechnął się szeroko i szczerze.

– W rzeczy samej, panie.

List od ojca Pognera do Ferencza Rakoczego, hrabiego Saint-Germain, dostarczony temu ostatniemu przez ojca Krabbe:

Do wygnanego Wołocha, nadużywającego zaufania króla Stefana Batorego i niegodnego moich błogosławieństw.

Kto nadał Ci władzę, na której mocy nakazujesz nam udanie się z Tobą jutro do Granowitoj Pałaty? Nie Twoją jest rzeczą podejmowanie decyzji o tym, jak nasze poselstwo ma dopiąć swego. To, co radzisz nam wziąć pod uwagę, w naszych oczach jest jedynie wykazaniem niechrześcijańskiej pychy, i za taki grzech musisz pokornie błagać nas wszystkich o przebaczenie, zanim gotowi będziemy ponownie uznać Cię za katolika.

Powiadamiasz mnie, że celem tego spotkania ma być podarowanie carowi kolejnych błyskotek do jego skarbczyka, pod pozorem dostarczenia mu cudzoziemskich leków na jego szaleństwo. Nikogo nie zwiedzisz tak oczywistym oszustwem. Wszyscy wiedzą, że to łapówka dla cara, która ma go skłonić do uszanowania traktatu, jaki zawarł z Polską i Szwecją. Twierdzenie, że są po temu jakieś inne powody, podsycza tylko podejrzenia ruskiego dworu dotyczące cudzoziemców; Rusini uważają nas za oszustów działających niejednomyślnie i bez konkretnego celu. Doskonale rozumiem Twoje dążenie do zwiększenia własnych wpływów na ruskim dworze. Hrabia Zary ujawnił mi swoje najgorsze obawy, mówiąc, iż jest przekonany, że zamierzasz tu zdobyć majątek ziemski, w którym będziesz mógł osiąść nie jako wygnaniec, miejsce, gdzie ponownie odzyskasz społeczną pozycję i szacunek, zamiast czczych tytułów i straconych, będących obecnie Twoim jedynym dziedzictwem ziemskich posiadłości. Zająłeś pozycję pomiędzy tronami polskim a ruskim-, pragniesz zostać jedynym mediatorem i doradcą tych władców. Szaleństwem jest, hrabio, ufać szaleństwu. Kłaniasz się carowi Iwanowi, łagodzisz jego niechęć klejnotami i zaskarbiasz sobie krótkotrwałą wdzięczność władcy Rusi. Cóż

to znaczy w porównaniu z tym, że trzeba poświęcać skarby, które winny być ofiarowywane Panu i Jego Kościołowi? Ile jeszcze tych klejnotów trzymasz w ukryciu?

Te dary pobudzają też chciwość ruskich kniaziów, którzy chętnie zabraliby je dla siebie. Jak myślisz, długo trzeba będzie czekać, aż podobnych klejnotów zażądają rody Nagojów, Szujskich i Romanowów? Może i Kurbscy zaczną się ich domagać. Może na koszt króla Stefana i papieża, którzy nie będą w stanie zaspokoić tych zachcianek, stworzyłeś potwora? Ta śmieszna fikcja, którą zamierzasz rozpowszechnić – że jakoby sam potrafisz tworzyć takie klejnoty – zostanie zaakceptowana przez kilku ruskich ignorantów, inni jednak, mniej łatwowierni, podobnie jak my wyśmieją Cię i uznają za szarlatana i oportunistę, który nadużywa zaufania i bogactw polskiego króla i papieża.

Czy te słowa Cię obrażają, hrabio? Szarlatan. Oszust. Szalbierz. Może i słowo zdrajca nie będzie zbyt ciężkim oskarżeniem, ponieważ okazałeś chęć przehandlowania duszy za dobra tego świata. Jeśli nie straciłeś jeszcze resztek honoru, takie oskarżenie powinno cię palić jak kłejmo. Powinno skwerczeć i syczeć na twojej duszy, ponieważ powiadam Ci teraz, że występek znaczy człowieka tak samo jak niebezpieczeństwa żywota. Czy nie przeraża Cię świadomość, że nosisz te plamy na duszy, Twojej duszy, hrabio? Jeżeli tak, musisz zmienić zachowanie, żeby więcej nie zasłużyć na moje nagany. Niełatwo mnie przekonać, ostrzegam Cię więc, żebyś chcąc mnie przekonać, nie próbował się przede mną popisywać udawanymi cnotą lub pokorą. Musisz się wyrzec wystawności i publicznie porzucić swoje odrażające plany. Musisz formalnie przeprosić cara Iwana i króla Stefana, składając obu rekompensatę za wyrządzone im szkody. W stosunku do Kościoła powinieneś okazać prawdziwą pokorę. Nas, jezuitów, szkolono, by okazywać czujną nieufność wobec przebiegłości ludzi pozbawionych sumienia, i wykorzeniamy takich, jak wieśniak niszczy chwasty, wiedząc, że bez takich zabiegów straci plony. Fałszywa

pokora spowoduje wydanie Cię sprawiedliwości cara.

Nawet najbardziej nieprzejednani księża niekiedy padają ofiarami grzechu, którego powinni skwapliwie unikać, i to, jak przekonałeś do siebie jednego z naszych braci, jest dowodem, że usilnie starasz się podporządkować nas swojej woli. Zasmuca mnie to, że padł ofiarą Twoich machinacji, wcale mnie to jednak nie dziwi, ponieważ oczywiste jest, że w podobny sposób oślepiałeś Rusinów, którzy ciągną do Ciebie z powodu Twoich bogactw albo umiejętności. Widząc zamiłowanie do przepychu, jakie zauważamy wszędzie w tym barbarzyńskim mieście, łatwo odgadnąć, co ich do Ciebie wabi.

Gdy otrzymamy Twoje zapewnienia, że zaczęłeś nawrót ku cnocie i pokorze, odpowiem na tak aroganckie wezwanie, jakie nam przysłałeś. Tymczasem będę się codziennie modlił o zbawienie Twojej duszy w nadziei, że Boże miłosierdzie jest większe od Jego cierpliwości.

W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Kazimierz Pogner, członek Towarzystwa Jezusowego 27 września według nowego kalendarza, w roku z Łaski Pańskiej 1583 Spisane ręką jezuitę ojca Kornela Dodka w Moskwie

Pałac Wasyla Szujskiego znajdował się wewnątrz murów Kremla w połowie drogi między soborem Błagowieszczeńskim a Bramą Spasską. Zbudowano go na planie trójkąta zawierającego stajnie, niewielkie koszary i teren właściwy. Tu właśnie pewnego wilgotnego poranka w pierwszych dniach października Wasyl Szujski przyjął swego kuzyna Anastasija.

– Tuszę, że już ci powiedziano – stwierdził Wasyl, gdy obaj skończyli żegnać się przed ikonami, zacierając jednocześnie dłonie, by je nieco ogrzać.

– Mówisz o wielkiej prezentacji poselstwa? – zapytał Anastasij z brzydkim uśmieszkiem, zrzucając z ramion obszerną baranicę. – Owszem, już mi powiedziano. Dwór w pełnym składzie ze wszystkimi regaliami. Uczta dla ośmiuset ludzi, z których połowa to cudzoziemcy. – Spojrzał na dłonie, ściągając grube rękawice. – Zgodnie z zaproszeniami, kobiety też mają być obecne na prezentacji.

– Kobiety też – stwierdził ponuro Wasyl. – Rozkazując, żeby podczas prezentacji obecne były i kobiety, Iwan Wasiljewicz pokazuje, że razem z rozumem traci resztki poczucia przyzwoitości. Zastanawiam się, czy nie chce porównać swoich klejnotów z ich kamykami – stwierdził z sarkazmem, nie oczekując odpowiedzi. – Przy takiej okazji zbierają się posłowie i dyplomaci, nie kobiety. Nie ma też powodów do zwoływania całego dworu. – Klasnąwszy w dłonie, zwrócił się do dwu pachółków, którzy wszedłszy, skłonili mu się w pas. – Razem z krewniakiem udamy się teraz do mojej komnaty. Dajcie nam natychmiast gorącą herbatę i wiśniówkę. – Ponownie klasnął w dłonie i pachółkowie wyszli tyłem, bijąc pokłony, Wasyl zaś

poprowadził Anastasija ku schodom, potrząsając z niesmakiem głową. – Szkoda, że byłeś świadkiem ich niedbalstwa. Będę musiał dać im nauczkę. Nie są tak czujni, jak być powinni i jak przystoi domowej służbie. Nieustannie wyczekują wieści o Ojczulku i zaniedbują swoje obowiązki. Za każdym razem gdy Iwan zajęczy, natychmiast dowiaduje się o tym całe miasto.

– Wszyscy zaniedbują swoje obowiązki – stwierdził Anastasij. – Nigdy bardziej niż wtedy, gdy car zawodzi. – Rozejrzał się szybko dookoła, jakby sprawdzając, czy nie usłyszał go ktoś obcy; zdołał przy tym udać rozbawienie.

– Kuzynie, nie ma się czym przejmować – stwierdził Wasyl. – Donoszą mi o wszystkim, co się mówi w tym domu, wiem nawet o tym, o czym szepczą w teremie. – Machnął lekceważąco dłonią, błyskając przy tym brokatem rękawa. – Kobiety są bardzo głupie.

– Ale pożyteczne i potrzebne – stwierdził Anastasij. – W tym akurat zgadzali się obaj nasi ojcowie, choć we wszystkim innym byli poróżnieni. – Uśmiechnął się przymilnie, choć nikogo by tym uśmiechem nie zdołał oszukać.

Wasyl wzruszył ramionami.

– Słyszą i widzą rozmaite rzeczy, i choć większość z tego to głupstwa, niekiedy odkrywają... – Machnął ręką. – Któż to wie?

– Twój terem może jest ci przydatny, ale ja z Galiny i tej jej diabelskiej córuni – Kseni! – nigdy nie miałem pożytku, oprócz dworskich przyjęć. Na tych swoich miłosiernych wyprawach nie słuchają niczego, nawet płotek – poskarżył się Anastasij, gdy weszli po schodach na piętro.

Jedno skrzydło korytarza zamykały wielkie, ozdobne metalowe drzwi, przed którymi stał rosły i krępy, zbrojny w halabardę strażnik w kaftanie rudej barwy. Za tymi drzwiami były komnaty kobiece, w których przebywały stale żona Wasyla, jago matka, teściowa i dwie

córki ze służącymi.

– Moje nie przypominają twoich bab – dodał Anastasij.

– Bo ty nie mieszkasz na Kremlu – stwierdził Wasyl, jakby to rozstrzygało sprawę. Otworzył drzwi do swej komnaty – dużej, utrzymanej w tonach złota i czerwieni z pułapem przypominającym sklepienie namiotu i deseniem w kształcie liści winnego krzewu otaczających ikony. – Dotarliśmy już bardzo blisko. – Popatrzył przez okno na carski pałac.

– Blisko? – Anastasij zatrzymał się w drzwiach.

– Blisko tego. – Wasyl przeniósł spojrzenie z pałacu na cebulaste kopuły soborów. – Powinny należeć do nas.

– Kuzynie... – Anastasij roztropnie zamknął drzwi, a dopiero potem przeszedł na drugą stronę komnaty, żeby stanąć u boku Wasyla. – Wciąż jeszcze są w naszym zasięgu – powiedział lekko i jakby mimochodem. – Jeśli zrozumiałem, co chciałeś powiedzieć.

– Zrozumiałeś – stwierdził Wasyl, którego spojrzenie nagle stwardniało. Powoli cofnął się od okna. – O tak, dobrze mnie zrozumiałeś. Galina będzie obecna na prezentacji?

– I Ksenia. Nie wyraziła jeszcze zgody na zostanie mniszką, więc będzie musiała się stawić albo Iwan poczuje urazę.

– Dlaczego jeszcze nie wstąpiła do klasztoru? – zapytał Wasyl, zatrzymując się i żegnając przed ikoną świętego Włodzimierza. – W tych okolicznościach dawno już powinna była porzucić życie świeckie.

– Twierdzi, że nie jest gotowa do takiego życia i że Bóg nie dał jej znaku. – Anastasij rozłożył bezradnie dłonie. – Cóż mogę zrobić? Ksenia nie jest moją córką i nie mam nad nią ojcowskiej władzy: nie mogę jej do niczego zmuszać. Mówi, że nie chce męża i że będzie się troszczyła o swoje dostojne krewniaczki w teremie, dopóki Bóg nie da jej znaku.

– A niby jakiego znaku jeszcze jej trzeba? – zapytał gniewnie Wasyl, klasnąwszy w dłoń. – Powinno się ją posłać do klasztoru tego samego dnia, kiedy umarł jej ojciec!

– Jej matka była tak załamana, a klasztory pełne były kobiet, które... Złota Orda doprowadziła do upadku... i umierających... – Anastasij nie udawał już, że współczuje Galinie Aleksandrownej. Zapadła chwila niezręcznej ciszy. Potem Anastasij cichutko chrząknął.

– Wiesz, ona ciągle jeszcze może wyjść za mąż.

– Może? – zapytał Wasyl. – Za kogo?

– Za kogoś, kogo zadowoli ignorancja, kogoś, kto będzie miał dość ambicji, żeby zapomnieć o przeszłości. Kogoś, kto nie będzie nic wiedział i nie zechce zapytać. – Anastasij opadł na jedno z czterech niewygodnych krzeseł stojących nieopodal pieca o pochyłych ścianach. – Ona mówi, że nie potrzebuje męża.

– Jest głupia – oznajmił Wasyl. – Poślubi kogoś albo pójdzie do klasztoru, w przeciwnym razie przyjdzie jej głodować.

Anastasij okrążył komnatę raz jeszcze, zauważył przy drzwiach cztery nowe ikony i machinalnie przeżegnał się przed każdą z nich.

– I jak myślisz, co się stanie?

Wasyl nie odpowiedział. Podeszedłszy do stołu na kozłach, usiadł.

– Dowiedziałem się, że zebrania dworu nie zwołano dla prezentacji listów od polskiego króla, ale z okazji pokazu klejnotu, który carowi ma podarować ten Wołoch, alchemik Batorego. Zapomniałem, ile już ich dał Ojczulkowi. Ten ma podobno być wyjątkowo wielki, ciemny i rzadki. Plotka głosi, że to będzie piękny beryl czystej wody. – Zmarszczył brwi, patrząc w dal. – Jeden ze sług jezuitów podsłuchał rozmowę dwu papieżników, którzy o tym właśnie rozmawiali. Chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej, ale na razie wiem tylko to, co ci powiedziałem.

Drapanie w drzwi obudziło natychmiast czujność kuzynów.

– Czego tam? – zapytał szybko i gniewnie Wasyl.

– To ja, Sierka – odpowiedział sługa. Przyniosłem herbatę i wiśniówkę, jak rozkazaliście, panie.

Kuzynowie wymienili szybkie spojrzenia.

– Dawaj je tutaj i wynoś się precz – polecił Wasyl.

Sługa ostrożnie wniósł sporą tacę, na której kipiał i posykiwał samowar. Obok samowara stała gruszkowata butelka pełna przejrzystego płynu. Na tacy były też cztery metalowe kubki, które zadzwoniły, gdy Sierka stawiał je na stole. Zostawiwszy wszystko, skłonił się w pas Wasylowi i nieco mniej głęboko Anastasijowi, a potem wyszedł tyłem, przeżegnawszy się, gdy mijał ikony.

– Czy on cię nie niepokoi? – zapytał Anastasij, usłyszawszy szelest kłamki.

– Sierka? Nie, gdyby go przyłapano na zdradzaniu tajemnic domowych, straciłby język. A poza tym, cóż mógłby opowiedzieć? – Wasyl sięgnął po butelkę i jeden z mniejszych kubków. – No chodź. W twoje ręce! – Napęłnił kubek. – Nalej sobie i napij się ze mną.

– Z przyjemnością – odparł Anastasij, biorąc podaną mu butelkę i drugi z mniejszych kubków. – Zawsze wolałem twoją wiśniówkę od nalewki Dymitra.

Wspomnienie brata sprawiło, że twarz Wasyla nagle zastygła w maskę pozbawioną wyrazu. Po chwili milczenia na jego wąskich wargach pojawił się wymuszony uśmiech.

– To rzecz gustu, nawet Iwan tak powiada. – Skinął głową, jakby wspomnienie imienia starszego brata nie było osobistą urazą.

Anastasij z chęcią skorzystał z podsunętej mu przez kuzyna wymówki.

– Tak – stwierdził z zapalem w głosie – dokładnie tak. – Odstawiając butelkę, strząsnął z niej kilka kropli na podłogę i wyciągnął przed siebie prawe ramię. – Za powodzenie naszej rodziny,

sukcesy naszych planów i powrót Ojczulka do zdrowia.

Wasył wstał i ponad stołem skrzyżował z kuzynem ramiona; żeby pić, obaj musieli się nachylić. Ich brody zetknęły się przy tym, ciemnobrązowa z jasną niczym zboże. Gdy opróżnili kubki, cofnęli się.

– Niezły toast – stwierdził Wasył, siadając, żeby napęłnić kubki. Ponownie przekazał butelkę Anastasijowi.

– Niezły – przytaknął ten wielce z siebie zadowolony. Ponownie napęłniwszy kubek, wznosił toast za swojego starszego, mającego wyższą pozycję społeczną kuzyna. – Niech nam szczęście sprzyja.

Był to rzadko spotykany toast i Wasył nie poświęcił mu uwagi.

– Dobrze, przejdźmy do spraw. Ten Wołoch... Czy prawdą jest to, co słyszałem? Polscy księża nie za bardzo mu sprzyjają? – Otworzył nabijaną ćwiekami skórzaną teczkę leżącą przed nim na stole i wyjął z niej arkusz welinu. – Zgodnie z tym, czego się dowiedziałem, ojciec Pogner... ależ ci cudzoziemcy mają nazwiska! Trudno je wymówić!... nakazał jezuitom go unikać, a tych pięciu kozaków nigdzie mu nie towarzyszy i nie zapewniają mu ochrony. Proszę, mam tu doniesienie. – Klepnął dłonią w arkusz. – Co ci o tym wiadomo?

Anastasij spojrział na arkusz, a potem opuścił głowę, unikając wzroku kuzyna.

– Dwa razy rozmawiałem z ojcem Krabbe, który jest chyba jedynym jezuitą zdolnym przeciwstawić się ojcu Pognerowi. – Nie była to odpowiedź, jakiej Wasył się spodziewał. – On mówi, że hrabia Żary protestował, ale nie śmie nie okazać posłuchu.

– Niezależnie od tego, co mówią, tych jezuitów wypieczono z innej mąki niż Possevina – stwierdził Wasył.

– Ojciec Possevino nie był Polakiem – przypomniał mu Anastasij.

– Nie w tym rzecz – odparł Wasył. Opróżniwszy kubek, znów go napęłnił. – Kto jeszcze spotyka się z tymi cudzoziemcami?

– Grigorij Nagoj chciał ich zaprosić na kolację, ale Rakoczy odmówił. Mówią, że zrobił to w bardzo grzecznej formie, ale on przybył tu jako przedstawiciel swego króla, cóż jeszcze mógłby zrobić? – Anastasij nie wspomniał o innej rzeczy, o jakiej mu powiedział sługa Nagojów: że pozostałe zaproszenia też zostały odrzucone. Taka informacja może się okazać przydatna w przyszłości.

– Może on nie chce wyróżniać nikogo z carskich bojarów? Byłaby to rozumna ostrożność – stwierdził Wasyl, powoli zmrużywszy z namysłem oczy. – No tak... tak... Jestem pewien, że ten Rakoczy to zręczny i przebiegły człek. I bardziej niebezpieczny od tych papieżników. Wsłuchaj się w to, co mówi. Gładko, zręcznie... i bez żadnych konkretów.

Anastasij opróżnił kubek, uważnie przyglądając się Wasylowi. Był skłonny to zrobić dla swojego bardziej dostojnego kuzyna, co mogło się w przyszłości przydać i jemu, uwalniając go od tyranii narzuconej mu przez jego starszeństwo; ciążyło mu to pokrewieństwo.

– Jeżeli Ojczulek nie zabroni, zrobię, co w mojej mocy, żeby się dowiedzieć czegoś więcej o tym człowieku.

– Martw się więcej o Godunowa. To on podjął decyzję o zaprzyjaźnieniu się z tym cudzoziemcem. I on będzie tym, który podejmie decyzję, kto z nas jest godzien przychylności Rakoczego. – Na twarzy Wasyla pojawił się gniew. – Jakby nie dość było, że ten Tatar sam jest cudzoziemcem! Jego poparcie dla alchemika...

– Anglików też przyjmuje – przypomniał mu Anastasij. – Mówi, że jeśli okażemy skromność, będą kupować od nas coś więcej niż tylko liny, złoto i futra.

– Nie jesteśmy kupczykami! – wybuchnął Wasyl, a potem, wciąż trzymając kubek, wstał i podszedł do okna. – Przedkładanie handlu nad bezpieczeństwo kraju to odrażająca sprawa, ale Godunow gotów jest to uczynić! – Wolną dłonią potargał swoją brodę, jakby chciał się

uwolnić od irytacji.

– Gdyby jego siostra nie była żoną Fiodora Iwanowicza... – Anastasij wzruszył ciężko ramionami. – On jest szurzym carskiego syna.

– To może się okazać mniej istotne, niż myślimy. Krążą rozmaite plotki. Słyszałem, że Ojczulek niedawno się zapomniał i spróbował dodać Irinę Fiodorowną do swoich nieoficjalnych małżonek. Borys Fiodorowicz położył kres sprawie, zanim doszło do czegoś, czego Cerkiew nie mogłaby wybaczyć, mówi się jednak i o tym, że Iwan wstydzi się tego i z gniewu nie zostawia wszystkiego Godunowowi, który już pojął, iż Ojczulek się zmienił. – Wymawiając kolejne słowa, Wasyl się wahał, jakby smakował każde z nich przed wypuszczeniem na świat. – Jeżeli Irina wypadnie z łask, co się stanie z jej bratem? Fiodor Iwanowicz nie nadaje się do roli obrońcy żony, nieprawdaż? Dzwoni w innej dzwonnicy. A jeżeli nie stanie w obronie żony, to jej brat będzie zgubiony. – Zachichotał dwakroć; jego śmiech zabrzmiał jak świst kosi Śmierci.

– A co się stanie z alchemikiem? – podsunął mu Anastasij.

– Obecna prezentacja dwakroć już była odkładana i za każdym razem sprzyjało to zwiększeniu jej znaczenia i rozmachu – stwierdził spokojnie Wasyl, wracając do stołu. Na jego twarzy pojawił się wyraz kontemplacji i namysłu. – Jeżeli Godunow nie zostanie jej fundatorem, możemy wykorzystać tę okoliczność, żeby wykazać Ojczul kowi, jak bardzo się troszczymy o jego sprawy. Godunow nie zechce do tego dopuścić, ale może... – Spojrzał na Anastasija z nowym zainteresowaniem w oczach. – Może tobie udałoby się zyskać przychylność tego cudzoziemca? Z pewnością wyczuwa niechęć Godunowa, może będzie rad twojemu wstawiennictwu? – Wasyl nalał sobie kolejny kubek wiśniówki. – Jak ci się to widzi?

Anastasij natychmiast z entuzjazmem spojrzał mu w oczy.

Wychyliwszy szybko resztę trunku, podsunął kubek do napełnienia.

- Już ja znajdę jakiś sposób, żeby się do niego zbliżyć.

- Znajdź jaki sposób, by się do niego zbliżyć i udowodnić, że to ty właśnie, a nie Godunow będziesz niezbędny dla powodzenia jego moskiewskiej misji – poprawił Wasyl. – Masz go zamienić w swojego dłużnika.

- Ale oczywiście – zaczął Anastasij i Wasyl przerwał na chwilę napełnienie kubka – zdradzanie się z prawdziwymi powodami byłoby niemądre. Natychmiast poznałby się na naszej grze.

- Nie, nie... – Wasyl potrząsnął głową. – Nie rozumiesz. Nie masz mu zawracać głowy opowiastkami o tym, jak to Ruś oczekuje zmian i sprzyja cudzoziemcom. Zostaw to Godunowowi. Przedstaw się Rakoczemu jako ten, który poprze jego sprawę u Ojczulka, gdy Borys zostanie usunięty z dworu. Ukaż mu, że i ty masz coś do zyskania. Niech to będzie rozumny sojusz zawarty pomiędzy dwoma rozumnymi ludźmi. Cudzoziemcy nie potrafią się oprzeć takim okazjom.

Anastasij oblizwał wargi i poruszył się niepewnie.

- On może podejrzewać, że chodzi o coś więcej.

- Z pewnością tak będzie – stwierdził Wasyl. – Ale ty rozwiejesz jego podejrzenia. Otwarcie ukaż mu wszystko, co zyskasz, stając u jego boku. Powiedz mu, że chcesz się uwolnić od ciężaru wiszącego nade mną i moim bratem; nie chcesz, żeby cię wsadzano do jednego worka z resztą Szujskich. Jako nasz krewniak chcesz się raz na zawsze uwolnić od naszej wątpliwej reputacji. A jakiż jest po temu lepszy sposób niż zyskanie poparcia cudzoziemca?

Zaproponowany przez Wasyla scenariusz był tak bliski własnym planom Anastasij a, że ten musiał odstawić kubek, żeby ukryć drżenie rąk.

- Nie wiem, co odpowiedzieć, Wasylu – stwierdził z przymusem,

odchodząc w bok. – Jak cudzoziemca do tego przekonać?

– Och – odpowiedział beztrąsko Wasyl – pokłócimy się, ty i ja, w miejscu, gdzie nas usłyszy, i łatwo ci będzie go przekonać, że mówisz prawdę. – Zadowolony z siebie bojar złożył razem dłonie.

– A potem wyspowiadam się patriarsze... – dodał Anastasij.

– Metropolicie – poprawił go Wasyl.

– Patriarsze – powtórzył Anastasij z naciskiem w głosie. – Tak się go teraz tytułuje i tak go będę nazywał. Uznanie przez Ojczulka wyższości Cerkwi prawosławnej nad Kościołem jerozolimskim jest tylko kwestią czasu. Chrześcijanie stracili Konstantynopol i car ma rację, nazywając Moskwę Nowym Rzymem. – Na twarzy młodszego z rozmówców pojawił się żywy uśmiech. – Tu, w Moskwie, odrodzimy się z popiołów. Miasto spłonie i zostanie odbudowane. Kościół prawosławny ocaleje tu, nie w Jerozolimie, gdzie otaczają go ci, co drwią z Chrystusa. – Powiedziawszy to, bojar się przeżegnał.

Wasyl uderzył dłonią w stół.

– Lepiej nie wypowiadaj głośno takich myśli. Nie mają znaczenia dla powodzenia naszych planów. Cudzoziemcy nie powinni nic wiedzieć o wewnętrznych napięciach w Cerkwi prawosławnej.

– A to czemu? – zapytał Anastasij ogarnięty upajającym uczuciem, jakie dała mu możliwość wypowiedzenia na głos swoich myśli. – To, co mówię, jest prawdą, kuzynie. – Wrócił do stołu i podniósł kubek, żeby się napić. – Co mam wyznać patriarsze? Ze ty i ja się kłócimy? Mogę to uczynić z czystym sumieniem. – Łyknąwszy porcję mocnego trunku, nalał sobie kolejną. – Jeżeli to wyznanie wspomże naszą sprawę, tym lepiej.

– A ty zyskasz na tym dwukrotnie – zakpił Wasyl.

W Anastasiju obudziła się nagła chęć zaciśnięcia dłoni na gardle kuzyna.

– Skorzystam z okazji – syknął przez zęby. – Ty na moim miejscu

zrobiłbyś to samo. – Cofnął się o krok. – Wypowiadam się jutro, przed drugą liturgią. W ten sposób ksiądz będzie mógł obgadać rzecz ze swoimi sługami i zanim beryl zostanie wręczony Ojczulkowi, wszyscy poznają moje plany, co mi otworzy drzwi siedziby Rakoczego. – Mówiąc te słowa, skłonił się Wasylowi znacznie niżej, niż wymagały tego uprzejmość i pozycja społeczna ostatniego, rad z obrazy, jaką mu uczynił.

– Bądź ostrożny... Strzeż się... – odezwał się Wasyl łagodnym głosem. – W tej chwili ty i ja mamy ten sam cel. W przyszłości jednak może się zdarzyć, że nasze drogi się rozejdą.

Anastasij skwitował to śmiechem.

– Potrzebny ci ktoś, kto biegle zna w mowie i piśmie grekę oraz łacinę, posłuży ci zaś inteligentnie i bez wyrzutów sumienia. Jestem jedynym kuzynem, który ci się nada prócz Igora, ten jednak traci czas na dziwki i pijatyki. Sam wiesz, że będę ci potrzebny do greki i łaciny, znam też odrobinę angielski, co też może ci się przydać, skoro jest tu ten sir Jerome. Potrzebny ci ktoś z tobą związany, kto posłuży ci wiernie choćby za cenę życia. Obaj znamy moją pozycję i okoliczności, jakie mnie zmuszają do zawarcia sojuszu z tobą. Chętnie zostanę twoim narzędziem, ale nie będę twoim psem. – Anastasij wziął większy kubek i napełnił go wrzącą herbatą z samowara.

Wasyl w milczeniu zrobił to samo. Osłodził swoją herbatę solidną porcją miodu, a potem spojrział na Anastasija z osobliwym grymasem na twarzy.

– Mówi się, że tego alchemika odwiedził Nikita Romanowicz. Podobno spędził w jego towarzystwie całą godzinę.

– Nikita Romanowicz chce zająć miejsce Godunowa – stwierdził Anastasij. – Zamierza zostać regentem Fiodora Iwanowicza, gdy Bóg wezwie Ojczulka do siebie. Wszyscy to wiedzą. To zbyt oczywiste, by zwieść takiego szczwanego lisa jak ten Wołoch. Nie musimy się nim

przejmować, pozostali Romanowowie też nie są groźni. Oni nie mają znaczenia. – Herbata była zbyt gorąca, żeby ją pić, ale wonne opary oczyszczały głowę ze zdradliwej wiśniówki. Mówiący odetchnął głęboko, czując, że jego policzki płoną rumieńcem. – A co z Grigorijem Nagojem? Zaprosił Rakoczego na kolację. Co chce przez to osiągnąć?

– Nagojowie na swój sposób są bardzo silni – stwierdził Wasyl. Upił odrobinę herbaty, nie przejmując się, że może sobie poparzyć podniebienie. – Starają się zyskać jeszcze większe wpływy.

– Może im się udać – stwierdził nagle zaniepokojony Anastasij.

– Jeżeli zdołają przekonać moskiewskich kupców, że bogactwo leży w handlu z Zachodem, mogą zyskać potrzebne im poparcie, co wystarczy, żeby uzyskali nad nami przewagę. – Wasyl zacisnął pięści.

– Nie wolno nam do tego dopuścić.

– Szkoda, że nie pomyśleliśmy o tym pierwi – stwierdził Anastasij z fałszywymi skruchą i współczuciem w głosie. – Moglibyśmy to wykorzystać szybciej od nich.

Wasyl poczuł urazę.

– Zapominasz się!

– Nie ja. Jeżeli ktokolwiek powinien był zjednać sobie kupców, należało to zrobić Szujskim – stwierdził Anastasij, którego szeroka twarz nagie zamieniła się w zimną, obojętną maskę. – Dzięki nam Nowogród znów rozkwitnie. Teraz, gdy Iwan wziął ich za mordy, powinni z chęcią otworzyć nam bramy na Zachód. Trzeba im tylko przypomnieć rzeź, jaką im urządził Ojczulek, gdy mu się sprzeciwili.

– Nie jesteśmy kupcami, tylko kniaziami. – Wasyl położył sobie dłoń na ramieniu, jakby chcąc się upewnić, czy wciąż jeszcze ma na nim wizerunek świętego Efrema z Nisbis.

– Jestem diukiem, nie kniazem – przypomniał mu Anastasij, parskając śmiechem, jakby powiedział żart. Przełknął długi, gorący

haust herbaty. – Doskonała.

Wasył odstawił kubek i skrzyżował ramiona.

– Anastasiju Siergiejewiczu, jeżeli planujesz zdradę, porzuć swoje plany albo pogódź się z tym, że przyjdzie ci zdać z nich rachunek. Wiesz, czego od ciebie żądam.

– I zrobię to, co do mnie należy, jakem ci już obiecał – stwierdził Anastasij. – Przynależem, że będę ci służył, bo muszę. – Wypił resztę herbaty, obserwując Wasyla znad krawędzi kubka oczami pełnymi złości i gniewu.

Chwilę trwało, zanim Wasył zaufał swemu głosowi na tyle, by udzielić kuzynowi spokojnej odpowiedzi.

– Jeżeli odkryję, że jest inaczej, nie zdołasz się przede mną schronić w żadnej posiadłości, nawet najodleglejszej. Za twoje gierki, kuzynie, odpowie twoja rodzina – wszyscy co do jednego: żona, dzieci i domownicy. Moja zemsta będzie równie pewna jak moje ramię.

Anastasij odstawił kubek na tacę.

– Zostałbym dłużej, ale czeka na mnie pewien alchemik, którego nie zdążyłem jeszcze dobrze poznać. – Skłoniwszy się zbyt głęboko, wyszedł tyłem niczym zwykły domowy sługa. – Jestem na twoje rozkazy, Wasylu – przypomniał raz jeszcze, zanim opuścił komnatę.

Gdy Wasył upewnił się, że Anastasij opuścił pałac, wziął kubek, z którego pił kuzyn, i rozgniół go o krawędź stołu, klnąc sążnięcie, gdy cienki metal pękał pod naporem jego dłoni.

List od Benedicta Lovella do Ferencza Rakoczego, hrabiego Saint-Germain, napisany po angielsku i łacinie:

Prześwietnemu hrabiemu, Ferencowi Rakoczemu z Saint-Germain, ostatnio przybytemu z Transylwanii i przebywającemu na terenie polskiego poselstwa od króla Stefana Batorego w Moskwie, powołując się na

rekomendację i korzystając z łańcucha pośredników zorganizowanego przez madame Clemens rezydującą aktualnie nieopodal Harrow, najszczerze i najgo rętsze pozdrowienia.

Biorąc w dłonie pióro z nadzieją na nawiązanie przyja cielskich stosunków, czynię to, co madame Clemens radziła mi zrobić przed blisko rokiem. Twoja reputacja, hrabio, dzięki madame Clemens zdążyła Cię wyprzedzić, zanim oszołomiłeś Moskwę. Usłyszałem o Twoich niezwykłych umiejętnościach i talentach, zanim rozpiąłem żagle, by przy płynąć do tego zdumiewającego i zagadkowego kraju. Błagam, nie oceniaj mnie, hrabio, wedle mojej niezręczności w pisaniu listów. Gdyby możliwe okazało się utrzymanie stałych stosunków, przyjąłbym to z radością i zadowoleniem. Ale biorąc pod uwagę ograniczenia nakładane na cudzoziemców iponasadzanych do ich obserwacji szpiegów, zmuszony zostałem do zastosowania jakże niewygo dnego i nieregularnego sposobu korespondencji, głównie dlatego, iż sądzę, że Twoje, panie hrabio, dokonania są znacznie większe, niż zdają sobie z tego sprawę car i jego służalcy. Madame Clemens zapewniła mnie w Anglii, iż Twoje umiejętności są wyjątkowe i nie masz w całym świecie nikogo, kto by Ci dorównał. Zapewniła mnie, że posiadasz pewną znajomość angielszczyzny, ale Twoja znajomość łaciny jest. równie dobra jak Rzym stary i z tego powodu napisałem list w obu językach. Co więcej, madame Clemens ośmieliła się wyrazić przypuszczenie, że nie odrzucisz podanej Ci dłoni przyjaznego Anglika i byłego studenta z Oksfordu, choć komuś innemu mogłoby się to wydać niewłaściwe.

Ponieważ Twoje imię wyjawiała mi madame Clemens, pozwoliłem sobie zwrócić się do Ciebie wprost, bez pośrednictwa jezuitów będących panami w Twoim polskim poselstwie. Stałoby się inaczej, gdyby nie prowadziły mnie jej wskazówki, w tych okolicznościach jednak mogę tylko stwierdzić, że doskonale nadajesz się do swojego stanowiska i nie ma potrzeby, bym zapewniał Ci moje skromne wsparcie, niepotrzebna Ci też aprobaty innych

możnych panów, byś się wywiązał z powierzonej Ci misji. Nie trzeba też wymagać od kapłanów, żeby rozciągali na Ciebie swoją uprzejmość. Jeżeli nie poczytasz tego za impertynencję, pozwolę sobie zauważyć, że nie uszło mojej uwagi narastające napięcie pomiędzy Tobą, panie, a kapłanami z polskiego poselstwa. Wygląda na to, iż utrudniliby nam kontaktowanie się ze sobą z czystej satysfakcji i chęci ograniczenia wpływów Kościoła angielskiego. Jeżeli się mylę w tych przypuszczeniach, liczę na to, iż zechcesz mi wybaczyć dzielenie się z Tobą tak nietrafnymi wnioskami. Ośmielę się więc skierować m.oje uwagi wprost do Ciebie i z góry Ci dziękuję za przystugi, jakie może zechcesz mi oddać przy wypełnieniu misji powierzonej mi przez moją Królową. Nie sądzę, żeby spełnienie którejkolwiek z moich próśb przeszkodziło Ci w wypełnieniu Twojego zadania.

Proszę Cię więc, panie hrabio, żebyś ze względu na dobro wszystkich cudzoziemców przebywających na Rusi wstawił się za nami u cara Iwana. Mówi się, że jego chorobę wywołała podejrzliwość wobec nas, ale każdy rozumny człowiek wie, iż to nieprawda.

Jeżeli car zechce Cię wysłuchać, błagam, powiedz mu w naszym imieniu, że żaden z nas, obcych, nie ma siły fizycznej ani magicznej, by sprowadzić na niego takie utrapienia, przed jakimi teraz stara się obronić. Ni Polacy, ani Anglicy, ani Niemcy, nawet Szwedzi nie są zdolni w żaden sposób zagrozić tak potężnemu jak on sam władcy. Jego obawy mają jeszcze bardziej mglisty charakter niż wizje syna, choć oczywiste jest, iż car sądzi, że pada ofiarą jakiegoś podstępu. Czując okropną grozę, głośno błaga Niebiosa o przebaczenie za morderstwo popełnione przezeń na synu, którego duch towarzyszy mu dniami i nocami. Ale nie dzieje się to za sprawą żadnego maga ani czarnoksiężnika.

Ty, jako alchemik, może zdołasz go przekonać, żeby traktował zagranicznych gości z mniejszą podejrzliwością i większym szacunkiem. /godził się Ciebie przyjmować. Z pewnością okazuje Ci większą

przychylność niż któremukolwiek z dygnitarzy obecnie żyjących w Moskwie. Może zechce Cię wysłuchać, jeżeli wstawisz się za nami i opowiesz mu, jak niewinne są pełnione tu przez nas obowiązki. Iwan Groźny od dawna korespondował z Elżbietą i zawarł z nią – jak mnie zapewnia sir Jerome – pakt o obustronnej ochronie na wygnaniu, iżby każde z nich było pewne obrony drugiego, gdyby zdrada lub spisek naraziły któreś z nich na niebezpieczeństwo. Jeżeli dodasz swój głos do naszych, może car zaakceptuje naszą pozycję i obowiązki bez towarzyszących mu nieustannie podejrzeń o nasze złe, skierowane przeciwko niemu zamiary. Chętnie przyznam, że zwracając się do Ciebie, powołuję się na uprzejmość i więzy, jakie powinny łączyć obcych w obcym kraju; gdybym miał do dyspozycji jakieś inne sposoby zwrócenia się do cara Iwana, które nie powiększyłyby jego niechęci do nas, nie niepokoiłbym cię; niestety, okoliczności nie pozostawiają mi wyboru. Pozwoliłem więc sobie na napisanie tego listu, w nadziei, że zechcesz się przychylić do naszej pokornej prośby.

Za Twoim pozwoleniem przemówię do Ciebie na uczcie wydawanej dziś wieczorem po prezentacji i błagam, żebyś zechciał rozważyć, com Ci napisać: z Twoją pomocą zdołamy dobrze się przysłużyć carowi i naszym krajom. Zanosząc gorące modły, żebyś przychylił się do mojej prośby, i z góry dziękując za podjęcie przemyślanej decyzji, pozostaję zawsze Ci oddanym i pokornym sługą. Benedict Lovell, doktor filozofii, członek oksfordzkiego Bractwa Kolegium Brasenose.

W Moskwie 9 października 1583 roku wedle angielskiego kalendarza. Za zezwoleniem sir Jeromea Horseya, ambasadora, doręczone ręką Nicholasa Bowera, sekretarza brytyjskiego poselstwa

Śnieg opóźnił rozpoczęcie prezentacji berylu. Wszyscy Moskwy nie marzli od pierwszej poważniejszej zamieci zwiastującej nadciągającą zimę. Od zewnętrznych drewnianych miejskich bram po kamienne mury Kremla wszyscy poruszali się powoli, zgarbieni i okutani przed tnącymi niczym brzytwy powiewami wiatru niosącego śnieg.

Na każdym stopniu schodów wiodących do Sali Audiencyjnej Granowitoj Pałaty stali uzbrojeni w halabardy gwardziści w lśniących kaftanach i hełmach na głowach. Członkowie carskiego dworu szli w górę. Wszyscy mieli na sobie czerwono-złote kaftany z kołnierzami błyszczącymi od klejnotów i wysokie, futrzane kołpaki, co wskazywało na niezwykłą wagę uroczystości. Wszyscy też byli nieuzbrojeni; obnoszenie się z orężem w obecności cara mogłoby zostać poczytane za akt zdrady.

Kobiety, przywożone w powozach o zasłoniętych oknach, trafiały do wejścia do teremu, gdzie były przyjmowane przez carską małżonkę, po czym eunuchowie prowadzili je do kobiecych komnat Granowitoj Pałaty. Ich stroje, równie bogate jak męskie, można było podziwiać krótko, tylko gdy przemykały od drzwi pojazdów do pałacowej bramy: wszystkie miały na sobie czerwone, jedwabne, zakrywające od szyi po kostki, naszywane perłami i złotymi nićmi sarafany z rękawami sztywnymi od klejnotów i złocień. Nakładane gęsto warstwy białej barwiczki nadawały im twardy wygląd masek. Głowy otulały lśniące od pereł niczym zorze spiczaste czepce.

Borys Godunow spotkał Ferenca Rakoczego w przedsionku parteru Granowitoj Pałaty, gdzie alchemik przybył nieco wcześniej.

– Nie możemy zacząć, dopóki wszyscy dworzanie nie zajmą swoich

miejsc. W odpowiedniej chwili zostaniemy powiadomieni.

– A ty, panie? – zapytał Siedmiogrodzianin. – Czy i ty nie powinienes się tam znaleźć? – Na tę okazję gość ubrał się jak węgierski szlachcic: miał na sobie lśniący srebrem dolman obrębiony czerwono-srebrnym wzorem uniesionych skrzydeł. Narzucił nań sobolowy obszyty srebrnymi nićmi mentyk z wysokim kołnierzem zakończonym niewielką kryzą z ogniście czerwonego jedwabiu. Na nogi wdział ciasno przylegające czarne spodnie, wyszywane perłami i maleńkimi granatami we wzór z uniesionych skrzydeł, wzuł też srebrne trzewiki o grubych podeszwach. Pierś ozdobił swoim pektorałem. Na wskazującym palcu prawej dłoni hrabiego lśnił duży pierścień z ciemnoczerwonym rubinem otoczonym tym samym co pektorał skrzydlatym wzorem. Głowę Saint-Germaina zdobiła srebrna, nabijana rubinami korona.

– Pójdę przed tobą, hrabio – odpowiedział Borys, poprawiając oburącz szeroki, skrzący się od klejnotów kołnierz. – Ty, panie, i twoja eskorta wejdziecie...

– Moja eskorta? – przerwał mu Rakoczy. – O jakiej eskorcie mówisz? – W jego głosie brzmiała tylko lekka ciekawość, choć przepelniał go lęk. W tej sytuacji żołnierze oznaczali wielkie ryzyko: Iwan zawsze był nieprzewidywalny, a od zabójstwa syna stał się człowiekiem skrajnie niebezpiecznym. Było całkiem możliwe, że po przyjęciu jego klejnotu car każe go wtrącić do lochów lub zabić.

Borys, który domyślił się przyczyny niepokoju gościa, odwrócił się i spojrzał nań uspokajająco.

– To człowiek, którego przysłali ci polscy księża: hrabia Żary. Ma ci towarzyszyć, ponieważ niesiesz, hrabio, carowi cenne dary. Tak nam przynajmniej powiedział przed dwoma dniami ojciec Pogner. Niepokoiło go, że te klejnoty mogą stanowić wielką pokusę, i uznał, że dworzanie powinni wiedzieć, iż posłowie Batorego znają ich

wartość. – Gdy Godunow o tym mówił, na jego czole pojawiła się zmarszczka. – O co chodzi? – zapytał.

– O nic – odparł Rakoczy może nieco zbyt szybko, więc dodał: – Nie wiedziałem, że ojciec Pogner tak się troszczy o te kamienie. – Postarał się, by te słowa zabrzmiały lekko, a jednocześnie zastanawiał się, co też jezuita chce osiągnąć, okazując tę nagłą troskę. – A więc w opinii tych księży chyba nie za bardzo się przejmuję wartością berylu.

– A to czemu? – spytał ostro Godunow.

Tym razem Rakoczy był przygotowany na odpowiedź.

– Przypuszczam, że to dlatego, że sam je sobie robię. – Uśmiechnął się. Mówił wciąż przyjaźnie, ale wyraz jego ciemnych oczu nieco się zmienił. – Nie przejmuję się ani ich wartością, ani... reputacją.

Borys przez chwilę namyślał się nad odpowiedzią.

– Ani tym, jak to ludzie odbierają – powiedział w końcu.

Rakoczy zbył to machnięciem dłoni.

– Z tym niewiele mogę zrobić. Ludzie odbierają je tak, jak odbierają. – Podniósł nieco jasnozieloną, chałcedonową szkatułkę, w której trzymał klejnot. – Car Iwan ceni swoje skarby, ale nie tak jak inni. Nie trzyma ich dla ozdoby ani ich wartości, ale dla mocy, którą – jak wierzy – w sobie tają. Porozmawiaj z dowolnym człowiekiem na tym dworze i stwierdzisz, że każdy będzie miał rozmaite powody, żeby pożądać tych klejnotów, i inne do nich nastawienie; jeden przyjąłby taki dar z chęcią, inny ze strachem, jeszcze inny z gniewem albo z miłością.

– Mówisz, jakbyś już to wszystko widział – stwierdził Borys, taksującym spojrzeniem obrzucając chałcedonową szkatułkę.

– Żeby tylko to... – odparł Rakoczy tonem niezbyt zachęcającym do dalszych pytań.

– Co przedstawiają te ryty na ścianach i pokrywie szkatułki? – zapytał Borys świadom tego, że lepsze pytanie niż sprawdzanie

osobiście.

– To wół, lew, anioł i orzeł – stwierdził Rakoczy, pokazując boki. – A na pokrywie jest dwunastoramienna gwiazda.

– Ewangeliści i apostołowie – odpowiedział Godunow ze źle ukrytym westchnieniem ulgi. – Doskonały wybór. Ojczulkowi spodoba się twój zamysł, panie hrabio.

– Ufam, że tak. – Saint-Germain obszedł wokół niewielką komnatę o czerwonych ścianach i zatrzymał się przed ikonami świętych Borysa i Gleba. Przeżegnawszy się, przez chwilę patrzył na twarze świętych: oblicza o zapadniętych policzkach i długich nosach. – Widywałem greckie ikony w Adrianopolu i w moich rodzinnych stronach, te jednak się nieco inne. – Nie dodał, że podziwiał greckie ikony przed ośmiuset laty ani że wiele ich miał w swoim pałacu w Trapezuncie nad Morzem Czarnym, gdy to miasto należało jeszcze do Bizancjum.

– W przeciwieństwie do chrześcijan Zachodu my tu znamy ich znaczenie i wartość – stwierdził ostro Borys i spojrzał na hrabiego Dariusza Zarego, który właśnie wchodził do komnatki, poprawiając długą do kostek wilczurę, tak by futro dobrze leżało na jego ramionach.

– Odebrali mi broń – sarknął, z nikim się nie przywitawszy. – Ot tak, po prostu. Powiedzieli, że nie będzie mi potrzebna.

– Na Kremlu nikt nie obnosi się z bronią – odpowiedział Rakoczy, zanim Godunow zdążył otworzyć usta. – Nie masz tu żadnego oręża poza tym, który znajduje się w rękach gwardzistów. – Gdyby byli sami, ostrzegłby towarzysza, żeby opanował temperament, zanim spostrzegą to Rusini, ale w obecności Borysa stało się to zbędne.

– Powiem tylko, że to bardzo głupi pomysł – stwierdził Zary, zaciskając usta z niesmakiem. – Cóż to za eskorta, która nie jest uzbrojona?

– Jedyna, jakiej wolno wejść do Granowitoj Pałaty – odpowiedział

Borys, składając młodemu Polakowi lekki ukłon, jakby chciał przywrócić rozmówcy rozsądek – gdzie radzi witamy was samych i waszego króla Stefana. – Rusin przemówił tak, jakby Żary wkroczył do pałacu i formalnie się przedstawił. – To najbardziej sprzyjająca okazja dla cara Iwana i waszego króla Stefana. Masz, panie, okazję do zaleczenia starych ran i utrwalenia nowych więzów przyjaźni. Do rozpoczęcia została jeszcze prawie godzina. Pozwólcie, że dam wam obu wskazówki, jak się zachować, żebyście w Sali Audiencyjnej nie popełnili żadnego błędu. – Powiedziawszy to, zauważył, że Żary nagle zeszyt wniął.

– Borys Fiodorowicz zna tutejsze dworskie obyczaje – wtrącił Rakoczy, zanim spór zdążył się rozwinąć. – Obaj możemy się od niego uczyć. Ty, panie, pewnie się na tym znasz, ale ja nie, więc chętnie posłucham.

– Boże proroków! – mruknął pod nosem Żary.

Borys podjął wątek, jakby młody szlachcic chętnie go słuchał.

– Gdy zostaniecie wezwani, powinienesz, panie, wejść, pozostając trzy kroki za hrabią Rakoczym. Skłonisz się razem z nim i nie odejdziesz od niego dalej niż na pięć kroków, dopóki Ojczulek was nie odprawi.

– Jeżeli takie tu macie obyczaje – odparł Żary, nie ukrywając niesmaku i niezadowolenia.

– Tak tu się to robi od stuleci – uciął Borys tym razem z irytacją w głosie. – Nie odzywaj się do nikogo prócz Rakoczego i otwieraj usta tylko po to, by odpowiedzieć.

Hrabia Żary potrząsnął głową.

– Traktujecie mnie tu jak sługę.

– Bo jesteś sługą – odparł surowo Godunow. – Wszyscy członkowie waszego poselstwa są sługami waszego króla i naszego cara. Niech to będzie widoczne w twoim zachowaniu, panie. – Spojrzał na

Rakoczego. – To już niedługo. Posłuchaj odgłosu kroków na schodach. Zebrał się już niemal cały dwór.

Rakoczy już od kilku chwil zdawał sobie sprawę z tego, że kroki na schodach rozbrzmiewają coraz rzadziej, i natychmiast skorzystał z okazji, by zwrócić się do Borysa:

– Podejrzewam, że hrabia Żary denerwuje się tak samo jak ja. Wręczenie tego skromnego daru urosło do rangi państwowej uroczystości. Car Iwan nas zaskoczył, nie przygotowaliśmy się na taką okazję.

Godunow przyjął ukłon i jeszcze bardziej dwornie mu go oddał.

– Rakoczy, nie wyglądasz mi na człeka nerwowego. – Odchrząknął.
– Ale jeżeli nim jesteś, musisz się uzbroić w apetyt. Trzeba przestrzegać obyczajów. – Uśmiechnął się z zapałem dowodzącym znacznej wprawy. – To wielka okazja i car wyraźnie daje to wszystkim do zrozumienia. Na uczenie musisz skosztować każdej potrawy, bo car uzna, że obawiasz się trucizny, i poczuje głęboką urazę.

Zapadła chwila ciszy, po czym Rakoczy odpowiedział:

– Zechciej wybaczyć, Borysie Fiodorowiczu, ale moim zdaniem jasno ci przekazałem, że podczas wytwarzania klejnotów poszczę. – Kilka dni temu niemal przez godzinę wyjaśniał bojarowi, że krystalizowanie klejnotów wymaga od alchemika szczególnej diety. – Sądziłem, że rozumiałeś: nie mogę niczego jeść.

– Owszem, wtedy, gdy robisz te kamienie. Dobrze to zrozumiałem – stwierdził Borys, wyczuwając, że chodzi o coś ważniejszego. – Teraz jednak już to skończyłeś. – Czekał z napięciem, jakby Rakoczy miał mu odpowiedzieć szeptem.

Rakoczy zignorował uwagę Godunowa. Przemówił spokojnie, wiedząc, że wiele zależy od wiarygodności wytłumaczenia.

– Chyba jednak nie wyrażałem się dostatecznie jasno. Są

ograniczenia, którym alchemik musi się poddać, jeżeli klejnoty mają pozostać czyste. Gdy przerwę post zbyt wcześnie, kamienie zmętnieją i tracą blask. – Mówił z powagą, bo wiedział, że wielu alchemików uważa ten pogląd za słuszny. – Może się stać, że beryl nie przepuści przez siebie jednego strumienia złotego światła, ale rozszczepi je na kilka i jego piękno przeminie. – Spojrzał na towarzyszącego mu Zarego. – On jest z pewnością godnym przedstawicielem króla Stefana. Nie chcecie chyba ryzykować, że kamień tak się zmieni, prawda?

Borys szybko potrząsnął głową.

– Nie. Byłbym głupcem, gdybym dopuścił do czegoś takiego. – Przez chwilę krążył po komnatce, przenosząc spojrzenie z Rakoczego na Zarego i z powrotem; niecierpliwie gładził się przy tym po brodzie. Nagłe się zatrzymał ze stanowczym wyrazem twarzy. – Zrobię, co się da, choć to może nie wystarczyć. Wiele zależy od... dzisiejszego carskiego humoru.

– To prawda – stwierdził Rakoczy, któremu zdarzyło się widzieć, jak ogarnięty atakiem szaleństwa Iwan runął na podłogę niczym wściekły pies, tocząc pianę z ust. Było to zaledwie tydzień wcześniej.

– Zrobię, co będę mógł – powtórzył Borys. Bojar uklonił się i wyszedł.

– Nie ufam mu – warknął Żary po wyjściu Rusina.

– Lepiej, żebyś mu zaufał, panie hrabio – stwierdził Rakoczy, podkreślając wagę stwierdzenia błyskiem ciemnych oczu. – To jedyny sojusznik, jakiego dziś będziemy mieć.

Na zewnątrz ktoś szczechnął krótki rozkaz i obaj spojrzeli ku drzwiom.

– Wzywają nas – sarknął Żary. – Jak to powiedział ten moskwicin? Trzy kroki za tobą z prawej. Zajmę tę pozycję już teraz.

Rakoczy skinął głową i wyszedł z komnaty, skłoniwszy się

nieznacznie strażnikowi, który przyniósł im wezwanie.

– Niech Bóg ci pobłogosławi – powiedział i ruszył schodami w górę, nie oglądając się za siebie, żeby sprawdzić, czy Żary postępuje zgodnie z instrukcjami. Idąc, wyczuwał, że gwardzista mu się przygląda nie tym twardym, przeznaczonym dla Rusinów spojrzeniem, ale z niechętną ciekawością pomieszana z obawą.

Tym razem dwór zebrał się w znaczniejszej liczbie niż podczas przyjmowania polskiego poselstwa. W wielkiej komnacie zajęte były wszystkie miejsca, pod trzema ścianami zebrał się niemal cały dwór, na przeciwległym krańcu sali usadowiły się kobiety z carycą na czele. Otaczał je oddział gwardii. Cudzoziemcy – Polacy, Niemcy, Anglicy i Grecy – musieli stać przy klatce schodowej, najdalej od cara. Ich też otaczał oddział gwardii.

Car Iwan rozsiadł się na ozdobionym klejnotami tronie z kości słoniowej u podstawy wysokiej kolumny, na której pysznił się bizantyjski dwugłowy orzeł, przyjęty za godło przez Iwana III. W dłoni trzymał skrzący się od klejnotów carski posoch, na głowie zaś miał złożoną ze złotych płytek nabijaną turkusami Czapkę Kazańską. Jego czerwono-złoty kaftan ozdabiały szkarłatne koronki i klejnoty, a kołnierz warte fortunę diamenty.

Rakoczy podszedł wprost do tronu, zatrzymał się w odległości sześciu kroków od niego i opadł na jedno kolano jak przed królem Stefanem, zamiast zgodnie z oczekiwaniami cara paść na twarz. Był plamą czerni i srebra w sali pełnej barw złotej i czerwonej.

– Niechaj Bóg obdarzy cię swoimi łaskami i zsyła ci same zwycięstwa, o carze – powiedział, podnosząc nieco głos, żeby być dobrze słyszany w rozległej komnacie.

Car spojrział na Rakoczego zielonymi, błyszczącymi jak w gorączce oczami.

– Zaszczycamy cię powitaniem w tym pomieszczeniu, Rakoczy

Saint-Germain. Dostarczyłeś nam po temu wielu powodów. Wyślemy wiadomości polskiemu królowi o twoich dokonaniach. Dobrze wybrał, wyznaczając cię do tej misji. – Rozejrzył się dookoła, jakby usiłując sobie przypomnieć, co powinien teraz zrobić. – Ty... – wskazał posochem hrabiego Zarego – zanieś moją wiadomość i zaświadczysz, że jest prawdziwa. Wyruszysz natychmiast, przed zmrokiem.

Zary zrobił zdumioną minę.

– O wielki carze, prawie mamy zimę – jęknął, wciąż klęcząc trzy kroki za Rakoczym.

– Zawieziesz moją wiadomość – stwierdził Iwan tonem wykluczającym jakikolwiek sprzeciw.

– Ukłoń się, durniu! – syknął Rakoczy po polsku. – I zgódź się!

Minęła dobra chwila, zanim Zary zdołał się opanować.

– Nie zasłużyłem na taki zaszczyt, o carze.

Iwan kiwnął głową.

– Tak, nie inaczej. Ale Stefan Batory będzie wiedział i zobaczy, jaki jestem wspaniałomyślny. Dowie się, że nie będę zatrzymywał przeznaczonych dla niego wiadomości, nawet od tych jego jezuitów. – Zwrócił oczekujące spojrzenie na Rakoczego. – Masz coś dla mnie, alchemiku.

– Tak – odpowiedział Rakoczy, wyciągając przed siebie chalcedonową szkatułkę. – Twoje są klejnot i szkatułka, o carze, żeby ci pokazać, że mój pan jednako ceni cara i człowieka o imieniu Iwan. Demonstrują też, że religia jest schronieniem dla duszy. Daję ci je z chęcią, jako dowody szacunku, jaki król Polski, Stefan, wyraża ci ustami swojego przedstawiciela w Moskwie, czyli mnie. – Były to słowa formalne, dobrze przemyślane, ale też wywarły przychylnie wrażenie na większości dworzan.

Usta Iwana lśniły śliną; skinieniem dłoni wezwał Rakoczego do

siebie.

– Przynieś mi je. Na kolanach.

Rakoczy niezręcznie zrobił, co mu kazano. Przygniótł przy tym kolanem dolny skraj dolmana i musiał się zatrzymać, by uwolnić srebrzysty materiał, zanim dotarł do Iwana. Gdy znalazł się dostatecznie blisko, podał carowi szkatułkę ze słowami:

– Przyjmij ten dar, o carze!

Iwan pochylił się i wziął chalcedonową szkatułkę, żeby ją obejrzeć.

– Czy to również twoje dzieło?

– Owszem, o carze – odparł Rakoczy.

– Masz rzadko spotykane umiejętności, alchemiku – stwierdził Iwan z nagle obudzoną podejrzliwością w głosie. Podsunął szkatułkę Rakoczemu. – To twoje dzieło. Ty ją otwórz.

Wszyscy dworzanie skrycie westchnęli, ponieważ takie polecenie znaczyło, że Iwan obawia się zdrady. Siedzący na krześle pod ścianą Anastasij Szujski obrócił się do ociemniałego starego wojaka i bohatera, Piotra Grigorjewicza Smolnikowa, i powiedział mu cicho, co się właśnie stało.

– Kiepska sprawa – mruknął Piotr. – To bezpośrednia obraza polskiego króla Stefana.

– Owszem – syknął Anastasij, który chciał uciszyć starego, choć podzielał jego zdanie.

Być może Rakoczy zdawał sobie sprawę z obrazy, ale się z tym nie zdradził. Wziął szkatułkę od cara i ujął ją tak, żeby Iwan dobrze widział, jak ją otwiera.

– Na wieczku jest Gwiazda Apostolska – wyjaśnił. – Jeżeli umieścisz za nią świecę, gwiazda zmieni kolor i zaświeci niczym ikona.

Nie wstając z tronu, car pochylił się, mocno trzymając w dłoni posoch.

– Chcę zobaczyć, jak to wygląda.

Rakoczy oddał wieko carowi i przechylił szkatułkę tak, by car zobaczył jej wnętrze, zanim hrabia wyjmie kamień.

– Ten beryl, carze, nazywa się Miecz Świętego Michała. – Zaledwie przed dwoma dniami podjął decyzję dotyczącą nazwy klejnotu i teraz się przekonał, że postąpił rozumnie. Podając Iwanowi kamień, dodał: – To światło w mroku.

Car ujął podany mu kamień z wyrazem zachwyту na twarzy graniczącego ze strachem.

– Ma wielką moc. Bardzo wielką. Tego klejnotu nie dotknie żadna kobieta ani nieczysty mężczyzna. – Rozwarł palce, żeby mu się przyjrzeć. – Jest raczej ciemny niż jasny, ale dodaje mocy światłu. – Mówił niemal śpiewnie i nie zwracał uwagi na nic poza berylem. – To tajemnica ludzkiej duszy, która jest ciemna, oprócz światełka Łaski Bożej. – Niespodziewanie oderwał wzrok od kamienia. – Dobrze, że to miecz archanioła. Kamień o takiej mocy i tak ciemny byłby potężnym narzędziem potępienia, gdyby nie oddano go świętości. – Podniósł beryl tak, żeby klejnot przeszła jedna tylko, bladozłota wiązka światła. – Jest w nim nieskazitelna pasja. Mając taki klejnot, człowiek zdołałby czytać w sercu drugiego człowieka, gdyby jego własne było bez grzechu. – Powiedziawszy to, nagle zawył, przyciskając beryl do czoła pod futrzanym brzegiem korony. I załkał tak intensywnie, że jego ciałem zaczęły targać silne dreszcze.

Rakoczy pozostał na kolanach; czuł się osobliwie odsłonięty i bezbronny, jakby nagle znalazł się nago na polu bitwy.

– O wielki carze... – zaczął.

Posoch rąbnął nagle w posadzkę, chybiając ramienia hrabiego o szerokość dłoni.

– Milcz! – zagrzemiał Iwan. – Milcz!

Hrabia Zary instynktownie zaczął podrywać się na nogi.

– Zostań, gdzie jesteś! – rozkazał mu Rakoczy cichym głosem, nie

odrywając wzroku od cara.

Iwan opadł na oparcie tronu; targające nim dreszcze przekształciły się w ciągły spazm. Jego oczy błysnęły białkami, a w kącikach ust pojawiła się piana.

Carewicz Fiodor zerwał się z miejsca i podbiegł do ojca; na jego pyzatej twarzy malował się niepokój. Objąwszy ojca, głosem pełnym niepokoju zaczął na przemian wykrzykiwać jego imię i wzywać Boga. Wysoka czapa carewicza spadła z głowy i potoczyła się ku Rakoczemu. Ująwszy ojcowską brodę w dłoń, Fiodor targnął nią kilkakrotnie, jakby była sznurem dzwonnicy.

Caryca wybuchła płaczem, nie kryjąc wcale łez, które popłyły nęły, żłobiąc warstwy pokrywającego jej twarz bielidła; otoczyło ją kilkanaście kobiet, niektóre z nich zaczęły płakać ze współczucia albo strachu. Ich strażnicy natychmiast ustawili się tak, by zasłonić swoimi ciałami straszny widok. Powszechnie wiadomo było, że kobieta, ujrawszy jakieś tragiczne wydarzenie, może zostać bezpłodna.

Nikita Romanowicz i Borys Godunow zerwali się z miejsc pod ścianą i pobiegli do tronu. Nikita chwycił Fiodora, a Borys Iwana. Siedzący nieopodal Wasyl Szujski obserwował wszystko zimnym, wyrachowanym spojrzeniem. Dwór niczym ul zawrzał cichymi, krzyżującymi się w powietrzu szeptami; niektórzy z bojarów podjęli ryzyko zerwania się z miejsc – przygotowali się do udzielenia pomocy, gdyby nadarzyła się okazja. Anastasij Szujski szeptem informował niewidomego Piotra o rozwoju sytuacji.

Strażnicy podsunęli się bliżej, żaden jednak nie próbował zatrzymać Godunowa ani Romanowa. Ich dowódca miał minę człowieka, który chętnie znalazłby się gdzie indziej; w takich chwilach wolałby nie być celem carskiej łaski. Pochylił halabardę ku ziemi i dał znak swoim ludziom, żeby zrobili to samo.

Rakoczy pozostał na kolanach i ani drgnął. Nie spróbował nawet do

nikogo przemówić.

Gdy Nikita odciągał carewicza Fiodora, następca tronu sięgnął i zdjął Rakoczemu koronę, wydając śpiewny okrzyk zadowolenia z trzymanego w dłoniach łupu. Pozwolił się odprowadzić na bok, podczas gdy Borys nadal trzymał Iwana.

Rakoczy w końcu zdecydował się przerwać milczenie.

– Czy mogę? – zapytał Borysa. – Miewałem już do czynienia z objawami... roztargnienia i niepokoju. Pozwolisz, kniaziu?

– Na Boga i Jego archaniołów! Jeżeli zdołasz pomóc w jakikolwiek sposób... – krzyknął Borys, usiłując podtrzymać chwiejącego się na tronie cara.

Rakoczy wstał, szybko pokonał dzielącą go od tronu odległość i sięgnął do zwisającego mu z pasa trzосу, z którego wyciągnął maleńką fiolkę przezrzystego płynu.

– To... pewna mikstura – zwrócił się do Borysa. – Przyniesie carowi ulgę.

Borys ujawnił całą swą ruską niechęć do cudzoziemców, przesywając fiolkę wrogim spojrzeniem.

– Jeżeli jest w tym coś innego, niż mówisz, nie opuścisz tej sali żywy.

– Pozbądź się obaw – zapewnił go Rakoczy z nikłym, ironicznym uśmiechem na ustach. – Opuść to miejsce równie żywy, jak jestem w tej chwili. – Wyjąwszy karneolową zatyczkę z szyjki fiolki, zwrócił się do Godunowa z pytaniem: – Zechciałbyś mi pomóc, panie? Trzeba wlać kilka kropel tego płynu w carskie usta.

– Zakrztusi się – stwierdził lekko zasapany Borys, który z trudem trzymał szamoczącego się cara. Twarz bojara lśniła od potu.

– Nie, na pewno nie – odparł Rakoczy. – Znam się na tym, Borysie Fiodorowiczu. Bądź pewien, że mi się uda. – Czekał bez strachu, choć Iwan zaczął pluć i wciąż targały nim spazmy płaczu.

Borys się rozluźnił.

– Dobrze, Rakoczy. Ale jeżeli cokolwiek...

– Podtrzymaj mu szczękę tak, żeby nie zamknął ust – przerwał hrabia, nie słuchając dalszych gróźb. Oparłszy się o tron, wsunął otwartą fiolkę w carskie usta, pozwalając cieczy spływać bardzo cienką strużką. Po opróżnieniu naczynka cofnął się nieco. – Proszę – stwierdził, podając fiolkę Borysowi.

W tej chwili otoczyli go strażnicy, on jednak nie zwrócił nawet na to uwagi.

– Nie mogę go utrzymać! – stęknął Borys.

– Car wkrótce się uspokoi. – Hrabia obserwował Iwana, wpatrując się w tętniącą na jego szyi żyłę, i kiwnął głową, zobaczywszy, że puls zwalnia. Skinieniem dłoni wezwał strażników, żeby się odsunęli, gdy będzie wracał na swoje klęczące miejsce.

Car dwukrotnie się wzdrygnął, kaszlnął i podniósł rękę, żeby otrzeć usta. Jego ruchy były niezborne jak u niemowlaka, przestał jednak krzyczeć i się trząść.

– Chroń mnie, Panie... – wyszeptał.

W Sali Audiencyjnej Granowitoj Pałaty znów zabrzmiały szepty; ci z bojarów, którzy wstali, zaczęli siadać; na twarzach kilku malowało się prawdziwe zdumienie.

Carewicz Fiodor oderwał wzrok od filigranowej korony Rakoczego i nagle się uśmiechnął. Wskazując dłonią cara, zwrócił się do Nikity:

– Spójrz, wuju, car już się ocknął. Jest przytomny.

Borys cofnął się od tronu. Na jego twarzy malowało się szczere zdumienie. Spojrzawszy na Rakoczego, przemówił do cara:

– Ojczulku...

Car ziewnął potężnie i się przeciągnął.

– Na mą duszę! Nie sądziłem... co mnie napadło? – zapytał sennym głosem. – Boli mnie głowa i wszystkie mięśnie. – Usiadłszy prosto,

poprawił na sobie kaftan i rozluźnił kurczowo zaciśnięte na berylu palce. – W tym klejnocie jest moc. Bardzo wielka moc. Pieczętuje i leczy duszę. Nic dziwnego; jest Mieczem Świętego Michała. Powiedziałaś prawdę. – Spojrzał na Rakoczego bystro i przytomnie.

– Służyć ci to dla mnie wielki zaszczyt – stwierdził hrabia.

Borys patrzył nań przez chwilę, po czym dał znak gwardzistom, żeby wrócili do szyku.

– Wielka to usługa... – Iwan podniósł głos. – Ten człek zrobił to, na co żaden z was się nie odważył. Obdarzył mnie miłosierdziem, gdy moją duszą targaly diabły. Niechże więc wszyscy od tej chwili okazują mu szacunek należny prawemu bojarowi. – Raz jeszcze spojrzał gościowi w oczy. – Przysięgam, że cię wynagrodzę, Rakoczy, za wspaniały dar i o wszystkich twoich osiągnięciach powiadomię króla Stefana.

– Okazujesz wdzięczność cudzoziemcowi – stwierdził ostrożnie Rakoczy.

Iwan wstał chwiejnie, podnosząc jednocześnie swój kostur. Nie sposób było uwierzyć, że ten człowiek jeszcze przed chwilą miotał się i ślinał. Ruchem dłoni uciszył zrywające się już w sali szepty.

– Zaslugujesz na zaszczyty, Rakoczy. Zostaniesz nagrodzony, gdy tylko obmyślę, co będzie dla ciebie odpowiednie.

Tym razem Rakoczy pochylił głowę, zastanawiając się rozpaczliwie, jak mógłby uniknąć carskiej łaski. Podchwyciwszy spojrzenie Borysa, ujrzał zrozumienie w jego czarnych oczach.

– Klejnoty są sercem każdego skarbcza – oznajmił Iwan, a potem ponownie rozsiadł się na tronie. Skinieniem dłoni wezwał do siebie Borysa. – Przynieś mi tę szkatułkę, Borysie Fiodorowiczu. Sam umieszczę w niej klejnot.

Wykonując carski rozkaz, Borys spojrzał badawczo na Rakoczego, a potem padł na twarz, podając szkatułkę Iwanowi.

Car pieśczośliwie pogładził wieko, a potem włożył do środka klejnot.

– Otrzymaś wielką nagrodę... zaiste wielką – obiecał ponownie półgłosem.

Wciąż jeszcze klęczący Rakoczy z trudem powstrzymał chęć wyrzeczenia się carskiej nagrody. Pochylił tylko głowę i powiedział:

– To nie jest konieczne, o carze, jedyną nagrodą, jakiej mógłbym pragnąć, jest świadomość, że służę tobie i królowi Stefanowi.

Na twarzy Iwana malowała się satysfakcja granicząca z rozkoszą.

– Jakież człowiek nie chciałby mieć tak oddanego sługi? – Spozrzegłszy, że carewicz Fiodor wciąż się bawi filigranową koroną gościa, obiecał: – Zostanie ci to zwrócone.

– Niech zostanie tam, gdzie jest – odpowiedział szybko Rakoczy. – Carewicz może ją zatrzymać jako prezent.

List od Anastasija Siergiejewicza Szujskiego do ojca Pognera, spisany po grecku i dostarczony przez niemego sługę:

Wielce czcigodnemu jezuitcie będącemu głową polskiego poselstwa w Moskwie najszczerze pozdrowienia przesyła pragnący zaproponować pakt, z którego obaj odniesiemy korzyści.

Jestem pewien, że podzielasz moją niechęć do alchemika Rakoczego, który przybył do Moskwy w Waszym towarzystwie, bo widziałem w Twoich oczach niechęć i odrazę do bezczelnego transylwańskiego wygnańca, jakich nie zdołałeś ukryć. Kto z ludzi prawych nie byłby wstrząśnięty tym, co się stało? Zdumiewa mnie, że car, nieważne jak obecnie posunięty w chorobie, dał się omotać temu szelmie i jego niezliczonym wybiegom.

Ostatni jego wyczyn – wywołanie u cara napadu choroby zatrutym klejnotem i podanie mu potem odtrutki w celu popisania się rzekomymi

“mocami ” – niewątpliwie wywołał uczucie głębokiego wstydu u kogoś’, kto jak Ty, panie, jest oddany sprawie i wierny swemu powołaniu; niezaprzeczalny też jest fakt, iż człek ów przynosi hańbę Waszemu poselstwu. Zostałeś skompromitowany w swoim powołaniu, bo sztuczki sprytnego oszusta dzieją się w cieniu Twoich cnót. Wierzę, że kręactwa tego człeka wzbudziły Twoje oburzenie, i dlatego właśnie zwracam się do Ciebie, żeby oferować wszelką pomoc, jakiej zdołam Ci udzielić w ujawnieniu oszukańczych machinacji Rakoczego.

Niewątpliwie rozumiesz, jak delikatna i niepewna jest nasza pozycja w sytuacji, gdy Rakoczy cieszy się pełnią carskiego zaufania i łask. Iwan niechętnym okiem patrzy na ludzi usiłujących zdyskredytować człowieka, którego on obdarzył zaufaniem, i będzie tak do czasu, aż ta fascynacja nim przeminie; car przysiągł, że każdy, kto spróbuje zaszkodzić Rakoczemu, zostanie zachłostany na śmierć. Żeby skierować w inną stronę strumień podstępnie zdobytej carskiej ufności, musimy działać rozważnie i skrycie. Nie ujawnię Ci więc mojej tożsamości, dopóki sam nie zechcesz jej poznać, tak więc będziesz miał w tym względzie pewne zabezpieczenie, jeżeli car zechce Cię o to zapytać. Nie będziesz mógł mu wydać żadnego nazwiska, co zapewni Ci większe bezpieczeństwo niż Wasze jezuickie śluby milczenia.

Słyszałem pewne plotki dotyczące nagrody, o jakiej myśli Iwan, ale nie jestem przekonany, czy nawet on zdecyduje się na takie zuchwalstwo. Smutna to rzecz widzieć cara ułomnego na umyśle i modlimy się do Boga, by zechciał mu przywrócić dawną wielkość. Car postanowił okazać Rakoczemu niezwykłą łaskę, ale w obecnym stanie nie potrafi odróżnić tego, co się godzi, od tego, co jest niegodziwe. A jednak nawet teraz nie umiem pomyśleć, że mógłby się porwać na takie zuchwalstwo, jakie zamierza, ponieważ nie byłoby nagrodą, ale najbardziej okrutną z kar i miałyby skutek odwrotny do zamierzonego, przyniosłoby też nieszczęście innym. Powiększyłoby też Twoją hańbę do rozmiarów, jakich byś nie

zniósł, ponieważ wiele z tego, co Ci się przydarzyło, było wynikiem błędów i pomyłek Rakoczego.

Może jednak owa kara posłuży Twoim celom, szlachetny jezuito, może też przysłużyć się mnie samemu. Zmuszenie Rakoczego do służenia dwu panom zwiększy dwukrotnie grożące mu niebezpieczeństwo, co możemy obrócić na naszą korzyść. Jeżeli tak się stanie, dowiemy się zawczasu.

Tymczasem pozwól, że doradzę Ci, żebyś przygotował się do świętowania Bożych Narodzin z wielkim przepychem, ponieważ wzbudzi to uznanie cara i większości bojarów. Masz nieco ponad miesiąc na wydanie świetnej uczy. Taki pokaz radosnej pobożności i religijnego oddania zbierze dobre opinie u wszystkich, którzy z niechęcią patrzą na wybryki i zuchwalstwa Rakoczego.

Ten, który dzieli z Tobą troski.

Konie chronili przed zimowym chłodem derkami, które podkładano pod siodło i owijano nimi końskie brzuchy, podtrzy mując je popręgami i szerokimi na dwie dłonie napierśnikami osłanianymi przez owcze skóry. Rakoczy dosiadał przywiezionej jeszcze z Siedmiogrodu karej klaczy Furioso, pięknej i silnej, o długim, spokojnym kroku. Benedict Lovell jechał obok na kasztanowym wałachu o szerokim czole, którego przed kilkanaście miesięcy kupił w Moskwie. Trzeci członek kompanii, Anastasij Szujski, dosiadał wspaniałego deresza o pięknie wygiętym karku; całą tę wyprawę za miasto zaproponował Rusin.

– Więc ci oprycznicy nie są nowymi szlachcicami? – zapytał Lovell Anastasija w swojej pięknej, z angielska akcentowanej ruszczyźnie. – Myślałem, że to szlachta.

– Do niedawna też tak sądziłem – stwierdził Rakoczy.

– Nie, nie są szlachcicami, przynajmniej nie jak bojarzy i kniaziowie – stwierdził Anastasij, gdy grupka jeźdźców zbliżała się do południowej moskiewskiej bramy. – To ludzie skłonni do gwałtu i przemocy, którzy przysięgli wspierać carską władzę. Hulają po kraju, obnosząc się zmiotłami i psimi głowami jako talizmanami, i zgodnie z wolą cara wykorzystują wszędzie zło i przekupstwo. – Musnął dłonią brodę, otrzepując ją z płatków śniegu. – Wykorzystując swoją uprzywilejowaną pozycję, w końcu sami ulegli złu i przekupstwu.

– To lekcja, której większość ludzi nie chce zrozumieć. – Lovell owinął się mocniej ruską szubą. – I teraz już ich nie ma?

– Car pozbył się większości. Było mnóstwo egzekucji. Kilku jednak pozostało mu wiernych, awansowali i są teraz ludźmi o dużej władzy

– stwierdził ponuro Anastasij.

Zbliżali się do bramy i ciżba zmusiła ich do wolniejszej jazdy. Wąskie uliczki południowej części miasta pełne były ludzi udających się na ostatni w tym sezonie targ koński.

Rakoczy zdawał sobie sprawę z tego, że zadając te pytania, wstępuje na niepewny grunt, więc powiedział:

– Car Iwan to w istocie szczęśliwy człowiek. Wielu władców zostało obalonych przez swych własnych przybo cznych, którzy powinni byli ich ochraniać. – Wstrzymał klacz, tak żeby pozostali mogli przed nim przejechać przez masywne miejskie wrota.

Poprowadził Anastasij, nie omieszkawszy przeżegnać się przed wielką ikoną świętego Aleksandra, zanim przedstawił się strażnikom i powiedział im, kim są jego towarzysze.

– Nie lubię bałwochwalstwa i wszystkich tych połączanych świątków. To nawet gorsze niż wystawność papieżstwa – rzekł cicho po angielsku Lovell do Rakoczego. – Nie możesz tu nigdzie ruszyć tyłka bez odprawiania nieskończonych rytuałów przed tymi wszystkimi wszechobecnymi ikonami. To praktyka, z którą my, Anglicy, nie możemy się pogodzić.

– Mimo to przeżegnaj się, panie – poradził mu Rakoczy, sam żegnając się zamasyście przed ikoną. – To nie moi święci, ale przebywając w tym kraju, będę im oddawał cześć.

Lovell wzruszył ramionami, ale poszedł za przykładem towarzysza. – Wszyscy oni wielbią malowane wizerunki – zaprotestował cicho.

Rakoczy pognał swoją klacz za wałachem Lovella.

– Myśl o tym jak o przesądzie – podsunął, ponieważ widział niewielką różnicę pomiędzy jednym a drugim.

– Większym bałwochwalstwem popisują się ci, co biją pokłony papieżowi – powiedział gniewnie Lovell, mimowolnie podnosząc głos. – Nie tak to się robi w Anglii.

– Kiedyś jednak było inaczej – stwierdził sardonicznie Rakoczy. – Ale zostawmy ikony, przybyliśmy tu z powodu koni. – Skinieniem dłoni wskazał Wielkie Pole za murami miasta, na którym zorganizowano koński targ. Mimo późnej pory roku sprowadzono tu liczne końskie stada. Jak okiem sięgnąć, wszędzie widać było poprzywiązywane do palików albo spętane konie.

Lovell zatrzymał wierzchowca i wytrzeszczył oczy.

– Jak sądzisz, panie, ile ich tu jest? Nigdy nie widziałem aż tylu koni naraz...

– Pewnie ze dwa tysiące – stwierdził Rakoczy, ponagłając swą klacz, żeby zbliżyła się do wałacha, a jednocześnie starając się omijać co głębsze dziury i wyboje. – Mów tu po rusku – dodał w tym języku.

– Jako cudzoziemcy i tak jesteśmy podejrzani. Jeżeli Rusini spostrzegą, że rozmawiamy w obcym języku, zaczną wietrzyć spisek.

– Z pewnością tak nie pomyślą – odpowiedział Lovell, posłusznie jednak przechodząc na ruszczyznę. – Wszyscy widzą, że jesteśmy cudzoziemcami. Na pewno wiedzą, że obcy mówią obcym językiem i każdy kraj ma własną mowę.

– A jednak mów po rusku, jeżeli nie chcesz zostać uznany za wroga. – Rakoczy skinieniem ręki wskazał Anastasija, który zdążył ich już wyprzedzić. – I wyrażaj się bardzo ostrożnie przy tym człowieku.

– Oczywiście. – Lovell skwitował sprawę niedbałym machnięciem ręki. – Musi powiadamiać przełożonych o wszystkim, co robimy. Służą wszak carowi.

Rakoczy przez chwilę wpatrywał się w szerokie plecy Rusina.

– Nie byłbym tego taki pewien – stwierdził po dość długim namyśle.

Anastasij odwrócił się w tej chwili i zamaszystym gestem ręki zaprosił cudzoziemców, żeby się pospieszyli.

– Musicie pognać koniki – zakpił. – My tu nie zwlekamy z

chwytnością szansy w lot, gdy tylko nadarzy się okazja. Pospieszajcie albo inni wezmą najlepsze konie. Nie zostawajcie w tyle. – Gdy Rakoczy i Lovell się z nim zrównali, wskazał dłonią grupę Tatarów w ciężkich strojach z jedwabiu i skór. – To są handlarze, których szukacie. Mają konie, o jakich ci wspominałem, Rakoczy. Znajdziesz w nich wszystko, o czym ci mówiłem, i jeszcze więcej. Są uczciwi jak wszyscy handlujący końmi. Ile wierzchowców przywiodłeś ze sobą, Chelmani? – krzyknął do jednego z podchodzących Tatarów.

Tatar skłonił się ceremonialnie i uśmiechnął szeroko.

– Nie za wiele. Sześćset. To koniec sezonu. – Machnął ręką z przesadną rezygnacją. – Większość to dwu i trzylatki.

– Zmniejszasz liczbę najmłodszych koni przed nadejściem wiosny – stwierdził Rakoczy, zeskakując z Furioso. Jego wysokie, podbite futrem buty o grubych podszwach z głuchym stukiem uderzyły w ściętą mrozem ziemię. – Bardzo rozumnie. – Nie dodał, że był to też dobry sposób na pozbycie się mało obiecujących zwierząt, zanim zdążą wnieść niepożądane cechy do pozostałej części stad właściciela. – Okazuje się, że dobrze zrobiliśmy, przybywając tu, żeby zobaczyć najlepsze z twoich młodszych koni.

– W osobie hrabiego Saint-Germain przyprowadziłem znawcę i człeka biegłego w wielu sprawach – stwierdził Anastasij z satysfakcją i dobrodusznym uśmiechem.

Nieprzekonany rekomendacją Rusina Chelmani zmierzył Rakoczego podejrzliwie.

– Czemu tak mówisz? Czemu mielibyśmy zmniejszać liczbę młodych koni przed wiosną?

– Sam, bywało, zajmowałem się hodowlą koni – stwierdził Rakoczy, przypominając sobie z osobliwą mieszanką niechęci i sympatii rozległe stajnie, które piętnaście wieków wcześniej trzymał na wschód od Rzymu, i późniejszą o kilka stuleci posiadłość w Trapezuncie, gdzie

chowało się ponad osiemset koni; uciekając z Rogerianem na południowy wschód, zostawił je Oliwii, powierzając zwierzęta opiece jej osobistego sługi Niklosa Auriliosa. Podał teraz wodze swojej klaczy Tatarowi. – Rozumiem, że masz tu rasy, jakich nie znamy na Zachodzie.

– Wiele jest ras, o których na Zachodzie nic nie wiecie – stwierdził Tatar z przekąsem. Wskazał dłonią najbliższą grupkę młodych koni, z których większość miała ciemną barwę i była krępa i przysadzista. – Na przykład nie znacie tych. To konie znad Donu. Dosiadają ich najlepsi jeźdźcy na świecie.

– To konie kozackie – rzekł Anastasij, zeskakując z siodła. Jak wielu ludzi korpulentnych poruszał się lekko i z wdziękiem. – Są dobre do bitwy i bardzo wytrzymałe. Ale nie o tych wam mówiłem.

Rakoczy od stuleci zadawał się z koniarzami i wiedział, że zbyt wczesne okazanie zainteresowania będzie poważnym błędem, podszedł więc do dońców i zaczął im się uważnie przyglądać.

– Dobre nogi, sądząc z wyglądu, i spokojne spojrzenie. Ale w zimie kiepsko się trzymają, prawda? Na mrozie tracą wagę.

Tatar wdał się w długie i pełne zapału wyjaśnienia o trudach podróży i młodości zwierząt, którym jakoby należało przypisać wystające żebra dońców. W końcu stwierdził filozoficznie:

– Ostatecznie i tak przyzwyczajają się do chłódów.

Uśmiech Rakoczego był uprzejmy, niemal nieśmiały, ale jego ciemne oczy wyglądały jak dwa kamyki.

– Wątpię. Nie mają do tego odpowiednio grubej sierści. – Powiedziawszy to, podszedł do innej końskiej grupki. – Opowiedz mi coś o tych.

– Ach, te przebyły daleką drogę. Żyją za Sarajem.

Nazwa stolicy Mongołów wywołała grymas niechęci na twarzy Anastasija, Rakoczy jednak nie zwrócił na to uwagi, a Chelmani

uśmiechnął się do Rusina otwarcie i złośliwie.

– Co to za rasa? Wyglądają na wytrzymałe. – Hrabia podszedł do kształtnych, niewysokich koni. – To konie pustynne, prawda?

– Tak. – Chelmani patrzył uważnie na Rakoczego, ponownie go oceniając. – Mocne i wytrzymałe konie karabairskie.

Rakoczy podszedł bliżej.

– Jak duże będą, gdy dorosną? Te wyglądają na zbyt niskie, jak na dwu albo trzylatki.

Chelmani splunął.

– Wielkie nie będą. Ale są wytrzymałe. To najlepsza cecha u konia.

Lovell obserwował tę potyczkę z zainteresowaniem. Zeskoczywszy z siodła, pociągnął konia za sobą, podążając raczej za Rakoczym, niż dbając o Anastasija. Teraz zaczął się z zaciekawieniem przyglądać koniom karabairskim.

– Czy konie, które madame Clemens trzyma u siebie, nie są podobne do tych?

– Masz na myśli jej berbery? – zapytał Rakoczy. – Owszem, jest pewne podobieństwo. – Odwrócił się do Lovella. – Może zechciałbyś, panie, podesłać jej parę dwu lub trzylatków? Są tu dość urodziwe zwierzęta. Ta myszowata klacz wygląda obiecująco, to samo można powiedzieć o tamtej kasztance. Mogłyby zainteresować Oliwię.

Lovell wzruszył ramionami. Jego szczerą, brytyjską twarz przybrała lekko różową barwę, i to nie tylko z powodu zimna.

– Obawiam się, że zawartość mojego trzosa nie pozwoli mi na taki dar, chociaż bardzo bym go pragnął. – Spojrzał w bok, udając, że zainteresował go jeden z dońców. Wolną dłonią naciągnął mocniej na uszy klapy swej futrzanej czapki. – A nawet gdybym mógł je kupić, jak niby miałbym je wysłać do Anglii? Nikt nie wyjedzie stąd na Zachód aż do wiosny, a wtedy znów się zacznie wojna z Polską i wysyłka koni przez całą Europę będzie niemożliwa. Port, z którego

korzystają nasze okręty, jest już skutym lodem i tak zostanie aż do końca kwietnia, gdy Morze Białe otworzy się dla żeglugi. Już wkrótce śniegi i lody pozamykają wszystkie drogi i nikt nie zechce pojechać do Nowych Chołmogorów. Teraz więc nie zdołalibyśmy przerzucić tych koni na północ, a na wiosnę... – Umilkł, szukając słów, które pozwoliłyby mu zachować twarz i zabrzmiały rozumnie.

– Gdybyś zechciał, mógłbym je przetrzymać w mojej stajni – zaproponował Rakoczy. – Kup tu, co zechcesz. Ja odpowiem za twój wybór. – Uśmiechnął się lekko, ale w kątku jego ust pojawił się cień smutku.

– Och, nie, hrabio. Jesteś niezwykle łaskaw, ale ja nie mogę przyjąć tej propozycji. Nie będę... – Lovell przeszedł na angielszczyznę.

– Mości Lovellu – przerwał mu Rakoczy po rosyjsku – umówimy się, jak zechcesz. Myślę jednak, że dobrze byłoby mieć w rezerwie kilka koni dla... cudzoziemców. Na wypadek gdybyśmy musieli konno udać się do Polski lub waszego portu w Nowych Chołmogorach. – Dość obojętnie spojrzął w oczy byłemu oksfordczykowi. – Co o tym sądzisz?

Lovell rozejrzał się niespokojnie.

– Nie powinienem wyrażać zgody.

– Ale wyrazisz! – stwierdził Rakoczy, patrząc mu nagłoco w oczy.

– Nie... To nie tylko uprzejmość, tak... ale jeśli uważasz, hrabio, że to konieczne... – Anglik potoczył dookoła wzrokiem, nie wiadomo dlaczego czując się nagle głupio. Jakikolwiek był prawdziwy powód tej nieoczekiwanej hojności hrabiego, Lovell wiedział, że ten mu go nie wyjawia. Zamierzał już zapytać, ale rozkazujące spojrzenie Saint-Germaina zamknęło mu usta.

– Pokaż mi jakieś inne konie, a tymczasem doktor Lovell wybierze spośród karabairskich – zwrócił się obojętnie Rakoczy do Tatara tak, jakby jego zainteresowanie końmi karabairskimi nagle rozplynęło się

w nicość.

Obserwujący tę wymianę zdań Anastasij z trudem stłumił chęć zadania Rakoczemu kilku jeszcze pytań. Szedł za obu cudzoziemcami, starając się usilnie wyglądać na niezainteresowanego, słuchał jednak bardzo uważnie, by wyłowić z ich rozmowy każdy najmniejszy choćby skrawek pożytecznej informacji.

– Gdzie są te twoje skarby, konie księżycowe? – Anastasij spytał w końcu Chelmaniego.

Zaskoczony pytaniem Tatar spojrział na Anastasija, jakby zdumiało go, że Rusin wspomniął o tych koniach przy cudzoziemcu.

– Przeprowadziłem tylko dwadzieścia – powiedział w końcu. – Same trzylatki, co do jednego.

– Aaa... – odezwał się prawdziwie zainteresowany Rakoczy. – Pozwól mi więc je zobaczyć, na miłość boską! Ten człowiek – wskazał Anastasija – opowiadał mi cuda o tych koniach srebrzystej maści i nie wiem, czy mam wierzyć w to, co mówił.

– Takich koni nie znajdziesz nigdzie na Zachodzie – stwierdził Anastasij z determinacją malującą się na płaskiej, szerokiej twarzy.

– Tak właśnie mi mówiłeś, kniaziu – odpowiedział Rakoczy, okazując uprzejme niedowierzanie: widywał konie księżycowe, ale było to ponad tysiąc lat wcześniej. Jeździł na ich chińskich krewniakach jeszcze trzysta lat wcześniej i nie bez rozbawienia myślał teraz o tym, że Chińczycy nazywali je końmi niebiańskimi.

Tatar skłonił się ponownie, tym razem jeszcze niżej i bardziej ceremonialnie.

– Chodź więc ze mną, o szlachetny cudzoziemcze, i sam zobacz.

Nawet porośnięte gęstą, zimową sierścią dwadzieścia koni wyglądało wspaniale. Miały sierść o barwie lśniącego srebra, jaką Polacy nazywali ciemno gronostajową, malarz umieściłby ją na palecie gdzieś między najjaśniejszym odcieniem szarego błękitu a

bardzo jasnym brązem. Ich długie grzywy i ogony rozpaczliwie wymagały starań. Były nieco bardziej rosłe od innych, które Tatar przywiódł na targ, i poruszały się z wdziękiem urodzonych akrobatów.

– Księżycowe konie niebios, zaprzęg rydwanu śmierci – oznajmił Tatar z emfazą. – Achaltekin.

W uśmiechu Rakoczego pojawiły się teraz cieplejsze nutki. Podeszedł do konowiążu i wyciągnął obleczone w rękawicę dłoń do wysuniętych ku niemu badawczo chrapów najbliższego wierzchowca. Następnego pogładził po czole i przeszedł wzdłuż szeregu, obdarzając pieścotami każdego konia i uważnie obserwując ich reakcje. Dokonawszy tego wszystkiego, wrócił do Tatara. – Te trzy żrebaki i tamte sześć klaczek. Chciałbym je obejrzeć dokładniej.

Chelmani wytrzeszczył oczy, bo nigdy jeszcze żaden możny cudzoziemiec nie przedstawił mu tak niesłychanego żądania. Spojrzał pytająco na Anastasija.

– Wasza wysokość...

Anastasij szybko podeszedł bliżej.

– Chelmani, to cudzoziemiec. Nie ma pojęcia, o co prosi. – Nie potrafił ukryć nagłego ataku nerwowości, który próbował pokryć uśmiechem. – Nie zamierzał cię obrazić. I właściwie nie ma zakazu posiadania aż tylu wierzchowców. – Spostrzegłszy nagłą czujność w oczach Tatara, zmienił podejście. – Ale ci, których car obdarzył swoją łaską, nie mogą postępować niewłaściwie.

– Niech Bóg go chroni i osłania i niech mu wskaże drogę w tej kłopotliwej sprawie – odezwał się w końcu Chelmani.

Anastasij szybko się przeżegnał, dostrzegając, że Rakoczy zrobił to samo.

– Gdyby nie był to ostatni koński targ przed nadejściem wiosny... – Bojar zastanawiał się gorączkowo, co w tej sytuacji zrobiłby Wasyl, i

niemal natychmiast porzucił te myśli: gdyby Wasyl chciał podejmować decyzje za cudzoziemców, przywiózłby ich tu osobiście. W tej sytuacji Anastasij musiał zdać się na własny rozum. – Hrabia Saint-Germain cieszy się carską łaską. Car oznajmił to bez ogródek. Nie sądzę, by chciał mu zabronić kupna kilku koni. Nie jest wojownikiem i przybył tu sam, bez orszaku zbrojnych. – Skinieniem dłoni wskazał Lovella, który wciąż jeszcze wybierał konie karabairskie. – Tamten jest tylko uczonym skrybą. Musi mieć konie, żeby wywiązywać się ze swoich obowiązków. Nikt nie wyrazi sprzeciwu.

– Jeżeli tak każe car, znaczy, że jest to wolą Nieba – stwierdził Chelmani, dając tym samym do zrozumienia, że nie bierze odpowiedzialności za nic, co może wynikać z takiej transakcji.

– Bóg pochwała twój rozsądek, Chelmani – stwierdził Anastasij. – Zaskarbisz sobie wdzięczność Ojczulka...

Chelmani jednak uprzedzająco podniósł dłoń.

– Nie przystoi, żebym przyjmował cokolwiek od cara – powiedział szybko i rozejrzał się wokół, jakby licząc na to, że konie rzeniem powtórzą to innym zwierzętom.

Anastasij udał, że sprawa jest błaha i niegodna jego uwagi.

– Ale zrobiłeś wiele dla...

– Nie przystoi – powtórzył Chelmani z naciskiem. – Jeżeli jest w tym oznaka szacunku, weź to na siebie i nie zrzucaj niczego na mnie. – Odwrócił się szybciej, niż zamierzał, i niewiele brakowało, a poślizgnąłby się w błocie.

Rakoczy wyciągnął dłoń, żeby podtrzymać Tatara.

– Do wieczora zamarznie – stwierdził spokojnie. – Niełatwo tu utrzymać równowagę.

Chelmani odwrócił się i spojrzał na Rakoczego z zaciekawieniem.

– Owszem, to sama prawda.

Na wargach hrabiego pojawił się nikły, ironiczny uśmiezek.

– Miło mi, żeśmy się zrozumieli – przemówił bez śladu rozbawienia w głosie. – Skinieniem dłoni wskazał na achalki. – Czy mogę obejrzeć konie, które wybiorę?

Chelmani skłonił się z wielkim szacunkiem i nie podjął już próby przesadnego przedstawiania wartości swoich wierzchowców.

– Oglądaj je do woli, cudzoziemcze. – Cofnął się, żeby spokojnie popatrzeć; nie chciał stracić nic z widowiska.

Rakoczy zdjął rękawice i rozmasował zimne palce. Podszedł do pierwszego konia, którego chciał obejrzeć, i chwyciwszy za linkę, przyciągnął do siebie jego łeb, by dokładnie zbadać i głowę, i oczy, i uszy. Zaspokoiwszy ciekawość, odciągnął górną wargę konia i przyjrzał się zębom.

Żrebak, zaniepokojony i zdenerwowany, zaczął ostrzegawczo parskać.

– Nie, nie – wyszeptał Rakoczy wprost do ucha konia. – Nie stoisz przed obcym. Nikt cię nie skrzywdzi. – Poklepał zwierzę po srebrzystym karku, nie omieszkawszy zauważyć gęstości i długości grzywy, a koń opuścił łeb i wetknął mu chrapy w zgięcie ramienia. – Dobrze. Bardzo dobrze – stwierdził Rakoczy.

Anastasij był człkiem praktycznym, który mając od tego służbę, w ogóle nie zajmował się końmi, ale nawet on spostrzegł, że jest coś niezwykłego w podejściu hrabiego do żrebca. Doszedł do wniosku, że warto by się tego czegoś nauczyć. Podszedł o krok bliżej, przyglądając się, jak Rakoczy bada przydatność koni.

– Szkoda, że nie masz tu miejsca na przejażdżkę – stwierdził Saint-Germain, gdy skończył oględziny pierwszego żrebca. – Ten mnie w pełni zadowala. Obejrzę inne.

Chelmani westchnął dyskretnie, patrząc na nisko zwieszony, szare chmury, które zasypywały Moskwę płatkami bielutkiego śniegu.

Robiło się coraz chłodniej i za dwie godziny miał zapaść zmierzch. Przedtem pragnął znaleźć się w oberży.

Upłynęła godzina. Rakoczy zaaprobował wszystkie zwierzęta oprócz jednej klaczki. Zdawał sobie sprawę z tego, że Rusin i Anglik spoglądają na niego z rosnącym zniecierpliwieniem. Wyjawszy cztery idealne diamenty z trzosa, popatrzył uważnie na obu towarzyszących mu mężczyzn.

– Wdzięczny jestem za waszą uprzejmość i delikatność.

Anastasij zaczął już dotkliwie odczuwać chłód, ale zdołał zmusić swoją zmrożoną twarz do uśmiechu.

– Hrabio, nie ma powodu do takich słów. Jako człowiek, który was tu przyprowadził, nie mógłbym was tu zostawić, bo przysporzyłbym zmartwienia Chelmaniemu. – Nie bardzo wiedział, jakiego rodzaju miałyby być to zmartwienie, ale brnął dalej: – Skąd miałby wiedzieć, że prowadzisz handel w sposób honorowy?

– To ryzyko zawsze towarzyszące handlowi z cudzoziemcami – stwierdził Rakoczy z powagą.

– To prawda. – Rusin się przeżegnał. – A jednak wszyscy doszliśmy do zadowalającego końca. Ty i doktor nabyliście doskonale konie, a Chelmani uzyskał sowitą zapłatę. – Mówiąc to, przypomniał sobie o berylu, który Rakoczy ofiarował carowi, i poczuł taką zazdrość, że z trudem się zmusił do zachowania spokoju w obawie, że wszyscy to spostrzegą.

– Nie byłoby mądrze postępować inaczej – stwierdził Rakoczy, patrząc na Chelmaniego, który skończył właśnie wiązanie koni do jednej liny i podawał mu jej drugi koniec.

Lovell miał już swoje dwa konie na linie; oba tańczyły w miejscu i trącały się łbami, usiłując choć trochę się rozgrzać.

Anastasij postanowił wykorzystać okazję.

– Chodźcie do mnie – zaproponował – kazałem sobie przynieść

wiśniówkę i malinówkę, ciastko i pieczone mięso.

Rakoczy właśnie wskoczył na siodło i poskramiał narowistą klaczkę, utrzymując ją łydkami i nie puszczając wodzy. Wziąwszy linę od Tatara, zwrócił się do Anastasija:

– To bardzo uprzejme z twojej strony, panie, ale sądzę, że jest już za późno, żeby wystawiać na próbę twoją gościnność. Te konie trzeba jak najszybciej umieścić w stajniach i dać im ciepłą strawę, żeby uchronić je od przeziębienia. – Spojrzał Anastasij owi prosto w lśniące błękitem oczy. – Może innym razem.

– Prawda to, że konie trzeba jak najszybciej umieścić w ciepłym miejscu – zgodził się Lovell, dzwoniąc lekko zębami. – Mnie też się to przyda. – Wyznał to niby wesoło, ale w jego głosie zabrzmiała cicha nuta desperacji, co sprawiło, że Rakoczy rzucił mu szybkie, bystre spojrzenie.

– Dobrze się czujesz, panie? – zapytał po angielsku.

– Jestem trochę zziębnięty – odpowiedział Lovell, z radością witając zmianę języka.

– Jedź, proszę, ze mną. – Rakoczy ponownie przeszedł na ruszczyznę. – Zadbam o twoje konie, panie. Mój sługa przygotuje ci gorącą kąpiel. – Uśmiechnął się szeroko do Anastasija. – Żałuję, że nie możemy skorzystać z twojej gościnności, kniaziu. – Pochyliwszy się w siodle, oddał bojarowi na poły wojsko we pozdrowienie i skierował swego konia ku moskiewskim wrotom.

Lovell natychmiast pospieszył za nim, pociągając za sobą oba konie karabairskie: wciąż jeszcze nie bardzo wiedział, po co je kupił ani dlaczego Rakoczy na to nalegał.

Anastasij patrzył za nimi, zwalczając pokusę, żeby pogalopować ku bramie i ostrzec strażników, że tym dwu cudzoziemcom należy odmówić prawa wjazdu do miasta. Pokusa była słodka, ale gdyby dowiedział się o tym car Iwan, na Placu Czerwonym wystawiono by

na pokaz głowę Anastasija, a kuzynowie drwiliby z niej, dopóki nie pozostałby tylko czerep, który odpowiadałby wyszczerzonymi zębami. Takie ryzyko nie było warte krótkotrwałej satysfakcji. Będą jeszcze inne okazje, upomniał sam siebie Anastasij, ruszając ku południowym wrotom. Dopóki cudzoziemcy pozostaną na Rusi, znajdzie sposób, żeby im odpłacić za upokorzenia; zapłacą mu za wszystko, tak jak jego możniejsi krewniacy. Na razie wciąż miał szansę na dostanie Rakoczego w swoje ręce i będzie musiał przypomnieć o tym Wasylowi przed jutrzejszą naradą u cara. Z uciechą rozważał tę możliwość, gdy wjeżdżał w miejskie mury i skierował konia ku Kremlowi, gdzie czekał na niego kuzyn.

Gdy Anastasij dojeżdżał do Placu Czerwonego, Rakoczy zdążył już wprowadzić nowe konie do świeżo przygotowanych boksów i nadzorował teraz ich karmienie. Jego stajenny, ponury Liw, słuchał poleceń hrabiego z nieruchomą twarzą, ale nie bez wyzywającego błysku w szarych oczach.

– O co chodzi? – zapytał Rakoczy, gdy skończył. – Nemmin, w czym rzecz?

Na sformułowanie odpowiedzi stajenny potrzebował dłuższej chwili.

– Nie chciałbym się wtrącać. To twoje konie, panie. Ty tu rządzisz.

– A ty jesteś stajennym – stwierdził Rakoczy spokojnie. – Co cię niepokoi? – Patrzył wprost w oczy sługi i choć ten był przynajmniej o pół głowy wyższy, Rakoczy nie dał się zbić z tropu.

Aby uniknąć konfrontacji ze stalowym spojrzeniem hrabiego, Nemmin cofnął się i spojrzał ku boksom zajęтым przez nowych mieszkańców.

– Nie godzi się tak traktować koni.

Wyraz napięcia zniknął z twarzy Rakoczego, a nieznaczna zmiana postawy wskazała, że jest to najmniejsza z jego trosk.

– Nie podoba ci się to, że na kolację dostały ciepłą owsianą zacierkę i że nasmarowano im maścią kopyta – domyślił się. – Sądysz, że zbyttnio je rozpuszczam?

– To je osłabi – mruknął Liw. – Nie będą miały siły potrzebnej, by cię nosić na mrozie.

– Nie zamierzam im szkodzić – wyjaśnił cierpliwie Rakoczy. – Może jestem utytułowanym cudzoziemcem, ale znam się nieco na koniach. Przyjechałem tu konno z Polski, do Polski zaś przybyłem przez Czechy z Wołoszczyzny. – Nie wspomniał o miejscach, w których mieszkał przedtem: o innych krajach w Europie ani o Indiach, Chinach, Afryce i Egipcie.

Nemmin dwukrotnie skinął głową.

– Oby Bóg cię, panie, nie skarał za to, żeś pozwolił tym koniom przeżyć choć jeden dzień bez pocałunku bata. – Wysunął do przodu kwadratową szczękę. – Zwrócą się przeciwko tobie, jeżeli nie będziesz ich codziennie chłostał. Zapomną o uprzęży i nie dadzą nad sobą zapanować.

Gestem dłoni Rakoczy uciszył sługę.

– Mówiłem ci już: nie życzę sobie, żeby którykolwiek z moich koni był zastraszany albo źle traktowany. Nie chcę, żeby je chłostano. Mają być traktowane z szacunkiem.

– Jesteś... – Nemmin splunął i zrobił gest mający chronić go przed złym spojrzeniem.

– Jestem alchemikiem – stwierdził Rakoczy cierpliwie, ale ostrożnie. – I jestem obcy. Postępuję z końmi tak, jak to się robi na obczyźnie. – Hodowli koni uczył się dawno temu w krajach, w których teraz panoszyli się Turcy osmańscy. Te wspomnienia nie były tak bolesne jak inne, niedawne i bardziej gorzkie.

– Jeśli ludzie się o tym dowiedzą, przyniesie ci to wstyd, panie. – Nemmin kopnął wiązkę luźnej słomy z siłą, która prawdziwie

zdradziła jego emocje. – Dowiedzą się, że jesteś czarownikiem.

– I któż im o tym powie – zapytał łagodnie Rakoczy – jeżeli nie ty ani ja?

Nemmin zdążył już się cofnąć na odległość czterech kroków.

– Ja nic powiem nikomu. Nie przyniosę hańby temu domowi, choć jest obcy.

Słuchając człapania odchodzącego stajennego, Rakoczy pojmował, że ten może jeszcze zmienić nastawienie. Wiedział, że sam jest bezpieczny, jak długo pozostaje w łaskach u cara, ale gdy tylko car przestanie być mu przychylny, wszystkie rzucane jego śladem ciche przekleństwa i niechęć zamienią się w przeraźliwe wrzaski i otwartą nienawiść. Dokonał ostatnich oględzin nowych koni i dwu karabairskich, a potem krytym korytarzem wzdłuż tylnej ściany domu wrócił do bocznych drzwi, gdzie już czekał na niego Rothger.

– Uczony Anglik skończył już niemal kąpiel – poinformował go sługa, gdy wchodzili do nie najlepiej oświetlonego przedsionka.

– To dobrze – stwierdził Rakoczy, jakby myśląc o czymś innym. – Mamy coś, żeby go poczęstować kolacją?

– To już załatwione – odpowiedział Rothger. – Posłałem po kontusz dla ciebie, panie, żebyś mógł z nim usiąść, gdy będzie jadł.

Rakoczy spojrzał wprost w oczy sługi.

– Sądzisz, że tak by należało?

– Mówiłeś, panie, że ten uczony przez pewien czas był towarzyszem madame Clemens – stwierdził wymijająco. – Może nie zna twego sekretu, powinien jednak zdawać sobie sprawę, że ludzie twojej krwi są nieco... ekscentryczni.

Rakoczy parsknął niewesołym śmiechem.

– Bardzo dobrze... – mruknął, wiedząc, że ktoś doniesie o tym carowi i wszystkim, którzy wyłazili ze skóry, starając się go pilnować.

– Przynieś mi ten kontusz: przebiorę się w mojej komnacie, a potem

przez godzinę dotrzymam towarzystwa Anglikowi.

Oświadczenie wydane przez cara Iwana po rusku, grecku i po polsku:

W czas Bożego Narodzenia, gdy nagradzamy uczynki i modły sług naszych, ja, Iwan, czwarty tego imienia władca Rusi zwany Groźnym, chcę okazać swoją wdzięczność cudzoziemskiemu alchemikowi Ferencowi Rakoczemu, hrabiemu Saint-Germain, członkowi poselstwa króla polskiego, Stefana Batorego.

Niechaj będzie wiadome, że postanowiłem wynagrodzić tego niezwykłego męża w sposób godny wszystkiego, co dla mnie zrobił i za co go cenię. Niech nikt nie odważy się powiedzieć, że uczyniłem to z jakiegoś innego powodu.

Jest moją wolą, żeby Ferenc Rakoczy, hrabia Saint-Germain dnia dwudziestego siódmego stycznia w dzień świętego Jana Chryzostoma w soborze Uspienskim poślubił Ksenię Jewgienijewną Koszkiną z domu kniazia Anastasija Siergiejewicza Szujskiego.

Zaślubiny mają się odbyć z całą wystawnością, a potem wydana zostanie uczta weselna dla tysiąca mężczyzn. Przy tej wspaniałej okazji w odpowiednim odosobnieniu będzie też ucztowało tysiąc kobiet.

Więści o tych wspaniałych zaślubinach zostaną wysłane Stefanowi Batoremu z wiosną, gdy tylko drogi oczyszczą się z zasp, a król niewątpliwie ucieszy się ze szczęścia, jakie spotkało jego wiernego sługę.

Taka jest moja wola i wola Niebios.

Iwan IV Car

CZĘŚĆ DRUGA

KSENIA JEWGIENIJEWNA KOSZKINA PANNA MŁODA

List od ojca Kazimierza Pognera SJ do Ferencza Rakoczego, hrabiego Saint-Germain:

Nędzny zdrajco!

Nie wystarczyło Ci zignorowanie mojego ostrzeżenia, które posłałem w nadziei, że przypomnisz sobie o resztkach honoru, teraz pragniesz ostatecznie skompromitować siebie i tę misję, poddając się tym śmiesznym więzom małżeńskim, które – jak twierdzisz – narzucił Ci car Iwan. Jak w ogóle możesz się zastanawiać nad zawarciem tak niegodziwego małżeństwa? Daremnie się tłumaczysz, że zażądał tego car, on nie ma nad Tobą żadnej władzy, boś przybył tu z misją zleconą Ci przez króla Stefana, któregoś jest ziomkiem i poddanym. Carskie rozkazy nie mogą Cię wiązać, osobliwie takie, które tak bardzo trącą chęcią upokorzenia nas wszystkich. Żeniąc się z tą kobietą, udowadniasz, żeś jest tylko zabawką Iwana.

Twoje zapewnienia o niewinności, Rakoczy, brzmią fałszywie. Doniesiono mi zresztą, żeś dążył do tego małżeństwa, żeby wzmocnić swoją pozycję na carskim dworze i zażądać od cara posiadłości i majątności, w zamian za te, które odebrali Ci Turcy. Jak mogłeś pragnąć tak wątpliwego związku? W swojej perfidii popełniasz coś gorszego niż zdradę, bo godząc się na małżeństwo z osobą należącą do Kościoła prawosławnego, ocierasz się o apostazję. Jeżeli wdasz się w ten zbrodniczy związek, nie będę miał innego wyjścia, niż Cię ekskomunikować. W takiej sytuacji nie mogę Cię uznawać za godnego zaufania członka naszego poselstwa. Swoimi czynami udowodniłeś że nie jesteś już jednym z nas,

jeśli w ogóle kiedykolwiek byłeś. Z ogromną zaś przykrością muszę jako kapłan powiadomić Cię o pewnych sprawach dotyczących twojej przyszłej małżonki. Wiesz, że to kobieta skompromitowana, nieprawdaż? Twierdzisz, że nic o niej nie wiesz i że znasz tylko jej nazwisko, ja jednak posiadam, informacje dające mi podstawy do twierdzenia, że jest inaczej. Nie omieszkałeś poszukać sobie kobiety, która nie może Cię nie przyjąć. Czy zdajesz sobie sprawę z ogromu popełnionego przez nią grzechu? A może uczyniłeś go częścią swego brudnego kontraktu małżeńskiego? Czy dziełem przypadku jest to, iż znalazłeś sobie kobietę, która nie będzie mogła się na Ciebie poskarżyć, choćbyś nie wiedzieć jak ją poniżał? Szukałeś kobiety, która nie sprzeciwi się 'Twoim zalotom i której rodzina będzie zmuszona Cię przyjąć, ponieważ w ten tylko sposób kobieta owa będzie mogła choć po części odzyskać utracony honor? Jakież to szaleństwo doprowadziło Cię do tego, że w ogóle rozważasz poślubienie takiej kreatury? A przede wszystkim, jakimi argumentami zdołałeś przekonać pozostałych członków rodziny do tego, żeby Ci ją dano za żonę? Czy dla poparcia Twoich ambicji użyłeś kolejnego z papieskich klejnotów? Wiem z pewnością, że drżą ze strachu przed nagłośnieniem sprawy, bo obawiają się, że ściągnie to na nich dawną hańbę, której Twa przyszła małżonka stała się przyczyną. To, że dla zdobycia żony posłużyłeś się tak niegodną bronią, jaką jest jej hańba, stawia Cię poniżej wszelkiej krytyki. 'Twoje nieustanne protesty, żeś nie szukał żony i nie pragniesz małżeństwa, nikogo nie przekonują, a Twoje zapewnienia, iż nie możesz odmówić carowi bez narażenia całego poselstwa na poważne niebezpieczeństwo, to bezczelne łgarstwa, których celem jest zastraszenie nas i nakłonienie do wzięcia udziału w tym bezceństwie. Ci z ruskich dworzan, którzy zgodzili się dostarczać nam informacji, mówią, że żadne z 'Twoich twierdzeń nie jest prawdziwe i że fałszywie przedstawiłeś swoje pragnienia i nasze niebezpieczeństwo, by bez większych trudności dopiąć swego.

Gdy tylko drogi staną się przejezdne i hrabia Dariusz Żary wyruszy w drogę, nie omieszkam poinformować Stefana Batorego i papieża Grzegorza o Twoich wyczynach i będę dochodził sprawiedliwości, by zyskać zadośćuczynienie za upokorzenia, jakie ściągnąłeś na nasze poselstwo, Polskę i Kościół katolicki.

Kazimierz Pogner SJ 9 stycznia roku Łaski Pańskiej 1584 wedle kalendarza zreformowanego

. 1 .

Przez ponad tydzień nad Moskwą szalały śnieżyce, ale rankiem w dniu ślubu chmury się rozstały, ukazując świat w blasku słonecznych promieni tak jaskrawych, iż mogło się wydawać, że niebo lada chwila pęknie. Solidne, drewniane ściany moskiewskich domów przenikał wiatr, którego zimne kły cięły jak noże i który szybko unosił precz dym z tysięcy komi nów. Do oczyszczenia Placu Czerwonego na odcinku pomiędzy soborem Świętego Wasyla a kremlowską Bramą Spasską skierowano wieśniaków opatulonych w baranice równie duże jak zasy, które mieli usuwać, ale przenikliwy chłód przedzierał się nawet przez kozuchy i ciął do szpiku kości.

Wewnątrz Kremla mnisi i księża pracowali przy soborze Uspienskim, usiłując doprowadzić wspaniałą carską cerkiew do porządku przed weselną liturgią, którą zaplanowano na późne popołudnie. Kolumny obwiązano pękami świerczyny, podłogę ozdobiono w podobny sposób i w powietrzu unosiły się zapachy żywicy oraz kadzidła.

Przed ikoną włodzimierskiej Bogurodzicy legł plackiem na twarz sam car i powtarzał nieustannie błagania o zmiłowanie. Od czasu do czasu unosił się gniewem na Najświętszą Panią, żądając, by użyła swoich wpływów i załatwiła mu jeszcze przed śmiercią odkupienie win. Jego ciężki jedwabny kaftan był wytarty i pokryty plamami, Iwan bowiem długie godziny leżał przed tą ikoną, a przedtem jeszcze w carskiej kaplicy w soborze Błagowieszczeńskim.

Jarosław czekał nieopodal i wierząc się niespokojnie, obserwował swego podopiecznego. Od czasu do czasu żegnał się i szeptał krótkie, skierowane do ikon modlitwy, licząc na to, że zdołają się jakoś

przedrzeć przez nieustające błagania cara.

Przed rozpoczęciem drugiej liturgii do Jarosława podszedł ojciec Symeon i na chwilę odciągnął go na bok.

– Jeżeli mamy tu dziś odprawić liturgię weselną jak należy i jeżeli mamy później odprawiać liturgie, to musimy mieć dostęp do... – Skinieniem głowy wskazał miejsce, na którym leżał car.

– Oczywiście – Jarosław przyznał mu rację i pospieszył, żeby ponaglić cara do przejścia na resztę modłów z powrotem do soboru Błagowieszczeńskiego.

Ojciec Symeon przeżegnał się, patrząc w ślad za odprowadzonym władcą.

– Boże, bądź litościw... – wyszeptał i pospieszył ku innym, którzy przygotowywali ołtarz.

Znalazłszy się na zewnątrz, w oślepiających, zamieniających lód w diamenty promieniach słońca, car osłonił dłonią oczy.

– Bóg mnie ostrzega i ukazuje mi drogę – zwrócił się do Jarosława. – Posyła swoich aniołów, żeby mnie prowadzili.

– Tak, Ojczulku – odpowiedział Jarosław, wzywając jednocześnie carskich gwardzistów, żeby im towarzyszyli.

Nieopodal do pałacu Wasyla Szujskiego przybył właśnie Anastasij wraz z Galiną Aleksandrowną Szujską-Koszkina i jej córką Ksenią Jewgienjewną. Tym razem kobiet nie poprowadzono prosto do teremu, ale do komnaty gospodarza.

Głębokie, złożone mu przez kobiety ukłony Wasyl skwitował zwykłym, niedbałym skinieniem dłoni i przyjrzał się Kseni, zaciskając z niechęcią usta.

– Cóż... – stwierdził wreszcie – jesteś zbyt blada i chuda, ale z tym teraz nic już nie zrobimy. Niech moja żona i jej kobiety ułożą ci włosy i pomalują twarz. Nie zdołamy dodać ci ciała, ale możemy dodać uroku. – Skinieniem dłoni wskazał drewnianą, rzeźbioną szkatułkę

ustawioną na stole na kozłach. – Twój przyszły mąż w sposób właściwy i taktowny przysłał ci podarunek, naszyjnik z... osadzonych w srebrze kamieni księżycowych. – Ostatnie słowa wymówił nie bez łagodnego zdziwienia w głosie, ponieważ na Rusi rzadko widywano kamienie księżycowe i jeszcze rzadziej ofiarowywano je w prezencie ślubnym. Za najbardziej odpowiednie klejnoty dla kobiet uznawano perły. – On, jak już z pewnością wiesz, jest cudzoziemcem. Oczywiście założysz ten naszyjnik.

Ksenia zacisnęła dłonie w pięści.

– Oczywiście.

Ujrawszy wyraz miodowych oczu córki, Galina natychmiast podjęła próbę ratowania sytuacji. Podeszła do córki i dała jej dyskretny znak.

– Ona jest bardzo zdenerwowana, mój ukochany przyjacielu – zwróciła się do Wasyla.

– Dlatego, że nie pragnę wychodzić za mąż – odezwała się Ksenia głosem równie czystym i pewnym, jak głos jej marki był drżący.

– Na twego Anioła Stróża, dziewczyno! – odezwał się Anastasij z udawaną troską w głosie. – Pomyśl o tym, co mówisz. Zostaniesz mężatką. Rozważywszy wszystkie okoliczności, powinnaś na kolanach dziękować Wasylowi i Najświętszej Panience za uratowanie cię od niewdzięcznego losu starej panny.

– Gdyby Panienska chciała mnie uchronić przed takim losem, powinna była to zrobić dwanaście lat temu – rzuciła wyzywająco Ksenia. Jej oczy wypełniły się łzami, które otarła szybkim, niecierpliwym gestem. – Och, przyjmę swój los. Nie chcę wychodzić za mąż, ale nie będę się sprzeciwiała. Nie musicie się obawiać, że powiem coś, co przypomni dworzanom o mojej hańbie.

Galina przycisnęła dłoń do warg, żeby wstrzymać się od powiedzenia tego, co chciałaby rzec. Była niegdyś piękną kobietą,

która znalazła pewne bezpieczeństwo po nieszczęściach i okresie wdowieństwa. Ze wszystkiego, czego musiała się nauczyć, by chronić samą siebie i córkę, najcenniejsza była sztuka milczenia.

Modliła się nieustannie, żeby Ksenia zdołała zachować dość rozumu, by pójść za jej przykładem.

– Dość o tym, dziewczyno – zwrócił się do Kseni Anastasij. Powiedział to niby lekkim tonem, ale z wykluczaającym sprzeciw wyrazem twarzy.

– Lepiej się nie odzywaj – ostrzegł ją Wasyl. – Tak, jak ci powiedziała matka, nie otwieraj ust. Przez minione dwanaście lat pogodziłaś się z naszą historią i wszystko zabierzesz ze sobą do grobu albo zapłacisz wyższą cenę, niż myślisz. Nie tylko ściągniesz hańbę na siebie, ale na zawsze rzucisz cień na pamięć twego ojca, a rodzina nie zdoła unieść ciężaru win twoich i jego. Do tej pory udawało nam się bronić twojej reputacji, ale jeżeli teraz przerwiesz milczenie i zbrukasz imię Szujskich, to równie dobrze możesz się uznać za wykluczoną z rodziny.

Ksenia splotła ramiona. Nie przywdziała jeszcze wspaniałego ślubnego sarafanu, który w prezencie ślubnym podarował jej Anastasij. Suknia była utrzymana w tonach bieli i złota, tak by pasowała do jej cudzoziemskiego przyszłego małżonka; dziewczyna wciąż miała na sobie prosty i zwyczajny przydzwiek odpowiedni do posług, jakie codziennie oddawała biedakom. Nie przeprosiła za swoje zachowanie, ale spojrzała kniaziewi Wasylowi prosto w oczy.

– I co mam rzec temu cudzoziemcowi, który ma być moim małżonkiem i zadowoli się moją trupią bladością.

– Coś tam wymyślisz, jeżeli zada ci jakieś pytanie. A jeśli nie będzie pytał, nie mów nic – odezwała się szybko Galina wdzięczna losowi za okazję do udzielenia córce porady. – Mam kilka sugestii, które mogłyby się odnieść do... czystych prześcieradeł.

– Nie chcę nic wiedzieć o tym, co wymyślicie – stwierdził Wasyl z niesmakiem w głosie.

Galina złożyła niski ukłon Wasylowi i Anastasijowi, a potem trąciła łokciem w bok Ksenię, żeby ta zrobiła to samo.

– Wdzięczne jesteśmy wam, hojni krewniacy, za oszczędzenie Kseni losu starej panny.

Wasyl skwitował te słowa niedbałym skinieniem dłoni.

– Dziękujcie nie mnie, ale Anastasijowi. To on podsunął carowi myśl o tym związku, ja ją tylko zaaprobowałem. Rad jestem jednak z tego, że zdajecie sobie sprawę, jaki to sukces. – Raz jeszcze krytycznie spojrzął na Ksenię. – Gdy baby będą malowały ci twarz, niech dodadzą nieco koloru policzkom, i dobrze by było, gdybyś się zdobyła na uśmiech. Pomogłoby, gdybyś mogła się ubrać na czerwono, ponieważ to taki piękny kolor, że musisz się uśmiechnąć na sam jego widok. – Jeżeli sądził, że zdoła Ksenię ułagodzić, to się pomylił.

Dziewczyna nagle niecierpliwie potrząsnęła głową i sięgnęła po drewnianą szkatułkę. – Skoro cudzoziemiec przysłał ją mnie, pozwólcie, że zobaczę dar ślubny.

Gdy podniosła wieko szkatułki, Anastasij i Wasyl wymienili szybkie, niespokojne spojrzenia. Ksenia nie przejęła się cichym protestem Galiny, wyjęła naszyjnik i odsunawszy szkatułkę na bok, rozciągnęła go, jednocześnie podnosząc. Był niemal tak delikatny jak koronki – składały się nań posplatane misternie uniesione skrzydła i kamienie księżycowe osadzone w miejscach ich złączeń. Klejnotów było ponad czterdzieści, a sam naszyjnik mienił się srebrnym blaskiem. Ksenia, która była gotowa fuknięciem wyrazić wzgardę, znieruchomiała, a potem zafascynowana, z coraz bardziej łagodną miną uniosła naszyjnik wyżej.

– Skąd on to wziął? Nie widziałam nigdy niczego podobnego. To nie jest dzieło żadnego ruskiego złotnika. – Poruszyła naszyjnikiem,

podziwiając grę światła na kamieniach.

– Twierdzi, że zrobił go sam, od tego jest biegłym alchemikiem – stwierdził Anastasij z miną człowieka, który nie wierzy w ani jedno z tych słów.

– Jest piękny, bardzo piękny – odezwała się Galina rada, że Ksenia zaakceptowała choć jedną rzecz związaną z małżeństwem. – Cudowny podarunek dla ciebie, moja córko.

Ksenia odwróciła się do matki.

– Szkoda, że nie mogę go mieć, nie przyjmując tego człowieka – odpowiedziała, a potem dodała, zwracając się do Wasyla: – Zatem załatwmy to, skoro ci tak na tym zależy.

Wasyl wzruszył ramionami i klasnął w dłonie, wzywając służbę.

– Zaprowadźcie moje krewniaczki do teremu. Czeka tam na nie moja żona.

Nieopodal pałacu Szujskich Borys Godunow wchodził właśnie do sali przyjąć swego pałacu, by powitać gościa. Bojarowi towarzyszyła żona, Maria Skuratowa. Jako kobieta w zaawansowanej ciąży, poruszała się powoli i ostrożnie.

– Jakaż to piękna okazja do powitania cię, hrabio, w moim domu – oznajmił Rakoczemu Borys, gdy w asyście strażników wprowadzał go do sali przyjąć.

Rakoczy uklonił się na włoską modłę tak głęboko, jak tylko pozwalał na to jego ciężki, podbity wilczym futrem kontusz. Wyprostowawszy się, powiedział:

– Mój ślubny przydzwiek ma Rothger. Czy nie zechciałbyś, panie, wskazać mu komnaty, w której mógłby go przygotować? – Zaraz potem przez jego twarz przemknął szybki uśmiezek. – Grubiaństwem jest mówić coś takiego komuś, kto stworzył przede mną swój dom. Pomyśl, proszę, kniaziu, jako o przejęczeniu spowodowanym moimi nerwami.

– Ty, hrabio, miałbyś być nerwowy? – zapytał Borys nie bez zdziwienia w głosie: nie przedstawił swojej żony, bo byłoby to dla niej obrazą, jako że Rakoczy nie należał do jego krewnych. – Nie wyglądasz mi na takiego.

Rakoczy kiwnął głową.

– Ale jestem. Bardzo się denerwuję. Widzisz, panie, nigdy przedtem się nie żeniłem.

– A jesteś ode mnie o dziesięć lat starszy, jak sędzę. – Czarne oczy Borysa lśniły sympatią; książę miał trzydzieści dwa lata, co było dość poważnym wiekiem jak na ożenek. – Obawiam się, że taki już jest los wygnańców. Tym większy powód do radości z tego tutejszego ślubu. – Skinieniem dłoni wezwał do siebie jednego ze sług. – Zaprowadź służącego hrabiego do komnaty przygotowanej dla gości. I sprawdź, czy przetarto zwierciadła.

– Zwierciadła? – Rakoczy stłumił chichot. – Myślę, że Rothger i ja poradzimy sobie bez nich. – Od ponad trzech i pół tysiąca lat nie widział swojego odbicia na żadnej powierzchni; nawet czysta, stojąca woda nie ukazywała mu jego twarzy. – Ale dziękuję ci, książu.

– Czy ćwiczysz się w ten sposób w pokorze? – zapytał Borys, gdy dwaj służący odprowadzili Rothgera. Jeden dźwigał dwie spore skrzynie, które Rakoczy przywiózł ze sobą. – Napijmy się za zdrowie przyszłej małżonki i za twoje małżeńskie szczęście, panie hrabio – ciągnął z entuzjazmem.

Rakoczy podniósł dłoń, na jego twarzy odmalował się smutek.

– Mój przyjacielu, ofiarowujesz mi tyle dworności i uprzejmości, a ja zawsze chyba odmawiam. Jestem pewien, że nie powinienem mącić sobie w głowie, powiedziano mi, że weselna liturgia trwa ponad dwie godziny. Będę musiał zachować trzeźwą głowę.

– Jak zawsze skromny, cudzoziemcze – roześmiał się Borys. – Teraz musisz stać się bardziej Rusinem, musisz zapomnieć o twoich

cudzoziemskich skrupułałach i powściągliwości i przyjąć życie takim, jakie jest, przycisnąć je do piersi i trzymać, choć będzie ci żarło serce, sprawiając ból.

– Owszem, muszę – stwierdził enigmatycznie Rakoczy.

Borys skwitował wyznanie hrabiego śmiechem i przyjaznym gestem.

– Niech ci będzie, hrabio. Ale gdy skończy się ceremonia, zaczniemy ucztę i spijemy się obaj tak, że zobaczymy tańczące na niebie gwiazdy.

– Niewątpliwie – odparł Rakoczy, natychmiast pokrywając wewnętrzny niepokój niskim ukłonem, podczas którego jednocześnie uwolnił się od ciężkiej wilczury. Przerzucając ją przez ramię, powiedział: – Obawiam się, że jeśli mam być gotów na uroczystość, muszę szybko skorzystać z pomocy mojego sługi. Przebranie się zajmie mi trochę czasu. – Nie było to do końca prawdą, hrabia chciał jednak uniknąć kordialnego sondowania Borysa.

Książę spojrzał na żonę, a potem zapytał:

– Zechciej mi powiedzieć... czy to zwyczaj waszego kraju, że do ślubu staje się w bieli?

– Niekiedy tak, szczególnie jeśli to pierwsze małżeństwo – stwierdził Rakoczy, ostrożnie dobierając słowa; wyczuł, że za pytaniem Borysa kryje się coś więcej.

– Więc i ty ubierzesz się na biało? – Pytanie takie zadane Rusinowi byłoby niewybaczalnym grubiaństwem, Borys miał jednak wymówkę, że Rusin na taką okazję z pewnością oblekłby się w czerwień.

– W biel obrębioną czernią z rubinami – powiedział Rakoczy. – By uhonorować mój ród.

Było to satysfakcjonujące wyjaśnienie i Borys zatarł ochoczo dłonie.

– Car zrozumie, gdy mu to wytłumaczę. – Dał znak kolejnym sługom. – Cóż, to idź się przebierać, panie. Ja się zajmę Ojczulkiem,

zanim zacznie się liturgia, nie powinno być więc trudności. Gdyby mu tego nie wyjaśniono, mógłby poczuć urazę, żeś nie włożył czerwonych szat. – Zawahał się. – Zostałeś dwakroć uhonorowany – rzucił tonem ostrzeżenia, gdy Rakoczy już miał przekroczyć próg komnaty.

– Uhonorowany? Co masz na myśli, Borysie Fiodorowiczu? – zapytał Rakoczy.

– Car Iwan rozkazał, żeby podczas weselnej liturgii odśpiewano trzy hymny, dwa na cześć Najświętszej Pani i trzeci na cześć Zbawiciela. – Borys uniósł obie dłonie, ukazując ich wnętrze. – To bardzo dobre hymny, przyjacielu, ale też bardzo długie.

– Rozumiem – odpowiedział Rakoczy. – Wezmę to pod uwagę. I gdy będziesz rozmawiał z carem Iwanem, podziękuj mu ode mnie za tak wspaniały dar – dodał, przystając już niemal w drzwiach.

Borys skwitował to szerokim uśmiechem.

– Nie omieszka. – Dopiero po chwili, gdy Rakoczy wyszedł z komnaty, bojar zwrócił się do żony i zapytał o jej opinię.

Maria przez chwilę się zastanawiała, usiłując zebrać wrażenia i odczucia.

– Jak powiedziałaś, szczwany z niego lis. Ale jest w nim coś jeszcze, mój drogi Borysie. Będę się modliła, żeby Ksenia Jewgienijewna miała dość zręczności, by zapanować nad jego uczuciem. Jeżeli jej się to uda, do końca życia będzie się bała tylko jednego: utraty męża, wszystko inne przestanie mieć znaczenie.

– To ty jesteś bystra i szczwana, jak zawsze – odpowiedział Borys. – Wyraziłaś moje myśli lepiej, niż sam bym to uczynił.

Gdy Rakoczy trafił do komnaty, którą im oddał do dyspozycji Godunow, Rothger zdążył już wyłożyć niemal wszystkie szaty. Bez słowa wziął od hrabiego mentyk i zaczekał na dolman.

– Myślałem o tym rano, gdy tu jechaliśmy – odezwał się Rakoczy, zdejmując dolman i rozwiązując mocowania nogawic pod pasem. –

Już bardzo dawno nie nosiłem bieli.

– Ostatni raz to było we Florencji – przypomniał Rothger.

– Przed blisko stu laty. Powoływałem się wtedy na węgierskie pochodzenie i podawałem za swojego bratanka. – Hrabia na chwilę znieruchomiał: jego czarne oczy patrzyły w dal, w głąb wspomnień, widział płomienie i Estasię.

– Panie... – ponaglił go sługa.

– Och, tak... – Rakoczy ocknął się z zamyślenia. – Masz rację. – Rozebrawszy się, stanął nago, pozwalając Rothgerowi obmyć gąbką i natrzeć jego ciało wonnymi olejkami, a potem zręcznie wdział piękną, czarną jedwabną koszulę, którą miał nosić pod białymi szatami. Zawijając koronki z przodu, zapytał: – Jak sądzisz, co to za kobieta?

– Jej ojciec został zabity podczas ostatniej napaści Mongołów na miasto – odparł Rothger. – Od tamtej pory ona i jej matka żyją na łąsce Szujskich. Mówią, że ma ponad dwadzieścia lat.

– Innymi słowy są ubogimi krewniaczkami – stwierdził Rakoczy. – Tyle to i ja wiedziałem. Ale nadal nie wiem nic o Kseni Jewgienijewnej. Nie jestem pewien, dlaczego car Iwan wybrał akurat ją. – Westchnął krótko. – Chciałbym się dowiedzieć czegoś konkretnego. Tak jak sprawy stoją... – Wciągnął na nogi białe, wyszywane srebrnymi nićmi nogawice i podwiązał je do pasa.

– Car Iwan niewątpliwie uległ namowom Anastasija Szujskiego – odpowiedział Rothger, podając mu biały, obrębiony czernią dolman zawiązywany na czarne koronki.

– Bardzo prawdopodobne – rzekł Rakoczy. – Ale kim ona jest?

Rothger wyjął ze skrzyni długi do kostek sobolowy inentyk ozdobiony z przodu rubinami ułożonymi w kształt emblematu Rakoczego: Eklipsą z uniesionymi skrzydłami.

– To dobrze się będzie zgadzać z tym ich bizantyjskim dwugłowym orłem – stwierdził, zdradzając rozbawienie jedynie nikłym

rozbłyskiem jasnoniebieskich oczu.

– Miejmy nadzieję – odparł Rakoczy, szukając wzrokiem białych trzewików i jednocześnie wyciągając przed siebie dłoń z rubinowym sygnetem. – A przynajmniej będzie pasować do tego.

Godzinę później w soborze Uspienskim zaczęli się zbierać dworzanie; większość z nich usiłowała zająć miejsca najbliższe złotemu carskiemu tronowi koronacyjnemu, udając, że bardziej od carskich łask i faworów interesują ich szeregi zdobiących sklepienie ikon. Tego popołudnia wewnątrz cerkwi zalewały promienie słońca wdzierające się przez trzy ogromne okna w zajmującym całą zachodnią ścianę fresku, który przedstawiał Dzień Sądu. Na kolumnach lśnili złotem święci bohaterowie, a przed włodzimierską Najświętszą Panią płonął las świec.

Gdy w soborze pojawił się car Iwan z towarzyszącym mu carewiczem Fiodorem, młody człowiek promieniał szczęściem, bo obiecano mu, że po ceremonii ślubnej uderzy w dzwony. Strażnicy zajęli miejsca po bokach, gdy Iwan przechodził od ikony do ikony i przed każdą padał na twarz, by modlić się żarliwie. Łagodnie uśmiechnięty Fiodor szedł za ojcem; na jego czole lśniła mała, podarowana mu przez Rakoczego korona.

Ojciec Symeon wrócił do cerkwi w wyszywanym perłami paliuszu, zamiast w noszonym na co dzień czarnym habicie; z okazji ślubu włożył na głowę zdobioną perłami i agatami kamilawkę. Nie mógł paść na twarz przed Iwanem, nie bezczeszcząc swoich sukien, więc pokłonił się carowi w pas.

– Ojczulku, możemy już rozpocząć liturgię zaślubin. Co mam zrobić? Chcesz, bym dał znak, żeby poczekano?

Car rozejrzał się wokół oszołomiony.

– Nie... – odezwał się po chwili namysłu. – Ślub musi się odbyć, by uhonorować dane mi klejnoty. Teraz cudzoziemiec otrzyma klejnot

ruski. – Roześmiał się, a potem wstał, choć nie bez trudu. – Czy są już tu panna młoda i pan młody?

– Przybyli oboje – odpowiedział ojciec Symeon. – Ich rzecznicy już czekają. Gotowa jest też procesja.

– Aaa... – mruknął Iwan, wstając i ruszając ku ikonostasowi. – To trzeba zaczynać. – Z zadowoleniem powiódł wokół spojrzeniem. – Owszem, trzeba zaczynać. – Ruszył ku przodowi, zwracając się jakby nieco roztargnionym tonem do swego pokornego, ułomnego syna:

– Powiedziano mi, że oboje będą nosić białe szaty niczym całuny; to jakiś polski, węgierski albo inny zwyczaj. – Przeżegnał się dwa razy, raz za Rakoczego i raz za Ksenię. – Boże, bądź miłościw.

Gdy car zajął swoje miejsce, ukryty chór zaśpiewał sławiący boże miłosierdzie hymn utrzymany w dwunastotonowej skali. Ruszyła też procesja księży, za którą szli panna młoda i jej opiekun, Anastasij Szujski, za nimi kroczyli jeszcze dwaj księża poprzedzający Rakoczego, obok którego siedł Borys Godunow.

Rakoczy po raz pierwszy ujrzał Ksenię; była mu niemal równą wzrostem, niezgodnie z upodobaniami Rusinów, smukłą dziewczyną ubraną w biało-złoty sarafan, który bardziej przypominał rzymską stolę niż ruską suknię. Była opanowana. Nic nie można by powiedzieć ojej otoczonej kokosznikiem twarzy, ponieważ pokrywała ją gruba warstwa różowawej barwiczki, miała też uczernione brwi i jaskrawoczerwone usta. Otwarcie mierzyła otoczenie spojrzeniem miodowych oczu.

Chór zaintonował podniosły hymn, a księża zaśpiewali pierwsze błogosławieństwo dla narzeczonych i pochwałę stanu małżeńskiego.

Ślubna liturgia skończyła się dopiero o zmierzchu. Wszyscy dworzanie, którzy przez ostatnie trzy godziny uczestniczyli w uroczystości, szykowali się na ucztę, która miała się wkrótce rozpocząć w niedalekiej Granowitoj Palacie. Dyskretnie asystujący

carewiczowi księża bili w dzwony, by upamiętnić te zaślubiny.

Iwan pozostał w soborze, gdy już wyszli dworzanie i nowożeńcy; leżał plackiem przed ikonostasem i dopiero po pewnym czasie wezwał strażników, żeby go wyprowadzili. Wiedział, że wszyscy poczekają na dziedzińcu, bo nie mogli odejść bez jego zezwolenia. Wyszedłszy na wieczorny mróz, łaskawie skinął pannie młodej.

– Bóg jest miłosierny – oznajmił, podnosząc głowę, żeby wskazać czyste niebo. – Nagle cofnął się z twarzą zastygłą w wyrazie przerażenia.

Wysoko nad głowami patrzących nadciągała ze wschodu kometa.

Zmieszani dworzanie powoli podnosili głowy; niektórzy się zegnali, inni, nie bacząc na kosztowne szaty i zmrożone błoto, padali na kolana.

Dzwony zagrzmiały głośniej, powietrze drżało od ich jęku.

– Święci męczennicy! – wykrzyknął Borys, gdy ujrzał kometa. Przeżegnawszy się dwukrotnie, spojrzął na Rakoczego i właśnie poślubioną przezeń kobietę. – Nie możecie tu zostać! – rzucił stanowczo. – Odejdźcie, odejdźcie, dopóki jeszcze możecie.

Ksenia odwróciła się niezupełnie przekonana, ale zdjęta strachem, Rakoczy jednak został na miejscu, patrząc w górę, w jego ciemnych oczach malowała się tylko ciekawość.

– Przeżegnaj się, durniu! – krzyknął Borys, wiedząc, że w huku dzwonów inni go raczej nie usłyszą. Trącił Rakoczego łokciem i sam się przeżegnał.

Rakoczy kiwnął głową i zrobił, co mu kazano.

Car padł na wznak, wciąż wskazując dłonią niebo. Z pianą na ustach walił piętami w oblodzone stopnie soboru.

Niektórzy z dworzan modlili się; patrząc na kometa, poruszali ustami i kołysali w takt jęku dzwonów. Księża, którzy odprawili liturgię ślubną, wycofali się do soboru Uspienskiego, szukając ochrony

w zgromadzonych tam ikonach, kilkunastu dworzan poszło w ich ślady.

Car pogryzł sobie wargi i jego broda zboczona była teraz krwią. Korona spadła mu z głowy i leżała na stopniach soboru jak pospolita błyskotka. Wokół niego zgromadzili się strażnicy; większość z nich nie patrzyła na kometa, tylko na miotającego się, targanego spazmami, leżącego u ich stóp cara.

Borys pochylił się do Rakoczego.

– Zabierz żonę i uciekaj stąd! – ponaglił. – I to już! Kto wie, co Ojczulkowi strzeli do głowy w takim stanie. Muszę natychmiast się nim zająć. A ty nie wystawiaj się na niebezpieczeństwo. – Pchnął Rakoczego. – Źle się stało, że niebo przetarło się akurat teraz – dodał i odszedł do cara, nawet się nie oglądając.

Hrabia spojrzał za nim, a potem zwrócił się do żony:

– Kseniu – powiedział jak najłagodniej, mimo dźwięku dzwonów. – Kseniu Jewgienijewna, pójdziesz ze mną?

Ksenia spojrzała na jego wyciągniętą dłoń i lśniący na niej rubinowy sygnet.

– Skoro muszę... – odparła i podała mu rękę, unosząc wyzywająco podbródek.

– To dobrze – stwierdził Rakoczy i poprowadził ją wśród ogarniętych paniką dworzan ku pałacowi Borysa Godunowa, gdzie przygotowywano dla nich zamknięty powóz. W złowrogim blasku komety hrabia zawiózł nowo poślubioną małżonkę do swego domu.

Fragment raportu ojca Milana Krabbe przekazanego arcybiskupowi Antoninowi Kutnelowi przez hrabiego Zarego:

...mówiąc o ślubie hrabiego Saint-Germain z Rusinką, nie sposób pominąć tego, że uroczystość zakłóciło pokazanie się na niebie ognistej

gwiazdy z ogonem, co napętniło wszystkich strachem i grozą. Powiedziano mi, że sam car na widok tej komety padł ofiarą kolejnego ataku szaleństwa. Z tego też powodu nie odbyła się planowana uczta weselna, a przygotowane na nią mięsiwa, którymi mieli się sycić dworzanie, zostały rozdane biedakom, nakazano też, by w każdej moskiewskiej cerkwi odbyły się błagalne modły.

Mówi się, że car posłał po lapońskich szamanów, żeby mu powiedzieli, co oznacza ukazanie się tej ogoniastej gwiazdy. Mają tu przybyć za kilka dni i cały dwór wrze od płotek, ponieważ powinienes, Ekscelencjo, wiedzieć, że Rusini uważają Lapończyków i Linów za najpotężniejszych wśród szamanów.

Z powodu tego wydarzenia Rakoczy nie jest miłe widziany na dworze, choć podarował carowi dwa wspaniałe ametysty, które miały pomóc Iwanowi odzyskać zdrowie i spokój. Słyszałem, że car je przyjął, nie chce jednak widzieć przy sobie Rakoczego. Jeżeli Lapończycy oznajmią, że przebywanie w pobliżu tego cudzoziemca nie jest niebezpieczne, ponownie zostanie dopuszczony przed carskie oblicze.

Ufam, że tak się stanie, ponieważ od dnia pojawienia się tej gwiazdy Iwan nie chce rozmawiać z żadnym z nas. Jest przekonany, że obecność katolików zmniejszyła przychylność, z jaką Bóg na niego patrzy, i dlatego nie chce uznać naszego poselstwa. Książę Anastasij Szujski, który do pewnego stopnia się z nami zaprzyjaźnił, zapewnia nas, że to wkrótce minie i car Iwan zrozumie, że musi rozmawiać albo z nami, albo z ojcem Possevinem.

Choć ojciec Pogner nie ufa Rakoczemu i sądzi, że hrabia zwrócił się przeciwko królowi Stefanowi, nie jestem o tym przekonany. Sam Saint-Germain mi powiedział, że nie dążył do tego małżeństwa, ale car Iwan wymusił je na nim, aby zapewnić sobie stały dopływ klejnotów. Powiedziano mi też, że Iwan zmuszał innych dworzan do poślubiania wybranych przez niego kobiet, i mam własne zdanie w tej sprawie,

ponieważ Rakoczy nigdy nie zdradzał chęci do tego małżeństwa. Zdaję sobie sprawę, że sprzeciwia się to zdaniu ojca Pognera, ale wedle mojej opinii sprawa może wyglądać inaczej, niż wydaje się na pozór, a król Stefan nadal może liczyć na wierność Rakoczego.

W dzielnicy piekarzy wybuchł niewielki pożar, który przypisano ogoniastej gwiazdzie, jak wszelkie nieszczęścia zaistniałe po tym, gdy się pokazała na niebie. Sami widzieliśmy ją przed dwoma dniami. Potem kolejna zamieć śnieżna zaciągnęła niebo chmurami i gwiazdy już nie widziano. Niektórzy powiadają, że spadła na ziemię, inni twierdzą, iż Róg odwołał ją do niebios. Czy jest to prawdą, wiedzą może tylko najwięksi mędracy. Tymczasem będziemy czekać na prognozy lapońskich szamanów.

W kwestii wozów, którymi transportuje się ryby znad Morza Czarnego, nie miałem okazji przekonać się, jak są uszczelniane, ale powiedziano mi, że przeważnie się je smołuje jak okręty, a potem powleka warstwą lakieru, żeby utrzymały wodę podczas długiej podróży...

. 2 .

Przystrojeni byli w opończe z wilczych futer i kaftany z wyprawionych skór reniferów naszywane złotą nicią w pasy od ramion po dolny brzeg. Mieli też podobnie ozdobione wykładane górami na zewnątrz wysokie buty i skórzane czapy. Byli ludźmi o jasnych oczach patrzących z twarzy o azjatyckich rysach, z mocno zarysowanymi kośćmi policzkowymi i szerokimi czołami. Było ich sześćdziesięciu, młodych i starych; gdy carscy gwardziści eskortowali ich do Złotej Komnaty Iwana, oznajmili, że nie padną przed carem na twarz.

Podczas minionych trzech tygodni car wyraźnie zmizerniał. Od dnia pokazania się ogoniastej gwiazdy nie zażył kąpeli i nie zmienił kaftana, który miał na sobie w dniu ślubu Rakoczego. Miał zmierzwiłone włosy i brodę, a jego zawsze głęboko osadzone oczy jeszcze bardziej zapadły się w głąb czaszki. Wycelowawszy kostur w Lapończyków, zażądał bezceremonialnie, żeby natychmiast mu powiedzieli, kiedy umrze.

Najstarszy z szamanów, człek o twarzy poranej głębokimi bruzdami, wysłuchawszy spokojnie tych słów, otworzył usta, w których tkwiło tylko kilka zębów, jego ruszczyzna była nieco ka leka i dziwnie akcentowana, ale zrozumiała.

– Musimy popatrzeć w ogień – stwierdził. – Daj nam ognisko.

– Po co wam ogień? – zapytał Iwan, wymierzając oskarżycielko palec w szamanów. – Przyszliście, by mnie podpalić i pokazać mi piekło?

Staruch potrząsnął głową.

– Nie. Piekło jest częścią waszej wiary i waszych nauk. My w to nie

wierzemy. – Odwróciwszy się, przez chwilę rozmawiał z ziomkami, a potem podjął wątek. – Gwiazda była ogniem na niebie. By poznać jej znaczenie, musimy się naradzić z ogniem.

Rozsądek tej wypowiedzi zdołał jakoś dotrzeć do Iwana przez spowijające jego umysł opary strachu. Dał znać gwardziście.

– Każ rozpalic ognisko przez soborem Archangielskim. Sobór nas ochroni, jeżeli szatan zechce wmieszać się w sprawę! – Machnął dłonią. – Zróbcie to! Zróbcie!

Niektórzy z szamanów chichotami skwitowali carski strach, ale umilkli zgaszeni ponurymi spojrzeniami gwardzistów.

– Rozpalcie ogień! – zawył Iwan, machając rękoma, jakby się przed czymś bronił.

Strażnicy wybiegli na dziedziniec, gdzie wezwali sługi i kazali im przynieść drewno i rozniecić ognisko; służba szybko uwinęła się z zadaniem w strachu przed carskim gniewem. Iwan został w Złotej Komnacie i przyciskając twarz do szyb, patrzył, jak wykonywane są jego rozkazy. Modląc się nieustannie, nie patrzył na zgromadzonych wokół niego Lapończyków; bał się ich czarów.

Gdy ognisko zapłonęło już na dobre, najstarszy z szamanów dał znak towarzyszom i wszyscy gromadnie zeszli na dziedzi niec. Otoczyli ogień ciasnym kręgiem. Baczenie obserwowani przez nieco zalęknionych gwardzistów zaczęli z szacunkiem pozdrawiać ogień, śpiewając monotennie i przestępując z nogi na nogę. Okrążali przy tym ognisko i baczenie wpatrywali się w płomienie, wrzucając w nie co chwila jakieś suszone zioła, a potem wdychali dym i wskazywali spękane bierwiona.

Iwan obserwował wszystko z takim napięciem, że nie spostrzegł nawet wejścia Wasyla Szujskiego, który natychmiast padł na podłogę.

– O wielki carze... – wystękał po chwili, podczas której trwał zgięty we dwoje. – Modliłem się, żeby Bóg w godzinie potrzeby zesłał ci

wsparcie.

Poirytowany i zaskoczony Iwan machnięciem dłoni nakazał Wasylowi milczenie.

– Nie mogę teraz z tobą mówić. To ważniejsze. Oni są zajęci.

– Kto, o wielki carze? – zapytał Wasyl, choć zadawanie pytania carowi w takiej chwili było dość ryzykowne. – Co oni robią?

– Przybyli lapońscy szamani. Odczytają mój los. – Car w końcu się odwrócił, ukazując twarz, na której malowała się udręka. – Gdybyż tylko umieli mi powiedzieć, co mam zrobić, żeby odkupić swoje grzechy. Gotów jestem wyrzec się wszystkiego, słyszałeś, jak o tym mówiłem, ale metropolita mi zabronił. Powiada, że wołą Boga jest, bym pozostał carem i żył z moim brzemieniem winy, bo mój biedny Fiodor niezdolny jest do niczego poza biciem w dzwony. Bóg jednak nie może mi odmówić swego miłosierdzia. To być nie może. Błagałem Go i Najświętszą Panię, oni jednak nie odpowiadają. I tak znalazłem tych, co potrafią słuchać i czytać znaki, jakie zostawiają nam niebiosy. Szamani się dowiedzą. Mają swoje sposoby na odkrywanie takich rzeczy.

– O carze, porozmawiaj z metropolitą. On tobą pokieruje i ci doradzi. – Była to rada, której Wasyl udzieliłby dziecku i podsunął ją carowi w dobrej wierze. – Nie potrzebujesz tych pogan, żeby w twoich nieszczęściach wciągali cię w czarnoksiężskie praktyki.

– Są mądrzy, a ich umiejętności znane są wszystkim – upierał się Iwan z coraz bardziej gniewną twarzą. – A metropolita to człek uparty i nieczuły. Nie ustąpi pod naporem moich błagań. Muszę więc uciec się do pomocy tych szamanów. Oni potrafią odkrywać tajemnice. Dowiedzą się i powiedzą mi, co powinienem zrobić. Moje klejnoty nie mogą mi powiedzieć. Księża to durnie, niewolnicy metropolity. Ale ci ludzie – wskazał na dziedziniec – posiadli prawdziwą mądrość. Poznają prawdę i mi ją ujawnią.

W uśmiechu Wasyla kryła się odrobina potępienia.

– Jak daleko sięga ich mądrość? I skąd będziesz wiedział, że mówią ci prawdę?

– Posłałem po Rakoczego. On mi powie, czy ci ludzie są godni zaufania.

– A skąd będziesz wiedział, że cudzoziemiec nie łże? – zapytał szorstko Wasyl. – Szuka twoich łask, bo jego własne poselstwo się od niego odcięło. Nieufność jezuitów powinna obudzić twoją czujność, carze. – Książ zaryzykował raz jeszcze i wstał, by podejść do cara z miną człowieka, który zamierza ujawnić rozmówcy ważną informację. – Ten człowiek nie jest tym, za kogo się podaje, powiedzieli ci już o tym Polacy. Nadużywa twego zaufania, gromadząc skarby, których mu nie odmówiłeś, a wszystko za cenę kilku klejnocików. Uzyskał od ciebie więcej niż ty od niego, ale wciąż darzysz go swoją łaską. – Potrząsnął głową ze smutkiem, jakby chodziło mu jedynie o dobro Iwana. – Carze, nie możesz ufać ludziom, którzy są od ciebie tak bardzo zależni.

– Każdy jest ode mnie zależny – oznajmił władczo car. – Bez cara nie ma Rusi. Od najędzniejszego smerdy do najwyżej postawionego kniazia, wszyscy szukacie u mnie wskazówek i ochrony. Takie jest brzemie carów. – Iwan mówił to z szeroko otwartymi oczami i pianą w kącikach ust.

Zaśpiewy na dziedzińcu wzmogły się, a zgromadzeni wokół ognia szamani tańczyli coraz szybciej.

Wasyl natychmiast zmienił taktykę.

– Tak, tak, Ojczulku, wie o tym każdy Rusin. Jesteś sercem Rusi i nic tu się nie dzieje bez twojej woli. Każdy sprzeciw jest zdradą kraju. Ale Rakoczy nie jest Rusinem.

Iwan słuchał uważnie z miną bardziej złowieszczą niż kiedykolwiek wcześniej.

– Powiadasz, że on nie jest moim poddanym?

– A jak miałyby być, skoro przysiągł wierność Batoremu? – zapytał Wasyl z przesadnym współczuciem w głosie.

– Wasylu Andriejewiczu, on poślubił twoją powinowatą. Należy teraz do twojej rodziny. Przez te zaślubiny stał się Rusinem i Szujskim. A to jest dla mnie rękojmią jego oddania. – Patrząc na szamanów, car skrzyżował ramiona na piersi. – To dobry i godzien zaufania człowiek. Jego korzyści zależą tylko od mojej dobrej woli. Nie jest taki jak wy wszyscy, którzy macie ziemię, tytuły i ambicje.

Wasyl zrozumiał, że stąpa teraz po cienkim lodzie.

– Ale jest wygnańcem, o carze, i nie ma nic do stracenia, gdyby...

– Milcz! – zagrział Iwan, którego twarz nagle powlekła się chmurami gniewu, a oczy rozbłysły. – Zrobiłem, co powinien zrobić car wobec tych, którzy są mu wierni. Chcesz, bym ściągnął na siebie hańbę? Nie, nie, po trzykroć NIE!

– Ależ nie, oczywiście, że nie – stwierdził szybko Wasyl, licząc na to, że uda mu się uspokoić i udobruchać cara, zanim dostanie ataku i trzeba będzie wezwać księży. Postanowił jednak wrócić do kwestii, tym razem próbując innego podejścia. – Nie możesz winić mnie, Szujskiego, za to, że troszczę się o ciebie, Ojczulku. Ponieważ temu cudzoziemcowi została poślubiona moja powinowata, obawiam się, że Szujscy mogą zostać oskarżeni o współudział we wszystkich działaniach podejmowanych przez tego cudzoziemca.

– Nie będzie działał przeciwko mnie. Nie on. Należy do moich stronników i... – Urwał nagle, bo szamani, wydawszy ostre wrzaski, przerwali taniec i wszyscy zagapili się w iskry szybujące ku zaciągniętemu ołowiem niebu.

– Ojczulku, nie ufaj mu. – Wasyl podszedł bliżej. – On jest gotów ściągnąć niełaskę na Szujskich.

– To przemów mu do rozumu – powiedział Iwan i wskazał drzwi

Złotej Komnaty. – Nie chcę cię tutaj, kniaziu Wasylu. Wyjdź.

Wasył mógł już tylko zrobić to, co mu kazano. Pochylił się tak nisko, że jego wysoka czapa musnęła niemal posadzkę komnaty, i poszedł tyłem ku drzwiom, ciągnąc po ziemi poły kaftana. Niepowodzenie próby zdyskredytowania Rakoczego zirytowało go. Mełł jeszcze w ustach przekleństwa, gdy zobaczył zbliżającego się z przeciwległego krańca korytarza Rakoczego w otoczeniu czterech gwardzistów. No – pomyślał Szujski – przynajmniej przybędą idzie sam, bez Godunowa, co należało uznać za zmianę i okoliczność sprzyjającą. W towarzystwie Borysa Rakoczy pokazywał się zbyt często, by mogło to sprzyjać fortunie Szujskich. Gdy cała grupka znalazła się przy nim, strażnicy zatrzymali się i oddali Szujskiemu pokłon.

– Niech Bóg ci ześle dobry dzień, kniaziu Wasylu – powiedział Rakoczy, który dobrze wiedział, że lepiej nie używać zwykłej formy z patronimikiem, zwracając się do stojącego najwyżej w hierarchii rodu powinowatego Kseni.

– I tobie, hrabio Saint-Germain. – Szujski rozmyślnie i niezbyt uprzejmie przypomniał Rakoczemu jego status cudzoziemca i obcy tytuł. – Jak się miewa pasierbica mojego kuzyna? – Pytanie o żonę innego mężczyzny było na dworze uznawane za obraźliwe i często prowadziło do kłótni. Wasył czekał tylko na okazję, żeby dać upust swojej złości.

Zamiast wybuchnąć, Rakoczy skłonił się nisko na włoską modłę.

– Mam nadzieję, kniaziu, że czuje się dobrze. A przynajmniej tak się czuła dziś rano, gdy wychodziła z domu w towarzystwie dwu moich sług. Udała się do sióstr, gdzie będzie rozdawała jadło kalekom i obłożnie chorym.

– Nadal poświęca się czynieniu miłosierdzia. – Nikły uśmiezek Wasyla był pogardliwy. – A ty, choć jest teraz twoją żoną, zamierzasz

jej na to pozwalać?

– A czemu niby miałbym jej tego zabraniać? – zapytał Rakoczy.

– Ze względu na twój honor! – wykrzyknął Wasyl szczerze zdziwiony tym, że Rakoczy mógł o coś takiego pytać. – Teraz, gdy jest mężatką, powinna opuszczać terem jedynie dla twej przyjemności, by zajmować się dziećmi albo z rozkazu carycy. — Bojar urwał na chwilę. – I oczywiście nogami do przodu na cmentarz.

Rakoczy przez chwilę patrzył tylko na Wasyla, a potem machnął beztrosko dłonią.

– Bo tak to się robi na Rusi? – zapytał łagodnie. – Ależ kniaziu, ja nie jestem Rusinem, jak przy licznych okazjach nie omieszkałeś mi przypominać. A ponieważ ona jest moją żoną i jedyną kobietą w domu, poza piekarczową, uznałem, że najlepiej będzie pozwolić jej żyć tak, jak żyły kobiety w mojej ojczyźnie, zanim podbili ją Turcy. Wiem, że mam inne obyczaje niż wy, ale ona teraz jest moją żoną. My nie trzymamy kobiet w teremach, niezależnie od tego, czy są mężatkami czy nie. Ponieważ dobroczynność jej odpowiada i nie naraża się przy tym na niebezpieczeństwo, pozwalam jej robić, co chce, oczywiście w rozumnych granicach. Ufam, że zdrowy rozsądek ochroni ją lepiej niż zamknięte drzwi. – Złożył rozmówcy kolejny, bezbłędnie wykonany ukłon. – Kniaziu, czeka na mnie car i zwłoka będzie niegrzecznością.

Wasyl nie zdołał się oprzeć chęci wypuszczenia pożegnalnej strzały.

– Jeżeli okaże nieposłuszeństwo albo jej zachowanie nie będzie ci odpowiadać, każ ją wychłostać.

W ciemnych oczach Rakoczego pojawił się przelotny błysk.

– Będę pamiętać o twojej radzie, kniaziu. – Skinieniem dłoni wezwał strażników.

Patrząc w ślad za nim, Wasyl doznał nagle wrażenia, że szarlatan polskiego króla może mu bardziej zaszkodzić niż on jemu.

Iwan nie odrywał twarzy od okna, jakby chciał przez nie wyfrunąć, gdy Rakoczy, przeżegnawszy się jak należy przed ikonami, polską modą opadł na jedno kolano i zamierzał pozostać w tej pozycji, dopóki car nie odwróci się w jego stronę i go nie rozpozna. Car nie spostrzegł nawet obecności Rakoczego; pogrążony w modłach zwracał się do Boga i Jego świętych i pilnie obserwował szamanów.

– O wielki carze! – odezwał się Saint-Germain, odczekawszy odpowiednio długą chwilę.

Iwan odwrócił się ze stłumionym okrzykiem, jakby spodziewał się zobaczyć archanioła Gabriela. Oszołomiony i zdezorientowany przez chwilę mrugał powiekami, ale potem wziął się w garść.

– A, to ty, Rakoczy.

– Jak kazałeś, wielki carze – odparł Rakoczy. Nie podnosił się jeszcze, świadom, że carscy przyboczni nadal nań patrzą gotowi dać mu po łbie, jeżeli uznają, iż okazuje carowi niedostateczny szacunek.

– Jak kazałem, tak, tak... – zgodził się Iwan, dwakroć się zegnając.
– Są tu lapońscy czarownicy.

– Widziałem ich na dziedzińcu – oznajmił ostrożnie Rakoczy; widział, że car coraz bardziej pogrąża się w szaleństwie. – Płonie tam ognisko.

– Są przy nim, a ogień przygotowano dla nich – odparł natychmiast Iwan. – Mają odczytać w płomieniach mój los.

Rakoczy umilkł na chwilę. Był świadom, że Iwan oczekuje od niego jakiejś odpowiedzi, nie miał jednak pojęcia, jaka być powinna. Dlatego rzekł enigmatycznie i z rezerwą:

– Jesteś pewien, carze, że chcesz wiedzieć? Czy wiedza nie może być gorsza od niepewności?

– Nie masz niczego gorszego od niepewności. Gdybym był jak inni ludzie, to co mówisz, mogłoby się okazać prawdą. – Car musnął podbródek palcem, a potem wsunął go w gęstwinę brody. – Ale

jestem carem i mój los jest losem całej Rusi. Bez względu na koszty muszę wiedzieć, co mnie spotka, żeby Ruś nie padła ofiarą Mongołów lub katolików.

Rakoczy, naśladując Iwana, przeżegnał się, jakby podzielał carskie obawy.

– A Lapończycy ujawnią ci to, co chcesz wiedzieć? Jesteś pewien? Interpretowanie przepowiedni to trudna sprawa, o carze.

– Mam nadzieję, że powiedzą mi, co zobaczyli, obojętnie jak byłoby to okropne – powiedział Iwan, niespodziewanie wybuchając płaczem.

– Rakoczy, jestem pogrążony w rozpacz. Nie pozwala mi ona myśleć tak, jak powinienem. – Odkaslnął. – Muszę znać prawdę. Bóg jest pełen miłości, jest także źródłem ukojenia i nie dopuści do unicestwienia Rusi z powodu mojego grzechu. – Car opadł na stopnie podwyższenia, na którym ustawiono tron. – Muszę pytać tych pogańskich szamanów, ponieważ mój metropolita nie umie pojąć, czego Bóg ode mnie żąda. Jest uparty, ten metropolita. Mianuję go patriarchą, ale nie zrobię tego, dopóki nie nagnie swej wiary do mojej woli.

– Wielki carze, tylko ty wiesz, czego wymagać od swego metropolity i czy należy wynieść go wyżej. Mój król jest katolikiem i nie dał mi żadnych instrukcji dotyczących twojego patriarchy. – Było to prawdą, Rakoczy jednak obawiał się, że zostanie wciągnięty w wewnętrzne ruskie spory, i sama myśl o tym przyprawiała go o ból głowy. Krótka rozmowa z Wasylem Szujskim przekonała go, że każdy miał w nich wiele do stracenia.

– Jak zawsze w kwestiach religii wypowiadasz się bardzo oszczędnie – stwierdził Iwan, myśląc jakby o czymś innym.

Rakoczy ujrzał gorączkowe błyski w oczach cara.

– Nie staję mi mądrości, żebym zgłębiał zamysły Boga. I jak może człowiek osądzać wiarę drugiego?

– To jest możliwe, gdy ma się twoje mroczne klejnoty – odparł Iwan z wielką powagą w głosie. – Wiara jest sercem każdego.

– Albo kapłani chcieliby, żeby tak było – odparł Rakoczy, przypominając sobie kapłanów, jakich znał w dzieciństwie, a później w Babilonie, Egipcie, Rzymie, Hiszpanii i Indiach. Każdy kapłan i każda kapłanka uważali, że znają najbardziej sekretne zakątki jego serca. Tak naprawdę znał je tylko jeden – pierwszy, ten, który dzielił z nim krew.

– Błuznierstwem byłoby temu przeczyć – odezwał się Iwan ogarnięty nagłym gniewem. – Nie każę cię wychłostać tylko dlatego, że jesteś cudzoziemcem i wygnańcem. – Wstał już i teraz sięgał do tronu, by się na nim wesprzeć, bo z trudem utrzymywał równowagę. – Ale nie podniosę ręki, nie, nie, nie ponownie. Nie wolno mi. To grzech, wielki grzech. – Car znów się rozplakał; tym razem wstrząsnęły nim tak rozpaczliwe łkania, że Rakoczy zaryzykował i podszedł bliżej.

– Niech Bóg ześle swoje anioły, żeby cię strzegły, o carze – powiedział, wiedząc, że te słowa Iwan przyjmie przychylnie.

– O tak, o to tylko się modłę. – Iwan przeżegnał się i począpawszy do okna, znów zapatrzył się w płonące na dziedzińcu ognisko. – Gdyby to była noc, tańczyliby w piekle.

Rakoczy szybko przemyślał liczne implikacje tej uwagi.

– Czyny szamanów mogły zostać wsparte twoimi modłami, a twoja wiara pomoże ci rozjaśnić ich wizje – powiedział ostrożnie, wiedząc, że Iwan bardzo łatwo może się zwrócić przeciwko nim. – Spoglądanie w ogień wymaga od człowieka wielkiej odwagi.

– Tak... – wyszeptał Iwan. – Tak, tak, tak, tak... Ścierał dłonią łzy, w miarę jak napływały mu do oczu. Skupił uwagę na tym, co działo się na dziedzińcu. – Są biegłymi szamanami. Wiadomo, że są najlepsi. Sowiec ich wynagrodzę.

Rakoczy patrzył badawczo na cara, którego kondycja psychiczna się pogarszała, co – jak zdawał sobie sprawę – czyniło go bardziej niebezpiecznym.

– O wielki carze, sama szansa służenia ci może być dostateczną nagrodą – stwierdził, usiłując uprzedzić nieprzewidywalne wyobrażenia cara o sowitym wynagrodzeniu.

Iwan obszedł go dookoła, wyciągając jedno ramię.

– Cudzoziemcze, powiedziałaś samą prawdę. Pojmujesz więcej niż ci, co mnie otaczają, choć przyznałem im przywileje, z których czerpią korzyści. Ty, który nie otrzymałeś ode mnie żadnej nagrody, jesteś... – Nagle urwał i zmarszczył brwi. – Nie jesteś mi nic winien.

– Owszem, poza wdzięcznością za żonę, którą mi dałeś – stwierdził szybko Rakoczy, nie chcąc, żeby car uznał go za niewdzięcznika lub człowieka wykorzystującego jego przychylność; oba nastawienia byłyby niebezpieczne przy obecnym stanie umysłu Iwana. – Wierna żona jest z pewnością największym skarbem, o jakim może marzyć mężczyzna. I tylko za to na wiele lat pozostanę twoim dłużnikiem.

– Niewątpliwie – odpowiedział Iwan. – Rusinka jest skarbem, nawet chuda. – Skinął niecierpliwie dłonią na strażników. – Poczekajcie na korytarzu. Nie chcę was tutaj. Jeżeli będzie potrzeba, to was wezwę.

Czterej strażnicy skłonili się w pas i natychmiast wyszli, wymieniając między sobą pełne niepokoju spojrzenia.

Na dziedzińcu podniosła się wrzawa i Iwan natychmiast podbiegł do okna, by spojrzeć w dół.

– Czegoś się dowiedzieli... – wyszeptał. – Coś wiedzą. Coś. Coś... – Przez kilka minut milczał, a potem rozejrzał się dookoła i wbił wzrok w Rakoczego. – A ty mi powiesz, czy ujawnią mi wszystko, co wiedzą.

– Ja? – zdumiał się Rakoczy. – O wielki carze, na twoim dworze są tacy, którzy znają tych ludzi znacznie lepiej niż ja. Którykolwiek z nich powie ci więcej niż ja będę w stanie.

Iwan nie dał się przekonać.

– Masz w sobie pokorę, co jest pożądaną cechą u zmuszonego do zdawania się na dobrą wolę innych wygnańca. Znasz jednak sekrety kamieni i przez nie potrafisz czytać w ludzkich sercach. – Spojrzał w bok. – Ja też potrafiłem to robić, przed śmiercią Iwana Iwanowicza. Sam bym sobie poradził, odkryłbym w moich klejnotach prawdę tych szamanów.

Tysiąc lat temu Rakoczy rzuciłby wyzwanie tej supozycji, ale teraz powiedział tylko:

– Nie jestem godzien tego zaszczytu, o carze.

– Owszem, to prawda – stwierdził Iwan. – Ale ty, Rakoczy, jesteś jedynym, któremu ufam. Jesteś jedynym, który potrafi wysłuchać tego, co powiedzą ci szamani, i zdoła orzec, czy mówią prawdę.

Rakoczy uklonił się znów na włoską modę i biorąc pod uwagę nastrój Iwana, postanowił na moment zaprzestać sprzeciwów.

– Jeżeli taka jest twoja woła, zrobię, co każesz, tak jak zdołam najlepiej. Ale chciałbym cię ostrzec, carze, że ci szamani nie postępują tak jak ja, ich obyczaje nie są moimi, i mogę popełnić błąd wynikający z braku zrozumienia. – Było jeszcze kilka innych odpowiedzi, które Iwan mógłby przyjąć do wiadomości. Rakoczy miał nadzieję, że przepowiednie Lapończyków będą na tyle mętne, że sam nie będzie musiał zbyt wiele sprawdzać, by zadowolić Iwana.

– Oni tu wrócą – stwierdził ponuro car. – Wrócą i powiedzą mi, co muszę wiedzieć. To ich zadanie.

– Niech Bóg ześle im prawdziwą wizję – odparł Rakoczy, mając na myśli i siebie, i Lapończyków.

Iwan przeżegnał się kilkakrotnie.

– Wiesz, dręczy mnie bezsenność. Zęby zasnąć, muszę się spić na u mór.

– Sen to błogosławieństwo, wielki carze – stwierdził Rakoczy, który

podczas minionych ponad trzech tysiącleci rzadko sypiał nocą więcej niż dwie godziny.

– Sen zsyłają aniołowie, a moi opuścili mnie, bom człek grzeszny – przyznał Iwan pogrzebowym tonem. – Śmierć to sen aniołów, jak powiedział metropolita, a jeżeli ma racje, to zasnę, zanim ten rok przeminie. Gdy poznam Boże zamysły, ponownie odnajdę mojego anioła i może zdołam zasnąć. – Car zerknął na dziedziniec. – Lapończycy gaszą już ogień.

– Więc... – zaczął Rakoczy.

– Przyjdą tu i powiedzą mi, czego się dowiedzieli, a ty mi powiesz, czy nie kłamią – oznajmił Iwan napełniony nową energią.

– Zrobię, na co mi pozwolą moje skromne umiejętności – odparł Rakoczy niezbyt pewnym głosem.

Wydawane ostrym tonem polecenia straży oznajmiły przybycie szamanów, zanim ci formalnie poprosili o pozwolenie wejścia do komnaty i stawienia się przed carskim obliczem. Poruszenie i zdenerwowanie Iwana objawiło się w tym, że mówił szybko i wysokim tonem.

Car dał znak Rakoczemu, żeby otworzył drzwi Złotej Komnaty.

– Stań z boku, tam, gdzie cię nie zauważą. Daj im mnóstwo miejsca. Nie mogą stać w gromadzie. Nie jest mądre zmuszanie szamanów, by stali w ścisku.

Rakoczy bez słowa spełnił polecenie Iwana.

Najstarszy szaman padł plackiem na twarz przed Iwanem, który w międzyczasie usadowił się na tronie. Car uśmiechnął się z satysfakcją, ale Rakoczy, ujrawszy pokorne zachowanie Lapończyka, natychmiast pojął, że stary ma złe wieści.

– Odczytaliśmy przyszłość, carze – odezwał się szaman, nie wstając.

– Tak. Powiedźcie mi, co wasza wyrocznia wam ujawniła. – Słowa te były bezceremonialne, ale Iwan się niecierpliwił. – Powiedźcie mi

natychmiast.

– Nie mamy dla ciebie innej odpowiedzi, carze, niż ta: Bóg wezwie cię do siebie osiemnastego marca – odparł pokornie staruch.

W Złotej Komnacie zapadła cisza. Lapończycy wstrzymali oddech, a Iwan zamarł w bezruchu, jakby go skuł lód. W końcu spojrzał na leżącego plackiem szamana.

– Jesteście pewni? – zapytał bardzo spokojnie. I zwrócił się do Rakoczego: – Co powiesz, cudzoziemcze?

Rakoczy szybko potrząsnął głową.

– Nie wiem, czy to, co rzekł ów starzec, jest prawdziwą przepowiednią, wiem jednak, że on sam jest człowiekiem uczciwym. Jego wizja może nie była prawdziwa, ale wyznał ci to, co widział. On nie kłamie, o wielki carze. – Zdając sobie sprawę z tego, że musi czymś poprzeć własne słowa, Saint-Germain podniósł swój szafirowy kaboszon. – Na moc tego kamienia, powiedziałem, co powiedziałem.

Iwan wysłuchał go, przeżegnał się i pochylił głowę, najwyraźniej przyjmując z pokorą wyrok losu.

– Trzeba to zrobić jeszcze raz, żeby uniknąć pomyłki. – Prawą dłonią wskazał szamanów. – Zapali się dla was jeszcze jedno ognisko i ujawnicie mi odczytane wróżby.

Staruch podniósł głowę z podłogi.

– Carze, jeżeli ponownie będziemy się narzucać bogom, mogą się rozsierdzić.

– A jednak to zrobicie – stwierdził Iwan tonem wykluczającym sprzeciw. – Zrobicie to, a ja ponownie wysłucham tego, co będziecie mi mieli do powiedzenia. – Klasnął w dłonie, wzywając strażę. – Niezwłocznie rozpalcie jeszcze jedno ognisko.

Strażnicy wahali się tylko przez chwilę, a potem wyszli ze Złotej Komnaty wykonać carskie rozkazy.

– Ty zaś – zwrócił się car do Rakoczego – pójdziesz z nimi i

będziesz ich pilnował. Obserwuj wszystko bacznie, żeby stwierdzić, czy w sprawę nie wdał się diabeł.

Sprzeciw nie miał sensu i Rakoczy nawet się nie zawahał.

– Jeżeli taka jest twoja wola, carze... – powiedział, czekając na pozwolenie wyjścia. Był pewien, że cokolwiek Lapończycy powiedzą carowi, treść wróżby go nie zadowoli.

– Tego właśnie od ciebie chcę, cudzoziemcze – stwierdził Iwan. – Jest moją wolą, żebyś mnie uchronił przed podstępami szatana. Jeżeli ustami tych szamanów przemawia Bóg, to dowiem się, że mój los jest przypieczętowany. – Podniósł dłoń, jakby zasłaniając oczy przed ujawniającym mu się widokiem. – Po śmierci Iwana Iwanowicza wszystko potoczyło się już nieuchronnie. Jam jest sprawcą jego śmierci, a on sprowadzi ją na mnie.

Staruch dźwignął się na kolana, a gdy Iwanem targnęły rozpaczliwe łkania, spojrzał z przestachem w oczach na Rakoczego.

– Będziesz patrzył, jak czytamy ogień?

– Tego właśnie car żąda ode mnie – odpowiedział spokojnie hrabia.

Lapończyk ponownie spojrzał na Iwana.

– Bardzo trudno jest czytać znaki dla tego człowieka. Zbyt wiele go otacza.

– Nie wątpię – przyznał Rakoczy. Podszedł do Iwana, który ukrył twarz w zgięciu ramienia i nie podniósł nawet głowy, gdy Rakoczy zwrócił się do niego.

– Jest tutaj, mój syn jest tutaj. – Car wzdrygnął się i podniósł dłoń do ust. – Szybkim ruchem odgryzł paznokiec, aż trysnęła krew. – Patrzy na mnie, radują go moje cierpienia. Nie zwraca uwagi na moje modły. Błagałem go, prosiłem i błagałem o okazanie współczucia i zrozumienia, on jednak tylko stoi przede mną z zakrwawioną twarzą i roztrzaskaną skronią, tak że widzę jego mózg, i patrzy na mnie płonąącym wzrokiem. Czeka na moją śmierć, żeby mnie cisnąć do

piekła.

Staruch zrobił kilka gestów.

– O carze, to odpędzi złe duchy – wyjaśnił i powtórzył całą serię.

Iwan skinieniem dłoni powstrzymał Lapończyka.

– Mój syn nie jest złym duchem i nie zdołasz go odpędzić. Od chwili, w której go uderzyłem, nigdy mnie nie opuścił i tylko sam Bóg mógłby go odwołać. – Car wstał, układając ręce tak, jakby trzymał w nich niemowlę. – Do tej pory nie zrobiłem nic, żeby przebłagać Boga, by mnie oszczędził.

– Pomodlimy się za ciebie – obiecał jeden z szamanów. – Może nasi bogowie zechcą...

– Nie! – zagrzmiał Iwan. – Na nic mi wasze modły. Nie. Nie. Nie pomodlicie się! – Zrobił dwa szybkie kroki w stronę grupki Lapończyków, ale się zatrzymał. – Nie pozwolę odebrać Iwana Iwanowicza Bogu, nie pozbawię go bożego spokoju. To mój grzech go tu zatrzymuje i zapłacę Bogu pełną cenę za jego śmierć. Parli do raj, ale ja znajdę się w piekle. Nie zmienicie tego.

– Nie, nie zmienimy – łagodnie i uspokajająco przemówił najstarszy szaman. Żaden z nas nie pragnie krzywdy twojego syna i nie zamierzamy go odbierać twojemu Bogu. Nie pragniemy tego nawet, o carze. Chcemy ci tylko usłużyć i odpowiedzieć na twoje pytania, jeśli stanie nam wiedzy i umiejętności. Nikt z nas nie zamierza skrzywdzić Iwana Iwanowicza. Wypowiemy jego imię w naszych obrzędach. Poprosimy duchy, którym służymy, żeby go chroniły.

– Chronią go aniołowie Boga – stwierdził posępnie Iwan.

Rakoczy przyniósł ze sobą niektóre ze swoich uspokajających leków, czuł kształt fiolki w pasie – miejscu, gdzie większość Rusinów trzymała łyżki i widelce. Zamierzał ją teraz wyjąć i ofiarować Iwanowi, ale przeszkodził temu stary szaman.

– Mówiłem prawdę, czy nie tak? – zapytał Rakoczego i dodał,

nachylając się bliżej: – Czego ten człowiek od nas chce?

– Obawiam się, że tego, czego nikt dać mu nie może – odparł cicho Rakoczy i przez chwilę badał wzrokiem twarz Lapończyka. – Carze, on mówi prawdę. Tak jak ją rozumie. Nie żywi złej woli w stosunku do ciebie ani twojego syna.

Iwan kilkakrotnie skinął głową.

– To dobrze, to dobrze – mamrotał, idąc do okna. – Rozpalono już ognisko.

Stary szaman skłonił się głęboko, acz ze znużeniem i rezygnacją.

– Więc raz jeszcze naradzimy się z ogniem.

– I powiecie mi wszystko, co wam ujawni. Nie przyjmę niczego oprócz całej prawdy. – Iwan stał teraz spokojnie; na jego twarzy malowała się ta ponura powaga, za której sprawą zyskał miano Groźnego. Nakazując Lapończykom powtórzenie zadania, patrzył na nich tak, że szamanom cierpła skóra.

Przed wyjściem wszyscy ukłonili mu się z najwyższą czcią.

– Czekaj! – zwrócił się car do Rakoczego, gdy ten ruszał w ślad za Lapończykami. – Chcę zamienić z tobą kilka słów.

– Jak sobie życzysz, carze – odparł ostrożnie Rakoczy. Błyskawiczne zmiany nastroju Iwana ogromnie utrudniały rozmowę z nim. – Jestem na twe usługi, panie.

– Nie uważam, żeby ci Lapończycy łgali, ale mogą rzucić na mnie, na moją głowę czary albo klątwy. Chcę, żebyś ich uważnie obserwował i miał baczenie na ich sztuczki i natychmiast mi o nich powiedział. Jeżeli którykolwiek z nich, szaman czy nie, zrobi mi coś takiego, każę ich zasiec knutami na śmierć przed Bramą Spasską. – Spojrzał gniewnie w okno. – Jeżeli nie będą mieli dla mnie lepszej odpowiedzi, znów im każę patrzeć w ogień. Nie przyjmę żadnych niepełnych przepowiedni. – Machnąwszy dłonią w geście odprawy, dodał: – Jeżeli zobaczysz Godunowa, powiedz mu, że Fiodor

Iwanowicz nie może się o tym dowiedzieć. Ma chwiejny umysł i ci szamani mogą... – Urwał, nie bardzo wiedząc, jak wyrazić swoje obawy przed tym, co szamani mogą zrobić jego dziedzicowi.

– Jak sobie życzysz, wielki carze – odpowiedział Rakoczy, kłaniając się po raz kolejny. – Będę miał oko na wszelkie wrogie i nieprzyjazne działania. – Podczas długiego, bardzo długiego życia niejednokrotnie stykał się z czarnoksiężskimi sztuczkami, ale nie dostrzegł, by uciekali się do nich ci Lapoń czycy, wątpił jednak, czy Iwan przyjmie jego zapewnienia, jeżeli spróbuje go o tym przekonać. Wycofał się ze Złotej Komnaty i pod eskortą dwu gwardzistów zszedł na dziedziniec, gdzie drugie ognisko szybko zamieniało śnieżne zasy w mokrą breję.

Szamani, powtarzając dokonany już raz rytuał, podjęli taniec wokół ognia. Rakoczy stanął w cieniu pałacu, gdzie nieprzyjemne promienie słońca nie mogły nadmiernie go osłabić.

Ognisko płonęło przez całe popołudnie i wieczór, a szamani starali się odczytać w nim inną prawdę, niż ta, którą ogień ujawnił im wcześniej: że Iwan umrze osiemnastego marca.

Spisany po łacinie list od Borysa Godunowa do angielskiego posła, sir Jerome'a Horseya.

Najczcigodniejszemu słudze Elżbiety Angielskiej, jej moskiewskiemu przedstawicielowi pozdrowienia.

Ze smutkiem muszę się zgodzić z Twoimi wczorajszymi uwagami, panie, i wyznać Ci, że podzielam Twoje obawy. Prawdą jest, że carewicz Fiodor kiepsko sobie prawdopodobnie poradzi z obowiązkami cara, gdy jego ojciec nie będzie mógł już ich pełnić. Jakkolwiek modlimy się żarliwie o to, by Bóg przywrócił Iwanowi zdrowie cielesne i umysłowe, godzi się stwierdzić, że ma on obecnie pięćdziesiąt trzy lata i nie dostaje mu już sił młodości. Pokładanie nadziei w carewiczu Fiodorze byłoby głupotą. Piszę to bez żadnych zdradzieckich zamiarów: niech moją wierność i oddanie

Rusi potwierdzi wyznanie, że carewicz Fiodor będzie potrzebował wsparcia i opieki innych, jeżeli w ogóle ma przeżyć. Jest moim swakiem i przez wzgląd na siostrę mam nadzieję, że pozwoli mi sobie pomagać. Iwan daje do zrozumienia, że opiekunem carewicza Fiodora uczyni Nikitę Romanowicza, możesz być więc pewien, że przyszłego cara będzie strzec przy najmniej dwu oddanych mu bojarów.

W sprawie incydentu z oficerami gwardii mogę napisać, co następuje: Fiodor Iwanowicz jest wciąż raczej dzieckiem niż mężczyzną i wykazuje dziecięcą ciekawość. W jego pragnieniu zbadania nagości gwardzistów nie było żadnych grzesznych zamiarów. Chciał się jedynie przekonać, czy są zbudowani tak samo jak on. Gdyby popełnił opisywany przez ciebie, panie, grzech, zostałby zamknięty w klasztorze niezależnie od tego, jak potężny jest jego ojciec. Kościół prawosławny jest w tej kwestii bardzo surowym sędzią i cielesne grzechy, o jakich, mówisz, karane są śmiercią. Rozumiem, że podobnie się dzieje w niektórych krajach katolickich. Ale ludzie prostego ducha, tacy jak carewicz Fiodor, nie padają ofiarą podobnego grzechu. W rzeczy samej większą uciechę sprawia mu bicie w dzwony niż przyjemności cielesne zażywane samotnie lub z moją siostrą. Dla Fiodora Iwanowiczapowinności związane z jego pozycją są ciężkie, niewdzięczne i niepokojące-, osobliwie te wymagające towarzystwa Iriny. Sam metropolita uznał, że carewicz jest nieskalany, a cielesne pożądania są mu obce, jakby był świętym.

Nie da się zaprzeczyć, że popieranie handlu z Anglią jest bardzo ważne dla naszego rozwoju. Dzięki Waszej pracowitości i determinacji osiągnęliśmy pewne sukcesy, które trzeba zwiększyć i umocnić, jeżeli Rosja ma w pełni odnosić korzyści z handlu. Nie znaczy to wcale, że korzystać na tym nie ma i Anglia. Sam, panie, raczyłeś zauważyć, że ruskie futra nie mają sobie równych na świecie. Możliwość zaspokojenia popytu na te futra w zamian za dostęp do Waszych rynków przyniesie Ci takie same korzyści jak nam, zarówno z przewozu naszych towarów, jak i z dóbr,

które nam sprzedasz. Niewątpliwie zdołamy zawrzeć porozumienie, które pozwoli nam rozwinąć nasze wspólne przedsięwzięcia na większą skalę.

Ponieważ carewicz Fiodor nie wykazuje zainteresowań takimi sprawami, może najlepiej i najmądrzej byłoby, gdybyśmy załatwili to między sobą i przedstawili mu wyniki naszych rozmów, gdy dobiegną końca. Z pewnością ujrzysz wynikające z tego korzyści, ponieważ mniej będzie kłopotów przy omawianiu różnych elementów tych planów. Mając na uwadze szybkość działania, nasz układ nie powinien zawierać niepewności, gdy będziemy go przedstawiali carewiczowi.

Ze względu na to wszystko spotkajmy się najdalej do tygodnia, żebyśmy obaj mieli sposobność zastanowienia się nad naszymi ostatnimi rozmowami. Do tego czasu możemy podjąć decyzję dotyczącą sposobów, dzięki którym możemy zwiększyć dobrobyt obu naszych krajów. Tymczasem pozwól mi powiedzieć sobie, że nie byłoby mądrze starać się teraz o widzenie z carem Iwanem, chyba że miałbyś dla niego jakiś dar od Waszej królowej. Uwierzył w przepowiednie tych lapońskich szamanów i spodziewa się, że nie przeżyje osiemnastego dnia najbliższego miesiąca. Pozostały mu więc trzy tygodnie. Dopóki ten dzień nie nadejdzie i przeminie, car oddaje się przyjemnościom małżeńskim, modlitwom i podziwianiu swoich drogocennych kamieni. Nie sądzę więc, żeby zechciał Cię przyjąć oficjalnie na dworne.

Przykro mi, że muszę Cię, panie, rozczarować, proszę jednak, nie pozwól, żeby carska chwilowa niedyspozycja odwiodła Cię od myśli o dobrobycie, jaki możesz zapewnić Rusi. Niech Bóg ześle na Ciebie swe łaski i da Ci długie lata pomyślności i powodzenia. Niech Ci się wiedzie tu, w Moskwie, a Twój powrót do domu niechaj pełen będzie radości i słodyczy.

Borys Fiodorowicz Godunow Swak carewicza Fiodora Iwanowicza

. 3 .

Tuż po północy Rothger znalazł Rakoczego w pracowni alchemicznej – była to rozległa komnata zajmująca niemal całe pierwsze piętro domostwa. Pod przeciwległą ścianą stały dwa nowe atanory – jeden akurat podgrzewano do bezpośredniego użytku.

– Kolejny klejnot? – zapytał Rothger, wskazując piecyk skinieniem głowy.

– Car chce mieć topaz, ciemniejszy od innych... – Rakoczy potrząsnął głową. – Żaden klejnot nie uchroni cara przed jego własnymi strachami.

– Z powodu przepowiedni tych szamanów? – zapytał Rothger.

Rakoczy ostrożnie podciągnął do stołu jedno z wysokich krzesel i odpowiadając, usiadł na nim:

– Niezupełnie, nie do końca tak. – Sięgnął po stos kartek papieru. – Nie, przepowiednia sama z siebie nie jest ważna. Ale ten człowiek cierpi na agonię ducha, a płaci za to jego ciało. – Wziąwszy pałeczkę węgla drzewnego, zaczął zapisywać składniki topazu.

– On umrze – stwierdził Rothger z beznamiętnym wyrazem twarzy.

– Każdy umiera – oznajmił Rakoczy, nie patrząc na sługę; skupił się na swojej pracy. Rozmawiali w łacinie okresu cesarstwa. – W swoim czasie.

– W swoim czasie – potwierdził Rothger niczym echo. Podczas gdy Rakoczy kończył obliczenia, sługa zadowolił się milczeniem. Dom pogrążony był w nocnej ciszy, jedynym dźwiękiem było pojękiwanie lodowatej, hulającej po Moskwie wichury. Gdy Rakoczy podniósł wzrok znad papieru, Rothger przemówił, jakby ich rozmowa w ogóle nie została przerwana. – Byłeś tu, panie, przez całą wieczór?

Przelotny uśmiech Rakoczego przesycony był kpina.

– Chcesz zapytać, stary druhu, czy odwiedziłem już swoją małżonkę? Odpowiedź brzmi: nie. – Rothger milczał, więc hrabia kontynuował wątek: – Od naszego ślubu byłem w jej komnacie dwa razy. Ona może świadomie nie pogodzić się z tym, kim jestem, przypuszczam jednak, że tak jak inne mógłbym ją odwiedzać we śnie. – W jego ciemnych oczach pojawił się smutek. – Gdy zaczyna odpowiadać na to, co podsuwają jej sny, wpada w przestrah i się budzi. Niewiele brakowało, a byłaby mnie zdemaskowała. To, co ją dręczy, ma na nią większy wpływ niż ulga, jaką jej mogę ofiarować. Ona mi zresztą nie ufa, jej niepokój jeszcze nie wygaś. To niebezpieczne dla nas obojga, więc... – Rozłożył pięknie ukształtowane dłonie, żeby wyrazić głębię swego dylematu.

– A co ona myśli o twoim zachowaniu? – zapytał Rothger zaniepokojony troską, jaką jego pan ujawnił, marszcząc brwi.

– Znaczy, o mojej powściągliwości? Nie wiem – stwierdził Rakoczy po krótkim namyśle.

– To niedobrze – odparł Rothger. Wiatr dał coraz głośniej, jakby kto zgrzytał żelazem po lodzie. Sługa rozejrzał się jakby w obawie, że wichura powyłamuje okiennice. – Rozpalić ogień?

– Jeszcze nie – powiedział Rakoczy, a potem dodał: – Dla niej jest to tak samo trudne jak dla mnie. – Wstał i zaczął krążyć po pracowni w swojej czarnej barchanowej nocnej szacie widywanej w Rzymie czy Londynie częściej niż w Moskwie; szata ta czyniła go tu obcym w równym stopniu jak gładko golona twarz i sposób składania ukłonów. – Przysiągłem w cerkwi, że będę chronił tę kobietę, choć nie jest z mojej krwi. – Zatrzymał się przy wielkiej skrzyni i dotknął dłonią wieka. – Ile jeszcze zostało?

– Cztery – odparł Rothger, aprobując zmianę tematu. – Jest jeszcze ziemia w twoich materacach i podeszwach butów.

– Poprzez Zarego zażądam nowej dostawy. – Ujrawszy zdumienie w twarzy Rothgera, hrabia dodał: – To sprawka Borysa Fiodorowicza; on nie chce, żeby Żary i jego kozacy pozamarzali w śniegach. Zdołał jakoś przekonać Iwana, że nie spodobałoby się to Batoremu. Wyjazd Zarego został odłożony.

– A jak wyjaśnisz, panie, że życzysz sobie ziemi z Siedmiogrodu? – zapytał Rothger. – Batory zacznie się zastanawiać, do czego jest ci potrzebna.

– Bo też jest Siedmiogrodzianinem i zna nasze legendy? – podsunął Rakoczy. – Jestem alchemikiem i ziemi potrzebuję do moich... transmutacji. On w to uwierzy.

Rothger już miał wyrazić wątpliwości, gdy obaj usłyszeli przenikliwy krzyk, który przeszył powietrze, przemagając wycie wiatru.

Rakoczy natychmiast zeskoczył ze stołka.

– To Ksenia! – zawołał i skinieniem dłoni wydał rozkaz Rothgerowi. – Znajdź coś w kuchni, miód, wiśniówkę, wino, obojętnie co. Przynieś to do komnaty Kseni. – Wybiegłszy z pracowni, pognął korytarzem, licząc na to, że krzyk żony nie obudził domowej służby.

Na użytek Kseni wydzielono trzy komnaty, z których w najmniejszej mieściły się jedynie dwie bieliźniarki i pyszne łoże. Ksenia zaciągnęła wokół niego zasłony, zamykając się jakby w komnacie o płóciennych ścianach. Gdy Rakoczy je odsunął, kobieta krzyknęła jeszcze głośniejszym i z większym przerażeniem.

Rakoczy natychmiast spostrzegł, że Ksenia jest tylko na poły obudzona: miała szeroko otwarte oczy, ale jej umysł wciąż błędził wśród dręczących ją koszmarów. Stał przez chwilę zupełnie nieruchomo, a gdy przemówił, jego głos brzmiał spokojnie i cicho:

– Kseniu Jewgienijewna, Kseniu, nie bój się. W tym domu jesteś bezpieczna.

Ocknęła się z trzecim jękiem, niewiele głośniejszym od szeptu. Przez chwilę patrzyła na hrabiego, usiłując powstrzymać drzenie, jakie budził w niej jego widok.

– Mężu... – wydusiła z siebie w końcu.

– O co chodzi? – zapytał, nie kryjąc współczucia w ciemnych oczach.

Wiatr napierał na ściany domu, jakby chciał je powyłamywać.

Ksenia uciekła spojrzeniem w bok.

– Ja... miałam sen. – Nie chciała powiedzieć nic więcej; jej zmieszanie narastało z każdą chwilą i widać było, że wcale nie pragnie, by z nią został. – Koszmar...

– Owszem, jestem tego świadom – odezwał się łagodnie.

– To był tylko sen. Głupio zrobiłam, krzycząc. – Ostatnie zdanie zabrzmiało bardziej jak wyzwanie niż samooskarżenie. Owinęła się ciaśniej pościelą, jakby chciała, żeby ta chroniła ją przed jego wzrokiem. Splecione w warkocz włosy zwisały jej z ramienia niczym brązowy sznur; Ksenia aż do podbródka otuliła się jedwabną nocną koszulą, która była częścią jej ślubnej wyprawy.

Rakoczy, który postanowił zbadać sprawę do końca, patrzył teraz na nią ze smutkiem w oczach, pragnąc, żeby mu zaufała.

– Co to było, Kseniu? – pytanie nie zabrzmiało jak żądanie, ona jednak zrozumiała, że mąż nie zrezygnuje i będzie drażył dziś, jutro, pojutrze, za tydzień czy za rok, dopóki nie odkryje jej sekretu.

– Powiedziałam, ci, koszmar, dziecięce strachy – odpowiedziała unikiem. – Miewam je od czasu do czasu.

– I cóż to za koszmar? – nalegał bardzo łagodnie. – Powiedz mi.

Parsknęła krótkim, wymuszonym śmiechem. Zrobiła szybki gest, jakby strzepywała szmatkę.

– Dziecięce fantazje – powiedziała. Spojrzała mu w oczy, ale znów uciekła wzrokiem. – Nic takiego.

– Jeżeli to cię przeraża, nie można tego zlekceważyć – stwierdził Rakoczy, rozsuwając zasłony przy łożu na tyle, żeby usiąść w nogach, choć widział, że żona się go boi. Odchylił się do tyłu i splótł dłonie na uniesionym kolanie. – Powiedz mi, proszę, o czym śniłaś.

Gdzieś z boku dobiegł ich łoskot – wichura zdołała zerwać z zawiasów niedomkniętą okiennicę. Okiennica z trzaskiem wyrznęła w dach stajni, a potem zatrzymała się na drewnianym ogrodzeniu okalającym niczym solidny mur siedzibę Rakoczego.

Ksenia potrząsnęła głową. Rakoczy budził w niej teraz większy strach niż nocny koszmar.

– O snach nie należy rozmawiać. W snach przychodzi szatan. Nie godzi się...

– Nieprawda. – Nie wykonał żadnego ruchu, by się do niej zbliżyć.

Ksenia patrzyła na męża z narastającą obawą i niepewnością. Podjęła próbę zmiany tematu:

– Zamierzasz dziś w nocy uczynić mnie swoją żoną?

Rakoczy przez chwilę tylko na nią patrzył – łagodnie i ze współczuciem.

– Tego właśnie się spodziewasz? Ze cię zastraszę, że zmuszę do uległości? – Przez chwilę milczał, dając żonie szansę na odpowiedź, a gdy się jej nie doczekał, powiedział: – Kseniu Jewgienijewna, ty i ja jesteśmy sobie obcy. Prawie się nie znamy. Żadne z nas nie szukało tej znajomości. Pobraliśmy się z powodu kaprysu cara Iwana i jego chęci zapewnienia sobie mojej lojalności. Znosiłaś już jego kaprysy. Nie musisz obawiać się moich.

Spojrzała na niego.

– Nie pragniesz mnie? – Patrzyła nań szeroko rozwartymi oczami, a mówiła głosem nieco tylko głośniejszym od szeptu. – Czyja cię czymś uraziłam?

– Nie! – odparł natychmiast i zaraz ostrożniej podjął wątek: – Nie,

nie uraziłaś mnie, ale podejrzewam, że ja mogłem urazić ciebie. Jestem cudzoziemcem z krwi i kości. Moja krew nie jest twoja. – Rozplótł palce i wyciągnął ku niej dłoń tylko po to, by zobaczyć, jak się uchyla. Cofnął rękę i wrócił do poprzedniej pozycji. – Ot, masz. Rozumiesz teraz? – zapytał z większą trudnością, niż się po sobie spodziewał; ostatnie słowa niemal ugrzęzły mu w gardle.

– Wyrzekasz się mnie – stwierdziła żałośnie.

Rakoczy zachował spokój.

– Czemu miałbym to zrobić? Nie mam żadnego powodu, by się cię wyrzec.

W oczach Kseni pojawiła się panika, której Rakoczy nie potrafił zrozumieć.

– Nie. Nie. Powiedzieli ci, prawda? Na Boga i jego aniołów! Wasyl i Anastasij ci powiedzieli, choć obiecali, że tego nie zrobią!

– Nie powiedzieli nic, co mogłoby mnie obrazić – odparł Rakoczy coraz bardziej świadomy, że Ksenia coraz bardziej się boi. – Masz na to moje słowo.

Nie słuchała go, ocierając łzy płynące jej z oczu.

– Powiedzieli ci prawdę czy zełgali? Czy powiedzieli ci, że mój ojciec uciekł i zostawił mnie na ich łasce? A może poczęstowali cię jakąś bajeczką? Powiedzieli, że ich powstrzymał, zanim cokolwiek się stało?

– Powiedzieli mi jedynie, że twój ojciec został zabity podczas najazdu Mongołów na Moskwę, dwanaście lat temu. I powiedzieli, że zachował się jak bohater. – Rakoczy bardzo starannie dobierał słowa i trzymał się miejsca w nogach łoża. – Niewiele zresztą mówili mi o twoim ojcu. Był synem biednego szlachcica i nie miał majątku, jak zresztą pozostali członkowie tej gałęzi rodu. Masz więc tylko jednego stryja, bardzo starego, mieszkającego w posiadłości leżącej na głębokiej prowincji, który niewiele pozostawi swoim dzieciom, a tobie

nic zgoła. Twoja matka zaś żyje w moskiewskim domu Anastasija Szujskiego i na jego lasce. Współ z nią żyłaś w jego teremie. Czy to wszystko jest prawdą? – zapytał Rakoczy, zastanawiając się, czy przyczyną jej koszmarów był strach przed ubóstwem. Wydano ją za mąż za cudzoziemca. Nie miała krewnych, którzy mogliby się o nią zatroszczyć. Może bała się, że on ją porzuci?

Zacisnęła wargi, jej twarz stężała, a palce niczym szpony zacisnęły się na kołdrze.

– Jeżeli i ty chcesz kłamać, niech tak będzie.

Rakoczy potrząsnął głową i udał, że nie zauważa wyzwania w jej głosie.

– Kseniu, ale co w tym jest kłamstwem?

– Ty wiesz. – Podciągnęła jeszcze wyżej pościel, jakby chciała się w niej zagrzebać. – Widzę, że wiesz.

– Co jest kłamstwem? – powtórzył łagodnie.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, oboje usłyszeli pukanie do drzwi i głos Rothgera pytającego, czy może wejść.

– Panie, przyniosłem podgrzaną wypalankę. – Sługa trzymał przed sobą piękną tacę z laki, na której stał jeden złoty pucharek, otulony serwetą, żeby chronić dłonie Kseni. – Powiedziałem kucharce i piekarzowi, że to, co słyszeli, to były jęki wiatru. Wrócili do łóżek, nie zadając pytań. W taką noc jak ta wszystko można zrzucić na wiatr.

Przestrach Kseni jeszcze wzrósł, młoda żona odwróciła twarz.

Rakoczy widział to wszystko, ale skwitował to jednym zdaniem:

– Kseniu, mój sługa poda ci teraz gorący trunek. – Skinął głową Rothgerowi i odczekał chwilę, podczas gdy sługa wykonywał jego milczące polecenie.

– Lepiej będzie, jeśli ja podam pani puchar – odezwał się Rothger w znośnej, choć kiepsko akcentowanej ruszczyźnie. – To spotkanie pozostanie sekretem.

– Dziękuję – powiedziała Ksenia. Oddychała szybko, wyciągając dłoń i ujmując pucharek poprzez serwetę. Patrzyła na Rothgera, dopóki ten nie skłonił się jej, potem panu i wreszcie wyszedł. – W teremie może przebywać tylko mój mąż – wyszeptała po chwili.

Gdzieś w pobliżu kuchni o ścianę domu załomotała kolejna niedomknięta okiennica.

– Niewątpliwie jest to prawdą – odezwał się Rakoczy głosem doświadczonego dyplomaty rozmawiającego z jakimś ważnym dworakiem. – A raczej byłoby prawdą, gdyby w tym domu był terem. Ale oboje się zgodziliśmy, że go tu nie będzie. Po co tworzyć kobiece komnaty dla jednej kobiety i jej osobistych służek? Kto oprócz ciebie w tym domu ma decydować, co ci odpowiada? Powiedziałaś, że nie życzysz sobie żyć w izolacji z dwiema służebnymi i nie chcesz się zajmować szydełkowaniem, ale będziesz kontynuowała działalność dobroczynną, oddasz się też powinnościom religijnym. – Uśmiechnął się ze zrozumieniem. – Mówiłaś, że życie w teremie jest nudne.

– Bo jest – stwierdziła z emfazą. – Ale kobiety są tam... chronione. – Żeby uprzedzić dalsze pytania, łyknęła porcję gorącego trunku, mruganiem kwitując moc napitku.

– Kseniu, czy chciałabyś mieć osobistego strażnika? Przybocznego? – zapytał takim tonem, jakby chciał wiedzieć, co jego żona miałaby ochotę zjeść na obiad.

– Ja... – Opuściła wzrok. – To się nie godzi. A gdybyś dał mi strażnika... – powiedziała, wzywając na pomoc całą swoją dumę – inni odgadliby powód, ponieważ niektórzy się domyślają... i wszyscy by się dowiedzieli...

– Czego by się dowiedzieli? – zapytał Rakoczy, gdy Ksenia umilkła. Nie odpowiedziała.

– Jak mogliby się nie dowiedzieć? Mój ojciec podzieliłby moją hańbę. Anastasij wygnałby moją matkę z domu i nie mógłby postąpić

inaczej. Nie. Nie możesz mi przydać strażnika. – Po tym ostatnim stwierdzeniu niemal zuchwale wypła spory łyk trunku. – Powiedz mi, że tego nie zrobisz. Nie zniósłabym ujawnienia mojej hańby.

– Nie wiem o niczym, co by cię hańbiło. – Rakoczy wciąż siedział w nogach łoża. – Kseniu, przysięgam na zapomnianych bogów, żaden z twoich krewniaków nie powiedział mi niczego, co mogłoby cię zdyskredytować, poza tym, że sądzą, iż jesteś zbyt chuda i wyszłaś za mąż trochę za późno. I z rozkazu cara. O jakiej ty hańbie mówisz? Powiedz mi, a ja ci pomogę.

Oczy młodej żony pełne były bezsilnego gniewu.

– A niby dlaczego?

– Dlaczego chcę, żebyś mi powiedziała, czy dlaczego miałbym ci pomagać? – zapytał cicho uspokajającym tonem. – Na oba pytania jest jedna odpowiedź: jesteś moją żoną. Choć nigdy przedtem nie byłem żonaty, rozumiem moje obowiązki. Szanuję zobowiązania, Kseniu, nawet takie jak te.

– Wobec mnie nie masz żadnych – odpowiedziała ledwo słyszalnym głosem.

– I w tym, jak się obawiam, nie masz racji. – Odczekał chwilę, dopóki kolejny łyk trunku nie dodał jej odwagi i nie rozluźnił języka. – Kseniu, zapewniam cię, że cokolwiek zrobiłaś, dla mnie nie ma to znaczenia.

Zapadła chwila głębokiej ciszy: ucichła nawet okiennica – zamknięta albo uniesiona przez wiatr.

Ksenia dopiła trunek i drżącymi rękami oddała pucharek Rakoczemu.

– Mówią, że mój ojciec zginął, gdy Mongołowie wdarli się do naszego domu. Mówią, że stawiał im opór i że obronił... – Zabrakło jej słów.

– Tak mówią? – zapytał Rakoczy cicho i łagodnie. – A jaka jest

prawda?

Ksenia nie zdołała podnieść wzroku i spojrzeć mu w twarz.

– Uciekł – odpowiedziała drżącym głosem. – To nie miało znaczenia. Złapali go inni. Zabili go. Myślę, że słyszałam jego krzyki. Ale ich było ośmiu. Ze mną. – Usiłując powstrzymać łkania, zgięła się w pół.

Choć Rakoczy spodziewał się takiej lub podobnej odpowiedzi, wiadomość niemal go ogłuszyła: od opuszczenia Babilonu nie potrafił się pogodzić z ludzkim okrucieństwem i barbarzyństwem.

– Ośmiu. Ile miałaś lat?

– Jedenaście – wyznała, opanowawszy się na tyle, żeby nie płakać.

– A twoja matka?

– Była w ławrze Bożego Miłosierdzia, gdzie zamknęli wszystkie kobiety ciężarne i dzieci. Ten klasztor leży na wyspie, bronili go łucznicy. Ona... moja matka, była wtedy brzemienna, ale poroniła. – Uciekła wzrokiem w bok. – Bóg ją pokarał za mój grzech.

Tysiąc lat temu Rakoczy bez wahania potępiłby takie samooskarżenie. Teraz jednak przemówił, starannie dobierając słowa, by nie otwierać jej starych ran.

– Tak powiedziała?

– Tak, gdy modliłyśmy się za duszę mojego ojca. Powiedziała mi, że gdybym nie przyniosła jej wstydu, donosiłaby synka mojego ojca i dziecko mogłoby żyć bez piętna hańby. A tak wszystkie pięcioro jej dzieci nie żyje, zostałam tylko ja. Większość z nich nie przeżyła pierwszego roku. Matka mówi, że dane jej były ostrzeżenia, na które nie zwróciła uwagi, i teraz mój grzech plami i ją. Błagała Boga i Najświętszą Panienkę, żeby uchronili mnie od ponownego grzechu. – Teraz już oddychała szybko, ale bez strachu. – A ojciec Ilia wielokrotnie mnie ostrzegał, że ci, którzy zgrzeszyli choć jeden raz, skłonni są grzeszyć ponownie. Gdybym nie stała się przyczyną śmierci

mojego ojca...

Rakoczy nie mógł już dłużej wstrzymać sprzeciwu, ale odezwał się jak najbardziej racjonalnie i spokojnie:

– Nie przyczyniłaś się do śmierci swojego ojca. To sprawka Mongołów. Oni go zabili, nie ty.

Zaczęła protestować, żeby bronić nieżyjącego ojca, ale potem w jej oczach pojawiły się łzy.

– Zostawił mnie. – Jej cichy jęk był ostry i przenikliwy jak włoski sztylet; splotła dłonie tak mocno, że palce stały się biało-czerwone. – Mieliśmy przygotowany powóz; zamierzaliśmy uciec. Powiedział, że zaczeka w powozie... ale nie czekał. Widział, jak wdzierają się do domu... i mnie zostawił. – Teraz mówiła jeszcze ciszej. – Stchórzył. O mój Boże, mój Boże!

Większość służących uciekła. Nikt ich nie zatrzymywał. Mieli dzidy, topory i łuki. Zabili służącą, powiedzieli, że jest za stara.

– A ciebie zgwałcili, bo byłaś dzieckiem – stwierdził Rakoczy.

Ksenia się przeżegnała.

– To moja hańba.

– Nie, wcale nie – odparł Rakoczy. Pochylił się, żeby odstawić pucharek na podłogę obok łoża. – Kseniu, nie. Nie ma w tym twojej hańby. Zhańbili się ci, co cię zgwałcili, i ci, co do tego dopuścili, a także ci, co cię obarczyli brzemieniem nie twojej hańby.

Spojrzała na niego jak na szaleńca.

– Nie pojmujesz, co mi się stało? – Otuliła się jeszcze ciaśniej; nie mogła już powstrzymać łkania, całe jej ciało drżało wstrząsane dreszczami. – Tych ośmiu Mongołów. Brali mnie kolejno. Oni mnie...

– ...zgwałcili – stwierdził spokojnie Rakoczy.

Nie chciała nań spojrzeć.

– Nie powinnam była nigdy o tym mówić.

– Ze mną możesz mówić o wszystkim – zapewnił ją hrabia.

– Nie. Nie. Muszę zachować milczenie. Nikt nie może się o tym dowiedzieć. Nikt i nigdy. – Wzdrygnęła się, gdy jakiś niesiony na skrzydłach wichury przedmiot uderzył o ścianę domu, a potem z klekotem się osunął. – Nikt nie może się dowiedzieć. Nikt.

– Ale ty wiesz, Kseniu Jewgienijewna – rzekł Rakoczy, patrząc na nią ciemnymi, pełnymi współczucia oczami.

Przeżegnała się.

– Muszę o tym zapomnieć. Muszę się pozbyć tych wspomnień.

Rakoczy przez chwilę patrzył na nią uważnie, a potem powiedział, nie odrywając spojrzenia od jej twarzy:

– Do tej pory nie mogłaś, a członkowie twojej rodziny nie pozwolili ci na to, bo zależy im na tym, żebyś czuła się zhańbiona i żebyś znosiła to wśród nich.

– Zostałam skażona – wyszeptała.

– Nie, zostałam zgwałcona – powiedział. – Może tak to wygląda w oczach twojej rodziny, ale ja tak nie uważam. Widziałem zbyt wiele kobiet, które musiały dźwigać brzemie podobne twojemu: Kseniu, jesteś niewinna. – Starannie ukrył gniew, jaki w nim zapłonął przeciwko Szujskim i matce swojej żony za to, co zrobili, by Ksenia nie uznała, że jest skierowany przeciwko niej.

Łkając, potrząsała przecząco głową.

– Chcieli mi oszczędzić wielkiego wstydu. – Bez powodzenia usiłowała otrzeć i powstrzymać łzy. – Nie powinnam była ci mówić. Nie trzeba było...

Nie mógł pozwolić na to, żeby dłużej tak myślała.

– Kseniu, możesz mi mówić o wszystkim, o czym zechcesz. Nie myśl o tym, że mnie obrazisz, napełnisz niesmakiem lub zaskoczysz.

– Ależ tak zrobiłam – upierała się. – Moi krewniacy mnie nieustannie ostrzegali: nikt nie może się o tym dowiedzieć, a ja muszę zapomnieć. – Powtarzała to jak litanie. – Tego nie wolno ujawnić i nie

może to stać się przedmiotem rozmów. Trzeba zapomnieć. Każdy musi zapomnieć.

– To dlaczego ci o tym nieustannie przypominali i jednocześnie żądali, żebyś zapomniała? – Patrząc na jej mokrą od łez, ściągniętą bólem twarz, czuł znacznie większą litość niż gniew. – Kseniu, Kseniu... to co ci zrobiono – co ci zrobili Mongołowie i twoi krewniacy – jest podwójną zdradą. Cierpiałas po dwakroć. Zmuszanie cię do znoszenia brzemienia, z którym nie umiałaś sobie poradzić, jest oburzające.

Spojrzała nań oczami pełnymi łez.

– Oni mnie ochraniali... – powiedziała niezbyt pewnym głosem.

– Nie. Nie ochronił cię twój ojciec i nie ochronili cię członkowie twojej rodziny. – Rakoczy postarał się, żeby nie zabrzmiało to jak oskarżenie. – A teraz wyrzekli się prawa do opieki nad tobą. Ale ja, jeżeli zechcesz mi przyznać ten wielki przywilej, będę cię chronił.

– Przywilej? – zapytała, jakby nie pojmując znaczenia tego słowa.

– Owszem – przyznał natychmiast, rozmyślnie uspokajając siebie samego i dając jej okazję do odpowiedzi. W chwilę później, gdy Ksenia podjęła kolejną próbę otarcia łez, zapytał: – Kseniu, czy zechcesz mi podać rękę?

– Rękę? – powtórzyła, a potem znów przybrała postawę obronną. – Jest przecież twoja, możesz ją brać, kiedy zechcesz, mężu.

Rakoczy zaprzeczył szybkim ruchem głowy.

– Nie o to cię pytałem, Kseniu Jewgienijewna. Pytałem, czy zechcesz mi podać rękę. – Wyciągnął swoją dłoń wnętrzem do góry i położył ją na pościeli.

– Jeżeli to... – zaczęła, ale Rakoczy natychmiast jej przerwał.

– Rad będę, jeżeli zechcesz ująć moją dłoń. Jeżeli to ma być dla ciebie bolesnym obowiązkiem, lepiej będzie, gdy oboje sobie tego oszczędzimy – powiedział głębokim, ciepłym głosem. Nie drgnął

nawet, a spojrzenie swoich ciemnych oczu przeniósł z jej twarzy na dłoń.

Usłyszawszy nagły łoskot i tupot kopyt dobiegające od strony stajen, Ksenia zeszywniała, ale czerwone plamy zaczęły powoli znikać z jej policzków. Przez jęki wichury przebił się senny i uspokajający głos któregoś ze stajennych i przestraszony zniknął z oczu młodej żony. Zarumieniła się.

– Jestem bardzo głupia. Wybacz mi.

Rakoczy nie zmienił postawy.

– Nie mam ci czego wybaczać.

– Bóg mi nie wybaczył. Tak mówi ojciec Ilia.

Łatwo byłoby Rakoczemu przekląć księdza albo zacytować wersety Pisma, które przeczyłyby jego wypowiedziom, ale był obcym, cudzoziemcem sprzeciwiającym się jej głębokim wierzeniom. Nie cofając dłoni, powiedział więc tylko:

– Kseniu Jewgienijewna, zawrzyjmy układ. – Zauważył, że drgnęła.

– Ani teraz, ani nigdy w przyszłości nie musisz się obawiać moich kaprysów i nie musisz spełniać moich pragnień.

– A niby do czego potrzebna ci moja zgoda? – zapytała z zaciętą nagłą miną. – Możesz korzystać z mojego ciała do płodzenia swoich dzieci. Twoja powściągliwość nie potrwa długo i wtedy...

Spojrzał jej w oczy tym razem już nie łagodnie.

– Nie będę korzystał z twojego ciała. Będę cię gościł, karmił i ubierał, dopóki nie zechcesz wyrazić zgody na coś więcej. – Uciekła wzrokiem w bok, on jednak nie przerywał: – Jeżeli do tego dojdzie, powiem ci, czego się możesz po mnie spodziewać. – Mówił absolutnie szczerze i pocieszał się tylko w duchu, że jest mało prawdopodobne, by Ksenia kiedykolwiek zapragnęła dowiedzieć się czegoś więcej o jego naturze, niż wiedziała teraz.

Młoda żona zrobiła, co mogła, żeby ukryć ogarniające ją poczucie

ulgi.

– Będę się za ciebie modliła – powiedziała cicho i ze spokojem w głosie.

Już miał się uklonić i wyjść, gdy przyszło mu do głowy, że mógłby raz jeszcze zaryzykować.

– Wdzięczny ci będę za modlitwy, ale wolałbym, żebyś zechciała ze mną czasem porozmawiać.

Zaskoczył ją tak, że spojrzała nań jeszcze raz.

– Porozmawiać?

– Tak – potwierdził łagodnie. – Jesteś tu sama, masz tylko swoje służące. – Mówiłaś już, że terem jest okropnie nudny. Jestem cudzoziemcem i niewiele wiem o Rusi, oprócz tego, czego musiałem się dowiedzieć, by wykonać polecenia króla Polski. Przydałaby mi się znacznie bardziej rozległa wiedza. – Mówił spokojnie, lekkim tonem, jakby rozmawiali o posiłku. – Twoje dobroczynne działania musiały ci ukazać oblicza Moskwy, o jakich ogólnie nie wiedzą nic ci, co tu żyją. Dlatego proszę o możliwość rozmów z tobą. Oboje poznamy się lepiej, a zyskana od ciebie wiedza pomoże mi lepiej wypełnić moją misję.

– Myślę... że to możliwe – powiedziała, patrząc nieco podejrzliwie, ale już z uśmiechem na twarzy.

– To dobrze – odparł Rakoczy, wkładając w swój głos najlepszą, na jaką umiał się zdobyć, kombinację zapału i powściągliwości. Nie zamierzał jej przestraszyć i nie był pewien, czy mu zaufa. Po raz kolejny skłonił się na europejską modę i skierował ku drzwiom.

Ksenia cichutko odchrząknęła.

– Nie wiem, jak mam się do ciebie zwracać – wyznała, gdy spojrzał w jej stronę.

– Mam... mam na imię Ferenc. A mój ojciec... – Urwał, przypominając sobie ojca, którego nazywano królem, bo rządził krajem, do którego przemierzenia trzeba było pięciu letnich dni i dwa

razy tyle chyżych i wytrzymałych koni. – Myślę, że można by nazywać go Nemo – stwierdził, zachowując pozornie obojętną twarz: odpowiednie byłyby i greckie, i łacińskie znaczenie tego słowa, choć ojciec nigdy nie poznał żadnego z tych języków. W grece *nemo* znaczy “z gaju”, ojciec zaś pośrodku lata w świętym gaju poznał krew swego boga. Po łacinie *nemo* znaczy “nikt”.

– Ferenc Nemowicz – stwierdziła nieśmiało, ale zdradzając pierwsze oznaki spokoju i ulgi.

– Owszem, Kseniu Jewgienijewna? – Przemówił teraz rozmyślnie lekkim tonem i z przyjemnością powitał pierwsze delikatne przejawy przychylności żony.

– Czemu cię ciekawi moja działalność dobroczynna? Żle jest chełpić się takimi sprawami. – Nie trzymała już kołdry przy szyi, ale jej palce, czujne niczym wartownicy, wygładzały ją niespokojnie.

– Jestem tu obcy – odpowiedział bez uników. – Nie mam zbyt wielu możliwości poznania tego miejsca i tego kraju. Słudzy niczego mi nie mówią i podejrzewam, że o wszystkim donoszą Skuratowowi. Jeżeli Borys nie zechce obdarzyć mnie swoimi względami, moja sytuacja stanie się bardziej niż niezręczna. – Wrócił na miejsce w nogach łóżka. – A moim zadaniem jest dowiedzieć się jak najwięcej o Moskwie, nie tylko dla króla Stefana, ale i dla tych, którzy chcą poznać Ruś. Mówi się, że obecnie każdy, kto chce pertraktować z Anglią, musi być gotów do pertraktacji z Rusią. Gdy moje poselstwo wróci do Polski – nie musisz się bać tego dnia, Kseniu – częścią tego, co jak każdy wygnaniec zabiorę ze sobą w świat, będzie moja wiedza o Rusi. – Uśmiechnął się lekko.

– Kiedy odejdziesz? – zapytała, nie patrząc na niego. – Kiedy opuścisz Ruś?

– Nie wiem – odpowiedział szczerze. – Służę dwu wiadcom, carowi Iwanowi i królowi Stefanowi. Każdy z nich może mi rozkazywać, a ja

z całym szacunkiem muszę być posłuszny ich woli.

Ksenia dwakroć skinęła głową.

– Rozumiem – powiedziała. – Bardzo dobrze.

Nie mógł zobaczyć jej odwróconej twarzy: nie sposób było odczytać jej myśli i obaw.

– Będiesz ze mną rozmawiać? – zapytał łagodnie, jakby byli starymi przyjaciółmi.

Nie odpowiedziała.

Napór wichury sprawił, że kalenica dachu jednostajnie skrzypiała. Dzwon alarmowy na dziedzińcu, pchnięty czterema potężnymi podmuchami rozjęczał się tak głośno, że usłyszano go w domu.

Ksenia potoczyła wokół bojaźliwym spojrzeniem i sięgnąwszy na oślep, ujęła dłoń Rakoczego.

Rakoczy spojrzał na podaną mu rękę i delikatnie zamknął na niej smukłe palce, nie naciskając ani nie wiążąc dłoni żony. Zmienił tylko pozycję, sadowiąc się nieco wygodniej. Przez resztę tej wietrznej nocy pozostali razem, tocząc powolną, niespieszną rozmowę.

Hrabia Dariusz Zary do Ferenca Rakoczego, hrabiego Saint-Germain:

Czcigodny cudzoziemcze, wysłanniku polskiego króla, nasze wyczekiwanie dobiega wreszcie końca. Rozkazano nam wyjechać pod koniec tygodnia z eskortą tylko do Wiaźmy, ponieważ na wschód od Moskwy toczą się jakieś poważne walki.

Ojciec Pogner polecił nam nie zabierać żadnych Twoich listów ani raportów, ale winien jestem, posłuszeństwo nie jemu, tylko królowi Stefanowi, i z tego powodu wypełnię wolę mojego króla. Ostrzegam Cię, panie, że ten klecha postanowił Cię zdyskredytować i zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby doprowadzić do Twego upadku.

Gdyby nie to, że jesteś wybrańcem mojego króla, nie stawałbym po Twojej stronie w sporze z tym jezuitą. Król Stefan darzy Cię jednak niezachwianym zaufaniem i obarczył Cię misją, którą nie szczędząc wysiłków, starasz się wypełnić. Postępujesz honorowo, jakże więc moglibyśmy odmówić Ci pomocy, nie narażając honoru własnego?

Ofiaruję Ci zatem, panie, ostatnią okazję do powierzenia nam swoich listów, pism i raportów. Daję szlacheckie słowo, że zrobimy wszystko, na co pozwolą nam Niebiosa, żeby dostarczyć Tve słowa Stefanowi Batoremu. Mamy trzy skórzane sakwy, każda z podwójnym zamknięciem i pasami zabezpieczającymi zawartość. Twoim pismom nie grozi zatonięcie ani porwanie ich przez wiatr, czym niektórzy tłumaczą swoją nieudolność w dostarczaniu listów. Możesz je nappełnić raportami albo czymkolwiek, co uznasz za godne dostarczenia i co z powodzeniem przedstawi Twoje tutejsze dokonania.

Muszę Cię, panie, poinformować, że ojciec Pogner napisał list będący donosem w sprawie Twego małżeństwa i motywów, jakie Cię skłoniły do jego zawarcia. Ponieważ nie podzielam jego opinii, sam opowiem królowi o wszystkim, co mi w tej sprawie wiadomo. Jeżeli król Stefan skaże Cię na wygnanie, gdy będziesz przebywał w Moskwie, możesz mieć trudności z powrotem do Polski, jak długo pozostanie on na tronie. Gdy stracisz możliwość powrotu do Polski, musisz spróbować przedostać się do Turcji, Indii, Chin lub przepłynąć przez Morze Białe. Zrobię, co w mojej mocy, żeby oszczędzić Ci tych trudów.

Niech Twój sługa przyniesie Twoją przesyłkę do mojego domu w dzielnicy piekarzy do jutrzejszego wieczoru. Wiesz, gdzie nas zakwaterowano. Gromadzę jeszcze teraz wszystko, co będzie mi potrzebne w podróży.

Z wdzięcznością przyjmuję Twoje dodatkowe konie i muły. Każda czwórka znaczy różnicę pomiędzy mordęgą a podróżą trudną, lecz znośną. Gdybyś wśród licznych Twoich talentów znalazł jeszcze umiejętność

topienia śniegu i zestalania błota, moglibyśmy pognać z wiatrem w zawody jak w lipcu zamiast marcu. Nie trzeba nam dodatkowych powozów. Mamy wozy odpowiednie na tę podróż, a idąc za Twoją radą, upewniliśmy się, że wszystkie kola można będzie wymieniać. Mamy o połowę więcej kół i miejsca na ich przechowywanie.

Z chęcią przejmemy też trzos ze złotem. Przypuszczam, że w przypadku złota dobrej próby nie jest ważne, czyją podobiznę na nim wybito. Człek taki jak ja nie bez wewnętrznych oporów przyjmuje pieniądze, w taki więc oto sposób wyrażę moją wdzięczność: gdy wrócisz do Polski, będzie na Ciebie czekał zwrot całej kwoty powiększanej o trzecią część z upływem kolejnego roku. W ten sposób, jeżeli nie zwycięży król Stefan albo jeżeli kolejny król nie zechce honorować zobowiązań Stefana, nie pozostaniesz bez należnej rekompensaty. Polska miała niełatwą historię, my jednak, jej szlachta, cenimy sobie jej honor i świętość sprawy. Dopóki żyję, służąc memu krajowi, nie poniesiesz strat, a gdy Bóg każe mi lec w ziemi, polecę mojemu synowi dotrzymać zobowiązań wobec Ciebie.

Moim gorącym życzeniem jest ujrzeć znów żonę i dzieci. O nich właśnie będę myślał, gdy będziemy podróżowali przez te niekończące się mroki i chłód. Chcę, żeby moja żona powiła jeszcze jednego syna, a potem kolejnego. Nie sprowadzę ich tu, do Moskwy. Zabawy żołnierką nie owocują dziećmi.

Z powrotem listy zawiezie jeden z łuczników – to zostało już załatwione. Będę Cię, panie, powiadamiał o wszystkim, co się wydarzy do czasu, gdy dotrzemy do Wiaźmy. Postaram się jednak pisać o rzeczach ogólnych i mało ważnych, ponieważ jest pewne, że ktoś to będzie czytał. Liczni bojarzy wiedzą o tym i tak właśnie czynią. Jeżeli będzie jakiś powód do uznania, że zmieniło się coś ważnego albo że ty powinienes okazać dość mądrości, żeby zmienić ustalenia, powiadomię Cię, że pola są pełne kwiatów, a plony zapowiadają się dobrze. Jeżeli zagrozi nam niebezpieczeństwo, napiszę, że są dowody na powodzie. Nie zapomnij tych

słów, ponieważ będą jedynym sposobem, w jaki zdołam Cię chronić, co obiecałem królowi Stefanowi.

Byłeś towarzyszem, podróży, który nie uskarżał się na jej trudy – co jest rzadką cechą u ludzi nienawykłych do trudów wojennych kampanii – i postarałeś się nas uchronić od licznych nieznanym nam niebezpieczeństw. Pomagałeś i opiekowałeś się rannymi i chorymi. Dziękuję Bogu, że obdarzył Cię przenikliwością, byś mógł to robić. Byłeś tu bardzo pomocny i bez Twojej pomocy, znajomości alchemii i czarów car szybko by się nas pozbył. Nie podzielam żywionej przez ojca Pognera pewności, że jesteś, panie, tylko zręcznym intrygantem, ale to może dlatego, iż nie przejmuję się głupstwami tak jak on.

Niech Bóg czuwa nad Tobą w tym pełnym utrapień kraju. Niech obdarzy Cię spokojem i ześle blaski aniołów, by Cię prowadziły w mrokach najgłębszych nocy. Niech Cię chroni i osłania, gdy car pogrążony jest w najgłębszej rozpacz, i niech Ci przyjdzie w sukurs w ostatecznej potrzebie.

Hrabia D. 'Lary przedstawiciel króla Stefana Batorego na Rusi

. 4 .

Podczas pierwszych trzech dni modlący się o życie cara księża wypuścili nad Kremlem setki białych gołębi. Ptaki były wszędzie i modlono się do nich jak do ikon, w nadziei, że za ich pośrednictwem modły dotrą do Ducha Świętego. Nieustannie odśpiewywano wszystkie skomponowane przez Iwana hymny, których bogata, dwunastotonowa skala miała przypominać Bogu o carskiej skrusze. Podmuchy zimnego, marcowego wiatru szybko roznosiły precz i tłumiły ostre dźwięki pieśni.

Miniona noc była dla Iwana bardzo męcząca i gdy się skończyła, miał ziemistą twarz, przyspieszony, niezdrowy oddech i dłonie tak osłabione i zmizerowane, że był niemal niezdolny ująć w nie klejnoty, które miały mu dodać sił i odwagi. W wieku lat pięćdziesięciu trzech wyglądał na siedemdziesięcioletniego starca. Ochrypł od wrzasków i bił od niego smród. Wydał rozkaz, żeby nikt nie zbliżał się do niego na odległość mniejszą niż siedem kroków.

– Ojczulku – odezwał się Borys Godunow, który zjawił się późnym popołudniem i natychmiast padł przed Iwanem plackiem na posadzkę skarbcza w zbrojowni. – Wezwijmy twoich medyków. I metropolitę, który się za ciebie pomodli.

– Czarownicy powiedzieli, że mnie ochronią – oznajmił car z naciskiem w głosie. – Są bardzo potężni, ale dziś mamy siedemnastego. Ich prorocstwo było bardzo wyraziste i powtórzyli je więcej niż jeden raz. Dziś jest ostatni dzień. – Car przycisnął do piersi ogromny rubin, gniotąc go tak, jakby chciał, żeby wielki, czerwony klejnot przeniknął w jego pierś i zastąpił mu serce.

– Carze, uwierzyć w to, znaczy zaprzeczyć bożemu miłosierdziu –

stwierdził Borys, starannie dobierając słowa, bo nie miał pewności, jak daleko posunęło się carskie szaleństwo. Podczas minionego tygodnia car stawał się bardziej nieprzewidywalny, a jego nastroje zmieniały się z coraz mniej racjonalnych powodów.

Car wbił ciężkie spojrzenie w synowskiego swaka.

– Bóg wysłuchuje księży, którzy chcą mnie widzieć na marach. Tak! Błagają Boga, żeby mnie zniszczył. Usłyszał, że obiecałem metropolicie uczynić go patriarchą, i jeszcze nie przyznałem mu tego tytułu, więc namówił Boga, żeby mnie opuścił. Bóg nie słyszy już moich modłów o zmiłowanie, toną one w kleszych błaganiach!

Borys nie wstał z ziemi i nie sprzeciwił się temu, co usłyszał z carskich ust. Milcząc, poczekał, aż Iwan odłoży rubin i weźmie w dłonie medalion z jaspisu; car przez chwilę obserwował grę światła na powierzchni klejnotu. Gdy książę upewnił się, że władca poświęcił myśli swojemu skarbowi, powiedział:

– Jest tu twój wierny cudzoziemiec, Rakoczy Saint-Germain. Przyniósł ci klejnot.

– Klejnot. Dla mojego zbawienia i odkupienia – stwierdził Iwan nie bez nadziei w głosie. – Nie może być inaczej!

Wykorzystując carskie ożywienie, Borys ciągnął:

– Nie wiem, do czego służyć ma ten klejnot. Wiem, że Rakoczy prosił, żebym ci go teraz zaprezentował. – Liczył na to, że dwaj strzegący skarbcza gwardziści zapamiętają jego słowa, jeśli kiedykolwiek zajdzie potrzeba wyjaśnienia charakteru ostatniego daru. Jak każdy Tatar czy Rusin wiedział, że niektóre spiski wymagają wielu lat cierpliwości, i nie chciał, żeby ktokoś kiedykolwiek z nimi go łączył. Jeżeli Rakoczy – jak wierzyli liczni dworzanie – istotnie był trucicielem wysłanym do Iwana przez Batorego, teraz nadarzała się idealna okazja do zabójstwa i skrytej ucieczki; Borys, choć cenił erudycję Rakoczego i jego bystry, ironiczny umysł, nie chciał zostać

uznany za jego sojusznika: wynikiem byłaby niełaska i śmierć.

– Jeśli to dobry klejnot, przyjmę go. Moc wszystkich tych kamieni mogłaby zanieść człowieka do raju, gdyby był święty i niewinny. Jeżeli to wrogi mi, zły kamień, każę go wychłostać najcięższymi knutami, aż szpik tryśnie mu z kości – stwierdził Iwan, pieszcząc palcami garście nieoszlifowanych szmaragdów, przesypując je i podejmując ponownie. – Powiedz mu to i jeżeli zechce wejść, raczę go przyjąć. Może.

Borys westchnął, wstając z posadzki. Miał ochotę otrzepać z kurzu wyszywany złotem kaftan, ale to mogłoby obrazić cara sugestią, że książę podejrzewa Iwana o rozsiewanie zła, co miałyby szybkie i nieprzyjemne konsekwencje.

– Powiem mu, Ojczulku.

Iwan zbył go machnięciem dłoni, większą uwagę kierując na różowozielony turmalin.

Tym razem Rakoczy oblekł się cały w czerń: miał na sobie czarny dolman, mentyk oraz czarne spodnie i buty. Jego pectorał połyskiwał, a rubinowy sygnet na dłoni rozjaśniał mrok ubioru.

– Co chcesz, żebym powiedział? – zapytał, rezygnując z wyszukanych form wypowiedzi i zwykle demonstrowanej na dworze wytworności.

Borys rozłożył dłonie w geście bezradności.

– Nie wiem, co ci powiedzieć. Jeżeli uzna, że kamień jest dobry, możesz otrzymać nagrodę, choć nie ryzykowałbym zgadywania jaką. Jeżeli uzna, że kamień jest zły, zostaniesz zachłostany na śmierć. – Książę opuścił spojrzenie i wpatrzył się w czubki swoich butów.

– Co więc mi radzisz? – zapytał Rakoczy, nie przejmując się nowinami.

– Ja? – westchnął Borys. – Nie wiem. Patrząc na niego, nie potrafię już przewidzieć, w jakim kierunku rozwinie się jego szaleństwo.

– Rozumiem – odpowiedział Rakoczy. – A więc wszystko na mojej głowie. – Ruszył w głąb wąskiego korytarza strzeżonego przez dwunastu strażników, a potem odwrócił się na pięcie i wrócił do miejsca, gdzie zatrzymał się Borys. – Lepiej zaprowadź mnie do niego... Jeżeli nie pokażę mu klejnotu, może uznać, że nie jestem godzien zaufania i... któż zdoła odgadnąć, co zrobi...

– Możesz uciec – podsunął Borys, parskając niewesołym śmiechem.

– Oczywiście – zgodził się Rakoczy z udaną jowialnością; następne jego słowa były jednak pełne goryczy: – Ale dokąd i jak? Bez eskorty? Bez pozwolenia? Po oblodzonych drogach pełnych błocka w miejscach, gdzie lód ustąpił? I dokąd miałbym się udać? Dróg do Polski strzegą rusczy żołnierze. Jeżeli ruszę na południe, ku Morzu Czarnemu, złapią mnie Kozacy i zatrzymają dla okupu albo sprzedadzą Turkom. Drogi na północ są zamknięte z powodu zalegających tam śniegów, a rzeki i zatoki są zamrożone. Na wschodzie leżą dzikie bezdroża i żyją nieznane ludy. Spotkałem dwu Samojedów z Syberii, ale nie znam żadnych innych. – Uśmiechnął się nikło. – I mam żonę, którą przysięgałem chronić. Nie mogę jej porzucić i nie zabiorę ze sobą w miejsca, do których ty nie chciałbyś się zapaść z bitnym i doświadczonym wojskiem.

Borys pochylił głowę.

– Masz pewnie rację – odparł z żalem na twarzy. – A jednak mogłoby... – Urwał, nie znajdując słów otuchy.

– Nie każmy carowi czekać – powiedział Rakoczy, zamykając sprawę. – Zaanonsuj mnie, a potem, jeżeli zechcesz, odejdz.

Borys potrząsnął głową.

– Nie. Zostanę z tobą. – Dochodzili już niemal do skarbcza. – Gdy będziesz z carem, możesz się natknąć na Nikitę Romanowicza. Iwan chce ustanowić Nikitę opiekunem carewicza Fiodora, a ja mam mu w tym względzie dawać wskazówki.

– Taki podział władzy może być niewygodny i niezręczny – podsunął Rakoczy, zatrzymując się przed drzwiami skarbcza.

– Podejrzewam, że Iwan Wasiljewicz sądzi, iż spiskowcy będą mieli większe trudności z obaleniem Fiodora, gdy będzie pod opieką dwu rodów. – Po tym krótkim wyjaśnieniu Borys umilkł wymownie.

Rakoczy kiwnął głową.

– Od jak dawna car hołubi ten cenny pomysł?

– Od zbyt dawna, godny wygnańcze. Nie zmienił postanowienia od chwili, gdy wpadł na ten pomysł jesienią minionego roku. – Borys splótł silne palce. – A ten, kto o tym mówi, jest uznawany za zazdrośnika i zdrajcę.

Rakoczy chciałby zadać Borysowi wiele pytań. Czy książę podejrzewa zdradę? Gdzie? Kto miałby zdradzić? Czy Fiodorowi grozi niebezpieczeństwo? Czy ktokolwiek z nich jest bezpieczny? Musiał jednak odłożyć je na potem. Na razie trzeba było stawić czoło Iwanowi. Wyprostował ramiona i podniósł głowę.

– No dobrze, kniaziu. Otwórz drzwi.

Borys kiwnął głową i rozsunął skrzydła obitych żelazem drzwi, wskazując znajdujące się za nimi ikony, żeby Rakoczy odpowiednio się przeżegnał.

– Ojczulku, przybył twój wierny sługa, Transylwańczyk będący twoim alchemikiem i doradcą.

Iwan, trzymając w jednej dłoni dwa sznury niedawno wydobytych z morza pereł, opierał plecy o wielką, zdobioną lapislazuli skrzynię oprawioną także w agaty i turkusy. Drugą ręką obejmował dwunasto albo trzynastowieczną ikonę długą jak jego przedramię, emaliowaną i zdobioną topazami i diamentami.

– To apostoł Bartłomiej. – Car uniósł ikonę, ale szybko ją opuścił, bo była dość ciężka. – Modliłem się do niego i prosiłem o wstawiennictwo. Mówi się, że był człowiekiem łagodnym, niewinnym

i nigdy nie uczynił nic złego. Próbowałem mu powiedzieć, że nie chciałem postępować niegodnie, ale na świecie jest za wiele zła, wielkiego zła i najbardziej prawych, sprawiedliwych władców często otaczają niebezpieczni ludzie. Choć dobry człowiek nieraz musi się wzdragać, trzeba mu pełnić powinność i... – Car urwał i spojrzał na Rakoczego nieco przytępionym wzrokiem, jakby był lekko pijany. – Masz dla mnie klejnot?

– Owszem, wielki carze – odparł Rakoczy, opadając na jedno kolano.

– Jeżeli jest w nim coś złego, odpowiesz mi za to – ostrzegł go Iwan, wbijając weń spojrzenie nabiegłych krwią oczu.

– Wielki carze, jeżeli jest w nim coś złego, chętnie zdam się na twój sąd. – Rakoczy sięgnął do obszernego rękawa mentyku i wyjął niewielką, obitą wspaniałym perskim jedwabiem szkatułkę, którą podał Iwanowi.

– Nie. Nie. Nie podawaj mi jej, cudzoziemcze. Wiem, co o was wszystkich mówią, że jesteście w truciznach bieglejsi od Italczyków. Iak więc otwórz ją i opuść do niej twarz, żeby odetchnąć trucizną i zebrać jak owada lub demona. – Iwan wyrzucił z siebie polecenia tak ostro i twardo, jak przed wielu laty, gdy wydawał swoim wojskom rozkaz szturmowania Kazania.

– Jeżeli taka jest twoja wola... – powiedział Rakoczy, otwierając szkatułkę i niemal przebijając ją na wylot nosem. Potem spojrzał na cara. – Nic mnie nie ugryzło, wielki carze, i jeszcze oddycham. W tej szkatułce jest jedwab i ametyst ciemny jak węgierskie wino i równie potężny. Tylko to i nic więcej. – Szybko podał carowi szkatułkę. – Klejnot jest większy od dziecięcej piastki. – Wytapiając ostatnią partię kamieni, zrobił, co mógł, żeby były jak największe. Z wykonanych ostatnio dziewięciu ten był najbardziej okazały, czysty, regularny w kształcie i bez skazy, płonął intensywną barwą i grał wewnętrznym

blaskiem silniej niż krople rosy; kamień był dostatecznie wielki, żeby zrobić wrażenie nawet na Iwanie. – Oto mój dar dla ciebie, wielki carze. Jest to też dar polskiego króla, który pragnie ci okazać szacunek i podziw.

Iwan opornie wziął szkatułkę i podejrzliwie ją zbadał. Potem podniósł ją, żeby zobaczyć dno. Następnie powiódł palcem po krawędziach, jakby szukał ukrytych zadziórów, kolców lub tnących drutów. Wreszcie zajrzał do środka. Jego wynędzniała twarz przybrała dziwny wyraz i car wydał ochrypły okrzyk.

W drzwiach natychmiast pojawili się strażnicy.

– Carze! – krzyknęli chóralnie, drapiąc posadzkę końcami pik.

– Precz! – zagrzmał Iwan, patrząc, jak bezładnie się wycofują.

– Co mamy robić? – zapytał ostatni Borysa.

– Zmiatajcie stąd – odpowiedział książ, wzruszając ramionami. – Ale już!

Strażnik się wyprostował, warknął rozkaz i wszyscy czterej szybko opuścili skarbiec, delikatnie zamykając za sobą drzwi.

Iwan z największą troską wyjął klejnot ze szkatułki i delikatnie ujął go w dłonie. A potem zaczął cicho nucić jeden ze skom ponowanych przez siebie hymnów do Najświętszej Pani: *Raduj się, o Słodka Pani, Bóg jest z Tobą i obdarza nas laskami*. Pieścił klejnot palcami.

– Myślę, że to dusza kobiety. Tak, tak być musi, bo jest w nim światłość i mrok, światłość i mrok – dodał, nie odrywając wzroku od kamienia. – Delikatny i czuły, a jednak żaden mąż nie zdoła w nim czytać, chyba że jest dzieckiem. Oprócz tego jest czystością, tajemnicą i grzechem. Godzien jest największej korony. – Pocałował klejnot, a potem polizał, raz i drugi.

Rakoczy ani drgnął. Bał się ściągnąć na siebie uwagę cara, który zatopił się w kontemplowaniu klejnotu. Zastanawiał się, ile jeszcze potrwa, zanim uzyska pozwolenie oderwania kolana od posadzki.

Niedługo potem Iwan wstał i zaczął dreptać po komnacie, tak jakby się bał nadepnąć na coś paskudnego. Nie zwracał uwagi na Borysa i zachowywał się tak, jakby Rakoczego w skarbcu nie było. Wykonując jeden powolny, jakby taneczny obrót, opuścił na ziemię ofiarowany mu ametyst, który leżał w pewnej odległości od pozostałych skarbów. Iwan nadal nie zwracał uwagi na Borysa i Saint-Germaina.

I nagle drzwi otworzyły się z hukiem: do komnaty wszedł Nikita Romanowicz; książę przeżegnał się przed ikonami, a potem tak żwawo padł plackiem, że Rakoczy usłyszał szcęk uderzających o siebie wewnątrz jego pasa widelca i łyżki. Tłuste cielsko przybysza zamknęło drogę ku drzwiom.

– Ojczulku, moskiewski lud modli się do Boga o twoje wyzdrowienie – odezwał się Nikita Romanowicz. – Zebrali się w soborze Błagowieszczeńskim, a jest ich tylu, że z trudem mieszczą się w środku. Zeszli się tam wszyscy miejscy kupcy, by błagać Najświętszą Panią o to, by poparła ich modły. Księża o zmierzchu przez godzinę będą bić w dzwony, żeby Bóg nakłonił ucha. – Pod koniec przemowy jakby zabrakło mu tchu, ale dopiął swego: Iwan przystanął i popatrzył na przybysza.

– Jesteś bardzo pracowity, Nikito Romanowiczu – stwierdził car, zwracając się do nowo przybyłego. – Będziesz uczył mojego syna, co ma robić, żeby sprostać swoim powinnościom. Musisz mu pokazać, jak mężczyzna idzie przez świat.

Ponieważ Iwan nie pozwolił mu wstać, Nikita został na miejscu i lekko uderzył czołem o posadzkę.

– Niech Bóg będzie mi przewodnikiem, Ojczulku.

– Tak, tak. – Iwan ponownie ruszył dookoła komnaty, pozwalając Nikicie leżeć plackiem, a Rakoczemu klęczeć na jednym kolanie. – Najgorsze jest czekanie. Ale szamani musieli mieć rację. Jeżeli okaże się, że nie, każę ich wychłostać i zostawić w śniegu, gdzie zanim

poumierają, znajdą ich wilki – stwierdził z nagłym przypiływem okrucieństwa. – Każdy, kto sprawił mi ból, za to co mi zrobił, będzie cierpiał dziesięć razy bardziej. Dziesięć razy. Tysiąc razy wytracę ich rodziny, żeby wyrwać zło z korzeniami! – Car pochylił się ku Borysowi i nagle chwycił się oburącz za głowę, krzycząc coś niezrozumiale.

Borys ruszył w jego stronę, ale zatrzymał się, bo nie miał pojęcia, czy car przyjmie pomoc z jego ręki.

– Ojczulku, na miłość boską, proszę, pozwól mi sobie pomóc.

Iwan odepchnął go.

– Jarosław! Sprowadźcie Jarosława.

Leżący na ziemi Nikita zaklął cicho.

Borys został na swoim miejscu.

– Niestety, Ojczulku, zapomniałeś? Jarosław... miał pecha i spadł z głównych schodów Granowitoj Fałaty. Zapadł w sen, z którego nie obudził się przez cztery dni, choć bardzo się starano przywrócić mu przytomność. Po czterech dniach umarł, przekraczając we śnie próg śmierci tak lekko, jak dziecko prowadzone przez matkę. – Godunow mówił ostrożnie, jakby cały czas w obawie, że car skieruje nań swój gniew, tak jak to się stało z Jarosławem.

Tym razem jednak car nie zawrzał gniewem.

– Jarosław nie żyje? – zapytał zaskoczony. Potem spojrzał na Nikitę, szukając u niego potwierdzenia.

– Tak – odpowiedział Borys.

– Tak. Wszystko się odbyło tak, jak powiedział Godunow – potwierdził Nikita.

Iwan zwrócił się do Borysa.

– Kto go zabił? Kto go zabił? Powiedz mi, żebym mógł go zachłostać albo podpalić mu wszystkie włosy! – Teraz miał już na ustach pianę i toczył dookoła szklistym spojrzeniem wytrzeszczonych

OCZU.

– Milcz! – syknął Nikita do Borysa. – Niech się nie dowie. W takim stanie, w jakim jest, diabli wiedzą...

– Spadł ze schodów, Ojczulku – odezwał się Borys, starając się mówić spokojnie i bez paniki w głosie. – Przewrócił się. Nikt go nie zabił. To był wypadek, nieszczęśliwy wypadek. – Jakże mógłby powiedzieć, że sam car Iwan zepchnął Jarosława ze schodów ku jego zgubie?

– Nie mógł upaść. Nie pozwoliłem mu na to. Uratowałem go – stwierdził tępo Iwan. – Musiał udawać...

– Upadł – powtórzył spokojnie Borys. – Spadł tyłem ze schodów.

– To prawda, wielki carze – odezwał się Rakoczy, nie odrywając kolana od posadzki. – Jarosław się przewrócił. Nie mogłeś go uratować. – W pewien przewrotny sposób, równie pokrętny jak umysł Iwana, było to prawdą. Liczył na to, że uda mu się powstrzymać cara od zgłębiania sprawy i dowiedzenia się, co zrobił.

– Jarosław nie żyje – stwierdził cicho Iwan, otwierając i zamykając dłonie.

– Niech Bóg się nad nim ulituje – odezwali się wspólnie Nikita i Borys. Borys się przeżegnał, czego nie mógł uczynić leżący wciąż plackiem Nikita.

Iwan w końcu dał znak Nikicie i Rakoczemu, żeby wstali. Teraz wracał już chwiejnym krokiem ku stosowi szkatuł i skrzyń oraz leżących luzem pośrodku skarbca złota i klejnotów. Usiadł na pokrywie skrzyni wykładanej kością słoniową i opatrzonej w złote, nabijane diamentami zawiasy.

– Tyłu już umarło – stwierdził niemal zwyczajnym tonem. – Tak wielu...

– To nieszczęście dla Rusi. – Borys wiedział, że Iwan prawdopodobnie z takim stwierdzeniem będzie skłonny się zgodzić.

Podszedł nieco bliżej. – Ojczulku, powiedz mi, co mam zrobić. Pozwól mi okazać, z jakim oddaniem wypełnię każdy twój rozkaz.

Słuchający tego Rakoczy pomyślał, że taka oferta jest bardzo niebezpieczna; car w szaleństwie może mu kazać zabić żonę i dzieci albo na zawsze opuścić Moskwę. Bardzo ostrożnie dobierając słowa, powiedział:

– Wielki carze, rzadko się spotyka podobną wierność. Nikt nie wie tego lepiej niż ktoś, kto stracił królestwo. Wiernych ludzi ceń niczym największy skarb, ponieważ mimo twoich bogactw niewielu ich zobaczysz. Nie masz na ziemi monarchy, który mógłby sobie pozwolić na utratę człowieka tak sobie oddanego, jak Borys Fiodorowicz jest oddany tobie.

– Mówisz do rzeczy – stwierdził Iwan, przemyślawszy sprawę. Jego twarz lśniła od potu podkreślającego smugi brudu. Oddychał z trudem i co chwila podnosił dłoń, by przycisnąć ją do czoła albo osłonić oczy.

– Jak powiedziałaś, to oznaka wierności. Żaden mądry władca nie tępi takich ludzi jak Borys. Ale jest coś takiego jak potrzeba walki. Siedzi we wszystkich wielkich ludziach, chęć udowodnienia... – Urwał i z grymasem bólu chwycił się oburącz za głowę.

– Ojczulku... – odezwał się Borys z rosnącym lękiem.

Iwan zbył go machnięciem dłoni i zmusił twarz do czegoś, co miało być uśmiechem.

– Zagrajmy w szachy! – oznajmił. – Iak, zagrajmy w szachy. Pierwszy ruch należy do ciebie – dodał, usiłując okazać wielkoduszność. Skinął na Nikitę. – Idź przodem i powiedz, żeby przygotowali szachownicę i ustawili figury – powiedział, poruszając się coraz szybciej. – Tak trzeba zrobić. Tak.

Nikita raz jeszcze padł na posadzkę; Rakoczy usłyszał westchnienie, gdy kniaź legł na zimnych kamieniach.

– Stanie się, jak sobie życzysz, Ojczulku – oznajmił, a potem wstał,

przeżegnał się przed ikonami i wyszedł ze skarbcza.

– Szachy – powtórzył coraz bardziej zadowolony z pomysłu Iwan. – Zagramy. Dobra gra... przepędzi złe życzenia i słowa czarowników. – Odwrócił się na pięcie. – To wielcy łgarze. Wszyscy, którzy nie są chrześcijanami, to łgarze. A i wśród chrześcijan co drugi jest pogrążonym w grzechu łgarzcm. Trzeba było dopiero, żeby Bóg zstąpił na ziemię, by ludzie poznali, co znaczy wierność i prawda. – Car kroczył teraz szybciej i pewniejszym krokiem; nie błądził już bezcelowo po komnacie jak przed kilkoma chwilami. – Dlatego przysłucham się ich słowom... – W tejże chwili nadepnął na leżący w pół-cieniu ametyst. Jęknąwszy rozpaczliwie, ukląkł, żeby podnieść klejnot.

– Ojczulku... – westchnął Borys dręczony kolejnym atakiem niepewności. Nie wiedział, czy mądrze byłoby teraz zbliżyć się do cara.

Iwan podniósł klejnot i ukrył go w swoich wielkich dłoniach jak chroniony przed podmuchami śnieżycy płomyk świecy.

– Ten klejnot to serce i dusza, a ja go zraniłem. Jest w nim cała natura kobiecości, a ja go cisnąłem precz, jak pierwiej odrzuciłem moją Anastazję. – Car nieczęsto mówił o uwielbianej pierwszej żonie, teraz jednak wydawało się, że wspomnienia o niej mają na niego kojący wpływ. – Już niedługo ujrzę jej piękną twarz, jeśli Bóg okaże mi swoje miłosierdzie. Nikt nie osiągnął takiej świętości jak Anastazja Romanowna Zacharyna. Mężczyzna nie jest zdolny do takiej dobroci jak kobieta. Jakże często Bóg ukazuje mi moją dumę i winę.

Rakoczy wyczuł, że zbliża się kolejny wybuch gniewu, i spróbował mu zapobiec.

– A może jest tak, że Bóg chce ci okazać, że widzi rany na twoim sercu, carze? Twoja zmarła żona musiała się za tobą wstawić i wybłagać twoje zbawienie, Bóg z pewnością wysłuchał modłów takiej

kobiety jak ona. Może On ukazuje ci obietnicę zbawienia, a nie piekielne ognie.

Iwan spojrzał nań ze zdumieniem w oczach.

– I to jest w tym kamieniu?

Rakoczy rozumiał, że podejmuje teraz wielkie ryzyko, ale nie ujawnił niepokoju.

– Wielka Sztuka, o carze, jest taka sama jak wszystkie inne sztuki. Jestem jedynie narzędziem. Do pełnego zrozumienia tego, co mogą te klejnoty, trzeba większego niż mój ducha. Jeżeli Bogu miłe są głębokie modły i owoce zrozumienia, to ten klejnot musi zostać napełniony współczuciem równym magicznym własnościom ametystu.

Namysł nad odpowiedzią zajął Iwanowi niewiele czasu, a gdy się odezwał, wyglądał na usatysfakcjonowanego.

– Jesteś skromnym człowiekiem, jak przystoi wygnańcowi – powiedział i odwrócił się do Borysa. – Szachy. Musimy zagrać w szachy. – Nie wypuszczając ametystu z dłoni, podszedł do drzwi i ukląkł przed ikonami.

Borys dołączył do Rakoczego.

– Coś ty mu powiedział? – zapytał szeptem.

Przez twarz Rakoczego przemknął lekki uśmiech, który zniknął równie szybko, jak się pojawił.

– Ot, same dwuznaczniki i odrobinę prawdy dla osłody.

– To ryzykowna gra – stwierdził Godunow, nie spuszczać wzroku z modlącego się Iwana.

– Nie tak ryzykowna jak gra w szachy – odpowiedział z powagą w głosie Rakoczy.

Borys skrzywieniem ust przyznał mu rację.

– Będziesz obserwował partię?

– Chyba nie – odparł ostrożnie Saint-Germain. – Ojciec Pogner

raczył mnie poinformować, że dziś wieczorem będzie miał audiencję u cara i nie życzy sobie mieć ze mną do czynienia. Polecono mi, bym się wymówił. – Spostrzegł, że Borys niecierpliwym ruchem poprawił swój kaftan. – Uważam, iż najlepiej będzie, jeżeli spędzę wieczór w towarzystwie mojej małżonki.

– Grajmy, Borysie Fiodorowiczu – odezwał się od drzwi Iwan, który skończył już modlitwy i z determinacją oczekiwał partii szachów.

– W tejże chwili, Ojczulku – odpowiedział Borys i nie odzywając się więcej do Rakoczego, przeżegnał się przed ikonami i wezwał strażników, którzy mieli wyprowadzić hrabiego.

Borys i Rakoczy przeżegnali się pospiesznie przed ikonami i wyszli ze skarbcza. Strażnik strzegący korytarza popatrzył na nich nieufnie i starannie zamknął drzwi, zasuwając wielkie, żelazne rygle.

– Co o tym myślisz? – zapytał Borys cicho po grecku, gdy obaj opuścili zbrojownię.

– O carze? – Rakoczy odpowiedział pytaniem na pytanie w tym samym języku. – Jego stan wciąż się pogarsza. Jeśli nie jutro, to i tak nie potrwa to wiele dłużej. Wystarczy na niego spojrzeć, żeby stwierdzić, że jego ciało jest skrajnie wyczerpane, a umysł pogrąża się w szaleństwie.

– Czy on jest niebezpieczny? – zapytał Borys.

– Jest carem – odpowiedział sarkastycznie Rakoczy.

– Ale jakim carem... – podsunął Borys. Byli już prawie u drzwi; Borys rozmyślnie zwolnił kroku i skorzystał okazji, żeby otrzepać kaftan z kurzu. – Był wielki, naprawdę wielki. Przepędził Tatarów i Mongołów aż do Saraju i raz na zawsze zdobył dla Rusi Nowogród. Nie płacimy już nikomu trybutu. Nie da się powiedzieć, iż osiągnęlibyśmy to bez Iwana Groźnego.

Rakoczy zachował dyskretne milczenie. Patrzył przez otwarte drzwi na oświetloną promieniami słońca przestrzeń: białe, wysokie niebo

usłane chmurami i dachy okrytych śniegiem miejskich budynków.

– Ale teraz oszalał, bo zabił własnego syna, i gdyby pod mury Moskwy podeszła jakaś armia, jak zdołaliby obronić miasto? Nie sądzisz chyba, że carewicz Fiodor mógłby poprowadzić ludzi do bitwy, prawda?

– Są bojarzy i doświadczeni wodzowie – przerwał mu Borys.

– Z których każdy chciałby zostać carem – przypomniał mu Rakoczy. – Az poparciem armii każdy mógłby sięgnąć po tron. – Wyszedł na zalany słońcem dziedziniec, zadowolony, że w grubych podszwach swoich czarnych butów ma warstwę rodzinnej ziemi.

Wyszedłszy ze zbrojowni, usłyszeli chóralne zaśpiewy hymnów z soborów Archangielskiego i Błagowieszczeńskiego. Dwie ekstatyczne pieśni mierzyły się ze sobą, tworząc osobliwy dysonans. Obie świątynie były pełne i przed każdą z nich tłoczyli się rozmodleni ludzie.

Wysłuchawszy się w te pienia, Borys zmarszczył brwi.

– Kiepska sprawa – mruknął po rusku.

– Te śpiewy? – zapytał Rakoczy w tym samym języku.

– Niezupełnie – odparł Borys. – Mam na myśli chór w soborze Archangielskim. Tam się grzebie carów. Iwan mógłby to uznać za zły znak. – Zatarł dłonie, bardziej z troski niż dla ochrony przed zimnem. – Lepiej będzie, jeśli się pospieszę, zanim zmieni zdanie w kwestii szachów.

Przeszli razem jeszcze kilka kroków i Rakoczy spojrzał na Borysa: choć był od niego o pół głowy niższy, sprawiał wrażenie wyższego.

– Bądź ostrożny, Borysie Fiodorowiczu. Łaska człeka takiego jak Iwan jest bardziej niebezpieczna od trzymanego w domu tygrysa.

Borys skwitował to znakiem krzyża.

– Ochronią mnie mój anioł stróż i miłosierdzie Boga – powiedział z głębokim przeświadczeniem. – Moja siostra jest żoną Fiodora. Cóż

mogę zrobić oprócz tego, że skoro jest mężatką, muszę chronić ją i jej niewinność? Sam powiedziałaś, że to sytuacja bez wyjścia, muszę więc... – Skinął głową w kierunku nku carskiego pałacu. – Cóż. Nie mogę dopuścić do tego, by Iwan zniecierpliwił się czekaniem. Zechciej o mnie pamiętać w swoich modlitwach.

Rakoczy uśmiechnął się tajemniczo.

– Owszem, nie omieszka, gdy będę się modlił – zapewnił Borysa. Ukłonił się i już miał odejść, gdy coś go zastanowiło. – Dlaczego ucichły dzwony?

– Rozkaz Iwana – stwierdził Borys. – Powiedział, że nie życzy sobie słyszeć dzwonów, dopóki osiemnasty nie dobiegnie końca, a wtedy mają się odezwać, żeby uświetnić zwycięstwo cara nad szamanami. O północy mają się rozpocząć msze, które potrwać nieprzerwanie do północy dnia następnego, ale zanim ta nastąpi, nie odezwie się żaden dzwon. Wcześniejsze bicie w dzwony będzie oznajmieniem jego śmierci. – Książę spojrział ku starej dzwonnicy. – Fiodor jest bardzo zmartwiony tym zakazem. Nie sądzę, żeby rozumiał powód, dla którego ojciec wydał taki rozkaz; uważa to za rodzaj kary dla siebie. – Ponownie spojrział w stronę pałacu. – Jak mamy mu to wyjaśnić?

Borys nie spodziewał się odpowiedzi i Rakoczy, milcząc, wciągnął na dłonie italskie rękawice. Ukłonił się tylko.

– A jeżeli szamani mówili prawdę?

– Jakkolwiek szaleństwo Iwana jest dla Rusi groźne, z jego śmiercią pojawi się ktoś większy – odparł Borys po grecku i rozejrzał się dookoła, by się upewnić, że nikt go nie podsłuchał. Potem odwrócił się na pięcie i powiewając połami złotego kaftana, który czerwono połyskiwał w popołudniowym świetle, ruszył do pałacu.

List do Elżbiety, królowej Anglii, od sir Jerome'a Horseya, który podyktował go swojemu sekretarzowi.

Królowej Wdzięku, Obrończyni Wiary, Elżbiecie Angielskiej raport przesyła jej przedstawiciel i ambasador na dworze cesarza moskiewskiego Fiodora Iwanowicza.

Jak, o Łaskawa Pani, możesz wnioskować ze wstępu, Iwan VI zwany cesarzem wszystkich Rusinów padł ofiarą swoich licznych chorób. Życie opuściło go wieczorem dnia siedemnastego marca wedle tutejszego kalendarza, który jest zgodny z angielskim; nastąpiło to na sześć godzin przed upływem przepowiedzianego wróżbami lapońskich szamanów terminu, co przeraziło licznych ignorantów wierzących, że śmierć Iwana była wynikiem prorocstwa, a nie fatalnego stanu jego zdrowia i choroby umysłowej. Byłem jednym z cudzoziemców wezwanych do boku cara krótko przed jego śmiercią i stwierdzić muszę, że nigdy nie widział człowieka, który cierpiałby tak jak on. Miał twarz więźnia poddawanego torturom. Mówi się, że padł ofiarą szaleństwa, podejrzewam jednak, iż jego ciało było równie udręczone.

Ruś pogrążona jest w żałobie i wszędzie słychać nieustające głosy dzwonów. Wszędzie odprawia się też liturgie za duszę i pamięć Iwana. Dziwne to dla angielskiego ucha, bo Rusini, podobnie jak Grecy, nie dopuszczają myśli o tym, że w świątyni mogłyby brzmieć inne dźwięki niż ludzkie głosy, a śpiewane przez chóry hymny są poruszające i jednocześnie irytujące. Sam brałem udział w ruskich liturgiach za odpuszczenie grzechów i zbawienie duszy Iwana w soborze Uspieńskim oraz w soborze Błagowieszczeńskim. Połowa Moskwy przychodzi się tu modlić przy grobie Wasyla Świętego Szaleńca, o którym tu mówią, że Bóg pobłogosławił go wizjami.

Z własnej inicjatywy nawiązałem znajomość z doradcą nowego władcy, Borysem Godunowem, który mnie zapewnił, że aniel skoruskie stosunki nie ucierpią pod rządami nowego cesarza. Jest on bratem żony Fiodora i chroni go pozycja jego siostry. Opiekunem Fiodora, który opieki bez

wątpienia wymaga, jest Nikita Romanowicz Zacharyn, którego siostra Anastazja była pierwszą żoną Iwana i matką młodego cesarza. Cesarski wuj trzymał się z dala od dworu aż do minionego roku. Tak nieokreślone postawienie spraw grozi wszczęciem niebezpiecznej rywalizacji, zgodne jest jednak z decyzjami Iwana i nikt nie ośmiela się wyrazić sprzeciwu.

Ostatnio skontaktował się ze mną książę Wasilij Andriejewicz Szujski. Jest na dworze ważną figurą i ma znaczne wpływy. Nalegał, żebym rozważył objęcie naszym, handlem, kupców z Nowogrodu, ponieważ żegluga po Bałtyku przedstawia mniej trudności niż rejsy do Nowych Chołmogorów, jako że Morze Białe pełne jest gór lodowych i nie nadaje się do żeglugi aż do kwietnia każdego roku. Niezbyt chętnie rozmawiam z księciem Szujskim, ponieważ mówi się o nim, że sam zamierza sięgnąć po tron, a nie chciałbym sprawić wrażenia, że Anglia faworyzuje któregoś ambitnego magnata i popiera go bardziej niż innego. Rusini boją się obcej interwencji w ich sprawy bardziej niż czegokolwiek innego na świecie. Wszyscy cudzoziemcy na zawsze pozostaną dla nich co najwyżej tolerowanymi obcymi i choć są narodem gościnnym i przyjaznym, żaden Rusin nie zapomni, że Anglik to cudzoziemiec, i ten wzgląd przeważa nad wszystkimi innymi.

Postanowiłem więc, że powierzę Szujskiego doktorowi Lovellowi, który zna Rusinów lepiej niż ja i osobiście dobrze orientuje się we wszelkich nurtach dworskiej moskiewskiej polityki. Wielu bojarów mówi z nim bardziej szczerze i otwarcie niż ze mną, ponieważ nie jest Twoim sługą, Pani, w sposób tak oczywisty jak ja i nie podlega tak bacznej obserwacji.

Do czasu zjawienia się Herkulesa w chołmogorskim porcie zamierzam zawrzeć jak najwięcej umów, tak że gdy na dworze zapanują zamęt i rozłam, Anglia na tym nie ucierpi. Mamy tę przewagę, że liczne umowy, takie jak na przykład dotycząca dostarczania lin, zawarto na wiele lat i mato jest prawdopo dobre, żeby je kwestionowano. Najnowsze mogą się okazać niełatwe do dotrzymania, planuję więc im właśnie poświęcić moje

wysiłki. To trzeci rok naszej korzystnej i prowadzonej z powodzeniem wymiany wełny z Norwich na ruskie futra i wygląda na to, że podjęte zostały wszelkie zabezpieczenia tak korzystnego dla obu stron przedsięwzięcia.

Dołożę wszelkich starań, Pani, żeby informować Cię na bieżąco o wszystkim, co się tutaj dzieje. Ten raport zostanie dostarczony do Nowych Chołmogorów tak szybko, jak to tylko będzie możliwe. Zabezpieczyłem odpowiednie dokumenty kurierowi i wyprawię go jutro o świcie w towarzystwie tuczników, którzy odwiozą go do Kargopola, gdzie powinien napotkać eskortę angielskich towarów wiezionych z Chołmogorów do Moskwy. Łucznicy wrócą do Moskwy, strzegąc naszych dóbr, kurier zaś pojedzie dalej na północ w towarzystwie angielskich marynarzy i ruskich przewodników.

‘Taki układ jest jednako wygodny dla Rusinów i Anglików.

W nadziei, że Bóg przychylnym okiem spojrzy na nasze wysiłki, jakich nie szczędzimy w Moskwie, żeby służyć Jej Królewskiej Mości z honorem i skutecznie, kreślę się z najwyższym szacunkiem i dołączam’ ten raport do pozostałej dyplomatycznej poczty przeznaczonej dla Herkulesa, który zawiezie ją do Anglii.

Najbardziej posłuszny i wierny ze sług Jej Królewskiej mości Elżbiety Tudor z Łaski Bożej władczyni Anglii, sir Jerome Horsey, ambasador na dworze ruskiego cesarza 13 maja wedle angielskiego kalendarza Roku Pańskiego 1584

. 5 .

Jasne światło poranka przedzierało się przez grube, podwójne okna pracowni Rakoczego, oświetlając dwa atanory i połowę ustawionego na kozłach stołu, przy którym pracował. Gospodarz ubrany był w głęboką czerń i usadowiwszy się na swoim wysokim stołku, wlewał z dwu fiolek odmierzone porcje opalizującego płynu do alabastrowego dzbana. Pogrążony w pracy nie podniósł nawet wzroku, gdy do komnaty, zdawkowo zapukawszy w drzwi, wtargnął Rothger ciągnący za sobą jednego ze sług.

– Panie, proszę o uwagę – oświadczył zwodniczo spokojnym głosem po krótkiej chwili, podczas której stał bez ruchu. – To ważne i może być pilne.

– Może? – zapytał Rakoczy, spoglądając w końcu na Rothgera i sługę.

Blady, młody człowiek stał w postawie raczej wyzywającej niż bojaźliwej, choć miał mocno zaciśnięte usta, a jego niebieskie oczy strzelały chytrze na boki. Nie skłonił się Rakoczemu; stał z uniesionym podbródkiem i lekko rozstawionymi stopami, gotów do walki lub ucieczki.

– To jest Jurij – zaczął Rothger.

– Owszem, wiem. Przyszedł do nas w styczniu, po odejściu Kławdija. Jest gońcem czy odźwiernym, jak ich tu nazywają. Znosi listy, wiadomości i wpuszcza gości. – Spojrzał wprost na młodzieńca. – Powiedziałem prawdę, czy nie tak? To są twoje obowiązki.

Jak na maj było ciepło, zimowe udreki ustąpiły szczodropliwości wiosny. Powietrze pachniało zielenią rozwijających się roślin. Wszędzie, nawet pomiędzy brukowcami Placu Czerwonego strzelały

w górę żdźbła trawy i innej zieleni. Przez dwa otwarte okna pracowni Rakoczego słycać było śpiewy ptaków i odległy jęk dzwonów ławry Iwanowskiej.

Jurij milczał. Przez chwilę usiłował sprostac̄ wzrokowi Rakoczego, ale potem wbił spojrzenie w deski podłogi pomiędzy stopami.

– Przyłapałem go na czytaniu listu, który przysłał nam ojciec Krabbe – stwierdził Rothger niemal przepaszającym tonem. – Nie miałem pojęcia, że umie czytać, a tym bardziej po polsku. – Odstąpił w bok, zostawiając konfrontację samemu hrabiemu.

– Zaskakujące – stwierdził łagodnie Rakoczy. Spojrzał na Jurija nie bez ciekawości w oczach. – Czytasz po polsku. Przypuszczam, że i po rusku. Jakie znasz języki?

– Mylisz się, panie. Jestem niepiśmienny. Nie umiem czytać. Powiem ci prawdę, list przyszedł otwarty, a ja tylko na niego zerknąłem. Chciałem zobaczyć, co to takiego. Nic nie zrozumiałem, to tylko jakieś znaki na karcie. Pomyślałem, że wyglądają dziwacznie, nie tak jak ruskie. – Sługa już się połapał, że powiedział za wiele, ale nie mógł się powstrzymać. – To wszystko, panie. Nie umiem czytać, chciałem tylko zobaczyć, jak wygląda ją łacińskie litery.

– Nie umiesz czytać, ale wiesz, że to łacińskie litery... – stwierdził uprzejmie Rakoczy. – A dlaczego niby uznałeś je za łacińskie?

Jurij, unikając wzroku rozmówcy, zagapił się na atanory. Dopiero w tej chwili zdał sobie sprawę z tego, że Rothger go odsłonił.

– Nie umiem czytać – powtórzył uparcie. – Prosty sługa nie umie czytać, panie.

– Nie jest to umiejętność pospolita – przyznał Rakoczy, odstawiając fioletkę. – Skąd niby zwykły sługa miałby wiedzieć, że to polskie pismo?

– Ależ to nieprawda, że czytałem ten list. Domyśliłem się, że napisano go po polsku, bo przysłał go jeden z tych księży z ambasady.

Posłaniec powiedział, że to od nich – zaprotestował gwałtownie Jurij.
– Twój sługa niesłusznie uznał, że go czytałem. Pomylił się. Nie czytałem. Jestem sługą i nikim więcej. Nie umiem czytać. Naprawdę.

– Naprawdę... – zastanowił się Rakoczy. – Ale Rothger nie jest człowiekiem, który upiera się przy swoim, jeśli nie jest absolutnie pewien. A ty powiedziałaś, że list jest napisany po polsku, nie po łacinie, której można by się spodziewać od księży. Nawet wy, prawosławni, wiecie, że katolicy księża znają łacinę. – Wstał z wysokiego krzesła i podszedł do Jurija, mierząc go bacznie wzrokiem spod zmrużonych powiek. Potem spojrzał na milczącego Rothgera, jakby szukając u niego odpowiedzi, po czym odezwał się beztrasko: – Albo Rothger się myli, albo ty nie jesteś zwykłym sługą.

– On się myli – powtórzył uparcie Jurij.

Rakoczy nie odpowiedział. Obszedłszy Jurija dookoła, odezwał się cicho i łagodnie.

– Twoje suknie nie są tymi, które ci dałem, prawda?

Jurij spojrzał na swoją rubaszkę z grubo tkanego lnianego płótna.

– To moje. Przyniosłem ze sobą. Podarunek od matki. Uszyła ją dla mnie. – Musnął palcami bogato wyszywany kołnierzyk i zmusił się do fałszywego uśmiechu. Miał spocone czoło i górną wargę, którą teraz pospiesznie oblizał. – Dała mi to na Boże Narodzenie, gdy opuściłem dom, by tu przybyć.

– Godne pochwały – stwierdził łagodnie Rakoczy. – To piękna rzecz, gdy syn jest dumny z pracy swej matki.

– Ona naprawdę mi to dała! – stwierdził desperacko Jurij.

– Temu nie przeczę. I nie będę. Choć... ciekaw jestem, czemu wyruszyłeś do Moskwy w zimie, gdy drogi są nieprzejezdne, a podróż staje się prawdziwym utrapieniem. – Cofnąwszy się, wrócił do stołu. – I wiesz co? Zastanawia mnie, jak zwykły sługa może mieć matkę, która tka tak dobre lniane płótno. Odniosłem wrażenie, że nielicznych

tylko stać na taki materiał. Ale niewątpliwie jako cudzoziemiec nie rozumiem, skąd stać ją było na len, z którego utkała ci tak piękną koszulę. – Jego szczery uśmiech przeraził Jurija.

– Ona mieszka na wsi, niedaleko Tweru! Nasz bojar jest bardzo łagodnym panem – odparł coraz bardziej przestraszony Jurij.

Rakoczy wysłuchał tego, nie zmieniając wyrazu twarzy. Skinieniem dłoni polecił Rothgerowi, żeby pozamykał okna, by nie rozpraszał ich śpiew ptaków.

– Dziwne, że nie zatrzymał cię przy rodzinie.

Jurij zamrugał. Jego twarz zbieleła nagle.

– To... on był...

– Może miałeś swój powód, żeby wyjechać do Moskwy – stwierdził Rakoczy nadal łagodnym głosem. – Jeżeli, jak mówisz, bojar był łagodnym panem, wyraził zgodę na podróż.

– Tak! – Jurij uchwycił się tego wyjaśnienia. Miał teraz na policzkach dwie czerwone plamy, jakby złapał jakąś gorączkę, a jego oczy płonęły przestachem. – Tak właśnie było. Trafiłeś, panie. Poprosiłem o pozwolenie wyjazdu i bojar mi je dał.

– Musi być prawdziwie łagodnym i dobrotliwym panem, skoro pozwolił na opuszczenie swojego majątku tak krzepkiemu, rośtemu i sprytnemu chłopakowi. Niewielu bojarów zgodziłoby się, żeby taki człek jak ty opuścił ich posiadłości i udał się do Moskwy. Większość wolałaby, żebyś pracował dla nich. – Uśmiechnął się łagodnie do Jurija. – A może były inne powody?

– Powiedział mi, żebym tu przybył i odszukał jego krewniaka – oznajmił Jurij. Teraz nie był już tak przestraszony, nie został pobity ani odesłany precz, czego się spodziewał; stał wyprostowany, zatknąwszy kciuki za szeroki pas. – Pomógł mi znaleźć zajęcie.

– Jurij przybył tu w towarzystwie sługi z pałacu Nagojów – oznajmił Rothger i dodał: – Powiedzieli, że Grigorij Nagoj sądzi, że

znajdziesz dla niego miejsce.

– Nie musiałeś się zbytnio wysilać, żeby wymyślić takie tłumaczenie – stwierdził kpiąco Rakoczy, a Jurij zorientował się, że jego odziany w czerń pan nie dał się nabrać na kłamstwa. – Prawdziwa jest jedna z dwu rzeczy: albo jesteś bękartem i kłopotem dla swojego ojca, albo po prostu udajesz prostego sługę. Przykro mi rzec, ale podejrzewam to ostatnie. – Umilkł na chwilę, dając Jurijowi szansę na wtrącenie kilku słów. – Znaczy, jesteś szpiegiem.

– Mylisz się, panie! – zaprzeczył gorąco Jurij. – Nie jestem...

– Nie jesteś pierwszym, którego przyłapano w tym domu – stwierdził Rakoczy z odcieniem znużenia w głosie. – I prawdopodobnie nie ostatnim. Cudzoziemcy przyciągają szpiegów.

– Nie, nie. Ja nie jestem szpiegiem – zaprotestował Jurij.

Rakoczy podniósł dłoń.

– Bardzo proszę, już nie łżyj. Nie lubię kłamstw. – Odchylił się lekko. – Jesteś niespodziewaną przeszkodą. Co mamy z tobą zrobić?

Jurij zbladł jak gieźło.

– Panie...

– Jurij, chciałbym zawrzeć z tobą umowę. – Rakoczy urwał i skinął Rothgerowi, żeby podał mu szkatułkę z przyborami do pisania i pergamin. – Zapomnijmy na chwilę o tym udawaniu służalczości. Jaki jest twój patronimik?

– Mój... co? – Jurij się poddał. – Piotrowicz.

– Bardzo dobrze – stwierdził Rakoczy. – Juriju Piotrowiczu, wiesz, że mógłbyś zostać skazany za szpiegowanie? Karą jest śmierć.

– Z oskarżenia cudzoziemca? – zapytał Jurij z niedowierzaniem pomieszonym z zuchwalstwem. – I niby jak to miałyby się stać?

– Z oskarżenia cudzoziemca z pewnością mogłoby. – W tym, co Rakoczy powiedział zaraz potem, zabrzmiały nutki odrazy i niechęci. – Jeden ze szpiegów przyłapanych w naszym domu został zachłostany

na śmierć z rozkazu Nikity Romanowicza Zacharyna. – Nie dodał, iż podejrzewał, że szpieg był nasłany przez samego Zacharyna i trzeba go było skutecznie uciszyć. – Zapytaj innych służących.

Rothger położył przybory do pisania obok alabastrowego dzbanka i wrócił na swoje stanowisko przy drzwiach.

– Służba zawsze plotkuje, ale to nic nie znaczy. – Nutka szyderstwa w głosie Jurija zabrzmiała głośniej.

– Miał na imię Giennadij – stwierdził Rothger. – Pochodził z Włodzimierza, gdzie jego ojciec i bracia prowadzili warsztat siodlarski. Pracował dla metropolity. Przed nim zdemaskowaliśmy jeszcze trzech innych szpiegów.

Podczas minionych trzech i pół tysiąca lat Rakoczy nieraz bywał chłostany, ale myśl o knucie z żelaznym szponem na końcu pierścienia przymocowanego do ciasno splecionego skórzanego bata niemal go zemdliła. Knut miał wyrządzać największe obrażenia – pomyślano to tak, by przecinał skórę i mięśnie oraz łamał kości.

– Jego śmierć była obrzydliwa – stwierdził spokojnie z oczami pełnymi bólu i patrzącymi gdzieś w dal.

– To pusta groźba – odparł Jurij, zebrawszy się na odwagę. – Możesz sobie gadać, ale nie ośmielisz się tego zrobić.

– Bo twoim ojcem jest Nagoj? – zapytał Rakoczy, wracając do uprzejmego sposobu bycia. – Nie spotkałem Piotra Nagoja i nikt mi o nim przedtem nie mówił. Osobliwe niedopatrzenie, jeżeli jest równie ważny jak pozostali członkowie jego rodu. Możliwe jednak, że trzyma się na uboczu, czerpiąc w swoich posiadłościach zyski z ziemi, a nie ze złota, albo ciąży na nim jakaś niełaska. Syn takiego ojca mógłby się nauczyć czytać i poszukać protekcji możniejszych, nieprawdaż?

– Co ty mówisz, panie? – wypalił Jurij; śmiałości dodał mu rozpacz i brawura. – Nie umiem czytać. Nie czytałem tego listu. Nic nie wiesz. Nie możesz wiedzieć.

Rakoczy potrząsnął głową.

– Gdybyś żył tak długo jak ja, nauczyłbyś się, choćbyś nie chciał. – Spojrzał na Rothgera, a potem wrócił wzrokiem do Jurija. – Juriju Piotrowiczu, wspomniałem o układzie. Jeżeli powiesz prawdę, uszanuję to. Jeżeli zeżesz, pogadamy inaczej. Spiszę dla ciebie tę umowę, choć powiadasz, że nie umiesz czytać, spiszę ją tak, żeby nikt nie podawał jej w wątpliwość. Posłuchaj dobrze i zastanów się, zanim odpowiesz: jeżeli powiesz prawdę o swojej znajomości sztuki pisania i czytania, zostaniesz tu jako mój sługa. Będziesz składał raporty Grigorijowi Nagojowi lub temu z krewniaków, dla którego tam pracujesz, ale w tym samym charakterze posłużysz i mnie. Będziesz mi mówił o wszystkim, co się dzieje w twojej rodzinie, i o jej zamierzeniach tak samo, jak im meldujesz, co się dzieje u mnie. W zamian za to będziesz otrzymywał swoją pensję służącego i nie zostaniesz wydany Skuratowowi. Jeżeli się postarasz i sprawdzisz, dostaniesz nawet nagrodę w złocie. Jeżeli spróbujesz mnie oszukać, zadenuncjuję cię przed dworem możesz być pewien, że krewniacy cię nie obronią i nawet nie spróbują, żeby nie ryzykować własnej zguby. – Umilkł na chwilę. – Cudzoziemiec czy nie, lepiej trzymaj się mnie, Juriju Piotrowiczu.

– Oczekujesz, że zdradzę moją rodzinę? – zapytał zdumiony sługa.

– Czemu nie? – padła zimna odpowiedź. – Mnie przecież zdradziłeś, nieprawdaż?

– Nie jestem szpiegiem! – zaprotestował gorąco Jurij. – Mylisz się panie. To nie była zdrada!

– Nie była, powiadasz? – Rakoczy skierował uwagę na alabastrowy dzban. – Może źle cię zrozumiałem. – Sięgnąwszy po pergamin, przysunął do siebie kałamarz. – Spiszę naszą umowę. – Rozkładając pergamin przed sobą, kontynuował wątek: – Sadzisz, że twoje oddanie sprawom rodziny albo chęć poprawienia swojej życiowej pozycji

usprawiedliwia to, co tu robiłeś? Bo jestem cudzoziemcem? – Wybrawszy dobrze zaostrzone pióro, umoczył czubek w inkauscie.

– Nie zrobiłem niczego, co można by... – zaczął Jurij.

– Juriju Piotrowiczu, zechciej posłuchać mnie jeszcze przez chwilę, a później możesz złożyć protest. – Rakoczy napisał kilka słów i odłożył pergamin, żeby wysechł. – Okażę ci moją dobrą wolę. Trzymaj. – Z wiszącego mu u pasa trzosa wyjął dwie złote monety i podał je Jurijowi. – Weź je. To dowód, że mówiłem w dobrej wierze, gdy cię zapewniałem, że istnieje powód, dla którego powinieneś uwierzyć w to, co mówiłem. Gdy ty będziesz postępował uczciwie, uczciwy będę i ja.

Jurij szybko wziął dwie monety, na jego twarzy odmalowała się nagle chciwość.

– Co mam zrobić? – zapytał.

– Jako znak, że godzisz się na nasz układ i czynisz to szczerze, weźmiesz i zanieziesz pewien list. Nie jest to trudne zadanie, niejednokrotnie robiłeś to już przedtem. Nie wymagam od ciebie wiele. – Hrabia wziął drugą kartę i też coś na niej napisał. – Masz to zanieść na Kreml, oddać Borysowi Godunowowi i poczekać na odpowiedź. To prosta wiadomość. – Rakoczy niedbale podał słudze drugą kartę. – Jeśli chcesz, możesz przeczytać.

– Nie umiem czytać – stwierdził Jurij po krótkiej chwili wahania. – Nie wierzysz, ale to prawda. Mogę rozpoznać kilka ruskich słów, ale nic więcej, panie.

– Ale i tak zerknij na to – nalegał Rakoczy.

Jurij wzruszył ramionami, wziął kartę i spojrzał na nią z udawaną obojętnością.

Weź tego zdradzieckiego sługę i natychmiast każ go wtrącić do lochu. Rakoczy napisał to po polsku.

Jurij wydał zduszony okrzyk i cofnął się o krok, upuszczając

pergamin na podłogę. Przeżegnał się... i dopiero wtedy spostrzegł, że Rakoczy uważnie mu się przypatruje.

– Oby cię słoń zdeptał na śmierć!

– Z pewnością połamałby mi kręgosłup – mruknął Rakoczy w klasycznej łacinie. – A to byłaby prawdziwa śmierć. – Nagła zmiana wyrazu twarzy sługi powiedziała mu, że Jurij przynajmniej po części zrozumiał to, co usłyszał. – Więc umiesz czytać. I trochę znasz łacinę

– Bóg cię za to skarzę! – wypalił Jurij surowym tonem.

– A ciebie ukarzą wyrokiem dworu. – Rakoczy pozwolił Jurijowi przemyśleć konsekwencje. – Więc jak będzie, Juriju Piotrowiczu?

– Jesteś diabłem – stwierdził ponuro młodzieniec.

– Och, z tym bym się nie zgodził – odparł Rakoczy bez troski. – Wygnaniec, tak, ale nie diabeł. – Obdarzył Jurija długim, pełnym namysłu spojrzeniem. – Nie za bardzo masz ochotę na to, żeby mi służyć. To jest dość widoczne. Ale twoi panowie – ci prawdziwi – obarczyli cię pewnym zadaniem. Nie przestaniesz być dla nich użyteczny, jeżeli nadal będziesz ich powiadamiał o tym, co się dzieje w domu cudzoziemca. Twoją największą zaletą w ich oczach jest wykształcenie i spodziewają się, że wykorzystasz je na ich korzyść. – Hrabia przechylił głowę na bok. – Ale nie możesz tu zostać.

W oczach Jurija znów pojawił się strach.

– Podpiszę umowę – stwierdził ponuro. – Zrobię, co zechcesz. Przysięgnę ci wierność.

– Myślę, że nie – odparł Rakoczy. Sięgnął po trzecią kartę pergaminu i zaczął na niej pisać. – Ponieważ znasz nieco łacinę, zrobisz, jak zechcesz. – Przesunął dłoń tak, żeby Jurij zobaczył treść pisma.

– Ja... – zaczął Jurij, ale tym razem okazał dość rozsądku, by nie kontynuować.

– Dokładnie tak – stwierdził Rakoczy, pisząc dalej. – Jeżeli

zanieasz ten list, masz spore szanse, że cię zatrudnią w poselstwie. Ostatecznie piśmienny sługa jest skarbem, osobliwie w siedzibie poselstwa. Niewątpliwie znajdziesz sposób na to, by każdemu się jakoś przysłużyć. Twoi krewni Nagojowie powinni być zadowoleni, ponieważ zdołasz im powiedzieć coś o Polakach i nie będą musieli cię otwarcie karać ani okazywać niechęć. – Przed napisaniem kolejnej linijki zmarszczył brwi. – Dobrze zrobisz, nie otwierając się przed ojcem Pognerem, mało jest zresztą prawdopodobne, żeby zechciał rozmawiać ze sługą. Załatwiał wszystko z ojcem Krabbe. Ojciec Pogner jest do mnie wrogo nastawiony, o co podejrzewam też twoich krewniaków. – Podpisawszy list, sięgnął po wosk. Rothger zapalił już kaganek i podsunął go Rakoczemu. Gdy pod jego podpisem pojawiła się spora kropla wosku, Rakoczy odcisnął na niej swój sygnet. – Masz. – Podał list Jurijowi.

Jurij nie przyjął listu.

– Chcesz mnie zwieść, panie – stwierdził, cofając się o dwa kroki. – Bawisz się ze mną.

Rakoczy podał list Rothgerowi.

– Gdy odprowadzisz Jurija do siedziby polskiego poselstwa, zadbaj o to, żeby to pismo odebrał ojciec Krabbe. I powiedz mu ode mnie, żeby uważał na tego człowieka. Porozmawiaj z nim dyskretnie i szczerze. – Ostatnie zdanie było skierowane raczej do Jurija niż do Rothgera.

– Mylisz się, panie! – zaprotestował gwałtownie Jurij. – Nie jestem szpiegiem. Będę ci dobrze służył. Ja nie...

– Wyjaśnię to twojemu krewniakowi – oświadczył Rakoczy, którego cierpliwość zaczynała się już wyczerpywać. – Nie będę cię winił.

Jurij parsknął wymownym śmiechem.

– I sądzisz, że Nagoj ci uwierzy? Tobie? Tobie, człowiekowi, który zdeprawował Koszkinę? Jakież mężczyzna zaufa twojemu

oświadczeniu?

Rakoczy nawet nie drgnął, a gdy przemówił, jego głos był spokojny i zwodniczo łagodny, choć w postawie hrabiego pojawiło się coś, czego Jurij wcześniej nie dostrzegał i co w tym eleganckim cudzoziemcu przeraziło go bardziej niż wszystko inne, coś bardzo starego i niebezpiecznego, jak zamknięty w puszczy ogień.

– Czy zechciałbyś to powtórzyć?

Teraz dopiero Jurij wpadł w prawdziwą panikę; wiele by dał, żeby cofnąć to, co powiedział.

– Nic. Nic... tylko... krążą plotki o... o poślubionej przez ciebie, panie, kobiecie i jej ojcu, który zginął, usiłując ją uratować. Mówi się, że zepsuli ją...

– Jeżeli – odezwał się Rakoczy wciąż cichym głosem, starannie wymawiając każde słowo – krąży jakaś opowieść o mojej żonie, Kseni Jewgienijewnej, odpowiesz za to; odpowiedzą także twoi krewni, którzy chcą skompromitować moją żonę.

– Ale wszyscy znają tę historię! – stwierdził Jurij raczej ze strachu niż dla własnej obrony. – Jej ojciec zginął, usiłując ją uratować. – Mówił szybko i coraz głośniej, jakby chciał nadać swojej opowieści większe prawdopodobieństwo. – Każdy słyszał tę opowieść! Każdy! Ojciec zginął. Do domu wdarli się Mongołowie, a wszyscy służący uciekli, została tylko jej niania, którą zabili. Wiemy, jacy są Mongołowie. Skorzystali z okazji. I – ciągnął, usiłując przeciwstawić ten argument naporowi ciemnych oczu Rakoczego – ona poświęciła się dobroczynności. Wszyscy wiedzą, co...

– Usiłowała upamiętnić swojego ojca – stwierdził Rakoczy.

– O tak! Tak właśnie mówią Szujscy i Koszkinowie – zakpił Jurij zbyt przestraszony, żeby baczyć na to, co mówi. – Musieli udawać, że ona nigdy... – Nagie zdał sobie sprawę, że posunął się za daleko i umilkł.

Przez długą chwilę wszyscy milczeli. W końcu Rakoczy zwrócił palące spojrzenie ciemnych oczu na Jurija.

– Wynoś się. Natychmiast!

Rothger podszedł do Jurija, który międlł w palcach brzeg rubaszki.

– Przygotuję wszystko do przeniesienia go na teren polskiego poselstwa.

– Doskonale – odezwał się Rakoczy, raz jeszcze obrzucając Jurija spojrzeniem. – Zatrzymaj monety, które ci dałem, i zapamiętaj, jak je zarobiłeś, dostałeś prawdziwe złoto za fałsz. – Po tych słowach odwrócił się i tak pozostał, dopóki Rothger z Jurijem nie wyszli z pracowni.

Rothger wrócił, gdy nad Moskwą niósł się już śpiew wieczornych dzwonów.

– Ojciec Krabbe przysłał pozdrowienia – oznajmił, upewniwszy się, że drzwi zostały starannie zamknięte.

– Dziękuję, stary przyjacielu – odparł zdawkowo Rakoczy: poddawał badaniu garść niewielkich topazów, wypatrując skaz i zanieczyszczeń. Odłożył dwa na bok, niezadowolony z ich jakości. Potem kontynuował badanie pozostałych. – Ufam, że przekazałeś mi moje.

– Oczywiście – odparł Rothger. – I wyjaśniłem mu powody naszej akcji, na uboczu, rzecz jasna.

– I co powiedział ojciec Krabbe? – zapytał Rakoczy; jego twarz zdradzała oznaki znużenia.

– Stwierdził, że będzie bardzo ostrożny. – Przez usta Rothgera przemknął teraz nikły uśmiezek. – Oczywiście w poselstwie są już szpiedzy. Podejrzewali podstępny ze strony służby cych, ale ojciec Krabbe to człek rozumny. Zdaje sobie sprawę z tego, że wykształcony posłaniec jest wartościowym nabytkiem dla służby, odkładając na bok jego lojalność wobec rodziny. A świadomość, że Jurij został już

zdemaskowany, wszystko ułatwia, ponieważ nikt nie będzie musiał się trudzić zgadywaniem, wobec kogo jest lojalny.

– Przypuszczam, że jest w tym pewien zysk – stwierdził Rakoczy. Podniósł trzy topazy tak, żeby padało na nie światło lampy; w klejnotach igrały małe ogniki. – Car Fiodor nie podziela pasji do klejnotów, jaką żywił jego ojciec, ale Nikita Romanowicz zna ich wartość i nie wzgardzi kilkoma takimi błyskotkami. Zamierzam poprosić...

W kwestii tych planów Rothger nie miał nic do powiedzenia. Przez chwilę patrzył, jak Rakoczy wkłada klejnoty do szkatułki z kości słoniowej.

– Martwię się, panie. Jurij nie jest człowiekiem, który potrafi docenić i uszanować to, żeś go oszczędził. Prawdopodobnie poszuka okazji do zemsty. Uważa się za zhańbionego. Jeżeli nie podejmiesz działań przeciwko niemu, musisz się przygotować na to, że on zacznie knuć przeciwko tobie.

– Obawiam się, że masz rację – mruknął Rakoczy. – Będzie szukał odwetu za obrazę. Tego się można po nim spodziewać. Aleja tak nie postępuję. Nie okażę okrucieństwa, choć on sądzi, że tak właśnie powinien postępować szlachcic. – Przeszedł przez komnatę do stygnących już teraz atanorów. Światło oliwnych kaganków tylko częściowo ukazywało jego twarz.

– Zrobisz, panie, jak zechcesz – stwierdził Rothger, wyczuwszy ostateczną stanowczość w głosie Rakoczego.

– A ty tego nie pochwalasz – odparł hrabia z nutką ironii w głosie.

– Nie do mnie należy ocena. – Rothger odpowiedział nieco bardziej sztywno, niż zamierzał. – Ty jesteś panem.

Rakoczy parsknął krótkim śmieszkiem, który miał pokryć jego zniechęcenie i rozterki.

– Jakże pięknie okazujesz swój szacunek, mój przyjacielu. –

Ruchem dłoni dał znać, że wbrew pozorom uwaga ta nie była naganą.
– Martwisz się, a ja nie ułatwiam ci sprawy. Jeśli będzie to dla ciebie jakąś pociechą, powiem, że ja też się martwię.

– A jednak zostajesz – stwierdził Rothger.

Rakoczy musnął palcami szkatułkę.

– A dokąd niby miałbym wyjechać? Wszędzie są wojny i ludzie głodują. W Rosji czy w Europie, co za różnica? – Mówił tonem człowieka rozmawiającego o pogodzie.

– Ale co cię tu zatrzymuje, panie? – zapytał szybko Rothger, patrząc uważnie na pana.

Odpowiedź usłyszał dopiero po chwili.

– Może masz rację, a ja jestem głupcem. – Rakoczy potarł dłonią czoło.

– Nie jesteś – zaprzeczył natychmiast Rothger.

– Och, nie masz powodu, żeby mnie oszczędzać. Sam się nie oszczędzam. – Szeroki gest ręki hrabiego objął całą pracownię. – Zdaję sobie sprawę z tego, jak delikatna i niepewna jest moja tutejsza pozycja, tym bardziej że liczni dworacy chcą wykorzystać moje umiejętności. Ale bez tego byłbym zdany na łaskę szpiegów i dworskich intryg. Klejnotami kupuję sobie odrobinę spokoju; bojarzy są tak samo chciwi, jak nieufni i sceptyczni, niechętnie zadają się z kimś, kto mógłby wesprzeć ich sprawę.

– Ojciec Pogner z przyjemnością zwolniłby cię ze zobowiązań – zauważył Rothger.

– Jestem winien lojalność Stefanowi Batoremu, a nie ojcu Pognerowi. Gdyby chodziło o niego, dawno już bym stąd wyjechał – przypomniał mu Rakoczy. W jego głosie pojawiły się nutki melancholii. – Ileż razy traciłem ojczyznę na rzecz najeźdźców? I ileż razy mnie z niej wypędzano? – Nie oczekując odpowiedzi, która zresztą nie padła, podszedł do wysokiej, zamkniętej szafki, w której

przechowywał wszystkie swoje książki. Na jego twarz padał ukośny promień światła jednej z lamp. – Stefan Batory uszanował we mnie wygnańca, a to – jak obaj wiemy – rzadka cecha wśród królów. Choćby z tego powodu będę tu trwał i pełnił obowiązki, jak długo się da.

Podczas minionych szesnastu stuleci służby Rothger widział Rakoczego w takim stanie ducha tylko kilkanaście razy i za każdym razem to go niepokoiło.

– Król Stefan z pewnością nie chciałby, żebyś narażał tu swoje życie.

Rakoczy skwitował to uśmiechem i sardonycznym błyskiem ciemnych oczu.

– Ależ oczywiście, że chciałby, i nie bez powodu. Potrzebuje na tym dworze kogoś, kto nie ma do stracenia nic prócz królewskiej przychylności. Dlatego nie powierzył poselstwa wyłącznie księżom. – Złożywszy ramiona, oparł się o szafę. – Ale to prawda, musimy się mieć na baczności. Przypuszczam, że najlepiej będzie wzbudzić czujność służby; trzeba im rzec, że Jurij odszedł i nie może wejść do tego domu bez mojego pozwolenia. Doprowadzi to do rozmaitych spekulacji, jakich obaj wolelibyśmy uniknąć, ale nie mamy innego wyjścia.

– A co z twoją żoną, panie? – zapytał Rothger ze sztuczną obojętnością w głosie.

– Ksenia... – Rakoczy utkwiał wzrok jakby w dali. – Spróbuję ją przekonać, że... powinna mi zaufać. – Niełatwo mu było powiedzieć to wprost.

– Czy należy jej strzec? – zapytał Rothger i przewidując odpowiedź, dodał: – I które sługi do tego wyznaczyć?

– Niełatwo odpowiedzieć na takie pytanie. – Powaga w twarzy Rakoczego przeczyła lekkości tonu wypowiedzi. – I nie wiem, jak to

rozstrzygnąć. Największym zagrożeniem dla niej są członkowie jej rodziny, ale nie mogę im przeszkadzać w wizytach, nie wzbudzając jej obaw. Może trzeba będzie wynająć kilku nowych służących, co z kolei zwiększa ryzyko wpuszczenia do domu nowych szpiegów. – Odszedł od szafki. – Nie lubię sytuacji, w których działam pod przymusem.

– Możesz, panie, zamknąć ją w domu, jak się tu zamyka większość żon. Nikt nie uzna tego za dziwactwo. Tego właśnie się po tobie spodziewają – stwierdził Rothger, wiedząc, że Rakoczy raczej nie pójdzie za jego radą.

– Mógłbym wynająć eunuchów, którzy by ją chronili – stwierdził hrabia, przemierzając komnatę; grube podeszwy jego butów rażno stukały o podłogę. – Ale to zniszczy tę odrobinę zaufania, jaką do mnie żywi.

– Być może bez tego się nie obejdzie.

– Tak – mruknął Rakoczy.

– Szujscy i Nagojowie to potężni rywale – nalegał sługa.

– Tak.

– Ojciec Pogner koniecznie chce cię zdyskredytować.

– Tak – przyznał Rakoczy. – Chce.

Zdesperowany Rothger obrócił się na pięcie i wyszedł z pracowni.

List do króla Polski Stefana napisany po węgiersku przez jego krewniaka, Tibora Batorego.

Mojemu obdarzonemu łaską nieba krewniakowi, królującemu Polsce Stefanowi Batoremu pozdrowienia z nękanego oblężeniem Triestu.

Niechętnie biorę do ręki pióro, by do Ciebie napisać, bo wiem, że ten list przyczyni Ci trosk. Choć szukałem innych sposobów, by skończyć z tą hańbą, zanim wypłynie na jaw, żaden nie przyszedł mi do głowy mimo wielu godzin spędzonych na modlitwach, w których prosiłem o oświecenie.

Trzeba Ci jednak o wszystkim wiedzieć, ponieważ należy podjąć pewne działania, żeby naprawić trudną sytuację, w jaką popadła nasza rodzina. Ważne jest, żebyś dowiedział się o wszystkim wcześniej, zanim informacje dotrą do Ciebie za pośrednictwem tych, co zechcą znieślić nazwisko Batorych.

Obawiam się, że muszę Cię powiadomić o tym, iż zachowanie mojej przyrodniej siostry, Elżbiety Batory, stało się źródłem licznych, bardzo nieprzyjemnych wieści. Wszystko wskazuje na to, że dała się uwieść jednej ze swoich dworek, służce samego szatana. Kobieta owa praktykuje czarnoksięską sztukę i wciągnęła Elżbietę w obrzydliwe i godne pogardy praktyki oraz bezbożne obrzędy tych, co odrzucają Zbawienie w Jezusie Chrystusie. Elżbieta poświęciła się służbie i stała się akolityką tej ohydnej kreatury i utrzymuje, iż wyrzekła się Chrystusa na rzecz złowrogich ofiar składanych bogom jej mistrzyni.

Gdyby tylko Elżbieta miała dzieci! Powstrzymałoby ją to od uczestniczenia w takich praktykach. Jakże często jesteśmy ostrzegani, że wyzwolenie kobiet prowadzi do grzechu. Gdyby poświęciła swą uwagę dzieciom, ich wychowaniu i nauce, obowiązki macierzyńskie wypełniłyby jej czas staraniami o potomstwo. Ale mija już dziewiąty rok od jej ślubu z Nadasym i nie doczekali się żadnych owoców związku. Nieprzyjaźni ludzie przypisują to niechęci, jaką żywią do siebie małżonkowie. Nadasy spędza wiele czasu daleko od zamku Batorych, często wyprawia się w pole przeciwko Turkom, ale częściej szuka swoistych rozrywek w Wiedniu i innych miastach znanych z hołubienia sekretnych występków. Choć wielu ludzi wyraża się o nim z wielkim poważaniem, równie liczni zarzucają mu czyny godne nieodpowiedzialnego i nieznającego umiaru młodzika.

Możesz się przekonać, jak grzech prowadzi do grzechu. Nieobecność małżonka dała Elżbiecie mnóstwo czasu na rozmyślanie i tylko szaleństwa mogły zająć jej myśli. Niewiele można było z tym zrobić; zamek Batorych stoi na uboczu, a Nadasy nie zachęcał Elżbiety, by otoczyła się kręgiem

przyjaciółek. I tak, ulegając szatańskim pokusom i usiłując wypełnić swoje puste i samotne życie obietnicami władzy nad światem, padła ofiarą knowań podstępnej ochmistrzyni.

Muszę Cię, panie, prosić o rozważenie możliwych szkód, jakie ta działalność przyniesie dobremu imieniu Batorych, jeżeli Elżbiety nikt nie powstrzyma. To Ty, a nie Twój brat, powinienes się dowiedzieć, że Twoja krewniczka oddała się diabłu i praktykuje czarnoksięstwo, żeby osiągnąć wywyższenie nad ludźmi ją otaczającymi. Nie jest możliwe, żebyś ją w tym popierał, musisz się więc temu sprzeciwić, ponieważ podejrzenie padnie na Ciebie, a w tych czasach żaden człowiek nie może o sobie powiedzieć, że nie obawia się posądzenia o diabelskie praktyki.

Niech Twa sprawiedliwość, królewski mój krewniaku, uderzy szybko i skutecznie. Niech ugodzi w samo serce zła i oczyści imię Batorych z wszelkich śladów grzechu. Masz władzę, żeby żądać od niej przyznania się do win. Jeżeli nie możesz działać sam, rozprawę z Elżbietą zostaw Kościołowi. Nie pozwól jej trwać w pokusach, którym uległa. Modlę się, żeby Bogdał Ci mądrość i odwagę, by zawrócić Elżbietę z tej zgubnej ścieżki.

Z niezachwianą pewnością i wiarą w oczyszczenie z plam dobrego imienia Batorych podpisuje się szczerze oddany

Twój krewniak Tibor Batory 29 maja roku Łaski Pańskiej 1584

. 6 .

Przeżegnawszy ikony przed frontonem domu Rakoczego, Anastasij Siergiejewicz Szujski poprosił o możliwość zobaczenia się z “kochaną krewniaczką Ksenią”. Z jego wygiętych niczym łuk Kupidyna, obramowanych złocistą brodą ust wypłynęło czułe zdanie, które Rakoczy bezbłędnie zrozumiał:

– Pozwolisz mi, panie, porozmawiać z nią na osobności, prawda?

– Oczywiście – odpowiedział Rakoczy po chwili, podczas której starał się zapomnieć o nasuwających mu się wspomnieniach Korneliusza Justusa Syliusza przyglądającego się Oliwii i kochankom, których jej nasyłał. Klasnąwszy dwakroć w dłonie, polecił jednemu ze sług: – Powiedz mojej małżonce, że przybył jej krewniak.

Sługa uklonił się obu mężczyznom i wyszedł z komnaty paradnej.

– Nie masz już odźwiernego? – zapytał Szujski, unosząc brwi.

Rakoczy wzruszył ramionami.

– Jurij bardziej nadawał się do pracy z ojcem Pognerem i jezuitami w polskim poselstwie. A ja pracuję dla nich. – Rozpięty przy kołnierzu czarny dolman gospodarza ukazywał czerwoną wyszywaną włoską koszulę. – Za kilka dni znajdę kogoś na jego miejsce.

Było ciepłe, duszne i ciężkie późne popołudnie. Na moskiewskich targach kramarze leniwie zachwalali swoje dobra gburowatym klientom; w zaprzęgach drzemały zwierzęta, a białe, zwykłe krążące po niebie gołębice spały na krawędziach dachów. Otaczająca Kreml fosa śmierdziała zgnilizną, której fetor docierał niemal do połowy miasta.

– Zgrabnie powiedziane – stwierdził Szujski i rozejrzał się dookoła, oceniając wnętrze i skinieniem głowy wyrażając aprobatę. – Pięknie

się tu urządziłeś, panie, jak na cudzoziemca.

– Dziękuję – stwierdził Rakoczy, wskazując komnatkę znajdującą się w głębi domu za paradną. – Pozwól, że poradzę ci skorzystać z tego pomieszczenia. I jeżeli pozwolisz, każę kucharzom, żeby coś ci przygotowali.

Anastasij zatarł dłonie.

– Przyznam, że chętnie zjadłbym nieco ciasta, owoców i napiłbym to wszystko jakimś mocniejszym trunkiem. Tak, na taką dokuczliwą pogodę jak dziś, to byłoby najlepsze. Jesteś rozumnym człowiekiem, panie Rakoczy, i w odróżnieniu od tych polskich klechów zachowujesz się jak należy. – Obszedł dookoła komnatę paradną, z zaciekawieniem przyglądając się ciężkim angielskim draperiom. Zaopiniował jednak wyłącznie przedmioty pochodzące z Rusi. – Ta skrzynia jest pięknie zdobiona laką, to obraz przedstawiający bój z niemieckimi najeźdźcami z Zakonu Kawalerów Mieczowych, nieprawdaż? Pomyślałbym, że jak na ciebie, cudzoziemca w końcu, to osobliwy wybór. Ta latarnia pochodzi z ulicy Szczurołapów, albo nie znam moskiewskiego rzemiosła. Rzeźby na belkach pułapu są bardzo dobre. Musiałeś wynająć doskonałych cieśli.

– Chyba tak – odparł Rakoczy i odwrócił się, ponieważ na szczycie schodów stanęła właśnie Ksenia.

Upał zabarwił jej policzki, bez barwiczki wyglądała bardzo młodo; wrażenie to podkreślały długie, brązowe warkocze opadające na jej plecy, bez wstążek i spinek. Miała na sobie koszulę z czystego lnu – był to podarunek Rakoczego – i najlżejszy z sarafanów. Przez chwilę patrzyła uważnie na Anastasija, a potem powitała gościa skinieniem głowy.

– Niech Bóg okaże ci litość i łaskę, Anastasiju.

– I tobie, Kseniu Jewgienijewna. – Gość zczekał, aż Ksenia zejdzie ze schodów.

– Ufam, że czujesz się dobrze – stwierdziła Ksenia nie bez napięcia w głosie; zachowywała się tak, jakby nie za dobrze znała gościa i nie za bardzo ufała w jego dobrą wolę.

– Bóg łaskaw – stwierdził Anastasij i szerokim gestem wskazał otoczenie. – Twoje modły zostały wreszcie wysłuchane, czy nie tak? Osiągnąć to w twoim wieku to rzecz niezwykła. Mało jest kobiet, które zwlekały z zamążpójściem tak długo jak ty i tak zostały nagrodzone za cierpliwość, widzę jednak, że Pan okazał ci swą przychylność. Po nieszczęściu doznałaś wreszcie łaski odpuszczenia grzechów.

Rakoczemu nie spodobał się sposób, w jaki Anastasij zwracał się do Kseni, uznawszy jednak, że nie należy tego okazywać, odezwał się dość uprzejmie:

– Anastasiju Siergiejewiczu, małżeństwo rzadko bywa odkupieniem win.

– Cóż... – odparował Anastasij, z uśmiechem przygotowując kolejny atak – może być także wybawieniem. Nie sądzisz, kuzyneczko? – Cieszyła go własna przemyślność, która pozwoliła mu zyskać przewagę nad Rakoczym.

Ksenia nie mogła się przyłączyć do śmiechu krewniaka, mimo to zdobyła się na uśmiech.

– Z pewnością – odparła i zerknęła na małżonka.

Rakoczy, jakby nie zdając sobie sprawy z tego, że jest obiektem kpin, zachichotał, otwierając nieco szerzej drzwi do kolejnej komnaty.

– Jeżeli mi wybaczysz, kniaziu, zamówię twój posiłek.

– Oczywiście, oczywiście – odpowiedział Anastasij, niedbale machnąwszy dłonią. Nie zwracając już uwagi na gospodarza, zajął się Ksenią, którą poprowadził do alkierza.

Była to przytulna komnatka z czterema wygodnymi krzesłami otaczającymi stojący pośrodku stół z półeczką pod blatem.

Na ścianach wisiały włoskie draperie, a nad stojakiem, w którym umieszczono kilka nienapiętych myśliwskich łuków, wisiało zaskakująco śmiałe malowidło w stylu mijającego już wieku, przedstawiające nagą, jasnowłosą kobietę leżącą u stóp krępego mężczyzny obleczonego w złote szaty i mającego na głowie koronę z błyskawic: Jowisz i Semele namalowani na podobieństwo dwu ulubionych modeli artysty – Giuliana de Medici i Simonetty Vespucci.

Ksenia odczekała, aż Anastasij usadowi się na jednym z krzesel, i dopiero potem poprosiła o pozwolenie zajęcia miejsca. Złożywszy ręce, tłumiąc w sobie narastającą pewność, że popełniła błąd, czekała, aż odezwie się gość.

– Jestem rozczarowany, Kseniu – stwierdził Anastasij, nie bawiąc się w uprzejmości i przechodząc od razu do rzeczy.

Przełknęła ślinę, by zwalczyć strach, który wysuszał jej krtań.

– A teraz co zrobiłam? – Z najwyższym trudem powstrzymała się od błagań o przebaczenie za niewiadomą winę.

– Twoje ostatnie informacje o mężu dotarły do mnie dwa miesiące temu. To długie milczenie jak na młodą żonę i z pewnością poznałaś go już dość dobrze. Ale ty się lenisz. Zaniedbałaś swoje obowiązki. – Górując nad rozmówczynią, kniaź pochylił się, wparłszy ręce na podłokietnikach. Wyglądał teraz jak rozjuszony niedźwiedź. – Miałaś dowiedzieć się wszystkiego o majątku tego człowieka, a powiadomiłaś mnie jedynie o tym, co już wiedziałem – że on twierdzi, iż sam wytapia swoje klejnoty. Chyba uważa nas wszystkich za łatwo wiernych durniów!

– On nie... Powiedział mi o sobie niewiele ponad to, że pochodzi z transylwańskich Karpat – stwierdziła cichym, łagodnym głosem.

– Z pewnością mówił o sobie coś więcej – odparł Anastasij, postanowiwszy na początek uciec się do perswazji. – Kseniu, nie powinnaś przede mną niczego ukrywać. Masz wobec mnie pewne

zobowiązania, dziewczyno, i godzi się, żebyś mi wyświadczyła przysługę za to, co dla ciebie zrobiłem. Pamiętaj, że dałem ci schronienie, podczas gdy wielu wysłałoby cię na ulicę. Zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy, żeby chronić twoje nazwisko i pamięć twojego ojca. Znalazłem ci męża, na co wszyscy już straciliśmy nadzieję. Nie sądziłem, że uda ci się wyjść za mąż, ale skoro tak się stało, nie zapominaj, co jesteś winna twojej rodzinie. I nie zapominaj o swojej matce. – Książ spoznał na grzbiet prawej dłoni. – Przesłała ci matczyne błogosławieństwo i modli się dla ciebie o dziecko przed Bożym Narodzeniem.

Zmieszana Ksenia uciekła spojrzeniem w bok.

– Powiedz jej, proszę, że dziękuję, i modlę się o to samo.

– Owszem, powinnaś – stwierdził Anastasij z udaną aprobatą w głosie. – W powodzi twoich modłów matczyne powinny utonąć, nieprawdaż? Każda kobieta pragnie mieć dzieci, a ty, jako żona cudzoziemca, powinnaś pragnąć tego bardziej niż inne. – Rozluźnił się nieco, ale nadal siedział groźnie zgarbiony. – Powinnaś pragnąć służyć mężowi tak samo jak rodzinie.

– Pragnę, Anastasiju Siergiejewiczu – powiedziała cicho Ksenia. – Chciałabym...

– Samo pragnienie nie wystarczy – uciął gość z naciskiem. – Życzenia są jak lniane nici na wietrze. – Podniósł palec w geście upomnienia. – Nie wolno ci myśleć, że jesteś jak inne kobiety, ale powinnaś zapomnieć o przeszłości i oddać się mężowi, jakbyś nigdy nie zaznała mężczyzny. Masz pragnąć tylko jego, jego nasienia i jego dzieci. Ostatecznie oszczędzono ci najgorszego – nie urodziłaś mongolskiego bękartu. Nikt nie zdołałby cię przed tym uchronić. Gdyby tak się stało, twój cudzoziemski małżonek nie dałby za ciebie złamanego miedziaka. Powinniśmy się cieszyć, że byłaś na to za młoda. – Kaszlnął z udanym współczuciem. – Pragniesz mieć

pewność, że on nigdy się nie dowie, co cię spotkało i jakiego poniżenia doznałaś, bo wyrzekłby się małżeństwa. Jeżeli będziesz mi donosiła wszystko, co o nim wiesz, nie masz się czym trapić. Będziesz bezpieczna.

– On nie będzie bezpieczny. – Mocno rozdygotana Ksenia wstała. – Nie chcę mu przynieść hańby! On... – Urwała, jakby nie chciała dodać nic więcej. Jakże ją kusiło, żeby krzyknąć gościowi w twarz: “On wie! Powiedziałam mu! Nic go to nie obeszło!” Wiedziała jednak, że trzymanie Anastasija w niewiedzy jest ostatnią linią jej obrony. Dopóki Szujski sądzi, że Rakoczy o niczym nie wie, nie zdoła jej zmusić do działania przeciwko mężowi.

– Ma powód do skarg na ciebie? – zapytał Anastasij z coraz bardziej ponurą miną.

– Nie – odpowiedziała, usiłując wziąć się w garść. – Jest cudzoziemcem, jak mnie ostrzegałeś i nie przestajesz tego robić, a jego zachowanie i zwyczaje... wydają mi się dziwne. Nie rozumiem go, kuzynie. – Ostatnie stwierdzenie było prawdą.

– To musisz się uczyć – stwierdził ostro Anastasij, nie dając jej okazji do uniku. – Naprawdę musisz się nauczyć, jak go poznawać i jak dowiedzieć się o nim wszystkiego, co będziesz mogła. Nie pozwolę ci tu zostać, jeśli nie będziesz robiła tego, co ci kazano. Dano ci zadanie odkrycia jego sekretów i to właśnie zrobisz, jest to konieczne dla nas, Szujskich. Jeżeli będzie okrutny, musisz się uodpornić. Poznałaś gorsze upokorzenia.

Zacisnęła wargi i pięści; drżała jak w zamieci. W końcu opanowała się na tyle, żeby powiedzieć:

– Nie był dla mnie surowy. – Nie mogła ujawnić, że mąż nigdy nie wykorzystał jej cielesnie, ponieważ takie uchybienie wystawiłoby ją na wszelkie niebezpieczeństwa, jakich starała się uniknąć: Anastasij niewątpliwie unieważniłby małżeństwo, po czym wyszłaby na jaw jej

hańba.

W tejże chwili otworzyły się drzwi i do komnatki wszedł Rothger niosący tacę z różnymi ciastami i misą brzoskwiń kandyzowanych w miodzie oraz talerzem migdałów i otwartą butelką węgryzna obok dwu złotych pucharków.

– Pozdrowienia od mojego pana – oznajmił po rosyjsku z silnym łacińskim akcentem.

W pomieszczeniu rozniosły się wonie cynamonu, imbiru i pieprzu.

– Bardzo hojny poczęstunek – stwierdził Anastasij, przyglądając się tacy. – I przyjmę go z wdzięcznością. – Przesunął krzesło tak, żeby móc swobodnie sięgać do położonej na stole tacy.

– Przekażę twoje wyrazy zadowolenia, panie – odpowiedział Rothger z ukłonem i wyszedł z alkierza.

– Trzeba przyznać Rakoczemu, że dobry z niego gospodarz – zauważył Anastasij. Sięgnął po jedną z nadziewanych konfiturami bułeczek. Przez chwilę trzymał ją tylko w palcach i wdychał zapach. – Nie skąpi kucharzowi pieniędzy na korzenie i przyprawy. Musi cię to cieszyć, Kseniu.

Ksenia nie usiadła; stała prosto, by nie drzeć.

– Traktuje mnie dobrze – stwierdziła znów, mówiąc prawdę.

Anastasij pochłonął bułeczkę dwoma kęsami i zaczął ją żuć energicznie, nalewając sobie jednocześnie solidną porcję wina.

– Madziarowie są z tego dumni – stwierdził stłumionym głosem. Przełknął bułkę, popijając winem. Otarłszy wino i pot z górnej wargi, ciągnął: – Karmi cię codziennie, Kseniu? Jesteś taka chuda. Musisz jeść, by stać się piękna. Jak masz wykarmić dziecko, skoro codziennie głodujesz?

– Mam dość jedzenia, kuzynie – odparła Ksenia, nie ruszając się z miejsca.

– No to powinnaś jeść więcej. Proszę, poczęstuj się. Te ciastka są z

kremem. Zjedz więcej. Nie muszę cię nakłaniać, jesteś chuda w domu swojego męża. – Anastasij uśmiechnął się brzydko i wypił kolejny haust wina. – Na razie – dodał, ponownie napełniając puchar.

– Nie byłoby to właściwe – stwierdziła Ksenia. – Nie powinnam jeść pod nieobecność mojego męża.

– To może go zawołam? – zapytał Anastasij. Cała sytuacja zaczynała go bawić, lubił sobie folgować. – Po pierwsze, chcę, żebyś wywęszyła dla mnie – a masz to zrobić za kilka dni, nie za kilka miesięcy – co zrobią Polacy, jeżeli car zerwie układy z patriarchą Jerozolimy i uczyni metropolitę patriarchą ruskiej Cerkwi prawosławnej.

– Nie mówisz poważnie. – Ksenia usiłowała przewidzieć kierunek i powód kolejnego ataku. – Nie mam pojęcia o tych sprawach; wiem tylko, że dla odkupienia moich grzechów powinnam się modlić i czynić dobro.

– Dobrze powiedziane – orzekł Anastasij. – Ale to niczego nie zmienia. Jeżeli mam zachować wpływy na carskim dworze, muszę wiedzieć, jak te sprawy stoją, i to szybko.

– Dobry Boże – odparła Ksenia, żegnając się przy tym.

– Kseniu Jewgienijewna, módl się za mnie z całej duszy. Za moją uprzejmość i łagodność wobec ciebie, całą lojalność powinnaś poświęcić na wyniesienie rodu Szujskich. Dlatego też zrobisz, o co cię poproszę, i to ze szczerego serca. Nie żartuję, Kseniu. Jeżeli zawiedziesz, nie będę cię już mógł chronić. Jako żona cudzoziemca odkryjesz, że niewielu ludzi okaże ci swą przychylność, jeżeli rozejdzie się wieść o twoim pohańbieniu. – Jednym kęsem skończył bułeczkę. – A to, co spadnie na ciebie, dotknie również twoje dzieci.

– Aleja nie mam powodów do pytań o Kościół katolicki ani o polskiego króla. Jeżeli zacznę się tym interesować, mąż szybko się domyśli, że robię to na twój rozkaz. Więcej możesz się dowiedzieć od innych. Porozmawiaj z tymi polskimi księżmi, bo oni z pewnością coś

wiedzą. Od męża nie dowiem się nic, czego znacznie łatwiej nie wyciągnąłbyś od innych. – Wiedziała, że niemądrze postępuje, sprzeciwiając się Anastasijowi, ale gdy raz zaczęła, nie mogła się powstrzymać. – I niby jak mam to zrobić? Anastasiju Siergiejewiczu, obarczasz mnie zadaniem niemożliwym do wykonania, tylko po to, żeby czerpać zadowolenie z mojego upadku.

Szujski zmrużył oczy, a z jego ust zniknął uśmiezek zadowolenia i satysfakcji.

– Gdyby nawet tak było, wciąż jesteś mi coś winna. Nigdy o tym nie zapominaj. – Ponownie napił się wina, tym razem celowo nie oferując poczęstunku rozmówczyni. – Masz bardzo złe maniery.

– Tylko mój mąż może wyrazić taką opinię – stwierdziła ogarnięta strachem, który mącił jej w głowie.

– Twój mąż jest wygnańcem, który nie ma o niczym pojęcia. Twierdzisz, że traktuje cię dobrze, ale nagradzasz go uporem i niechęcią. Udajesz lojalność wobec niego po to, żebyś nie musiała służyć swojej rodzinie. Czy tak zachowują się jego rodacy? My, Rusini, mamy lepsze obyczaje. My, Rusini, nie znosimy oporu u naszych bab. – Machnął ręką, jakby trzymał w niej pas. – Wiemy, że ich ciałami rządzi diabeł.

Ksenia patrzyła i słuchała z coraz większym strachem.

– I jak niby mam z niego wyciągać takie wiadomości? Choćbyś mnie pobił, nie mam prawa o nic go pytać.

– A to już zostawiam tobie – odpowiedział Anastasij, sięgając po kolejną bułeczkę. – Coś tam wymyśl.

– Ale czemu mój mąż miałby wiedzieć takie rzeczy? I czemu miałby mi o nich mówić? – Jej głos rwał się; nie chciała, żeby Anastasij się dowiedział, jak bardzo ją przeraził.

– Mężczyzna opowiada żonie o wielu sprawach. Musisz tylko poczekać na chwilę, gdy będzie w dobrym humorze, i namówić go do

zwierzeń. Sama przyznałaś, że nie wiesz niczego o Kościele katolickim. Od tego możesz zacząć. – Wypiwszy wino, oblizał wargi i odstawił pucharek. – Kseniu Jewgienijewna, muszę to wiedzieć. I będę nalegał.

Choć wciąż czuła strach, znalazła w sobie odwagę do sprzeciwu.

– Anastasij u Siergiejewiczu, nie skompromituję mojego męża.

Szujski spojrzał na nią nie bez zdziwienia w oczach.

– Co ja słyszę, kuzyneczko? – zapytał słodko. Pogładził brodę i zmierzył ją wzrokiem, wiedząc, że jego taksujące spojrzenie zbija Ksenię z tropu. – Coś ty powiedziała?

Niełatwo jej było odpowiedzieć, bo ponownie zdjął ją strach.

– Nie skompromituję mojego męża.

– Nie będziesz mi się sprzeciwiała – poprawił Szujski. – Ze względu na honor twego nieżyjącego ojca, nie masz prawa do sprzeciwu, Kseniu Jewgienijewna.

– Nie – odparła drżącym głosem i szcękając zębami. – Będziesz musiał użyć do tego innych szpiegów. – Cofnęła się o krok. – Będę ci mówiła, czego się dowiem, ale nie zwabię go w pułapkę.

– Z pewnością nie chcesz, żeby ujawniono twoją... – Pozwoliwszy, żeby groźba zawisła w powietrzu, Anastasij zajął się wybieraniem kolejnej bułeczki, nadziewanej rodzynkami i oblanej miodem. – Nawet cudzoziemiec wypadłby z łask, gdyby stało się wiadome, co cię spotkało.

– Wy też zostalibyście zhańbieni – oznajmiła Ksenia.

– Po prawda. Hańba spadłaby na całą rodzinę. A twoja matka, żeby odkupić grzech, musiałyby się ukryć w klasztorze. Nie wiadomo, co zrobiłby twój mąż, ja jednak nie mógłbym ci pozwolić na powrót do naszego domu, i nie jestem pewien, czy mniszki zechciałyby cię przyjąć. – Odgryzał drobne kęsy bułeczki. – Może musiałybyś zarabiać na chleb na ulicach, zatrzymać się w jakimś domu bez nazwy i zostać

jedną z tych, które teraz zaszczytasz dobroczynnością.

– Przestań – zaprotestowała słabym głosem. – Nie możesz...

– Czego nie mogę? – zapytał tak samo słodziutko jak przedtem. – Czy chcesz mi powiedzieć, że nie mam nad tobą władzy? No to się przekonasz, że jesteś w błędzie. Gdybyś poślubiła któregoś z bojarów, może musiałbym się zadowolić pozwoleniem mu na danie ci nauczki. Ale Rakoczy nie jest Rusinem, tylko Madziarem. – Zachichotał cichutko.

– Pochodzi ze starożytnego rodu – stwierdziła Ksenia z ożywieniem, bo mogła bronić Rakoczego lepiej niż siebie samej. – Mówił mi, że w jego żyłach płynie bardzo, bardzo stara krew.

– Niewątpliwie tak – odparł beznamietnie Szujski. – i niewątpliwie, zanim Turcy zajęli jego ziemie, jadał codziennie na złotych talerzach i misach, siadał na tronie nabijanym dwiema setkami diamentów, ujmował w dłonie berło nabijane perłami wielkości gołębiego jaja i miał na rozkazy dziesięcioletnią konną armię, którą utrzymywał z własnej kiesy. – Znów nalał sobie wina. – Tu jednak ma tylko ten dom, wszystkie w nim rzeczy, swoje klejnoty, konie i ciebie. I to jest cały jego majątek na Rusi.

Ksenia nie umiała się powstrzymać od wykręcania palców.

– Nie możesz tego ode mnie żądać – oznajmiła cicho.

– Bo to ci się nie podoba? Bo zapomniałaś, komu winna jesteś lojalność? – Anastasij podniósł prawą dłoń w geście reprimendy. – Czy myślisz, dziewczko, że to ci się uda? Sądzisz, że twój mąż usprawiedliwi twoją zdradę, bo chcesz, by wierzył, że czynisz to dla jego dobra? Dowie się, że jesteś tylko małą ladacznicą, która zapragnęła sprzedać pozory dobrych chęci za ufność. – Uderzył dłońmi w podłokietniki i niemal rozlał wino. – Cóż to za głupstwo strzeliło ci do głowy? Nie jesteś dziewczątkiem, które niedawno opuściło terem, zajmowałaś się dobroczynnością w cerkwiach i

widziałaś, jak żyją kobiety, które nie słuchały ostrzeżeń udzielanych im przez starszych członków rodziny!

Tym razem Ksenia nie zdołała wykrztusić z siebie jednego słowa. I nie zniosła wzroku Anastasija. Choć pragnęła z wrzaskiem skoczyć mu do oczu i wydrzeć je gołymi dłońmi, stała sparaliżowana zimnym strachem.

Przerażenie młodej kobiety sprawiało Szujskiemu satysfakcję. Wstał, wziął w dłonie pucharek i przeszedł się po alkierzu.

– Rozejrzyj się wokół siebie, Kseniu. Jesteś w obcym kraju. To malowidło... – Wskazał obraz Botticellego – powinno ci wszystko wyjaśnić. Jakież porządny, bogobojny Rusin umieściłby coś takiego tam, gdzie powinna wisieć ikona? Cóż ten cudzoziemiec może przeciwstawić całemu dworowi? Jeżeli popadniesz w niełaskę, jego hańba będzie jeszcze większa, niezależnie od tego, jak bardzo car lubi topazy. Sądzisz, że ten obcy człowiek wstawi się za tobą, jeśli car w ogóle dopuści go do głosu? Będzie zbyt zajęty obroną swojej pozycji, żeby poświęcić choć chwilę na jałowe wysiłki ratowania ciebie. A zresztą on nie będzie miał dostępu do carskiego ucha. A ja tak. I odpowiesz przede mną, Kseniu Jewgienijewna, tak samo jak odpowiesz przed Bogiem. – Szujski napił się wina i ponownie napełnił pucharek; połowa butelki była już pusta.

– Kuzynie... – odezwała się błagalnie, czując narastający w gardle uścisk. Postanowiła sobie tylko, że choćby nie wiedzieć co, nie zapłacze i nie da mu satysfakcji sycenia się jej łzami.

– O co chodzi, Kseniu? – zapytał z fałszywą troską w głosie. – Naprawdę powinnaś napić się wina, to cię wzmocni. – Przerwał na chwilę, by nalać wina do drugiego pucharka. Potem podał jej kielich. – Masz. Napij się.

Choć nienawidziła wszystkiego, co pochodziło z rąk Anastasija, niechętnie wzięła pucharek i wymamrotawszy coś, co od biedy można

by uznać za podziękowanie, podniosła naczynie do ust.

– Proszę. To ci pomoże zapanować nad uczuciami, kuzyneczko. Z pewnością tego właśnie sobie życzysz. – Szujski uśmiechnął się raz jeszcze. Gdy zobaczył, jak mocno drżą dłonie Kseni, uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Najważniejszą sprawą, kuzyneczko, jest stanowisko Kościoła katolickiego. Musimy wiedzieć, co powie papież, jeżeli wyniesiemy moskiewskiego metropolitę do godności patriarchy. Ci rzymscy heretycy mogą rozpocząć kolejną krucjatę, a my nie możemy liczyć na to, że z grobu wstanie święty Aleksander Newski i rozgromi ich po raz wtóry.

Zapach wina uderzył Kseni do głowy; pomyślała, że nie skosztowawszy ani kropli, zaraz będzie podchmielona. Nie chciała słuchać tego, co mówi Anastasij, jego gładkie słowa oblepiały ją i sprawiały, że czuła się zbrukana. W końcu upiła nieco wina.

– Po co przybyli tu polscy jezuici? Utrzymują, że reprezentują Batorego, ale to może być wygodne kłamstwo, które pozwoli im ukryć prawdziwy cel. Rakoczy będzie wiedział. On też otrzymał rozkazy. A ty się dowiesz, Kseniu, jakie one są. A gdy się dowiesz, to mnie powiadomisz. Niezwłocznie. – Szujski mówił teraz ciszej i przysuwał się coraz bliżej, aż mógł sięgnąć łąpskiem i pogłodzić jej włosy. – To bardzo ważne, Kseniu Jewgienij ewna. Musisz to zrobić.

Napiła się ponownie, tym razem śmiało i bez obaw napełniając usta winem.

– Porozmawiaj z nim niezwłocznie, Kseniu, i dowiedz się czegoś interesującego, bo jak nie, to ja z nim porozmawiam o innych sprawach. – Szujski owinał sobie warkocz Kseni wokół palca, a potem go puścił.

Od drzwi dobiegło do nich dyskretne chrząknięcie.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam? – zapytał Rakoczy, kłaniając się Anastasijowi niezbyt głęboko i na europejską modłę. – Nie

chciałbym zbyt długo zaniedbywać obowiązków gospodarza.

Anastasij z grymasem niechęci na ustach odsunął się od Kseni. Nie lubił, gdy mu przeszkadzano, żywił też niejasne podejrzenia, że stojąc przy drzwiach, Rakoczy usłyszał więcej, niż powinien. To ostatnie uznał za wysoce nieprawdopodobne, ale mimo wszystko nie przestał się krzywić. Podnosząc puchar do warg, zauważył:

– Bardzo dobry trunek. Też powinieneś się napić, hrabio.

Rakoczy skwitował propozycję tajemniczym uśmiechem.

– Nie pijam wina.

– Masz słabą głowę? – Anastasij nie potrafił ukryć kpiny w głosie. Wlał sobie do pucharka resztę trunku. – Nie wiedziałem, że Madziarzy cierpią na tę dolegliwość. No, chyba że przejąłeś ją od Turków. Oni nie piją wina, czy nie tak?

Rakoczy, nie zwracając uwagi na obraźliwe insynuacje Szujskiego, odpowiedział wprost:

– Nie, zgodnie z ich Świętą Księgą nie wolno im pić wina. – Wzruszył ramionami. – Ale czy spotkałeś, panie, kogoś, kto żył zgodnie z wymaganiami świętych ksiąg?

Anastasij parsknął śmiechem.

– Bystra i prawdziwa uwaga. – Odwrócił się szybko, co sprawiło, że po palcach pociekło mi kilka kropel wina z pucharka. – Księża nieustannie nam o tym przypominają.

Ksenia już wcześniej podeszła do Rakoczego i teraz stanęła u boku męża. Upiła jeszcze jeden łyk wina i odstawiła puchar na tacę.

– Mój kuzyn... mówił o wielu sprawach. Nie byłam świadoma tego, jak zaniedbywałam rodzinę. Powinnałam być już dawno odwiedzić matkę.

– Zaproś ją do nas, zapewnię odpowiednią eskortę – podsunął Rakoczy i dodał, zwracając się do Anastasija: – Jeśli to ci, panie, odpowiada. – Patrzył na gościa z nikłym rozbawieniem czającym się

w kącikach jego ciemnych oczu. – Anastasiju Siergiejewiczu, mógłbyś jeszcze coś przekąsić. Nie chciałbym, żeby przy takich upałach rozboleła cię głowa.

– Masz, panie, bardzo zmyślnego kucharza.

– Tak mi mówiono, miło z twojej strony, kniaziu, że doceniasz jego starania. – Rakoczy wyczuwał niepokój Kseni i wiedział, że będzie trwał tak długo, jak długo Anastasij pozostanie ich gościem. – Może zechciałbyś przywieźć nam tu matkę Kseni i zjeść wspólnie z nami obiad? Mogę to urządzić, kiedy wam będzie wygodniej, sami wybieriecie czas.

– Chciałbym, żeby towarzyszył nam Piotr Grigorjewicz Smolnikow. Biedaczyna ma niewiele radości od czasu, kiedy stracił wzrok – oznajmił Anastasij, uśmiechając się promiennie. – Ponieważ wysłałem żonę i dzieci do wiejskiej posiadłości, sam muszę dbać o moich moskiewskich rezydentów.

– To godne pochwały – stwierdził sucho Rakoczy. Umilkł na chwilę, a potem dodał: – Nie chcę naglić, kniaziu, ale niezadługo muszę opuścić mój dom, i nie byłoby dobrze, żebyś tu został pod moją nieobecność.

– To też wasz transylwański zwyczaj? – Anastasij wetknął sobie w gębę usmarowany miodem i kremem palec, a potem do czysta go oblizał. – Zjem jeszcze jedną z tych bułeczek, są naprawdę wyśmienite – i się pożegnam. Rad jestem, że mogłem porozmawiać z kuzyneczką. Bardzo za nią tęsknimy, bardzo... – Pochłonawszy kolejny kęs bułeczki, zajął się oczyszczaniem wąsów z kremu, a potem dopił wino i odstawił pucharek. – Za czasów cara Iwana te pucharki dawano w darze tym, którzy bywali na jego ucztach. Sam mam takie trzy.

Rakoczy uśmiechnął się kpiąco.

– Jeśli to nie umniejsza wartości darów Iwana, weź, panie, i ten pucharek. – Ukłonił się Anastasijowi. – Uznaj to za oznakę mojego

szacunku, jaki okazuję krewniakowi żony.

Anastasij kiwnął głową kilka razy, jakby wprowadzając ją w ruch, miał trudności z jego zatrzymaniem.

– To bardzo ładne. – Nie sposób było orzec, czy ma na myśli dar, czy gest gospodarza. – Postawię go na półce pod pucharami carskimi – oznajmił, przelatykując ostatki bułeczki. – Tak, to będzie dla niego odpowiednie miejsce. – Podniósłszy puchar, przez chwilę obserwował grę światła na jego powierzchni. – Bardzo cenny. Rad jestem, że go dostał.

– Dzięki za przyjęcie tego podarunku – odpowiedział Rakoczy, idąc wolno w kierunku drzwi; niezbyt natrętnie zmuszał Anastasija, by szedł za nim. – Dumny jestem z rzeczy, które sam zrobiłem.

Anastasij wypił dość wina, żeby go ośmieliło, choć nie na tyle, by palnął coś głupiego, więc nie skwitował wypowiedzi gospodarza śmiechem. Machnął tylko niedbale dłonią.

– I to wystarczy? Masz sposoby, żeby je robić, więc gdy to ci odpowiada, to po prostu robisz?

– Właśnie tak – odparł Rakoczy, otwierając drzwi do alkierza i przytrzymując, żeby zostały otwarte.

– Po prostu wytwarzasz złoto w kociołku tak jak te swoje kamienie? – zapytał Anastasij z kupieckim uśmiechem. – Jakież to przebiegłe. Ilu z tych polskich posłów w to wierzy?

– Niezbyt wielu – odparł dość szczerze Rakoczy. – Zechciej jednak się zastanowić, Anastasiju Siergiejewiczu, jak mógłbym przywieźć do Moskwy tyle złota, tak żeby nikt tego nie spostrzegł?

– Nie umiem odpowiedzieć – stwierdził Anastasij, ocierając spocone czoło obszernym rękawem. – Przybyłeś tu ze skrzyniami. Miałeś wiele skrzyń opasanych skórzanymi obejmami i pozamykanych. Tak przywiozłeś tu swoje złoto i klejnoty.

Rakoczy, ujrawszy stojącego przy drzwiach Rothgera, lekko się

skłonił.

– Nie wiem, co rzec – oświadczył i skinieniem dłoni kazał słudze otworzyć drzwi. – Masz odpowiedzi na wszystko.

– Albo będę miał – obiecał Szujski, kłaniając się Rakoczemu przy drzwiach. – Jeszcze tu wrócę.

– Oczywiście, że wrócisz, panie, gdy tylko dasz czas mnie i mojej żonie, byśmy mogli przygotować ucztę dla ciebie, jej matki i tego ślepego starego wojaka, tak jak to czynią Florentyńczycy. – Hrabia po raz kolejny ukłonił się na modłę europejską.

Anastasij pogroził mu lekko palcem.

– Wiemy coś o Italczykach, ich architekci projektowali kremlowskie pałace, a ojciec Possevino też nam co nieco pokazał. Powinieneś wiedzieć, że nie jesteśmy łatwowiernymi durniami, którzy przyjmą każdą bajeczkę, jaką się im opowie. Jeżeli nie pokażesz nam florenckich manier...

– Kniaziu, mieszkałem we Florencji – odparł Rakoczy, nie uznając za stosowne dodać, iż było to sto lat temu. – I w Wenecji, i w Rzymie...

– Taki już jest los wygnańców – stwierdził Anastasij z mądrą miną, dając znak, by przyprawiono mu konia. – Niedługo zjemy ten wspólny obiad. Jeszcze przed końcem miesiąca.

– Z przyjemnością powitam was w moich progach – obiecał Rakoczy.

Anastasij przeżegnał się przed drzwiami, zachichotał i wolnym krokiem wyszedł na zewnątrz.

Gdy tylko ucichł tętent kopyt konia Anastasija, w drzwiach alkierza stanęła Ksenia, patrząc na męża wielkimi, orzechowymi oczami.

– Mój mężu, nic mu nie powiedziałam – oznajmiła cicho i z rozpaczą w głosie.

Gotów już udać się do pracowni Rakoczy przystanął u podnóża

schodów.

– Tak, wiem – odparł łagodnie. – A chciałaś?

Ksenia wydała cichy, wysoki jęk i podbiegłszy do męża, padła przed nim na kolana.

– Nie! Przysięgam na Chrysta i Przenajświętszą Panią, że nie chciałam mu nic powiedzieć. – Spojrzała Rakoczemu prosto w oczy. – Błagam, nie złość się na mnie. Cóż pocznę, jeżeli potraktujesz mnie tak, jak Anastasij?

– Kseniu... – odpowiedział Rakoczy bardzo łagodnie, jednocześnie klękając przed żoną. – Z mojej strony nie musisz się niczego obawiać. I zapewniam cię, że nie musisz już się bać swojego kuzyna.

Ksenia żywo potrząsnęła głową, nie chcąc patrzeć w ciemne, spokojne oczy męża.

– On może mnie zniszczyć i na pewno to zrobi. Zrobi to, wiem, że to zrobi.

– Mnie nie zdoła zniszczyć, a nie jest aż tak głupi, żeby doprowadzić do własnej zguby – stwierdził spokojnie Rakoczy. – Twój kuzyn Anastasij jest zbyt ambitny, by samemu się tak skompromitować.

Spojrzała mu w oczy i uciekła wzrokiem w bok.

– Nie powiedziałam mu, że wiesz. Nie dałam mu po sobie nic poznać. Zatrzymałam to dla siebie.

– Bardzo dobrze – stwierdził Rakoczy, ujmując ją pod ramiona tak, żeby podnieść żonę, wstając samemu. – Nie ma powodu, by cokolwiek mu mówić, chyba że sama tak postanowisz.

Ksenia zaczęła drżeć.

– On mnie przeraża. – Zęby to wyznać, musiała zebrać resztki gasnących już sił, a potem przygotowała się na skarcenie, które musiało nastąpić po tym wyznaniu.

Rakoczy dotknął jej policzka.

– Wiem.

Rozdygotana Ksenia przyłgnęła do męża z westchnieniem i jakby szukając w nim i jego ukrytej sile schronienia, złożyła mu głowę na ramieniu.

Rakoczy delikatnie wziął ją w ramiona.

Napisany po łacinie list ojca Pognera do króla Polski Stefana Batorego.

Szlachetnemu Madziarowi, który obecnie włada Polską najszczerze pozdrowienia z polskiego poselstwa w Moskwie.

Od samego początku naszej misji moim najgorętszym pragnieniem było służyć interesom tronu do granic dopuszczalnych przez Kościół. Spędziłem wiele miesięcy, przygotowując się do honorowego wypełnienia tej misji. Pozostali kapłani zasadniczo dzielili ze mną ten sam cel i dokładali starań, żeby dokonać tego, po co nas tu, Najjaśniejszy Panie, przysłałeś. Rzadko musiałem ganić ich postęпки-, wyjątkiem jest ojciec Krabbe, który najwyraźniej zmierza do innego celu.

Jeżeli Wasza Królewska Mość wyrazi zgodę, rozkażę ojcu Krabbe wrócić do Polski, zanim spadną śniegi albo podczas pierwszych prawdziwych odwilży z wiosną. Nie chcę, by podróżował zimą w czas złej pogody, ponieważ jest chyba słabszego zdrowia niż pozostali członkowie naszej grupki i jego płuca padają ofiarą złośliwej gorączki. Podczas tej zimy dwakroć się rozchorował i za każdym razem nalegał, żeby sprowadzono do niego tego szarlatana Rakoczego, na co zezwalałem tylko dlatego, że przyjrząwszy się ruskim medykom, nabrałem przekonania, iż ojciec Krabbe nie trafi w gorsze ręce, bo Rusini są jak zwykli zielarze i więcej znachorzy.

Od zawarcia małżeństwa Rakoczy niewiele czasu spędza z nami w naszej siedzibie. Powiedział Anglikom, że to dlatego, iż zabroniłem mu tu

przychodzić, co nie do końca jest prawdą, i przyznam, że nie podoba mi się wrażenie, jakie ta wypowiedź musiała zrobić na cudzoziemcach. Nie zabraniałem mu przychodzenia do naszego poselstwa, choć oczywiście nie uznajemy jego małżonki, nie pozwolę mu też rozprawiać o tym, co on nazywa Wielką Sztuką, to znaczy o szalbierczej alchemii.

Mimo dobrodziejstw i łask, jakie okazywał mu car Iwan, Rakoczy, na wzór większości cudzoziemców w Moskwie, żyje na uboczu. Miejskie prawa w tym mieście są trudne i niełatwo ich w pełni przestrzegać, musimy więc polegać na naszych ruskich służących, mówiących nam, jak postępować. Dlatego dobieramy służbę bardzo ostrożnie i przyjmujemy jedynie tych, co mogą się popisać jakimiś umiejętnościami. Na korzyść Rakoczego muszę stwierdzić, że znalazł nam sługę potrafiącego czytać i pisać i chętnego do pomocy. Uczyniliśmy Jurija Piotrowicza naszym najważniejszym posłańcem i z przyjemnością stwierdzam, że jest nam ogromnie pomocny. Jedynie ojciec Krabbe uwierzył zapewnieniom Rakoczego, iż człek ów może być szpiegiem któregoś z bojarów. To bardzo typowe dla tego szarlatana, że chce nas pozbawić możliwości wykorzystania w pełni usług zdolnego człowieka.

Hrabia Zary dawno już musiał Cię, Miłościwy Panie, poinformować o tym, jaka była sytuacja w Moskwie, gdy z niej wyjeżdżał. Tymczasem po śmierci Iwana dwór podzielił się na wojujących ze sobą zwolenników Borysa Godunowa i Nikity Romanowicza. Obu tych mężów car Iwan wyznaczył do opieki nad swoim, dziedzicem, Fiodorem. Niestety, obaj od samego początku nic mogli się pogodzić, a dzielące ich różnice pogłębiają się w miarę upływu czasu. Sądzę, że spory i niesnaski na dworze będą trwały tak długo, jak długo młody car nie będzie zdolny do samodzielnego sprawowania rządów.

Obawiam się jednak, że bez Bożej Łaski dzień taki nigdy nie nadejdzie, ponieważ młody ten człowiek pozostaje niewinny i prosty jak czteroletnie dziecko. Jest niezwykle miły i uczuciowy z natury, ale odnosi się do ludzi z

dziecięcą ufnością, a nie z oddaniem i poświęceniem charakteryzującym wielkich władców. Car Fiodor z upodobaniem nadal zajmuje się dzwonami i dworskimi uroczystościami. Nie potrafi się jednak zdobyć na cierpliwość, więc wszystkie dworskie ceremonie skracane są tak, jak to tylko jest możliwe, i rzadko przyjmuje się zagranicznych postów. Istotne sprawy dyplomatyczne załatwia Godunow na prywatnych audiencjach.

Ojciec Kownowski podjął się zawarcia bliższej znajomości z Nikitą Romanowiczem Zacharynem, spodziewa się bowiem, iż w przyszłości gwiazda Romanowów wejdzie wyżej. Wierzy, iż uda nam się ustanowić bliskie kontakty z Godunowem i Zacharynem, i robi, co może, żeby osiągnąć ten cel. Ja osobiście nie podzielam jego optymizmu i nie wierzę, żeby mądrze było hołubić Zacharyna, gdy wszelkie decyzje dotyczące stosunków z Polską podejmuje Godunow. Dopóki jednak ojciec Kownowski będzie dzięki swoim staraniom, osiągał jakieś rezultaty, pozwolę mu realizować jego dzieło jak moje własne. I zrobię wszystko, by uchronić poselstwo od wszelkich podejrzeń o stronnictwo.

Niechże wolno mi będzie zapewnić Waszą Królewską Mość, że dla powodzenia naszej misji powinniśmy trzymać się z dala od Rakoczego. Okazał już swoją perfidię, żeniąc się z tą Rusinką, i nie słucha moich zaleceń odnoszących się do jego stosunków z dworem. Jestem bardziej niż kiedykolwiek przekonany o tym, że przeszedł na stronę carów i przy najbliższej okazji zechce ściągnąć na nas niełaskę. Nie jest to już sprawa mojej osobistej niechęci, ale zwykłej konieczności obrony polskich interesów. Wygnaniec znalazł sobie kolejny kraj, w którym postanowił się osiedlić. Jeżeli tak się stanie, my, którzy jesteśmy wierni Polsce i Kościołowi, będziemy musieli z nim zerwać, żeby zachować niezależność i pełnić nasze zadania.

Modląc się nieustannie, żeby Bóg pozwalał Polsce zwyciężać jej nieprzyjaciół i obdarzał Cię, Panie, mądrością i przenikliwością, kreślę się jako najbardziej oddany z Twoich ambasadorów.

*Z łaską i pod przewodnictwem Boga Ojciec Kazimierz Pogner Członek
Towarzystwa Jezusowego i ambasador na moskiewskim dworze cara
Fiodora 12 lipca roku Łaski Pańskiej 1584 wedle kalendarza
zreformowanego*

. 7 .

Spotkali się przy Bramie Spasskiej. Wasyl Szujski opuszczał Kreml, a Borys Godunow na czele dwunastoosobowego oddziału konnych wracał z czterodniowej inspekcji położonych na zachód od Moskwy forteczek. Zatrzymał konia na zwodzonym moście, by przeżegnać ikony, gdy spostrzegł, że przygląda mu się Wasyl. Pozdrowili jeden drugiego z należyty szacunkiem, nie zdradzając prawdziwej niechęci.

– Borysie Fiodorowiczu, jakież to zrządenie losu pozwala ci tak wcześniej wracać z wykonanym zadaniem? – zapytał Szujski nie bez zarzutu w głosie.

– Los mi sprzyjał – odparł krótko Godunow; tego dnia spędził w siodle już sześć godzin i kręgosłup bolał go niemal tak samo jak pośladki. – Polacy dotrzymują umowy, a Nowogród nie sprawia kłopotów. Szwedzi zadowolają się pozostawaniem na swoich pozycjach.

– Z pewnością nie oczekiwałeś żadnych kłopotów? – zapytał Wasyl, wstrzymując nagłą i gwałtowną chęć kąśliwej odpowiedzi: będzie na to czas później, w miejscu gdzie nie znajdą tylu świadków.

– W tych czasach nikt nie może być niczego pewny – rzekł Borys. – Właśnie po to pojechałem sprawdzić gotowość w tych forteczkach. Możemy złożyć carowi raport o ich stanie, a ja zawczasu dostałem listę ich potrzeb, więc przed nadejściem zimy podeślemy im spyzę i inne zapasy.

Wasyl szerokim gestem wyraził niezadowolenie z powodu upału i wietrznej pogody.

– Z pewnością macie jeszcze czas, z miesiąc albo więcej.

– Mamy już prawie wrzesień i liście zaczynają żółknąć. Bojarzy z wiejskich posiadłości ostrzegają, że w tym roku będzie wczesna i ostra zima. Wszystko zapowiada silne mrozy. Musimy szybko się zająć zaopatrzeniem tych forteczek, zanim nadejdą pierwsze zamiecie. – Borys spostrzegł, że mają coraz liczniejsze audytorium, więc stłumił nutki oskarżenia w głosie.

Wasył uczynił gest łączący w sobie łaskawą zgodę z twierdzeniem Godunowa i wyższą wiedzę, którą posiadał z prawa jako Szujski.

Spojrzał krytycznie na eskortę rywala.

– Niezbyt liczny orszak zbrojnych jak na taką wyprawę, gdy spodziewasz się kłopotów.

– Powinieneś więc zrozumieć, że nie spodziewałem się kłopotów i nie zamierzałem obrażać komendantów tych forteczek, kwestionując wyszkolenie i doświadczenie ich żołnierzy. – Podbródkiem wskazał jadących za nim konnych. – To doświadczeni ludzie i wzięłem ich ze sobą nie tylko dla obrony; słuchałem ich opinii tak samo jak raportów komendantów i cenię sobie ich zdanie.

– Więc im ufasz? – zapytał Wasył, spoglądając wprost w twarz Borysa, choć sam przez to musiał wystawić swoją na słońce tak, że zmusiło go do zmrużenia powiek. – Można by pomyśleć, że jesteś Rusinem. – Cierń w uwadze był zamierzony i Wasył nie bez satysfakcji dostrzegł ból w ciemnych tatarskich oczach.

– To dobrzy ludzie, wierni carowi i wypróbowani w bojach – stwierdził Borys świadom tego, że musi się wstawić za swoimi ludźmi albo zaryzykować, że poczują urazę. – Za to wszystko Ruś powinna im dziękować.

Wasył uśmiechnął się, co dodało wdzięku jego urodziwej twarzy. Był to rozmyślny ruch, z którego często korzystał. Rozejrzał się dookoła, nie bez satysfakcji notując, że zebrała się przy nich spora grupka słuchaczy.

– I kiedy to zamierzasz przedstawić swoje spostrzeżenia carowi Fiodorowi?

– Jutro – uciął Borys. – Będzie po temu okazja. W Złotej Komnacie, w obecności doradców. – Już miał dać znak ludziom, żeby ruszyli za nim, ale Wasyl jeszcze nie skończył.

– I jak sądzisz, co zrobi nasz car? Borysie Fiodorowiczu, wiesz przecież, że Fiodor Iwanowicz nie interesuje się niczym, co nie dzwoni. – Szujski wciąż się uśmiechał, zachęcając innych do podobnego zachowania.

– Spodziewam się, że car mnie wysłucha – stwierdził Godunow. – Możesz przyjść, Wasylu Andriejewiczu, i też posłuchać, by się upewnić, że car otrzymał dokładny, pełny raport. – Ostatnia uwaga miała ukłuć Szujskiego; był równie zły na siebie samego za to, że dał się wciągnąć w to niespodziewane starcie, jak na Wasyla za to, że je zapoczątkował. Dał ostrogę zmęczonemu koniowi, myśląc już o łaźni i uldze, jaką kąpiel miała przynieść obolałym mięśniom.

– A skąd mam wiedzieć, że to, co usłyszę, jest prawdą? – rzucił wyzywająco Wasyl, nie chcąc oddać zyskanej przewagi.

– Wypytasz tych wojaków. Albo możesz odwiedzić te forteczki sam, jeżeli uznasz, że nie dość dobrze wykonaliśmy nasze zadanie. – Borys postanowił odpłacić Wasylowi pięknym za nadobne. – Ale car może źle zrozumieć twoją chęć wyjazdu z Moskwy w orszaku zbrojnych. Kto wie, czy nie uzna tego za przejaw buntu.

Wszyscy moskwianie dobrze znali ambicje Szujskiego i ostatnia uwaga odebrała mu sympatię gapiów: teraz półgębkiem śmiano się z Wasyla. Uśmiech opuścił oblicze ambitnego kniazia, który skłonił się tylko w milczeniu, dając znak do zakończenia rozmowy.

Borys oddał mu ukłon z siodła i stwierdził bardzo spokojnie:

– Fiodor Iwanowicz może jest naiwny jak dziecko, ale my, którym Iwan powierzył opiekę nad synem, tacy nie jesteśmy. – Po

tych słowach uderzył konia piętami. Rumak ruszył ostrym cwałem, roztrzając gapiów, co otworzyło Borysowi drogę na kremlowski dziedziniec.

Eskortujący Borysa konni ruszyli za nim truchtem.

Wasył pozostał na miejscu; nie chciał zrobić wrażenia, że Borys go odprawił. Gdy ostatni jeździec zniknął na dziedzińcu, Wasył odszedł, przeżegnawszy się pierwiej przed ikoną Chrystusa Zbawiciela, od której wzięła nazwę cała Brama Spasska.

tego dnia Plac Czerwony pełen był ludzi; moskwianie, przechodząc od kramu do kramu, kupowali płody lata, zanim ono przeminie. Oblegane były zwłaszcza kramy z owocami i jagodami, kramarze podbijali ceny, wiedząc, że wkrótce nie będą już mieli niczego na sprzedaż. Handlarze jabłkami zaczęli dopiero przywozić towar i ich ceny były przyzwoite, takie zresztą miały pozostać jeszcze przez miesiąc. Wieśniacy sprzedający kapustę i cebulę nie mogli się pochwalić większymi zyskami, wiedzieli jednak, że odbiją to sobie pod koniec roku, gdy z rynku znikną inne warzywa.

Wasył obszedł kramy, minął platformę zwaną Czołem Świata, będącą w istocie carskim zwierzyńcem, i niewielką kapliczkę poświęconą świętemu Piotrowi Złotoustemu, a potem wszedł w jedną z wąskich uliczek otaczających ogromny plac. Szedł poprzez labirynt zaułków, dopóki nie dotarł do warsztatu bednarza. Był tu niewielki dziedzińczyk, na którym ładowano i rozładowywano wozy, po drugiej jego stronie znajdowała się oberża, w której podawano kwas i młode krymskie wino. Szujski przeszedł prosto do szynku i usiadł w cieniu, trzymając się z dala od stałych gości, a blisko ustawionych przy drzwiach baryłek. I czekał, wsłuchując się w stuk młotków i okrzyki bednarzy mieszające się z dźwiękiem dzwonów z wież pobliskiej cerkwi.

Wkrótce potem do szynku wszedł jasnowłosy młodzieniec odziany

jak sługa; jego szczerą, ruską twarz rozjaśniał przymilny uśmiech. Zdjął czapkę i przez chwilę gniótł ją w dłoniach, rozglądając się ostrożnie po izbie, jakby spodziewał się kłopotów. Wszedł dalej i wpatrzył się w zalegający oberżę mrok. Potem wsunął czapkę za pas i nieznacznie się wyprostował.

– Chciałeś się ze mną zobaczyć? – zapytał Wasyl, wychylając się zza stołu.

– Kniaziu... – odezwał się szybko Jurij, składając niski ukłon. Spojrzawszy na czterech drzemiących nad kuflami wozaków, podjął decyzję i podszedł wprost do Szujskiego. – Nie wiedziałem, czy ktoś w ogóle przyjdzie.

– Twoja kartka zainteresowała mnie, bo była spisana – stwierdził Wasyl, nie zadając sobie trudu i nie uśmiechając się zachęcająco. Wiedział, że młody człowiek już do niego należy, i nie trzeba było go ponaglać. – Nieczęsto się zdarza, żeby jakiś sługa składał taką propozycję, i nie w ten sposób. – Spojrzał z namysłem na rozmówcę. – Jak nauczyłeś się czytać i pisać i jak zdołałeś wsunąć mi tę kartkę w juki?

– Jechałeś bardzo wolno, kniaziu, a tłum był gęsty – padła szybka odpowiedź. – Ludzie się przepychali i musiałem tylko...

– Pomysłowe. Zostawmy na chwilę rozważania, jak posiadasz te... umiejętności. – Wasyl nic pozwolił Jurijowi dokończyć. – Na razie nie muszę tego wiedzieć. Dopiąłeś swego i zwróciłeś na siebie moją uwagę. Na razie liczy się tylko to, nieprawdaż? – Położył ręce na stole. – Dlaczego sądzisz, że chciałbym wiedzieć, co się dzieje w polskim poselstwie wśród papieżników?

Takiego pytania Jurij się nie spodziewał. Skupiwszy myśli, potarł ramiona przez rękawy rubaszki.

– Jesteś kniazem, panie, a na Rusi nie ma zbyt wielu kniaziów. Muszą cię interesować poczynania cudzoziemców.

– Są jeszcze inni wpływowi ludzie, którzy chcieliby to wiedzieć. Próbowałeś się do nich zbliżyć? – zapytał kąśliwie Szujski.

Jurij uciekł spojrzeniem w bok, a potem krótko popatrzył wprost w oczy Wasyla.

– Ja... jestem krewniakiem Piotra Nagoja. Proszono mnie o składanie meldunków...

Wasył ponownie mu przerwał:

– Piotr Nagoj, Piotr Nagoj... – mruknął, jakby usiłując sobie przypomnieć właściciela nazwiska. – Piotr Iwanowicz czy Piotr Michajłowicz?

– Piotr Michajłowicz – odparł niechętnie Jurij.

– A niech mnie... – uśmiechnął się Wasył. – Istotnie, nie ma się czym chwalić.

Twarz Jurija spochmurniała.

– Wiem, on ma kiepską reputację.

– I brak mu majątku, żeby poprawić ten stan rzeczy – stwierdził Wasył z niesmakiem w głosie. – Piotr Michajłowicz jest libertynem, gburem, tchórzem, hulaką i pijanicą. Są w Moskwie miejsca, gdzie wymówienie jego imienia wygnałoby cię z towarzystwa. – Przez chwilę badał Jurija wzrokiem. – Zgaduję, że jesteś jego bękartem?

Jurij odetchnął głęboko.

– Tak. Nie tylko ja zresztą, podejrzewam, że mam kilkunastu przyrodnich braci i sióstr. – Uderzył dłonią w blat stołu. – Ale traktował mnie lepiej od innych. Matka namówiła go, żeby mnie wykształcił i wysłał do Moskwy. Zgodził się, choć moi bracia i siostry musieli zostać w jego majątku. – W głosie Jurija zabrzmiały nutki, które zwróciły uwagę Wasyla, była to ukryta wściekłość, z jakiej sam chłopak nie zdawał sobie sprawy.

– A on cię odesłał do Grigorija Dymitrewicza – stwierdził Wasył, jakby badając rozmówcę, ale w jego głosie zabrzmiały też nutki

rozbawienia. – Nie bardzo można to uznać za uwolnienie z poddaństwa, nieważne, co mówił twojej matce.

– Tak. – Jurij nie krył już swej nienawiści.

– A ty wciąż składasz mu raporty? – zapytał Wasyl.

Jurij nie od razu odpowiedział, a gdy to uczynił, na jego twarzy pojawił się gniew.

– Chodzę do niego raz w miesiącu i mówię mu, co się tam dzieje; częściej, jeżeli zdarzy się coś godnego uwagi. Gdy mnie zdemaskowano w domu tego cudzoziemskiego alchemika...

– U Rakoczego? Byłeś służącym u wygnańca? – przerwał nagle zaciekawiony Wasyl.

– Tam mnie posłał Grigorij Dymitrewicz. Nie zagrzałem tam miejsca. Ten jego diabelski służący ma na wszystko oko, śledzi służbę i mówi panu, co widział. – Jurij spojrzał w brudne, zasłonięte pergaminem okno. – On... znaczy, Rakoczy... wysłał mnie do tych księży.

– Wysłał cię do polskich księży? Dlaczego? – Teraz Wasyl głośno się zastanawiał. Ten cudzoziemiec zaskakiwał go znacznie częściej niż inni. – Jaki miał powód?

– Nie wiem – odparł ponuro Jurij. – Powiadomił księży, co zrobiłem, ale powiedział, że czyni to ze względu na moją znajomość pisma.

– Zaskakujące posunięcie. – Wasyl pogładził się po brodzie. – I co, Polacy cię przyjęli mimo to, co im powiedział?

Na dziedzińcu warsztatu bednarza rozległy się wrzaski, a potem łoskot zderzających się i spadających z ładowanego wozu beczek. Jakiś mężczyzna zawył z bólu, bo beczki w dwu miejscach złamały mu nogę.

– Ojciec Pogner chyba mu nie uwierzył – stwierdził Jurij, zaśmiawszy się krótko. – Ten dziadyga nienawidzi Rakoczego.

– Istotnie? – zapytał Wasyl, zastanawiając się, jaki w końcu mógłby mieć pożytek z Jurija. Popatrzył na młodzieńca ze zwodniczą troską w oczach. – Chcesz mi służyć, by się wyzwolić spod kurateli rodziny, dobrze mówię?

– Tak – przyznał otwarcie Jurij. – Jeżeli mnie nie weźmiesz, panie, poszukam kogoś innego. Nie będę służył Nagojom. Za to, co zrobiłem, powinni byli dać mi swoje nazwisko i pozycję.

– Ambitni służący są zdradzieckimi gadami – upomniał go Wasyl. – Za znacznie mniejsze winy ludzie dostawali baty.

– Mnie się to nie przydarzy – stwierdził Jurij z tak głębokim przekonaniem, że Wasyl mu uwierzył. – Pierwej się zabiję, niż dam się wychłostać. Wiem, jak to jest. Mój ojciec skazał na chłostę kilku pańszczyźnianych za to, że w zimie zabili i zjedli parę kurczaków. Zasieczono ich na śmierć, przeżyli tylko dwaj, którzy teraz są żebrzącymi pod cerkwią kalekami. Żaden nie może chodzić i tylko jeden zachował rozum. Ich rodzinom zakazano opieki nad nimi pod groźbą takiej samej kary.

– A gdyby cię schwytano, zanim zdołasz się zabić, to co? – zapytał Wasyl, sycąc się determinacją okazywaną przez młodego desperata.

– Są rozmaite sposoby na zadanie sobie śmierci. Niektóre nieprzyjemne, ale knut jest gorszy. W razie czego coś wymyślę. – Jurij spojrzał wprost na Wasyla. – Nie zrobię tego, żeby ratować ciebie, panie, tylko siebie. – Jego twarz zmiękła. – Muszę przyznać Rakoczemu, że gdy mnie zdemaskował, nie skazał mnie na chłostę. Zastanawiam się, czy potrafiłby się na to zdobyć... – dodał po chwili rozmyślań.

– Cudzoziemcy to tchórze i durnie – stwierdził Wasyl gotów uznać to za wystarczające wyjaśnienie.

– Owszem, ale myślę, że Rakoczy miał inne powody. – Jurij przez chwilę wpatrywał się w nierówną powierzchnię stołu, jakby

spodziewał się wyczytać na niej odpowiedź. – Nie wiem, co o nim myśleć.

– Jest cudzoziemcem i niech ci to wystarczy – stwierdził Wasyl, choć to, co usłyszał od Jurija, obudziło jego ciekawość. Szybko jednak ponownie zwrócił uwagę na siedzącego z nim przy stole młodego sługę. – A skąd niby mam wiedzieć, że naprawdę chcesz mi służyć i nie składasz takich samych propozycji innym? Mówisz o zdradzie swoich chlebodawców i rodziny. Co cię powstrzyma od zwrócenia się przeciwko mnie, jeżeli uznasz, że ktoś inny może dać ci więcej?

W szczerym dotąd spojrzeniu Jurija pojawiły się błyski przebiegłości.

– Musisz, panie, dać mi tyle, żeby zdrada mi się nie opłacała. – Tę część rozmowy starannie zaplanował i teraz zaczął z zapałem w głosie: – Obiecuj, że gdy skończę tu swoją działalność, umieścisz mnie w jednej ze swoich posiadłości. Upewnij mnie, że moja pozycja będzie chroniona, że będę mógł się ożenić i dać dzieciom coś, co im zapewni możliwości bogacenia się. Wykorzystaj moje umiejętności. I daj mi pewność, że ani ty, ani twoi spadkobiercy nie będą mnie mogli usunąć. Dasz mi ziemię albo dochody, które nie zostaną odebrane mnie, moim dzieciom i ich dzieciom przez ciebie, twoje dzieci i ich dzieci. Przysięgam, że będę ci wiernie służył do końca życia i że zaskarbisz sobie wdzięczność mojej rodziny. Będę wykonywał twoje polecenia i pracowałem dla ciebie w tym polskim poselstwie. Nagojom będę składał fałszywe raporty i wykonam wszystko, co mi każesz. Będę ci prawą albo lewą ręką, wedle twojego życzenia. – Po tych słowach śmiało spojrział Wasylowi w oczy.

– Moją lewą ręką? – zapytał Wasyl zaskoczony tym, że Jurij chce zostać jego skrytobójcą. – To niebezpieczna propozycja, młodzieńcze, jeżeli nie jesteś gotów do takich czynów.

– Jestem gotów – odparł Jurij z zapałem, który ponownie zaskoczył

Wasyła. – Skoro raz przysięgnę wierność, nie będę stawiał granic mojej lojalności.

– Ale przecież przysięgałeś ojcu, nieprawdaż? – indagował go Wasył. – Syn musi szanować życzenia ojca.

– Jeżeli ojciec daje synowi nazwisko i pozycję społeczną, to może się spodziewać, iż syn będzie go popierał. Ale ja jestem pozbawionym praw bękartem i więzy rodzinne mnie nie krępują. – Jurij siedział prosto i zamiast w twarz rozmówcy patrzył na jego dłonie.

– Złożyłeś mu przysięgę – wytknął Wasył.

– W wymuszonych na mnie okolicznościach. – Jurij niemal zeszywniał z gniewu. – Wyrzekam się tej przysięgi, ponieważ nie mogę jej honorować. Ojciec nigdy nie zamierzał mnie uwolnić z poddaństwa ani ze zobowiązań wobec rodziny, która prawnie mnie nie uznaje. Dla nich jestem tylko bękartem i sługą, któremu daje się schronienie i płaci, gdy jest użyteczny, a gdy przestanie, wyrzuca się go jak śmiecia. Mój ojciec nie może już na mnie liczyć.

Do szynku weszło kilku woźniców; po pracy wszyscy byli brudni i zamierzali spędzić resztę dnia na pijaństwie. Zgromadzili się przy dwu stołach i głośnymi okrzykami ponaglili szynkarza, by przyniósł im chleb i kwas; pokazywali przy tym srebrne monety na znak, iż mogą zapłacić.

– Mógłbyś też złamać przysięgę, którą złożysz mnie – rzekł Wasył.

– Musisz się z tym liczyć, panie, jeżeli nie wywiązesz się ze swoich zobowiązań – stwierdził Jurij, któremu wahania kniazia dodały pewności siebie. – Przysięga złamana choćby z jednej strony przestanie obowiązywać nas obu.

– Osobliwe, że właśnie ty mi to mówisz – stwierdził z namysłem Wasył, patrząc zimno na rozmówcę. – Mógłbym stąd wyjść i cię zdemaskować. Mógłbym cię kazać zamknąć tu, na miejscu, a Polacy byliby bezradni. W najlepszym razie trafiłbyś do lochu.

– A ja mógłbym powiedzieć, panie, że chciałeś mnie zwerbować do szpiegowania Nagojów. Może jestem tylko sługą, ale Grigorij Dymitrewicz stanąłby po mojej stronie, a jemu by uwierzono. Gdyby zeznał, że zbierałem informacje dla niego, niewielu by się dziwiło, iż usiłowałeś mnie skusić i namówić do pracy dla ciebie. – Jurij uśmiechnął się rad z tego, że prze widział przebieg rozmowy. Tę odpowiedź miał przygotowaną i wyrzucił ją z siebie pospiesznie, żeby Wasyl nie wziął go za jakiegoś naiwnego prowincjusza.

– A co się stanie, jeżeli Grigorij Dymitrewicz nie zechce się za tobą wstawić? – zapytał Wasyl jowialnie, niemal serdecznym tonem. – Oskarżając mnie bez powodu i wciągając w sieć kłamstw Grigorija, popełnisz podwójne przestępstwo.

Tego Jurij się nie spodziewał i przez chwilę szukał odpowiedzi.

– Moim ojcem jest Nagoj, a ja...

– ...A ty jesteś bękartem mającym wszelkie powody do szukania zemsty na rodzinie. – Wasyl potrząsnął głową z udanym współczuciem. – Mój chłopcze, jeżeli chcesz dopiąć swego, musisz się bardziej postarać. – Rozstawiwszy szeroko palce, oparł ręce na stole. – Usłyszałem, czego spodziewasz się ode mnie. Teraz ty wysłuchaj, czego od ciebie chcę ja. – Mówił spokojnie i beznamiętnie, jakby omawiał rynkową cenę mąki. – Będziesz mi zdawał rzetelne raporty o wszystkim, co się dzieje w polskim poselstwie, włącznie z tym, czego się dowiesz o Rakoczym. Będziesz to robił, jak długo zechcę. Twoim krewniakom Nagojom będziesz przekazywał tylko to, co zatwierdzę, i nic więcej. Zdasz mi sprawę z całej wychodzącej i przychodzącej do polskiego poselstwa korespondencji; całej, nieważne, jak trywialne mogą ci się wydać te listy. Co dwa tygodnie będziesz mi donosił o wszystkich gościach, którzy odwiedzili poselstwo, Rusinach, cudzoziemcach, bojarach i sługach. Jeżeli Rakoczy nawiąże jakiś kontakt z którymś z polskich księży, powiadomisz mnie o tym

natychmiast. Spisuj się dobrze, wykonuj wszelkie moje polecenia, a za pięć lat pomyślę, gdzie cię umieścić. Jeżeli zawiedziesz lub nie wykonasz jakiegoś rozkazu, rzucę na ciebie oskarżenie. – Wasyl rozsiadł się wygodniej i z satysfakcją patrzył na zmieszanego Jurija.

Jeden z woźniców zaczął mocnym, głębokim głosem śpiewać *Gród na jeziorze*, zachęcając kompanów, żeby się do niego przyłączyli.

– *Kitieź! Kitieź! Kitieź! Zatopione miasto-bohater! Lśniące i błyszczące w noc świętojańską.*

– Jeżeli odkryję, że mnie zwodzisz, Juriju Piotrowiczu, to pożałujesz, żeś się urodził. – Wasyl dał Jurijowi chwilę na przemyślenie tego, co właśnie usłyszał. – Przyjmuję twoją obietnicę wiernej służby i jeżeli w istocie okażesz się dobrym sługą, otrzymasz nagrodę. Rozważ to, co ci powiedziałem. W swoim czasie dostaniesz to, na co sobie zapracujesz.

Nie był to układ, na jaki liczył Jurij, który spojrzał teraz na Wasyla dość podejrzliwie.

– A co niby ma cię, panie, powstrzymać od przyjęcia moich usług, a potem oskarżenia mnie o zdradę?

– Cóż, właściwie to nic – stwierdził Wasyl. – Musisz zaufać słowu moskiewskiego kniazia. – Podniósł głos, żeby rozmówca mógł go usłyszeć na tle śpiewu wozaków skutecznie tłumiącego dźwięki dzwonów i wrzawę z zewnątrz. – Przyszedłeś do mnie, bo zależy ci na lepszej życiowej pozycji niż ta, jaką ci może zapewnić twoja rodzina. Doskonałe, mogę to zrozumieć. Ale jeżeli szukasz łaski u mnie, musisz na nią zapracować dwa razy bardziej usilnie albo stawisz czoło konsekwencjom.

Jurij spojrzał mu w oczy.

– Teraz jestem gotów ci pomagać, panie, i...

– Musisz się bardziej postarać. – Szujski pochylił się, żeby rozmówca go słyszał. – Bądź gotów na dokładne wykonywanie moich

poleceń we wszystkich sprawach. Jeżeli stwierdzę, że się lenisz, uznam, że nie dotrzymujesz umowy, i cię wydam, najpierw Nagojom, żeby nie zechcieli wyciągać cię z tarapatów. Zrozumiałeś?

Jurij niechętnie kiwnął głową, zastanawiając się, czy zrobił dobry interes.

– Tak – powiedział, gdy się zorientował, że Wasyl czeka na odpowiedź. – Owszem, rozumiem... panie.

– Będziesz przyjmował rozkazy tylko ode mnie. Jesteś moim i tylko moim sługą, nie pracujesz dla Szujskich. Nie będziesz odpowiadał przed żadnym z członków mojej rodziny: nie kontaktuj się z Grigorijem, Dymitrem, Igorem ani Anastasijem. Czy mówię jasno?

– Tak. – Jurij pochylił głowę; gardził teraz sobą za to, że popadł w kolejne poddaństwo.

– Powtórz – rozkazał Wasyl.

Tym razem Jurij wstał i skłonił się z szacunkiem.

– Tak, panie. Zrozumiałem twoje rozkazy i będę się do nich stosował.

– Doskonale – uśmiechnął się Wasyl.

Wozacy śpiewali szóstą zwrotkę pieśni, opisującą dzikość i okrucieństwo Mongołów oblegających miasto Kiteż. Zapiewajło zaczynał właśnie drugi kufel kwasu i śpiewał jeszcze głośniej.

– A ty, panie, dotrzymasz słowa? – zapytał Jurij z ogniem w oczach. Wasyl nie odpowiedział.

– Ile znasz języków?

– Znam rosyjski, polski, łacinę, grekę, odrobinę niemiecki – odpowiedział niechętnie przygnębiony i udęczony Jurij.

Zadowolony z odpowiedzi Wasyl wstał i podał Jurijowi dłoń, by ten mógł ją przycisnąć do czoła.

– Więc owszem, uszanuję naszą umowę, jeżeli będziesz się dobrze spisywał i służył tylko mnie. – Pomyślał przy tym, że w kwestii tych

języków nie będzie wreszcie zdany wyłącznie na Anastasija. Spojrzał protekcyjnie na chłopaka. – Pamiętaj, że służysz tylko mnie.

Jurij ponownie skłonił się w pas i przycisnął do czoła grzbiet dłoni Wasyla.

– Tylko tobie, Wasylu Andriejewiczu.

Wozacy gromko i z zapalem śpiewali o tym, jak to wielki gród Kiteż cudownie pograżył się w głębinach, pociągając w nie mongolskich grabieżców.

List od Acji Oliwii Klemens do Saint Germaina Franciskusa, spisany po łacinie i dostarczony 9 października 1584 roku.

Mojemu najstarszemu i najdroższemu przyjacielowi pozdrowienia z nękanych utrapieniami brzegów Anglii.

Nie tak jednak utrapionych jak Ruś, o czym się dowiedziałam od Lovella. Królowa Elżbieta musi się uporać ze sprawą Throgmorton'a i Sommerville'a, ale w porównaniu z tym, co się dzieje w Moskwie, to drobne spory. Wygląda na to, że każda szlachecka rodzina angażuje się naraz w trzy spiski i wszyscy chcą zagarnąć władzę po Iwanie. Cóż się wobec tego stanie z biednym i naiwnym Fiodorem?

Rozgryzając tę zagadkę, zastanów się i nad inną: Jak doszło do twego ożenku? Nie uwierzyłabym, gdyby mi o tym napisał tylko Lovell. Teraz jednak mam przed sobą Twój list z początku kwietnia – tak się zdarzyło, że szczęśliwie dotarł do mnie w dobrym czasie, bo w lipcu – w którym donosisz mi o tym osobiście. Kimże jest ta Ksenia Jewgienijewna Koszkin czy Koszkin? Z jakiego powodu wybrano ci ją na żonę? Piszesz, że rozkazał Ci ją poślubić car Iwan, który już przedtem żenił dworaków wedle swoich kaprysów. Ale jakżeś mógł na to pozwolić? Z pewnością Ty jeden spośród innych mężczyzn mógłbyś odmówić wykonania takiego polecenia. Rozumiem, że miałeś pewien wpływ na cara i że on uznał to za

okazaną Ci łaskę. Nie przyjmę tłumaczenia, iż to małżeństwo było łaską; jeśli o to chodzi, to wskaż mi korzyści, jakie Ci przyniosło. Dlaczego się nie sprzeciwiłeś, dlaczego nie zareagowali polscy postowie?

Pomysł o ryzyku, jakie podejmujesz. Wielokrotnie mnie ostrzegłeś przed wymuszaniem miłości na innych. Kim może być ta kobieta, jeśli nie oporną kochanką? Czy nie jest też oporną żoną? Być może na Rusi aranżowanie małżeństw jest zwyczajną sprawą, ale Ty nie jesteś Rusinem. Ludzie naszej krwi żyją w dostatecznym niebezpieczeństwie, żeby je zwiększać przez tego rodzaju małżeństwo. Napisałeś, że nawet nie nawiedzasz jej we śnie, tylko czerpiesz pokarm od innych kobiet, które o niczym nie wiedząc, zapadają w krótkotrwałe letarg i mają tylko słodkie sny. Jak długo zamierzasz to ciągnąć? I ile czasu upłynie, zanim twoja młoda żona zacznie zadawać pytania, na które nie zechcesz odpowiedzieć?

Piszesz, że ta Ksenia nic nie wie o Twojej prawdziwej naturze. Na wszystkich bogów Rzymu, cóż ona sobie pomyśli o Waszym małżeństwie? Można przyjąć w dobrej wierze stwierdzenie, iż była tylko pionkiem w rękach swoich krewnych, to jednak nie zmieni jej stosunku do Ciebie. Musi przecież rozumieć, że nie traktujesz jej tak, jak mężowie traktują młode żony. Niezadługo zacznie się zastanawiać nad Twoim zachowaniem. Lovell mi pisze, że kobiety obarczone tym, co Anglicy nazywają francuskim występkiem, są zamurowywane w klasztorach. Czy nie istnieje ryzyko, że uzna Cię za jednego z tych, co czerpią przyjemność, obcując z mężczyznami? Jeżeli rzuci takie oskarżenie, jakże będziesz mógł je odeprzeć, nie pogrążając się jeszcze bardziej? Wiem, co to znaczy zostać zamurowaną; umarłam zamurowana żywcem w grobowcu. Sam mnie z niego wydobyłeś kilkanaście stuleci temu w Rzymie. Ale jak ja mam ocalić Ciebie, jeżeli zamurują Cię żywcem w Moskwie?

Gdy tylko skończę ten list, napiszę do Lovella. Poproszę go, żeby zadbał o Ciebie, szczególnie, że Ty sam dbać o siebie nie chcesz. Od kłopotów we

Florencji nie dbasz o swoje bezpieczeństwo, utrzymując, że świat wzgardził swoimi skarbami. Mówiłeś, że straciłeś zbyt wiele, i tam, gdzie przedtem była nadzieja, pozostała tylko rozpacz. Może i tak jest w istocie. Nie wynika z tego jednak, że we wzgardzie i rozpaczcy musisz przyłączyć się do innych. Sam mnie tego uczyłeś przed tysiącem lat i obrałam to za swoją dewizę, choć niewiele na tym zyskałam. W przeszłości uczyłeś mnie nie poddawać się rozpaczcy i teraz, najdroższy przyjacielu, zwracam Ci Twoje argumenty. Jeżeli nie chcesz się bronić ze względu na siebie, zrób to dla mnie.

Ale żeby ten list nie był tylko tyradą, pozwól mi napisać o pewnej roślinie z Nowego Świata, którą ostatnio pielęgnuję w Greengages: nazywa się patat, plony zbieramy z korzennych bulw, jest bardzo pożywna i pożyteczna. Moi kucharze – którzy teraz chętnie ją wykorzystują – powiadają, że jest świetnym uzupełnieniem posiłków. Powiedziano mi, że bez większych trudów można ją przechowywać zimą i wtedy też jest bardzo przydatna. Podarowałam te pataty moim dzierżawcom i przejęli je bez oporów, choć myślę, że uczynili to powodowani ciekawością. Próbowaliśmy uprawiać także kukurydzę, ale bez powodzenia: rośliny są wątłe i nie dojrzewają. Może zdołam, odkryć przyczynę i potrafię temu zaradzić. Dałam sobie trzy lata na uporanie się z problemem, a jeżeli mi się nie powiedzie, przestawię się wyłącznie na pataty.

Wysiałam do Rzymu Niklosa Auriliosa. Senza Pari nie jest dobrze zarządzana i zadbana, chciałabym ją nieco uporządkować. Poprosiłam go, by zbadał stan Villi Ragoczy; ma zobaczyć, co zrobili i czego nie zrobili Twoi zarządcy. Chcę także, żeby sprowadził tu kilka z moich włoskich koni, by skrzyżować je z końmi angielskimi. Przywiezie najlepsze z nich, tak przynajmniej mi obiecał. Liczę na to, że zanim stąd wyjadę, zostawię tu dobry koński materiał rozplodowy.

Nie zabawiłam tu długo, a już my się o wyjeździe. Zawsze tak się kończy, nieprawdaż ? Istoty naszej krwi nie mogą nigdzie pozostać zbyt

długo, bo rodzą się wokół nich kłopotliwe pytania. Pewna rzecz musi być oczywista i dla Ciebie: jak długo możesz zostać w Moskwie, zanim ktoś się zorientuje, że się nie starzejesz? Nie możesz się wiecznie tłumaczyć alchemią. I nie przypominaj mi, że w najściślejszym tego słowa znaczeniu jest to alchemia, ponieważ krew jest eliksirem życia. Takie twierdzenie wzmoże tylko łęki tych, którzy Cię otaczają. Jak wytłumaczysz żonie fakt, że zmieniasz się zbyt wolno, by mogła to zauważyć? Daj mi słowo, że nie pozostaniesz tam. dłużej niż dziesięć lat. Błagam Cię, przyjacielu, nie zatrzymuj się tam. Kiedy opuścisz Ruś, wiedz, że gdziekolwiek będę, zawsze Cię rada powitam, jeżeli zechcesz do mnie przyjechać. Nie masz miejsca na Ziemi, niezależnie od tego, jak wielką by była wedle twierdzeń Drake'a, w którym nie chciałabym się z Tobą spotkać. Jeżeli zechcesz, przepłynę setki mil oceanu i tylko trochę będę Cię kłąć przybyciu na miejsce za to, żeś mnie zmusił do takiej podróży.

Przy okazji powiadam iam Cię, że Drake został uszlachcony i teraz jest sir Francisem. Oficjalnie mówi się, że jest to nagroda za o płynięcie świata dookoła, ale plotka głosi, iż prawdziwym powodem jest bogactwo, jakie zdobył, łupiąc hiszpańskie okryty. Osobiście skłonna jestem wierzyć raczej plotkom niż publicznym oświadczeniom.

Napisz do mnie list przed nadejściem zimy, tak żeby przyszedł wiosną przyszłego roku. To niedorzeczne, że wieści idą tak długo. Za czasów mojej młodości kurierzy Cezara pokonywali osiemdziesiąt mil dziennie. Teraz jesteśmy radzi, gdy robią to w trzy dni. Nie, nie zamierzam wychwalać przeszłości. Jak nieraz mi przypominaleś, to, co przeminęło z wiatrem, nigdy już nie wraca.

Z wyrazami gorącej miłości i równie gorącej irytacji

Własną ręką się kreśli Oliwia

11 lipca 1584 roku wedle kalendarza angielskiego

Przez trzy dni i nocę Moskwę zlewały obfite deszcze. Z nieba, równie ciężkie i materialne jak draperie czy zasłony, spadały szare, gęste jak postrzępione koronki strugi. Ich szum był równie głośny i wszechobecny jak jęk dzwonów; był to równomierny, męczący i niezmienny łoskot.

Rakoczy wyszedł niedawno z łaźni, gdzie odpoczywał po dwu godzinach pracy z ruskimi końmi na zamkniętym dziedzińcu. Jego włosy zwisały w długich, wilgotnych kędziorach, a ogolona i wymasowana przez Rothgera twarz wyglądała młodziej. Owinął się w sięgającą kostek czarno-czerwona luźną togę z białym kołnierzem. Na piersi hrabiego lśnił pektorał z szafirem. Siedząc właśnie w niewielkiej, przylegającej do pracowni bibliotece, czytał *Amintę* Torquata Tassa, gdy poprzez szum deszczu usłyszał skrzyp kół i stukot koni wjeżdżającego na dziedziniec powozu. Zerknąwszy na holenderski zegarek, zaznaczył stronę w książce i wstał, zastanawiając się, kto też mógł przyjechać o tak wczesnej godzinie, gdy większość moskwian modli się w cerkwiach na porannej liturgii. Nie spodziewał się żadnych gości, była środa, post i tej nocy nie odbywały się żadne uczty.

Jego nowy odźwierny Alosza, ponury Rusin o pociągłej twarzy, stał już przy drzwiach, całym sobą okazując niezadowolenie. Przeżegnawszy się przed ikonami, otworzył drzwi i wyjrzał na smagany strugami deszczu dziedziniec.

Patrząc ze szczytu schodów, Rakoczy zobaczył, że powóz ma zasłonięte okna i zamknięte drzwi, i po raz pierwszy poczuł obawę. Tego ranka Ksenia udała się do soboru Błagowieszczeńskiego i nie

miała wrócić przed końcem porannej liturgii, ale powrót tego pojazdu mógł oznaczać... Ruszył schodami w dół, ujrawszy, że woźnica ustawia przy drzwiach powozu niewielkie schodki pozwalające pasażerowi bezpiecznie zejść na ziemię.

W drzwiach powozu pojawiła się Ksenia. Służący pomógł jej zejść, a potem wyprowadził karetę z dziedzińca, ona zaś stała otulona w przemoczone futro, jakby bała się wejść pod osłonę okapu.

Nie zwracając uwagi na deszcz, Rakoczy podszedł do Kseni i wziął ją w ramiona, by wnieść do środka.

– Alosza! – krzyknął do sługi. – Powiedz, żeby niezwłocznie przygotowano gorącą kąpiel. I natychmiast przynieście gorące wino z korzeniami. Przyślij do mnie Rothgera. Niech zapuka do drzwi mojej żony. – Bez trudu pokonywał schody po dwa stopnie naraz, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, że Alosza gapi się nań ze zdumieniem w oczach.

– Postaw mnie na ziemi – wyszeptała słabym głosem Ksenia. Miała mokrą od łez twarz, a suknie zostawiały za nią wilgotny ślad. – Przemoczysz się.

– Nieważne – stwierdził Rakoczy. Dotarłszy do drzwi komnat małżonki, otworzył je jednym kopniakiem. – Moja droga, jesteś zziębnięta, coś cię zaniepokoiło i przestraszyło. – Mówił łagodnym, spokojnym głosem jak zawsze, gdy zwracał się do żony. – Delikatnie pomógł jej stanąć o własnych siłach. – Powinnaś zdjąć te mokre suknie.

– Moja służąca została na liturgii – stwierdziła zmieszana Ksenia i bez większego powodzenia sztywnymi z zimna palcami zaczęła rozpinać sprzączki i zatrzaski. Na jej twarzy nie malowało się żadne uczucie.

– Jeżeli pozwolisz – odezwał się Rakoczy, zatrzymując jej dłonie – to ci pomogę.

Spojrzała nań szeroko otwartymi oczami.

– Ale...

– Mąż, nawet cudzoziemiec, jak ja, z pewnością może pomóc żonie pozbyć się mokrej odzieży. – Rakoczy powiedział to lekkim tonem, ale czuł wewnętrzny niepokój: wiedział, że jeśli żona mu nie ufa, nie zgodzi się na pomoc. – I zechciej mi powiedzieć, co cię tak wytrąciło z równowagi. – Powiedziawszy to, spostrzegł, że niewielki medalion, który Ksenia zwykle nosiła na szyi, gdzieś zniknął.

Podczas minionych kilku miesięcy żona zaczęła z nim rozmawiać, więc ta propozycja nie zmieszała jej tak, jakby to się stało zaraz po ślubie.

– To się nie godzi. – Był to jedyny jej wyraz sprzeciwu.

– Wiesz, że nie za bardzo się przejmuję tym, co się godzi, a co nie. – Rakoczy dotknął jej ramienia. – Musisz się ogrzać, Kseniu, a nie rozgrzejesz się w tym ubraniu.

Przełknęła ślinę.

– Nikt się nie dowie, poza mną i tobą? – W jej oczach zaczęły się zbierać łzy.

– Jeżeli chcesz, by tak zostało... – stwierdził łagodnie Rakoczy, zdając sobie sprawę z tego, jak ważne jest to dla niej.

– I komuż ja miałabym powiedzieć? – zapytała nieco zbyt gwałtownie. – Moim służącym? Uznają, że to dlatego, że jesteś cudzoziemcem, i mnie wyśmieją. A tylko z nimi mogę już rozmawiać... – Przycisnęła piąstki do ust, tłumiąc łkanie.

Rakoczy odsunął jej z twarzy mokre kosmyki włosów i ujął ją w dłoń.

– Kseniu Jewgienijewna, powiedz mi, co się stało.

Najpierw się przeżegnała, a potem zaczęła mówić.

– Dziś rano jeden ze sług Anastasija Siergiej ewicza przyniósł mi wiadomość, że moja matka umiera. Boże wielki! Zaniesiono ją do

sióstr w klasztorze Miłosierdzia Bożego, gdzie zabiera się chorych. Mają tam opiekę i modlitwy. Ale powiedziano mi, że nie ma dla niej nadziei. Część jej twarzy jest bezwładna i matka nie może jeść ani mówić.

Rakoczy wiedział, że nie do końca jest to prawdą, ale zmilczał. Patrzył tylko na żonę ciemnymi, pełnymi współczucia oczami.

– Gdy mi to powiedziano, byłam z mniszkami w cerkwi Błagowieszczeńskiej. Poprosiłam matkę przełożoną, żeby mi pozwoliła odwiedzić moją matkę. Natychmiast wyraziła zgodę, a mniszki zaczęły się modlić. Woźnica – ten sam, który mnie tu przywiózł – zabrał mnie do klasztoru Miłosierdzia. Niełatwo było tam dojechać przez to całe błocko. – Mówiąc, uspokajała się powoli, choć był to jakiś nienaturalny spokój. – Ale gdy przybyliśmy na miejsce, mniszki nie chciały, żebym się z nią zobaczyła, i poradziły, bym się trzymała z daleka od matki. Ale ja nalegałam. – I nagłe straciła udawany spokój. – Nie posłuchałam! Kazałam im się do niej zaprowadzić. Pokazały mi, gdzie leży, w izbie z innymi umierającymi kobietami. – Odepchnęła się od męża, jakby nie mogła pogodzić się z jego łagodnością ani siłą. – Uklękałam przy niej, żeby się pomodlić. Wymówiłam jej imię. Nazwałam ją ukochaną mateńką. Spojrzała na mnie tym jednym widzącym okiem. – Przeżegnała się na wspomnienie tego złego omenu.

– Rozpoznała cię? – zapytał Rakoczy. Setki razy widywał skutki apopleksji i wiedział, że nigdy nie są takie same. Pomagał niekiedy jej ofiarom, większość z nich jednak znajdowała się poza granicami jego umiejętności i możliwości jego krwi.

– Tak. – Uwagę Rakoczego zwrócił niezwykle ton, jakim Ksenia wypowiedziała to słowo. – Wiedziała, kim jestem. – Ponownie się przeżegnała i uciekła spojrzeniem w bok. – Wiedziała. Sięgnęła po mój medalik. Lewą ręką. A potem go zerwała i cisnęła precz. – Ksenia

rozsłochała się jeszcze bardziej rozpaczliwie.

– Och, Kseniu... – powiedział łagodnie Rakoczy i obejrzał się, usłyszawszy ciche pukanie do drzwi.

Do komnatki wszedł Rothger trzymający duży kubek pełen parującego wina, od którego bił zapach goździków, cynamonu i imbiru.

– Chcesz jeszcze czegoś ode mnie, panie? – zapytał, podając kubek Rakoczemu.

– Sprawdź, jak idą przygotowania do kąpieli – powiedział Rakoczy. – I powiadom mnie, gdy będzie gotowa.

– Jak każesz, panie – odpowiedział Rothger i dodał: – Alosza opowiada wszystkim sługom o twojej sile, panie. Widział, jak wносиł żonę po schodach “...jakby nie ważyła więcej niż futrzana czapka”. Tak mówi.

Rakoczy kiwnął głową.

– Nie pilnowałem się. – Jego zdradzający poczucie winy grymas zmienił się w kpiący uśmiech. – Zrób, co możesz, żeby zminimalizować szkody, dobrze? Bo przed końcem tygodnia wszyscy będą mówili o tym, że jednym susem wskoczyłem na schody, trzymając pod pachami dwa kowadła.

– W to już chyba nikt by nie uwierzył – stwierdził Rothger z namysłem w głosie.

– Masz sporo racji – odparł Rakoczy z prawdziwym uśmiechem na ustach. – Zostawiam to w twoich rękach.

Rothger ukłonił się lekko i wyszedł.

Rozpłakana Ksenia klęczała obok łóżka, złożony dłońmi i modląc się żarliwie. Gdy Rakoczy podszedł do niej, przerwała i podjęła próbę opanowania płaczu. Dopiero teraz, po raz pierwszy od porannego widzenia z matką, zaczęła odczuwać chłód.

Ujął ją za rękę, by pomóc jej wstać, a potem podał jej kubek z

winem.

– To cię rozgrzeje, Kseniu.

Wzięła kubek, patrząc nań tak, jakby zobaczyła podobne naczynie po raz pierwszy w życiu, i zacisnęła na nim palce, aż zbieleły jej knykcie.

– Przeklęła mnie – wydusiła z siebie wreszcie po chwili milczenia. – Przeklęła mnie. Gdy... odebrała mi Najświętszą Panią...

– Może chciała jej dla siebie – stwierdził Rakoczy, szukając sposobu na zmniejszenie bólu żony.

– Odrzuciła go precz – upierała się Ksenia. – Mniszki wszystko widziały i rozumiały. – Spróbowała się przeżegnać, ale nie mogła dokończyć gestu.

– Moja droga, ona nie wie, co robi – powiedział Rakoczy, usiłując złagodzić cios. – Cierpiący na tę chorobę często nie zdają sobie sprawy z tego, co się wokół nich dzieje i co robią oni sami.

– Widziała mnie – odparła cicho Ksenia. – Wiedziała.

Na to Rakoczy nie znalazł odpowiedzi. Odczekał chwilę, aż Ksenia wypła kilka łyków gorącego wina, i powiedział:

– Co chcesz na siebie włożyć?

Zamrugła powiekami, wracając do rzeczywistości.

– Coś ciepłego.

Na imieniny podarował jej jedwabną nocną koszulę i teraz podsunął ją żonie.

– Ten jedwab jest dość ciężki.

– Tak – stwierdziła, jakby nie miało to znaczenia. – Cokolwiek, byle było ciepłe. – Upła jeszcze jeden łyk wina i odstawiła kubek na stolik obok łoża. Stała spokojnie, gdy mąż rozpinał haftki i zapinki jej sarafanu i długiej koszuli, którą nosiła pod spodem.

– Jak to się stało... – Rakoczy nie bardzo wiedział, jak zapytać, dlaczego tak zmokła.

Ksenia była już na poły naga i jakby nieobecna duchem.

– Masz na myśli ubranie?

– Tak – potwierdził.

Przeszył ją dreszcz, który można było przypisać chładowi.

– Mówiłam ci, że mniszki zobaczyły, jak ona... Zobaczyły, że matka zrywa mi medalik z szyi i odrzuca go precz. Kazały mi opuścić klasztor. Nie pozwoliły mi zostać po takim przekleństwie. A ja z początku nie mogłam znaleźć woźnicy. Został poza murami i musiałam go szukać. Nie pamiętałam, gdzie się zatrzymał.

Rakoczy zdjął z niej suknie i złożył je zwinięte przy drzwiach, a potem sięgnął po nocną koszulę.

Odwróciła się od niego, zasłaniając się skrzyżowanymi ramionami.

– Podaj mi ją. Sama włożę – powiedziała stłumionym głosem z zarumienioną ze wstydu twarzą.

Rakoczy podał jej nocną koszulę. Gdy wciągała ją przez głowę, nie omieszkał się przyjrzeć łagodnej krzywiznie jej piersi – były większe, niż się spodziewał – wcięciu w talii i łukom bioder. Choć wedle ruskich standardów była chuda, miała ciało dojrzałej kobiety i gładką, pozbawioną skaz kremową skórę. Zaraz potem widok zakryły mu fałdy nocnej koszuli.

Przez chwilę w komnacie słychać było tylko łoskot deszczu.

– Wygnasz mnie z domu? – W zapadłej ciszy jej łagodne, wypowiedane z wahaniem w głosie słowa zabrzmiały niespodziewanie głośno. – Teraz, kiedy matka mnie przeklęła?

– Nie – odpowiedział Rakoczy. – Nie dbam o to, czy jesteś po stokroć, czy po tysiąckroć przeklęta. – Spojrzał na nią. – Kseniu, dałem ci słowo, że będę cię chronił i zapewnię opiekę cio końca twojego życia. Uwierz mi, że tak właśnie będzie.

– Naprawdę? – zapytała cicho, ale z tonem lekkiego wyzwania w głosie. – Będiesz mnie bronił i utrzymywał?

– Tak właśnie powiedziałem – przypomniał Rakoczy dotknięty lekko jej upartą niewiarą.

– Ale czy będziesz? – nalegała z przygnębieniem i już bez wyzwania głosem, co głęboko nim poruszyło.

– Tak, Kseniu, będę.

– Mimo... – Nie patrzyła na niego. – Mimo... że nic dla ciebie nie znaczę?

– Jesteś moją żoną – stwierdził po prostu z przekonaniem w głosie.

– Naprawdę? – Nie patrzyła na niego, ale uniosła podbródek. – Nie okazujesz mi tego. Nie... nie chcesz mnie.

Przez twarz przemknął mu krótki uśmiezek, który szybko zniknął.

– Nie chcę? – Rakoczy westchnął, wiedząc, że Ksenia zasługuje na szczerą odpowiedź. – Kiedy się pobieraliśmy, powiedziałem ci, że nie jestem jak inni mężczyźni. – Wielokrotnie już wyjaśniał to w przeszłości, ale nigdy nie było to tak trudne jak teraz. Przerwał, a potem dodał: – Nic się nie zmieniło.

– Masz cudzoziemskie zwyczaje? – zapytała, jakby licząc na to, że usłyszy tę prostą odpowiedź.

– Bardziej obce, niż ci się wydaje – odpowiedział z lekkim, ironicznym uśmiechem, którego nie dostrzegła. Wyczuwał rozterkę żony i podjął kolejną próbę wyjaśnienia: – Nie chodzi o to, że wśród Rusinów jestem wygnańcem. Na tej ziemi nie ma miejsca, gdzie moje obyczaje nie byłyby obce. – Jak zawsze musiał przyznać, że czuje niesłabnący ucisk samotności. W komnacie było już prawie ciemno, a łoskot deszczu jakby podkreślał ciszę, która zapadła między małżonkami. – Są tacy, którzy powiedzieliby, że to ja jestem przeklęty, a nie ty. Wszyscy zapomniani bogowie niech zaświadczą, że były czasy, kiedy zgodziłbym się z tym stwierdzeniem. – Podeszedł o krok bliżej. – Ludzie mojej krwi nie są tacy jak inni mężczyźni.

Ksenia parsknęła krótkim śmiechem, który był równie

wzgardliwy, jak nieoczekiwany. Potem zdjęta wstydem przyłożyła dłonie do ust. I przeżegnała się bezwiednie, przypomniawszy sobie wymówki matki.

Niski, łagodny głos męża dotarł do niej niemal jak fizyczna pieśczoła.

– Kseniu, Kseniu, czy ty mi nigdy nie zaufasz?

– Chciałabym – odpowiedziała, odsuwając się nieco.

Rakoczy pozostał na miejscu. Wyczuwał, że dziewczyna odgradza się od niego z powodu krzywdy, jaka spotkała ją w dzieciństwie.

– Kseniu, nigdy nie zrobię tego, czego się obawiasz. – Chciał dać jej wszelkie pocieszenie, na jakie mógłby się zdobyć, ale odgadywał, że ona nie będzie wiedziała, jak je przyjąć. Irytująca była niemożność przedarcia się przez mur jej rezerwy, nie mógł jednak pozostawić żony jej smutkowi.

Ksenia rozplątywała swoje mokre warkocze i potrzasała włosami krótkimi, szybkimi ruchami, jakby chciała go trzymać z dala od siebie.

– Nie możesz mi tego obiecać.

– Ależ mogę – powiedział tak otwarcie i szczerze, że przykuł jej uwagę, choć wcześniej nie zdołał osiągnąć tego okazywaniem współczucia. – Jestem impotentem.

Odwróciła się nagle i spojrzała mu prosto w twarz.

– Jesteś trzebieńcem?

Przed trzema, a może i przed dwoma tysiącami lat takie pytanie wzbudziłoby w nim gniew, teraz jednak odpowiedział z kpiącym uśmiechem:

– Nie, to nie to.

– Zraniono cię? – Ciekawość młodej żony wzrosła, choć nie do tego stopnia, by zdobyła się na podejście bliżej.

– W pewnym sensie – odpowiedział, ponieważ śmiertelne

wypatroszenie z pewnością można było uznać za ranę. – Ale to się zdarzyło dawno temu.

– Gdy byłeś chłopcem? – Przerazenie w jej głosie było w równej mierze wyrazem strachu, jaki przeżyła sama w dzieciństwie, i współczucia dla męża.

– Gdy byłem młodszy – odpowiedział.

W zadaniu kolejnego pytania przeszkodziło Kseni pukanie do drzwi i dobiegający zza nich głos Rothgera, który oznajmił, że wodę na kąpiel już podgrzano i przelano do półbeczki ustawionej obok łaźni parowej.

– Wystygnie.

Półmrok w komnacie w najmniejszym stopniu nie przeszkadzał Rakoczemu, którego ciemne oczy doskonale sobie radziły w tym otoczeniu. Hrabia podszedł do szafy i wyjął z niej jedną z dwu grubych opończy.

– Włóż to na nocną koszulę – powiedział, zwracając się do żony. – Służba nie będzie się na ciebie gapić.

Przez chwilę patrzyła mu prosto w oczy.

– Moje służące tak szybko nie wrócą.

– To ja ci usłużę, jeżeli pozwolisz – oznajmił Rakoczy, otwierając drzwi, za którymi ukazał się stojący z lampą oliwną w dłoni Rothger. – A twoje służące pierwszej zjedzą kolację, zanim zjawią się u ciebie. – Rothger, te suknie – wskazał słudze zawiniątko przy drzwiach – weź je. Trzeba je niezwłocznie uprać.

– Nie – odparła z odrazą w głosie Ksenia. – Nie. Nie chcę już ich widzieć. Oddaj je komuś albo każ spalić.

Rothger spojrział na Rakoczego, szukając u niego potwierdzenia polecenia.

– Ależ oczywiście, jeżeli takie jest życzenie mojej żony, zadbaj o to, żeby zostało wykonane. I upewnij się, że te suknie nie zostaną w

naszym domu. – Rakoczy przez chwilę patrzył na Ksenię badawczym wzrokiem. – Czy mam rację, sądząc, iż nie chcesz ich widzieć?

Ksenia żwawo kiwnęła głową.

– Nienawidzę ich. – Wybuch skończył się równie szybko, jak nagle się zaczął. – Dziękuję – mruknęła do Rothgera.

Odpowiedział jej ukłonem.

– Miło mi będzie wykonać twoje rozkazy, pani. – Podał lampę Rakoczemu.

Rakoczy skinieniem dłoni wezwał Ksenię, by poszła za nim, nie zdziwił się jednak, gdy żona przystanęła.

– Czy jeszcze coś cię niepokoi? Powiedz mi.

Nie zadał pytania z niecierpliwością w głosie, a jednak Ksenia skrzywiła się, jakby dostała reprimendę.

– Słudzy będę zdumieni, że idziesz ze mną, będą gadać. W Moskwie mężczyźni nie towarzyszą kobietom w łaźni.

– Powiedz im, że to też jeden z moich cudzoziemskich zwyczajów – poradził jej, kłaniając się żonie na sposób europejski. Mimo że był odziany w proste, niewyszukane szaty, wypadło to bardzo dwornie. – Odwagi, maleńka. Ze mną nic ci nie grozi.

Ponieważ trzymał teraz lampę, mogła wyraźnie zobaczyć jego twarz. Widok uspokoił ją na tyle, że odpowiedziała ostro:

– Masz może swoje cudzoziemskie zwyczaje, ale służba i tak o nich plotkuje.

– W to nie wątpię – odpowiedział z uśmiechem, wyrażając aprobatę dla tej uwagi. Poprowadził żonę schodami w dół i przez środkową część domu, nie zwracając uwagi na pytające spojrzenia służących, które im towarzyszyły. Nie przejął się też wcale późniejszymi szeptami sług.

Konmatka z balią była pełna pary, a woda pachniała sośniną i szarym mydłem, złagodzoną wonią drewna sandałowego.

– Daj mi swoje ubranie – powiedział Rakoczy, zamykając ciężkie drzwi.

Gdy zostali sami, pewność siebie Kseni mocno się zachwiała.

– Nie powinienes na mnie patrzeć.

– Ależ Kseniu, ty jesteś piękna – odpowiedział Rakoczy, wieszając lampę na haku przy drzwiach.

Zarumieniła się gwałtownie i gniewnie potrząsnęła głową.

– Nie. Jestem za chuda, wszyscy to mówią. – Było to w równej mierze zaprzeczeniem i prośbą o potwierdzenie; wiedziała, że uroda jest niebezpieczna.

– Więc to musi być kwestia moich cudzoziemskich oczu, które widzą twoje piękno – powiedział łagodnie. – Nie zrobię nic, czego byś nie chciała, nic, co by ci się nie spodobało. Ale nie będę kłamał: jesteś piękna.

– Nie chcę, żebyś na mnie patrzył – sprzeciwiła się z rosnącą obawą w głosie.

– Dobrze – odparł, wyciągając rękę po jej opończę. – Pozwól tylko, że to odłożę. Możesz zdjąć koszulę i wejść do balii, gdy będę odwrócony.

Odpowiedziała z niechęcią, raczej gestem niż słowami. Nagle zrzuciła opończę i podsunęła ją nogą w jego stronę; potem szybko ruszyła w stronę balii.

– Nie możesz patrzeć – przypomniała mu, zrzucając nocną koszulę i sadowiąc się w półbeczce. Przez brzegi balii przelata się woda, a komnatkę wypełniły na nowo kłęby pary.

Rakoczy powiesił jej ubranie na haku i wyjął suchy ręcznik ze stojącej pod ścianą skrzyni. Położył go w suchym miejscu, a potem odwrócił się do Kseni, która kuliła się w balii, jakby chciała się w niej ukryć. Postanowił, że nie będzie się sprzeciwiał; zamiast tego zapytał więc:

– Czy woda jest dostatecznie ciepła? Jeżeli nie, każę przynieść cieplejszą. Znalazłaś ławeczkę? Masz mydło? Czy potrzebujesz jeszcze czegoś?

– Nie – odpowiedziała szybko ostrym głosem. – Jest w sam raz. – Naprawdę woda wydała jej się zbyt gorąca, przekonała jednak samą siebie, że nie powinna nic robić, tylko oprzeć się i pozwolić ciepłu rozgrzewać mięśnie. Myślała o Rakoczym. Zanurzyła się tak, że woda sięgała jej obojczyków.

– Jeżeli czegoś potrzebujesz, to mi powiedz. – Rakoczy usiadł na ostatnim ze schodków prowadzącej do balii drabinki.

– Czegoś? – Zaśmiała się smutno. – Niemal unosiła się w wodzie, co wprawilo ją w na póły senny nastrój, jakby znalazła się w innym świecie. – Gdybym mogła czegoś chcieć, to chciałabym być niewidzialna.

– Niewidzialna? – zapytał szeptem.

Nie słuchała.

– Chciałabym... tak wiele wypędzić z pamięci. Całe lata... Ale choć jesteś cudzoziemcem, mój mężu, i alchemikiem, nie zdołasz tego sprawić, czyż nie? – Oparła głowę o krawędź balii.

– Może i nie – odpowiedział targany współczuciem, którego nie umiał wyrazić. Poczul taką gwałtowną, intensywną chęć pocieszenia żony, że aż zadrżał. – Ale jest pewien sposób na pocieszenie, Kseniu.

Ksenia bawiła się teraz swoimi włosami, patrząc, jak rozpostarte na powierzchni wody niby wachlarz otaczają jej twarz.

– Pocieszenie? – powtórzyła.

Rakoczy się zawahał, świadom, że wąta nic porozumienia między nim a żoną może w każdej chwili pęknąć.

– Tacy jak ja czerpią rozkosz tylko wtedy, gdy w równej mierzeją oddają.

– Rozkosz. – Zmieniła pozycję w balii, kładąc ramiona na

krawędziach, jakby czerpała siłę z samego drewna i świadomości, że jest pomiędzy nimi bariera. – Jak mógłbyś... Cóż to za rozkosz, której mogłabym pragnąć?

– Ty masz swoją rozkosz – odparł spokojnie. – A moja rodzi się z twojej. Nie ma innej.

– I to ma być twoje pocieszenie? Twoja rozkosz? Przepędzasz nią smutki i żale. – Ostatnie zdanie zabrzmiało oskarżycielsko.

– Nie bardzo – odpowiedział. – Ale rozkosz może złagodzić smutek i sprawić, że przynajmniej na chwilę staje się znośny. – Spojrzał na mokre deski pod podszewkami swoich pięknych, czarnych trzewików.

Łoskot deszczu wciąż narastał, układając Moskwę do snu. W odległej o dwie przecznice cerkwi św. Pawła uderzono w dzwony zwiastujące koniec liturgii. Zaraz potem dołączyły inne cerkwie, tworząc spizowy, uzupełniający szum deszczu chór.

– I w czym znajdujesz rozkosz? – zapytała Ksenia po chwili. – i jak to może być moją rozkoszą?

– Znajdę ją w twoim spełnieniu – odpowiedział prosto. – Dla takich jak ja to jedyna rozkosz.

Ksenia skrzywieniem warg skwitowała wciąż powtarzaną “rozkosz”, nie mogła jednak zaprzeczyć temu, że słowa Rakoczego ją zafascynowały.

– Co masz na myśli? Spełnieniem kobiety są jej dzieci. – Powiedziała to jak wyuczoną lekcję.

Rakoczy odwrócił się i spojrzał na jej niezbyt dobrze widoczną przez kłęby pary twarz. Światło lampy złagodziło jego ostrze rysy. W oczach płonęły mu tajemnicze ogniki.

– Mam na myśli to, że skoro możesz znaleźć rozkosz, to znajdę ją z tobą.

– Ale ty jesteś impotentem – stwierdziła szorstko.

– Dlatego rozkosz musi być twoja – odparł, przenosząc się na

wyższy stopień. – Jeżeli jej zaznasz.

Osunęła się w głąb balii, tak że nad powierzchnią wody widać było tylko jej głowę. Gęste włosy opadły jej na twarz niczym zasłona.

– Jeżeli jej zaznam... – powtórzyła, patrząc na męża.

– Tak. – Rakoczy siedział już na najwyższym stopniu i pochylał się ku żonie. Wstrząsnęła nim głębia odczuwanego teraz pożądania i tęsknoty; dla zbyt wielu i od zbyt dawna bywał tylko snem. Teraz pragnął świadomej reakcji i wzajemności.

– Usiłujesz mnie namówić... – Ksenia nie była pewna, o co go oskarżyć. – Do czego ty właściwie chcesz mnie namówić?

Bezpośrednie pytanie wymagało równie bezpośredniej odpowiedzi.

– Chcę cię namówić, żebyś pozwoliła mi siebie kochać.

Odsunęła się jak najdalej od niego; nikłe światło powiększyło teraz jej oczy.

– Kochać mnie?

Patrzył na nią spokojnym, natarczywym wzrokiem.

– Tak. Czy zechcesz mi zaufać? Choć odrobinę? Nie zrobię niczego, co ci się nie spodoba. Nie mam po temu żadnego powodu i nic w ten sposób nie zyskam. – Wyciągnął ku niej rękę, mocząc mankiet koszuli; jego ciemne oczy patrzyły tak łagodnie, że nie mogła oderwać od nich wzroku. – Pozwolisz? Nie zaboli cię i nie przyniesie wstydu. Jeżeli cokolwiek z tego, co zrobię, ci się nie spodoba, powiesz mi, a natychmiast przestanę.

Patrzyła nań na poły oczarowana, na poły przestraszona. Pomyślała, że w niczym nie przypomina żadnego ze znanych jej mężczyzn.

– Co... co ty mi zrobisz? Co możesz zrobić?

– Myślę, że mogę dać ci rozkosz – powiedział, nie cofając wyciągniętej ręki. – I cóż? Pozwolisz mi spróbować? Kseniu?

Wspomniała swoją matkę, Galinę, która w dniu ślubu natarczywie upominała ją, żeby była prawdziwą żoną swego męża, żeby

zapomniała o przeszłości i postarała się zaspokoić wszelkie zachcianki cudzoziemca. Czy matka by jej nie przeklęła – myślała teraz – gdyby w istocie stała się żoną Rakoczego i pozwoliła, by ją posiadał? Powoli wyciągnęła rękę, ujęła jego dłoń i spróbowała się pogodzić z tym, co miało nastąpić.

Rakoczy splótł palce z palcami żony i pociągnął ją ku sobie.

– Chcę dotykać twojego ciała – powiedział. – Pozwolisz?

– A jak mam cię powstrzymać? – Wbrew intencji Kseni jej głos lekko zadrżał.

Rakoczy natychmiast cofnął dłoń.

– Dotknę cię, tylko jeśli będziesz tego chciała, Kseniu.

Wyciągnawszy rękę, chwyciła go za palce.

– Dobrze, możesz mnie dotykać – powiedziała nie do końca przekonana o tym, że mówi prawdę.

– Ale czy tego właśnie chcesz? – zapytał bardzo łagodnie. – Czego ty chcesz, Kseniu? Czy uważasz, że powinnaś mi pozwolić...

– Nie wiem! – niemal krzyknęła, on jednak nie puścił jej dłoni. – I chcę! Chcę wiedzieć.

– No i dobrze – stwierdził łagodnie Rakoczy, a potem wolną dłonią sięgnął po miękką gąbkę. Poruszał się powoli, ostrożnie. Zaczął łagodnie zmywać gąbką jej wyciągniętą rękę, naciskając lekko i nienatarczywie. Potem przeniósł gąbkę na jej ramiona, a później na plecy.

– Co ty wyprawiasz? – zapytała zaskoczona, gdy zręcznie manipulował gąbką.

– Podoba ci się to? – usłyszała zamiast odpowiedzi.

– Tak... – Chciała rzec coś jeszcze, on jednak już zabrał się do drugiej ręki.

– Więc skoro to sprawia ci przyjemność, nie przestanę – oznajmił spokojnie. Po chwili odłożył gąbkę i zaczął masować jej plecy i barki;

jego dłonie rozluźniały mięśnie i rozplątywały włosy. Nie odzywał się, skupiwszy całą uwagę na łagodnej pieściocie.

Wszystko to mocno Ksenię zaskoczyło i zdumiało. Bezwiednie zaczęła opierać się na dłoniach męża i poruszać razem z nimi.

Zamknęła oczy i osunęła się w gorącą wodę. Tuż przy uchu słyszała niski, słodki i łagodny głos Rakoczego:

– Chcę dotknąć twoich piersi.

Natychmiast ocknęła się z rozmarzenia.

– Co takiego?

– Pragnę dotknąć twoich piersi. Chcesz, bym to zrobił? – zapytał równie bezpośrednio jak przed chwilą, nie przestając masować jej pleców.

– Możesz... spróbuj – odpowiedziała, zagryzając dolną wargę.

W pierwszej chwili nawet nie wyczuła ruchu jego dłoni, które powoli przesunęły się wzdłuż jej boków. Cały czas pozostawał za nią... aż wreszcie znalazł to, czego szukał. Łagodnymi, pewnymi ruchami zaczął ją podniecać, jego masaż szybko stał się pieściotą. Nie zważał na to, że moczy sobie przy tym koszulę.

Wstrząsające ciałem Kseni doznania były tak nowe i niespodziewane, że nie była pewna, czy są przyjemne, czy tylko szokujące. Niepokoiła ją intensywność własnych reakcji. Przeraziła ją myśl o tym, że Rakoczy mógłby ją teraz zostawić, czuła się, jakby stała na krawędzi przepaści.

– Chcę cię dotknąć wewnątrz – szepnął jej w ucho.

Nie zamierzała odpowiadać. Pokonała ją niezwykłość jego żądania. Nie mogła się odezwać.

Jego dłonie natychmiast przerwały rozkoszne kojenie i znieruchomiały.

– Nie! – jęknęła. – Nie przerywaj.

Rakoczy dotknął jej bioder.

– Chcę... dotyku... wewnątrz. – Miała nadzieję, że to, co mąż zamierzał, nie potrwa długo i nie będzie niemiłe: przeszła ją odrażająca myśl o gwałcie, która jednak sprawiała, że zakręci ło jej się w głowie i poczuła się zmysłowo wrażliwa.

To jednak, co z nią zrobił, było niezwykle delikatne i tylko wzmagało jej podniecenie i ogarniające ją poczucie przyjemności. Nie spiesząc się, pozwalał jej w pełni sycić się swoim dotykiem, gdy więc jego wargi dotknęły jej szyi i ogarnęły ją spazmy rozkoszy, żadne z nich nie było samo i podzielili wszystkie doznania.

Otwarty i przeczytany chyłkiem przez Jurija list, który ojciec Krabbe napisał do arcybiskupa Antonina Kutnela.

W imię Trójcy Przenajświętszej oby towarzyszyła Waszej Ekscelencji łaska Pana Naszego, który chroni i jest przewodnikiem w tych niebezpiecznych czasach.

List ten będzie ostatnim, jaki zdołam wysłać w tym roku, ponieważ zima za pasem i niezadługo drogi staną się nieprzejezdne. Chciałbym Cię więc poinformować, Ekscelencjo, że podczas minionych dwu miesięcy sprawy na carskim dworze mocno się skomplikowały, ponieważ car Eiodor nie jest w stanie dopełniać powinności, jakich wymaga jego stanowisko, i musi polegać na Nikicie liomanowiczu Zacharynie, swoim wuju, i Borysie Godunowie, który jest jego swakiem, a ci obaj potężni magnaci często mają przeciwne interesy i cele, co prowadzi do oszustw i zdrady. Ponieważ car nie potrafi położyć kresu tym działaniom, ich wrogość narasta i rozprzestrzenia się na cały dwór, który jest podzielony jak nigdy przedtem. Wszyscy, którzy mają jakiegokolwiek powiązania z tronem, nieważne jak wątle, zaczynają szukać poparcia dla ich sprawy.

Muszę powiadomić Waszą Ekscelencję, że nie mogę się zgodzić z ojcem Pognerem w jego twierdzeniu, iż car Fiodor zostanie strącony z tronu przez

rywali-, nawet jeżeli do tego dojdzie, to nieprędko. Ojciec Pogner stara się znaleźć jakiś bojarski ród mający poważne prawa do tronu, który w zamian za teraźniejsze poparcie stałby się w przyszłości rzecznikiem polskiej sprawy. Ja twierdzę, że nikt z nas nie może podejmować takich działań bez zezwolenia króla Stefana, a co więcej, król okazałby się głupcem, gdyby na to przystał. Wielu bojarów na dworze jest wiernych pamięci cara Iwana i nie wystąpi przeciwko jego synowi, chyba że zostaną do tego zmuszeni. Nie skłania ich do tego jednak poświęcenie dla pamięci Iwana, tylko strach przed konsekwencjami grożącymi im w razie niepowodzenia. Występujący przeciwko carowi boją się tego, że ich głowy zostaną wystawione na widok publiczny na Placu Czerwonym przy Bramie Spasskiej.

Mimo rozkazów ojca Pognera, który zabrania wszelkich kontaktów z Siedmiogrodzianinem, spotykam się z Ferencem Rakoczym. Wierzę, iż część tej misji polega na zbieraniu opinii o wszystkich członkach naszego poselstwa, nawet o tych, którzy aktualnie są w niełasce. Muszę też powiadomić Waszą Ekscelencję, że Rakoczy podziela moją opinię dotyczącą sytuacji na carskim dworze. Nie dostrzega żadnego bliskiego rozwiązania problemu carskiej słabości, ponieważ nie sądzi, by którykolwiek z ruskich możnowładców był gotów na rozlew krwi i bunty. Tak więc bojarzy będą spiskować w sekrecie i snuć sieci intryg, nie występując przeciwko sobie otwarcie i nie wyprowadzając armii w pole.

Dwa razy rozmawiałem, z Borysem Godunowem, któremu powierzono prowadzenie w imieniu cara układów z cudzoziemcami. Nie chce on zrywać stosunków z Europą i Anglią, ponieważ wierzy, że przyszłość Rusi leży na Zachodzie, a nie na Wschodzie. Tę opinię podziela niewielu ludzi na dworze, bo większość obawia się kolejnego najazdu Mongołów i dlatego zwraca oczy na będący stolicą 'Złotej Ordy Saraj. Ostatni najazd Mongołów na Moskwę odbył się przed dwudziestu mniej więcej laty i wielu bojarem uparcie wierzy w to, że najeźdźcy powrócą. Godunow utrzymuje,

że Moskwa odebrała Mongołom, już tyle ziem, że miasto jest bezpieczne. Popiera Rakoczego, ponieważ ten jest człkiem bywałym i wiele podróżował. Ceni też alchemiczne umiejętności Madziara i choć car Fiodor nie żywi ojcowskiej miłości do klejnotów, Godunow – jako człek mądry i zdolny – daleki jest od wzgardy dla ich, wartości, ceni je też za piękno.

Wedle mojej opinii, której nie podziela ojciec Pogner, mądrze będzie popierać Godunowa i zachęcać go do przedsięwzięć zbliżających Ruś do Europy; szybko nadchodzi czas, gdy będziemy potrzebowali jej pomocy w walce z Turkami. Nie możemy na to liczyć, jeżeli nie umocnimy dziś pozycji Godunowa. Liczni bojarzy błędnie zakładają, że ponieważ jego matka była Tatarką, Borys nie jest oddany całkowicie Rusi i carowi. Jestem pewien, iż w swoim czasie wszyscy oni pojmą ogrom swej pomyłki. Godunow jest człowiekiem dalekowzrocznym i stwierdzam, że można na niego liczyć w sprawach, w których nie da się polegać na innych bojarach. Jestem przekonany, że Europa znajdzie w nim trwałego przyjaciela, jeśli okażemy przychyłność jemu i jego sprawie.

Niechże mi będzie wolno przeprosić Ekscelencję za wyrażenie poglądów przeciwstawnych opinii ojca Pognera, zawiódłbym jednak swój kraj, gdybym nie poinformował o własnych wątpliwościach i przemyśleniach. Obarczyłeś mnie, Ekscelencjo, obowiązkiem informowania Cię i muszę się z tego wywiązać, nawet jeżeli sprzeciwia się to poglądom głowy poselstwa. Proszę o wybaczenie mojego nieposłuszeństwa względem ojca Pognera, zrodziło się ono z mojej oceny tutejszej sytuacji i nie jest wy mierzone przeciwko jego opiniom ani przywództwu. Nie ujawniam swoich konkluzji, żeby go zdyskredytować, ale by dać Waszej Ekscelencji inny punkt widzenia na moskiewskie sprawy. Błagam, żebyś, Ekscelencjo, zechciał uznać wszystko, com napisał, za wyraz mojego oddania celowi naszej misji, który jest ważniejszy niż moja poselska pozycja. Ojciec Pogner stara się jak może, by dostarczyć wszystkie dostępne mu informacje, i robi to z najwyższą pokorą i staraniem. Kimże bym był, gdybym go nie naśladował

i nie dostarczył Waszej Ekszelencji wszystkich moich spostrzeżeń?

Ze względu na dobro Kościoła i Królestwa Polskiego ośmielam się sugerować, iżbyś, Ekszelencjo, rozważył wszystko, co napisałem. Wiem, że Rakoczy napisałby to samo. Zanim weźmiesz stronę ojca Pognera, błagam, byś pierwszej przemyślał treść tego listu i wziął wszystko pod uwagę.

Z wyrazami oddania Waszej Ekszelencji i Kościołowi, któremu obaj służymy, dodając wyrazy najwyższego szacunku dla króla Stefana, kreślę się w przekonaniu, że Bóg zna prawdę i da zwycięstwo Synowi Swemu Jezusowi Chrystusowi i wszystkim, którzy kierują się Jego słowami.

*Milan Krabbe, członek Towarzystwa Jezusowego 14 listopada AD 1584
Moskwą, dzielnicą złotników*

Już po raz czwarty w tym tygodniu ojcu Pognerowi odmówiono wstępu do carskiego pałacu; car Fiodor nie chciał go widzieć i nie życzył sobie rozmowy z polskimi księżmi. Stary jezuita wrzał gniewem i ślizgając się teraz na koleinach drogi ku Bramie Spasskiej, obsypywał towarzysza kąśliwymi uwagami, ponieważ nie mógł się wyładować na bojarach ani na carze.

Poprzedniej nocy padał śnieg, potem poranne słońce roztopiło część zasp, teraz jednak, gdy po niebie ciągnęły kłęby ciemnych chmur, śnieg zamarzył w ciemne, zdradzieckie grudy. Obok ojca Pognera człapał Kownowski, który dla ochrony przed zimnym wiatrem naciągnął na głowę kaptur podszytej wilczym futrem opończy.

– To prawda, ojcie Pognerze – stwierdził uspokajająco. – Ci Rusini to zwykli barbarzyńcy. Żaden prawy władca nie potraktowałby tak niewdzięcznie głowy cudzoziemskiego poselstwa.

– A ten Godunow jest okropny! Ośmiela się mi mówić, żebym wszystko załatwiał poprzez Rakoczego! Ten przybłęda jest marionetką Rusinów, jeśli w ogóle kiedykolwiek był kimś więcej. Godunow sądzi, że o tym nie wiemy! Udaje, że dba o stosunki z Polską, i jednocześnie napuszcza na nas tego Madzia ra! – Jezuita zniżył głos, gdy zdał sobie sprawę, że ściąga na siebie uwagę przechodniów; dodatkowo przeszedł na łacinę. – Cóż to za durnie!

– To prawda, ojcie. Oni nie znają twojej determinacji – stwierdził Kownowski, patrząc w ziemię. Nie cierpiał ojca Pognera, ale znosił jego towarzysztwo, licząc na to, że pomoże mu to w awansie po powrocie do Polski.

– Nie znają – potwierdził ponuro Pogner. – Jak oni śmia stawiać

Rakoczego ponad nami?! Bardziej już nie mogli nas obrazić! – Jezuita spojrział na zasy i smugi pędzonego przez wiatr śniegu, a potem kiwnął głową z posępną satysfakcją. – W przyszłym tygodniu ugrzeźniemy na dobre i będziemy musieli tu spędzić kolejną zimę.

– Tak czy owak, król Stefan nas nie odwołał – stwierdził Kownowski, w którego głosie pojawiły się nutki potępienia. – Dopóki tego nie uczyni, musimy starać się jak najlepiej wypełnić naszą misję, dla dobra Polski i chwały Pana Naszego.

Ojciec Pogner, zmrużywszy powieki, patrzył przez chwilę na złote, cebulaste kopuły pałacu Wasilija Szujskiego.

– Tak – powiedział niechętnie. – Ci Rusini i ta ich piekielna Cerkiew! Nazywają siebie Trzecim Rzymem! Ha! – Odwrócił się do ojca Kownowskiego; jego irytację zwiększała skłonność towarzysza do szukania pojednania. – Nie próbuj ich bronić, ojcze! Oni są przeklęci przez Boga!

– To wynika z ich ignorancji – odpowiedział Kownowski niezupełnie przeproszającym tonem, łagodząc jednocześnie obrazę.

Gdy przeszli pod lukiem bramy na dziedziniec pałacu Szujskich, Pogner potrząsnął głową z dezaprobatą.

– Wszyscy oni są zdrańcy i wykazują złą wolę.

– Słuchają swoich kapłanów, którzy pobłędzili – odpowiedział Kownowski. – Postępują zgodnie z naukami, które prowadzą ich na manowce.

– A ich kniaziowie? – dodał Pogner, oglądając się na pałac Szujskich. – Co do jednego zarozumiałe, kłamliwe kreatury. Niech Bóg ześle na nich wszelkie utrapienia.

– Amen – zakończył pobożnie Kownowski. W tej kwestii całkowicie się zgadzał z ojcem Pognerem. – Ci kniaziowie i reszta bojarów nie mają honoru ni ogłady.

– I niech ich Bóg za to nakarmi skorpionami, a ich noce niech

wypełni wizjami piekła i potępionych – oznajmił Pogner. – Niech poznają wstyd i niedostatek, zanim się ukorzą. – Przy tych słowach poślizgnął się na lodowej grudzie i upadłby, gdyby Kownowski nie chwycił go za łokieć.

Przez chwilę szamotali się bezładnie, ale w końcu odzyskali równowagę, wypuszczając chrapliwie kłęby pary z ust. Udali, że nie słyszą śmiechu przechodniów.

– Niewiele brakowało – odezwał się ktoś z góry w dość znośnej polszczyźnie.

Kownowski uniósł głowę i zobaczył jasnowłosego, krępego mężczyznę dosiadającego drobiącego w miejscu deresza. Człek ów musiał być ruskim bojarem, na co wskazywała jego broda i wyszywana złotem szuba.

– Owszem – stwierdził niechętnie jezuita.

– Nie dalej niż godzinę temu widziałem, jak w tym samym miejscu wykopyrtnął się jakiś gwardzista i fatalnie się potłukł. Możecie się uznać za szczęściarzy – ciągnął przyjaźnie Rusin. – Powiedziałbym, że mnie sobie nie przypominacie, spotkaliśmy się, gdy po raz pierwszy stawiliście się na carskim dworze. Było to ponad rok temu. – Zeskoczywszy z konia, podszedł do obu jezuitów, składając im lekki ukłon. – Anastasij Siergiejewicz Szujski – przedstawił się.

Ojciec Pogner rzucił Anastasijowi wrogie spojrzenie, ale Kownowski powoli skinął głową.

– Tak, pamiętam was, panie. Byliście w Granowitój. W przedsionku. To dla nas honor, że chcecie odnowić znajomość, panie kniaziu...

– Nie, nie – poprawił go szybko Anastasij. – Kniazem jest mój kuzyn. – Wskazał głową pałac. – Ja jestem przedstawicielem uboższej gałęzi naszego rodu.

– Aaa... – odezwał się Pogner, jakby już wszystko zrozumiał. – To bardzo interesujące.

– Często członkowie młodszych gałęzi rodziny muszą służyć seniorowi i ja nie jestem wyjątkiem – stwierdził Anastasij, niebyt dobrze ukrywając gniew. – Gdy senior wzywa, młodzi muszą być posłuszni. – Uśmiechnął się porozumiewawczo do Polaków. – Czy tak nie jest i w Polsce?

– Tak się dzieje wszędzie na świecie – stwierdził Kownowski filozoficznie, wzruszając ramionami. – Miło nam, panie, że nas zagadnąłeś. Zaczynałem się już obawiać, że nikt w Moskwie... – Urwał, zobaczywszy ostrzegawcze spojrzenie Pognera.

– Nie powinniście winić całej Moskwy za działania kilku ambitnych bojarów – poradził Anastasij, wyczuwając okazję, jakiej się nie spodziewał. Pojawiła się w samą porę, ponieważ nie dalej niż pół godziny temu Wasyl oznajmił mu, że nie będzie już potrzebował jego usług w tłumaczeniu listów pisanych w obcych językach. Anastasij wrzał w duchu z powodu nonszalanckiej odprawy i jednocześnie paliła go ciekawość, kogo Wasyl znalazł do tłumaczeń. Na jego ustach pojawił się przelotny uśmiezek wyrachowania.

– Powiedziano nam, że car Fiodor rozmawiał już dziś z Brytyjczykami, Horseyem i Lovellem, i nie zdoła przyjąć innych cudzoziemców, bo jest zbyt zmęczony – oznajmił z oburzeniem Pogner. – I że powinniśmy przyjść kiedy indziej, wtedy może nas przyjmie.

Anastasij potrząsnął głową z udanym współczuciem.

– To niewybaczalne, że tak was potraktowano. Ale nie wińcie biednego Fiodora Iwanowicza. Nie on wybiera towarzystwo, robią to za niego inni. Nie ma okazji do wyrażenia sprzeciwu, a gdy to czyni, i tak nikt nie zwraca uwagi. Nikita Romanowicz w ogóle najchętniej usunąłby cara z dworu, ale Borys Fiodorowicz upiera się, że powinien zostać, by lepiej kontrolować bojarów. – Szujski dostrzegł ledwo hamowaną wściekłość na twarzy ojca Pognera i postanowił to

wykorzystać. – Taki arbitralny wyrok ze strony Godunowa jest niefortunny i godny nagany.

– Godunow – powiedział zimno Pogner – zgodził się wczoraj na wizytę Rakoczego, ale nas dzisiaj nie wpuścił. Twierdzi, że Polakom przyznano już audiencję i nasza obecność jest niepotrzebna.

– Sami widzicie. – Anastasij postanowił podsycić irytację Pognera. – Znacie tych ludzi, ambitne kreatury, które myślą o zagarnięciu carskiego tronu po Fiodorze Iwanowiczu, który sam nie zdoła się przed nimi obronić. – Uśmiechnął się do ojca Pognera jak najbardziej niewinnie. – Podzielam twoją rozterkę, zacny Polaku. Sam zakosztowałem tej goryczy.

Ojciec Pogner spojrział na Anastasija ze zdumieniem w oczach.

– Ty, panie? Jesteś szlachcicem i członkiem znamienitego rodu. Jak mogłeś doznawać upokorzeń?

– Ach, zacny panie Polaku, nie masz pojęcia, jak dziwaczne zasady rządzą życiem naszego dworu. – Anastasij się przeżegnał. – Zły to czas dla wszystkich dworzan. Każdy zdaje sobie sprawę z tego, jak niebezpieczna jest sytuacja. Niewielu ludziom można zaufać i... – Anastasij znacząco zawiesił głos, a Pogner ze współczuciem pokiwał głową. – Modliłem się o koniec tej rywalizacji, modliłem się, żeby car odzyskał to, co mu się należy z prawa, ale Bóg był głuchy na moje błagania.

– Bóg nie jest głuchy – odparł Pogner z powagą w głosie. – Bóg słucha i sędzi, a my musimy ukorzyć się przed Jego wolą. – Odwrócił się i odszedłby, ale powstrzymał go Kownowski.

– I jak ci się wiedzie na dworze, szlachetny kniaziu? – zapytał uprzejmie.

– Nie za dobrze – odparł Anastasij, tym razem nie ukrywając gniewu. – Mój wielki kuzyn uzurpuje sobie władzę nad wszystkimi Szujskimi, włączając w to własnych braci. Obawiam się, że ma na oku

Czapkę Kazańską. Teraz wzniósł się tak wysoko, że już nie brudzi sobie rąk krwią maluczkich, mierzy się tylko z równymi albo tymi, którzy stoją od niego wyżej. – Złożył ramiona na piersi. – Obawiam się, że dla wzmocnienia swojej pozycji wystąpi przeciwko reszcie rodziny, nieważne, ile to będzie nas kosztowało. Straszna to rzecz podejrzewać seniora rodu o tak odrażające plany. Pojmuję, że grzeszę, jeśli moje przypuszczenia nie są prawdziwe, ale nie mogę się od nich uwolnić.

– Który ze szlachciców na tym dworze zdobyłby się na podobną śmiałość? – zapytał zdumiony Kownowski. – Z pewnością są tacy, którzy wiedzą, co on zamierza...

– On jednak działa na ich korzyść, tak samo jak na własną – odparł gładko Anastasij. Rozpoznał podniecenie w oczach Pognera i ciągnął, odwołując się do bezwzględności polskiego kapłana: – Słabsi, którzy nawet widzą, do czego zmierza Wasyl Andriejewicz, milczą, obawiając się jego wpływów i władzy. Niewątpliwie i ja powinienem trzymać język za zębami, ale gdy idzie o mój honor...

– Tak, tak – stwierdził Pogner z udanym współczuciem w głosie. – To więcej, niż może znieść uczciwy człowiek...

– Więc rozumiecie – odparł Anastasij, jakby łączyła ich wspólna niedola. – Zatem na pewno podzielacie mój niepokój o cara Fiodora.

– Codziennie się za niego modlimy – przyznał Kownowski.

– Modlimy się też o zbawienie Rusi – dodał Pogner, patrząc prosto w oczy Anastasija.

Na twarzy Anastasija pojawił się wyraz dziecięcej szczerości.

– Zacni Polacy, i ja się o to modlę, choć po rusku, nie po łacinie. Władza Jerozolimy martwi mnie tak samo jak władza Godunowa i Romanowa. Dlaczego musimy się godzić z wyrokami Jerozolimskiego Kościoła Prawosławnego w kwestiach dotyczących Cerkwi prawosławnej na Rusi? Dlaczego car musi akceptować metropolitę

wyznaczanego przez jerozolimskiego patriarchę, a nie może sam wybierać spośród swoich kapłanów?

– My, katolicy, poddajemy się władzy papieża – rzekł ojciec Pogner.

– Ale papież ma wokół siebie kardynałów, którzy mu doradzają, i na te stanowiska mianuje godnych, wartościowych ludzi, nieprawdaż? A sami kardynałowie nie są związani z papieżem, tylko ze swoimi krajami i dworami swoich władców, czy nie tak?

– Papież ma zdolnych pomocników, którzy rządzą w jego imieniu i wykonują jego rozkazy. Patriarcha jerozolimski nie ma takich ludzi, a jednak domaga się, żebyśmy ulegali jego woli. – Anastasij podniósł jedną dłoń, by wskazać zamieć. – Zacni Polacy, pozwólcie, że zaproszę was do mojego domu, gdzie jest ciepło i gdzie będziemy mogli porozmawiać bardziej... otwarcie. Uczynicie mi ten honor? Możliwość podzielenia się z wami moimi wnioskami będzie dla mnie wielkim zaszczytem. Wierzę, że w tych burzliwych czasach mamy wiele wspólnych celów.

Pogner odchrząknął znacząco i splunął.

– Powiedziano nam, że niemądrze jest odwiedzać Rusinów w ich domach.

– I któż tak powiedział? Godunow? Zacharyn? Nagoj? Kurbski? Skuratow? Który z tych ludzi rwących się do władzy udzielił wam takiego ostrzeżenia? – Anastasij pogardliwym gestem dał do zrozumienia, co myśli o takich radach. – Nie nałożyli takich ograniczeń na Rakoczego, waszego towarzysza w poselstwie. Powiedziałbym, że lepiej przysłużymy się naszym krajom i władcom, jeżeli będziemy działać razem, zamiast szarpać się w pojedynkę. – Doskonale wiedział, że wzmianka o Rakoczym skłoni Pognera do przyjęcia jego propozycji.

– Może mógłbyś... – Ojciec Pogner przez chwilę badał Anastasija, patrząc nań spod zmrużonych powiek. – Stawiam na to, że rozmowa

nikomu nie zaszkodzi – stwierdził wreszcie z wymuszoną serdecznością w głosie. – Kto wie? Może znajdziemy coś, co będzie użyteczne dla jednych i drugich. – Jego twarz niby niczego nie zdradzała, w oczach jednak widać było żywe zainteresowanie. – Jesteś bardzo uprzejmy, kniaziu. Z pewnością się odezwiemy.

– Może jutro? – zaproponował Anastasij tonem gospodarza chcącego jak najlepiej przyjąć gości. – Powiem służącym, by przygotowali dla was ciasteczka i pieczone jagnię.

– Kniaziu, ofiarujesz nam więcej, niż zasłużyliśmy – odparł nieco nerwowo ojciec Kownowski.

– Bzdury – poprawił go Pogner. – Jeżeli podadzą nam coś, co jest dobre dla kniazia, pokornie mu dziękujemy i pomodlimy się do Boga, dziękując, że w końcu odpowiedział na nasze modlitwy. – Spojrzał z nadzieją w oczach na Szujskiego. – Po tak wielu miesiącach radzi jesteśmy, że zaprasza nas ktoś jeszcze gdzieś poza Kreml. Odnawiasz, panie, moją nadzieję na wypełnienie naszej misji. Przyjdziemy o godzinie, którą sam określisz.

– Zaraz po południowej liturgii – odpowiedział natychmiast Anastasij, który chętnie by zaprosił jezuitów już teraz. – Przyślę wam służącego i powóz. – Sam uznałby takie wpraszenie się w łaski za natarczywe, stwierdził jednak, że Polacy się na tym nie poznali. – Mój sługa będzie do waszej dyspozycji. – Umilkł na chwilę. – A, jeszcze jedno. Nie możemy wynająć muzyków, którzy umilaliby wam czas, w domu wciąż obowiązuje żałoba po mojej zmarłej przed miesiącem krewniaczce, Galinie Aleksandrownej.

Pogner i Kownowski przeżegnali się nabożnie.

– Wieczne odpoczywanie racz jej dać, Panie – powiedział młodszy z księży.

– Czy właściwe będzie, jeżeli złożymy wizytę w takim czasie? – Ojciec Pogner błysnął oczami.

Anastasij zbył tę kwestię niedbałym machnięciem dłoni.

– Była moją kuzynką, nie żoną ani siostrą, samotną wdową, której jedyna córka wyszła za mąż... za waszego hrabiego Saint-Germaina, tego Siedmiogrodzianina Rakoczego.

– Za tego szarlatana! – syknął Pogner. – Oby diabeł wyżarł mu flaki! Odpowiedź uradowała Anastasija, choć ukrył to przed Polakami.

– Jest bardzo... przebiegły – stwierdził nie bez rezerwy w głosie.

– Przebiegły... – powtórzył Pogner. – Tak, jest przebiegły jak niebezpieczne zwierzę, wilk albo ryś.

Ojciec Kownowski miał niezbyt tęgą minę, ale się nie odezwał. Odsunął się tylko od Anastasija, jakby ten cierpiał na jakąś chorobę zakaźną.

– Więc z tego powodu podczas waszej wizyty nie będzie muzyki – stwierdził Anastasij, delikatnym gestem wyrażając żal. – Ale jako osoby duchowne może w ogóle nie lubicie muzyki przy ucztach.

Ojciec Pogner się nie uśmiechnął, ale w jego oczach skrzyła się satysfakcja.

– Wnikliwa uwaga, mości kniaziu.

– Miło mi – odpowiedział Anastasij. Cofnął się, stąpając ostrożnie. – Doskonale. A więc jutro po południu, zacni Polacy, i przyjmijcie moje dzięki za waszą dworność.

Ojciec Pogner przeżegnał go, a Rusin podszedł do konia i wskoczył na siodło o wysokim łuku. Potem lekkim truchtem skierował źrebca ku Bramie Spasskiej. Pozwalając koniowi wybierać drogę, sam pogrążył się w myślach.

Gdy następnego dnia jezuita zjawili się we dworze Anastasija, gospodarz czekał już na gości. Przemyślał wszystko, co wiedział o jezuitach, łącznie z jawną niechęcią i zazdrością, jakie żywił Pogner wobec Rakoczego. Wiedział, że polscy posłowie wiele mu mogą powiedzieć, i zamierzał wykorzystać wszystko, czego się od nich

dowie. Sam powitał księży przy drzwiach i wprowadził ich w głąb, zatrzymując się tylko przed ikonami, gdzie się przeżegnał mimo pełnych dezaprobaty spojrzeń ojca Pognera.

– Witajcie w moim domu, zacni ojcowie. Wejdźcie i rozgośćcie się: dziś wy tu rządzicie. – Powitał ukłonami obu księży i poprowadził ich ku większej izbie paradnej, którą niedawno ukończyli budujący dom cieśle. Wskazawszy wyłożone poduszkami krzesła, ukłonił się ponownie. – Mam nadzieję, że będzie wam wygodnie. Moja służba została powiadomiona o waszej obecności i słudzy będą przychodzili na wasze wezwania, jeśli zechcecie ich wezwać. – Odkaszlnął. – W tej chwili w domu nie ma ojca liii, który sprawuje tu opiekę duchową. Powiedział mi, że po południowej liturgii zamierza się pomodlić za duszę Galiny Aleksandrownej i wróci dopiero po liturgii wieczornej.

– Większość prawosławnych księży nie chce z nami rozmawiać – stwierdził z fałszywą skromnością i pokorą ojciec Pogner. – A jednak pomodlimy się za niego, tak jak on modlił się o odpuszczenie win waszej krewniaczki.

Ojciec Kownowski się przeżegnał.

– Ze smutkiem dowiedziałem się o tym nieszczęściu.

Anastasij nie był przygotowany na wyrazy współczucia cudzoziemców i odpowiedział dopiero po chwili:

– Tak. Choroba poraziła ją nagle i umarła w pięć dni później pod pobożną opieką mniszek. Biedna kobieta wiele w życiu wycierpiała, ale przynajmniej wydała córkę za mąż. Mówiono, że umarła w łasce Pana. – Przeżegnał się. – Mniszki modlą się za nią w dzień i w nocy. – Nie dodał, że za modlitwy zapłacił wyłącznie Rakoczy.

– Pobożny gest – stwierdził ojciec Pogner, wybierając najsolidniejsze krzesło i rozsiadając się na nim ze złożonymi na kolanach dłońmi. – Ciekaw jestem was i waszych uwag, kniazium Szujski – powiedział, przystępując do rzeczy z poważną miną.

– Ja też ciekaw jestem, co powiecie – odparł Anastasij, wzywając służbę kłaśnięciem w dłonie. Nie lubił, gdy go popędzano. – Przynieście poczęstunek. Pobożni ojcowie nie powinni czekać na posiłek jak żebracy.

– Miło nam będzie usłużyć – odpowiedzieli służący. Obaj skłonili się Anastasijowi, a następnie jezuitom i szybko wyszli z paradnej, żeby wykonać rozkazy pana i powiadomić resztę służby o gościach.

Po kilku chwilach w drzwiach stanął prosty jak świeca Piotr Grigorjewicz Smolnikow, który ostrożnie się zatrzymał, jedną dłonią trzymając się futryny. – Masz gości, Anastasiju Siergiejewiczu – powiedział, przechylając głowę na bok, jakby chciał słuchem nadrobić ślepotę. – Słyszę obce głosy. To nie Grecy?

– Mam gości i to bardzo ważnych. To ludzie z polskiego poselstwa: ojcowie Pogner i Kownowski. – Szujski szybko wymienił nazwiska i zaraz zwrócił się do obu jezuitów: – To Piotr Grigorjewicz Smolnikow, mieszka z nami. Jest wielkim wojennym bohaterem. – Skinieniem głowy wskazał ślepcą. – Przed dwudziestu laty, podczas najazdu Mongołów na Moskwę, dowodził obroną dzielnicy zbrój mistrzów. Przedtem toczył bitwy od Kazania do Briańska. Sam car Iwan nagrodił Piotra Grigorjewicza za jego dzielność w bitwach.

– Wielki to dla nas honor – stwierdził szorstko ojciec Pogner.

Ojciec Kownowski okazał nieco więcej uprzejmości:

– Twoja odwaga, panie, jest przykładem dla innych.

– Mongolska dzida pozbawiła mnie wzroku – stwierdził spokojnie Smolnikow, składając ukłon w stronę, z której dobiegały go głosy zakonników. – Bóg ocalił mi życie, a Anastasij Siergiejewicz raczył mnie wziąć pod opiekę.

– Bzdura – stwierdził żywo Anastasij. – To, że z nami mieszka, Piotrze Grigorjewiczu, jest dla nas zaszczytem. – Dał Polakom chwilę na przyswojenie sobie tej wypowiedzi, a potem stwierdził: – Jeżeli

chcesz, możesz się do nas przyłączyć. Mieliśmy omawiać kwestie religijne.

Piotr natychmiast się przeżegnał.

– Nie jestem człkiem przesadnie religijnym. Modłę się tylko i żegnam przed ikonami. – Ponownie ukłonił się Polakom, a potem, wciąż dotykając dłonią ściany, wyszedł, zostawiając Anastasija i jego gości samym sobie.

– Mam nadzieję, że ta krótka przerwa nie zbiła was z tropu – stwierdził Szujski. – Musicie zrozumieć, że Piotr Grigorjewicz nawykł do surowego i pełnego wrażeń żołnierskiego życia. Teraz żyje zamknięty u nas albo w swoim odległym o kilka przecznic domu, przez co stał się ponury i rozgoryczony.

– Twoje miłosierdzie, panie, jest w pełni zrozumiałe – odpowiedział ojciec Pogner, niecierpliwie uderzając koniuszkami palców jednej dłoni o drugie. – Mam jednak nadzieję, że porozmawiamy i o innych sprawach. – Spojrzał Anastasijowi w oczy. – Chyba że od wczoraj zmieniłeś zdanie.

– W żadnym razie – oświadczył Anastasij, idąc ku Polakom. – Usiądźcie wygodniej, ojczy Kownowski. – Wskazał dłonią jedno z krzeseł i odczekał, aż gość się na nim usadowi. – Jesteście w pełni świadomi poważnych ograniczeń, jakie są nakładane z zewnątrz na moskiewską Cerkiew prawosławną. Naszych metropolitów wyznacza patriarcha jerozolimski i czyni to, nie zważając na wolę i sugestie carów czy dworu. To rzecz zła, ponieważ ludzie oddani patriarsze są wywyższani nad tych, którzy są wierni Moskwie i znają potrzeby naszego ludu. W tych czasach, gdy Cerkiew prawosławną jest nękana przez Turków na równi z Kościołem katolickim, nie można temu pobbłażać bez poważnych konsekwencji dla dusz Rusinów. – Przeżegnał się. – Jako Polacy i kapłani dobrze rozumiecie, co to znaczy być odsuniętym od ośrodka władzy. Z pewnością dzielicie ze

mną pragnienie bezpieczeństwa dla chrześcijan. – Pogładził ciężką dłonią brodę. – Nie jestem jedynym bojarem, który żywi obawę, że krzyż zastąpi zielona chorągiew Mahometa, a nasze ikony razem z chrześcijańską wiarą zostaną wdeptane w ziemię.

– Wszyscy zdajemy sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakim są Turcy – oznajmił bez ogródek Pogner. – To jeden z powodów, dla których przysłał nas tu król Stefan. Chrześcijańskie kraje nie mogą toczyć wojen ze sobą, gdy świat nękają wojska Mahometa.

– Chciałem rzec dokładnie to samo – stwierdził Anastasij. – Doskonale mnie zrozumieliście. – Opuścił wzrok. – A jednak wielu jest ślepych. Ponieważ pobiliśmy Mongołów i odzyskaliśmy nasze ruskie ziemie, sądzą, że Turcy nas nie ruszą.

Ojciec Kownowski niespokojnie poruszył się na krześle, spojrzął na towarzysza, a potem rzekł:

– Car powiedział, że Turcy nie chcą naszych puszczy i boją się długich zim, a nasze wojny z nimi nie są wojnami Rusi. Jak mamy go przekonać, że jest inaczej?

– Ależ wojny z Turcją są wojnami Cerkwi prawosławnej, ponieważ Turcy zajęli Konstantynopol i zmusili patriarchę do szukania schronienia w Jerozolimie, gdzie ze wszystkich stron otaczają go wojska Mahometa. – Anastasij uderzył pięścią w otwartą dłoń. – To godzi w samo serce prawosławia i powiem tylko, że my, Rusini, nie możemy sobie pozwolić na poddaństwo wobec Jerozolimy, bo to czyni z nas poddanych Turcji!

Pognera poraziła słuszność argumentów Anastasija a i nie bez szacunku kiwnął mu głową.

– To byłby straszny cios – powiedział, przewidując nadejście czasów, gdy w sukurs Rusi przyjdzie Kościół katolicki i zacznie się nawracanie.

– Owszem – odparł Anastasij, zrozumiawszy zuchwałość celów

starego jezuitę. – Moglibyście zapewnić nam ochronę przed nieprzyjaciółmi, którzy są i waszymi nieprzyjaciółmi. Moglibyście nas uratować. – Usłyszawszy kroki wracających sług, podniósł dłoń, by uciszyć rozmówców. – Przyniesiono wam posiłek, o zacni Polacy – oznajmił, gdy służący otworzyli drzwi. – Przyjmijcie, proszę, moją gościnę i docenie ją dobrym apetytem.

Służący wniósł dużą tacę, na której leżała misa z kulebiakami nadziewanymi jagnięciną. Obok spoczywała pieczona kaczka i słodkie sery otaczające złoty talerz z kawałkami melona zanurzonymi w słodkim wiśniowym winie.

– Poczestunek Anastasija Siergicjewicza Szujskiego – oznajmił, gdy jeden ze sług kładł tacę na największym stole.

– Godny posiłek – stwierdził Kownowski, po raz kolejny odpowiadając tak, by zadowolić Pognera. – Jesteśmy radzi tak gościnnemu przyjęciu.

Anastasij uklonił się lekko, a potem zwrócił do służących:

– Przynieście dla gości łyżki i talerze. – Wiedział, że Polacy nie noszą sztuczków przy sobie i nie zechcą jeść palcami, tak jak zrobiliby to Rusini.

Zaskoczeni służący zbledli, ale natychmiast wyszli, żeby spełnić polecenie.

– Bardzo to kuszące – stwierdził ojciec Pogner, wykrzywiając usta w podkowę. – Podziękujemy Bogu za waszą hojność, panie.

– Amen – odpowiedział, żegnając się, Anastasij. Nadstawiając ucha, podszedł do piecyka, jakby chciał sprawdzić, czy dobrze się pali; w rzeczywistości chciał stworzyć gościom okazję do wymiany kilku zdań na osobności.

– Dobrze byłoby powiadomić króla Stefana, że można pozyskać moskwiczinów dla jego sprawy przeciwko Turkom – powiedział półgłosem ojciec Kownowski. Nie mówił szeptem, bo nie sądził, iż

ktoś ich może podsłuchiwać. – Pochwali nasze rozmowy z prawosławnymi, jeżeli...

– Nie możemy podejmować decyzji za niego – odparł jak zwykle ponuro i bezpośrednio Pogner. – Ale wysłuchajmy, co ten człek ma do powiedzenia. Zaciekawiał mnie i chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej o jego zamiarach. Może w przyszłości będziemy mogli wykorzystać jego opinię i nie polegać na tym, co mówi nam ten zdradziecki Madziar. Może zdołamy jakoś zyskać posłuchanie u cara albo Godunowa.

– Będzie chciał od nas czegoś więcej niż tylko podziękowań – ostrzegł Kownowski z rosnącym niepokojem w głosie. – Możemy narazić...

– Ten Rakoczy już naraził naszą misję i niemal ją udaremnił – odparł ostro Pogner. – Samą swoją obecnością skaził nasze poselstwo i nie będę dłużej znosił jego zarozumiałstwa i panoszenia się! Czas, żebyśmy skorzystali z okazji i wyzwolili się spod jego tyranii!

Słudzy wrócili z talerzami i sztuczkami, które szybko podali gościom, a potem ukłonili im się w pas i wyszli z komnaty.

Uśmiechnięty przyjaźnie i usatysfakcjonowany tak pomyślnym początkiem znajomości z Polakami Anastasij wrócił wolnym krokiem do stołu; nie trzeba było wiele zachodu, by umocnić ten sojusz na tyle, by podważyć pozycję Wasyla. Gdy Wasyl wypadnie z gry, można będzie wysadzić z siodła Godunowa. Te wspaniałe perspektywy skłoniły go do złożenia jeszcze śmielszej propozycji.

– Jako że nie chcecie znosić dłużej tyranii Rakoczego, może zechcielibyście rozważyć przejście pod mój patronat? – Złożył kolejny ukłon na modłę europejską.

– Co masz na myśli, panie? – zapytał gniewnie i podejrzliwie ojciec Pogner, podnosząc na Anastasij a wzrok znad talerza.

Błękitne oczy Szujskiego były samą niewinnością.

– No jakże? Wydaje mi się, zacni Polacy, że wy i ja mamy podobne cele i w tym pełnym zepsucia świecie razem możemy zdziałać więcej niż osobno.

Ojciec Pagner zacisnął wargi.

– Może masz rację, panie – odparł po chwili usprawiedliwionego okolicznościami milczenia.

– Jeżeli tak, wspierając cię, panie, przysłużymy się Kościołowi katolickiemu i naszemu królowi – stwierdził Kownowski tonem człowieka usiłującego przekonać samego siebie o mądrości takiego aliansu.

– A zatem mamy umowę – odparł Anastasij, częstując się kulebiakiem.

Wyjątek z listu kapitana angielskiego statku *Exeter* do sir Jerome'a Horseya:

...Za trzy dni opuszczamy Nowe Chołmogory i z ładunkiem futer, jantaru, wielorybiego oleju, lin i jedwabiu wypływamy do Londynu. Mamy na tę podróż odpowiednie zapasy jada, w tym trzydzieści żywych gęsi i dwie świny, które pójda pod nóż podczas żeglugi.

W skład załogi wchodzi trzydziestu jeden ludzi, w tym dwu kucharzy i okrętowy cyrulik. Wszyscy oznajmili, że są zdolni do podróży, i wszystkim zapewniono gratyfikacje, jakie dostaną w Londynie, gdy dotrzemy tam o dobrym czasie. Wszyscy żeglarze są Anglikami, choć wzięliśmy na pokład jednego norweskiego żaglomistrza i duńskiego golibrode.

Gdy Exeter szykowano do wypłynięcia w morze, do portu wpłynął okręt niemiecki. Jego kapitan oznajmił, że zamierza przezimować w Cholmogorach i wypłynąć wiosną. Rozmawiałem z tym człowiekiem, blerr Henglem, i muszę stwierdzić, że podejrzywam, iż szykuje jakiś podstęp.

Okazywał mi wielką serdeczność, ale powiadomiono mnie, że jego

ludzie wyłazili wprost ze skóry, by od członków mojej załogi dowiedzieć się jak najwięcej o tym, skąd bierzemy towary i ile za nie zapłaciliśmy. Obawiam się, że kapitan Hengel chce podkupić nasze umowy od ruskich kupców, z którymi je pozawieraliśmy, i podbić ceny, jakie będziemy musieli płacić przy następnych transakcjach. Nie chciałby m stracić korzyści na rzecz Niemców, dlatego wysyłam Ci, panie, to ostrzeżenie.

W zależności od pogody i wiatrów wrócę na Morze Białe w maju albo w czerwcu, i w tym to czasie Exeter przywiezie na Ruś angielskie towary. Na zimę w tym porcie pozostanie angielski statek Katherine Montmorency. Obudowany zostanie tratwami i pociętymi belkami, jak to robią Rusini, by uchronić swoje statki przed naporem lodu. Nakazałem kapitanowi tego statku, Henrfemu Percwalowi, mieć baczenie na Herr Hengla i donosić Ci, panie, o wszystkich jego poczynaniach, gdy tylko drogi staną się przejezdne. Jeżeli Niemiec zechce przeszkodzić angielskiemu handlowi, niezwłocznie się o tym. dowiesz.

Nalegamy, żebyś, panie, nawiązał dla nas nowe kontakty i zwiększył przewożone przez nas ładunki. Nie jestem jedynym kapitanem, który pragnie zwiększyć zakres naszego handlu z całym światem. Jeżeli nie zdołamy wydobyć więcej z Rusi, musimy poszukać bogactw gdzie indziej: w Chinach, Indiach, w Afryce albo nawet w Nowym Świecie...

Ferenc Rakoczy Hrabia Saint-Germain

CZĘŚĆ TRZECIA

FERENC RAKOCZY HRABIA SAINT-GERMAIN

Napisany w ruszczyźnie list Jurija do kniazia Wasyla Szujskiego, wysłany z polskiego poselstwa:

Wielkiemu kniaziowi pokorne pozdrowienia przesyła jego sługa Jurij.

Ciekawą i sprzyjającą naszym zamiarom okolicznością jest to, że choć papieżnicy zatrudnili mnie dla mojej znajomości polskiego i łaciny, często o tym zapominają i rozmawiają ze sobą przy mnie w tych językach, jakby byli pewni, że nikt nie może ich zrozumieć. Muszę się mocno starać, by udać, że niewiele z tego rozumiem-, oni wierzą, że umiem tylko czytać i pisać, ale nie znam tych języków na tyle biegle, żeby się z kimś rozmówić. To błąd, którego nie popełniłbym w domu tego Madziara, gdybym wiedział, jak jest spostrzegawczy.

Przez cały adwent aż do Pasterki mnisi byli zdani niemal wyłącznie na samych siebie. O ile mi wiadomo, mieli w tym czasie tylko dwu gości: Rakoczego, który jest członkiem poselstwa, i Nicholasa Powera, sługę angielskiego ambasadora, sir Jerome'a Horseya. Obaj spędzili w towarzystwie tych księży po kilka godzin, podczas których zostali wysłuchani i przekazali im rozmaite materiały na piśmie. Księży nie zaproszono na żadną z uczt na terenie Kremla i nie mieli okazji uczestniczyć w oficjalnych uroczystościach.

Udało mi się zerknąć na napisany po łacinie list wysłany do sir Horseya, zanim oddano go Nicolasowi Bowerowi. W liście tym ojcowie Stanisław Brodzki i Tymon Anioł powiadają sir Horseya, kiedy zamierzają wysłać wieści do Polski. Wiadome jest, że drogi na zachód przecierają się szybciej niż wiodące na północ, istnieje więc możliwość, że

raporty dla królowej Anglii szybciej dotrą do niej lądem niż przez morza Białe i Północne. Ojcowie Brodzki i Anioł zaproponowali sir Horseyowi, że będą pośrednikami w dostarczaniu raportów królowej Elżbiecie. Nie widziałem żadnych raportów angielskich i nie umiem rzec, czy sir Horsey przyjmie propozycję Polaków, ale pozwól zapewnić się, panie, że skorzystam z każdej okazji, by się dowiedzieć, jaką podjął decyzję, i przekażę Ci tę wiadomość jak najrychlej.

Sprawa z Rakoczym jest całkiem inna, ponieważ oficjalnie wciąż jest członkiem polskiego poselstwa, choć za takiego uważa go teraz jedynie ojciec Milan Krabbe. Pozostali papieżnicy utrzymują, iż wierzą, że Rakoczy zdradził sprawę Polski i zaufanie króla Stefana dla przyjaźni z Borysem Fiodorowiczem. Gdy papieżnicy się zbierają, nie mówią o nim i tylko ojciec Pogner rzuca na niego oskarżenia. Z tego powodu wszyscy zdecydowali, że bez obecności straży i pozwolenia Pognera nie pozwolą mu wejść na teren poselstwa, na to ostatnie zaś Rakoczy liczyć nie może i nawet Krabbe temu się nie przeciwstawia, bo chce utrzymać dobre stosunki z pozostałymi polskimi księżmi.

Z drugiej strony ostatnie zalecenia króla Stefana nakazują Polakom przekazywanie Rakoczemu wszystkich wieści od niego i branie opinii hrabiego pod uwagę przy podejmowaniu wszelkich decyzji. Bardzo jest to nie w smak Pognerowi, który zwleka jak może, gdy trzeba mu się stosować do tych poleceń. Robi on wszystko, co nakazuje mu król Stefan, ale stara się włożyć w to jak najmniej wysiłku. Gdyby nie to, że Rakoczy raz w tygodniu przysyła tu swojego sługę Rothgera, sadzę, że Pogner wszystkie polecenia polskiego króla zatrzymywałby wewnątrz poselstwa; Rakoczy stara się do tego nie dopuścić.

Było kilkanaście przypadków, kiedy papieżnicy opuszczali teren poselstwa, wychodząc w swoich sprawach. Często udają się na Kreml, choć jak już napisałem, nie biorą udziału w dworskich uroczystościach; odwiedzają też inne miejsca. Wiem, że Krabbe przynajmniej dwa razy

odwiedził dom Rakoczego, nie mam jednak pojęcia, o czym rozmawiali. Nikomu o tym nie mówi, a ja boję się go śledzić, żeby mnie nie zdemaskowano.

Trzy razy wychodzili gdzieś ojcowie Pogner i Kownowski. Za każdym razem opuszczali poselstwo przynajmniej na pół dnia i nie rozmawiali z innymi o tym, dokąd wychodzili, pozostali jednak uważają, że potajemnie spotykali się z Godunowem, ponieważ żaden inny ruski człowiek nie chciałby mieć do czynienia z Pognerem. Notatki, które Pogner sporządza po tych spotkaniach, są spisane jakimś sekretnym kodem, do którego nie zdołałem znaleźć klucza. Kownowski niechętnie rozmawia z innymi o tych spotkaniach, a Pogner nigdy nie zdradza swoich zamiarów, choć dwa razy słyszałem, jak zabrania ojcu Łomży wychodzenia na Kreml w pojedynkę.

Od zamieci sprzed dwóch dni papieżnicy w ogóle nie opuszczają poselstwa. Do pozostania w domu zmusił ich śnieg i rozkazy cara Fiodora, który zabronił wszystkim cudzoziemcom – oprócz Rakoczego – wychodzić na ulice, dopóki te nie zostaną odśnieżone tak, żeby można było ich śledzić. Jeżeli car zezwoli, na święto ‘Trzech Króli odprawiona tu zostanie uczta bez czerwonego mięsiva, na którą przyjdą Niemcy, choć nie Anglicy, bo ci zerwali z Rzymem. Ostatnie dni każdy z papieżników spędził na modłach i czytaniu świętych ksiąg spisanych po łacinie; jest też kilka w języku greckim, ale w żadnej nie ma niczego, co byłoby przeciwko carowi albo zdradzałoby zamiary króla Stefana.

Na duszę mojej matki przysięgam, że wszystko, com napisał, jest prawdą i wszystko wiernie przekazuję. Obiecuję, że będę się starał rozgryźć notatki ojca Pognera i powiadomię Cię, panie, jak najrychlej, gdy tylko się dowiem, dokąd i po co wychodzą Pogner z Kownowskim.

Spisałem własną ręką Jurij

4 stycznia 1585 roku wedle polskiego kalendarza

Car Fiodor uniósł pulchną dłoń do czoła i zsunął z niego podbitą futrem splecioną z filigranowych liści Czapkę Kazańską. Wszyscy dworacy wytrzeszczyli oczy, żaden jednak nie ośmielił się nic powiedzieć i tylko gapili się na leżącą na posadzce nieopodal końca carskiego kostura koronę. Fiodor uśmiechnął się niewinnie i skinieniem dłoni wskazał ją Borysowi Godunowowi.

– Znów ją upuściłem. Drapie mnie w głowę.

Borys odziany w olśniewający przepychem czerwony kaftan haftowany złotymi nićmi, pochylił się niezgrabnie, jedną dłonią podtrzymując wysoką czapkę, a drugą sięgając po carskie nakrycie głowy. Następnie ukląkł i z oznakami najwyższego szacunku podał Czapkę Kazańską carowi.

– Ojczulku, chcesz, by wezwano metropolitę, który ci ją zmieni. – To właśnie zrobiłby car Iwan, o czym doskonale wiedzieli wszyscy dworzanie.

– Nie – odparł Fiodor, układając sobie czapkę na kolanie. – Jest za gorąco, a ja jestem zgrzany. – Skinął dłonią Borysowi. – Wstań, Borysie Fiodorowiczu. Nie lubię, jak wszyscy bijecie pokłony i klęczycie.

W zachowaniu dworzan, którzy po Bożym Narodzeniu po raz pierwszy zebrali się w pełnym składzie, dało się zauważyć lekkie zmieszanie.

– Co chcesz mi dać? Mówiłeś, że to będzie zajmujące i zabawne. – Na pyzatej twarzy Fiodora malowało się radosne oczekiwanie. Młodziutki car wymachiwał niecierpliwie jedną nogą, uderzając piętą o wykonaną z kości słoniowej i klejnotów okładzinę tronu i

zostawiając na niej niewielkie zadrapania.

– Tak – stwierdził niezbyt radosnym tonem Borys. – Tak, są ludzie, którzy chcieliby ci się zaprezentować, Ojczulku. Cudzoziemcy, którym już wcześniej nakazałeś się przed tobą stawić. – Nie padając tym razem na kolana, ukłonił się Fiodorowi i wyszedł ze wspaniałej, rozległej, złotej Sali Audiencyjnej.

Pomiędzy kilkunastoma dyplomatami, którzy czekali na prezentację, stał Rakoczy i Borys powitał go spojrzeniem pełnym ulgi. Podszedłszy do obleczonego w czerń i srebro Madziara, odezwał się do niego po grecku:

– Obawiam się, że klejnot nie przykuje carskiej uwagi na długo, ale trzeba go jakoś rozbawić.

– Tym razem nie przyniosłem klejnotu – stwierdził Rakoczy, podnosząc nieco obitą skórą szkatułkę. – Dość jasno mi powiedziałeś, że car Fiodor ma inne upodobania. – Obejrzał się przez ramię na posła niemieckiego, który starał się rozprostować i przywrócić giętkość zeszywniałym palcom. – On przyniósł maleńką rzeźbioną karocę z zaprzęgiem koników, więc i ja dostosowałem mój dar do gustów odbiorcy. – Klepnął dłonią wieko szkatułki.

Borys nie bez niechęci popatrzył na niemieckiego posła i jego zabawki. Ukrywając gniew, musiał jednak przyznać, że Niemiec mądrze zrobił, przynosząc taki dar, który prawdopodobnie zostanie bardzo dobrze przyjęty.

– No dobrze. To pójdziesz pierwszy. – Skinął dłonią metropolicie. – Pozwól mu, o najczcigodniejszy – poprosił, ponieważ wedle zwyczaju metropolita miał przywilej wkraczania do Sali Audiencyjnej jako pierwszy. – Tak będzie najlepiej. Car lubi tego człowieka i to sprawi, że potem wszystko pójdzie łatwiej.

Rozważając tę propozycję, metropolita ze skupionym wyrazem twarzy pogładził się po brodzie i musnął dłonią perły zdobiące przód

jego riasy.

– Jeżeli to ma uspokoić cara i nastawić go przychylnie, może tak będzie najlepiej.

– Dzięki ci, o czcigodny, i niech Bóg zawsze darzy cię łaskami – powiedział usatysfakcjonowany Borys. Teraz zwrócił się do Rakoczego z miną człowieka, który pozbył się już niepokoju na rzecz całkowitej i cierpliwej rezygnacji: – Nie skończyliśmy jeszcze prezentacji dworzan, ale car Fiodor i tak nie zapamięta ich imion i nazwisk.

– Ponieważ jego ojcu nie sprawiało to najmniejszych trudności, świadczy to o tym, że car nie dorównuje Iwanowi – rzekł pyszniący się długim, czarnym warkoczem człowiek, który przewodził delegacji Tatarów.

Borys skinął głową.

– Jest jednak carem i wszyscy przysięgaliśmy mu posłuszeństwo. – Przeżegnał się, patrząc na metropolitę, by się upewnić, że ten robi to samo. – Chodźmy, panie Rakoczy.

Na drugim końcu przedsionka czekał sir Horsey usztywniony wysoką kryzą, najmodniejszą obecnie na dworze Elżbiety. Obok niego, odziany w mniej okazałe szaty akademickie, stał Benedict Lovell.

– Zapamiętaj moje słowa – odezwał się sir Jerome do towarzysza. – Zaczynają się kłopoty.

– Dla Rakoczego? – zapytał zaskoczony Lovell.

– Nie, dla Godunowa. Ten biedny i niedorozwinięty umysłowo chłopiec robi sobie z Godunowa zabawkę, na co dworzanie popierający kniazia się nie zgodzą. Z nami będzie tak samo. Jesteśmy obcymi, co oznacza... – Zrobił gest oznaczający klęskę.

– Czy on o tym wie? – zapytał półgłosem Lovell. To on ostrzegł pierwiej sir Jerome'a, na co się zanosi. – Czy Godunow zdaje sobie sprawę z tego, co się dzieje?

– Jakże mógłby nie wiedzieć? – Sir Jerome miał ochotę potrząsnąć głową, ale nie mógł tego zrobić z powodu kryzy, zamiast tego więc zakołysał się, jakby tańczył galiardę. – Na wszelki wypadek ustawmy się na samym końcu.

Po wyjściu z przedsionka Rakoczy posłusznie ruszył cztery kroki za Godunowem, niosąc przed sobą szkatułkę tak, by mogli ją zobaczyć gwardziści.

– Jak sądzisz, panie, czy car zdoła wytrzymać z dworem przez cały ranek? – zapytał Borysa, gdy wchodzili do Sali Audiencyjnej.

– Nie, on się już niecierpliwi. – Godunow odpowiedział szeptem, ale to wystarczyło, żeby Rakoczy przygotował się na prezentację Fiodorowi.

Siedzący na tronie młodzik przyglądał się zdobiącym Czapkę Kazańską turkusom i trzymał jeden z nich kciukiem i palcem wskazującym, jakby chciał go wydobyć z oprawy.

– Borysie Fiodorowiczu, to strasznie nudne – zwrócił się do Godunowa, gdy ten w towarzystwie Rakoczego podszedł bliżej. – Nikt oprócz ciebie nie chce ze mną rozmawiać – poskarżył się, gdy Borys składał mu ukłon.

Rakoczy opadł na jedno kolano.

– Niech Bóg obdarzy cię szczęśliwymi dniami i spokojnymi nocami, o carze.

– Nie pochyliłeś głowy – stwierdził Fiodor.

– Rakoczy przybył w imieniu króla Polski – oznajmił Borys, występując naprzód. Fiodor zaprezentował jeden z napadów tego oślego uporu, które Borys uznawał za dalekie echo nieprzewidywalnych humorów Iwana. – W Polsce tak właśnie ludzie okazują szacunek swojemu królowi. Godzi się więc, żeby ten człowiek wobec ciebie, Ojczulku, zachował się tak samo, by nie urazić ani ciebie, ani króla Stefana.

W łagodnych rysach Fiodora pojawiło się nikłe odbicie władczej miny Iwana.

– Żądam, żeby ten człowiek pochylił głowę i nisko mi się pokłonił. Nie pozwolę się obrażać.

– Ależ Ojczulku... – zachnął się Borys.

– Jeżeli taka jest wola cara... – przerwał mu Rakoczy i padł na twarz, otrzymując w nagrodę uśmiech satysfakcji. – To prawda, że Ruś jest krajem cara i wszyscy ludzie są jego poddanymi. Jestem na Rusi cudzoziemcem – ciągnął, zwracając się bezpośrednio do Fiodora. – Jeżeli każesz mi, carze, nauczyć się waszych zwyczajów, zrobię, co w mojej mocy, by wykonać twoje polecenie.

Patrząc na leżącego plackiem Rakoczego, Borys potrząsnął głową. Wolał nie wyobrażać sobie, co by się stało, gdyby Fiodor skierował takie żądanie pod adresem ambasadora angielskiego lub niemieckiego.

Car Fiodor tymczasem radośnie klasnął w dłonie.

– Zrobiłeś to bardzo ładnie. Spodobało mi się. – Spojrzał na swego swaka. – Borysie Fiodorowiczu, zapomniałeś, jak lubię oglądać cudzoziemców w ich czarno-srebrnych strojach. Czerń i srebro. – Skinął dłonią Rakoczemu. – Ruś jest krainą czerwieni i złota. Nieczęsto widzimy tu czerń i srebro.

– Car jest łaskaw, że raczył to zauważyć – powiedział z powagą w głosie Rakoczy, rzuciwszy pierwej porozumiewawcze spojrzenie Borysowi. – My, cudzoziemcy, często odczuwamy swoją obcość, ponieważ nie każe się nam nosić ruskich strojów. Łatwiej byłoby znosić prawo, gdybyśmy my, cudzoziemcy, wiedzieli, że nasze ubrania są miłe twemu oku, carze.

– Pięknie mówisz. Lepiej niż wujek Nikita. – Car skinieniem dłoni kazał Rakoczemu wstać. Hrabia zostawił obitą skórą szkatułkę na ziemi. – Przyniosłeś mi prezent, nieprawdaż? Ludzie zawsze

przynoszą mi prezenty. Bardzo je lubię.

– Prezenty to miła rzecz – odpowiedział Rakoczy, schylając się po szkatułkę.

– Mam nadzieję, że nie jest to kolejny klejnot – odezwał się niespodziewanie Fiodor. – Dałeś mojemu ojcu wiele klejnotów. Oglądałem je wszystkie, ale to tylko kamienie.

– Prawdziwie mówisz, o carze – odparł Rakoczy. – I bardzo mądrze. Ze wszystkich komplementów, jakimi Rakoczy obdarzył cara Fiodora, nazwanie go mądrym było najlepszym pomysłem.

– Takie rzeczy powinni mówić dworzanie, nie ty – zachichotał młody car.

– Tym bardziej więc powinienes mi uwierzyć, o carze – odparł Rakoczy z taką szczerością w głosie, że Godunow niemal zbaraniał. – Ale nie przyniosłem dziś daru dla twojego ojca. To dar dla ciebie.

Łagodną twarz młodzika rozjaśnił uśmiech.

– Cóż więc dla mnie masz? Co chcesz mi dać?

Rakoczy podniósł szkatułkę nieco wyżej.

– Za twoim pozwoleniem, carze, otworzę ją teraz. – Spojrzał na czterech gwardzistów stojących przy czterech rogach tronowego podestu. – Czy którykolwiek z was chce mnie przy tym obserwować, by się upewnić, że w szkatułce nie ma niczego, co mogłoby wyrządzić szkodę carowi Fiodorowi?

– Ja to zrobię – oznajmił Borys, zanim którykolwiek ze strażników zdążył się odezwać. – Ocenię, co tam masz, panie. – Podeszedłszy nieco bliżej do Rakoczego, odezwał się po grecku: – Ufam, że to bezpieczne.

– Oczywiście – stwierdził Rakoczy, odsuwając dwie utrzymywane zawiasami płytki i ukazując zestaw piętnastu lśniących złociście miniaturowych dzwoneczków z klejnotami na szczycie każdego z nich. – Są zestrojone: ametysty dźwięczą w tej samej nucie, podobnie diamenty, szmaragdy, topazy, akwamaryny, szafiry i turmaliny.

Najwyższa, średnia i najniższa nuta oznaczona jest dodatkowo perłami, by odróżnić je od innych – wyjaśniał Rakoczy, podając dzwonki ujęte w metalową ramę. – Wykonane są z brązu i dostrojone wedle gamy doryckiej, jak ją nazywają Europejczycy, a brąz pozłociłem, by uhonorować Cerkiew i cara.

Fiodor zsunął się z wykładanego kością słoniową tronu, pozostawiając na nim Czapkę Kazańską. Podeszedłszy do Rakoczego, przyjrzał się darowi.

– To cudowne – wyszeptał tak cicho, że usłyszeli go tylko najbliżej stojący dworzanie. – Mówisz, że brzmią czysto?

– Sam sprawdź, o carze – zaproponował Rakoczy.

Car Fiodor drżącą nieco dłonią sięgnął ku ramie, z której zwisały dzwonki. Pociągnął za jedną z jedwabnych nici – każda była takiego samego koloru jak klejnocik zwieńczający dzwonek. Dźwięk był tak czysty, tak doskonały, że nuta trwała, jakby dzwonek miał bijące serce. Car przechylił głowę i pociągnąwszy kolejną nić, wsłuchał się w następny, idealnie czysty ton.

– Zaszczytem jest możliwość sprawienia ci przyjemności, o carze – oznajmił Rakoczy, cofając się od młodzika o delikatnej, cienkiej i wiotkiej bródce trzynastolatka. – Przekażę podziękowania i uwagi królowi Stefanowi.

– Oby król Stefan wynagrodził twoje usługi – odezwał się Borys, celowo rzucając Rakoczemu znaczące spojrzenie. – Cóż myślisz, Ojczulku? – podjął wątek. – Czyż to nie wspaniały dar?

– Wspaniały – odpowiedział car oczarowany widokiem i dźwiękiem dzwoneczków. – Wspaniały, cudowny! – zawołał, uderzając ponownie w każdy z szesnastu dzwoneczków i wsłuchując się z uwagą, która była niezwykła u tego dziecinnego władcy.

– Rad jestem z tego, że sprawiłem ci przyjemność, o carze – odezwał się Rakoczy, gdy Fiodora zadowoliło wreszcie sprawdzanie,

czy każdy dzwonek ma czysty dźwięk. – Pragnę tworzyć rzeczy, które sprawią ci przyjemność.

– To dobrze. Tak się godzi. Borysie Fiodorowiczu, powiedz mu, że tak się godzi. – Fiodor, promieniejąc radością, uderzył w dzwonki, które odezwały się poranną kadencją. – Metropolita pęknie z zazdrości, bo on w ten zimny i wietrzny poranek będzie musiał się wspinać na wieżę, podczas gdy ja mam te dzwoneczki ze sobą. – Spojrzał ostro na Rakoczego. – Chcę, żebyś mi zrobił znacznie, znacznie większe.

Rakoczy z rezygnacją rozłożył ręce.

– Niestety, o carze, to nie jest możliwe. Nie mam odlewni ani kuźni i żadną miarą nie zdołam zrobić dzwoneków znacznie większych niż te. Cudzoziemcom nie pozwala się nawet posiadać większych ilości spiżu. – To, co powiedział, było w miarę szczere i z ulgą podsunął taką wymówkę Fiodorowi, ponieważ wyczuł, że żądania cara mogą nagle wznieść się ponad jego zdolności ich spełnienia. Nie spodobało mu się rozważanie konsekwencji tej możliwości, choć nie mógł ich całkowicie uniknąć. – O carze, tu w Moskwie masz znakomitych ludwisarzy, którzy o wiele lepiej niż ja wykonają dzwony o mocnych, głębokich głosach.

– Te jednak brzmią czyściej – odezwał się Fiodor z cieniem podejrzliwości w głosie.

– Bo są bardzo małe – odpowiedział Rakoczy z głębokim ukłonem. – Łatwiej odlać ze spiżu coś, co ma rozmiar kielicha, niż rozmiar konia. Spiż można lepiej uformować w małym niż w wielkim dzwonie. – Nie wspomniał, że do zestawu tych szesnastu dzwoneków musiał odlać ponad osiemdziesiąt, z których wybrał najlepsze.

– Jestem dumny z ruskich dzwoneków – odezwał się Borys, popierając stanowisko Rakoczego. – Ten cudzoziemiec ma rację, Ojczulku. Nie ma na świecie ludwisarzy, którzy mogliby się równać z naszymi.

– To prawda – poparł go natychmiast Rakoczy.

– Nigdzie takich nie znajdziesz – zgodził się Fiodor z dumą w głosie.

– I dlatego trzeba podziękować Rakoczemu za to, iż okazał szacunek tobie, Ojczulku, i tym, co odlewają nasze dzwony. Jest cudzoziemcem, który wie, że Moskwa to bastion Rusi. – Przy tych słowach Borys się przeżegnał. – Moskiewskie powietrze przepelniają dźwięki dzwonów.

Car uśmiechnął się tak sztywno, iż mogłoby się wydać, że uśmiech ten wryto na jego twarzy.

– Chcę, żebyś podziękował cudzoziemcowi. Za te cudowne dary niech dostanie, co zechce, jeśli nie sprzeciwi się temu metropolita – oznajmił, odsyłając obu mężczyzn skinieniem dłoni. – Powiadomcie dwór, że dalszą naradę podejmiemy po liturgii.

– Po liturgii – powtórzył Borys niczym echo. Nie znosił tego, że car Fiodor jest tak prostolinijnym i naiwnym młodzikiem bez obycia. – Ojczulku, to ty zwołałeś dwór. Ty kazałeś bojarom stawić się przed sobą.

– No to teraz każę im iść precz i przyjść po liturgii. – Car wstał, ujmując w dłonie metalową ramę dzwonków. – Po liturgii zobaczę się z innymi cudzoziemcami i wysłucham wszystkiego, co bojarzy mają mi do powiedzenia. Wszystkiego.

Borys położył dłoń na brodzie, co było jedyną oznaką jego podniecenia.

– Byłoby lepiej, Ojczulku, gdybyś zechciał załatwić dworskie sprawy teraz. Nie trzeba ci będzie przerywać zabawy później; po skończonym posiedzeniu dworu będziesz mógł sobie dzwonić, jak długo zechcesz.

– To prawda, nie mogę... Każ się zebrać wszystkim ponownie jutro – odparł Fiodor, zamykając sprawę. – Powiedz wszystkim, że mają

opuścić pałac. Nie chcę, by ktoś tu został; ci, którzy zostają, są spiskowcami, tak mi powiedział ojciec, zanim umarł.

– Ojczulku, wielu z nich będzie żywić urazę. – Borys nadaremnie silił się na sprzeciw. – Nie chcą, by pozbawiano ich twojej uwagi i...

– Przyjmę wszystkich jutro po liturgii. Zbierzemy się tu jeszcze raz, jak dziś – odrzekł Fiodor, wskazując jednego z gwardzistów. – Chodź ze mną. Pójdę schodami, tak że każdy będzie mógł zobaczyć dzwonki. – Potrząsnął ramą i wszystkie dzwonki rozdzwoniły się wspaniale dźwięcznym dysonansem. – Rakoczy, to lepsze niż klejnoty. Znalazłeś dla mnie wspaniałą dar i zdziwi cię moja wdzięczność.

– Niegodny jestem twojej wdzięczności, o carze – odparł natychmiast Rakoczy, opadając na jedno kolano przed Fiodorem, który trzymając w rękach swój skarb, wyszedł z Sali Audiencyjnej w towarzystwie jednego strażnika.

– To się zaczyna robić trudne – stwierdził Borys po wyjściu Fiodora.

– Owszem, to już jest trudne – odparł, wstając Rakoczy. Szybkim spojrzeniem przeszukał rozległą Złotą Komnatę, zauważając gniew i rozterkę w oczach bojarów. – Już przedtem byli niezadowoleni. A jeżeli Fiodor będzie przerywał ceremonie z powodu każdego otrzymanego daru, stanie się to trudne dla wszystkich. Spójrz na nich. Oni wiedzą, że Fiodor Iwanowicz nie zdoła utrzymać Rusi w ryzach. Mongołów dopiero niedawno odepchnięto na wschód, Polacy i Szwedzi szykują się do wojen na zachodzie i zdobycze terytorialne możemy stracić w ciągu kilku miesięcy. Nie tak dawno temu Mongołowie złupili Moskwę i może się to stać ponownie, jeśli Zacharyn zabroni Fiodorowi stawiania oporu, jak głoszą plotki.

– Skąd, panie Rakoczy, poznałeś te plotki? – zdumiał się Borys. – Ja mam swoich szpiegów, ale na razie o niczym takim mi nie donosili.

– Bojarzy wiedzą, że jesteś, kniaziu, osobą wpływową. We mnie widzą tylko przybłędę i wygnańca, więc w mojej obecności mówią o

rzeczach, o jakich nie odważyliby się rozmawiać przy tobie. I bardziej ich to martwi niż razi. Martwi ich, że car pada ofiarą niebezpiecznej naiwności. Woleliby tyrana niż człowieka słabego.

– Nie bez powodu – odpowiedział powoli Borys. – I nie mogę rzec, że mam im to za złe, bo sam podzielałem ich obawy. Dlatego też chcę wzmocnić nasze związki i sojusze z Europą, żebyśmy nie pozostali bez przyjaciół. Nikita Romanowicz utrzymuje, że wiązanie się z cudzoziemcami to zapraszanie najeźdźców, aleja się z nim nie zgadzam; nie wtedy, gdy sojusze są korzystne dla obu stron i zawierane przez rozsądnie myślących ludzi. – Skinieniem głowy wskazał Wasyla i Dymitra Szujskich. – A ci znowu zechcą skorzystać z każdej okazji, jaka się nadarzy. Mają odpowiednią pozycję i urodzenie. Dlatego próbuję powstrzymać... – Godunow umilkł, przerywając samemu sobie. – Maksimie Sewastianowiczu Chorski! – zwrócił się do jednego z pomniejszych, szykujących się do wyjścia z sali bojarów. – Dla wszystkich was przygotowano poczęstunek. Nikt nie musi wychodzić głodny.

Chorski z zadowoleniem kiwnął głową.

– Jestem pewien, że każdy to zrozumie – stwierdził i ruszył pomiędzy świetnie odzianych bojarów, zatrzymując się co kilkanaście kroków po to, żeby pomówić z którymś z nich.

– Zechcesz się przyłączyć, hrabio? – podsunął Borys.

– Z przykrością muszę odmówić – odparł Rakoczy. – Obawiam się, że zostałyby to źle przyjęte.

– Oprócz tego zaś nie jadasz w towarzystwie innych – dodał Borys z prostotą. – Myślisz, że tego nie spostrzegł? Z początku nie byłem pewien, bo za życia Iwana okoliczności przemawiały przeciwko tobie. Ale patrzyłem, panie Rakoczy, i nigdy nie widziałem, żebyś pil albo żebyś coś jadł.

Rakoczy uczynił gest rezygnacji.

– Niech będzie. Przyznaję się, kniaziu. Masz rację. Wolę... jadać na osobności. Dla ludzi mojego pochodzenia jedzenie jest sprawą zbyt osobistą, by jeść tam, gdzie inni mogą to zobaczyć. Mamy w zwyczaju chronienie naszej prywatności. – Spojrzał na swój rubinowy sygnet. – Nie zamierzałem nikogo urazić.

– I nie uraziłeś, nie mnie – stwierdził Borys.

Twarz Rakoczego złagodniała, a w kącikach oczu pojawiły się wymowne błyski.

– Dziękuję, przyjacielu.

Borys uśmiechnął się ze znużeniem.

– Tego też nie poczytam za obrazę.

List Benedicta Lovella do Ferencza Rakoczego, spisany po angielsku:

Najwspanialszemu przedstawicielowi dostojnego Króla Polski, pozdrowienia w dniu świętych przeoryszy Tatiany i Pryska, jak ją nazywają Rusini, albo w dniu świętej Ity, jak ów dzień nazywają Irlandczycy.

Sądzę, że masz, panie, rację, i list spisany po angielsku jest równie bezpieczny jak wymyślny szyfr, ponieważ może go odczytać bardzo niewielu ludzi spoza poselstwa i spośród moich ziomków i nikogo to nie zaniepokoi. Niezwykle przebiegła sugestia. Pozwoliłem sobie powiadomić o tym pomysłu sir Jeromea, który ocenił go bardzo wysoko.

Dowiedziałem się ostatnio od ojca Symeona, który odwiedza nas, by objaśnić obrzędy prawosławne, że dni świętych odlicza się tu od Bożego Narodzenia, a nie od Wielkiej Nocy, jak w obrządku rzymskokatolickim. Dla Rusinów wszystkie kościelne święta oprócz Bożego Narodzenia są ruchome. A jednak większość ich księży nie umie czytać i niewielu potrafi rachować na liczbach większych od dziesięciu. Powiedziano mi, że na temat cerkiewnych świąt toczą się spory, co mnie nie dziwi, ponieważ tego

typu metody muszą doprowadzić do wielu nieporozumień.

Co się tyczy angielskich statków, to aktualnie jeden mamy w Nowych Chołmogorach, gdzie przeczekuje zimę. To statek Katherine Montmorency pod dowództwem kapitana Henry'ego Percivala. Inne mają powrócić tam z wiosną, gdy na Morzu Białym popękają lody. Jeżeli będzie ci to odpowiadać, panie hrabio, z pewnością wyślę wiadomość kapitanowi Percwalowi, żeby spodziewał się ładunku Twoich towarów, zarówno do Anglii, jak i w drodze powrotnej.

Nie jest to właściwe, żebym pytał, ale nie mogę powstrzymać ciekawości: co pragniesz osiągnąć drogą wymiany towarów z lady Olivią? Zanim tu przybyłeś, powiedziała mi, że już wcześniej zawierała z Tobą podobne transakcje, i ciekawe byłoby wiedzieć jakie. Podejrzewam, że jej pragnienia dotyczą koni, które hoduje. Zamierzasz jej posiać tych kilka srebrnych klaczy? Jeżeli tak, to trzeba Ci wiedzieć, że kapitan Percival przygotował pod pokładem boks lub dwa i to będzie odpowiednie miejsce dla zwierząt. Nie weźmie ich na pokład, jeżeli zechcesz umieścić klaczki gdzie indziej.

Może byłoby godziwe powiadomić go o tym, co chcesz przywieźć w powrotnym rejsie, tak żeby przygotował w ładowni odpowiednie miejsce. Powiedziano mi, że kapitan Percival to mądry żeglarz, ostrożny i szczerwany. Uznałbym za łaskę z Twojej strony, hrabio, gdybyś zechciał mu powiedzieć, czego odeń żądasz, i jako zabezpieczenie wypłacił mu część wynagrodzenia.

Pozwól, że przy tej okazji podziękuję Ci za pożyczenie tych czterech książek. Były mi niezwykle przydatne, choć nie podejmuję się zgadnąć, gdzie znalazłeś' rękopis Huona z Bordeaux i tej łacińskiej komedii-, nie potrafię uwierzyć, że ta druga wyszła spod pióra niemieckiej mniszki. Kimże jest ta Rozwita z Gandersheim? Imię z pewnością jest żartem. Jak mnie ostrzegałeś, łacina tego tekstu jest nie najlepsza, a prawdą też jest, że niektóre z wierszy spisano w dialekcie niemieckim. Wierzę, iż odkryłeś,

panie, bardzo sprytne fałszerstwo, i w wolnej chwili spróbuję się dowiedzieć czegoś więcej o tej komedii.

Z przykrością muszę Cię powiadomić, panie hrabio, że nie udało mi się odkryć, czy jest jakaś prawda w opowieściach o tym, że w posiadaniu moskiewskiego metropolity jest grecka Ewangelia według świętego Łukasza, która zgodnie z tym, co się mówi, została spisana za życia świętego Pawła. Kilkakrotnie podpytywałem ojca Symeona, powiedział mi jednak tylko, że taki manuskrypt powierzono metropolicie na krótko przed zdobyciem Konstantynopola przez Turków. Powiedział, że gdyby taki skarb w ogóle istniał, byłby z pewnością przechowywany w carskiej kaplicy soboru Błagowieszczeńskiego. Ponieważ nie wchodzi tam nikt oprócz carów, może zdołasz namówić Fiodora, by Ci o tym powiedział w nagrodę za wykonane przez Ciebie dla niego dzwonki. Mówiono mi, że zabiera je ze sobą nawet do kaplicy na modły, może więc z tego powodu zechce zaszczyścić Cię odpowiedzią.

Podarunki, które ofiarował Fiodorowi sir Jerome, nie zostały przyjęte tak przychylnie. W imieniu Gildii Tkackiej z Norwich posłałem osiem szklanych pucharów, by zachęcić cara do zwiększenia wymiany wełny za płótno. Mówi się, że car upuścił jeden z pucharków, który pękł i zaciął Fiodora w dłoń. Od tego czasu car ich nie tyka i zarządził, żeby je zamknąć w skrzyni, gdzie nie popękają.

Zgodnie w wieściami napływającymi z Niemiec, w tym roku zima była szczególnie sroga w południowych Czechach i na Węgrzech. Śniegi były głębsze, niż się spodziewano, i przetarcie dróg w Europie potrwa nieco dłużej. Może więc wyptyniemy z Nowych Chołmogorów, gdy tylko dotrą tu powozy z Pragi, ponieważ zima w północnej Rusi, choć ostra, nie była gorsza niż podczas minionych lat. Tak przynajmniej zapewniają nas nasi angielscy żeglarze i moskiewscy kupcy, z którymi prowadzimy handel.

Sir Jerome polecił mi podziękować Ci, panie, za mapy, które nam dostarczyłeś. Zrobiliśmy, jak radziłeś, i wszystkie dobrze ukryliśmy: carscy

dworzanie oskarżyliby nas, gdyby się dowiedzieli, że je mamy; to samo spotkałoby i Ciebie. Dla tych ludzi posiadanie mapy jest przyznaniem się do szpiegostwa.

Nie zdołałem się zobaczyć z ojcem Krabbe; chyba Pogner zakazał mi opuszczać teren poselstwa. Jego nieufność wobec Ciebie wzrasta, nieprawdaż? Irytuje mnie, że on nie słucha w tym względzie żadnego zagranicznego posta. Nie tak dawno temu sir Jerome zarzucił mi, że ostatnie ograniczenia, jakie car Fiodor nałożył na cudzoziemców, są skutkiem oczywistych działań Pognera przeciwko Tobie, panie hrabio. Ojciec Pogner żywi przekonanie, że są wynikiem działań Nikity Romanowicza, on sam zaś nie jest niczemu winien.

Za cztery dni pod pretekstem oddania książek, które zechciałeś mi pożyczyć, pozwolę sobie na przyjemność zaproszenia Cię do naszego poselstwa, tym razem w południe. Zapewniając Cię, panie, o mojej przyjaźni i przychylności sir Jerome'a, kreślę się własną ręką jako

Twój oddany sługa Benedict Lovell, członek angielskiego poselstwa w Moskwie

. 2 .

Czekający w szeregu mieli twarze zaczerwienione od ostrych podmuchów hulającego po Placu Czerwonym, niosącego śnieg wiatru: otaczająca Kreml fosa zamarzła tak, że mogłaby utrzymać ciężar dwunastu konnych, niebo nad głowami stojących miało ten sam kolor co pokrywający fosę lód. Tego dnia, w dzień Porfiriona z Gazy, ponad tysiąc wiernych stawiało się przy grobie świętego Wasyla Błazennego, by się pomodlić. Po tygodniu śnieżyc i zamieci pogoda złagodniała, pozwalając mieszkańcom Moskwy na wychylenie nosa z domu.

– Jesteś pewien, kniaziu, że metropolita nie poczuje się urażony? – zapytał Rakoczy idącego obok Borysa Fiodorowicza Godunowa. – Nie podzielam waszej wiary.

– Cóż... – odezwał się Borys z namysłem; dłońmi obleczonymi w gronostajowe rękawice przyciskał do piersi szubę. – Jesteś chrześcijaninem...

– Powiedzmy... – stwierdził Rakoczy, który okrył się polską wilczurą z kapturem.

– Prześladowali cię Turcy i jesteś członkiem poselstwa polskiego króla. Głupio byłoby brać pod uwagę tyrady tego papieżnika. Moskwianie znają cię jako godnego cudzoziemca i religijnego wygnańca. – Borys skinieniem głowy skwitował pozdrowienie bogatego kupca, który na wierzch szuby wywiesił demonstracyjnie wypchany trzos. – Ten człowiek, Nikołaj Sobrymowicz Doniecki, będzie słał twoją reputację nie tylko w Moskwie, ale i na całym świecie. Tak samo jak księża, nie będzie miał nic przeciwko twojemu wejściu do soboru.

– Z powodu mojej krwi. – W kącikach ciemnych oczu Rakoczego

pojawił się nikły, ironiczny uśmieszek. – I mojej reputacji.

– Oczywiście. Każdy mieszkaniec Moskwy, który przed dwunastu laty walczył z Tatarami, szanuje jedno i drugie. To Moskwa. Niechęć tych polskich księży nie ma tu znaczenia. Łaskami obdarzali cię carowie Iwan i Fiodor. Nie widzę powodu, dla którego metropolita miałby ci odmówić błogosławieństwa liturgii. Cieszysz się powszechnym szacunkiem, zostałeś poślubiony Rusince w cerkwi, a car zaszczyił tę uroczystość swoją obecnością. Szanujesz ikony. Twoja małżonka znana jest z działalności dobroczynnej, a ty w jej imieniu wielu świętym złożyłeś datki. Nikt przedtem nie protestował przeciwko twojemu udziałowi w liturgii, więc nie ma powodu, by sprzeciwiać się teraz. – Zakończył dostatecznie głośno, by usłyszeli go najbliżej stojący.

– Nie sprzeciwia się nikt oprócz ojca Pognera – poprawił go Rakoczy. – Ponownie usiłował się sprzeciwić mojej obecności na liturgii.

– Tak nam powiedziano. – Borys kiwnął głową: jego buty były tak oblodzone, że musiał kilkoma kopnięciami pozbyć się ciężaru. – Ale jemu chodzi o msze katolickie. My jesteśmy ludem prawosławia. – Idąc ciężko ku ogromnemu soborowi Błagowieszczeńskiemu, upewnił się, że Rakoczy jest obok niego i wszyscy widzą, iż są razem. Nie zwracał uwagi na postępujących jego śladem czterech przybocznych, wynosząc cudzoziemca nad nich. – Jak pogoda się przetrze, pošlemy ludzi, którzy usuną stąd śnieg.

Rakoczy pogodził się z tą zmianą tematu rozmowy, wiedząc, że jeśli Borysowi nie uda się zmusić ojca Pognera do ustępstw, znajdzie inny sposób.

– Powiedziano mi, że są oznaki zapowiadające kolejne śnieżyce.

Zbliżali się do soboru, gdy ich uwagę przyciągnęły wolno sunące po śniegu sanie, ciągnięte przez zdyszane, parskające parą konie.

Rakoczy usłyszał swoje nazwisko i odwrócił się, by zobaczyć ojca Krabbe. Pozdrowił siedzącego obok woźnicy pasażera lekkim ukłonem.

– Widzę, ojczye wielebny, że masz się dobrze.

Krabbe miał mocno strapioną minę i sformułowanie odpowiedzi zajęło mu dość długą chwilę.

– Panie Rakoczy, byłem w twoim domu. Chciałem z tobą pomówić.

Godunow zatrzymał się i też spojrzał uważnie na jezuitę.

– Czy to coś ważnego? – zapytał Rakoczy z niepokojem w głosie; wybór publicznego miejsca na przekazanie wiadomości zaskoczył go równie jak jej spodziewana treść. – Nie chodzi chyba o złe nowiny od króla Stefana?

– Nie – odpowiedział Krabbe, rozglądając się wokół. – Znaczący, mogą być, ale nic mi o tym nie wiadomo. Nie. To raczej sprawy... moskiewskie. – Ponownie obrzucił plac szybkim, niespokojnym spojrzeniem.

– Coś w związku z poselstwem? – podsunął Rakoczy.

– Tak – odparł natychmiast ojciec Krabbe. Popatrzywszy na Borysa, urwał po raz trzeci. – Ale nie powinienem... Nie powinienem obciążać cię teraz tym brzemieniem, hrabio. – Dał znak woźnicy. – Odezwę się później.

– Jutro? Dziś w nocy? Kiedy? – zapytał Rakoczy, starając się wyglądać raczej na zaniepokojonego niż zaniepokojonego.

– Jutro – odparł natychmiast Krabbe. – O szóstej i o dziesiątej mamy msze. Przyjdę przed południem. No, chyba że rozpęta się zamieć. Wtedy przyjdę zaraz po tym, jak pogoda się przetrze. Jeśli będę mógł, przyślę kogoś z wiadomością. Oczywiście nie Jurija.

– Nie, nie Jurija – zgodził się Rakoczy.

– Kogoś innego. Już wkrótce. To... nie jest pilne, ale...

– Trzeba się tym zająć? – podsunął znów Rakoczy.

– Wdzięczny jestem za tę... informację. Będę czekał na wiadomość od ciebie; przyślesz ją, gdy będzie ci to odpowiadało, ojcze. – Patrzył, jak woźnica popędza konie.

Borys osłonił dłonią oczy i patrzył, jak sanie zawracają ku przysadzistej i pękatej cerkwi Atanazego Atonity.

– Wiesz, to się nie skończy, dopóki jeden z was nie opuści Moskwy.

– Mówisz, kniaziu, o mnie i ojcu Krabbe? – zapytał z rozbawieniem Rakoczy, udając niezrozumienie.

– Nie, dobrze wiesz, że mówię o tobie i Pognerze – stwierdził Borys ze znużeniem w głosie. – On jest twoim wrogiem, Rakoczy, tak samo jak Turcy. Nie powinieneś nigdy o tym zapominać. Możesz być pewien, że ten papieżnik nie opuści.

– Przykładasz, kniaziu, zbyt wielką wagę do tej sprawy. – Rakoczy udawał obojętność; wielowiekowe doświadczenie kazało mu w miarę możliwości unikać wciągania przyjaciół w toczony przez siebie wojny.

– On może mnie nienawidzić, proszę bardzo, ma jednak swoje obowiązki wobec króla i Kościoła i nie pozwoli, by drobne niesnaski naraziły je na niebezpieczeństwo. – Powiedział to, chociaż widział, że nie zdoła przekonać Godunowa.

– Modlę się o to, żebyś miał rację – stwierdził Borys, gdy obaj dotarli do cerkiewnej bramy. Książę zatrzymał się w drzwiach i przeżegnał.

Rakoczy także się przeżegnał.

– Zastanawiałeś się kiedykolwiek, kniaziu, czy Bogu zależy na tych oznakach czci? Jak myślisz, czynimy to dla Niego, czy dla siebie?

– Dla siebie – odparł natychmiast Borys. – I to typowe dla katolików, przedkładają formę nad uwielbienie. Gdybyś wychował się wedle obrządku prawosławnego, nigdy nie musiałbyś zadawać tego pytania. – Cofnął się nieco, by wskazać na wspaniałą starą ikonę Chrystusa w Chwale, który unosił do nieba swoją matkę: rudowłosy i

rudobrody Chrystus, w czerwono-złoty szatach bardziej przypominał opływającego w dostatki kniazia Szujskiego niż galilejskiego cieślę, a Maria o wąskiej, skośnookiej twarzy wyglądała raczej jak faworyta dawnego ruskiego władcy Włodzimierza Monomacha niż wieśniaczka znad Morza Martwego. Borys przeżegnał się przed ikoną, a gdy Rakoczy uczynił to samo, powiedział: – Nie tracimy czasu i nie gubimy się w bezużytecznych ceremoniach jak papieżnicy. Ufamy prorokom i Ewangeliom. Pokładamy naszą wiarę w naukach Chrystusa.

– Wspaniała cerkiew – stwierdził szczerze Rakoczy.

– Na całym świecie nie znajdziesz niczego podobnego – oświadczył Borys z dumą w głosie. – Nawet świątynie w Chinach nie są tak piękne jak ta. – Do kniazia dotarły jedynie przesadne relacje o wspaniałych pałacach świątynnych w południowych Chinach, gdzie tysiące złotych posągów Buddy oślepiają blaskiem oczy patrzących, ale i te nie zrobiły na nim wrażenia.

Rakoczy skinął głową, pozwalając zostać Borysowi przy jego opinii: jeżeli minione trzy tysiące lat czegoś go nauczyły, to z pewnością daremności wszelkich dysput religijnych. Stał z boku wejścia, by nie przeszkadzać pielgrzymom udającym się do grobu Wasyla, który zebrał o chleb i opowiadał o swoich wizjach pięknego Placu Czerwonego, a pochowany został w starej cerkwi Trójcy Świętej – dziś na jej miejscu znajduje się sobór Błagowieszczeński. Niektórzy ze stojących w kolejce rzemieślników i wieśniaków żarliwie powtarzali cytaty z kazań Wasyla.

– Podrosłem na tyle, że mogłem dźwigać ojcowskie worki ze zbożem, nie miałem więcej niż dziesięć lat – oznajmił jeden z nich. – Ale nawet ja mogłem zaświadczyć, że był kimś większym od tych, co po prostu stracili rozum albo nigdy go nie mieli. Ten człowiek był ogarnięty proroczą wizją. Pobożni mnisi mogliby rzec, że wizję

zapewnia jedynie życie spędzone na modłach. On nie dbał o władzę ni majątek, a tylko o wizję. – Po tych słowach mówca się przeżegnał.

– To było ponad trzydzieści lat temu – odezwał się mężczyzna stojący nieopodal i szukający wzrokiem u innych potwierdzenia swojego sceptycyzmu. – Nie możesz pamiętać takich rzeczy.

– Gdybyś widział świętego Wasyla Szaleńca, nigdy byś go nie zapomniał – upierał się pierwszy.

Godunow poprowadził Rakoczego nieco głębiej, ku wspaniałemu ikonostasowi.

– Car Iwan uważał, że to jego największe moskiewskie dzieło.

Rakoczy skinął głową.

– Nie bez powodu. – Rozejrzawszy się wokół i potoczywszy wzrokiem po ikonach i bielonych ścianach, zapytał cicho: – Czy to prawda, że kazał wykluć oczy architektowi, żeby ten już nigdy nie stworzył niczego równie pięknego?

Borys milczał przez chwilę i niemal wstrzymał oddech. Potem pogładził się po brodzie, jakby chciał uspokoić nerwowego kota.

– A tak. Słyszałem te plotki, wszyscy je znają i wszyscy je powtarzają, na Kremlu, na targach i w cerkwiach. Ale oślepić człowieka za to, że stworzył coś tak wspaniałego? Nie, czegoś takiego nie widziałem. – Rozejrzał się po odbijającym echa wnętrzu świątyni. – Oczywiście Iwan byłby do tego zdolny.

Rakoczy ponownie skinął głową. Umilkł, gdy chór nagle bez żadnego akompaniamentu muzycznego zagrzmiął szesnastotonowym hymnem sławiącym nieskończone współczucie Marii, zanosząc błagalne modły równie niepowstrzymane jak górską lawinę.

Borys zajął miejsce wśród innych rozmodlonych ludzi i uparł się, by tam pozostać, nie korzystając z żadnych przywilejów.

– Gdybyśmy byli na Kremlu, sprawa byłaby inna – powiedział młodemu księdzu, który doń podszedł. – Tam trzeba zachować

odpowiednią pozycję społeczną, ponieważ carowi należy się szacunek równy temu, jaki okazujemy Bogu. Tu jednak wszyscy jesteśmy Rusinami; wszyscy staniemy przed Sędzią nadzy i grzeszni.

Młody duchowny pobłogosławił obu mężczyzn, choć na moment się zawahał, widząc polskie szaty Rakoczego. Potem odmówił modlitwę i odszedł.

– Tu zwracamy na siebie mniejszą uwagę niż gdzie indziej – dodał Borys wkrótce potem, gdy metropolita zaintonował pierwsze wersety liturgii.

W przeciwieństwie do liturgii odprawionych wewnątrz Kremla ta była względnie krótka – trwała nie dłużej niż półtorej godziny. Metropolita i księża odprowadzali wiernych błogosławieństwami, gdy ci ruszyli do wyjścia, mijając modlących się przy grobie Wasyla.

Borys raz jeszcze spojrzął na ikonę Chrystusa w Chwale i się przeżegnał.

– Niektórzy z pielgrzymów twierdzą, że to wszystko przez Turków. Chrystus musi powrócić, by zbawić swój Kościół i zabrać wiernych do nieba. Ale ja tak nie uważam. – Popatrzył w gęstniejące za drzwiami mgły. – Myślę, że od Jego powrotu dzieli nas jeszcze wiele lat i że nie wróci z powodu Turków.

– Wiem, że cokolwiek bym pomyślał, niczego to nie zmieni – odparł łagodnie Rakoczy. – Te rzeczy okrywa tajemnica. Jeżeli pielgrzymi czują się bezpieczniej i są bardziej pewni celu, cóż złego jest w ich wierze, że Bóg na nich czeka, gdy dotrą tam, dokąd zmierzali? – W jego myślach gromadziły się wspomnienia: niewidzialnego boga świętego gaju w mroku nocy, zamaskowanych twarzy w Babilonie, tysięcznych rzesz zebranych w egipskiej świątyni Imhotepa, greckich akolitów o rękach unurzanych po łokcie we krwi koźląt, znanych z surowości i pobożności pustelników, tańczących całymi godzinami tureckich derwiszów, idących za Savonarolą wzdłuż via Battistero ku

piazza Della Signoria dominikanów niosących przeznaczone na stos malowidła... – Ich wiara jest godna podziwu, jeśli nie używają jej przeciwko... – Wychodząc na zamgloną otwartą przestrzeń, usłyszał wywoływane ostro swoje nazwisko.

W błotnistym zagłębieniu pomiędzy dwiema wysokimi zaspami stał ojciec Pogner w towarzystwie Kownowskiego i Felikenki. Owinął się w uroczysty, narzucony na sutannę pluwiak i trzymał wysoki srebrny krucyfiks ze złotym krzyżem. Gdy ruszył na Rakoczego, krucyfiks lśnił i migotał we mgle.

– Nie jesteś godzien przyjmować komunii świętej. Nie jesteś godzien miana katolika, nie w mojej jednak mocy jest rzucenie na ciebie ekskomuniki – jeszcze nie. Bądź pewien, że gdy drogi staną się przejezdne, zwrócę się do arcybiskupa, a on załatwi to z królem Stefanem. Dni twej bezkarności, zdrajco, mają się ku końcowi. – Po tych słowach podniósł krucyfiks.

Wychodzący z soboru wierni cofnęli się bezładnie, a niektórzy zaczęli się żegnać. Pielgrzymi – w większości oburzeni wtargnięciem papieżników na święte tereny soboru – odeszli precz.

– Sprowadźcie kilkunastu towarzyszy – zwrócił się Borys półgłosem do swoich przybocznych. – Nie róbcie tym ludziom krzywdy, traktujcie ich z szacunkiem, ale zabierzcie ich stąd, bo wybuchną zamieszki.

Oficer gwardii skinął głową.

– Rozkaz!

– Odejdź powoli – ostrzegł go Borys. – Nie potrzeba nam niczyjej zbędnej uwagi. – Skinieniem dłoni odprawił przybocznych i podszedł do Rakoczego.

– Gdybym miał to prawo, już teraz bym cię wyklął. Poinformowałem członków poselstwa, że masz być traktowany jak osoba ekskomunikowana. Mają się z tobą nie zadawać, nie wysyłać ci

żadnych wiadomości, a w tych rzadkich okazjach, gdy będzie to konieczne, będziesz powiadamiany przez posłańców, których nie zdołasz skazać swoim brakiem wiary i złem. – Pogner musiał podnieść głos, by przekrzyczeć głosy dzwonów, które w całej Moskwie zwiastowały koniec południowej liturgii. Do melodyjnego chóru dołączył irytujący jęk pękniętego dzwonu cerkwi Świętej Warwary Męczennicy, moskwianom jednak to nie przeszkadzało.

– Zhańbiłeś Kościół! – zagrział Pogner. – Zhańbiłeś całą Polskę!

Borys zacisnął wargi z niesmakiem, a potem rzucił półgębkiem:

– Szkoda, że on nie mówi po rusku. Idę o zakład, że z obecnych tutaj zaledwie kilkunastu zna polski. Ale wielu będzie twierdziło, że go zrozumieli, i rozejdą się plotki, a nie wszystkie będą przychylnie dla ciebie – i dla mnie.

Ojciec Pogner kontynuował tyradę z twarzą czerwoną od mrozu i gniewu:

– Zasłużyłeś na utratę twoich ziem w Transylwanii! – Oskarżycielko wymierzył palec w Rakoczego. – Nadużyłeś zaufania króla Stefana! Zasłużyłeś na wygnanie i życie włóczęgi!

Rakoczy podniósł obie dłonie do uszu i potrząsnął głową, jakby nie rozumiał, co mówi rozwścieczony jezuita.

– Hańbisz Transylwanię i swoją rodzinę! – zagrział Pogner tak głośno, że głos mu się nagle załamał.

W ciemnych oczach Rakoczego pojawiło się coś nowego i mrocznego. Bardzo powoli i ostrożnie, zwodniczo lekkim krokiem ruszył ku jezuitom.

– Rakoczy! – odezwał się ostrzegawczo z tyłu Borys. – Zostawmy to gwardzistom.

Rakoczy kiwnął głową, ale nie zatrzymując się wcale, podszedł wprost do Pognera, ignorując obu pozostałych jezuitów. Gdy opuszczał sobór, nie podniósł kaptura i teraz jego ciemne kędziory

pełne były płatków śniegu. Opadłszy na jedno kolano, pocałował rąbek pluwiaka ojca Pognera, a potem wstał, by złożyć pocałunek na podstawie krucyfiks. Jeżeli nawet zimny metal sparzył mu wargi, nie dał tego po sobie poznać. Potem bardzo wyraźnie i miękko zwrócił się do szpakowatego kapłana:

– Powiem to tylko raz, ojcze: zechciej pamiętać, że ty sprowokowałeś to spotkanie. Nie zhańbię mojej krwi. I nie wyrzeknę się moich przysiąg. – Raz jeszcze opadł na kolano i ucałował rąbek pluwiaka. Potem podniósł wzrok. – Nawet wobec ciebie.

Ponownie wciągnąwszy rękawice na dłonie, Borys stanął ze skrzyżowanymi na piersi rękami. Zastanawiała go wściekłość malująca się w wytrzeszczonych oczach Pognera.

– Szkoda, że wy, ludzie Zachodu, nie zabijacie księży. Bez tego tutaj świat byłby lepszy.

– On jest przywódcą poselstwa, któremu przysiągłem służyć – odezwał się obojętnie Rakoczy, przyłączając się do przyjaciela. – W imieniu króla Stefana.

– Służysz poselstwu – stwierdził znacząco Borys – nie człowiekowi. – Ujrawszy wracających przybocznych, dał im trzy szybkie znaki i gwardziści ustawili się szeregiem w pobliżu polskich księży.

– Nie mogę się wyrzec posłowania, bo to zaszkodziłoby większej sprawie niż moje słowo. Ty też, panie, nie możesz zrezygnować ze służby Fiodorowi tylko dlatego, że Nikita Romanowicz to niemiły człowiek.

– Dobre porównanie, doprawdy. – Borys machnął ręką, wskazując przybocznym księży. – Zabierzcie ich stąd i zadbajcie, żeby wrócili bezpiecznie na teren swojego poselstwa.

Gdy podeszli doń gwardziści, ojciec Pogner zawinął wysokim krucyfiksem niby piką.

– Wszyscy precz! Cofnijcie się! – Spojrzał na Borysa. – Dobrze ci jest

używać Rakoczego. Myślisz, że ta kreatura należy do ciebie. On jest nędznym psem. I zwróci się przeciwko tobie, jak się zwrócił przeciwko Kościołowi i Polsce.

Ojciec Felikeno nie wytrzymał i rzucił się do ucieczki spośród coraz gęstszego zbiegowiska gawiedzi na Placu Czerwonym.

– Puśćcie go – polecił obojętnie Borys gwardzistom. – Da sobie radę.

– Jesteś sługą szatana! – zagrzemiał Pogner; trudno byłoby rzec, czy zwracał się do Borysa, czy Rakoczego. – Jesteś narzędziem zła!

Rakoczy rozmyślnie przestał niby zwracać uwagę na Pognera.

– Ojcie Kownowski – zwrócił się do młodszego jezuitę bardzo spokojnym i łagodnym głosem – zechciej mi powiedzieć: zdołasz bezpiecznie odprowadzić ojca Pognera do poselstwa, jeżeli gwardziści dadzą wam eskortę?

Pogner wybuchnął wrzaskiem protestu, ale Borys podniósł dłoń i ostrym głosem nakazał mu milczenie. Zarozumiały starzec został natychmiast uciszony mocnym ramieniem i szorstką rękawicą kozackiego gwardzisty. Szarpał się przez chwilę, ale bez skutku; nie mógł mówić, a jego krucyfiks ujął inny przyboczny, co jeszcze pogłębiło wściekłość jezuitę: nie tylko potraktowano go jak barbarzyńskiego intruza, ale jego Bóg został wykpiony przez tych bałwochwalców.

Kownowski wydusił z siebie śmiech i lekceważąco machnął dłonią.

– Nie ma powodu, by towarzyszyli nam gwardziści. Gdy stąd odejdziemy, ojciec Pogner weźmie się w garść. Uspokoi się. Nie ma potrzeby, żeby nas eskortowali... ci żołnierze.

– Obawiam się, że jest – odezwał się Borys w doskonałej polszczyźnie. – To, coście zrobili, bardzo uraziło pielgrzymów i nie mogę pozwolić, żebyście bez ochrony chodzili po ulicach, gdy są w takich nastrojach.

Ojciec Kownowski miał bardzo nieszczęśliwą minę: był zakłopotany, przestraszony i zziębnięty. Choć bardzo podziwiał ojca Pognera, w tej chwili niczego nie pragnął bardziej niż pozostawienia starego jezuitę jego losowi. Gdy ambasador zażądał, żeby Kownowski mu towarzyszył, mowy nie było o żadnej konfrontacji. Teraz wyprostował się, żałując, że nie włożył podbitej króliczymi skórkami opończy, którą kupił nie dalej niż przed trzema tygodniami; trząsał się nie ze strachu, ale z zimna.

– Jeżeli to właśnie radzisz, hrabio... – Splunawszy, spojrzał błagalnie w oczy Rakoczemu: prosił wzrokiem o to, o co nie mógł prosić głosem.

Rakoczy wzruszył ramionami.

– Przyjmijcie tę propozycję. W tych okolicznościach Borys Fiodorowicz okazuje wielką wspaniałomyślność. Musisz to powiedzieć ojcu Pognerowi, choć nie sądzę, żeby uwierzył – dodał sardonicznie, spojrzawszy na ambasadora.

– Ojciec Pogner... łatwo się z tym nie pogodzi – odpowiedział Kownowski, wkładając w głos tyle przymilności, na ile tylko mógł się zdobyć, godząc się z nieprzyjemnym wyrokiem.

Spojrzał w oczy Rakoczemu. – Gdybyś tylko zechciał go, panie, przeprosić...

– Ja? – zapytał zdumiony Rakoczy, znów lekko potrząsając głową. – Za co? Nie zrobiłem niczego, co mogłoby go obrazić. Jeżeli uważa, że jest inaczej, przykro mi, iż jego błędne zrozumienie moich zamiarów doprowadziło do takiej sytuacji jak ta. – Hrabia wciągnął na dłonie weneckie rękawice i lekko się skłonił Kownowskiemu. – Powiadomcie mnie, jeżeli zdarzą się jeszcze skierowane przeciwko wam – lub poselstwu – incydenty.

Borys klasnął w dłonie i wydał krótki rozkaz gwardzistom. Potem ruszył na przełaj i obrzucił wzrokiem cały Plac Czerwony.

– Nie chcę, żeby tym cudzoziemcom spadł choć włos z głowy. Ci, co zechcieliby ich skrzywdzić, zhańbią Ojczulka i jego honor. – Wparł swe wielkie obleczone w rękawice dłonie w biodra i otulony w szubę wyglądał jak duży, brązowo-czarny niedźwiedź.

Gwardziści otoczyli kapłanów, a ich dowódca z kpiącym nieco ukłonem przedstawił się ojcu Kownowskiemu; strażnik trzymający Pognera, wykręciwszy w tył jego ramiona, popchnął go i doprowadził do Kownowskiego.

– Za mną – polecił Kownowski w kiepskiej ruszczyźnie, a potem zwrócił się do Rakoczego: – Obawiam się, że to jeszcze nie koniec dla ciebie, panie.

– Ja też – stwierdził Rakoczy, po czym przez chwilę odprowadzał wzrokiem całą tę grupkę, dopóki wszyscy nie zniknęli w gęstniejącej śnieżycy. W końcu zaciągnął kaptur opończy i złożył ramiona na piersiach. – Borysie Fiodorowiczu – zwrócił się z namysłem do towarzysza, wciąż patrząc tam, gdzie zniknęli Polacy – czy sądzisz, że zostanie mi udzielone pozwolenie na wynajęcie strażnika lub dwu? Oczywiście spośród twoich przybocznych.

– Z powodu tych polskich księży? – zapytał Borys skłonny teraz, gdy wszystko minęło, do rozmowy.

– Nie, chodzi mi o to, że niebezpieczeństwo grozić może mojej żonie – stwierdził Rakoczy, nie owijając w bawełnę. – Została wciągnięta w to wszystko bez winy i wbrew woli. Chciałbym przynajmniej zapewnić jej ochronę, bo choć tyle mogę zrobić.

– A ty niczego się nie obawiasz? – Borys ruszył w stronę Kremla, przedzierając się przez zaspy. Po kilku krokach skinieniem dłoni zachęcił Rakoczego, by ten mu towarzyszył. – Gdybyśmy poszli na liturgię do Uspienskiego, nie wydarzyłoby się nic z tego, co się wydarzyło.

– Możliwe, że nie i że nie dzisiaj – stwierdził łagodnie Rakoczy – ale

w końcu...

– To można załatwić – mruknął Borys, opierając się coraz silniejszym podmuchom wiatru. – Są sposoby... – Książ ruchem brody wskazał w kierunku, gdzie znajdowało się polskie poselstwo.

– Ale... – zaczął Rakoczy zaniepokojony implikacjami wynikającymi ze stwierdzenia Godunowa.

– Och nie, nie dzisiaj – przerwał mu Borys, potrząsając głową. – Nie po takim... czymś. – Skinieniem głowy wskazał pokryty śniegiem Plac Czerwony. – Ale nadejdzie czas, gdy wszystko się uspokoi, a ludzie zaczną plotkować o czymś innym, laki człowiek jak Pogner okazałby mądrość, gdyby wrócił do kraju i otoczył swój majątek siecią wiernych sług, albo musiałby ponieść konsekwencje swoich czynów... Sztylet w mroku, trucizna... cokolwiek.

Rakoczy rozłożył dłonie.

– Moja rola w Moskwie jest jasna: przysięgłem wierność królowi Stefanowi i nienawiść ojca Pognera tego nie zmieni.

– Dla ciebie nic to nie znaczy, hrabio, ale dla ojca Pognera tak – powiedział Borys, ciężko wzdychając. Dyszał już, z trudem brnąc przez zasy. – Ojciec Pogner jest w Moskwie, a król Stefan w Polsce. – Zatrzymawszy się, spojrzał Rakoczemu wprost w oczy. – Twoja żona nie jest jedyną osobą, która wymaga ochrony.

– Owszem, aleja mam Rothgera, a on jest wart całej kompanii zbrojnych, zapewniam cię, książu – rzekł Rakoczy, patrząc na Borysa. – Bez niego już by mnie kilkanaście razy zabito.

Borys niechętnie skinął głową, a jego rysy jakby złagodniały.

– To dobry początek, zaiste dobry początek. – Powoli ruszył ku Bramie Spasskiej. – On jednak nie może być przy tobie w każdej chwili. Musi spać, jeść i zaspokajać inne męskie potrzeby. I każdy, kto zechce działać przeciwko tobie, wie, że pierwszej będzie musiał usunąć twojego sługę.

Idący obok niego Rakoczy zachichotał.

– Borysie Fiodorowiczu, walka i dla mnie nie jest pierwszozną. Každy, kto zechce skrzywdzić Rothgera, pierwaj odpowie przede mną.

– A ilu już ludziom musiałeś dać nauczke? – rzucił Borys i dodał powiedzenie, które usłyszał dawno temu z ust swojej tatarskiej matki: – Kiedyś spotkasz swego zabójcę.

Tym razem Rakoczy uśmiechnął się ironicznie i jakby do siebie samego.

– Naprawdę tak uważasz, kniaziu? – Zatrzymawszy się przed Borysem, przężegnał ikonę Chrystusa.

Gdy wkraczali na teren Kremla, Borys nagle zmienił temat i zamiast o wrogości i zabójstwach podjął rozmowę o zbliżających się uroczystościach i o przewidywanym wkrótce przybyciu szlachetnego posła króla Szwecji.

Spisany po rusku list od Wasyla Szujskiego do jego kuzyna Anastasija:

Mojemu godnemu i szanowanemu kuzynowi, kniaziowi Anastasijowi Siergiejewiczowi pozdrowienia i przeprosiny za zaniedbywanie więzów rodzinnych.

Od naszej ostatniej rozmowy minęło kilka miesięcy i żywię coraz głębsze obawy, że przez nieporozumienia coraz bardziej się od siebie oddalamy. Żywię głęboką nadzieję, że nasze cele i rodzinne więzy trzymają nas razem mocniej, niż dzielą nas moje względem Ciebie zaniedbania. Zachowywałem się w sposób niewybaczalny i szczerze tego żałuję. Nie jest moją wolą, drogi krewniaku, oglądanie niesnasek w rodzinie i mam nadzieję, że Ty też tego nie pragniesz. Musimy działać wspólnie, żeby poszerzać wpływ i znaczenie rodu Szujskich, ponieważ nałoży nam. się to z prawa bardziej niż innym rodzinom.

Założyłeś może, że nie potrzebuję już Twoich rad, teraz, gdy znalazłem sługę, który zamiast Ciebie przekłada dla mnie listy i pisma. Anastasiju Siergiejewiczu, to absurd. Nigdy nie powierzę słudze sekretów, które trzeba trzymać wewnątrz rodziny. Byłoby to bardzo nieroztropne. Obaj ku swemu żalowi wiemy, jakie byłoby to głupie i jakie bywają konsekwencje zaufania osobie, której ufać się nie powinno. Nigdy nie chciałem zastąpić Cię sługą. Czemu miałbym zrobić coś tak nagannego? Dlaczego miałbym składać los rodziny w ręce sługi? Nie myślisz chyba, że mógłbym lżyć tak nieodpowiedzialny.

Z pewnością się różnimy. Ludzie przewidujący z natury rzeczy często różnią się w poglądach. W przeszłości, bywało, nasze cele się różniły. Zdajesz sobie sprawę z tego równie dobrze jak ja. Może stało się tak z powodu różnic charakteru, ale nie sądzę, żeby to było prawdziwym, powodem. Ty i ja mamy na celu zwiększenie chwały rodu Szujskich i obaj wiele dla tego działaliśmy. Może być, iż ostatecznie nam się w tym powiedzie. Uradowałoby to mnie tak samo jak Ciebie, ponieważ chwała jednego sływa na wszystkich członków rodziny. Sprawa Szujskich jest wielka i oznacza tryumf Chrystusa. Jest naszą powinnością dokonanie wszelkich wysiłków mających na celu wyniesienie naszego rodu tak wysoko, jak sobie na to zasłużył i jak mu się to należy. Każde inne działanie trzeba potraktować jako zdradę interesów rodziny. Wiesz równie dobrze jak ja, że nie ma dla nas innej drogi jak wspieranie jeden drugiego. Dla osiągnięcia zamierzonego celu rola żadnego z moich braci i pozostałych członków rodziny nie jest tak ważna jak twoja, Anastasiju Siergiejewiczu.

Pozwól więc, iż zaproponuję, żebyśmy się wkrótce spotkali tak, by nie zwrócić na to spotkanie niczyjej uwagi. Razem z pewnością zdołamy wynaleźć sposoby pokonania przeszkód dzielących nas od sukcesu. Jesteś człowiekiem doświadczonym i biegłym w dworskich intrygach, masz też licznych stronników wśród bojarów poszukujących silniejszego cara od

*tego godnego pożałowania Fiodora, musimy przekonać tych ludzi o
prawości naszych roszczeń, i w tej sprawie całkowicie się zdaję na Ciebie.*

*Przynoszący Ci ten list sługa jest głuchoniemym analfabetą. Wszystko,
co zechcesz mu przekazać lub napisać, będzie bezpieczne jak wrzucone do
gębokiej studni. Jest mi także wierny jak pies i przyniesie mi wszystko,
choćby mnie zamknięto na dnie piekła.*

*Niechaj Bóg i car darzą Cię swoimi łaskami i obyś przynosił chwałę
rodzinie Szujskich od dnia dzisiejszego po Dzień Sądu.*

Wasył Andriejewicz

. 3 .

Kwiecień nadciągnął spokojnie i jakby chyłkiem, a pąki na drzewach w całej Moskwie były mniej obiecujące niż zwykle. Większość ludzi mieszkających wewnątrz miejskich murów wzruszała tylko ramionami i każdy robił swoje.

Rakoczy przekształcił część swoich stajen w pracownię alchemiczną, zastępując sklepienie nasączonymi oliwą kartami pergaminu, co podczas dnia pozwalało na przenikanie ciepła i światła. W pełnych czerwono-czarnej gleby żłobach i pod ścianami puszczały pędy pnące się ku światłu rośliny. Nocami płachty naoliwionego pergaminu zasłaniano wielkimi płytami na zawiasach; słudzy zajmowali się tym niezbyt chętnie mimo wypłacanych im za to dodatkowo srebrnych monet.

Czterej służący, którzy niedawno skończyli zacielenie sklepienia, zleźli z dachu i poszli na kolację, kiedy w pracowni pojawiła się Ksenia z wyzywająco uniesionym podbródkiem, ale ze strachem w oczach.

Rakoczy przerwał zapalanie lamp i popatrzył na nią przez zalegający pracownię półmrok. Choć nigdy wcześniej nie odwiedziła tej części domu, obecność żony go nie zaskoczyła.

– Wejdź, Kseniu Jewgienijewna – powiedział, podejmując zajęcie na nowo. – Zechciej chwilę poczekać, zaraz tu będzie jaśniej.

Zatrzymała się tuż za wejściem i teraz rozglądała zdziwiona i zaskoczona. Jej nastawienie zmieniło się, gdy zaczęła wodzić zaciekawionym wzrokiem po zasadzonych tu przez męża roślinach.

– Ale to...

– Jak ci mówiłem – stwierdził Rakoczy – nie skończyłem ze

wszystkim, ale to mniej więcej połowa pracy.

– Oni powiadają... – zaczęła i urwała.

Spodziewał się tych dwu przeklętych słów, ale jednak nim wstrząsnęły.

– Oni? – zapytał łagodnie.

Zaczerwieniła się gwałtownie.

– Nieprzyjaźni... ludzie. – Teraz, gdy płonęło już kilkanaście lamp, rośliny były lepiej widoczne. – To nie jest...

– Cmentarz? – Udało mu się pozbyć z głosu goryczy, choć wciąż dźwięczała w nim ironia.

Wkraczając w głąb pomieszczenia, zachowała wymowne milczenie. Dotknęła ledwo rozwiniętych liści tymianku i pochyliła się, by przez chwilę sycić się delikatnym zapachem.

– Robisz tu ogród.

– Tak można to nazwać. – Uśmiechnął się lekko. Nie dodał, że czerwona i czarna gleba pod roślinami pochodzi z jego rodzinnych stron: ponieważ podejrzliwość służby nieustannie rosła, a nie mógł już liczyć na ochronę przysługującą poselstwu, wpadł na pomysł, że ukrywanie ziemi w doniczkach będzie lepsze niż trzymanie jej w skórzanych pojemnikach.

– To nie jest ogród? – zapytała, pochylając się nad tubą, w której rosła młoda brzoźka.

– Z pewnością nie pomyślałaby tak królowa Anglii ani papież. Jestem alchemikiem, a znajomość tych roślin to część mojego kunsztu – powiedział lekko, choć ciekaw był, co jej opowiedziano i kto był przekaźnikiem plotek, które spowodowały, że przyszła do tego brukowanego pomieszczenia. – Ta wierzba na przykład, gdy nieco podrośnie, zapewni mi lekarstwo kojące gorączkę i ból mięśni.

Skinęła głową, bardziej po to, by potwierdzić, że usłyszała, niż dlatego, że zrozumiała. Ruszyła pomiędzy dwa szeregi doniczek,

z których wyrastały zielono-błękitne pędy zakończone bulwiastymi główkami.

– A to co? Widziałam kiedyś te rośliny na wsi, gdy byłam dzieckiem.

– To chiński mak, dość jeszcze młody – odparł Rakoczy. – Gdy te główki dojrzeją, będzie można z nich pędzić mocny syrop, który łagodzi ból po poważnych ranach. Użyłem go, gdy nastawiałem złamaną nogę Nemmina.

– On odczuwał wielki ból – stwierdziła, jakby myśląc o czymś innym. – Ale przespał cały dzień i następną noc.

– To było dla niego najlepszym lekarstwem – odpowiedział spokojnie Rakoczy, pozwalając jej zostać tam, gdzie się zatrzymała; jakiś czas temu stwierdził, że pozbywała się obaw, jeżeli sama decydowała, jak daleko od niego może się trzymać. Patrząc na nią uważnie, ciągnął, jakby jej wizyta była codziennością: – Niedługo będę miał też syrop z fiołków. Nie jest tak mocny jak makowy, ale silniejszy niż wywar z kory wierzbowej.

Gdy zatrzymała się niemal tuż obok niego, nabrała tchu.

– Ferencu Nemowiczu... – odezwała się po krótkiej chwili wahania. – Muszę z tobą pomówić. Proszę. Doszłam do wniosku, że powinnam. Mój umysł jest pełen rozterek.

– Tak? – Rakoczy odłożył długą, cienką świecę, umieszczając ją w pobliżu ostatniej lampy. Gdy stanęła przed nim, w jego ciemnych oczach pojawiły się cieplejsze błyski.

Teraz, gdy w pełni obdarzył ją uwagą, straciła rezon.

– Chciałam porozmawiać o tym z tobą od... kilku tygodni. – Obróciła się w miejscu tak szybko, że rąbek jej sarafanu niemal przewrócił doniczkę z niewysokim krzewem jałowca. – Mój Boże! Mężu! Strasznie mi przykro...

– To nic, nie zrobiłaś żadnej szkody – zapewnił ją jak najspokojniej.

– Powiedz mi to, co zamierzałaś powiedzieć.

– Próbowałam przedtem, ale ty... byłeś zajęty albo... mieliśmy we dwoje inne sprawy i... nie chciałam... – Podniosła dłonie. – Nie godzi się, żebym ja...

Wyciągnął rękę i palcami musnął jej ramię.

– Kseniu, nie musisz się przede mną cofać. Nie zrobię ci krzywdy.

Natychmiast się do niego odwróciła, ale pozostała na miejscu.

– Nie, ty mnie nie skrzywdziłeś, a ja jestem niewdzięczna, za co przepraszam. Nie mam pojęcia, dlaczego mnie nie zbiłeś. Ale dziękuję Bogu i Najświętszej Pani, żeś tego nie zrobił.

Tym razem on się odwrócił.

– Wiem, maleńka, co to znaczy zostać wychłostanym. Daję ci słowo, że nigdy cię to z mojej ręki nie spotka.

– Może zmienisz nastawienie – odpowiedziała głosem drżącym z niepokoju. – Ja bym mogła, gdybym była mężczyzną poślubionym takiej kobiecie.

Choć darzył ją ogromną sympatią i współczuciem, chciał się dowiedzieć, co zrobiła.

– Jeżeli moje słowo nie wystarczy, dam ci mój sztylet. Jest w skórzanej pochwie, zatknięty z tyłu za moim pasem. Podam ci go. – Ujrzał w jej oczach zwątpienie i zmieszanie, a na policzki Kseni wypłynął głęboki rumieniec. – Proszę o wybaczenie, Kseniu. To było niepotrzebne.

Wyznanie to przywróciło jej pewność siebie. Złożyła dłonie, trudno jej jednak było spojrzeć mu w oczy, bo obawiała się utraty jego współczucia.

– Ja... zrobiłam pewną rzecz. Myślałam, że tak będzie dobrze. Przypuszczałam, że w przeciwnym razie nie dostanę pozwolenia... Może postąpiłam głupio. Teraz, gdy to zrobiłam, sędzę, że to była pomyłka i zgrzeszyłam przeciwko tobie, czego nigdy bym nie chciała.

Powiedziano mi, że to nie obróci się przeciwko tobie. Może i nie jestem dobrą żoną, ale nigdy nie działałabym przeciwko tobie, Ferencu Nemowiczu. Nigdy. Choćby mi ofiarowano świat cały i wszystkie rozkosze rajy. – Wyznanie to trwało krótką chwilę, a potem Ksenia cofnęła się o kilka kroków.

Rakoczy poczuł silny niepokój, który jednak nie odbił się na jego twarzy. Przemówił głosem równie łagodnym jak przedtem, zachowując nienaganne maniery:

– Coś ty zrobiła, Kseniu Jewgienijewna?

Rozplotła dłonie, a potem ponownie je złożyła.

– Ja... Mój kuzyn poprosił mnie, żebym mu opowiedziała o Juriju, słudze, którego odesłałeś do...

– Wiem, o którym słudze mówisz – przerwał jej łagodnie.

– Tak. – Odetchnęła głęboko. – Tak. Anastasij Siergiejewicz chciał wiedzieć, dlaczego Jurij został odesłany do jezuitów. Przypuszczał, że chciałeś sobie zaskarbić łaski tego papieżnika, Pognera – tak przynajmniej mi powiedział. – Przeszła się od makówek do doniczki z wilczą jagodą, okrążyła ją dwukrotnie i wróciła do męża, mijając długą, do połowy jeszcze napełnioną ziemią i obitą skórą skrzynię z otwartym wiekiem; obok skrzyni leżał długi formierski gładzik. – Powiedział, że wszyscy członkowie polskiego poselstwa zwrócili się przeciwko tobie, a ojciec Pogner ogłosił cię bezbożnikiem; tak przynajmniej mi mówił. Czy to prawda?

Rakoczy wzruszył ramionami.

– Owszem, zabroniono mi uczestniczenia w katolickich mszach.

– A Jurij ma się za tobą wstawić? Czy to on ma dowieść twojej dobrej woli? – zgadywała.

– Mam nadzieję, że nie – odparł Rakoczy, uśmiechając się krzywo. – On niewątpliwie zaświadczyłby, że jestem sługą szatana, a ojciec Pogner na pewno by się z tym zgodził.

Ksenia się przeżegnała; jej twarz oblekła się bladością równie intensywną, jak przedtem okrywający ją rumieniec.

– Sługą szatana...

Tym razem Rakoczy się roześmiał, choć brzmienie tego śmiechu było niewypowiedzianie smutne.

– Maleńka, w swoim czasie zrozumiesz, że większość mężczyzn nazywa innych sługami szatana; znaczy to tylko tyle, że się z nimi nie zgadzają albo się im sprzeciwiają. – Jego ciemne oczy jakby zapatrzyły się w dal. – Nazywają człowieka odważnym, gdy mogą go poświęcić i przeznaczyć na stracenie; mądrzy ludzie cenią męstwo. Nazywają człowieka szczerym, gdy mają na myśli, że jest godzien potępienia, lub szacownym, gdy jest złośliwy i chciwy, albo wiernym, gdy... – Umilkł.

– Gdy jest jaki? – zapytała, widząc, że nie zamierza ciągnąć dalej ani zmieniać tematu.

Rakoczy potrząsnął głową.

– Nieważne, Kseniu Jewgienijewna. – Spojrzawszy na nią, spostrzegł, że ujęła rąbek jedwabnego sarafanu i mięła go palcami; wyglądała bardziej na krnąbrne dziecko niż wydaną za żonę wbrew swojej woli. Podał jej dłoń. – Czy to wszystko, co chciał wiedzieć Anastasij? Pytał tylko o to, dlaczego posłałem Jurija ojcu Pognerowi?

Przez chwilę milczała.

– Nie, pytał jeszcze o coś. Chciał, żebym mu powiedziała, kiedy zajdę w ciążę. Chciał, żebym dała mu znać, gdy tylko ustaną moje miesięczne krwawienia.

– No tak. – Rakoczy nie cofnął wyciągniętej ręki. – I co mu powiedziałaś?

– Powiedziałam mu, że o ile wiem, nie jestem przy nadziei – odparła szybko rada, że choć tak może okazać mężowi lojalność.

Rakoczy znał życie zbyt dobrze, żeby wiedzieć, że na tym się nie

skończyło.

– I co on na to?

– Powiedział... – Oddech Kseni stał się niepewny, jakby miała się rozplakać. – Powiedział, że chce mnie... chronić. Bo ty mnie tu zostawisz z niczym. Dostaniesz rozkaz powrotu do Polski i wyrzeczenia się małżeństwa.

– Kseniu Jewgienijewna, nie dostałem takiego rozkazu, a w razie czego ty, jeżeli zechcesz, pojedziesz ze mną. – Spojrzawszy na nią, zobaczył, że to zapewnienie jej nie przekonało. – Jeżeli wybierzesz pozostanie tutaj, przekazałem już Borysowi Fiedorowiczowi odpowiednie fundusze na zapewnienie ci utrzymania. – Z ambasadą angielską załatwił też inny sposób zapewnienia przyszłości Kseni, na wypadek gdyby Godunow nie mógł się wywiązać z powinności.

– Mój kuzyn powiedział mi – podjęła wątek Ksenia z nieco większą pewnością siebie – że w odpowiednim czasie da mi utrzymanie. Powiedział, że poczyniłeś już przygotowania. Jeżeli Jurij miał być twoim szpiegiem u Pognera...

– Jeśli Jurij jest czyimś szpiegiem, to na pewno już nie moim – stwierdził łagodnie Rakoczy.

Ksenia spojrzała na męża. Zaskoczenie przemogło w niej wreszcie obawy.

– Jurij? Szpiegował ciebie?

– Owszem. – Rakoczy uśmiechnął się lekko i ponownie wyciągnął dłoń ku żonie. – Nie on pierwszy zresztą i nie ostatni.

– Więc go odesłałeś? Tym papieżnikom?

– Dzięki temu przynajmniej wiem, gdzie jest. Umie czytać i pisać. – Nie dodał, że Jurij zna też języki.

Zaskoczona Ksenia potrząsnęła głową.

– Ale Anastasij powiedział... – Po krótkim wahaniu podeszła bliżej. – Powiedział, że Jurij ma zbierać informacje dla ciebie, że ma być

twoim okiem i uchem w polskim poselstwie.

– Od tego mam ojca Krabbe – przypomniał Rakoczy, myśląc o tym, że pytania Szujskiego ujawniły, iż wie on o Juriju więcej, niż powiedział Kseni. – Ani on, ani ja nie robimy z tego sekretu, wciąż jeszcze pozostaję członkiem polskiego poselstwa, niezależnie od tego, jak chciałby to widzieć Pogner. – Ksenia lekkim ruchem głowy zdradziła, że ma inne zdanie. – Jurij był szpiegiem w moim domostwie. Przypuszczam, że teraz szpieguje Polaków. Nie wiem jednak, komu donosi.

– Tak. – Odpowiadając, Ksenia kilkakrotnie skinęła głową, jej lęk ustępował zrozumieniu. – Tak. Są ludzie, którzy mogliby czegoś takiego spróbować. Anastasij Siergiejewicz zawsze mówił, że żyjemy w gnieździe szpiegów. Widzę teraz, że to jest możliwe. – Położyła dłoń na prowizorycznie zbitym stoliku, na którym leżały pomieszane ze sobą liście i korzenie rozmaitych roślin. Cofnęła ją szybko i zaczęła ssać bok dłoni. – Co to takie go?

– Nic, co mogłoby ci zaszkodzić – odpowiedział Rakoczy, robiąc dwa kroki w jej kierunku. – Potrzebne mi korzenie, a nie ciernie. Przykro mi, że się skale...

Cofnęła się szybko, przewracając niemal doniczkę konwalnika, i wydała cichy okrzyk przestrawu.

Rakoczy natychmiast się zatrzymał.

– Kseniu, nie zrobię ci krzywdy. Chcę tylko zobaczyć, jak się skaleczyłaś, bo może trzeba...

– Nie, to nic – odpowiedziała szybko, upewniając się, że mąż nie stoi pomiędzy nią a drzwiami.

Saint-Germain spostrzegł jej obawy i cofnął się o krok. Po chwili strach Kseni ustąpił.

– Kseniu Jewgienijewna, czy mogę cię o coś zapytać?

Obrzuciła go czujnym spojrzeniem.

– Oczywiście. Jesteś moim mężem.

– Nie, maleńka, nie pytam jako mąż, tylko jako... przyjaciel. Czy odpowiesz mi na jedno pytanie? – Stał spokojnie i czekał, nie okazując zniecierpliwienia.

Ksenia polizała bok dłoni i w końcu skinęła głową.

– Dobrze. O co chciałeś zapytać?

Rakoczy spojrzał na nią łagodnie i ze zrozumieniem w oczach.

– Od czasu, gdyśmy się pobrali, odwiedziłem cię trzy razy; dwa razy w twoim łóżu, raz w łaźni. Trzy razy.

– Tak? – zapytała z napięciem w głosie i uciekając wzrokiem w bok.

– Gdzie stałem względem ciebie za każdym razem? – zapytał cicho, ale wyraźnie wymawiając każde słowo. – Gdzie ty byłaś? I gdzie byłem ja?

– Gdzie? – Spojrzała na męża. – Byłeś ze mną... na swój sposób. – Dotknęła dłonią szyi, drobne ukłucia zostawiły nikły czerwony ślad.

– Nie. Chodzi mi o to, czy byłem przed tobą, czy za tobą? – Jego uśmiech był tylko lekkim wygięciem kącików ust, ale dodał jej determinacji do odpowiedzi.

– Byłeś za mną. O to chciałeś zapytać?

Odczekał dwa uderzenia serca.

– Jak sądzisz, czemu tak robiłem?

Odpowiedziała, ostrożnie dobierając słowa, jakby podejrzewając pułapkę.

– Żeby nie zobaczyła... że jesteś impotentem?

Rakoczy zachichotał i potrząsnął głową, jakby jej odpowiedź go rozbawiła.

– Zobacz sama. – Rozpiął pas i przód dolmana, nie zwracając uwagi na szczęk padającego na podłogę ukrytego w pochwie sztyletu. Jego piękna włoska lniana koszula była rozpięta przy szyi i na piersiach i też się rozchyliła. Zaraz potem odczepił sącdek na genitalia, jaki każdy

skromny mężczyzna włożyłby dojazdy w siodle, a potem rozwiązał taśmy trzymające nogawice. – Patrz.

Ksenia nigdy nie widziała takiej siatki białych blizn pokrywających brzuch mężczyzny od najniższych żeber do nasady penisa.

– Boże miłosierny! – szepnęła zdjęta litością.

– Pozostawałem za twoimi plecami – ciągnął Rakoczy tym samym spokojnym i łagodnym głosem – żebyś mogła uciec, gdybyś zechciała. Nigdy nie krępowałem cię ramionami. Zawsze robiłem to tak, żebyś w każdej chwili mogła się uwolnić. Jeślibym tego nie zrobił, byłabyś przerażona, nawet gdybyś bardzo chciała mi okazać uległość. A to ani tobie, ani mnie nie wyszłoby na dobre. Nie istnieje nic, co mogłoby zaspokoić moje zmysły, jeśli ty nie odczuwasz zaspokojenia i rozkoszy, jeśli nic potrafisz udać spełnienia. Powiedziałem ci za pierwszym razem, że to, co chcę zrobić, sprawi, że poczujesz najwyższą rozkosz. – Zawiązał opinający podbrzusze pas i włożył sącdek, zdjął jednak dolman i wrzucił go do pustej donicy. Koszulę zostawił rozpiętą.

– Ferencu Nemowiczu – odezwała się z rosnącym niepokojem – to... tak się nie godzi.

– Czy teraz, gdy zrozumiałaś już kierujące mną powody, zechcesz się zwrócić do mnie twarzą? Wiesz już, co zobaczysz, a to więcej, niż ujawniałem tym, które kochałem przed tobą.

– A wieleż ich było? – Wyprostowała się, zaciskając dłonie.

– Owszem – odpowiedział spokojnie.

– I wszystkie były dziewczynkami, których nie poślubiłeś; ja jestem twoją pierwszą żoną? – Zuchwałość tego pytania zdumiała ją samą i miała już za nią przeprosić, poczuła też nagłe ukłucie zazdrości, o którą nigdy by się nie posądzała, on jednak odpowiedział spokojnie i szczerze.

– Niemal żadna z nich nie była dziewczynką. Były kobietami, które –

przez głowę przeleciały mu nagłe wspomnienia licznych twarzy – nie mogły kochać, jak chciały, a zamiast tego zaakceptowały mnie. – W jego głosie nie było smutku, urazy ani litości nad samym sobą. Najsilniejsze było wspomnienie Demetrice, która oddała się śmierci, bo nie była zdolna do takiego życia, jakiego wymagała jego krew. – Kochałem je. Kochałem każdą z nich. – Spojrzał na nią spokojnym wzrokiem. – Jest więź, małeńka, we krwi jest więź, której nie można zerwać.

– Wszystkie więzi są zrywane – wyszeptała.

– Nie ta – odparł Rakoczy spokojnie, ale z taką pewnością w głosie, że spojrzała na niego ze zdumieniem.

– I ty związałeś się nią ze mną? – Czekaając na odpowiedź, wstrzymała oddech.

– Juz to powiedziałem. – Patrzył na nią uważnie i stał bez ruchu, gdy przetrawiała to, co usłyszała.

– Dobrze byłoby czuć taką więź, gdyby to było możliwe – odezwała się wreszcie ponuro. Trudniejsze było dla niej wypowiedzenie następnych słów. – Powinieneś być... powinieneś mi to pokazać... – Wskazała blizny. – Czy one... są powodem twojej impotencji? – Zbyt późno zakryła dłonią usta.

– Nie, one nie mają z nią nic wspólnego – odpowiedział, zachowując zimną krew.

Słuchając go, skupiła się nie na słowach.

– To przypuszczam... że powinnam spróbować. Zwrócić się do ciebie twarzą.

– Bolesny obowiązek? – zapytał Rakoczy, ale zdawszy sobie sprawę z ceny, jaką Ksenia zapłaciła za te słowa, natychmiast złagodził głos. – Nie, Kseniu. Będzie, jak zechcesz i kiedy zechcesz. – Zmusił się, żeby odczekać, aż żona zrobi ku niemu pierwszy krok.

Modliła się w duchu, żeby jej obawy okazały się bezpodstawne!

Była dojrzałą kobietą, a nie drżącym ze strachu dziewczątkiem. Gdy do niego podchodziła, narastało w niej poczucie winy. Niezależnie od tego, czy był cudzoziemcem czy nie, okazywał jej wyłącznie dobroć. Nie skrzywdził jej i dał słowo, że tego nie zrobi. Poczwała, że stopy jej ciężą, jakby odlano je z ołowiu. Osiem dzielących ich kroków było jak wspinaczka na lodową górę i w każdej chwili bała się, iż odpadnie od ściany. Gdy podeszła dostatecznie blisko, by sięgnąć dłonią i dotknąć blizn, zatrzymała się niezdolna spojrzeć ponad jego podbródek znajdujący się na wysokości jej oczu.

– Jestem.

– Niezupełnie – upomniał ją łagodnie.

Zamknawszy oczy, skinęła głową.

– Możesz... możesz mnie objąć ramionami – wyszeptała. Jej serce biło coraz szybciej.

– Owszem. Mogę. Ale nie zrobię tego. – Zamiast ją objąć, odchylił się w tył i oparł barki na drewnianej belce, która kiedyś łączyła dwie ściany stajni. – Kseniu Jewgienijewna, powiedziałem ci dokładnie to, co chciałem powiedzieć: pragnę jedynie dawać ci rozkosz, ponieważ bez tego ja nie będę miał swojej.

– Ale możesz mnie objąć – odpowiedziała niespodziewanie dla samej siebie nadąsana.

– A ty z trudem byś to znosiła – stwierdził Rakoczy. – Oszukałbym i rozczarowałbym ciebie i siebie. Jaki byłby w tym sens? – Nie zmieniając postawy, spojrział na nią uważnie. – Kseniu, chcę twego pożądania. Chcę twojej radości. By poczuć się bezpieczniej, skłonna jesteś może okazać zgodę, aleja z tego nie skorzystam; na razie ani ty, ani ja nie znajdziemy w tym spełnienia. Ze względu na ciebie pragnę, żebyś się rozluźniła. Jeżeli ty tego pragniesz, nie zapragnę niczego mniej.

Niewiele brakowało, a uciekłaby, teraz jednak zraniona została jej

duma i choć zasady nie mogły zatrzymać jej tam, gdzie była, dokonały tego uraza i gniew. Spojrzała na męża.

– Dlaczego?

– Bo to jest moje życie – odpowiedział po prostu.

– A krew?

– Krwią jesteś ty. – Odczekał chwilę, spodziewając się kolejnego wyzywającego pytania. Gdy nie padło, ciągnął: – To jest najbardziej istotna część ciebie: twoje życie, krew i namiętność.

Bardzo powoli wyciągnęła rękę i oparła dłoń na środku jego piersi, tuż nad najwyżej położoną blizną. Gdy odetchnął głęboko, mężowska koszula musnęła jej dłoń. Miała zimne i nieco drżące palce, ale się nie cofnęła.

– Jak do tego doszło?

Potrząsnął głową, by odmówić odpowiedzi, ale wspomniawszy, przez co przeszła, stwierdził:

– Wiesz, jak gwałtowni i okrutni potrafią być mężczyźni. Nieprzyjaciele mojego ojca zabili go nieco wcześniej, a potem postanowili zabić jego syna, który wygrał bitwę. – Wskazał siebie dłonią, którą Ksenia położyła na jego piersi. – Zaczęli mnie siec batami, zaczynając od podbrzusza i zamierzali... wszystko wydobyć na wierzch. – Co, dodał w myślach, im się udało. – Tacy jak ja nie umierają zbyt łatwo; przed śmiercią trzeba nas unicestwić, spalić, poćwiartować albo ściąć nam głowę. Oni tego jednak nie wiedzieli i nie skończyli sprawy, jak należało...

– Pomściłeś swoje rany? – zapytała, nie chcąc sobie nawet wyobrazić, co musiał czuć.

– O tak – odpowiedział beznamiętnie i przez mgnienie oka rad był, że ona nań nie patrzy i nie widzi tego, co zapłonęło w jego oczach. Echo tego dawnego gniewu zaskoczyło go teraz i poszukał ukojenia w jej obecności.

Skinęła głową tylko raz, bardzo nieznacznie.

– To dobrze. – I delikatnie oparła o jego pierś drugą dłoń. – Będzie bolało, gdy dotknę blizn?

– Nie – zapewnił ją.

Blizny w ogóle nie przypominały skóry; były twarde, białe i napięte, zwodniczo sztywne i jakby prążkowane. Ksenia uznała, że są chłodniejsze niż reszta otaczającej je skóry. Powoli przesunęła dłonie na jego lędźwie. Zadrżała i cofnęła się na odległość ramienia.

– Oni zostawili... nie wykastrowali cię.

– Jestem synem króla – odpowiedział. – A ci, którzy nas podbili, bali się naszego boga.

Natychmiast się przeżegnała.

– Niechaj Chrystus powróci w chwale i zwycięży tych, co Mu się sprzeciwiają.

Rakoczy nie powiedział jej, że jego bóg zginął w bitwie dwa tysiące lat przed narodzinami Chrystusa. Uwolnił jej dłoń.

– Powiedz mi, kiedy zdecydujesz, co chciałabyś, żebym zrobił.

– Nie wiem, czego bym chciała – odparła. – Skąd miałabym wiedzieć?

Nie podjął próby odpowiedzi na jej pytanie.

– Wyobraź sobie to, co sprawiłoby ci największą przyjemność. Powiedz mi, a ja spróbuję to zrobić. Jeżeli ci się nie spodoba, wymyśl coś innego i zrobimy to, aż w końcu odkryjemy, co ci sprawia największą rozkosz.

– A co z tobą? – Patrzyła na niego, czekając, aż się zdradzi chęcią lub natarczywością.

– Ach, Kseniu, co ja mam zrobić, żeby cię przekonać? – zapytał, parskając krótkim, niewesołym śmiechem.

Cofnęła się od niego i po długiej chwili, podczas której żadne z nich się nie odezwało, stwierdziła:

– Chcę, żebyś mnie objął. Na krótko. Chcę, byś wziął mnie ramiona.
– I jej odwaga się załamała. – Zaczynij z tyłu.

– Dobrze – odpowiedział, podczas gdy ona niespokojnie przeszła po granicy wyznaczonej przez światło lamp. – Za miesiąc będę tu półki i stoły pod wszystkie rośliny.

– Niewątpliwie – odparła machinalnie, zatrzymując się wreszcie. – Dobrze. Chodź.

Rakoczy potrafił poruszać się bezgłośnie niczym kot, tym razem jednak upewnił się, że grube podeszwy jego butów ostro szurają po kamieniach, szedł niezbyt spieszenie, by nie pomyślała, że jest ścigana. Sięgnął po nią jedną ręką i powoli obejmując jej kibić, przyciągnął ją ku sobie, czujny na najdrobniejszy choćby sygnał sprzeciwu. Ucieszyła go zmiana, jaka w niej zaszła, gdy wreszcie oparła się o jego pierś plecami.

– W ostatnim boksie jest kilkanaście owczych skór. Zostawił je tam siodlarz. Są miękkie i ciepłe.

Zawahała się.

– Jeżeli tego chcesz – odpowiedziała, czując, że rodząca się w niej przyjemność odpływa w nicość. Chciała go zachęcić, bo sądziła, że jest mu to potrzebne, i ponieważ bała się odmówić, ale czuła jedynie chęć wyrwania się z jego objęć i ucieczki do drzwi.

– Nie – przypomniał jej, łagodząc uścisk. – Jeżeli ty chcesz. – Pocałował ją delikatnie w szyję, gdzie stykały się ucho i szczeka. Jego pocałunek był bardzo lekki, zaledwie musnął jej skórę, ale zadrżała – nie z zimna.

Dlaczego to musi być takie niepokojące? – pytała samą siebie. Dlaczego nie mogła się poddać ofiarowanej jej przyjemności? Dlaczego nie miałyby mu zaufać? Był jej mężem. Zostali sobie poślubieni z zachowaniem wszelkich formalności. Pobłogosławili ich księża i sam metropolita. Traktował ją znacznie lepiej, niż inni

mężowie traktowali swoje żony, a miał po temu mniej powodów od nich. Nigdy nie zrobił niczego, co byłoby ją rozgniewało. Był uprzejmy, łagodny i rozważny, więc dlaczego go nie pożądała? Lub raczej – dlaczego go pożądała i jednocześnie drżała z odrazy, gdy jej dotykał? Dlaczego z odrazą myślała o tej... gwałtownej rzeczy, jaką jej zrobił i jaką proponował jej teraz? Dlaczego mogła czuć rozkosz tylko wtedy, gdy był za nią i miała wolną drogę do drzwi? Otrząsnęła się i spróbowała czerpać przyjemność z tych lekkich pocałunków, którymi ją teraz obsypywał; całował jej czoło i kark, odsunawszy na bok warkocze. Przez sarafan i rubaszkę czuła mięśnie męzowskiej piersi, jego miarowy oddech i ciepło ciała. Boże miłosierny, co miała teraz zrobić?

– Ja... ja nie wiem – wyszeptała.

Jego pocałunki były teraz bardziej zmysłowe i powolne. Cofnął się o krok i powiedział:

– Zabiorę ręce. Jeżeli zechcesz, możesz się odwrócić i mnie objąć. Połóż ręce tam, gdzie sobie życzysz.

Odpowiedziała głosem nieco wyższym niż zwykle, ale bez niepokoju:

– Jaki... interesujący pomysł – stwierdziła i czując się tak, jakby spadała z wysokiej góry, odwróciła się, by spojrzeć mu w twarz.

Trzymał ręce przy sobie, tak jak jej obiecał. Skinieniem głowy wyraził aprobatę i poprosił, by położyła swoje dłonie na jego dłoniach.

– Drzwi są za tobą, Kseniu – przypomniał jej. – Nie stanę pomiędzy tobą a nimi.

Dokładność, z jaką odczytał jej myśli, wprowadziła ją w zakłopotanie. Rzeczywiście bała się, że uniemożliwi jej ucieczkę. Nie, żeby chciała uciekać, upominała się w duchu, ale bez szansy na uwolnienie się... Chciała mu powiedzieć, że się myli, nie mogła się jednak zdobyć na

kłamstwo. Zamiast tego dotknęła go opornie, dłoń do dłoni i splatając palce. Spostrzegła, że jego są nieco szersze od jej palców, ale nie dłuższe. Pomyślała, że to dziwne; przedtem sądziła, że mąż ma wielkie dłonie.

Bacznie obserwował jej twarz. Od tak dawna ukrywała w sobie wielką rozpacz i gniew. Zastanawiał się, cóż jeszcze mógłby zrobić i czego już udało mu się dokonać. Zdołał trzykrotnie doprowadzić ją do spełnienia, za każdym jednak razem zdawał sobie sprawę z wewnętrznej bitwy, jaką musiała staczać przed osiągnięciem chwili uniesienia.

– Gdybym tylko mógł zetrzeć wspomnienia przeszłości, zrobiłbym to – odezwał się nagle.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Mówisz o śmierci swego ojca? I o tych bliznach?

– Nie mówię o mojej, ale o twojej przeszłości. – Pochylił się i złożył bardzo delikatny pocałunek na jej wargach.

Zaskoczona nie opierała się, ale też nie odpowiedziała. Opuścili dłonie wzdłuż boków, dzieliła ich odległość nie większa niż grubość palca. Zdała sobie sprawę z tej bliskości dopiero wtedy, gdy zaczął się cofać. Naparła mocno na jego dłonie i na krótko wyczuła jego siłę, z której wcześniej nie zdawała sobie sprawy; wstrząsnęło nią to do głębi. Zaskoczona po raz pierwszy spojrzała mu w twarz: jej miodowe oczy bez wahania zmierzyły się ze spojrzeniem jego ciemnych źrenic.

– To prawda – wymamrotała. – Ty naprawdę mówisz to, co myślisz.

Nie odrywając spojrzenia, powoli poprowadziła jego dłonie w dół i za siebie, tak że objął jej kibić. Mimo zdecydowania i determinacji zadrzała.

– Zostaw je, gdzie są – powiedziała i puściła jego dłonie.

– Jesteś pewna, że tego chcesz? – zapytał z nową nadzieją.

Kiwnęła głową, próbując go objąć.

– Powinniśmy stanąć bliżej? – W jej ruchach ponownie pojawiła się niepewność.

– Jeżeli chcesz – rzekł spokojnie – podejdź bliżej.

Zawahała się: gdyby przyciągnął ją bliżej albo silniej objął ramionami, byłaby przerażona, ale nie jak teraz świadoma jego nieustannej czułości. Tęskniła za jego bliskością równie mocno, jak chciała ją odtrącić, jednocześnie pragnęła oprzeć się o jego ciało i skorzystać z ofiarowanej możliwości wyzwolenia się. Niezbyt zgrabnie oparła się o niego.

– No, masz.

– Nie – odpowiedział bardzo łagodnie. – Nie będą cię oczarowywał ani uwodził. Jestem tym, który chce cię kochać, i nie zrobię nic wbrew twojej woli.

Cofnęła się, wyczuwając, że jego ramiona ją puszczają; odczuła ulgę, która natychmiast zamieniła się w żal. Spojrzała ku drzwiom, ale zaraz potem całą uwagę poświęciła mężowi.

– Chcesz mnie rozebrać? – zapytała łamiącym się głosem.

– Nie – odpowiedział, jego twarz była dobrze oświetlona i widziała, że mówi szczerze. – Ale byłbym rad, gdybyś zechciała zdjąć szaty.

Skinęła głową, czując drętwotę w całym ciele.

– Co masz na myśli? – zapytała, choć wiedziała, co usłyszy, i zeszywniała, czekając na jego słowa.

On jednak odpowiedział nie tak, jak się spodziewała.

– Jeżeli zechcesz je zdjąć, będziesz musiała zrobić to sama. – Odczekał chwilę, dając jej czas na wyrażenie sprzeciwu, a gdy go nie usłyszał, ciągnął niespiesznie głosem łagodnym i melodyjnym: – Z rozkoszą bym cię dotknął, Kseniu, ale tylko jeśli ty pragniesz mego dotyku. Chcę czuć twój zapach, smak i ciężar. Kocham twoje ciało, Kseniu, jego ciepło i miękkość. Kocham je, bo jest twoje i kryje w sobie twoją duszę. Jeżeli zechcesz...

Położyła dłoń na jego ustach.

– Dobrze już, dobrze. Nie ponagłaj mnie. – Sięgnęła do wiązań sarafanu i pozwoliła, żeby piękny, tkany w Damaszku jedwab zsunął się, tworząc u jej stóp kałużę czerwieni i złota. Zostawszy w koszuli, wzdrygnęła się i odkryła, że jest chłodno.

Skinieniem głowy wskazał alkowę, która pierwiej była końskim boksem, i leżący w niej stos owczych skór.

– Tak będzie cieplej i wygodniej – zasugerował, ale nadal pozostał na miejscu.

– Jeżeli chcesz... – odpowiedziała z napięciem w głosie. – Chcesz, żebyśmy się tam położyli?

Nie dał się sprowokować.

– Jeżeli ty chcesz, Kseniu Jewgienijewna.

Odczuwając ogromną obawę i pożądanie, drżała; pożądanie jego dotyku zdumiało ją bardziej niż wstrząs, jaki wzbudziły w niej okropne wspomnienia, których daremnie usiłowała się pozbyć. Opornie wystąpiła z kręgu leżącego na bruku sarafanu i podreptała ku alkowie.

– Chyba masz rację – przyznała, wciąż stojąc. – Wyglądają na wygodniejsze od kamieni.

Rakoczy ruszył za nią.

– A teraz? Co teraz, Kseniu?

Odpowiedziała tak cicho, że ledwo to usłyszał:

– Kochaj mnie.

– Jak sobie życzysz.

– Chcę, żebyś mnie kochał – stwierdziła z nieco większą niż przed chwilą pewnością w głosie.

– Powiedz mi jak – nalegał.

– Nie wiem – odpowiedziała nieco speszonym tonem. – Nie wiem. Pokaż mi, jak to się robi. – Spojrzała mu w oczy. – Tego właśnie chcę.

Przez chwilę badał twarz dziewczyny i jej wyraz wreszcie go przekonał.

– Dobrze. Ale gdy tylko poczujesz niezadowolenie, natychmiast mnie zatrzymaj, ze względu na nas oboje.

Wstrzymała oddech.

– Tak zrobię – obiecała, przygotowując się na nieuchronny napór żądań.

Nic takiego nie nastąpiło. Wyciągnął rękę i rozwiązał jej rubaszkę, pozwalając, by sama opadała pod swym nikłym ciężarem. Potem się pochylił i delikatnie powiódł ustami po obu lukach jej obojczyków, dłońmi zaś ujął piersi Kseni. Lewą dłoń dołączył do prawej, niezwykle łagodnie pieszcząc piersi żony. Ksenia poczuła niemal bolesne, choć nienagłące ukojenie. Jednym ruchem zsunął z niej koszulkę, zostawiając ją półnagą; miała na sobie teraz tylko krótkie majteczki i domowe pantofelki.

– Jakże jesteś piękna, Kseniu... – wyszeptał.

Chciała go odepchnąć precz i pobiec do drzwi, ale wcale nie pragnęła zakończenia ciepłego, ogarniającego ją letargu. Jego dłonie były zbyt kuszące i przekonujące, by zostawić ją z niespełnioną obietnicą. Dopóki stoję, powiedziała sobie, z drżeniem reagując na czynione przezeń odkrycia, mogę się uwolnić i uciec.

Przyciągnął ją ku sobie powoli i łagodnie, aż jego ramiona ją objęły i przytuliły. Otworzył jej usta własnym pocałunkiem, który oboje pozbawił tchu. Drugi pocałunek trwał dłużej.

Jego dłonie poruszały się z szacunkiem i ofiarowywały jej dary, będące dla Kseni objawieniem, choć myślała, że odkryła już wszystko, co mogły dać jej zmysły. Oświetlona lampami pełnego zieleni i pachnącego iłem pomieszczenia z rosnącym zaskoczeniem pojmowała, że to, co uważała za koniec podróży, było zaledwie jej początkiem. Jej ciało odpowiadało na pieścizoty Rakoczego jak

skrzypce odpowiadające na smyk prowadzony ręką mistrza, w słodkiej i dźwięcznej harmonii poruszając w niej struny, których głosu dotąd nie znała – a nawet jeżeli myślała, że istnieją, sądziła, iż uciszono je trzynaście lat temu.

Swoją drogę znaczył niezliczonymi pocałunkami w piersi i brzuch, potem ukląkł i zbadał językiem pachnące morskimi falami płatki u zbiegu jej ud, rozkoszując się jej zachwytem, jaki wyraziła, ujmując w dłonie jego głowę. Uniósł ją nieco, gdy targnęły nią pierwsze spazmy rozkoszy.

Gdy opadła na stertę owczych skór, spojrzała oszołomiona na męża.

– Skąd wiedziałeś? – zapytała, gdy mogła już wydusić z siebie jakieś zborne słowa. Jej twarz lśniła od łez.

– Bo cię znam – odpowiedział, wyciągając się obok niej i obejmując ją ramionami.

– Ale... – Dotknęła kącika jego ust. – Nie było żadnego... nie zrobiłeś...

– Jeszcze nie – odpowiedział z budzącym się głęboko uśmiechem.

Spojrzała nań ze zdumieniem, ale bez strachu w oczach.

– Czy to możliwe?

– Jeżeli tego chcesz – wyszeptał i ponownie rozpoczął wspaniałe, cudowne pieszczoty, przyciągając ją z taką nieodpartą pasją, że krzyknęła tryumfalnie, gdy ustami musnął jej szyję. Dopiero wtedy, gdy była całkowicie i bez reszty pogrążona w spełnieniu, Rakoczy wyzwolił ją i pozwolił jej osunąć się w bezpieczny, głęboki sen w jego ramionach.

Spisany po angielsku list Benedicta Lovella do Ferencza Rakoczego:

Najczcigodniejszemu Ferencowi Rakoczemu, hrabiemu Saint-Germain, członkowi polskiego poselstwa w Moskwie, pozdrowienia.

Piszę do Ciebie, panie, na polecenie angielskiego ambasadora, sir Jeromed Horseya, by Cię uwiadomić, że Twoja obecność na pokładach angielskich statków zawsze będzie mile widziana, podobnie jak z chęcią przewoziliśmy w przeszłości Twoje ładunki. Towary, które dla Ciebie przewoziliśmy, przynosiły korzyść naszym żeglarzom, naszemu poselstwu w Moskwie i naszej najłaskawszej królowej. Z tego też powodu chcielibyśmy cię powiadomić hrabio, że doceniamy kontynuację tak owocnej współpracy i jeżeli zapewni ją dostęp do angielskich statków, prosimy, żebyś zechciał przyjąć gościnę na pokładzie któregoś z nich, gdy tylko będzie Ci to odpowiadało.

Sir Jerome polecił mi też, żebym Cię powiadomił i ostrzegł przed konsekwencjami niektórych wydarzeń, do których doszło w minionym tygodniu. Odkryliśmy, że Nikita Zacharyn i Wasyl Szujski umieścili w naszym poselstwie szpiegów, od których wydobyliśmy informacje, że szpiegdy są też w poselstwie polskim i niemieckim. Ci szpiegdy nie pracują dla cara Fiodora, ale wspierają dążenia obu bezwzględnych książąt, którzy wodzą się za łby, żeby zwiększyć swój wpływ na władcę.

Wiemy, że od dawna przyjaźnisz się z Borysem Godunowem, i wygląda na to, że grozi mu niebezpieczeństwo będące skutkiem machinacji obu wspomnianych magnatów. Zważywszy na łączącą Was przyjaźń i rosnącą wrogość, jaką żywią wobec Ciebie członkowie Twojego własnego poselstwa, może się okazać, że i Tobie grozi niebezpieczeństwo, panie, i staniesz się celem złośliwych plotek i pomówień. Wrogowie Godunowa mogą wziąć na ceł i Ciebie – tak się już zdarzało.

Przezorność i roztropność zawsze były bronią mądrych, nigdy zaś nie były potrzebne bardziej, gdy nie można ufać gościom ani służbie. Z tego względu niechętnie powierzyłbym stronom tego listu pewne pytania i wolę zaczekać na sposobniejsze okoliczności.

My, członkowie poselstwa angielskiego, nie chcielibyśmy narażać Cię na niebezpieczeństwo, nie tylko ze względu na Ciebie samego, ale i w

odniesieniu do naszej sytuacji. Jeśli możni postanowią wciągnąć cudzoziemców w swoje intrygi, dni naszego tutaj bezpieczeństwa będą policzone. Pozwól więc, że pomożemy Ci, jak tylko będziemy mogli, byś uniknął wciągnięcia w tytaniczne starcia tych magnatów.

Zjawię się, panie, u Ciebie osobiście, by odebrać od Ciebie odpowiedź na uczynioną Ci przez sir Jerome'a propozycję i omówić sposób, w jaki zechcesz skorzystać ze sposobności, które z miłą chęcią Ci prezentujemy. Spodziewaj się mnie za dwa dni koło południa. Jeżeli to Ci nie odpowiada, przyślij wiadomość przez posłańca, gdzie i kiedy zechcesz się ze mną zobaczyć.

Z niecierpliwością będę czekał na nasze spotkanie i modlił się do Pana, żeby raczył zachować Cię w zdrowiu w tak niespokojny czas.

*Benedict Lovell Angielskie poselstwo w Moskwie 22 kwietnia 1585 roku
Łaski Pańskiej*

. 4 .

– Znów się mieszasz w moje sprawy – zwrócił się Wasyl do swojego kuzyna Anastasija, gdy tylko obaj zostali sami w jego komnacie. – Co mam zrobić, żebyś przestał w nie wtykać nos? – Mówiąc to, muskał palcami brodę i owijał wokół nich kosmyki, patrząc, jak krewniak kłania się ikonom.

Uśmiech Anastasija był majstersztykiem sam w sobie: jednocześnie zimny i szczery.

– Wasylu Andriejewiczu, co sprawiło, że mnie o to podejrzewasz?

– Obawiam się, że działałeś zbyt ostentacyjnie – skonstatował Wasyl.

To oskarżenie nie wpłynęło na chłodny sposób bycia Anastasija.

– I czemu to mówisz, mój słodki kuzynie?

– Znalazłem pewien list. Powierzyłeś go greckiemu kurierowi. Powiedział, że już w przeszłości wykonywał dla ciebie takie zadania.

– Wasyl wybrał najwygodniejsze krzesło i rozsiadł się na nim z wyraźną przyjemnością. – Spotkało go większe nieszczęście niż praca dla ciebie: by uchronić się od śmierci z głodu, biedak będzie musiał – obawiam się – zostać żebrakiem.

– I kim jest ten nieszczęśnik, o którym mówisz? – zapytał Anastasij i nie czekając, aż Wasyl wskaże mu jakieś krzesło, usiadł na obitej skórą ławie.

– Jest Grekiem. Nazywa się Stawros Nikodemios. – Na twarzy Wasyla pojawił się wyraz świętej cierpliwości. – Obito mu stopy zbrojnymi w żelazne ćwieki pałkami jak mongolskiemu szpiegowi. Biedak bardzo cierpiał, bo dość długo się opierał. Obawiam się, że nigdy już nie stanie na nogi. Ale zanim popękały mu kości, wiele nam

powiedział i przeważnie mówił o tobie, drogi kuzynie. – Wskazał ikonę świętego Włodzimierza z Permu, którego odcięte stopy otaczała aureola. – Może pomodlisz się do niego za ozdrowienie Nikodemiosa.

– Obity w stopy pałkami o żelaznych ćwiekach, bardzo bolesna tortura. Niewątpliwie z bólu nie wiedział już, co mówi, gdy odpowiadał na twoje pytania. A ty po tym wszystkim mu uwierzyłeś? Z pewnością bredził, odpowiadał, co chciałeś usłyszeć, by tylko zatrzymać tortury. – Anastasij mówił spokojnie, lekkim tonem, jakby omawiali jakość letnich zbiorów.

Wasył nie dał się zwieść spokojowi Anastasija.

– Ten człowiek jest szpiegiem. Jak sądzisz, czy patriarcha Jerozolimy zlituje się nad nim, jeżeli uda mu się doczołgać aż tak daleko?

Anastasij zmusił się do wzruszenia ramionami.

– Oczywiście przykro mi dowiedzieć się o nieszczęściu, jakie go spotkało, ale od ponad dwu lat nie widziałem tego Greka, a i wtedy – gdy poznałem jego zamiary – przyjąłem go tylko raz. Nie pozwoliłem mu na żadne kolejne wizyty. Mogą ci o tym powiedzieć moi domownicy, jeśli już ich nie wzięłeś na spytki. Jeżeli zechcesz zadać sobie nieco trudu, odkryjesz prawdę. Musiał ci powiedzieć, że w swoim czasie nie mogłem mu pomóc. Nie wiem, co porabiał potem.

– Ojciec Ilia już mi powiedział, że on – znaczy Nikodemios – odwiedzał cię, gdy car Iwan jeszcze żył. I twierdzi, że podsłuchał waszą rozmowę. – Wasył spojrział na Anastasija, skrzyżowawszy ramiona na piersi.

– Jak mógł powiedzieć coś takiego? On tylko się modli i unikając obcych, ślęczy nad swoimi księgami. Co mówią inni moi domownicy? Rozmawiałeś ze wszystkimi? – Anastasij powiedział to lekkim, spokojnym tonem, ale musiał w to włożyć bardzo wiele wysiłku. – Po śmierci mojej kuzynki Galiny Aleksandrownej świadczyć za mną

mogą tylko ojciec Ilia i Piotr Grigorjewicz. Któż inny mógłby coś wiedzieć?

– A twoja kuzynka, Ksenia Jewgienijewna, co z nią? Co mogłaby nam powiedzieć? Z pewnością wie, co zrobiłaś, bo mieszkała przy tobie – wytknął mu Wasyl.

– Mąż mógłby jej zabronić poruszania takich tematów, nawet gdyby kobiety zdolne były do dawania świadectw. Wątpię jednak, czy zgodziłby się poddawać ją publicznemu wypytywaniu, szczególnie teraz, gdy sam jest podejrzany. – Anastasij rad był, że może się zasłonić taką rozsądną wymówką. Patrzył na Wasyla, zaczynając okazywać irytację. – Wasylu, ona jest kobietą i jej świadectwa nikt nie uzna za oficjalne. A wobec tego, kim jest jej mąż, nikt nie uwierzy w to, co mówi, obojętnie co powie.

– A Borys Fiodorowicz i tak zabroni przepytывania – mruknął Wasyl, niechętnie godząc się z argumentami Anastasija. – Dobrze. Są jeszcze ślepy Piotr i ojciec Ilia. Może nie są dobrymi świadkami: mają wobec ciebie zobowiązania, bo żyją pod twoim dachem i jedzą twój chleb. To, co powiedzą, może nie wystarczyć, żeby zdjąć podejrzenia z ciebie i z rodziny Szujskich. Anastasiju Siergiejewiczu, prowadzisz ryzykowną grę, która naraża całą naszą rodzinę, i to w czasie, gdy tylko głupiec zajmuje się intrygami religijnymi.

– A czemu cię to tak niepokoi, drogi kuzynie? – zapytał Anastasij z fałszywą troską w głosie. – Masz braci, którzy dzielają twoją pozycję na dworze i są ci oddani podobnie jak ja. – Uśmiechnął się pełnymi wargami. – I czy to w ogóle jest kłopot? Czyżby nie chcieli popierać twoich praw, bo ich są nie gorsze? Jesteś głową rodu Szujskich, ale czy twoi bracia wykonują twoje polecenia z własnej woli, czy dlatego, że tak każe prawo? Przychodzisz do mnie dlatego, że nie mogę sięgać tak wysoko jak ty?

Twarz Wasyla stężała.

– Twoje insynuacje są godne nagany. Jako członek młodszej gałęzi rodziny niemądrze czynisz, mówiąc do mnie w taki sposób.

– Czcigodny kuzynie, nie jesteś jeszcze carem, tylko księciem. Nie jesteś kimś więcej niż człkiem z ambicjami, które mogą się nie spełnić, i choćby tylko z tego powodu sama znajomość z tobą jest niebezpieczna. Nie mogę podzielać twoich ambicji, nie tak, jak powinni to robić twoi bracia, ponieważ niezależnie od tego, czy ci się powiedzie czy nie, twoja korzyść niesie mnie i mojej rodzinie tylko ryzyko. Twoi bracia zostaną wywyższeni przed dalszymi krewnymi, czyżbyś o tym zapomniał? Jeżeli odniesiesz sukces, będę musiał opuścić Moskwę i wynieść się do mojej posiadłości z żoną i dziećmi albo nieustannie pilnować własnych pleców.

– Zabawiasz się wymyślaniem bajeczek, Anastasiju Siergiejewiczu – stwierdził Wasyl.

– A ty czym się zabawiasz, słodki mój kuzynie? – zapytał Anastasij z przesadną dwornością. – Chcesz zostać carem, opanowało cię to szaleńcze pragnienie, ośmielisz się na wszystko, co cię zbliży do tronu. – To, co zrobiłem – jeśli w ogóle coś zrobiłem – jest niczym w porównaniu z twoimi czynami. A może zdołałeś przekonać sam siebie, że ci się powiedzie tam, gdzie ja będę musiał zawieść?

– Działasz nierozważnie, Anastasiju Siergiejewiczu. A przez to narażasz znacznie więcej niż swój niewiele wart kark. – Wasyl zestawił długie pałce razem, rozmyślnie nie chcąc popatrzeć na krewniaka. – Nie jestem w stanie wykorzystać przewagi, nie teraz. Lepiej zgódź się mi pomagać i poczekaj na okazję, by wybić się przy moim boku.

– Naprawdę? – Anastasij zakołysał się na piętach i spojrzał wprost na urodziwego krewniaka, jakby poprzednie słowa Wasyla nie zrobiły na nim żadnego wrażenia. – Jakże łaskaw jesteś, Wasylu Andriejewiczu. Pomyśleć, że pozwalasz mi sobie służyć tylko dlatego,

żeby się zbliżyć do tronu. – Roześmiał się. – Powiem tyle: jesteś przebiegły, skupiłeś się na jednym celu, a twoje ambicje są większe niż moje. Ale twoje prawa nie są jedynymi, które mogą nas poprowadzić ku chwale.

– Ty nie masz szans na wybicie się – stwierdził Wasyl, porzucając udawanie dobroduszości. – Twoje działania przyniosą same szkody Szujskim, bo padną na nas podejrzenia. Nie mogę ci na to pozwolić. Mam dość władzy, żeby cię skazać na wygnanie z miasta, i powiadam ci, skorzystam z niej, jeżeli nadal będziesz postępował, jak postępujesz. Jeżeli poprzesz moje ambicje i działania, osiągniesz więcej dla siebie, niż zdołasz sobie wymodlić na własną rękę.

– Dopóki nie dojdiesz do wniosku, że wzbiłem się za wysoko, i nie obdarzysz łaskami Dymitra albo Iwana. – Anastasij uśmiechnął się szeroko. – Drogi kuzynie, ty mnie chyba uważasz za kompletnego durnia.

– Nie, ale zaczynam tak myśleć – stwierdził Wasyl, którego spojrzenie nagle powlekło się chłodem. – Nie postępujesz jak człek rozumny.

– Chcesz powiedzieć, że moje działania nie pomogą ci w osiągnięciu twojego celu. Chcesz mnie uczynić swoim sługą, który tobie będzie zawdzięczał pozycję i bogactwa; w ten sposób mnie od siebie uzależnisz. – Anastasij skłonił się jak Europejczyk. – Chcesz rządzić. Bardzo dobrze. To twój cel, ja mam inny na oku.

– I cóż to za cel, zechcesz mi powiedzieć? – Wasyl wstał z krzesła i ruszył na Anastasija. – Powiedz mi.

– A niby czemu? Żebyś mógł mi zaszkodzić? – Anastasij parsknął śmiechem. – Wasylu Andriejewiczu, zgódźmy się, że potrzebna ci moja pomoc, bo inaczej byś mnie nie wzywał. Jeżeli zamierzasz zasiąść na tronie, z pewnością nie pomogą ci twoi bracia, bo oni pragną tego samego i będą do tego dążyć choćby po twoim trupie. Nie

obchodzą cię moje aspiracje i dlatego przypuszczam, że zechcesz ode mnie jakiejś przysługi. Przypuszczam, że przestałeś ufać braciom i musisz odwołać się do mnie, żebym zrobił coś, czego oni nie chcieliby zrobić bez odpowiedniej rekompensaty, której nie zamierzasz im dawać. Mój tytuł daje ci ochronę przede mną, nieprawdaż, książę. Albo się martwisz, że żona Dymitra jest siostrą żony Borysa Fiodorowicza i że nie można jej ufać. Szkoda, żeś ty nie ożenił się tak dobrze.

– Na zbyt wiele sobie pozwalasz – odparł zimno Wasyl, którego wargi zaciskały się teraz w wąską, prostą linię. – Mój sukces nie zależy od twojej pomocy, po prostu pomyślałem, że gdybyś należał do moich stronników, wzmocniłoby to pozycję naszej rodziny. Jeżeli nie, nie chcę mieć z tobą do czynienia.

– Za co Bogu niech będą dzięki. Sądzisz, że uda ci się rządzić bez poparcia Cerkwi i duchowieństwa – stwierdził Anastasij wprost. – Ale władza Cerkwi jest większa od carskiej. Nie zapominaj o tym, Wasylu Andricjwiczu. Cerkiew jest większa od cara, jest sercem Rusi, ośrodkiem jej mocy. Jeżeli sprzeciwi ci się Cerkiew, niewiele będzie warta twoja pozycja.

– A ty się spodziewasz, że Cerkiew poprze ciebie? – zapytał Wasyl z oczywistą niewiarą w głosie. – Anastasiju Siergiejewiczu, jakaż to bezmyślna duma cię opętała, jakże niebezpieczną grę prowadzisz!

– To nie gra – odpowiedział uprzejmie Anastasij. – Twoim największym błędem jest uznawanie mojej pobożności i oddania Cerkwi za grę. – Splótny palce, pogładził się po brodzie. – Staram się ocalić moją duszę i zachować duszę Rusi w bezpieczeństwie przed herezjami katolików i Mongołów. Ty niewiele dbasz o to, czy będziemy rządzili się sami, czy nasza Cerkiew poddana pozostanie władzy Jerozolimy. – Teraz Anastasij mówił już ponurym głosem. – Szkoda, że nie żal ci naszej wiary, boski kuzynie. Oblegają nas

bezbożnicy, znajdziesz ich wśród najwyżej i najniżej stojących. Zbawić nas mogą tylko nasza wiara i niezachwiane poświęcenie osiągnięciu celu.

– A jednak pozwoliłeś Kseni Jewgienijewnej poślubić kogoś z polskiego poselstwa – warknął Wasyl, nie udając już serdeczności i przyjaźni.

– Ksenia Jewgienijewna powinna się uważać za szczęśliwą, że w ogóle udało jej się wyjść za mąż – stwierdził Anastasij tonem wskazującym, że nie warto o tym nawet dyskutować. – Nie była na tyle mądra, żeby zostać mniszka, musiała znaleźć sobie męża, gdzie mogła.

– I ty się spodziewasz, że Cerkiew poprze twoje ambicje i nagrodzi twoje poparcie, choć pozwoliłeś wejść do rodziny człowiekowi takiemu jak Rakoczy? – Wasyl już otwarcie okazywał wrogość i patrzył na Anastasija rozognionym z gniewu wzrokiem. – Ale niewątpliwie jesteś z siebie zadowolony i nie sądzisz, żeby ktokolwiek zakwestionował kierujące tobą motywy?

Anastasij spokojnie wysłuchał słów krewniaka.

– Smuci mnie, że nasze cele tak bardzo są przeciwne. – Wstał i ucałował pokornie Wasyla, jakby nie było pomiędzy nimi żadnej wrogości. – Dobrze, żeś mnie tu zaprosił, i łaskawe z twojej strony było pytanie mnie o zamiary oraz ofiarowanie możliwości zdobycia większych bogactw i wpływów. Godne nagany i żałosne jest, że nie możemy się pogodzić co do obopólnych korzyści, ale tak bywa w rodzinach, w których jeden członek chce się wywyższyć ponad innych. Żadnym argumentem nie zdołasz mnie skłonić, żebym ci udzielił poparcia. Gdybym podzielał twoją wizję, mógłbym zrezygnować z własnego celu, ale ponieważ tak nie jest, nie widzę powodu, żeby pozostawać w twoim domu; zwiększy to tylko twoją rozterkę i irytację. Musisz poszukać poparcia u innych. Ja życzę ci

powodzenia i pozostawiam twojemu celowi.

Choć Wasyl bardzo chciał zatrzymać Anastasija, nie mógł okazać krewniakowi tego, co ów poczytałby za słabość, bo z pewnością użyłby tego przeciwko niemu. Skłonił się więc na ruską modłę i wskazał mu zawieszony obok drzwi ikony.

– Być może innym razem powrócimy do tej rozmowy i zechcesz mnie zaszczyścić swoim towarzystwem, gdy obaj będziemy bliżej spełnienia naszych pragnień.

– Może – zgodził się Anastasij, robiąc znak krzyża przed ikonami. Potem pożegnał się zgodnie ze zwyczajem i wyszedł z komnaty Wasyla. Prosto z Kremla udał się do swego domu, by śledzący go ludzie krewniaka nie mogli go na niczym przyłapać. Nie był to odpowiedni czas na ujawnianie całości i rozmachu planu ani na narażanie sojuszników na gniew Wasyla.

Pogrążony w myślach Wasyl pozostał w swojej komnacie jeszcze przez niemal godzinę. Rozmowa z Anastasijem bardzo go rozżłościła, bo do realizacji jego planów potrzebne mu było poparcie kuzyna. Braci nie można było namówić, by zrezygnowali ze swoich ambicji na rzecz jego planów, a teraz kuzyn odrzucił proponowany mu awans i korzyści. Na wszystkie piekielne moce, ten Anastasij był bardziej irytujący niż dokuczliwa pchła! Bez poparcia kuzyna Wasyl musiał znaleźć inny sposób na zdobycie władzy. Co więcej, będzie musiał też znaleźć sposób na ukaranie Anastasija za okazane nieposłuszeństwo – należy zaliczyć go do grona wrogów, na których się zemści, gdy zdobędzie władzę. Myśl ta sprawiła mu przyjemność i Wasyl długo się rozkoszował snuciem planów.

Nie były one tak nieprawdopodobne jak kiedyś. Gdy bracia odmówili jego żądaniu poparcia, obawiał się początkowo, że nie zdoła ziścić swoich marzeń o władzy. Zwątpienie ustąpiło jednak nowemu zdecydowaniu w dążeniu do celu i podjął dyskretne działania. Po

siedmiu miesiącach planowania i zjednywania sobie oficerów gwardii oraz sług Wasyl miał znacznie większe widoki na sukces. Gdyby miał jeszcze jeden rok, wzmocniłby swoją pozycję tak, że byłaby niezachwiana, stałby się tak potężny, iż nawet bracia nie ośmieliliby się go ruszyć. Miał jeszcze kilka przeszkód do pokonania; przede wszystkim musiał zdyskredytować i podkopać pozycję Borysa Fiodorowicza Godunowa, co nie było niemożliwe ze względu na jego tatarską matkę. Wielu bojarów na dworze nigdy Borysowi nie ufało. Trudniejszym przeciwnikiem był Nikita Romanowicz Zacharyn, którego pozycja była równa jego własnej. Ukochana żona cara Iwana była z rodu Romanowów, co wzmacniało pozycję Nikity, ponadto to jego opiece powierzono cara Fiodora Iwanowicza. Szujski wiedział, że bojarzy będą się z tym godzić, dopóki nie zasieje wśród nich ziaren niezgody i nienawiści.

Byłoby to znacznie łatwiejsze, gdyby Anastasij zgodził się pracować dla niego i podejmował się delikatnych i niełatwych misji zwiększających ryzyko odkrycia spisku. Gdyby padło nań podejrzenie, można by go poświęcić, nie rezygnując z tego, co udało mu się osiągnąć. Wasyl wstał i zaczął przemierzać komnatę, obrzucając mijane ikony gniewnym spojrzeniem. Nie chciał konfrontacji z Cerkwią, ponieważ mógł potrzebować poparcia metropolity, a gdyby Cerkiew go odrzuciła, nigdy nie mógłby zasiąść na tronie. Kończąc trzecie okążenie komnaty, Wasyl doszedł do wniosku, że Anastasij jest głupcem, podejmując w takiej chwili działania na własną rękę. Kuzyn mógłby przecież zabezpieczyć sobie pozycję i wpływy, gdyby zdecydował się go poprzeć. Przeklął Anastasija, uznając go za kogoś gorszego od wroga. I postanowił, że jeśli nie zdoła go skłonić do współpracy z własnej woli, to użyje przymusu. Rozważania nad tym, jak doprowadzić krewniaka do ruiny, przerwał mu sługa, który przypomniał, że od godziny w pomieszczeniu dla służby czeka na

widzenie służący z polskiego poselstwa.

Wasył wysłuchał tego nie bez satysfakcji, przekonany, że los mu sprzyja.

– Przyślij posłańca do mnie – polecił słudze i rozsiadł się wygodniej, zastanawiając się, jakie też wieści przyniesie mu Jurij.

Polacy nalegali, żeby Jurij ubierał się z polską, przybył więc do komnaty Wasyla okryty wilczurą z odrzuconym kapturem i poluzowanymi górnymi wiązaniami. Gdy tylko wszedł i przeżegnał ikony, z najwyższym szacunkiem ukłonił się gospodarzowi.

– Nie spodziewałem się ciebie wcześniej niż za pięć dni – stwierdził Wasył bez żadnych grzecznościowych wstępów, jakimi zwykle witano gości; Jurij był narzędziem i nie zasługiwał na względy. Szujski wskazał mu krzesło pod ścianą. – Siadaj i opowiedz mi, co kazało ci przybyć do mnie już dzisiaj.

Jurij poprawił wilczurę, do której noszenia nie był przyzwyczajony, i spróbował zrobić miłą minę.

– O wielki księżę, to raczej niezbyt ważna sprawa.

Użycie tytułu obudziło czujność Wasyla, ukrył jednak zaskoczenie, obrzucając Jurija gniewnym spojrzeniem.

– Jeżeli to jakiś drobiazg, to po coś tu przyszedł? Czemu niby miałbym się interesować sprawami niewielkiej wagi?

Gniew Szujskiego speszył Jurija.

– Ja... ja pomyślałem, że powinienes to, panie, wiedzieć.

– Na pewno, na pewno – stwierdził spokojnie Wasył, okazując władcą nieprzystępność. – Powiedz mi, o czym chciałeś mnie powiadomić.

– Wczoraj przyszła wiadomość z Polski, pierwsza tej wiosny. – Odchrząknął i ciągnął równym głosem: – Ojciec Krabbe został chyba wywyższony i po powrocie z Moskwy zostanie biskupem. Zażądano od niego, by pod koniec lata wyruszył do Polski. Na jego miejsce król

Stefan wyznaczył innego księdza, który – jak się tego Batory spodziewa – powinien przybyć tu w sierpniu. – Nie patrzył Wasylowi w oczy. – Oni nie wiedzą, że widziałem ten list, a tym bardziej nie spodziewają się, że go czytałem.

– Niegłupia przezorność – stwierdził Wasyl, zastanawiając się jednocześnie, jaką korzyść może wyciągnąć dla siebie z tej informacji. – Czy w poselstwie znajdą jeszcze jakieś inne zmiany?

– O żadnych innych w tej instrukcji nie wspomniano. Powiniennem jednak ci wspomnieć, panie, że ojciec Pogner pozbawił Rakoczego możliwości wysyłania własnych raportów z innymi dokumentami poselstwa. Ojciec Krabbe posłał je ze swoimi listami do arcybiskupa. – Odchrząknął. – Pogner mu tego zabronił, Krabbe jednak okazuje niezadowolenie i dość otwarcie go krytykuje.

– To nic nowego.

Jurij rozejrzał się po pomieszczeniu, jakby szukał ratunku i pomocy.

– Ojciec Pogner nigdy nie okazywał aż takiej niechęci i wrogości jak teraz. Uparł się, żeby całkowicie wykluczyć Rakoczego ze składu poselstwa. Po odjeździe ojca Krabbe może mu się to udać. Od pewnego czasu do tego właśnie zmierza, ale teraz otwarcie podejmuje działania, które mają do tego doprowadzić. – Zmienił niewygodną pozycję. – Wrogość ojca Pognera do Rakoczego jest trwała i niezachwiana. Słyszałem, jak ojcowie Brodzki i Dodek omawiali determinację Pognera, który już wielokrotnie chciał się pozbyć tego wygnańca.

– I co mówili ci dwaj papieżnicy? – zapytał Wasyl sucho. – Chcę usłyszeć wszelkie plotki.

– Mówili, że Pogner zamierza wyrzucić Rakoczego z poselstwa; ten Madziar ma zostać pozbawiony prawa wstępu na jego teren. Jeżeli Krabbe wyjedzie, nikt z pozostałych posłów nie sprzeciwi się

Pognerowi i jest wielce prawdopodobne, że ten wreszcie dopnie swego. – Jurij splótł i rozplótł palce. – Całe poselstwo zwróci się przeciwko Rakoczemu. To się już zaczęło... do pewnego stopnia. Od niedawna twierdzą, że Rakoczy oddał duszę diabłu.

– To katolicy księża – mruknął Wasyl, lekceważąc ostatnie stwierdzenie.

Teraz zawahał się Jurij.

– On nie jest jak inni Polacy – powiedział w końcu. – Nie chodzi nawet o to, że jest wygnańcem. Trzyma się na uboczu, w swojej pracowni, gdzie zbudował jakiś piec, tak przynajmniej utrzymuje.

– Ten, w którym, jak mówił carowi Iwanowi, wytapia klejnoty? O tym piecu mówisz? – zapytał Wasyl.

– Chyba tak – odparł coraz bardziej przygnębiony Jurij. – Ojciec Pogner utrzymuje, że posiadanie takiego pieca jest złe. Mówi, że alchemia to szatańskie dzieło. Potępia też Rakoczego, ponieważ ten nigdy nie jada posiłków z nami ani z nikim innym. Wiem, że to prawda, ponieważ gdy służyłem w jego domu, takie same uwagi wymieniała służba, choć wszyscy chwalili jego łagodność.

– A czemu go chwalili? – zapytał Wasyl, zdając sobie sprawę z tego, że nie powinien, choć jednocześnie był zbytnie ciekaw odpowiedzi.

– Mówili, że jest inny od pozostałych katolików, zadowalał się mieszkaniem bez żadnych zwierciadeł i dawał tym dowód pokory i braku próżności. Mówili, że przed ślubem żył w czystości jak mnich i nie popełniał żadnych występków. – Jurij zdał sobie sprawę z tego, że od początku rozmowy Wasyl poświęca mu całą uwagę, i postanowił wykorzystać okazję jak najlepiej. – Jego wyglądem zajmuje się osobisty sługa, jakby był prawdziwym moskwicinem, i służba uznała, że to godne podziwu. Mówią, że ubiera się odpowiednio do swojej pozycji społecznej, jakakolwiek ona jest, i nie popełnia żadnych pomyłek, wszystko robiąc jak należy. Ojciec Pogner jednak uważa

inaczej. Powiada, że jest to dowód na związki Rakoczego z diabłem. Mówi, że powodem, dla którego Rakoczy nie ma w domu zwierciadeł, nie jest pokora, ale najgorszy rodzaj pychy. Twierdzi, że Rakoczy boi się spojrzenia w swoją duszę i dlatego nie godzi się na żadne lustra. Pogner napisał o tym nawet w swojej skardze do polskie go króla. – Przerwał na chwilę. – Ojciec Krabbe przytakuje Rusinom, że Rakoczy nauczył się pokory na wygnaniu i dlatego też wyzbył się próżności.

– A jednak przywdziewa wspaniałe szaty i nosi drogocenne kamienie. – Wasyl pogładził brodę. – Co o tym mówią jego służący?

– Podziwiają go – odparł Jurij, przypominając sobie odczuwany niegdyś gniew. – Mówią, że okazuje szacunek swojemu rodowi wygnańców.

– Ty się jednak z tym nie zgadzasz – podsunął mu Wasyl.

Jurij żwawo kiwnął głową.

– Nie ufam Rakoczemu. Choć sędzę, że powodem nienawiści Pognera jest zazdrość starego człowieka, uważam, że Rakoczy jest kimś więcej niż tylko wygnanym hrabią, który posiadał wiedzę o alchemii. Jestem pewien, że jego prawdziwa natura jest inna niż ta, którą okazuje. Możliwe, że ma pewną władzę nad chroniącym go królem Stefanem, może powodem jest to, że jako Siedmiogrodzianin zdobył zaufanie i poparcie Batorego. Niezależnie od wszystkiego nie wierzę, iż Ferenc Rakoczy jest tylko wygnanym szlachcicem, który stara się przeżyć we wrogim mu świecie.

– Są tacy, co utrzymują, że masz powód do tego, by go nienawidzić, i jako sługa szukasz zemsty na byłym panu, który odprawił cię w niesławie, co stawia twoje oskarżenia w złym świetle. – Wasyl patrzył na Jurija badawczo, choć zachowywał się już mniej władczo i wrogo. – Co ty na to?

– Wiem, co widziałem – odpowiedział Jurij z uporem w głosie. – On nie jest jak inni ludzie; sam tak powiedział. Jego słudzy mogliby ci

powiedzieć, panie, o niezwykłości obyczajów Rakoczego. On jest... obcy.

– Pochodzi z Siedmiogrodu – stwierdził Wasyl coraz bardziej zniesmaczony rewelacjami Jurija – podobnie jak król Polski, Batory. Czy zarzucasz mu coś jeszcze?

Jurij w lot pojął, że Wasyla przestały interesować jego wnioski, i spróbował odzyskać uwagę kniazia.

– Tak. Ale nie bardzo wiem, jak to wyrazić słowami.

– Nie znasz jego obyczajów – stwierdził Wasyl, rezygnując z dalszych indagacji; stracił nadzieję, że Jurij trafił na coś interesującego.

Ten jednak żwawo potrząsnął głową.

– Nie. Jest coś więcej, cokolwiek by to było. Ojciec Pogner żywi wobec Rakoczego taki sam strach jak nienawiść. Nienawidzi Rakoczego z powodu jego bogactwa, ale jego strach ma inne źródło. Każdy, kto choć raz pracował dla Rakoczego, musiał odczuć to samo. Nie sądzę, by Pogner wiedział, jak wielki jest jego strach; to strach tego samego rodzaju, jaki odczuwa człowiek w obecności wielkiego zła. – Złożył dłonie w nadziei, że zdoła namówić Szujskiego do spowodowania upadku Rakoczego; wiedział, jak słodka byłaby to zemsta. – Ojciec Krabbe mówi, że Rakoczy uratował mu życie, gdy zachorował na zapalenie płuc, że bez jego pomocy umarłby długo przed przybyciem do Moskwy, Pogner jednak nie chce w to wierzyć i powiada, że uratowała go wola Boga złożona w skażone złem ręce.

– Ojciec Pogner jest fanatycznym katolikiem – stwierdził Wasyl, ale zaczął uważniej słuchać Jurija.

– Owszem, jest arogancki i zuchwały jak bojar mający nabity złotem trzos i dwustu służących – przyznał Jurij. – Ale śmiertelnie boi się Rakoczego, choćby nie wiem jak temu przeczył. Widzę to w jego oczach.

Wasył pogładził się po brodzie.

– I co ci to sugeruje?

– To, że obecność Rakoczego w poselstwie jest zbędna. – Jurij wyprostował się i wyrównał fałdy na przedzie wilczury, jakby chciał się upewnić, że wciąż ma na sobie polski ubiór. – Jeżeli cokolwiek się przytrafi ojcu Krabbe, Rakoczy straci całkowicie łączność z polskim poselstwem i możliwe, że Pogner oskarży go o nieszczęście, jakie spotkałoby ojca Krabbe. – Tylko w ten sposób mógł ugodzić Rakoczego. Liczył na to, że ambicje Wasyla uczynią zeń jego narzędzie tak samo, jak on był narzędziem Wasyla.

– Ale ojciec Krabbe wkrótce zostanie odwołany. Czemu miałyby mu się coś przydarzyć, skoro już niedługo wyjeżdża? – zapytał Wasył z nowo rozbudzonym zainteresowaniem.

– Bo jest znany w poselstwie jako adwokat Rakoczego. Cios wymierzony w niego zostałby uznany za cios skierowany przeciwko Rakoczemu. – Jurij uśmiechnął się promiennie do Wasyla. – A gdyby zrobiono to tak, by pozory wskazywały na Rakoczego, sam akt byłby wystarczającym oskarżeniem.

To już naprawdę Wasyla zainteresowało.

– A niby dlaczego?

Jurij rad był w duchu, że wcześniej wszystko tak starannie przemyślał.

– Gdyby to wyglądało na upadek... i gdyby pojawiło się przypuszczenie, że Krabbe nie zamierza już bronić Rakoczego, ale podziela niechęć reszty, to... obrażenia, jakie by odniósł... mogłyby zostać przypisane Rakoczemu.

Wasył kiwnął głową; jego urodziwe rysy po raz pierwszy prawdziwie się ożywiły od początku rozmowy ze skrytym sługą.

– A w jaki sposób niełaska, która spadłaby na Rakoczego, mogłaby posłużyć mnie?

To była część planu, która sprawiła, że Jurij zaczął się pocić, bo gdyby jego gra się powiodła, sukces przekroczyłby jego nadzieje.

– Gdyby dobrze zaaranżować okoliczności nieszczęścia ojca Krabbe, mogłoby to sprawić kłopoty Borysowi Godunowowi.

W komnacie zapadła cisza.

– Jak to można by urządzić? – zapytał wreszcie Wasyl niby znudzony, ale patrzący na Jurija czujnie i badawczo.

Pierwsza przeszkoda pokonana, pomyślał Jurij. Odetchnąwszy głęboko, podjął wątek z większą pewnością siebie:

– Mam taki plan... Wyglądałoby to tak, jakby ojciec Krabbe zamierzał ujawnić coś złego o Rakoczym i z pomocą Borysa Fiodorowicza zamknięto mu usta.

– Jeżeli to miałyby się powieść, ten Krabbe powinien zostać uciszony raz na zawsze. – Wasyl dostrzegł w tym pomysłe sposób na urzeczywistnienie swoich ambicji. Uderzyło go, że Jurij zrobiłby dla niego tak wiele, podczas gdy dokonania Anastasija były tak nikłe.

– To oczywiste – stwierdził Jurij, nerwowo przełykając ślinę.

– Mówisz o zabiciu kapłana – orzekł Wasyl z niezwykłą dla niego bezpośredniością i szczerością w głosie.

– Katolickiego, o wielki kniaziu – stwierdził Jurij, wzruszając ramionami.

Wasyl uśmiechnął się zimno.

– Owszem. Katolickiego.

List ojca Ilii do Kseni Jewgienijewnej przekazany za pośrednictwem męża:

Szlachetnej Kseni Jewgienij ewnej moje błogosławieństwo. Niepokoi mnie, moja córko, i przyprawia o rozterkę konieczność przesyłania Ci wiadomości tą drogą, ale Anastasij Siergiejewicz ostrzegł mnie, bym nie

zadawał się z, Tobą, dopóki nie zostaną rozstrzygnięte pewne kwestie dotyczące polskiego poselstwa. Ostatnimi dniami rozeszły się plotki, które wielce zaniepokoiły Anastasija Siergiejewicza, tym bardziej że nie zdołał wytropić ich źródła.

Wydaje się, że Twojemu mężowi, córko, został całkowicie zamknięty wstęp na teren polskiego poselstwa i wkrótce będzie musiał odpowiedzieć na pytania dotyczące jego tutejszej działalności. Są tacy, którzy mówią o Rakoczym jako o niebezpiecznej osobie działającej wbrew interesom Rusi. Ze względu na dobro Twojej duszy i okazywane przez Ciebie innym miło serdziej postanowiłem wbrew poleceniom Twojego krewniaka ostrzec Cię, że pozostając w domu Twojego męża, narażasz się na niebezpieczeństwo. Pozwól, że Ci doradzę natychmiastowe opuszczenie Moskwy i poszukanie schronienia u krewnych Twej matki, tak by nic spotkał Cię los Twojego męża. Jest maj, wizyta u krewnych nikogo nie zdziwi, a oszczędzi Ci wielu nieszczęść.

Proszę Boga i Najświętszą Panienkę, by użyczyli Ci w tej chwili mądrości, i będę błagał aniołów Pana, by Cię strzegli. Bóg pozwala nam cierpieć ze względu na mękę Syna, żebyśmy mogli lepiej poznać Jego miłosierdzie. Upominam cię, żebyś pamiętała o poświęceniu "Twojego ojca i jego godnej śmierci, byś mogła pojąć boski cel, z jakim on zesał na Ciebie próbę cierpienia. Okazuj Bogu pokorę za to, co ci zgotował, od naszego Zbawcy zażądał więcej.

W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego

Ojciec Ilia

W dzień wielkiego teologa Grzegorza z Nazjanzu

. 5 .

Znajdowali się w odległości mniejszej niż dwadzieścia kroków od Placu Czerwonego, ale w wąskiej uliczce panowały cienie głębsze niż zwykle w nocy.

– Pospieszmy się – ponaglił ojciec Krabbe eskortujących go służących, jak zresztą czynił to od opuszczenia przed kwadransem domu Rakoczego. – Jest bardzo późno i będziemy musieli wytłumaczyć się z opieszałości, jakby nie dość było tego, że uszkodzono nam karocę.

– I dlatego idziemy tą wąską ulicą zamiast szerokimi – przypomniał mu Jurij, pieszcząc w kieszeni pierścień, który skradł w domu Rakoczego, gdy ojciec Krabbe rozmawiał z gospodarzem, popijając wino. – Znam dobrze tę okolicę – zapewnił szczerze kapłana, a potem oświadczył już z mniejszą dozą prawdy: – Ta uliczka doprowadzi nas szybciej do poselstwa.

– Obawiam się, że to i tak nie wystarczy – odezwał się ojciec Krabbe z kwaśnym uśmiechem. – Spodziewa się mnie od trzech godzin. Będzie bardzo niezadowolony. – Szedł równym, szybkim krokiem, trzymając się środka uliczki, by jak najlepiej wykorzystać nikłe światło księżyca w pierwszej kwadrze i jasność czerwcowej nocy.

– Ojciec Pogner zrozumie konieczność zwłoki, gdy mu ją przedstawię – rzekł Jurij, spiesząc za jezuitą i starając się go jakoś ułagodzić. – Powozy ambasady już się psuły. On wie, w jakim stanie są moskiewskie ulice. Opiszę mu, co się stało z osią i kołem, i będzie tylko wam współczuł z powodu tarapatów, w jakie popadliście. Zrozumie, że nie mogliśmy się nie spóźnić.

Krabbe nie podzielał optymizmu Jurija. Wciąż przyspieszając kroku, powiedział oskarżycielsko:

– Nie mogę sobie wyobrazić, jak się to koło złamało. Uliczne wyboje nie mogły aż tak połamać szprych. To nie ma sensu. Powóz przejeżdżał już po gorszych drogach i szprychy nie...

– Wiecie, jak to jest. – Jurij musiał już niemal biec, żeby dotrzymać kroku jezuicie. – Powóz może wytrzymać kolejne przejazdy po kiepskich drogach i wydaje się, że jest w dobrym stanie, a potem bez ostrzeżenia rozwała się na pierwszym lepszym wyboju. To był taki właśnie przypadek i nie ma o czym mówić. – Teraz już się niemal zrównał z ojcem Krabbe, choć mocno się zasapał. I widział, że nie bardzo mu się udało ułagodzić jezuیتę.

– Polecono mi – wszystkim nam polecono – nie wybierać się nigdzie po nocy bez powozu. Nie przyjąłem propozycji Rakoczego, który dawał mi inną karocę, bo czas potrzebny na zaprzęgnięcie koni oznaczałby jeszcze większe opóźnienie. – Krabbe machnięciem dłoni rozpedził krążące wokół nich komary. – Gdy mogę, staram się okazywać posłuszeństwo ojcu Pognerowi.

Jurij doskonale rozumiał, co się kryje za tymi słowami, ale odpowiedział:

– Wasza wizyta u Rakoczego z pewnością zirytuje ojca Pognera bardziej niż uszkodzenie pojazdu. Nie spodoba mu się to, że Rakoczy weźmie na siebie koszty naprawy karety.

Jurij nie przewidział, iż hrabia nie przyjmie podsuwanego mu wyjaśnienia, że oś karocy i koło pękły na jakimś kamieniu w którejś z głębszych kolein w odległości nie większej niż pięć domów od siedziby Rakoczego. Nie przewidział też, że słudzy hrabiego natychmiast przybiegną, ofiarując pomoc i zobowiązując się do naprawy uszkodzeń. Bliższe oględziny osi i koła mogły ujawnić miejsca, w których ciesielska piła osłabiła sześć szprych, a był prawie

pewien, że Rakoczy nie spocznie, dopóki sam nie zbada pojazdu. I wiedział, iż nic nie ujdzie baczemu spojrzeniu tych ciemnych oczu.

– Co to za uliczka? – zapytał Krabbe, zatrzymując się nagle i wdzierając się w rozmyślenia Jurija nerwowym pytaniem. – Nie poznaję jej. Czy nie powinniśmy pójść Piekarską?

– Jest tuż za rogiem – zapewnił go pospiesznie Jurij. – Zakręt, mały placyk, wiecie który, ten z piekarnią mającą żółty front. Podchodzimy od innej strony, to wszystko. – Rozejrzał się dookoła; liczył na to, iż kapłan nie zauważył starej cerkwi, którą minęli dwadzieścia kroków wcześniej, ponieważ wtedy zdałby sobie sprawę z tego, że idą w przeciwnym kierunku, niż się spodziewał. Myśl o ryzyku, jakie podejmował – jeśli w ogóle mu się powiedzie – przyspieszała mu tętno. Wasyl Szujski wynagrodzi go złotem i uczyni swoim zaufanym sługą. Jurij wiedział, że dzięki temu będzie mógł zdobyć bogactwo i pozycję społeczną. Z poparciem potężnych Szujskich nigdy już nie będzie musiał się wstydić swego pochodzenia. Po raz pierwszy od przybycia do Moskwy Jurij zaczął myśleć, że zdoła osiągnąć coś w życiu niezależnie od swego ojca.

– Te uliczki są takie kręte – powiedział ojciec Krabbe nieco zdyszany pospiesznym marszem. – Rozumiem teraz, jak to się stało, że zgubiliśmy naszych służących.

– Moskwa ma wiele sekretów – stwierdził Jurij zadowolony, że Krabbe nie widzi jego uśmiechu.

– To prawda – odparł jezuita. – Pewien jednak jestem, że przed chwilą powinniśmy byli skręcić w prawo. Idziemy na wschód, popatrz na księżyc, to się przekonasz.

– Musicie się mylić, ojcie – stwierdził Jurij, wsłuchując się w dobiegający z tyłu odgłos skradających się kroków. Ruszył dalej z większą już pewnością siebie.

Krabbe też usłyszał te kroki.

– Co to było? – zapytał zaniepokojony. – Słyszałeś?

– Psy? A może szczury? – podsunął Jurij. – Lepiej, żeby to były psy. W tych uliczkach szczury są głodne niczym wilki.

– Szczury? – Krabbe potrząsnął głową. – A niby skąd tu szczury? Albo psy, jeśli już o nich mowa.

– Jak sami mówiliście – przypomniał mu szybko Jurij – te uliczki są kręte. W pobliżu piekarni zawsze się kręcą szczury szukające odpadków. Wkrótce znów skręcimy na południe. Gdybyśmy mogli się wspiąć po ścianie, znaleźlibyśmy się w tej pomalowanej na żółto piekarni. Nie musicie się martwić. – Mówił to tak przymilnym tonem, że zwróciło to uwagę jezuitę.

– Jurij, nie musisz mi się podlizywać – rzekł z powagą i surowością w głosie ojciec Krabbe. – Do ciebie należy szukanie drogi. Jak sam powiedziałaś, to jest twoje miasto. Ale nie wiń mnie za to, że się niepokoję.

– Oczywiście, że nie – odpowiedział Jurij, wyprzedzając jezuitę o kilka kroków; szli po nierównym, wyboistym bruku. – Sam bym się niepokoił, gdybyście mogli zbłądzić równie łatwo jak ojciec Brodzki.

Ojciec Brodzki znany był z tego, że natura niemal całkowicie pozbawiła go wyczucia kierunku. Krabbe, mimo narastającej w nim niepewności, skwitował tę uwagę krótkim chichotem.

– Owszem, chciałbym myśleć, że potrafię znaleźć drogę lepiej niż on. Sądzę, że jestem bardziej od niego uważny.

– Nie ma pychy w uznawaniu zdolności, jakimi obdarzył nas Bóg, to tylko wdzięczność – Jurij użył słów, które w dzieciństwie powtarzał mu ojciec Igor. Nigdy nie wierzył w to bardziej niż teraz, ale nie z powodu wyczucia kierunku jezuitę. Czuł narastające podniecenie i radość z tego, co już osiągnął, doszedł też do wniosku, że skoro dotychczas wszystko idzie tak pomyślnie, nie ma mowy o niepowodzeniu pozostałej części planu.

– Być może nie – powiedział Krabbe, którego w młodości uczono czegoś innego. Potknął się i odzyskał równowagę; tym razem nie dał się zwieść zachowaniu Jurija. – Idziemy w złym kierunku.

– Wkrótce wrócimy na dobrą drogę – oznajmił Jurij z napięciem w głosie.

– Powinniśmy wrócić na Plac Czerwony i pójść główną ulicą. Może byłoby dalej, ale znam dobrze tę drogę. To nie wygląda jak... – Miał już zawrócić, gdy Jurij chwycił go za ramię.

– Jeszcze nie teraz, dobry ojcie. – Z zachowania Jurija zniknęła nagle służalczość, a głos zabrzmiał twardo. Podeszedł bliżej do ojca Krabbe i w jego postawie po raz pierwszy pojawiła się groźba. – Po pierwsze, jest coś, czego od ciebie potrzebuję.

Krabbe spojrzał nań zdumiony. Mimo ciepłej nocy poczuł chłód w żyłach.

– Jestem kapłanem i nie mam przy sobie niczego cennego. Nawet mój krucyfiks jest tylko ze srebra – oświadczył.

– Iw tym się mylisz – odparł Jurij. Gwizdnął cicho i złowrogo. – Masz coś, czego pragnę, i wezmę to od ciebie choćby za cenę mojego życia. – Wyciągnął z pochwy długi, używany przez woźniców puginał i wymierzył ostrze w jezuitę. – Rozgrzeszysz mnie za to, co uczynię, ojcie Krabbe. – Jego cichy śmiech był najbardziej przerażającym dźwiękiem, jaki kapłan kiedykolwiek słyszał.

W uliczce za nimi pojawili się teraz dwaj mężczyźni, starszy rosły drab, śmierdzący potem i gorzałą, oraz młodszy; obaj wyglądali równie odrażająco. Podeszli do Jurija i starszy pozdrowił go skinieniem dłoni.

– Nie jestem tu sam, ojcie, a ty jesteś – rzekł Jurij z satysfakcją w głosie. – Nie uciekniesz.

– Ty... – Krabbe zamierzał już się cofnąć, gdy zdał sobie sprawę z tego, że dwaj mężczyźni idą wprost na nich. – Czego chcesz? Powiedz

mi! Co to ma być? – Starał się mówić spokojnie, choć jego strach się wzmagił. – Wystarczy, że powiesz, i zrobię, co tylko będę mógł, żeby ci pomóc. Masz moje słowo...

– Już to zrobiłeś – stwierdził Jurij. – I bardzo mi pomogłeś.

– Ale jakim sposobem? – Krabbe obejrzał się przez ramię, strach rozszerzył mu oczy i zwilżył potem dłonie. – Co spodziewasz się osiągnąć... – Wydał jęk bólu, gdy puginał Jurija zatopił się w jego brzuchu. Zatoczył się, usiłując chwycić rękojęść noża i wyciągnąć go z rany. – Jurij! – wycharczał.

– Zdychaj, bezbożny jezuito! – wyszeptał Jurij, który w swój czyn wlał cały gniew i nędzę dzieciństwa. – Zdychaj i niech twoja śmierć odmieni mój los!

Ojciec Krabbe zachwiał się i krzyknął, gdy Jurij wyciągnął puginał z jego brzucha i pchnął ponownie, rozdzierając mu trzewia. Cios był dość mocny, by powalić go na kolana, ale ostrze w dłoni Jurija dało mu zwodniczą podporę. Kapłan opadł w ramiona zabójcy, gdy poczuł pełnię bólu.

– Odciągnijcie go ode mnie – wycharczał Jurij do współników. – Musimy wypruć mu flaki, chcę, by leżały wzdłuż ulicy; niech szczury zeżrą je do rana i niech służba natknie się na niego o świcie. – Po wydaniu rozkazów Jurij poczuł ogarniającą go falę satysfakcji. Mieć taką władzę! Wiedział, że ta władza jest słodka, ponieważ życie bez niej było pełne goryczy. Ale zadowolenie było większe, niż się spodziewał. – Szybko, zabierzcie go.

Obaj współnicy ruszyli, by wykonać polecenie, jeden z nich podjął trupa pod pachy, a drugi zaczął rozpinać jego suknie.

– Wstyd brać to, co noszą ci polscy papieżnicy. Gdyby to było ruskie szaty, moglibyśmy je sprzedać – stwierdził, zwracając się do Jurija.

– Nie! – odpowiedział Jurij. – Nic mu nie zabierajcie. Nic. Muszą go

znaleźć martwego, ale nie obrabowanego. – Raz jeszcze pogłaskał trzymany w kieszeni pierścień, uśmiechając się krzywo na myśl o tym, jaki z niego zrobi użytek. Napawał się tym, ile taki mały pierścień może wyrządzić zła, jeżeli go się właściwie użyje.

– Ale szkoda, że tyle dobra się zmarnuje – mruknął starszy drab.

– Na pewno się nie zmarnuje – stwierdził z niesmakiem młodszy. – Pierwszy, który natknie się na trupa, rozbierze go do naga.

– To nie ma znaczenia – ofuknął go Jurij. – Zapłacono wam, żebyście pomogli mi go zabić. Nie straciecie na tym. Zostawiając ubranie i nie tykając jego własności, nie poniesiecie szkody. Nie chcę, żeby zostało tu cokolwiek, co mogłoby komuś podsunąć myśl, że jestem jakoś powiązany z jego śmiercią.

– Tak, bojarzynku – stwierdził sarkastycznie starszy łotrzyk.

Ojciec Krabbe niemal go nie słyszał. Szumiało mu w uszach, a jego zmysły rozpaczliwie usiłowały sprostać uczuciu potwornego bólu w brzuchu. Było mu coraz zimniej, przejmował go chłód do szpiku kości. Usiłował się przeżegnać, ale trzymano go za ramiona i nie mógł się uwolnić z uścisku.

– Zrobione – odezwał się młodszy mężczyzna. Krabbe miał obnażony brzuch, w którym zionęły dwie głębokie rany; z głębszej każde uderzenie serca wyrzucało strużkę krwi. – Rany brzucha – dodał z odrazą. – Krwawiąc jak teraz, długo nie pociągnie.

Jurij podszedł do ofiary.

– No to zaczynam. Przygotujcie się, żeby ciągnąć, gdy wam powiem.

Obaj łotrzykowie skinęli głowami, a starszy mocniej ujął ramiona jezuity.

– Będzie się szarpał, gdy zabierzesz się do roboty. Zawsze się szarpia, gdy wypruwasz im flaki.

– I śmierdzą te flaki – dodał drugi. – Zwłaszcza jak się poharatał w

środku.

Jurij nie uznał tego za krytykę.

– Nieważne. O tej porze nikt nie zwróci uwagi na smród.

– Prócz szczurów – rzucił starszy, szerzej rozstawiając nogi.

Pchnięcie noża Krabbe odczuł raczej jako żar niż ból, ale żar, który nie ogrzewał, tylko oziębiał. Na chwilę stracił oddech i nie mógł wymówić słów modlitwy, mających udowodnić Bogu głębię jego oddania. Gniotący go ciężar był teraz większy, napierał ze wszystkich stron; czuł rozbryzgi swej krwi niczym gorący deszcz. Krztusił się, nie mogąc dokończyć modlitwy. Nie potrafił się pogodzić z myślą, że go mordują. I nagle ból się skończył, on zaś zobojętniał na próby oddychania, modlitwy i życia.

– Odwała kitę – stwierdził pierwszy głosem, w którym pobrzmiwało rozczarowanie. – Nie walczy.

– To nie ma znaczenia – powiedział Jurij, któremu podniecenie i wysiłek odebrały dech w piersiach. Zbyt późno pomyślał o krwi na ubraniu i butach i zdał sobie sprawę, że w jakiś sposób będzie musiał zdać z tego rachunek. Sięgnął do kieszeni i wyjął pierścień, który wcisnął w prawą dłoń zabitego; mógł mieć tylko nadzieję, że nikt go nie ukradnie.

– Rozprujcie mu brzuch – polecił współnikom, cofając się od trupa.

Starszy z dwu zbirów westchnął i wyciągnął nóż zza pasa.

– Jak chcesz – mruknął. Wymieniwszy spojrzenia z drugim i nie zwracając uwagi na smród, pochylił się nad ciałem jezuity.

– Dobrze – wyszeptał Jurij. – Bardzo dobrze. – Opłacił tych ludzi złotem i bał się, że to niepotrzebny wydatek, teraz jednak uznał, że postąpił słusznie. Śmierć ojca Krabbe zostanie przypisana Rakoczemu, a Wasyl Szujski ucieszy się tak samo jak ojciec Pogner.

Młodszy się wyprostował i spojrzał na Jurija.

– Co jeszcze, bojarzynku?

– Rozprujcie go, na miłość boską, potnijcie go – rzucił Jurij szybko i z podnieceniem. – Niech to wygląda na robotę Mongołów.

Starszy zbój parsknął krótkim, zgrzytliwym śmiechem.

– Mongołów? Przecież ty chcesz zrzucić winę na tego cudzoziemskiego wypędka. A może nie?

Jurij skinął głową.

– Tak. Tak. Tak chcę to załatwić – przytaknął. Teraz, gdy kapłan był martwy, niełatwo było mu przypomnieć sobie cel całego przedsięwzięcia. Miał ochotę całemu światu oznajmić zwycięstwo okrzykiem; niechby każdy wiedział, co on zrobił. Nie bez wysiłku utrzymał usta zamknięte.

– Owszem – powtórzył drugi łotrzyk. – Zamiast tego lepiej połammy mu kości. W ten sposób będziesz mógł powie dzieć, że zrobił to ten cudzoziemiec, ponieważ Polacy zawsze tratuja wrogów końmi, prawda? Mongołowie tną trupy na kawałki, Polacy je tratuja.

– Tak – szepnął Jurij. – Masz rację. Tak, to musi wyglądać na robotę Polaków. Powinniście... sami wiecie, co trzeba zrobić. – Złożył ręce na piersiach, żeby ukryć ich drzenie. Jego twarz pobladła z podniecenia, którego nie umiałby nazwać. Poczował też skurcz w krtani.

– Tak, bojarzyn ku – odpowiedział młodszy zbójca i uderzył piętą w zebra jezuita, które pękły z głośnym trzaskiem.

– To będzie długo trwało – odezwał się starszy.

– Nie, wcale nie – stwierdził młodszy i złamał rękę jezuita podniesionym z ziemi drewnianym polanem; była to ręka, w którą Jurij wetknął pierścień Rakoczego.

Starszy kopnął trupa w skroń; ta pękła z cichym młaśnięciem, gdy poddały się kości czaszki.

– Dobrze – powiedział Jurij. – Bardzo dobrze.

– Klechy to mięczaki – oświadczył młodszy, miażdżąc trupowi udo.
– Nie ma w nich krzepy.

Jurij patrzył, czuł łoskot tętna w skroniach. Ciało kapłana było coraz bardziej podobne do skrwawionego połcia mięsa. Jurij nie mógł już tłumić swoich emocji. Przejęty dziką dumą wyszczerzył zęby i zaczął coś nucić pod nosem. Ojciec Krabbe był teraz niczym więcej niż kupą krwi, kości, mięśni i flaków – wszystko było jego dziełem. Opadł na kolana. Jakże wspaniała jest moc własnoręcznego zadawania śmierci!

W końcu starszy się wyprostował.

– Coś jeszcze? – zapytał. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

– Chyba nie – odparł Jurij, którego teraz rozczarowanie okradło z uciechy. – Nie. To chyba dość.

– Bojarzynkowi podoba się ten widok – stwierdził młodszy z krzywym uśmiechem. – Jak to jest, bojarzynku?

– To było konieczne – rzucił szorstko Jurij. Nie mógł oderwać wzroku od trupa jezuity o zionących w brzuchu ranach, na których zaczynała już zastygać krew.

– Dla ciebie tak, to konieczne – stwierdził młodszy z odrazą w głosie. Podniósł ciężkie polano. – Podobało ci się to, co można nim zrobić? Zadowolony jesteś?

– To było konieczne – powtórzył Jurij zbyt przejęty tym, co się właśnie stało, żeby zdać sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie mu niespodziewanie zagroziło. Wiedział, że obaj zbójcy zeń pokpiwają, nie dał się jednak zastraszyć. – To był wróg pewnego wysoko postawionego człowieka. Z waszą pomocą wykonałem to, co mi rozkazano.

– I cieszy cię to, co zrobiłeś – stwierdził młodszy. Był teraz o mniej niż dwa kroki od Jurija, więc kiedy zamachnął się polanem, ugodził mordercę w skroń z taką siłą, że jego ramię przeszył dreszcz wstrząsu.

Jurij zdążył tylko zobaczyć zamach młodszego zbrojaka i poczuł uderzenie tak potężne, jakby w głowę trafił go pocisk armatni.

Natychmiast runął jak kłoda, martwy, zanim dotknął ziemi.

– Możemy zabrać jego łachy – zaproponował starszy z satysfakcją w głosie. – I pieniądze, które ma przy sobie. Zdejmij mu także buty.

– Są zakrwawione – oświadczył młodszy, szamocząc się z ciałem Jurija.

– Tak samo jak ubranie. Nikt nie zwróci na to uwagi, a jak ktoś zapyta, powiemy, że pracował w rzeźni, tam zawsze jest pełno krwi. – Starszy metodycznie zabrał się do roboty, rozciągając ciało Jurija tak, żeby łatwiej było zdjąć jego polskie szaty. – Sięgnąwszy do sznurowanej koszuli, stwierdził: – Bardzo dobre lniane płótno. Dostaniemy dobrą cenę.

– A co z klechą? – zapytał młodszy, wzuwając buty.

– Obrabowanie kapłana przynosi pecha. Zostawmy go. – Włożył już na siebie długi polski dublet i przerwał na chwilę podwijanie. – Okradanie księży przynosi pecha.

– On jest katolikiem – stwierdził młodszy. – To nic nie znaczy.

Starszy niemał spopielił go wzrokiem.

– Powiedziałem, zostaw go. Nie tykaj też krucyfiks. Nikt go zresztą nie zechce.

– To srebro. Możemy go przetopić. Jewgienij robi to za połowę wartości i nie będzie kłapał szczęką. – Młodszy podniósł krucyfiks znad zmiażdżonej głowy jezuita. – Jeśli my go nie weźmiemy, zrobią to inni.

– To niech pech spadnie na nich – stwierdził starszy. – Nie pozwolę, żeby ktoś mówił, że bezczęścimy sługi boże, nawet papieżników. – Przerwał ubieranie, żeby się przeżegnać. – Bóg wie, że tu byliśmy. On nam nie wybaczy, jeżeli Go okradniemy.

Młodszy wzruszył ramionami.

– Za to, co zapłaciliby nam Jewgienij, mielibyśmy żarcie przez cały miesiąc.

– Zostaw go – nalegał starszy.

– Dobra – zgodził się drugi zbir. – Ale to mnie złości.

W milczeniu dokończyli swego dzieła; ze zręcznością wynikającą z zawodowej wprawy spakowali łupy i gdy tylko skończyli, bez słów zniknęli w labiryncie uliczek tej moskiewskiej dzielnicy, zostawiając sponiewierane i pokaleczone ciało jezuitę obok nagiego Jurija.

Gdy w przedświcie letniego poranka rozległy się dźwięki pierwszych dzwonów, oba trupy były już nieźle poobgryzane przez szczury. Wciąż jeszcze wżerały się w palce Jurija, gdy ciała znaleźli i natychmiast zaalarmowali okolicę okrzykami dwaj czeladnicy piekarscy.

Pierwsi przybiegli księża z pobliskiego soboru świętej Tatiany Męczennicy, ale zobaczywszy ciało katolickiego księdza, odmówili modlitwy. Niechętnie zgodzili się tylko pozostać przy nieboszczykach, dopóki nie zjawi się jakiś carski strażnik, który zajmie się ciałami.

– Lepiej będzie powiadomić i papieżników, bo będą chcieli się zająć swoim klechą – stwierdził piekarz wezwany przez czeladników. – Nie zostawię go tak leżącego na ulicy.

– Tak – zgodził się jeden z trzech księży i natychmiast ruszył ku Kremlowi, rad z tego, że może opuścić miejsce zbrodni i śmierci.

O zabitym kapłanie nie wiedział nic, poza tym, że jest katolikiem, postanowił więc udać się do największego skupiska katolików, czyli do polskiego poselstwa; doszedł do wniosku, że będą chcieli wiedzieć, co się stało. Dotarcie do poselstwa zajęło mu mniej więcej połowę godziny i o tej porze ulice pełne już były życia – kupcy i wieśniacy podążali na plac targowy z różnymi towarami.

Sługa, który otworzył duchownemu drzwi poselstwa, był już na nogach od jakiegoś czasu: miał podkrążone oczy, a na ubraniu ślady śniadania. Popatrzył na prawosławnego kapłana z mieszaniną podejrzliwości i ciekawości w oczach, bo ci duchowni zaglądali tu

bardzo rzadko.

– Tak, ojcie? Czego tu szukacie?

– Czy można rozmawiać z którymś z jezuitów? – zapytał ksiądz i dodał: – Jestem ojciec Jasza od świętej Tatiany Męczennicy.

– Wszyscy są na mszy – poinformował go sługa.

– Obawiam się, że rzecz jest pilna – oznajmił ojciec Jasza i umilkł na chwilę. Podjął wątek, dopiero gdy się przeżegnał. – Ryć może znaleźliśmy jednego z... waszych katolickich księży. Przynajmniej był ubrany jak ksiądz.

– Znaleźliście? – zapytał sługa.

– Na ulicy, nieopodal naszej cerkwi. Leży tam dwu...

Sługa oszczędził ojcu Jaszy dalszych wyjaśnień.

– Jeden z członków poselstwa nie wrócił na noc. Wszyscy się bardzo niepokoją o jego bezpieczeństwo. Posłaliśmy gońca do... miejsca, które odwiedzał. Myślałem, że przynosicie odpowiedź od... – Urwał, gdy usłyszał za sobą jakiś ruch.

Ojciec Brodzki był blady, a jego przerzedzające się już włosy pozostawały w nieładzie, powitał jednak grzecznie ojca Jaszę, prosząc Boga o rozciągnięcie swego błogosławieństwa na prawosławnego księdza, podobnie jak na wszystkich chrześcijan.

– Słyszałem, że z kimś rozmawiasz – zwrócił się do odźwiernego. – Miałem nadzieję, że to ojciec Krabbe.

– Możliwe – stwierdził spokojnie ojciec Jasza. Obrzuciwszy jezuitę szybkim, baczny spojrzeniem, ponownie zaczął wyjaśniać: – Znaleźliśmy dwu ludzi... jeden z nich ma na sobie jezuicki habit.

– I gdzie on jest? Kto jest tym drugim? Ojcu Krabbe towarzyszył nasz służący Jurij. – Ojciec Brodzki opuścił dolną wargę; odczytał wyraz twarzy ojca Jaszy lepiej, niżby pragnął. – Ci ludzie, których znaleźliście... Co z nimi?

Ojciec Jasza się zawahał; nie podobało mu się to, co miał do

powiedzenia.

– Zostali napadnięci.

– Napadnięci? Zabici? – zapytał Brodzki, pragnąc, żeby odpowiedź była inna niż ta, której się spodziewał.

Zza jego ramienia wychyliła się twarz innego kapłana. Ojciec Kownowski już miał zacząć czynić Brodzkiemu wymówki za opuszczenie mszy, ale wystarczyło mu jedno spojrzenie na minę przybyłego księdza, by zmienić zamiar.

– Na Chrystusa i anioły Jego, o co chodzi?

– Przykro mi to mówić – stwierdził ojciec Jasza. – Może się jeszcze okazać, że to nie wasz kapłan. Nie znałem tego człowieka. Może ukradł mu habit albo wszedł w jego posiadanie inną drogą...

– O czym ty mówisz, bracie? – zapytał Kownowski z przestachem.

Na pytanie odpowiedział mu ojciec Brodzki:

– Mówi, że znalazł dwu napadniętych ludzi. Może się okazać, iż to Jurij i ojciec Krabbe. – Powiedziawszy to, ponownie się przeżegnał.

Ojciec Kownowski zrobił to samo.

– Biedni chrześcijanie, kimkolwiek są.

– Tak to wygląda – stwierdził ojciec Jasza i odwrócił się, by popatrzeć na odzianego na czarno człowieka na siwym koniu, podjeżdżającego właśnie do polskiego poselstwa. Końskie kopyta głośno zastukały na bruku dziedzińca.

– Dzień dobry, hrabio – powitał gościa Brodzki.

Rakoczy zeskoczył z siodła i prowadząc konia na lejcach, podszedł do otwartych drzwi.

– Przepraszam za najście, ale powiedziano mi, że ojciec Krabbe nie wrócił na noc do poselstwa. To właściwie wszystko, co wiem. Ponieważ ojciec Krabbe opuścił mój dom na krótko przed północą, podzielam wasz niepokój. Wasz posłaniec, który przyniósł mi rano tę wiadomość, był tak przestraszony, że postanowiłem udzielić wam

wszelkiej pomocy. – Popatrzywszy na obu Polaków, zwrócił się do ojca Jaszy. – Miłosierdzia boskiego i bożej łaski w tym dniu, ojcze. – Być może zdziwił go widok prawosławnego kapłana na dziedzińcu polskiego poselstwa, ale niczego po sobie nie pokazał.

Ojciec Jasza odpowiedział mu formalnie, znajdując pewne pocieszenie w tradycyjnych gestach:

– I ciebie niechaj Bóg prowadzi przez całe życie, mój synu.

– Ojciec Jasza przyszedł za ledwie przed chwilą – stwierdził Brodzki na użytek Rakoczego. – Może coś wie o losie ojca Krabbe.

– Zanoszę modły, by się okazało, że to pomyłka – stwierdził cicho ojciec Jasza.

– Ja ufam tak samo – rzekł szybko Rakoczy. – Nadzorowałem naprawę waszego pojazdu i podejrzewam, że ojciec Krabbe mógł popaść w pewne tarapaty. – Umilkł, bo za plecami Brodzkiego i Kownowskiego pokazał się ojciec Pogner.

– Mam nadzieję – odezwał się najstarszy z posłów – że istnieje dobry powód dla twojej obecności w tym miejscu. – Spojrzał wprost na Rakoczego, nawet nie próbując wytłumaczyć powodów obcesowego zachowania.

Rakoczy niewzruszenie popatrzył na wszystkich trzech jezuitów, na żadnym nie zatrzymując wzroku dłużej.

– Obawiam się, że tak – stwierdził – ponieważ wygląda na to, że wypadek, który uszkodził waszą karete, wcale nie był wypadkiem. Odkryłem na osi i dwu kołach miejsca, w których szprychy i oś zostały niemal przepiłowane.

– To niemożliwe! – wyrzucił z siebie ojciec Pogner.

– Przykre to, ale tak – odpowiedział Rakoczy. – Zrobiono to tak, żeby powóz nie pojechał daleko, na pierwszym większym wyboju... – Dokończył myśl gestem. – Wnioskuje, że ktoś chciał, by ojciec Krabbe wracał pieszo.

Pogner już zamierzał zaprotestować, ale przerwał mu ojciec Jasza.

– Na ulicy leży dwu ludzi. Zostali zabici przez jakichś zbójów, a jednego rozebrano do naga. Drugi ma na sobie jezuicki habit i jest okrutnie pokaleczony. – Przypomniawszy sobie, jak wyglądało ciało ojca Krabbe, ponownie się przeżegnał.

Katolicy księży również się przeżegnali.

– Przypuszczam więc, że wszyscy powinniśmy pójść i to zobaczyć – odezwał się Rakoczy.

Ojciec Pogner wziął się w garść; nie zamierzał iść za radą Rakoczego, choćby była nie wiadomo jak rozumna.

– A niby czemu mielibyśmy uznać taką obrazę? To po prostu niemożliwe, żeby coś takiego spotkało jednego z członków naszego poselstwa.

Rakoczy już miał poprosić ojca Jaszę o wskazanie drogi, ale się wstrzymał. Przez długą chwilę milczał, mierząc Pognera baczным spojrzeniem, a potem powiedział:

– Owszem. Ufam, że macie rację. – W głębi duszy wiedział jednak, że arogancki klecha się myli.

List od Anastasija Siergiejewicza Szujskiego do polskiego króla Stefana Batorego, wysłany anonimowo:

Szlachetnemu i godnemu najwyższego szacunku Madziarowi, królowi Polski od szczerego moskiewskiego przyjaciela pozdrowienia.

Nie spodobała mi się konieczność powiadomienia Cię, panie,

O tym, że jednego z członków Waszego moskiewskiego poselstwa spotkało nieszczęście, ale stało się tak oto: przed dziesięcioma dniami na ulicach Moskwy został zamordowany ojciec Krabbe. Razem z nim zginął jego ruski sługa, Jurij. Obu rozpoznali Rakoczy i ojciec Pogner, choć stwierdzili przy tym, że ciało ojca Krabbe było pokaleczone tak, że z

trudem się je dało zidentyfikować. Rakoczy upiera się przy opinii, że większość ran zadano ojcu Krabbe już po śmierci i błagam Najwyższego, żeby miał rację.

Możliwe, że inni członkowie poselstwa już Cię, panie, powiadomili o nielicznych znanych nam okolicznościach tej zbrodni: sługę znaleziono nagiego, zabitego ciosem w skroń, który roztrzaskał mu czaszkę. Kapłan został zarżnięty i wypatroszony jak zwykłe bydło, choć znaleziono go w habicie i innych sukniach. Obie śmierci wywołały wielkie wzburzenie na dworze, bo mówi się, że do zbrodni doszło z poduszczenia tych, co są niechętni obecności Waszych posłów w naszym mieście. Wyszło już zawołowane oskarżenia skierowane przeciwko niektórym możnym panom i metropolicie. Są także tacy, którzy utrzymują, iż jest to przebiegła intryga mająca na celu sprawienie pozorów, jakby ofiary padły z rąk Twoich, Najjaśniejszy Panie, wrogów i zostały pomordowane z rozkazu któregoś z polskich posłów. Im bardziej kontrowersyjne są te teorie, tym liczniejszych zyskują zwolenników, ponieważ dworzanie wolą myśleć źle o Polakach niż o Rusinach.

Z poduszczenia kilku możnych bojarów winę zrzuca się też na Twojego ziomka, Ferenca Rakoczego. Mówi się, że był ostatnim, który widział obu tych ludzi żywych, że to w jego domu pozbawiono ich możliwości skorzystania z ochrony, jaką dałby im powóz, i że jego stwierdzenia, iż karocę uszkodzono rozmyślnie, są próbą przykrycia jego czynu, który zdał ojca Krabbe na łaskę hulających nocami po moskiewskich uliczkach zdesperowanych łotrzyków.

Najgłośniejszym - rzecznikiem zwolenników tej tezy jest książę Wasyl Szujski, potężny, wpływowy i bardzo ambitny możny pan na dworze. Ma on powody, dla których chętnie widziałby wszystkich Polaków skompromitowanych, a wygnanie jezuitów odpowiadałoby jego celom bardziej niż celom - innych magnatów. Jest żądny władzy i gotów do popełnienia rozmaitych zbrodni i podłości, byle zwiększyło to jego szanse

na zrzucenie z tronu cara Fiodora i zajęcie jego miejsca. Nie podawaj tego, panie, w wątpliwość: Wasyl Szujski zrobi wszystko, by zasiąść na tronie. By to osiągnąć, musi podkopać zaufanie bojarów do Godunowa i Zacharyna, a ponieważ Godunow jest na dworze rzecznikiem Rakoczego, Szujski będzie się starał udowodnić, że nie można zaufać ani jemu samemu, ani jego sądom i ocenom. Z upadkiem - Godunowa zwróci się przeciwko Zacharynowi, który nie ma dostatecznych wpływów, żeby mu się sprzeciwić.

Wiedz zatem, panie, że Twojemu ziomkowi grozi wielkie niebezpieczeństwo. Stanie się kozłem ofiarnym wszelkich działań Szujskiego. Trzeba powstrzymać Szujskiego, w przeciwnym bowiem razie zwróci się przeciwko wszystkim Twoim posłom, poczynając od Rakoczego, a kończąc na reprezentujących Twoje interesy w Moskwie jezuitach. Zrobię, co się da, żeby temu zapobiec, bo choć nie mam na dworze takich wpływów jak inni, możniejsi, są jednak pewne rzeczy, które mogę przedsięwziąć, żeby nie dopuścić, by stało się najgorsze. Proszę jedynie, żebyś zechciał rozważyć, kiedy najlepiej będzie przystąpić do działania. We właściwym czasie ujawnię Ci, kim jestem, i będę dumny z Twej przyjaźni i szacunku, jaki zyskam dla polskiej korony. Do końca życia będę dumny z tego, że Ci, panie, pomógł obalić zdradzieckiego Wasyla Szujskiego, i że uczyniłem wiele dla pomyślnego zakończenia polskiej misji na tym dworze.

Pozwól, panie, że cię zachęcę do podjęcia działań teraz – jeśli w istocie pragniesz pomóc Rakoczemu. Gdyby nie przyjaźń z Godunowem, już by go wtrącono do lochu. W obecnym stanie rzeczy Godunow nie zdoła już chronić Twojego ziomka. Uważam, że jeżeli chcesz podjąć jakiegokolwiek działania, trzeba to zrobić teraz, bo inaczej nie da się go bronić przed moskiewskim prawem. Sam bym się za nim wstawił w Twoim imieniu, ale bez żadnego wsparcia niewiele wskóram przeciwko tak możnym nieprzyjaciółom jak Wasyl Szujski. Jeżeli masz tu ludzi do obrony Twego

poselstwa, daj im prawo do natychmiastowej pomocy Rakoczemu albo przygotuj się na to, iż Twój sługa poddany będzie torturom i pochowany w bezimiennym grobie. Wysiano już petycje do cara Fiodora z żądaniem pociągnięcia Rakoczego do odpowiedzialności za jego występki przed dworem i Bogiem.

Od tego, który pragnie Ci pomóc

. 6 .

Przeżegnawszy się przed ikonami i wypowiedziawszy właściwe słowa powitania, Borys Godunow od razu przeszedł do ujawnienia celu swej wizyty.

– Nie chciałbym ci tego mówić, przyjacielu, ale niestety muszę: nie wiem, jak bez twojej pomocy zdołam powstrzymać dwór od zwrócenia się przeciwko tobie. Oprócz Wasyla Szujskiego i metropolity wielu innych uznało, że nie pogodzą się z twoją obecnością w Moskwie. – Jego azjatyckie rysy pełne były troski, skinieniem dłoni wyraził swój smutek. – Tak czy owak są niezadowoleni z cudzoziemców, poza Anglikami, nie ty jeden poznasz ich niechęć.

– Ależ ja gościłem ich u siebie częściej niż inni – stwierdził Rakoczy, kłaniając się gościowi i zamykając drzwi, by nie wdzierał się przez nie letni, ciężki upał.

– Owszem, wyróżniałeś się, ale obecnie nie powinienesz liczyć sobie tego za korzyść – przyznał Godunow.

– Jak myślisz, chcą więcej klejnotów czy dzwonek? – zapytał Rakoczy z lekką ironią w głosie. – Nie zamierzałem urazić twej przyjaźni, Borysie Fiodorowiczu – dodał po chwili – bo broniłeś mnie bardzo... usilnie. Nie handlowałeś naszą przyjaźnią. Rzadko tego doświadczałem w życiu. – Jego doświadczenia miały dłuższą historię, niż byłby skłonny teraz przyznać carskiemu doradcy i opiekunowi, a kompromisy były zbyt liczne, by je teraz przypominać.

Borys machnął lekceważąco dłonią.

– Postępuję tak, bo sędzę, że to najmądrzejsze. Moja żona uważa mnie za głupca, dlatego że z tobą rozmawiam, bo są tacy, co uważają

to za podejrzone.

– Twoja żona to roztropna kobieta, kniaziu, i zna dwór z doświadczeń swej wpływowej rodziny – stwierdził Rakoczy. Obluczony w czarny, wyszywany srebrem dolman stał spokojnie pośrodku gościnnej komnaty swego domu. Letnie słońce wdzierające się przez okna pokrywało podłogę siatką światła. Borys krążył wokół gospodarza, zanurzając się w cieniu i wyłaniając zeń. Promienie światła połyskiwały na złoceniach jego barwnego kaftana. – Ze względu na naszą przyjaźń powinienem oburącz podpisać się pod jej radą. Ale prawdę rzekłszy, cieszę się, że tu jesteś, panie.

– Ja też – rzekł Borys, choć niezbyt pewnym głosem. – Nie jestem jednak pewien, czy zdołam ci pomóc w jakikolwiek sposób.

Rakoczy złożył dłonie, poza nieznaczną zmarszczką na czole wyglądał na zupełnie spokojnego.

– Kłopotliwa sprawa. Liczyłem na to, że znajdzie się jeszcze jedna czy dwie rzeczy, jakie zechcesz dla mnie zrobić. Nie są to drobiazgi; poddadzą próbie twoją lojalność.

– Och, mój przyjacielu wygnańcze, to nie kwestia chęci, tylko możliwości. I nie podawaj w wątpliwość mojej lojalności. Chodzi o to, że dwór nie zgodzi się na to, żebym w jakikolwiek sposób ci pomógł. – Borys przerwał i skinieniem dłoni wskazał otwarte okno. – Po całym mieście krążą plotki na temat śmierci ojca Krabbe. Powietrze jest ich pełne i z każdym dniem brzmią głośniejsze. Nawet wśród tych, co nienawidzą Polski i katolików, a jest ich wielu, narasta przekonanie, że powinniśmy pomścić śmierć tego klechy. Niektórzy uważają, że ojciec Krabbe rzuci z nieba przekleństwo, jeżeli nie będzie pomszczony.

– Dwór zawsze jest pełen plotek – powiedział rozsądnie Rakoczy. – Gdy robiłem klejnoty dla cara Iwana, sam powiedziałeś, że nie powinienem się dawać wciągać w nieustanne spekulacje. Co ci każe

myśleć, że sytuacja się różni od zwykłych plotek i skandali?

Borys zatrzymał się i dwukrotnie skinął głową, jakby zastanawiając się nad odpowiedzią.

– To są inne plotki. Nie chodzi o zwykłą zazdrość ani zaspokajanie ambicji. Te są rozpowszechniane celowo i odrobinę pomagają w awansie tym, co je rozprowadzają. Są bardziej konkretne i wyrządzają więcej szkód. Dwór płonie gniewem. I przykro mi rzec, ale Polacy dmą w tę samą dudkę, powtarzają wszystko, oprócz oskarżeń pod twoim adresem o zamordowanie ojca Krabbe i jego sługi.

– Jurijs – podsunął Rakoczy.

– Tak. Są tacy, co utrzymują, że nie bez znaczenia dla sprawy jest to, że pochodził z twojego domu i wykorzystałeś go do szpiegowania polskich posłów, a zabiłeś go, bo wiedział za wiele o twoich sprawkach. – Borys mówił to z trudem, łamał mu się głos, jakby nagle wyszło mu w gardle. – To najczęściej powtarzane i najbardziej rozpowszechnione z oskarżeń.

– Ale są i inne, poważniejsze, nieprawdaż? – zapytał Rakoczy z pewnością w głosie; w jego twarzy było coś więcej niż uprzejme zainteresowanie. – Zechcesz mi powiedzieć, panie, co o mnie mówią?

Borys się zawahał.

– Ze względu na łączącą nas przyjaźń wolałbym nie.

– Pytam właśnie z tego powodu. Jeżeli nie będę wiedział, co się o mnie mówi, nie zdołam odeprzeć oskarżeń. – Rakoczy uśmiechnął się przelotnie. – Borysie Fiodorowiczu, uprzejmość nakazuje ci odpowiedzieć.

Borys najwyraźniej nie był o tym do końca przekonany. Przez chwilę patrzył w podłogę, jakby zbierał myśli.

– Dobrze, ale czynię to z niechęcią. Mówią, że miałeś, hrabio, sprzeczkę z ojcem Krabbe, że zażądałeś odeń czegoś, co sprzeciwiałoby się jego ślubom, i że zwrócił się przeciwko tobie, by

ratować swą duszę i odpokutować grzech apostazji. Mówi się, że jako alchemik jesteś sługą diabła, ojciec Krabbe zaś nie mógł już dłużej pogodzić się z tym twoim grzechem. Gdy to odkryłeś, umieściłeś Jurija w poselstwie jako swojego szpiega i w odpowiednim czasie urządziłeś wszystko tak, że zginął z ojcem Krabbe, by chronić ciebie i zwiększyć twoje wpływy. Poświęciłeś obu, tak to się przynajmniej widzi, dlatego też ojciec Krabbe został tak okrutnie wypatroszony i dlatego zaleziono obu...

– Ze wszystkich sposobów, jakich mógłbym użyć do zabicia kogoś – oznajmił Rakoczy cicho, mówiąc jakby do siebie – nigdy nie skorzystałbym z możliwości wywleczenia mu wnętrzości. – Dotknąwszy pasa, zmacał blizny na brzuchu, nawet teraz czuł przejmujący go przed ponad siedmiuset lat ból.

Borys usłyszał w głosie wygnańca coś, co kazało mu przyspieszyć relację.

– ...w tej nędznej części miasta. Niektórzy utrzymują, że zebrałeś grupę zdesperowanych ludzi, którzy będą ci służyć i na twój rozkaz zabijać i kaleczyć tych, co zasłużyli na twoją wrogość. Biedni ludzie zawsze chętnie zaprowadzą duszę za kilka sztuk złota i tygodniową porcję rosołu.

– Gdybym miał to właśnie i w taki sposób zrobić, czyn okazałby się źle zaplanowany – oznajmił Rakoczy. – Czemu niby, zakładając, że podejrzenia są prawdziwe, miałbym zrobić coś tak głupiego i oczywistego? Czy ktoś spróbował się na tym zastanowić?

– Mówią, że jako wielbiciel szatana nie potrzebujesz żadnych powodów, żeby robić to, co robisz – odpowiedział Borys nieco stłumionym głosem.

– Więc myślą, że jestem w równej mierze głupcem jak szaleńcem – rzekł Rakoczy rezygnacją w głosie. – Chodzi o to, że jestem cudzoziemcem, czy o to, co opowiada o mnie ojciec Pogner?

– Nie przywykli do słuchania cudzoziemskich klechów, ale ten Pagner mówi to, co oni chcą usłyszeć, chwałą go więc za mądrość i uczoność i utrzymują, że jest cudzoziemcem, który rozumie Ruś i ruski sposób życia. – Borys był już tym wszystkim zniesmaczony; odwrócił się i zaczął krążyć po komnacie w drugą stronę. – Nikita Romanowicz odwiedził go dwa razy w towarzystwie Wasyla Andriejewicza. Wyznali, że podzielają oburzenie ojca Pagnera. Nie umiem powiedzieć, czy udają, czy naprawdę żywią takie uczucia.

Na wzmiankę o Szujskim i Zacharynie Rakoczy nieco zeszywniał.

– Czy ci dwaj zawarli sojusz? – zapytał ze zwodniczą nonszalancją głósie.

– W tej kwestii najwyraźniej tak, i podoba mi się to mniej niż tobie – odparł Borys z prawdziwą troską i niepokojem w głósie. – Z początku nie zwracałem na nich uwagi, ponieważ obaj na dworze działają przeciwko sobie. Teraz jednak wyszły na jaw ich prawdziwe ambicje, a skoro Szujski sprzymierza się z Zacharynem, to uznam się za szczęściarza, jeżeli dożyję czterdziestki.

Rakoczy przytaknął.

– Jeżeli będą działać wspólnie, to... – urwał. Nie spodobało mu się złe przecucie, które go ogarnęło. Umyślnie zmienił temat rozmowy. – Borysie Fiodorowiczu, zechciej mi powiedzieć: Czy jeżeli przydarzy mi się coś... niefortunnego, zechcesz chronić moją żonę i zadbasz o powrót mojego sługi do Polski? Jest Hiszpanem z Kadyksu i nie byłoby to uprzejme kazać mu pozostawać tutaj.

– Jest Hiszpanem? – Godunow zadał to pytanie takim tonem, jakby Hiszpania znajdowała się na Księżycu.

– Owszem – potwierdził Rakoczy, nie dodając, że Rothger przyszedł na świat, gdy Hiszpania była rzymską prowincją, a miasto nazywało się Gades. – Niemiła byłaby mi myśl, że moja żona i sługa ucierpieli wskutek popełnionych przeze mnie błędów.

– Cóż, mam pieniądze, które mi zostawiłeś dla Kseni Jewgienijewnej, i może zdołam wzmocnić nieco jej ochronę. Zrobię dla niej wszystko, co się da. Nie sądzę, żeby Wasyl Andriejewicz miał coś przeciwko temu, w końcu jest jego daleką krewną.

– Jeżeli on sam albo jego kuzyn zechcą ją sprowadzić do swojego domu – Rakoczy mówił spokojnie i zwodniczo obojętnym tonem – chcę, żebyś mi obiecał, że na to nie pozwolisz, teraz i nigdy potem. Zatrzymaj ją u siebie albo znajdź innego bojara, który nie jest związany z Szujskimi. Błagam, nie pozwól, by Szujscy dostali ją w swe łapy. Może łączą ją z nimi jakieś rodzinne więzy, ale nie są one wystarczająco mocne, by powierzać ją ich opiece. I możesz być pewien, że to ostatnie, czego od niej będą żądali.

– Jeżeli myślisz o nich aż tak źle... – Borys chciałby się dowiedzieć czegoś więcej o powodach pogardy, jaką Rakoczy żywił w stosunku do Szujskich i Koszkinów, ale w głosie gospodarza zabrzmiało coś, co kazało mu się wstrzymać od zadawania dalszych pytań. Odchrząknął więc tylko. – Dobrze. Zadbam o to, żeby Ksenia Jewgienijewna nie musiała zamieszkać ze swoimi krewniakami. Z twoim sługą sprawa może być trudniejsza, ale dopilnuję tego, by jeżeli zechce, bez przeszkód mógł opuścić Moskwę. Co prawda może to nie być... – Urwał ponownie i zmusił swój głos do spokoju, jakiego ani on sam, ani Rakoczy nie odczuwali. – Poza tym te przygotowania i środki ostrożności są raczej niepotrzebne. Jestem pewien, że nie będzie żadnych kłopotów.

– A jednak... – odezwał się Rakoczy uprzejmie, ale z naciskiem w głosie. – Zechciej mi to wybaczyć... przyjacielu. Niech żaden z nas nie rzuci później wzajemnych oskarżeń.

Borys ponownie zmienił kierunek przechadzki po komnacie.

– Panie Rakoczy, za kogo ty mnie uważasz! Nigdy bym nie pozwolił... – Zatrzymał się, a gdy przemówił ponownie, jego głos

zabrzmiał łagodniej: – Owszem, rozumiem, co masz na myśli, choć wcale mi się to nie podoba. Bardzo dobrze. Obiecuję, że zrobię dla Kseni Jewgienijewnej, co będę mógł, to samo się tyczy twojego sługi Rothgera. Masz moje zapewnienie, że będę ich chronić. Na pewno to zrobię. Jeżeli dwór pozbawi mnie stanowiska, znajdę kogoś, kto zadba o twoją żonę, kogoś, kogo Szujscy nie dosięgną. Wątpię jednak, czy zdołam zrobić to samo dla twojego sługi, jest cudzoziemcem. W najlepszym wypadku będę go mógł wyprawić z Moskwy.

– Wydobywał się i z gorszych tarapatów – stwierdził spokojnie Rakoczy.

– Walcząc z Turkami, tak, oczywiście – przyznał Borys, a Rakoczy go nie poprawił. – Jeśli zostanę w Moskwie, wezmę go do służby w moim domu; potrafi czytać i pisać, będzie więc dla mnie dokonywał przekładów na inne języki. Nikt nie uzna za dziwne tego, że nająłem go ze względu na tak rzadkie umiejętności, ale jeżeli Nikita Romanowicz i Wasyl Andriejewicz będą dalej współpracować, może nie uda mi się utrzymać w mieście, a wtedy twojemu słudze bezpieczniej będzie pieszo uciekać do Szwecji pośrodku zimy, niż pozostać przy mnie. – Zatrzymał się. Spojrzał na swoje stopy i przez chwilę patrzył na to, jak światło gra na jego butach i złoto-czerwonym kaftanie.

– Ufam, że do tego nie dojdzie, Borysie Fiodorowiczu – stwierdził szybko Rakoczy. – Car Fiodor na to nie pozwoli.

Borys wzruszył ramionami.

– Któż wie, jak daleko posunie się cierpliwość tego biednego młodzika?

– Jesteś jego zaufanym doradcą i bratem jego żony – przypomniał mu Rakoczy.

– A moja matka była Tatarką, reszta zaś nie ma znaczenia. – Borys skrzyżował ramiona na piersi. – Ostatnio wszyscy mówią tylko o tym,

o mojej tatarskiej matce. – Potrząsnął głową raz, a potem jeszcze dwa razy. Spojrzał gniewnie w okno, jakby światło raziło go w oczy. – Mój teść chce stanąć po mojej stronie, jeżeli to zrobi, będziemy tu mieli wojnę, a będzie to wojna Rusinów z Rusinami. Narazimy na niebezpieczeństwo wszystko, co zdobyliśmy i odzyskaliśmy dzięki tak wielkim wysiłkom. Nie sądzę, żebym mógł się pogodzić z takim obrotem wydarzeń. – Odkaszlnął. – Nie chcę widzieć na dworze kolejnych podziałów.

– Może nie do ciebie będzie należała decyzja – podsunął łagodnie Rakoczy. – Jeżeli Wasyl Szujski i Nikita Zacharyn postanowią wystąpić przeciwko tobie, kniaziu, będziesz musiał stawić im czoło albo zostawić im Moskwę i cara Fiodora.

Westchnienie Borysa było bardzo wymowne.

– Tak. To istotna trudność, nieprawdaż? Jeżeli nie obronię cara Fiodora, wpadnie w łapska tych, co życzą mu źle. On nie ma pojęcia, jak sobie radzić z takimi podlecami. I tak jest kukiełką.

– Twoją kukiełką? – podsunął Rakoczy.

– Owszem, gdy idzie o cudzoziemców – stwierdził szczerze Borys. – Pozwolił mi się prowadzić. – W jego głosie nie było śladu cynizmu.

– I on cię słucha? Bierze pod uwagę twoje rady? – zapytał Rakoczy i odwrócił się ku drzwiom, gdyż od strony kuchni nadszedł Rothger, trzymając w dłoniach tacę z kopiastrą misą nadziewanych jajek, talerzem kawioru i kanapek z miodem i mięsem. Pośrodku stał jeden złoty pucharek i otwarta butelka jakiegoś trunku.

– Jest też gorąca herbata, szlachetny kniaziu. Jeżeli sobie życzysz, przyniesie się samowar, mamy też francuski koniak, który uprzejmie dostarczyli nam Anglicy – rzekł sługa, lekko przechylając głowę w bok. Postawił tacę na niskim stoliku i zwrócił się do Rakoczego: – Czy mam zrobić coś jeszcze?

– Nie w tej chwili – odpowiedział Rakoczy, świadom tego, że

Rothger chciałby mu przekazać jakąś wiadomość. – Nie w obecności mojego gościa, znaczy. Ale chciałbym, żebyś sprawdził rachunki na moim stole w pracowni. Są w czarnej skórzanej teczce, wiesz, w której.

Polecenie zaniepokoiło Rothgera, ale zareagował tylko nieznacznym uniesieniem jasnych brwi.

– Jak sobie życzysz, panie.

Ta wymiana zdań zakłopotowała nieco Borysa, który nigdy nie umiał przywyknąć do niefrasobliwego stosunku zależności pomiędzy Rakoczym i jego sługą; dla niego było to tylko jedno z cudzoziemskich dziwactw, które tak zbijały z tropu mieszkańców Moskwy. Zajął się wybieraniem największych smakołyków z tacy.

– I jak już przy tym jesteśmy, wyślij wiadomość do brytyjskiego poselstwa – rzucił Rakoczy tym samym niedbałym tonem. – Chcę jak najszybciej porozmawiać z Lovellem. Wiadomość ma dotrzeć do ambasady zaraz o świcie, a spotkanie... najlepiej nie później niż w południe. Będziesz tak dobry i załatwisz to dla mnie?

Teraz Rothger zrozumiał, że stało się coś bardzo złego, i z najwyższym trudem powstrzymał się od pytań o wyjaśnienie sprawy. Raz jeszcze skinął głową.

– Zrobię, co w mojej mocy, panie.

– Dzięki. Zawsze można na tobie polegać. – Odprawiwszy sługę, Rakoczy skinął dłonią Borysowi. – Gdyby była tu moja żona, poprosiłbym ją, żeby do nas dołączyła, ale udała się do...

Borys przerwał mu szybko, mówiąc ustami pełnymi nadziewanego jaja:

– Kolejny z twoich cudzoziemskich zwyczajów, zapraszanie żony, by zabawiła gości. To coś, czego moskwianie nie lubią. My, Rusini, widzimy, że traktujesz żonę jak Polacy i...

– To raczej włoski niż polski obyczaj – poprawił go Rakoczy z lekką

ironią w głosie.

– Widzisz? Właśnie o to mi chodzi. – Czarne oczy Borysa błysnęły, zdradzając niechęć i frustrację. – Demonstrujesz swoje cudzoziemskie obyczaje i przeciwstawiasz je ruskim. Niewiele zdołam dla ciebie zrobić, jeżeli będziesz wciąż w ten sposób przeciwstawiał się naszemu sposobowi życia. Wszyscy uznają, że twoje motywy są... obce. Tu jest Moskwa. Chciałbym, żebyś zrozumiał, że niczego nie czynimy bez powodu i że nasze działania nie płyną z poczucia wyższości.

Podczas minionych trzech tysięcy lat Rakoczy wielokrotnie wysłuchiwał podobnych słów w wielu krajach i wypowiedzianych w rozmaitych językach. Od dawna też przestał dyskutować z rozgorączkowanymi ludźmi o zasadach, w które tak szczerze wierzyli.

– Borysie Fiodorowiczu... – odezwał się bardzo łagodnym głosem. – Nie chciałem nikogo obrazić, słowem ani czynem. Ale nawet gdybym się zmusił do stania się Rusinem, i tak nie zdołałbym przekonać nikogo, że jestem jednym z was. Zamiast stać się celem powszechnych wymówek i uraz twoich rodaków, stałbym się przedmiotem ich pogardy.

Borys potrząsnął głową, nie znajdując żadnych argumentów. Rozważywszy to, co usłyszał od Rakoczego, stwierdził tylko:

– Nie wiem, co ci powiedzieć, hrabio.

– Powiedz mi, że będziesz chronił Ksenię i mojego sługę, to wystarczy.

– Już ci to przyrzekłem – odparł Borys, rozluźniając się nieco.

– I to mnie zadowala – stwierdził gospodarz i zamaszystym gestem zaprosił gościa do częstowania się potrawami. – Borysie Fiodorowiczu, powiedz mi, kiedy powinienem zacząć przygotowania do wyjazdu z miasta.

Niewiele brakło, a Godunow udławiłby się kromką chleba.

– Na miłość boską! Czemu miałbyś wyjeżdżać?

– Po tym, co mi powiedziałeś, pytasz jeszcze, kniaziu, o powód? Muszę poczynić szybkie przygotowania, z twoją pomocą wyjadę przed końcem lipca – oświadczył Rakoczy stojący tyłem do największego z okien; jego sylwetka rysowała się czarną plamą na tle słonecznego blasku.

– Ale jeśli wyjedziesz, wszyscy uznają, że te plotki o tobie były prawdziwe.

– Niech sobie uznają. Zostawmy ich z własnymi mitami i przesadami. Niech sobie wierzą, że jestem sługą szatana i przywódcą bandy zabójców. Uwierz mi, że oskarżano mnie o gorsze sprawy – oznajmił Rakoczy ze znużeniem, które zdumiało Borysa.

– Piekło i szatani, cóż może być gorszego? – zapytał Godunow, nalewając sobie francuskiego trunku i patrząc ze zdumieniem w oczach na gospodarza. – Masz na myśli Turków?

Podobno oni utrzymują, że każdy, kto im się sprzeciwia, działa z poduszczenia ich szatana.

– Szejtana – poprawił spokojnie Rakoczy.

Borys zignorował poprawkę.

– Ale oskarżenia ze strony chrześcijan nie przyprawiają cię o niepokój? Rakoczy, Bóg słyszy nasze modlitwy i błagania. Ściągnąć na siebie zemstę i niechęć Turków to zaszczyt, ale mieć przeciwko sobie Boga to całkiem inna sprawa.

W oczach Rakoczego pojawił się błysk rozbawienia; gospodarz odsunął się od okna.

– Borysie Fiodorowiczu, nie jestem ani diabłem, ani męczennikiem. Ale wygnaniec najczęściej pada ofiarą... nieszczęśliwych wypadków.

– To nie nieszczęśliwy wypadek, Rakoczy – nalegał Borys. – Powinieneś udowodnić swoją niewinność albo siebie i twoich bliskich spotka zły los.

– A ciebie, panie? – zapytał gospodarz, patrząc, jak gość opróżnia

pucharek z koniakiem.

Borys zbył to pytanie machnięciem dłoni.

– Dla mnie to drobna sprawa. Moim największym wrogiem jest pochodzenie mojej matki. W razie czego zawsze mogę stwierdzić, że rzuciłeś na mnie czar, a moja przyjaźń była wybiegiem, sprytnym fortem szczwanego, przewrotnego człowieka. – Nalał sobie kolejną, solidną porcję trunku. – Ale nie zrobię tego, jeżeli stawisz czoło oskarżeniom dworaków. Można to szybko załatwić. Najdalej za miesiąc dwór wysłucha twoich wyjaśnień; wątpię, żeby ktoś zdołał ci wcześniej przeszkodzić. Pozwolisz, że się tym zajmę?

Rakoczy potrząsnął głową.

– Jeżeli masz ochotę... – odpowiedział po chwili krótkiego milczenia.

Na twarzy Borysa pojawiła się ulga.

– Doskonale! Świetnie! – wyrzucił z siebie.

– Rozprawimy się z tym polskim jezuitą, a ty nie będziesz musiał trapić o to, co się stanie z twoją żoną i służą. – Napił się. – A mnie przybędzie nowa broń do walki z Szujskimi.

– W istocie – rzekł Rakoczy z sarkazmem w głosie. – Obaj ogromnie na tym zyskamy.

– Owszem – przyznał Borys z powagą w głosie. – I byłoby głupio, gdybyśmy obaj przepuścili taką okazję. – Wyciągnąwszy zza pasa łyżkę, nabrał porcję czarnego, słono pachnącego kawioru. – Doskonały – stwierdził i pochłonął smakołyk w dwu kęsach.

W tej samej chwili uwagę Rakoczego zwrócił tętent kopyt na wąskim dziedzińcyku. Spojrzał do okna, nie zdołał jednak określić liczby ani rodzaju koni.

Borys też to usłyszał.

– Wraca twoja żona?

– Nie spodziewałem się jej tak wcześnie – odpowiedział Rakoczy,

nie dodając, że w takim wypadku woźnica skierowałby powóz wprost do stajen.

– Może masz przyjaciela, który zjawił się z podobnymi do moich wiadomościami – stwierdził Borys, nabierając kolejną porcję kawioru.

– Nie jestem na dworze jedynym bojarem, który popiera ciebie przeciwko temu jezuickiemu klesze.

– To pocieszające – odpowiedział Rakoczy, próbując się zorientować, co się dzieje na zewnątrz, tak żeby przy tym nie urazić Godunowa.

– Są tacy, którzy chętnie sprzymierzą się z każdym przeciwko Szujskim – ciągnął wylewnie Borys, zatrzymując się tylko na chwilę, by oblizać łyżkę. – Car Fiodor może nie pojmuję, jak trudna jest sytuacja, zdaje sobie jednak sprawę z tego, że kolejne wyniesienie Wasyla spowoduje jeszcze większe podziały na dworze i osłabi nas wobec nieprzyjaciół.

Obaj usłyszeli serię szybkich uderzeń w drzwi; w odpowiedzi na nie Rothger zeszedł na parter.

Borys rozejrzał się dookoła. Rothger otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz. Wtedy przybysze podali mu zwinięty pergamin z carską pieczęcią z bizantyjskim dwugłowym orłem. Nie odezwawszy się słowem, czekali na zaproszenie w głąb domu.

– Kto przyszedł, Rothgerze? – zawołał z głębi Rakoczy, przewidując odpowiedź.

– Nie znam ich nazwisk, ale mają na sobie barwy carskiej straży – odparł chłodno Rothger.

– Gwardia Carska – powtórzył Rakoczy z namysłem w głosie. Spozrzegł wyraz konsternacji na twarzy Borysa. – Niech wejdą.

Na krytym ganku stali trzech oficerowie straży, wszyscy pod bronią. Przekraczając próg, przeżegnali ikony, a potem ruszyli w głąb domu.

– Setnik carskiej gwardii Kurbski – przedstawił się najwyższy z

oficerów, podając Rakoczemu pergamin. Wedle dworskich norm zachowywał się wzorowo i nie rozglądał się po wnętrzu domu wygnańca, choć widać było, że płonie z ciekawości. – Z rozkazu cara Fiodora mam zatrzymać cudzoziemskiego wygnańca Ferenc Rakoczego, hrabiego Saint-Germain, członka polskiego poselstwa w Moskwie.

Zanim Rakoczy zdążył się odezwać, Godunow wziął się w garść i ruszył wprost na młodego oficera. Zatrzymawszy się w odpowiedniej odległości, zwrócił się doń karcącym tonem, jakby setnik Kurbski był dziesięcioletnim brzdącem:

– Ruryku Walentinowiczu, cóż to za bzdury? Po co tu przyszedłeś?

Kurbski stał wyprostowany jak świeca; nie patrzył na Godunowa, ale wbił wzrok w przeciwległą ścianę.

– Otrzymałszy rozkazy od cara, Borysie Fiodorowiczu, i musimy je wykonać.

Rakoczy wyszedł z za Borysa, dając jednocześnie Rothgerowi znak, który tylko oni dwaj zrozumieli. Rothger skłonił się i zniknął w głębi domu, Rakoczy zaś stanął przed żołnierzami.

– Mości setniku, to ja jestem Ferenc Rakoczy. Czego wy, dobrzy ludzie, i car Fiodor ode mnie żądacie? – mówił spokojnie, zachowując się tak uprzejmie, jakby witał gości przybyłych na ucztę.

– Mamy rozkaz, panie, żeby cię zabrać ze sobą – oznajmił Kurbski.

– Nie możesz wziąć ze sobą niczego oprócz szat, które masz na sobie.

Ostatnie żądanie rozjuszyło Godunowa jeszcze bardziej; książ podszedł do setnika bliżej, niż nakazywały zwyczaje.

– Jak śmiesz traktować tego człowieka niby zwykłego przestępcę? Nie masz prawa! Jest członkiem polskiego poselstwa. To hrabia Saint-Germain. Stracił swoje ziemie, walcząc z Turkami. Okażesz mu szacunek, na jaki zasługuje, albo odpowiesz przede mną i przed...

– Takie są carskie rozkazy – stęknął boleśnie setnik; widać było, że i

jemu się nie podobają na równi z całą sytuacją.

– A kto ci wydał te rozkazy, Ruryku Walentinowiczu? – zapytał Borys, wzdychając z rezygnacją.

– Ojczulek – odpowiedział Kurbski.

– Z czyjej namowy? Kto był przy nim, gdy wydawał ci te rozkazy? – naciskał Borys, dając znak Rakoczemu, by nie ruszał się z miejsca. – Jestem pewien, że car Fiodor nie był wtedy sam.

Rakoczy podszedł jednak do Borysa, zachowując zamierzoną obojętność.

– Może zacny setnik nie powinien nam tego ujawniać, przyjacielu.

– Powinien czy nie – odezwał się gniewnie Borys – powiesz mi to, Ruryku Walentinowiczu, i nie zachowasz dla siebie niczego, chyba że chcesz, by twoja siostra Zenewiewa do końca życia została starą panną. – Odstawiwszy złoty pucharek, skrzyżował ramiona na piersi. – Więc jakże będzie? Kto towarzyszył carowi Fiodorowi?

Kurbski przygryzł zębami dolną wargę, co spowodowało gwałtowne poruszenie jego sumiastych wąsów.

– Z carem był książę Szujski.

– Wiedziałem – szepnął Borys z błyskiem gniewu w oczach. Nie powiedział nic więcej, ale Rakoczy położył mu dłoń na ramieniu, jakby chciał go ustrzec przed popełnieniem jakiegoś głupstwa.

– Nieważne – orzekł wygnaniec. – To nie twoja wina, kniazi. – Nie zamierzał się wdawać w długie dyskusje, zwrócił się więc do setnika Kurbskiego: – Dobrze. Co mam zrobić? – Sam się wpakował w tę sytuację, ufając, że jego pozycja na razie dostatecznie go chroni. Od kilku miesięcy widział rozmaite oznaki, ale wierzył, że Godunow i król Stefan są mu wystarczającymi tarczami.

– Musisz niezwłocznie udać się z nami, panie – odparł setnik, z każdym słowem popadając w coraz głębszą rozterkę. Zamrugnął i spojrzał na Rakoczego. – Gdyby to ode mnie zależało, panie hrabio,

nic z tego by się nie wydarzyło.

Rakoczy usłyszał stłumione przekleństwo Godunowa, ale powiedział spokojnie:

– Rad jestem, że to mówisz, mości setniku. – Urwał na chwilę. – Mam wziąć jednego ze swoich koni, czy...

– Mamy dla ciebie konia, panie. – Kurbski oddychał teraz nieco szybciej. – Powinniśmy cię skuć, ale nie nałożę ci kajdan.

– Powiesz mi, dlaczego... mnie zatrzymujecie? – zapytał Rakoczy wciąż lekkim i nieco ironicznym tonem.

– To zabronione.

– To powiedz mnie – warknął Godunow tak władczo, że setnik znów wbił wzrok w ścianę.

– Oskarża się go o to, że jest diabelskim czarownikiem i mordercą – powiedział setnik, jakby cytując rozkaz wymarszu. – Jako szlachcica nie można go ściąć, chyba że dopuściłby się zdrady. Ponieważ jest cudzoziemcem, musi ponieść karę. Decyzję podejmą carscy sędziowie pokoju. Musisz dowiedzieć się tego od nich, Borysie Fiodorowiczu.

– I dowiem się – odparł Godunow, ruszając zwawo ku drzwiom. – Tego możesz być pewien.

Rakoczy zatrzymał się na chwilę przed ikonami.

– Z chęcią zaczekam na rezultat – powiedział i dodał: – Ale pierwszej zadbaj, kniaziu, o bezpieczeństwo mojej żony i mojego sługi.

List do sędziów cara Fiodora wysłany przez ojca Pognera w imieniu wszystkich członków polskiego poselstwa w Moskwie:

Najbardziej uczonym i możliwym bojarom, sędziom pokoju cara Wszechmsi pokorne pozdrowienia od przywódcy polskich postów w Moskwie, w odpowiedzi na wczorajsze zapytania.

Wyraziliście chęć poznania wszystkich okoliczności łagodzących, które

można by zaliczyć na korzyść Ferencza Rakoczego, innych niż zbrodnie, o jakie się go oskarża, a więc: to, że jest jednym z szatańskich czarowników i że zabił albo stał się przyczyną śmierci zbyt ufego ojca Krabbe; że praktykował swoje czarnoksiężskie sztuki na niedawno zmarłym carze Iwanie i doprowadził cara Iwana do pogłębienia jego szaleństwa, dając mu zrobione przez siebie klejnoty, wzmagając jego żądzę bogactw i każąc mu je gromadzić, co jest grzechem chciwości i skąpstwa.

Nie mogę w żaden sposób bronić tego godnego pogardy człowieka, ponieważ to ja od samego początku wierzyłem, iż ma złe zamiary, a jego umiejętności pochodzą od szatana. Od początku naszej misji błagałem króla Stefana, żeby nie wysyłał tego człowieka z nami, ale moje protesty nie wystarczyły, żeby przekonać Madziara, iż jego ziomek jest złym czarnoksiężnikiem, który przyniesie nieszczęścia i hańbę jemu i Polsce. Moje ostrzeżenia nie zostały wzięte pod uwagę, a moje argumenty odrzucono jako szalone, tak wielki był wpływ Rakoczego na króla Stefana.

W kwestii tego, że rozważaliście wychłostanie Rakoczego knutami, obawialiście się jednak, iż może to zostać uznane za obrazę Polski i jej króla, stwierdzam, że Stefan Batory jest dzielnym i zacnym mężem i jako taki nie sprzeciwi się złemu traktowaniu ani cierpieniom zadanyemu jednemu z jego ludzi. Gdyby był tu sam, jestem pewien, że nie uznałby solidnej chłosty za nazbyt wielką karę za liczne zbrodnie Rakoczego, ponieważ dowiedzieliśmy się, iż za podobne przestępstwa ruski bojar straciłby głowę.

Jeżeli postanowicie poddać Rakoczego chłości, proponuję, żebyście nie ograniczyli jej do pięciu lub dziesięciu uderzeń, jakimi zwykle karze przestępców kremlowska straż, ale skazali go na dwadzieścia albo trzydzieści razy, a rękojeść bata niech ujmie doński Kozak. Rakoczy nie jest zwykłym przestępcą, a jego zbrodnie wymagają kary odpowiedniej do cierpień, jakich był przyczyną. Nie wolno pozwolić, żeby skorzystał z dobrej woli mieszkańców Moskwy ani z łask, jakie rozciągają się tu na szlachtę. Jeżeli jest na tym świecie jakaś sprawiedliwość, żąda ona, żeby

Ferenc Rakoczy odpowiedział za swe zbrodnie.

Błagam Boga i Jego aniołów, żeby pomogli Wam w podjęciu słusznej decyzji, i proszę, żebyście pamiętali, iż ci, co podjudzali do zbrodni, są tak samo winni, jak ci, co trzymali noże.

Z wyrazami szacunku, w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, Kazimierz Pogner, członek Towarzystwa Jezusowego przedstawiciel króla Polski Stefana Batorego na dworze cara Fiodora 9 lipca roku Łaski Pańskiej 1585 wedle nowego kalendarza

Chłosta ustała już jakiś czas temu, ale spowodowany przez nią ból trwał i trwał; Rakoczy przykuty do starej beczki na dziedzińcu koszar gwardii za soborem Błagowieszczeńskim z nadejściem nocy na przemian tracił przytomność i ją odzyskiwał.

Na jego pokaleczonym ciele żerowało wszelkiego rodzaju robactwo, owady i szczury dobierały się do każdego skrawka skóry, mięśni i każdej kropli krwi. Nad dziedzińcem krążyły kruki od czasu do czasu zniżające lot i chwytające jakiś kawał łupu, który uszedł uwagi pozostałej części żarłocznego bractwa. Rakoczy czuł podmuchy ich przelotów i bolesne liźnięcia chłodu na pokaleczonych plecach. Krwawił niewiele, jeżeli wziąć pod uwagę okaleczenia spowodowane razami knuta. W dwu miej scach spod skóry wyzierały mu żebra, a plecy miał tak poha ratane, iż mogłoby się wydawać, że wpadł w szpony jakiegoś ogromnego drapieżnego ptaka. Resztki odzieży, która mu pozostała, poprzyklepiały się do ran. Nienawidził bezsilności i niemocy, a teraz nie mógł się nawet ruszyć.

Nad dziedzińcem unosiła się woń krwi: mocny smród rozlanej krwi i pokaleczonych wnętrzności. Znał go dobrze, po raz pierwszy poczuł go w Babilonie i dębach, a później natykał się na niego w tylu miejscach, że nawet ich nie pamiętał. W skwarze letniej nocy zagrział nagle odległy głos gromu.

Przebłysk bólu przyniósł mu wspomnienie Tamasradzi. Z tych, które zapamiętał, ona jedna rada byłaby tej sytuacji, syciłaby się bólem i poniżeniem. Utonęła ponad trzy tysiące lat temu, ale Rakoczy na myśl o niej wciąż się krzywił, mrużył oczy i znajdował jej echo w otaczających go zepsuciu i nieprawości.

Całe ciało nieznośnie ciążyło mu w kajdanach, które wcinały się w jego nadgarstki; choć niczego nie widział, wiedział, że jego dłonie są czarne i spuchnięte, bo nie mógł już poruszać palcami. Kajdany na nogach zmuszały go do rozsunięcia kolan, bolały go wszystkie ścięgna. Nawet gdyby zdołał się uwolnić, pomyślał mgliście, niewielkie miałyby szanse na ucieczkę, bo nogi nie zdołałyby udźwignąć jego ciężaru. Żołdacy zdjęli mu buty i wymierzili po razie w każdą stopę, które teraz były równie nabrzmięte i obolałe jak jego dłonie.

Miał umrzeć. Trzydzieści razy knuta wystarczyłoby, żeby zabić każdego człowieka. Nawet bez żelaznego pierścienia na końcu grubo pleciony rzemień potrafił porozdzierać ciało do kości. Użyli knuta z obciążnikami o wielkości kurzych jaj. Gdy jeden z nich złamał mu zebro, z bólu niemal rozgryzł sobie dolną wargę.

W soborze Błagowieszczeńskim księży śpiewali hymn sławiący boże miłosierdzie; ich głębokie głosy współzawodniczyły z muchami i komarami, domagając się uwagi. Kruki odleciały, a na zachodnich krańcach nieba płonęła różowawa poświata. Zdał sobie sprawę z tego, że zrobiło się późno – wieczorna liturgia dawno dobiegła już końca, a teraz słyszał śpiewy towarzyszące liturgii nocnych marków, jak nazywali ją moskwianie, którą odprawiano, gdy większość z nich kładła się do łóżek. Stracił dwie lub trzy godziny wieczoru.

Skupiwszy się na bólu wszystkich ran, powiedział sobie, że rano przyjdą tu po jego ciało. Jeżeli nie znajdą trupa, będzie miał kłopoty, bo potwierdzi to wszystkie wysuwane przeciwko niemu podejrzenia, co sprawi, że dostanie jeszcze gorszą chłostę. A to przyniesie mu jeszcze większe cierpienia. Znał wiele historii o tych, co nie chcieli umrzeć i posiadli magiczne umiejętności: mogli się zmieniać w wilki, ptaki lub nietoperze i uciekać prześladowcom, potrafili też rozkazywać żywiołom i narzucać swoją wolę znajdującym się w

poblizu zwykłym ludziom. Chciałby, żeby te bajeczki były prawdziwe, choć podejrzewał, że nawet w nowym kształcie nie uciekłyby daleko z tymi ranami. Śmierć dała mu jedynie wytrzymałość i krzepę daleko przekraczające te, którymi dysponowali inni żyjący, pewien stopień kontroli nad zwierzętami, doskonały wzrok w nocy i specyficzne pragnienie. Wszystko inne – umiejętności, wiedzę, znajomość muzyki i współczucie – zdobył sam w licznych i często bolesnych lekcjach.

Zdał sobie sprawę z tego, że księża skończyli śpiewy i pogaszono pochodnie oświetlające przednią część dziedzińca. Jak późno już było? Pierwsza w nocy? Druga? Która? Zatęsknił za swoim holenderskim czasomierzem, choć wiedział, że nie zdołałby go utrzymać w dłoniach ani otworzyć wieka. Zmrużywszy oczy, spojrzał na niebo, ale rzadkie, postrzępione chmury przesłaniały gwiazdy i nie zdołał się zorientować w czasie, a trzymanie uniesionej głowy było zbyt bolesne, by mógł kontynuować. Gdy ją opuszczał, w policzki wcięły mu się drzazgi z klepek starej beczki.

Nieopodal skamlały i powarkiwały psy napierające na żelazne obroże łańcuchów. Nie wiedział, czy szarpały się ku szczurom, czy ku niemu. Z zewnątrz dobiegały okrzyki spóźnionych kramarzy, którzy spieszyli do swoich domów.

Następnymi dźwiękami, które do niego dotarły po jakimś czasie, były wrzaski zapóźnionych, solidnie podpitych wracających do koszar żołdaków. Kilku z nich śpiewało, usiłując niemrawo dobrać słowa do melodii. Towarzyszyły temu odgłosy niepewnych i chwiejnych kroków dochodzących od strony stajen; żołnierze chełpili się liczbą wychędożonych dziwek, wielkością własnego przyrodzenia i człapali do łóżek odprowadzani gniewnymi okrzykami mniej awanturniczych i zawadiackich towarzyszy broni.

Rakoczy uważnie wsłuchiwał się w te okrzyki; jak nigdy przedtem uderzyła go i przejęła do głębi duszy mizeria i nikczemność ich

żywotów. Mógł się tylko pocieszać długością swojego trwającego już tysiąclecia życia. Ale ci żołnierze nie liczyli więcej niż trzydzieści lat i niewielu z nich miało przeżyć dłużej niż półwiecze. Gdy Rakoczy przeżył pierwszą pięćdziesiątkę, od siedemnastu lat powinien być już trupem.

Żołnierze poszli wreszcie spać, a wokół niego rozgorzały walki szczurów. Słyszał piski i szamotaninę. Od czasu do czasu o jego nogi ocierało się jakieś kosmate ciało, a raz kły wbiły mu się w poszarpany bark; krzyknął z bólu, choć dźwięk, jaki zdołał z siebie wydobyć, nie był głośniejszy niż piski znieawidzonych gryzoni.

I wtedy usłyszał dobiegający od strony soborowego muru dźwięk, cichy i ukradkowy odgłos kroków człowieka, który stara się, by go nie usłyszano.

Natychmiast się ocknął i siłą woli wyrwał z ogarniającego go letargu. Przemagając ból, uniósł głowę; wyteżywszy wzrok, zobaczył jedynie krzywiznę boku beczki i cienie uciekających szczurów. Poczuł też, że skaleczenia na twarzy ponownie zaczęły krwawić.

Usłyszał kroki, a potem drugie.

Zbliżali się do niego dwaj mężczyźni, którzy szli cicho, ostrożnie, w milczeniu. Wsłuchiwał się uważnie, klnąc krępujące go okowy. Zastanawiał się, czy przybysze niosą mu pomoc, czy przyszli zadać mu ostateczną śmierć.

I wtedy ktoś klęknął przy jego stopach i zdjął mu kajdany.

Krzyknął cicho, gdy ugięły się pod nim kolana, obciążając okrutnie nadgarstki. Zupełnie nie czuł zdrętwiałych stóp.

– Jeszcze nie! – syknął Borys Fiodorowicz Godunow, zabierając się do rozpinania kajdan w nadgarstkach. – Przytrzymaj go!

– Ale jego grzbiet... – zaprotestował Benedict Lovell, wahając się przed dotknięciem Rakoczego teraz, gdy zobaczył okropne okaleczenia i rany.

– Nie będzie lepiej, jak upadnie – mruknął Borys, rozpinając lewą bransoletę kajdan.

Rakoczy jęknął, gdy ponownie otwały się jego rany. Poczłł strach, że znów zostanie skuty; w jego pamięci natychmiast ożyły wspomnienia z lochu w Toledo, sekretnej komnaty w Trapezuncie, jamy pod rzymskim cyrkiem Flawiuszów czy niedźwiedziej jaskini pod Chocimiem. Stłumił okrzyk, gdy podtrzymał go Lovell; w oczach znów mu się zamgliło i stracił przytomność.

– No i dobrze, wszystkim będzie łatwiej – skwitował to Borys pomagający Lovellowi z drugiej strony. – Cud, że w ogóle przeżył.

W pierwszej chwili Anglik nie odpowiedział, a gdy przemówił, jego głos był cichy i łagodny:

– Widywałem już chłostanych, ale nigdy aż tak pobitych. Jeżeli to jest w połowie tak straszne, jak się obawiam... – Skinieniem głłwy wskazał otaczające ich ciemności. – Wolę nie wiedzieć, co mógłbym zobaczyć.

– Knut jest po to, by karać i zadawać ból – stwierdził Borys, nie trudząc się, by odpowiedzieć na uwagę Lovella, bo obaj ruszyli ku wąskim, bocznym drzwiom dziedzińca. Był spięty; obawiał się, że mimo późnej godziny mogą zostać przyłapani. – Nie pozwól, by włókl nogi za sobą.

– Oczywiście – odparł Anglik, wsuwając ramię głłbiej pod pachę Rakoczego.

Rakoczy jęknął i wychodząc z omdlenia, zakołysał głłwą. Ból uwolnienia mieszał się z cierpieniem pobicia i całkowie go pochłaniał. Podtrzymywanemu przez dwu mężczyzn wydawało się, że nieustannie pada i leci gdzieś w dół; przyprawiało go to o zawroty głłwy i na przemian to tracił, to odzyskiwał świadomość.

– Już prawie jesteśmy – szepnął Borys, gdy zbliżali się do drzwi. – Mam nadzieję, że nie zostawił za sobą krwawego śladu.

– Większość ran chyba zakrzepła – stwierdził Lovell. – Wygląda na to, że mam rację. – Dotknął resztek dolmana okrywającego grzbiet pobitego. – Jego kaftan jest sztywny, ale nie mokry.

– To dobrze – stęknął z wysiłkiem Borys. – Nie chcemy, żeby poszli naszymi śladami.

– Nie – przytaknął Lovell.

Zwieszony pomiędzy nimi Rakoczy z trudem przełknął ślinę, żeby stłumić ogarniające go mdłości. Jakież to dziwne, pomyślała część jego zamglonego bólem umysłu, że akurat on ze wszystkich ludzi odczuwa mdłości. Jego zmysły zaćmiewał każdy ruch i nie mógł na niczym skupić uwagi dłużej niż przez kilka sekund, bo mroczne prądy ponownie rzucały go w otchłań. Nagle się wzdrygnął i upadłby, gdyby Lovell nie chwycił go za włosy i nie powstrzymał. Stopniowo spazmy bólu mijały i w jego myślach zapanował większy porządek. Skupił uwagę na tym, by zachowywać się cicho; do pewnego stopnia zdawał sobie sprawę z ryzyka, na jakie naraziłoby wszystkich odkrycie jego ucieczki.

Dotarłszy do drzwi, zatrzymali się przy nich, a Borys wyjrzał ostrożnie na zewnątrz. Potem dał znak Lovellowi, by ten z Rakoczym ruszyli naprzód i razem zdołali jakoś wyprowadzić więźnia poza obręb dziedzińca. Obróciwszy się, by zamknąć i zaryglować furkę, Godunow szepnął do Anglika:

– Jeżeli się na kogoś natkniemy, wyciągnij sztylet i zacznij kłąć jak bojar. Mów, że ten sługa nigdy ci już niczego nie ukradnie. Nikt się nie ośmieli nas zatrzymać.

– Chyba że jakiś inny bojar? – podsunął kpiąco Lovell.

– A ty się módl, żeby żaden nas nie znalazł, bo jak do tego dojdzie, będziemy musieli go zabić. – Borys spojrzał na Lovella, żeby się upewnić, iż został dobrze zrozumiany. W krótkim skórzanym kaftanie bardziej przypominał zaprawionego w bojach oficera niż carskiego

opiekuna. – Jeżeli mamy uratować jego albo siebie samych, skoro już o tym mowa, nikt nie może się niczego dowiedzieć.

Lovell kiwnął głową.

– No to będę się modlił – zapewnił Borysa.

Rakoczemu powoli wracało czucie w dłoniach i stopach, ale wraz z nim przychodził większy ból – jakby w każdy staw palców wbijano mu noże. Minęły setki lat od czasów, gdy doznał podobnych ran i okaleczeń, będzie potrzebował długiego odpoczynku, zanim odzyska siły. Spróbował poruszyć palcami i za swój wysiłek został nagrodzony kolejną falą bólu.

– Bądź cicho – szepnął mu Lovell po angielsku, gdy ruszyli w głąb ulicy. – Żadnych odgłosów.

Rakoczy chciał go zapewnić, że zachowa milczenie, nie potrafił jednak zaufać swojemu głosowi; bał się, iż znów przeszyje go ból. Zaczął się zastanawiać, dokąd go zabierają. Gdzie w Moskwie znajdzie bezpieczne schronienie?

– Nie chcę dotykać jego grzbietu – odezwał się po rusku Lovell do Godunowa. – Mdli mnie na samą myśl o tym.

– Jego też, idę o zakład – stwierdził szorstko Borys. – Obserwuj okolice i zachowaj ciszę. – Był teraz pełen niepokoju, bo dotarli na obrzeża Placu Czerwonego, niesamowicie w nocy cichego. – Musimy się spieszyć – ostrzegł Lovella i ruszył szybciej.

Zwisający pomiędzy nimi i opierający bezwładne ramiona o ich barki Rakoczy zacisnął zęby. Przeszywał go coraz okrutniejszy ból.

Gdy dotarli do szerokiej alei ciągnącej się ku północy, Lovell dyszał już ciężko.

– Zatrzymajmy się! – wycharczał, gdy oddalali się od placu I Kremla. – Muszę złapać oddech. – Niechętnie, choć ostrożnie zmienił uchwyt. Wysiłek i towarzyszący mu niepokój zrobiły swoje i teraz musiał się postarać, żeby odzyskać nie tylko siły, ale i ducha.

Postanowił twardo, że zanim ruszą dalej, odzyska jedno i drugie.

– Nie odpoczywaj za długo – ostrzegł go Borys, rozglądając się. Stłumił nerwowe ziewnięcie, a potem poprawił uchwyt. – Nie możemy zwlekać, musimy dotrzeć do składu, zanim na ulicach pojawią się służący i terminatorzy.

– Wiem, wiem – mruknął Lovell, szykując się do ostatniego, decydującego wysiłku. – Jak sądzisz, panie, czy on przeżyje?

Minęła chwila, zanim Borys zdołał sformułować odpowiedź.

– Sądzę, że to cud, iż przeżył tak długo – stwierdził, a potem podjął wątek ponurym głosem: – Jeżeli nie zabije go gorączka, nie mam pojęcia, czy pozrastają mu się kości i mięśnie. Może jeszcze przeklnie nas za to, co zrobiliśmy.

Rakoczy zapragnął powiedzieć obu mężczyznom, że wyzdrowieje, że wszystko się pozrasta i że nie doznał trwałego kalectwa, a po biczu nie pozostaną nawet blizny. Nie potrafił jednak zebrać myśli ani oprzeć się bólowi. Znow na przemian tracił i odzyskiwał przytomność.

– Ale nie mogliśmy go tam zostawić – sprzeciwił się Lovell. – Nie na tamtym dziedzińcu. Same szczury go...

– Nie, nie mogliśmy – stwierdził Borys, ponownie obrzucając ulicę badawczym spojrzeniem. – Lepiej szybko się stąd zabierajmy. Wkrótce pojawią się tu pielgrzymi idący na poranną liturgię. – W miarę jak mówił, ogarniał go coraz większy niepokój, bezruch wyczerpywał jego rezerwy, tak jak przywracał je Lovellowi. – Ani mnie, ani ciebie nikt nie może zobaczyć w jego towarzystwie.

– Wygląda tak, że nikt go nie rozpozna – orzekł Anglik. – A ilu pielgrzymów rozpozna mnie albo ciebie, panie kniaziu?

– Wystarczy jeden, który zna mnie albo ciebie, i nasz udział w tym wszystkim się wyda. Jeżeli mamy pozostać anonimowi, nie możemy dopuścić do tego, żeby ktoś nas zobaczył. My, Rusini, jesteśmy ostrożni w sądach, ale strażnicy nie ustaną w poszukiwaniach. Jeden

dokładniejszy opis i nasz los będzie przypieczętowany. – Wskazał starego, śpiącego w cieniu zebra. – Jeżeli strażnicy zechcą się popisać domyślnością, przepytają wszystkich tych śpiących po bramach nędzarzy, a jeśli którykolwiek z nich... – Urwał. – A my nie możemy pozabijać wszystkich, żeby ich uciszyć. To byłoby jeszcze gorsze.

– Jest noc – stwierdził Lovell. – Cóż oni będą mogli powiedzieć? Ani ty, panie, ani ja nie jesteśmy odziani odpowiednio do naszej pozycji społecznej. A Rakoczy jest prawie nagi. Kto śmie pomyśleć, że angielski uczonec i ruski bojar prowadzili się z cudzoziemskim przestępcą? Nawet jeżeli nas zobaczą, to co oni powiedzą, ci żebracy?

– Powiedzą, że widzieli trzech dziwnych ludzi – szepnął Borys z naciskiem. – A sądząc z naszego akcentu, uznają nas za dobrze urodzonych.

– Trzech dobrze urodzonych ludzi na ulicy nocą; to mogą być dowolni trzej spośród setek innych – stwierdził Lovell mający na myśli raczej Londyn niż Moskwę. – Z pewnością...

– Może nie zwrócono by uwagi ani na mnie, ani na ciebie, mości Angliku. Gdybyśmy szli tylko we dwójkę, niebezpieczeństwo byłoby raczej niewielkie. Ale ilu byś znalazł podobnych do niego? Zwłaszcza jeżeli ktoś zobaczy jego grzbiet? – zapytał Borys, ocierając czoło wolną ręką. – A kogo będą podejrzewali?

O to, że mu pomógł, jak nie mnie? A ja muszę być poza podejrzeniami. Jesteś gotów?

– W porządku – odpowiedział Lovell, przygotowując się do długotrwałego wysiłku.

Czekający na kolejną falę bólu Rakoczy zebrał się w sobie, nie był jednak przygotowany na zamęt w myślach i dezorientację, które noc dodała do jego udręki. Ruch przyprawiał go o mdłości. Syczał przez zęby, gdy Borys i Lovell przyspieszali kroku; podtrzymywali go i

wspierali, jak mogli. Rakoczy szukał czegoś, na czym mógłby się skupić, by odegnać mdłości i zawroty głowy. Zamierzał liczyć kroki, ale po kilkunastu stracił rachubę, bo uciążliwość marszu mąciła mu zmysły.

Gdy dotarli do magazynu, był już na poły tylko przytomny i zwiślał bezwładnie w uścisku obu mężczyzn, którzy go uratowali. Rothger wpuścił ich przez solidne drewniane drzwi i przy świetle oliwnej lampy przeszli w głąb spowitego w mrokach budynku.

– Muszę odsapnąć – wystękał Lovell, gdy Rothger otwierał drugie, mniejsze drzwi.

– Pozwól, panie, że go przejmę – powiedział Rothger i szybko, zanim Lovell zdążyłby się sprzeciwić, zajął jego miejsce.

Pomieszczenie, do którego ich wprowadził, nie było zbyt duże. Wzdłuż ścian ciągnęły się półki pozastawiane powleczonymi skórą szkatułkami pełnymi przypraw korzennych i ziół, których woń, zdominowana przez pieprz i imbir, przepelniała całe wnętrze. Pośrodku komnatki stał długi stół, na którym kupcy korzenni odważali swoje towary, dziś jednak usunięto wagę i przykryto blat lnianym obrusem, na którym ułożono bezwładne ciało Rakoczego.

– Paskudnie go poraniono – stwierdził Borys pozornie spokojnym głosem. – Nie sądzę, żeby w ciągu kilku najbliższych tygodni był gotów do podróży, nie z takimi obrażeniami. – Uciekł spojrzeniem w bok. – Jeśli w ogóle wyżyje.

Lovell rozmasował zbolące ramię.

– Będzie musiał, dopóki nie załatwimy mu możliwości wyjazdu. – W tej chwili zbladł, po raz pierwszy obrzuciwszy Rakoczego uważnym spojrzeniem przy dobrym świetle.

Na całych plecach Saint-Germaina w miejscach, gdzie knut porozdzierał skórę, widać było wyzierające spod niej czerwone, nabrzmiące mięśnie. Małe dłonie hrabiego były czerwone i pełne

czarnych plam. Miał też pokaleczone stopy o połamanych lukach z wielkimi opuchliznami w miejscach, gdzie uderzył rzemień. Twarz Rakoczego była uderzająco blada, z niezwykle głęboko zapadniętymi oczami. Uszy, palce i krawędzie największych ran miał poszarpane przez ugryzienia szczurów.

Gdy Rothger przyniósł drugą lampę, Borys się przeżegnał.

– Na Jezusa Chrystusa! – wyszeptał przerażony Lovell. – Zakatowali go!

Borys nie okazywał takiego przerażenia jak Anglik. Przechyliwszy głowę na bok, przez chwilę uważnie przypatrywał się Rakoczemu.

– Jest bardzo silny – stwierdził wreszcie, zwracając się do Rothgera.

– Owszem, jest – odparł Rothger. Gdy zaczął zdejmować odzież z pana, jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Robił to sprawnie i delikatnie, unikając czynienia jeszcze większych szkód.

Lovell uznał, iż niełatwo mu na to patrzeć. Odwrócił się więc i rzucił przez ramię:

– Czy jest możliwe, żeby za dwa dni był gotów do podróży? Poczyniono już przygotowania i nie możemy nic zmienić. Nasza karawana wyrusza za dwa dni. Nikt mnie nie ostrzegł, że on może być tak... Musimy wyjeżdżać, z nim albo bez niego.

– Wiem – odparł Rothger. – Pojedzie z wami – dodał, myśląc o trzech skrzyniach ziemi z rodzinnych stron Rakoczego zainstalowanych w łożku na wozie, którym hrabia miał zostać powieszony na północ.

– Módlmy się, żeby mógł – stwierdził Borys. – Załatwiłem tak, żeby straż ścigała go ku Polsce, ale nie potrwa to długo, jeśli nie będzie meldunków o waszym przejeździe. Gdy wrócą, mogą ruszyć na północ i nie dam rady ich zatrzymać. – Klasnął gniewnie w dłonie. – Ci jezuici będą wyli głośniejsi niż Wasyl Andriejewicz i Nikita Romanowicz razem wzięci.

– Obawiam się, że masz rację, panie – mruknął Lovell. Czuł kwaśny posmak na języku; nie cierpiał zapachu krwi.

Rothger zmierzył Borysa spokojnym spojrzeniem.

– Będzie gotów do podróży. Wozy przygotowano zgodnie z instrukcjami mojego pana. Pojadą z Anglikami do Nowych Chołmogorów, jak to załatwił doktor Lovell. Nikt nie zwróci na nas uwagi, przejedziemy niepostrzeżenie.

Borys kilkakrotnie kiwnął głową, jakby przekonując samego siebie, a potem powiedział:

– Spójrz, na niego, człowieku. Jak on pojedzie w takim stanie? Nie możesz go uratować.

– Pojedzie – zapewnił go Rothger ze spokojną pewnością w głosie. Wiedział, że położony na łożu z rodzimą ziemią Rakoczy zacznie wracać do zdrowia. Był tego świadkiem już cztery razy w przeszłości, choć musiał przyznać, że nigdy jeszcze nie widział Rakoczego tak poważnie pokaleczonego.

Choć nie potrafił uwierzyć, że Rakoczy przeżyje, Borys gotów był na wszystko, byle tylko wydostać rannego spoza zasięgu łap Szujskich i Romanowów.

– Dobrze, znaczy, pojedzie – powiedział, gestem podkreślając rezygnację. – Niech Bóg okaże mu swoje miłosierdzie. – Raz jeszcze rozejrzał się po pomieszczeniu. – Czy ktoś wie, że tu jesteś? Może ktoś gdzieś donieść o twojej obecności?

– Jest tu właściciel tego składu – stwierdził Rothger, spokojnie wskazując Rakoczego. – Nikt sobie niczego nie pomyśli, bo bywał tu wcześniej, a współpracujący z nim kupcy wiedzą, że często zachodzi tu nocą i zajmuje się swoimi pracami. Mój pan jest alchemikiem, którego zioła interesują równie głęboko jak klejnoty i złoto. Kto zwróci uwagę na obecność hrabiego w jego własnej pracowni?

Leżący twarzą w dół Rakoczy słyszał głosy Lovella i Godunowa,

jakby dobiegały z daleka. Nie umiał odróżnić słów, orientował się jednak z grubsza, o czym mówią; pragnął już teraz jedynie uzdrawiającego wpływu rodzimej ziemi i ulgi, jaką przyniosłby mu sen. Nie chciał nawet oddychać, każdy wdech napełniał go promieniującym na całe ciało bólem złamanych żeber. Opatrunki Rothgera przynosiły niewielką ulgę w całej udręce.

Borys pogodził się z tym wszystkim dość niechętnie. Nie mógł zaprzeczyć stwierdzeniom Rothgera, ale też nie za bardzo go one pocieszyły. Ponownie się przeżegnał.

– Ten człowiek jest w wielkim niebezpieczeństwie w każdej godzinie, podczas której pozostaje w Moskwie. Nie zazna spokoju, dopóki nie opuści Rusi.

– Robimy, co się da, żeby go chronić – odezwał się Lovell. – Borysie Fiodorowiczu, wiem, że podejmujesz wielkie ryzyko, wspomagając Rakoczego, i wiem, że miałbyś trudności, gdyby się wydało, że pomogłeś mu w ucieczce. Nie zamierzam nikomu o tym mówić, Rothger też tego nie uczyni, nie masz więc powodów do obaw. – Skinieniem głowy wskazał Rakoczego, krzywiąc się jednocześnie mimo postanowieniu, jśe zachowa spokój. – Nie mogłeś go zostawić tam, gdzie był, prawda?

– Nie – odparł spokojnie Borys, = Nie po tym wszystkim, co uczynił dla nas. – Patrzył teraz na tabliczki na szkatułkach, czytając je po kolei. – A niewiele mogę zrobić, żeby mu się zrewanżować. Nie potrafię ochronić jego reputacji, przynajmniej nie teraz. Później, jeżeli los rozwiąże mi ręce, będę mógł to jakoś sprawić. Zaaranżowałem schronienie dla Kseni Jewgienijewnej w majątku Nikołaja Grigorjewicza Daniłowa pod Włodzimierzem. Zawsze to lepsze niż nic. Są dalekimi krewniakami, a Daniłow nie jest związany z Szujskimi ani z Zacharynem. Jego żona zgodziła się, by Ksenia z nimi zamieszkała, w oddzielnym domku z własną służbą. Nikt jej tam

nie będzie niepokoił. To przynajmniej mogę zrobić dla Rakoczego: dam schronienie jego żonie. Jej pozycja pozostanie bezpieczna. I nigdy nie będzie jej brakowało pieniędzy, to rzecz pewna.

Rothger wysłuchał wszystkiego bardzo uważnie.

– Mój pan będzie ci wdzięczny, kniazi.

Borys wzruszył ramionami.

– To nie jest konieczne – stwierdził tak szczerze i z uczuciem, że zdumiał Lovella. – Żałuję tylko, że nie mogę już teraz wywiązać się z powinności i oczyścić jego imienia z plam. – Spojrzał na Lovella. – To nie jest walka Rakoczego, to sprawa naszej szlachty. Został w nią wciągnięty wbrew swojej woli i obarczono go odpowiedzialnością, po części z mojego powodu. I to jest obrazą dla mnie.

Lovell skinął głową.

– Owszem, to kwestia honoru.

Rakoczy spróbował się odezwać, ale mimo wysiłku wydobył z siebie jedynie stłumiony jęk. Gdy spróbował poruszyć ramionami, ogarnęło go uczucie podobne do agonii; jego świadomość zgasła w mrocznym miejscu, skąd wygnano zmysły i ból. Rothger odrzucił resztki okrywającego jego pana dolmana i zatrzymał się, rozważając, jak zdjąć mu przepaskę lędźwiową i nogawice. Oczywiście było, że nie może ich zdjąć przez poranione stopy. To oznaczało, że trzeba będzie je porozcinać. Rozejrzał się dookoła, szukając nożyc.

– Gdybym tylko znalazł pewien dowód, kto działał przeciwko Rakoczemu. Jestem pewien, że zmusiłbym łajdaka do zapłaty za jego czyny – warknął Borys, zwracając się do Lovella tak, jakby ten powinien zapamiętać jego obietnicę. – Nie chcę działać wbrew woli Boga. – Kniazia ogarniał coraz większy niepokój, krążył po pomieszczeniu, szybko zawracając w miejscu po kilku krokach. – Już niedługo zabrzmia dzwony, muszę przed tym wrócić do mojego pałacu. – Poklepał Lovella po ramieniu. – I ty wracaj, Angliku. Nie

możesz pozwolić, by zaczęto cię o cokolwiek wypytywać, bo narazisz go na niebezpieczeństwo. – Wskazał dłonią Rakoczego. – I siebie też.

– Zachowam ostrożność – obiecał Lovell.

– To zostawię cię z życzeniami łaski bożej i pożegnam. Nie próbuj się ze mną porozumieć, dopóki nie prześlę ci wiadomości przez posłańca, który przyniesie ci niewielką ikonę świętego Mamasa z Kapadocji. Jeżeli nie będzie miał tej ikony, trzymaj się od niego z daleka. I nie посыłaj mi niczego, choćby rzecz była najpilniejsza. Zrozumiałeś? – Borys przebierał palcami po skrwawionym końcu swojej szarfy.

– Zrozumiałem – potwierdził Anglik.

– Miłosierdzie boże niech spłynie na niego i na ciebie, Angliku – skwitował zapewnienie Borys. Przed wyjściem z pomieszczenia skinął głową Rakoczemu.

Gdy przechodził przez magazyn, jego kroki brzmiały cicho, potem obecni usłyszeli odgłos otwieranych i zamykanych wielkich drzwi i Borys przepadł w ciemnościach przedświt.

Rothger obrzucił Lovella badawczym spojrzeniem spokojnych, błękitnych oczu.

– Doktorze Lovell, dostaliście doskonałą radę – zwrócił się do Anglika po łacinie. – I dla mojego pana, i dla was samych będzie bezpieczniej, jeżeli stąd wyjdziecie, zanim ktoś was zobaczy.

Lovell pogodził się z tym bez oporów.

– Wiem. Złe byłoby, gdyby ktoś go tu znalazł, i zdaję sobie sprawę z tego, że zwlekając z odejściem, popełniłbym błąd. Nie dalej jak za godzinę zacznie świtać. Ale obawiam się, że... – Urwał, zanim się zdążył przyznać do czegoś niesłychanego.

– Obawiacie się, panie, że on umrze? – odezwał się Rothger ze szczerą sympatią w głosie. – Zapewniam was, że tak się nie stanie.

– Chciałbym być tego tak pewien jak ty – odparł cicho Lovell,

rzucając ostatnie spojrzenie na Rakoczego. – Jego plecy to jedna wielka rana. Pobito go tak okrutnie... jak zdoła przeżyć?

– Przeżyje – zapewnił go Rothger. – Bywało z nim już gorzej. Ale może mu się nie udać, jeżeli odkryją wasz w tym udział, panie. Zostawcie nas. Ja już się nim zajmę.

Wkrótce Lovell skapitulował; skłonił się i ruszył ku drzwiom.

– Wciąż jeszcze jest ciemno. Choć to jedno działa na naszą korzyść – stwierdził, zwracając się do Rothgera.

– Owszem – odparł sługa.

– Jutro mam zanieść do załadunku moje skrzynie. Wtedy z wami porozmawiam. Jak tylko wozy będą gotowe, ja... – Zabrakło mu słów; po krótkim, bezsilnym westchnieniu otworzył drzwi, zamknął je za sobą i zostawił Rakoczego pod opieką sługi.

Rothger pracował szybko i umiejętnie; pierwiej zajął się nieprzyjemnym zadaniem oczyszczenia okropnych ran Rakoczego. Nie przejmował się krótkimi jękami i stęknieniami swojego pana, choć jego posępne rysy zeszywniały, gdy oceniał rozmiary oka leczenia. Rakoczy na przemian to odzyskiwał, to tracił przytomność, aż w końcu, gdy Rothger owinął mu rany czystymi lnia nymi bandażami i przykrył jego nagość, zapadł w zbawczy sen.

Gdy Rothger kończył swoje zajęcie, od strony Kremla dobiegły pierwsze dźwięki porannych dzwonów. Wkrótce potem mieli się pojawić terminatorzy i kramarze, przedtem zaś Rothger musiał umieścić Rakoczego na znajdującej się w większym z dwu wozów gotowych do podróży skrzyni z rodzimą ziemią wygnańca. Z wielką troską przełożył sobie Rakoczego przez ramię i ostrożnie wyszedł z magazynu, idąc powoli i równym krokiem ku wozom.

I wtedy kazał mu się zatrzymać jakiś hałas w pobliżu większych drzwi w mrocznym rogu magazynu. Nasłuchiwał uważnie,

oddychając przez otwarte usta, by żaden obcy dźwięk nie zmaćcił

mu zmysłu. Podnosząc nogi Rakoczego lewą ręką, w prawą ujął krótki kord, a potem zawołał cicho:

– Dobrze! Kimkolwiek jesteś, pokaż się!

W składzie przez chwilę panowała cisza. Potem, z tego samego rogu pomieszczenia, dobiegł odgłos cichego kasznięcia.

– Powiedziałem, pokaż się! – Dla podkreślenia powagi żądania Rothger trzasnął się płazem mieczyka po udzie. – Bo sam tam pójdę...

– Nie. – Z półmroku przedświtę wystąpiła Ksenia Jewgienijewna. – Nie musisz po mnie przychodzić, Rothgerze – stwierdziła cicho.

Ze wszystkich osób, które spodziewał się spotkać, Rothger nie przewidział konfrontacji z małżonką swego pana. Przez chwilę stał bez ruchu, a potem wsunął kord do pochwy.

– Jak się tu znalazłaś, pani? – zapytał bez wstępów.

– Szłam za tobą – odparła, trzymając się krawędzi cienia, gdzie z trudem docierało światło lampy. – Powiedziałam, że wychodzę do klasztoru Panny Miłosiernej rozdawać jałmużnę. Nikt mnie nie zatrzymał. Bali się.

– Niemądrze jest tu przychodzić – wytknął jej Rothger.

– Niemądrze jest dać się zamknąć na wsi i zostać równie niewidocznym jak martwi. Jestem, gdzie powinna być żona: z moim mężem. – Zrobiła kolejny krok ku światłu, ujawniając się zupełnie. Gdy podeszła jeszcze bliżej, straciła rezon, zobaczywszy skatowane ciało zwieszane przez ramię Rothgera. – Ferenc Nemowicz? – Przeżegnała się.

– Tak – potwierdził sługa. – Żyje.

Podeszła zupełnie blisko.

– A przeżyje?

Rothger spojrział jej prosto w oczy.

– Tak. Przeżyje – powiedział. – Okrutnie go pokaleczono, ale wyjdzie z tego. Nie martw się o niego, pani, zajmij się sobą i swoim

bezpieczeństwem. Choć nie za bardzo ci się to podoba, niewidzialność może być bardzo korzystna. Gdyby mógł, mój pan powiedziałby ci to samo. Musisz wyjechać z Moskwy. – Zrobiwszy, co mógł, by dodać jej ducha nikłym uśmiechem, ruszył w stronę większego wozu.

– Muszę – potwierdziła, a jej oczy nagle rozświeciły się wewnętrznym blaskiem. – Ale nie pojedę do Nikołaja Grigorjewicza Daniłowa, nie będę uciekać jak głupi szczeniak. Och, wiem, że ten plan obmyślono tak, bym była bezpieczna, ale nie skorzystam z niego. Nie zostawię męża na pastwę wrogów. – Spojrzała wyzywająco na Rothgera. – Pojadę razem z nim.

– Co takiego? – Rothger ponownie się zatrzymał.

– Nie zostawię go – powtórzyła z godnością. – Wiem, co znaczy zostać samemu w niebezpieczeństwie i jak poważne mogą być tego konsekwencje; sama je wycierpiałam i dobrze wiem, jakim kosztem. Nie zostawię go. Nie prosz mnie o to, Rothgerze.

Rothger pierwotnie zamierzał odwozić ją od tego zamiaru, ale w jej postawie i głosie było takie zdecydowanie, że zrezygnował.

– Doskonale – zgodził się. – Nie będę.

List Piotra Grigorjewicza Smolnikowa do cara Fiodora, potajemnie podyktowany przez starego wojaka ojcu Ilii w kaplicy świętych Hiparcha i Filoteusza:

Najczcigodniejszemu i szlachetnie urodzonemu carowi Wszechrusi Fiodorowi Iwanowiczowi z wyrazami najwyższego oddania i poświęcenia od sługi Twojego Piotra Grigorjewicza Smolnikowa, w pełni i szczerze przekonanego, iż musi on ujawnić to, czego się dowiedział.

Twój sługa był kiedyś zaprawionym w bojach żołnierzem i czterokrotnie stawał w obronie Moskwy, dopóki mongolska strzała nie pozbawiła go wzroku, ale nadał uważa, iż powinien bronić Moskwy i Ojczulka.

Po utracie wzroku od dawna życie i ochronę zapewnia mi książę Anastasij Siergiejewicz Szujski, który okazuje mi cześć i miłosierdzie należne mojemu wiekowi. Winien mu jestem wdzięczność i gdyby nie to, że w pierwszym rzędzie muszę być wierny tronowi, na pewno pozostałbym lojalny wobec szlachcica, który tak dowodnie demonstruje cnoty chrześcijańskie i ruską dobroć. Ale moje zaprzysiężone carowi powinności są ważniejsze od innych – oprócz wierności Bogu – i z tego też powodu muszę odsunąć na bok wdzięczność na rzecz wierności temu, któremu wierność przysięgałem. Z największą więc niechęcią muszę Cię powiadomić, o wielki carze Świętej Rusi, że mój dobroczyńca, szlachetny książę Anastasij Siergiejewicz Szujski wyrzekł się przysięg wobec Ciebie i Rusi, żeby osiągnąć wyższą pozycję społeczną nawet za cenę Twojego świętego życia, Ojczulku.

Prawdą jest, że nie mogę używać oczu, ale moje uszy są bystre jak dawniej, a Bóg nie zesłał mi dodatkowych cierpień. Skorzystałem z uszu, by słuchać wszystkiego, co się dzieje w domu Anastasija Siergiejewicza, i dowiedziałem się, że mój dobroczyńca dał się wplątać w rozmaite nieczne spiski, mające na celu ograniczenie Twojej, Ojczulku, władzy na korzyść Szujskich.

Podczas minionego roku wysłuchiwałem zaciekłych sporów pomiędzy Anastasijem Siergiejewiczem i jego krewniakiem Wasylem Andriejewiczem, ponieważ każdy z nich pragnie zasiąść na tronie dla większej chwały Rusi i Szujskich. Obaj wynajmowali szpiegów i inne niegodne kreatury, żeby podkopywać swoją wzajemną pozycję. Często działali wbrew sobie, licząc na to, że reszta rodziny poprze jednego albo drugiego.

Liczne były noce, gdy budziły mnie odgłosy stłumionych rozmów, gdy Anastasij Siergiejewicz przyjmował szpiegów, mając nadzieję, że nikt z domowników nie dowie się o ich wizytach. Podśluchałem, jak Anastasij sugeruje niektórym z nich szerzenie zamętu i zabójstw w nadziei, że upadnie dwór zarządzany przez Nikitę Zacharyna i Borysa Godunowa, i

zadanie doradzania Ci, Ojczulku, zostanie powierzone innym ludziom, którzy będą dążyli do powiększania znaczenia Szujskich, a nie dobra Rusi. Za każdym razem błagałem Boga, żeby mi ukazał, iż się mylę i że moje podejrzenia są tylko farsą.

Niestety, nie doznałem, takiego objawienia. I zrozumiałem, że Anastasij Siergiejewicz, z pomocą czy bez swojego kuzyna, rozmyślnie dąży do zajęcia Twojego tronu. Nie mogę zatrzymać tej wiedzy dla siebie, ale jako Twój wierny oficer zgłaszam się do Ciebie, Ojczulku, żeby Cię ostrzec i skłonić do większej czujności wobec Szujskich, którzy w przeciwnym razie przyniosą wielkie nieszczęścia naszemu biednemu, skrwawionemu krajowi. Zamierzają złupić Ruś jak wilki owczarnię albo jak w przeszłości łupili Mateczkę Ruś Mongołowie i stawią czoło każdej opozycji, jeżeli tylko będą mieli widoki na wygraną.

Z każdą codzienną modlitwą, Fiodorze Iwanowiczu, wznoszę prośby o łaskę Pańską dla Ciebie i Rusi, która tak wiele już wycierpiła. Jako żołnierz przysięgam, że to, com Ci napisał, jest prawdą i że niebezpieczeństwa są jak najbardziej prawdziwe. Jeżeli zamierzasz pozostać na tronie, nie lekceważ tego pokornego ostrzeżenia.

Zaprzysiężone jako prawda przed ikonostasem przez Piotra Grigorjewicza Smolnikowa W dzień świętej Simforosy i Jej Siedmiu Synów
Spisane ręką ojca Ilii

. 8 .

Twarz Ojca Pognera pociemniała z gniewu, gdy ponad stołem do pisania popatrzył na Borysa Fiodorowicza Godunowa.

– Jak możesz być tak ślepy, ty pogański Rusinie! – zagrzemiał, nie mogąc już dłużej hamować wściekłości.

– Jesteśmy bardziej wierni Chrystusowi niż wy, katolicy! – odparł ostro kniaź. – Teraz jednak to nie ma znaczenia. Nie rozmawiamy o teologii, ale o wykryciu zdrady.

– To nie moja sprawa i nie moje brzemie – odparł Pogner, opanowawszy się na tyle, by odpowiedzieć zimno i wyniośle. Zerknął na strażników stojących po obu stronach drzwi do sali paradnej w kremlowskim pałacu Godunowa. – W tym zapomnianym od Boga kraju nie jestem po to, żeby służyć waszemu carowi, reprezentuję tu interesy króla Stefana.

– A jednak – ciągnął Borys, pozornie nie zwracając uwagi na epitet, jakim Pogner określił Ruś – mamy tu zdradę i jej cień pada na ciebie, jezuito. – Rozłożył zaścielające stół papiery i dokumenty; siedział plecami do otwartego okna, niełatwo więc było odczytać wyraz jego twarzy. – Te dokumenty dowodzą, że po części brałeś w tym udział – oświadczył, podnosząc trzy karty. – To oświadczenia złożone pod przysięgą, a gdy przedstawi się je carowi, podejmie on decyzję, co z tobą zrobić. – Nie zwrócił uwagi na cyniczny uśmiezek Pognera. – Tymczasem muszę cię powiadomić, że do polskiego króla wysłano kuriera, który powiadomi go o wszystkich wydarzeniach minionego miesiąca. Mam nadzieję, że uczyniłem to w samą porę.

– I ten posłaniec wyjechał z żołnierzami ścigającymi Rakoczego? – zapytał Pogner, wkładając w głos tyle drwiny, na ile tylko mógł się

zdobyć. – Byłoby to najlepsze rozwiązanie, nieprawdaż? Pytanie tylko, czy będzie dostatecznie szybki. – Zmusił się do zachowania obojętnej miny. – Czy macie, kniaziu, jakieś wieści od nich? Złapali szarlatana?

Borys postanowił nie odpowiadać na tę kąśliwą uwagę.

– Nie mam żadnych informacji o aktualnym miejscu pobytu Rakoczego, ale nawet gdybym miał, byłoby to bez znaczenia. Rzucone nań niesłuszne oskarżenie w dużej części jest twoim dziełem, księżu, i ty za nie odpowiesz. Ze zwykłej zazdrości przyłączyłeś się do tych, którzy działali przeciwko Rakoczemu. Wykorzystałeś każdą okazję, by wszystkie jego uczynki przedstawić w złym świetle. Tak postępując, skompromitowałeś swoją misję i zniesławiałeś carską władzę. – Wstał i spojrzał wprost na ojca Pognera. – Choć jesteś sługą polskiego króla i kapłanem po ślubach, nie da się tego wybaczyć. I bądź wdzięczny za to, że jesteś posłem, bo dostałbyś surowszą chłostę niż Rakoczy.

Ojciec Pogner odchrząknął. Obrzucił azjatycką twarz Godunowa spojrzeniem pełnym nienawiści.

– Pokazujesz chrześcijańskie cnoty i cywilizowane maniery, ale to tylko udawanie. Twój car Iwan był nikim więcej niż pogańskim watażką, który łupił rozmaite skarbcce, a zdobyte miasta nazywał swoim królestwem. Wasz Kościół jest pełen zepsucia, czego dowiódł upadek Konstantynopola. Dla obrony papieża i Rzymu Bóg zesłał swoich aniołów, ale wasz patriarcha został wygnany z jego miasta i władza w imieniu Jerozolimy. Sytuacja jest jasna dla każdego, kto jest dość bystry, żeby ją pojąć. A wasz car Fiodor nie ma więcej rozumu niż dziesięcioletni smarkacz – i tyleż z niego pożytku.

Podczas perory jezuita nastawienie Borysa zmieniało się od gniewu do pełnej niedowierzania ciekawości, ponieważ uznał za pewne, że Pogner oszalał i tylko dlatego powiedział, co powiedział.

– To dlaczego tu przyjechałeś, skoro napełniamy cię taką odrazą? –

zapytał ze zdumieniem.

– Taka była boska wola. Jako kapłan powołany przez Boga oddałem się całkowicie świętej sprawie Kościoła Chrystusowego i tryumfu wiary. Bóg dał każdemu z nas brzemię i osądzi nas wedle tego, jak je nieśliśmy. Rozkazali mi tu przybyć Kościół z królem Stefanem i przyjechałem dla bożej chwały. – W oczach Pognera zapłonął święty zapal. Przeżegnał się na rzymską modłę, a jego twarz zastygła w maskę samozadowolenia. – Swoim wybrańcom Bóg zsyła najcięższe próby. Moim przywilejem jest służyć Bogu tu właśnie, w najtrudniejszym z miejsc, żeby przynieść prawdziwe zbawienie Rusi i jej ludowi.

– Prawdziwe zbawienie... – powtórzył Borys, jakby zastanawiając się nad znaczeniem tych słów. – Tak właśnie myślisz? – Zestawił palce razem i odetchnął wolno przez niemal zwarte wargi. – I co ja mam z tobą zrobić, klecho? Myślisz, że Bóg cię tu wysłał, żeby wypróbować twoje poświęcenie. Członkowie twojego poselstwa przysięgali bronić interesów króla Stefana. Nikita Romanowicz chce, żebyś wyniósł się z naszego kraju razem z całym waszym poselstwem. Wasyl Szujski chce, żeby cię skazano i uwięziono. Cokolwiek ma się z tobą stać, decyzja należy do mnie jako do carskiego opiekuna odpowiedzialnego za stosunki z obcymi krajami. – Wstał i wyrzawszy przez okno, przez chwilę przypatrywał się drewnianym pałacykom pobudowanym w tej części Kremla.

Był gorący letni dzień i słońce wisiało złotym dyskiem na niebie, podkreślając żywość i barwność kolorów Kremla i Placu Czerwonego; kopuła soboru Błagowieszczeńskiego lśniła niczym pokryta koronkami. W powietrzu wisiały radosne odgłosy, a od placu dolatywał zapach owiec i świń.

W pierwszej chwili ojciec Pogner nie zamierzał odpowiedzieć na pytanie Godunowa, ale potem zacisnął wargi.

– Moje zadanie powierzyli mi mój król, Kościół i Bóg. Przysięgłem pracować do ostatka sił. Nie tacy jak ty mogą mnie przed tym powstrzymać.

Gdyby jezuita nie odezwał się tak arogancko, Borys może odłożyłby podjęcie decyzji, ale te zarozumiałe słowa mocno go ubodły. Wrócił do stołu.

– Zarysowały się wątpliwości dotyczące twoich działań i powiązań. Zanim wypuszczę cię na wolność, muszę rozwiązać te wątpliwości. Pozostaniesz tu, dopóki nie uznam z satysfakcją, że poznaliśmy prawdę. Porozmawiamy na osobności i z waszymi pozostałymi kapłanami, żeby potwierdzili twoje odpowiedzi. Jeżeli będą jakieś rozbieżności, gorzko tego pożałujesz.

– Godunow, nie masz prawa niczego ode mnie wymagać ani żądać!
– zagrzmiał Pogner. – Jakim prawem wydajesz mi rozkazy? Nie możesz rozkazywać przedstawicielowi polskiego króla!

– Może i nie – odparł Borys, uśmiechając się nikło i wymuszenie. – Ale jedyny członek waszego poselstwa, który mógłby mnie odwieść od tego zamiaru, stał się, głównie za sprawą twoich wysiłków, ściganym przez prawo zbiegiem. Gdyby Rakoczy tu był i gdyby mnie poprosił, może namówiłby mnie, żebym potraktował cię łagodniej. Ale tak... – Dał znak dwu gwardzistom i obaj postąpili krok do przodu. – Weźmiecie tego polskiego księdza do Żółtej Komnaty i tam go zamkniecie. Zadbajcie o to, by dostał jakieś jadło.

Starszy gwardzista skłonił się jezucie, a potem ujął go pod ramię.

– Proszę z nami – rzekł głosem wypranym z wszelkich emocji.

Odrowadzany Pogner dopiero teraz postanowił zachować milczenie.

Pozostawiony samemu sobie Godunow podszedł do innego okna komnaty. Przez pewien czas patrzył na północ, zastanawiając się, jaką odległość pokonała angielska karawana podczas minionych trzynastu

dni od opuszczeniu Moskwy. Do tej pory nie miał żadnych wieści i mówiąc Pognerowi, że nie ma pojęcia, gdzie znajduje się Rakoczy, powiedział prawdę. Na całe szczęście dotychczas nie został zmuszony do rozszerzenia zakresu poszukiwań z zachodu na północ, choć domagali się tego Szujski i Zacharyn. Niewielki oddział konnych w ciągu jednego dnia mógł pokonać odległość trzy lub czterokrotnie większą od odległości, jaką w tym samym czasie przejechałby angielski tabor, co oznaczało, że zbiegowie wciąż jeszcze mogli zostać ujęci przed dotarciem do Nowych Chołmogorów. Docierające do stolicy raporty i meldunki donosiły, że drogi na północ wciąż jeszcze są przejezdne, więc wynikało z tego, że poza przeprawą promem przez rzekę Suchonę za Wołogdą będą mieli niewiele opóźnień. Jeżeli nie natkną się na żadne trudności, w sierpniu Rakoczy znajdzie się na pokładzie statku płynącego do Anglii. Podczas minionych kilkunastu dni Godunow często się zastanawiał, czy nie popełnił błędu, zostając w Moskwie; mógł wspólnie z Rakoczem wyjechać z angielskimi kupcami.

Usłyszał stukanie do drzwi i zaraz potem do pomieszczenia wszedł jeden z wysłanych z Pognerem gwardzistów.

– Kazał mi powiedzieć, panie, że nie macie prawa go zatrzymywać. Chciałby dostać inkaust i papier, by mógł napisać do króla i papieża. Żąda też, by jego skargi wysłano przez kuriera.

– Skargi? Cóż, to jego prawo. – Borys machnięciem dłoni wyraził lekceważenie. – Jutro. Załatwimy to jutro. Zostawmy ojcu Pognerowi noc na rozważenie sytuacji. – Wrócił do stołu, gdzie ponownie usiadł i ułożył dokumenty w zgrabny stosik. – Tu jest wszystko.

– Niby co? – zapytał gwardzista, patrząc na papiery z mieszaniną strachu i nienawiści; nie umiał pisać ani czytać.

– Mamy tu tego, który manewruje mną i dworem. – Książ odchylił się i wparł plecami w twarde drewno oparcia. – Jestem jak człowiek,

który widzi ogon i pełną zębów paszczę drapieżnika w nocy, ale nie może wywnioskować niczego ponadto, że jest wielki i ma długie kły. Wilk to, niedźwiedź czy tygrys? I kto ma być ofiarą? Ja? Nikita Romanowicz? Car Fiodor? Kto?

Strażnik zaczął się cofać ku drzwiom.

– Borysie Fiodorowiczu, mam zostać czy zaczekać **na ze** wewnątrz.

Borys podniósł wzrok na służbistę.

– Na zewnątrz będzie chyba lepiej. – Ponownie zajął się przeglądaniem dokumentów, szukając czegoś, co mógł przeoczyć. Gdy skończył, odłożył - papier na bok, a drugi położył niżej, upraszczając proces porównywania treści. Zmusił się do powściągnięcia emocji, by myśleć jasno i szybko.

– Przynieście mi herbatę, słodką i mocną! – zawołał za strażnikiem, gdy ten zaczął zamykać drzwi.

– Powiem służbie! – zapewnił go strażnik, rad, że udało mu się wycofać bez strat własnych.

Cztery kubki herbaty i dwie godziny później Borys wreszcie znalazł to, czego szukał. Dwa meldunki – każdy sam w sobie pozornie niewinny – zestawione razem zdradzały złowrogie zamiary. Była to układanka wielu części, miał ich jednak dość, żeby zorientować się w całości. Miał w końcu swoją odpowiedź. Z papierami w garści wstał i okrzykiem skwitował zwycięstwo.

Obawiający się gniewu Borysa strażnik wetknął głowę przez drzwi.

– Czy coś się stało, panie?

– Szujscy! – zagrzmiął Borys niczym sędzia oznajmiający wyrok.

– Borysie Fiodorowiczu... – zaczął ostrożnie gwardzista, widząc wściekłość w ciemnych oczach Godunowa.

– Przyprowadźcie ich do mnie. Wszystkich Szujskich, Wasyla, Dymitra, Iwana, ich stryja Michaiła i kuzynów Anastasija i Igora. Wszystkich, ale już! – Odwrócił się ku strażnikowi, wskazując nań

wyciągniętą ręką. – Słyszałeś? Powiedziałem, dawać mi ich tutaj!

– Szujskich? – zapytał gwardzista niemający wcale ochoty na podejmowanie jakichkolwiek działań przeciwko członkom tak potężnego rodu. – Wszystkich? Ależ w Moskwie są tylko Wasyl, Dymitr i Anastasij – przypomniał Borysowi, licząc na to, iż zdoła jakoś zmienić nastawienie carskiego opiekuna. – Michaił został w Nowogrodzie, a Iwan w swojej wiejskiej posiadłości.

I nie wiadomo, gdzie można by znaleźć Igora, wiecie, panie, że pijak zeń i dziwkarz.

– Sprowadźcie tu wszystkich, których znajdziecie. Zaczniście od Wasyla Andriejewicza, powinien być w swoim kremlowskim pałacu. Działajcie szybko, zanim ktoś zdoła ich ostrzec. Idź już. Ruszaj! – Godunow z hukiem walnął pięścią w stół.

Strażnik oddalił się skwapliwie i opuszczając komnatę paradną, wezwał towarzyszy. Jeżeli miał sprowadzić Godunowowi Szujskich, potrzebni mu byli jeszcze co najmniej dwaj inni oficerowie. Wiedział, że niełatwo mu będzie znaleźć ludzi, którzy wykonają rozkazy Borysa wobec możnych Szujskich; będzie musiał starannie dobrać drużynę do tej misji. Gdyby źle wybrał, od razu mógłby oddać broń w ręce Szujskich i oszczędzić sobie trudu ścigania magnatów. Przeżegnał się przed ikoną, a potem wybiegł na zewnątrz, kierując się ku koszarom gwardii.

Borys spacerował po sali, przemierzając ją długimi krokami. Trzymając w dłoniach dwa raporty, odczytywał je kilkakrotnie.

– Powinienem był to zobaczyć od razu – wytykał sobie, karcąc się za oczywiste niedopatrzenie. – Boże, przebacz, powinienem był to dostrzec. – Przy dźwięku dzwonów oznajmiających południową liturgię przeklinał Szujskich i oddawał całą ich rodzinę wiecznym ciemnościom, bo piekło wydało mu się dla wszystkich zbyt łagodną karą.

W pewnej chwili do drzwi zastukał setnik gwardii, prosząc o pozwolenie wejścia.

– Wejść! – warknął Borys, spodziewając się zobaczyć Wasyla.

Setnik pojawił się sam.

– Byliśmy w pałacu Wasyla Andriejewicza – oznajmił, przepraszając za wieści całym swoim wyglądem i zachowaniem. – Zostało tam czterech gwardzistów czekających na jego powrót. Powiedziano nam, że wraz z przybocznymi udał się na targ koński.

– Za południową bramę? – zapytał Borys, nie bardzo ufając tej informacji, ponieważ obawiał się, że Wasyl po prostu zechce mu uciec. – Nie ma go wewnątrz miejskich murów?

– Jest z Nikitą Romanowiczem, carem Fiodorem i kilkunastoma carskimi gwardzistami. Są pod dobrą opieką, ze względu na honor cara każdy dostał czterech przybocznych. – Kapitan odkaszlnął. – Nie byłoby rzeczą mądrą brać go teraz, gdy jest w towarzystwie...

Borys skinął głową, przyznając mu rację; wiedział, że nie powinien szukać przewagi tam, gdzie jej nie znajdzie.

– Oczywiście. Mądrze postąpiłeś. Weźcie go, gdy wróci, będzie dość czasu. Ale ze względu na bezpieczeństwo cara i moje zadbaj, setniku, by sprawę doprowadzono do końca. – Spojrzał w stronę okna. – Przyrowadź mi więc innych, Dymi tra Andriejewicza i Anastasija Siergiejewicza.

Setnik skłonił się i szybko wyszedł. Borys wrócił do dokumentów. Teraz, gdy wiedział, czego szukać, w każdym niemal zdaniu znajdował potwierdzenie winy Szujskich. Od bezpośrednich opisów działań Anastasija Siergiejewicza po insynuacje rozsiewane przez Wasyla – był tu cały katalog łajdactw i sporo wskazówek dotyczących powodów dla kogoś, kto poznał ich grę. Czytając, Borys stawał się coraz bardziej niecierpliwy i z trudem powstrzymał się od krążenia po komnacie niczym lew po klatce. Czas mijał powoli, gdy martwił się,

że Zacharyn i Szujski mogą podjąć jakieś działania przeciwko niemu, zanim on sam zdąży cokolwiek zrobić; a potem gwałtownie przyspieszał.

W końcu drzwi energicznie otworzono i czterej gwardziści wprowadzili do komnaty Anastasija Siergiejewicza Szujskiego, nie do końca go ciągnąc, ale trzymając z obu stron za ramiona.

Anastasij otrząsnął się z miną obrażonej sowy, jakby wszystko było zarazem śmieszne i absurdalne. Wyszarpnął gwardzistom szerokie rękawy swojego luźnego letniego kaftana, przygładził brodę i spojrzał z góry na Borysa z twarzą zaczerwienioną z gniewu i wysiłku. Krępy, solidnie zbudowany, wyglądał tak, jakby samym ciężarem mógł wdusić Godunowa w podłogę.

– Borysie Fiodorowiczu, jakim prawem przysłałeś gwardzistów do mojego domu?

– Prawem opiekuna cara Fiodora – odpowiedział Godunow, postanowiwszy nie wdawać się z Szujskim w żaden spór. Trzymał się tak, by rozdzielał ich stół. – Mówię teraz do ciebie w imieniu Ojczulka. Jest kilka bardzo ważnych pytań, Anastasiju Siergiejewiczu, i odpowiesz na nie, jakbyś odpowiadał samemu carowi. Pomyślałem sobie, że wolałbyś to zrobić tutaj niż w sekretnych komnatach carskiego pałacu albo w więziennym lochu. – Przyciągnął krzesło i usiadł, składając dłonie na stosie dokumentów. – Te doniesienia o twoich działaniach dostarczyły mi osobliwych informacji, kniaziu Szujski. Byłeś ostatnio bardzo zajęty, nieprawdaż?

– Oczywiście, że byłem zajęty. Jak każdy bojar na dworze – sarknął Anastasij, otrzepując nieistniejący pyłek z kołnierza kaftana. – I cóż w tym złego? Człowiek mający tyle obowiązków co ja zawsze jest zajęty.

– I jakież są te obowiązki? – zapytał z ciekawości Borys.

– Mam posiadłości i majątki rodzinne na wsi, a moja pozycja wymaga, żebym był tu, przy dworze. – Szujski wyjaśnił to takim

tonem, jakby Godunow był równie upośledzony umysłowo jak car Fiodor. – A może masz na myśli co innego?

Borys nie dał się wciągnąć w niemądrą wymianę replik.

– Jeżeli te raporty są prawdziwe, poświęciłeś czas i fortunę na usunięcie z tronu cara Fiodora na rzecz twojego krewniaka, Wasyla. – Trzasnął dłonią w stos dokumentów. – Wygląda na to, że oprócz innych zajęć próbowałeś też obalić Ojczulka. To jest zdrada, kniaziu Szujski.

Uśmiech zamarł na kupidynowatych wargach Anastasija.

– Nie jestem zdrajcą.

– Nie? – Borys uniósł brwi. – Dziwne, jak ktoś może się oszukać, czytając raporty i złożone pod przysięgą oświadczenia. Gdyby nie zebrane tutaj informacje, mógłbym dojść do wniosku, że jedyne, za co powinieneś odpowiedzieć, to duma twojego rodu. Teraz jednak, gdy wyczytałem w nich to, co wyczytałem, zdałem sobie sprawę, że sięgałeś dalej, niż sądziłem. Jak wyjaśnisz swoje działania podczas minionych czterech lat? – Podniósł spisany na dwu stronach raport. – Ogromnie mnie interesują twoi wysłannicy do Polski i do Kurska, do tego zadufanego w siebie księdza Jurija z Kostromy. Jest z tobą związany, nieprawdaż? Nie z prawego łóża, ale to twój krewniak.

– Daleki kuzyn – stwierdził Anastasij.

– Owszem – odparł Godunow. – A ty korzystałeś z niego, gdy to ci odpowiadało, żądałeś też, żeby ci służył. – Podniósł inny raport. – Sługa z polskiego poselstwa twierdzi, żeś dwa razy odwiedzał ojca Kownowskiego i domagałeś się, by ci pomógł w twoich łajdactwach. Wysyłałeś pisma poprzez ich kurierów, mówi ów sługa...

– Szpieg – poprawił go Anastasij.

– ...i przekonałeś tego klechę, że dobre stosunki z rodem Szujskich będą sprzyjały jego karierze. Zgodnie z tym, co zeznaje ten sługa, odwiedzając Kownowskiego, rozmawiałeś z nim przez kilka godzin, a

potem wysyłałeś meldunki ludziom, których uważam za twoich wspólników. – Borys podniósł wzrok znad stronic. – Czy to kłamstwo, Anastasiju Siergiejewiczu?

– To nie jest prawda – odpowiedział Szujski bezbarwnym głosem.

– Nie? – Borys wyciągnął kolejną kartę i potrząsnął głową z udawanym smutkiem. – Chciałbym tak myśleć, Anastasiju Siergiejewiczu. Ale widzisz, są i inne dokumenty, które to potwierdzają.

– To nic – odpowiedział Anastasij bardziej już opanowany niż wtedy, gdy wszedł do komnaty. – Luźne plotki i pogłoski.

– Wygląda na to, że miałbyś rację, choć nie odbija się to korzystnie na twoim tytule i pozycji – stwierdził Borys z fałszywym współczuciem w głosie. – Te raporty wzięte pojedynczo świadczą wyłącznie o tym, że budzisz wrogie uczucia i jesteś celem plotek, niewartych więcej niż przypadkowe wzmianki. Ale jak się je zestawi wszystkie razem, wyłania się inny obraz. Wszystkie ujawniają rozmach twoich planów i staje się jasne, że poświęciłeś się wysiłkom osiągnięcia wyższej pozycji społecznej, niebezpiecznym dla ciebie, ale przynoszącym chwałę twojemu rodowi. Jesteś bezwzględny i pracowitym wrogiem cara i zmierzasz do obalenia Fiodora, by wynieść swój ród do najwyższych stanowisk w państwie.

– Och, nie ja – oświadczył Anastasij, ponownie się uśmiechając i patrząc na ikonę świętego Barlaama z Antiochii. – Ja jestem tylko członkiem bocznej gałęzi rodziny i nic, co bym zrobił, nie zapewni ani mnie, ani moim synom tronu. To mój kuzyn Wasyl Andriejewicz jest urodzony dość wysoko, żeby móc myśleć o tronie. On ma powody, żeby liczyć na awans, nie ja. Czyżbyś o tym zapomniał, Borysie Fiodorowiczu?

– Nie bardziej niż ty – odparł Borys, przywołując na twarz krzywy uśmiezek. – Dlatego wydałem rozkazy, by sprowadzić tu waszą całą rodzinę, nie tylko ciebie. – Nie bez wewnętrznej uciechy ujrzał na

twarży Anastasija zdumienie, a potem w jego niebieskich oczach błysnęło coś bliskiego strachowi i Borys postanowił wykorzystać przewagę. – Zmusił cię do posłuszeństwa, prawda?

Anastasij natychmiast wziął się w garść.

– Niby kto?

– Wasyl Andriejewicz – stwierdził zniecierpliwiony Godunow. – Pracowałeś dla niego i robiłeś to, czego od ciebie żądał. Uznałeś jego ambicje za swoje własne. Czy nie tak?

– Nie ma powodu, żebym to uczynił – odparł ponuro Anastasij, zmieniając nagle zachowanie na śliskie i natarczywe. – Cóż to za okropieństwo, Borysie Fiodorowiczu, żądać od ciebie, żebyś tracił czas na szukanie nieistniejących wrogów cara. To jedyny sposób na kontrolowanie Zacharyna, nieprawdaż?

– Jest jednak powód, dla którego tym razem ulegasz kuzynowi – odpowiedział Godunow, ignorując zmianę nastroju Szujskiego i przyglądając węża. – Istnieje doskonały powód, byś chciał pomóc Wasylowi osiągnąć jego cel. Zamierzasz posadzić Wasyla na tronie, obalając Fiodora i jego dwór. I choć prawdą jest, że nie możesz sam zgłaszać pretensji do tronu, nie gdy żyją Wasyl, Dymitr i Iwan, chętnie postawisz na przyszłość, wiedząc, że wysoko urodzeni bojarzy zaczną wojnę o pozycję na dworze. A ty pragniesz tej wojny. Nie dla siebie, oczywiście, i nawet nie dla twojego kuzyna. Ale... ilu ty masz synów? – zawiesił to pytanie pomiędzy nimi, niewidoczne w gorącym, nieruchomym powietrzu.

– Bóg dat mnie i żonie sześciu synów. A pięciu z nich żyje – stwierdził Szujski zaskoczony pytaniem i dumny zarazem. – Mam też cztery córki, ponieważ co roku odwiedzam żonę na miesiąc i strzegę ich wszystkich, żony i dzieci. Nie mieszkają w Moskwie.

– Bardzo to mądre – stwierdził Godunow niemal z uznaniem w głosie. – Są bezpieczne i większość dworzan nie zdaje sobie sprawy z

ich istnienia. Sam prowadzę podobną grę. – Spojrzał wprost w oczy Anastasija. – Więc twój kuzyn zostanie carem, ty zaś jego bliskim doradcą, służącym carowi i dworowi. W swoim czasie przyniesie ci to uznanie, szacunek i któregoś dnia na tronie zasiądnie jeden z twoich synów. Dla osiągnięcia tego celu gotów jesteś zrezygnować z własnych ambicji. – Spojrzał na Anastasija z przyjaznym uśmiechem. – Czy nie taki jest twój plan, Anastasiju Siergiejewiczu? Twoi synowie rządzący Rusią, co tobie nigdy się nie uda? Możesz się pogodzić z władzą Wasyla Andriejewicza, jeżeli w przyszłości zbliży to twoich synów do tronu. To nie będzie niemożliwe, skoro zasiądnie na nim Wasyl. Ostatecznie z dzieci Wasyla dzieciństwo przeżyły tylko dziewczynki, a krew jest lepsza od małżeństwa. A jeżeli jeden z twoich synów poślubi córkę Wasyla, będzie jeszcze lepiej.

– Śmieszny jesteś – rzucił Szujski tak gwałtownie, że jego ton był bardziej wymowny od słów. Pot, jaki wystąpił mu na twarz, nie był wywołany wyłącznie letnim skwarem.

Borys znów zmierzył go baczny spojrzeniem.

– Zastanawiam się, ile z tego jest twoim marzeniem i jak wielka jest tyrania Wasyla.

– I do czego to wszystko zmierza? – zapytał wprost Anastasij.

– Chciałbym ci wykazać, że być może narażasz się na niebezpieczeństwo zupełnie niepotrzebnie – oznajmił Borys z jeszcze większą brutalną szczerością w głosie. – Może być tak, że Wasyl zdaje sobie sprawę z twoich dążeń i wykorzystuje cię, nie zamierzając ci przyznać w przyszłości żadnych przywilejów. Może już zaaranżował małżeństwo swoich córek z Nikitą Romanowiczem, który też ma synów. Może działasz na niekorzyść swoich dzieci, a nie dla ich wywyższenia. – Nie bez wewnętrznej uciechy dostrzegł zmieszanie na twarzy Szujskiego. – Czemu niby Wasyl miałby cię poprzeć, skoro może mieć twoje oddanie i bez tego?

– Wasyl Andriejewicz nie jest aż tak cyniczny – stwierdził Anastasij ze śmiechem, który po chwili zamarł mu na ustach. – I czemu niby miałyby popierać Romanowów, skoro ma własną rodzinę?

– Może i masz rację – zgodził się natychmiast Godunow. – Ale przypuśćmy, Anastasiju Siergiejewiczu, że masz być jego kozłem ofiarnym? – Wskazał na dokumenty. – Jeżeli chcesz, przeczytaj je sam. Są w nich dowody na to, że Wasyl osiągnął pewne korzyści z twoich działań, ale nic nie wskazuje na to, żebyś działał nie z własnej chęci i woli. – Położywszy dłonie na stole, pochylił się ku przodowi. – Jeżeli metropolita nie powie nic na twoją obronę, będę zmuszony wyciągnąć wniosek, że to ty jesteś odpowiedzialny za wszystko, co tu opisano.

– Nie sądzisz chyba, że mój kuzyn lub ja bylibyśmy tak głupi i nieodpowiedzialni, by zrzucać winę na jednego z nas? – Anastasij przechylił głowę, jakby zadawał to pytanie dziecku. – Borysie Fiodorowiczu, naprawdę uważasz, iż nie potrafimy strzec siebie i swoich spraw?

– Uważam, że Szujscy byliby gotowi zdradzić coś więcej niż sprawę cara – stwierdził Godunow. – Jeżeli masz odpowiedzieć za to, co zrobił twój krewniak, będziesz nie tylko głupcem; będziesz dwakroć zdrajcą, bo zdradzisz siebie samego.

– Dwakroć, ponieważ Wasyl Andriejewicz – zakładając, że zrobił wszystko, o co go oskarżasz – nadal będzie mógł knuć spiski w celu obalenia cara? Czy dobrze cię zrozumiałem? – Anastasij zbył cały pomysł niedbałym gestem dłoni. – Dlaczego chcesz mnie zmusić, żebym się opowiedział przeciwko mojej rodzinie? Mam swoje ambicje, przyznaję, i wolałbym na tronie widzieć kogoś z Szujskich niż Fiodora, ale nie jestem narzędziem w rękach mojego kuzyna.

– I wszystko, co zrobiłeś, uczyniłeś dla swoich korzyści i na rzecz synów? – zapytał Borys, podnosząc głos z niedowierzaniem. – Kościół

i dwór przeklną cię za to, coś uczynił.

Anastasij przygładził palcami brodę.

– Czy nie powiedziano ci, jak jestem zły? – zapytał z sarkazmem. – I że jestem sługą demona?

– Niewątpliwie jesteś przestępcą – stwierdził Borys, z rozwagą dobierając słowa – i odpowiesz za swoje zbrodnie. Ale kto odpowie razem z tobą i oszczędzi ci mąk długiej, bolesnej śmierci?

Tym razem Anastasij parsknął głośnym i długim śmiechem.

– Borysie Fiodorowiczu, to dość widoczna pułapka. Sądziłem, że stać cię na coś lepszego. – Cofnął się o krok od stołu. – Ależ tak, chętnie przyznam, że starałem się obalić cara Fiodora. Jeżeli zażadasz, powtórzę to samo przed całym dworem. Przyznam też, że przyłożyłem starań, by wpędzić Iwana w szaleństwo...

– To była sprawa jego żalu i rozpacz – przerwał mu Borys.

– Wiesz o tym z całą pewnością? – Cała sytuacja zaczynała Anastasija bawić. – Przyznam się, że to ja spowodowałem szaleństwo Iwana i ja wezwałem ogoniastą gwiazdę, by wzmóc jego szaleństwo, i że ja wpłynąłem na tych lapońskich czarowników, żeby przepowiedzieli dzień, w którym miałem go zabić, by nikt nie podejrzewał morderstwa. – Zatarł dłonie. – A potem zobaczymy, co na to dwór. Mogą kazać mnie zabić, jeśli zachowam godność i milczenie, tak jak spodziewaliby się po Europejczykach. Nie ośmieliliby się mnie uwięzić, na wypadek gdyby Szujski został carem, bo obawialiby się mojej zemsty. Jeżeli będą mądrzy, wydadzą wyrok śmierci. – Uśmiechnął się anielsko. – Albo mogą mnie zesać do jednego z odległych klasztorów, bym się modlił o odzyskanie rozumu z laski Boga. Moją żonę i dzieci zostawią w spokoju i tylko będą wyrażać im współczucie. Pomyśl o tym: Anastasij Siergiejewicz Szujski pokornym mnichem, usiłującym odkupić swoją pychę. Jak sądzisz, długo trzeba będzie poczekać, aż wszyscy zapomną o mojej winie? W swoim czasie

mogę zostać świętym szaleńcem, jurodiwym, i z moich ust poleją się słowa mądrości. Metropolicie bardzo by się to podobało, możny bojar błakający się w szmatach po moskiewskich ulicach i głoszący swoje szaleństwo. Wina, cierpienie i w nagrodę wizje. Jakże dworzanie by mi zazdrościli tej możliwości mówienia, co zechcę, i jeszcze bycia za to wielbionym. Co o tym sądzisz? – Zaśmiał się, kwitując w ten sposób wszystkie swoje nadzieje i obawy.

Borys patrzył nań spod zmrużonych powiek.

– I cóż mam ci powiedzieć? – Nienawidził śmiechu Anastasija. – To bardzo sprytne.

Anastasij natychmiast umilkł, a potem stwierdził:

– Szaleńcy często są przebiegli.

– Owszem, są – odparł Borys, myśląc o tym, jak prawdziwie to brzmi w tej chwili.

Rozkaz cara Fiodora, wysłany do strażnicy Spaso-Kamiennej, podpisany przez Nikitę Romanowicza Zacharyna i Wasyla Andriejewicza Szujskiego, dostarczony tamże 2 sierpnia.

Jest moją wolą, jako cara wszystkich Rusinów, żebyście odszukali i zatrzymali niejakiego Ferenca Rakoczego, byłego członka polskiego poselstwa, o którym sądzę, iż w towarzystwie angielskich kupców wędruje z ich taborem do Nowych Chołmogorów. Został ukarany trzydziestoma razami knuta i możliwe jest, że odpowiada już przed Bogiem zamiast przede mną.

Możecie działać pewni mojego poparcia i nagrody za wasze czyny, nawet jeżeli zostaną podjęte przeciwko poddanym mojej sojuszniczki Elżbiety Angielskiej, darzącej mnie od dawna przyjaźnią, jaką też darzyła przede mną mojego wspaniałego ojca.

Jeżeli ktoś będzie się opierał temu zatrzymaniu, upoważniam was do

podjęcia wszelkich akcji koniecznych do sprowadzenia Rakoczego ponownie do Moskwy, by odpowiedział na ważne pytania przede mną i tymi członkami mojego dworu, których ów cudzoziemski wygnaniec zhańbił i rzucił swoimi czynami cień na ich dobre imię.

Rozkazuję wam też nie zabijać Rakoczego. Macie mu okazywać szacunek jako członkowi polskiego poselstwa, ale jako nieprzyjaciel cara ma zostać aresztowany, by mógł odpowiedzieć na wszystkie wniesione przeciwko niemu zarzuty i ujawnić wszystkich Rusinów zamieszanych z nim razem w niegodny spisek zmierzający do zamordowania cara. Jeżeli zostanie zabity, nie zdoła nam powiedzieć, kto był jego sojusznikiem. Jeżeli umrze pod waszą opieką, srogo mi za to odpowiecie.

Jakkolwiek to zrobicie, Rakoczy ma zostać sprowadzony do Moskwy i oddany pod opiekę kniazia Wasyla Andriejewicza Szujskiego, który podejmie się wypytania cudzoziemca. Zda on carowi opinię ze wszystkiego, w której będzie też zawarta opinia o waszych działaniach. Gdy oceni was dobrze, zostaniecie obsypani łaskami, jego zła ocena wtrąci was w niełaskę do końca waszego żywota.

Ostrzega się was także, iż Rakoczy jest potężnym i biegłym w swej sztuce czarnoksiężnikiem. Przyprawił już o szaleństwo kuzyna Wasyla Andriejewicza, darował też carowi Iwanowi przekłete klejnoty, które wprowadzały zamęt w jego zmysłach, tak iż Boże miłosierdzie nie mogło mu przywrócić rozumu mimo modłów i poświęceń całej Rusi. Strzeżcie się, by ów alchemik nie rzucił czaru i na was. Byli już tacy, co próbowali, i zapłacili wysoką ceną za swe niedbalstwo i pychę. Jego mocom przeciwstawcie swoją wiarę i oręż. Nie pozwólcie, by zwracał się do was, gdy będziecie sami, bądźcie czujni i zawsze działajcie parami, w przeciwnym razie narazicie się na jego wpływ.

Podziękujcie Bogu za to, że car Fiodor zdołał ujść podłym zamiarom tego siedmiogrodzkiego czarta. Niech wam da szybkie konie i sprawne zatrzymanie podleca.

Pod podwójnym ruskim orłem i z upoważnienia cara Fiodora Iwanowicza z dynastii Rurykowiczów Podpisali Wasyl Andriejewicz Szujski Nikita Romanowicz Zacharyn

. 9 .

W dziewiętnastym dniu od opuszczenia Moskwy angielski tabor natknął się na pierwszą poważniejszą przeszkodę: burza zwała starą sosnę na jeden z mostów nad niewielką rzeczką przecinającą północne knieje i mostek runął w nurty. Kmiotkowie z pobliskiej wioski usiłowali go naprawić, nie przerywając prac polowych, naprawa nie przebiegała więc szybko ani sprawnie. Zwykle bez oporów przyjęliby pomoc, ale na angielskich ochotników spoglądali spode łba.

– Nie jesteście Rusinami – wyjaśnił miejscowy ksiądz, ojciec Sebastian, dowódca taboru, wysokiemu młodzieńcowi o jasnych włosach i ogorzałej na morzach twarzy, Williamowi Flemmingowi. – Byłoby niedobrze, gdyby most odbudowali nie nasi ludzie. Zwaliby się pewnie, gdyby spróbowali po nim przejechać pierwsi ruscy kupcy. – Przeżegnawszy się, czekał, co ma do powiedzenia Anglik.

– Mamy czterdziestkę ludzi – oświadczył Flemming, korzystający z usług Lovella, który przekładał jego słowa na ruski. – Wszyscy chcieliby wam pomóc.

– Nie będzie dobrze, jeżeli to oni odbudują most – powtórzył z westchnieniem ojciec Sebastian. – Gdybyście byli Rusinami, chętnie przyjęlibyśmy waszą pomoc, ale... – Wskazał dłonią w górę rzeczki. – Niezbyt daleko od drogi jest tam polana. Możecie na niej rozbić obóz na noc. A jeśli nie chcecie poczekać na odbudowę mostu, to trochę dalej w górę rzeki jest bród.

– Trochę dalej? – zapytał podejrzliwie Flemming. Na Rusi odległości określano dość dowolnie i mogli stracić kilka dni, szukając miejsca na przeprawę.

– Siedem, może osiem wiorst – odpowiedział ksiądz, zastanowiwszy się nad odpowiedzią. – Jest tam także miasteczko i targ bydłocy.

– Pewnie nazywają je Oksfordem – dodał Lovell od siebie.

– To miejsce, w którym przeprowia się bydło przez rzekę. – Ojciec Sebastian skrzywił się, usłyszawszy ich śmiech, a potem karcącym gestem uniósł w górę palec. – Podróże po tym kraju to poważna sprawa. Jeżeli będziecie lekkomyślni, nie przeżyjecie.

Lovell z sympatią w oczach spojrział na ojca Sebastiana.

– Nie zamierzaliśmy nikogo urazić. Przypomnieliśmy sobie podobne miasteczko w Anglii. – Poklepał się po piersi. – Tam jest mój dom.

Część niechęci ojca Sebastiana rozviała się w nicość.

– Tak? Cóż, to być może. – Nie dając się wciągnąć cudzoziemcom w rozmowę o Anglii, wskazał w kierunku pola. – Możecie zostać tu na noc. Nasze baby ugotują wam strawę, za trzy sztuki złota dla wszystkich.

– Chętnie zapłacimy, a jedną ofiarujemy waszej cerkwi – stwierdził Lovell, który zdążył już poznać ruskie uwarunkowania społeczne. – Jedziemy z daleka, a zupa może się człowiekowi znudzić. Mamy tu jedenaście wozów, na każdym jest dwu woźniców i dwu ludzi dodatkowych. Wszystkie, oprócz jednego, należą do tego tu mistrza Flemminga i są pełne ruskich towarów przeznaczonych na angielskie rynki. To dla jego ludzi trzeba przygotować posiłek. Jedenasty wóz należy do cudzoziemskiego szlachcica. – Skinieniem dłoni wskazał ostatni pojazd w szyku. – Został ranny i nie chcemy go niepokoić. – Sam nie potrafił ukryć zaskoczenia w głosie; nigdy by nie przypuścił, że Rakoczy odzyska zdrowie po chłóście knutami.

Flemming z niepokojem spojrział w stronę ostatniego wozu.

– On podróżuje ze swoją żoną i służącym. Woźnicę wynajął na czas podróży i dlatego mi nie podlega. – Popatrzył na zbierających się powoli wokół taboru kmiotków. – Jestem pewien, że tak jak i

pozostali, będą chcieli coś zjeść.

Lovell miał pewne wątpliwości.

– Woźnica na pewno, ale pozostali towarzysze Rakoczego niekoniecznie. – Spojrzał na Flemminga. – Pogadam z nimi i dowiem się, czego potrzebują.

– Jak uważacie – mruknął Flemming, który wsłuchiwał się teraz w to, co przekładał na ruski ojcu Sebastianowi Lovell. – Co sądziecie o sprawie? – spytał, gdy Lovell skończył.

– Myślę, że potrzebujemy dobrej woli ze strony tych ludzi. Bywalcy, jak Rakoczy, często mówią, że najlepiej okazać ją pierwszemu. – Ośloniwszy dłonią oczy, Lovell spojrzał ku słońcu. – Jeżeli nie chcecie być w drodze o zachodzie słońca, możemy zatrzymać się tutaj, choć jest jeszcze wcześnie. Możemy tu zostać na noc albo poszukać drogi do tego bydłęcego brodu, ale ponieważ nie znamy okolicy...

– Owszem, tak – stwierdził nerwowo Flemming. – Mądrzej będzie zostać tutaj, a jutro rano wybrać się do brodu. Będziemy mieli cały dzień na podróż, a po tutejszych wąskich drózkach nie da się jechać za szybko. – Westchnął. – Powiedz temu klesze, że za godzinę rozbijemy obóz. Zaproś, by nas odwiedził, jeżeli uznasz to za mądre i właściwe.

Lovell przełożył słowa Flemminga, ubarwiając je nieco, tak że wypowiedź zabrzmiała jak zaproszenie większej grupy wieśniaków. Zapewnił ojca Sebastiana, że Anglicy z przyjemnością skorzystają z ruskiej gościnności, zanim ruszą do swoich statków i puszczą się w daleką, męczącą podróż morską.

– W tej wiosce muszą być jacyś śpiewacy. Może zechcecie nas obdarzyć łaską wysłuchania kilku waszych pięknych pieśni, zanim wyjedziemy.

– To wielki zaszczyt – rozpromienił się ojciec Sebastian. – Są tu dobrzy śpiewacy. Dobrzy, doskonali śpiewacy.

– Coście mu powiedzieli, panie? – zapytał Flemming, gdy wracali do wozów. – Cokolwiek to było, nagle się ucieszył.

– Poprosiłem, żeby na dzisiejszy wieczór zorganizował nam zabawę – odparł Lovell i ujrawszy nagłą żądzę w oczach Flemminga, dodał szybko: – Żadnych kobiet; niech nikt nie tyka ich bab, oni nam zaśpiewają.

– Chleb i ryby! – zaklął Flemming. – Będą siedzieli do północy!

– Ale na tę okazję coś ugotują – stwierdził Lovell z uśmiechem, widząc, że rozmówca pojął do końca znaczenie jego słów. – Lepsze to niż kupowanie czerstwego chleba, jak to musieliśmy zrobić wczoraj w Niżkowie.

Flemming skinieniem głowy przyznał mu rację.

– Tak, rozumiem. – Klepnął Lovella po ramieniu. – Nie tak źle jak na oksfordzkiego uczonego. Nie jesteście jednym z tych, co to nieustannie mamroczą po łacinie i usiłują odgadnąć, co napisał Pliniusz o kształcie chmur nad wulkanem.

– Nie – odpowiedział Lovell. – Takim uczonym nie jestem. – Poczuł nagły, przeszywający go dreszcz smutku; wracał oto do domu i czuł, że w jego życiu zamyka się pewien etap. Prawdą było, iż jego młodość już minęła i przekroczył wiek, w którym większość mężczyzn myśli o zostawieniu życiowych utrapień następnemu pokoleniu. Zaczynał też pojmować, że nie chce rezygnować z życia pełnego przygód na rzecz czytania o przygodach innych. Wciąż obracał w głowie te niepokojące myśli, gdy zbliżał się do jadącego na końcu kolumny powozu Rakoczego.

Trzykonny powóz miał na pewno najlepsze konie w całym taborze, a szóstka wierzchowców biegnących jego śladem była równie wspaniała jak idące w zaprzęgu. Wszystkie lśniły kolorem starego srebra. Woźnica był po części Madziarem, a jego rodzina od pięciu pokoleń zajmowała się końmi. Od czasu, gdy Rakoczy wynajął go do

służby przed kilkoma miesiącami, nie pozwalał nikomu tykać lejców zaprzęgu. Miał na imię Geza i dumnie podkreślał swój węgierski akcent, choć dawno już zapomniał tego języka.

– Zostajemy tu na noc – oznajmił Lovell i szybko wyjaśnił powody.
– To pierwsza zwłoka w naszej podróży. Jedno popołudnie nie za bardzo nas opóźni. – Wyjaśnił też powód wizyty. – Jeżeli zechcecie zjeść z innymi, to mnie powiadomcie.

– Ja zjem – stwierdził woźnica, gdy Lovell skończył wyjaśnienia. – Jeżeli idzie o pozostałych, to kwestia, którą rozstrzygnie nasz pan. Ja jestem rad ze zwłoki. Koniom przyda się odpoczynek. – Złożył ramiona na szubie.

W tejże chwili zza wozu wyłonił się Rothger prowadzący sześć luźnych koni. Wysłuchał Lovella, a potem, zeskoczywszy z siodła, przywiązał linkę do krawędzi siedziska woźnicy. Skinieniem dłoni wezwał Anglika, by poszedł za nim, i zastukał w drzwi powozu.

– Panie, doktor Lovell pragnie z tobą pomówić.

Drzwi otworzyła Ksenia.

– Odzyskał przytomność, ale jest jeszcze dość słaby. Niech cię, panie, nie zwiódą jego maniery. – Odsunąwszy się, pozwoliła wejść Anglikowi do ciasnego wnętrza wozu.

Rakoczy leżał na stosie poduch ułożonych na czterech skrzyniach z ziemią jego rodzinnych stron. Miał na sobie luźną burgundzką suknię z czarnego włoskiego aksamitu z wysokim, obrębionym na czerwono kołnierzem. Witając gościa, uniósł jedną rękę; nie miał już nabrzmiałych palców, choć zanikające skaleczenia powlekły jego skórę siatką jadowicie zielonych plam pomieszanych ze strupami. Gdy przemówił, jego głos zabrzmiał cicho i nieco sztywno, jakby dawno go nie używał.

– Witajcie, panowie. Sądziłem, że mógłbyś wpaść, doktorze Lovell. Zakładam, iż jest jakiś powód, dla którego się zatrzymujemy?

– Zniszczony most – odpowiedział Lovell po angielsku. – Naprawiony za ledwie w połowie. Powiedziano nam, że w górze rzeczki znajdziemy bród, ale...

– Ale nie chcecie opuszczać znanej drogi – uzupełnił Rakoczy za Anglika. – Bardzo rozumne. – Odetchnął głęboko, jakby przemagając ostry ból, a potem spokojnie mówił dalej: – Zostaniemy więc tu na noc, a rano podejmiemy decyzję, co dalej.

– Nie inaczej – stwierdził Lovell i zerknąwszy na Ksenię, przeszedł na ruszczyznę. – Obawiam się, pani, że znów trzeba ci będzie zostać w wozie, choć mogę kazać przynieść jedło tutaj – zwrócił się do niej. – Nie sądzę, żeby wieśniacy zrozumieli, czemu kobieta twojego urodzenia podróżuje z kupczykami.

Ksenia westchnęła.

– Mogłabym zasłonić twarz – powiedziała smutnym głosem, rzucając niespokojne spojrzenie w stronę małżonka. – Ale masz, panie, chyba rację. Niemądrze byłoby się pokazywać. Jeżeli wyjdę z wozu, to nawet jeżeli nie obrażą się wieśniacy, urazę poczują woźnice i będziesz znów musiał ich łagodzić. Wystarczy jeden kłopot. – Potrząsnęła głową, wspominając wzburzenie, jakie wywołał jeden jej spacer, gdy dotarli do Wołogdy. – Ale chciałabym się przejść nad rzeką i popatrzeć, jak gasną światła dnia.

– Będzie na to dość czasu na statku – odpowiedział Lovell. – To tylko jeszcze...

– Kolejne trzydzieści dni – stwierdził ponuro Rothger, spoglądając na Rakoczego z błyskiem troski w oczach. – Jeżeli nie nastąpią nowe opóźnienia. – Kucnął przy skrzyniach, na których leżał hrabia.

– Może nieco mniej – odpowiedział żywo Lovell. – Henry Percival z *Katherine Montmorency* pokonał odległość z Moskwy do Nowych Chołmogorów w trzydzieści dziewięć dni.

– Miał wiele szczęścia – stwierdził Rothger.

– To prawda, ale może i nam się tak poszczęści – nie ustępował Lovell. – *Phoenix* poczeka, dopóki się tam nie stawimy. Nie odpłynie bez mistrza Flemminga, nieprawdaż?

– Przypuszczam, że nie – powiedział Rakoczy. Widać było, że mówienie przychodzi mu z trudem; każdy ruch wywoływał ból, który kwitował grymasem. – Zechciejcie wybaczyć...

Ksenia wymieniła szybkie spojrzenie z Rothgerem.

– Złamane żebro jeszcze się nie zaleczyło – odezwał się Rothger, jakby ze wszystkich okaleczeń zostało już tylko to. Podszedłszy do drzwi, otworzył je szeroko. – Chodźcie, panie. Porozmawiajmy na zewnątrz.

Gdy odeszli od wozu na odległość czterech długich kroków, Lovell zapytał:

– On naprawdę zdrowieje?

Rothger uśmiechnął się skąpo.

– Owszem. Za jakiś czas nawet nie poznacie, panie, że coś takiego mu się przydarzyło. Ale teraz... cierpi niewyobrażalny ból.

– Z pewnością ma te... – Lovell umilkł, ale zaraz podjął wątek: – Ma te preparaty, eliksiry, syropy i tynktury, które dawał innym. Mówiono mi, że przynoszą ulgę w bólu. Słyszałem, że wyleczył jednego z polskich księży chorego na płuca.

– Przykro mi, ale sam nie może korzystać z tych środków. – W oczach Rothgera pojawił się błysk ostrzegający Anglika, żeby nie drażył tematu.

William Flemming wydawał w tym czasie polecenia woźnicom, by ustawili wozy w szyk przypominający otwartą ku wiosce literę U.

– Chcę, by ten wóz stanął na zewnątrz obozu, za moim pierwszym – zawołał do Lovella. – Ustawiliby to Rakoczego za dnem U, niezupełnie w odosobnieniu od reszty taboru, ale na uboczu. – Dobrze?

– Jeżeli tak chcecie... – Rothger wzruszył ramionami i dodał: – Powiedzcie Gezie, gdzie ma stanąć. – Odszedł nieco dalej, prowadząc za sobą Lovella. Przemówił po łacinie, dopiero gdy się upewnił, że nikt ich nie usłyszy.

– Mój pan obawia się, że wciąż możemy być ścigani.

– Z jakiego powodu? – odparł Lovell w tym samym języku, ku rozbawieniu Rothgera akcentując zdania tak, jak nie robił tego żaden Rzymianin. – Oni chyba sądzą, że teraz musi być już trupem.

– To możliwe – przyznał Rothger. – Ale on przeżył tak długo głównie dzięki temu, że nigdy nie lekceważył niebezpieczeństwa. – Urwał na chwilę. – Nie może się bić, zaledwie zdoła utrzymać w dłoni pióro. Jego mięśnie dopiero zaczynają się zrastać i na razie nie potrafi nawet samodzielnie chodzić.

– Chcesz mi powiedzieć, że potrzebujecie dodatkowej ochrony? – zapytał Lovell z narastającą troską w głosie.

– Mówię, że może będziemy potrzebować ochrony. – Rothger lekko zmarszczył brwi. – Niekiedy sam to wyczuwam... coś podąża za nami.

Lovell splótł palce i tak opuścił dłonie.

– Wieczorem porozmawiam z Flemmingiem. Nie sądzę, żeby mu się to spodobało. Sam nie chce się skompromitować wobec Rusinów. Jeżeli dojdzie do wniosku, że możecie się stać przyczyną kłopotów, rozkaże, żebyście jechali za nami, zamiast razem.

– To nie do przyjęcia – odparł natychmiast Rothger, nie owijając w bawelnę. – Opłaciliśmy przejazd, a połowa towarów w tym taborze należy do mojego pana. Jedziemy z naszymi towarami, tak samo jak z towarami kompanii.

– A jednak... Flemming to ostrożny człowiek – ostrzegł go Lovell.

– Osłodziemy propozycję złotem. Dziewięć złotych aniołów za cały kłopot. Powiedzcie mu. Jak będzie trzeba, znajdzie się więcej. – Rothger zwrócił się teraz do Gezy, który właśnie trzaskając lejcamy,

ustawiał wóz tam, gdzie polecił Flemming. – Na noc spętaj konie do liny, tak żeby mogły się paść – zawołał do woźnicy.

– I niech ktoś uważa na niedźwiedzie – dodał Lovell. – Tyle koni może zwabić któregoś.

– To prawda. – Rothger ukłonił się Lovellowi na włoski sposób, a potem zwrócił się ku pozostałym wozom.

W poświacie długiego letniego wieczoru angielski obóz wrzał śmiechem i melodiami pieśni. Z kilkunastu ognisk, na których pieczono prosiaki natarte cebulką i zwilżonymi w żurawinowym soku przyprawami, unosił się smakowity zapach; na pieczeni zaczynała właśnie pękać skórka. Nawet ci, których wyznaczono do patrolowania granic obozowiska, pogwizdywali raźnie, trzymając niedbale kusze z osadzonymi na łożyskach bełtami, i popijali kufle donoszonego im regularnie pianistego ciemnego piwa.

Siedząca w głębi wozu Ksenia podśpiewywała znane sobie piosenki, zwalczając chęć płaczu. Ile czasu upłynie, zanim będzie je mogła ponownie usłyszeć? Anglia była odległym, nieznanym jej krajem, któż wie, co tam śpiewają? Uciekała w bok spojrzeniem, unikała wzroku Rakoczego, bojąc się, że jego bystre, ciemne oczy dostrzegą jej rozterkę. Namawiała go przed chwilą do snu, który łagodził jego bóle, ale odpowiedział, że chce posłuchać śpiewów.

– Któregoś dnia – potrwa to jeszcze trochę, ale na pewno tak się stanie – coś ci zagram, Kseniu Jewgienijewna. Być może jedną z pieśni Laura. – Musnąwszy dłonią jeden z jej brązowych warkoczy, utkwiał spojrzenie w jej oczach. – Przykro mi, że sprowadziłem to na ciebie, Kseniu.

– Nigdy tak nie mów – odpowiedziała mu natychmiast. – Wcale nie żałuję. – Teraz jednak, siedząc i wsłuchując się w melodie, nie mogła się oprzeć ukłuciom żalu. Zbierała w sobie odwagę, by wypytać męża o Anglię, ale nie potrafiła się zdobyć na zadanie pytania.

– Trapi mnie to – dobiegł ją cichy, niski głos męża – że mogłaś być teraz bezpieczna, Kseniu.

Zaryzykowała: odwróciła się i spojrzała mu w twarz:

– Bezpieczna? Byłabym bezpieczna, gdyby o mnie zapomniano, a cóż to za bezpieczeństwo?

Jedna z wieśniaczek, kobieta o niskim, głębokim głosie, śpiewała płacziwą pieśń o zdradzie, której melodia wiła się nieustannie, dopóki nie utrwaliła się w pamięci słuchaczy, budząc w nich echa minionych miłości.

– *Jego pocałunki były mi istotą życia, karmiły mnie lepiej niż szlachciankę jej bażanty i pyzy.*

Gdy opisywała śmierć kochanka z rąk zdradzieckiej czarownicy, wszystkich słuchaczy oczarował niski, słodki i żaloszny lament.

Pieśniarka śpiewała ostatnią, najbardziej wzruszającą zwrotkę, gdy do wsi wjechała drużyna jedenastu carskich gwardzistów trzymających w dłoniach spisy i gotowe do strzału łuki z pozakładanymi cięciwami.

Melodia nie zdążyła jeszcze zamrzeć w powietrzu, gdy wieśniacy wyczuli niebezpieczeństwo. Większość z nich cofnęła się natychmiast od ognisk. Na widok zbrojnych wielu, przeżegnawszy się, zaczęło modły. Zniknęli w mrokach nocy szybko i sprawnie. Ojciec Sebastian pobiegł ku cerkwi, wzywając innych do szukania schronienia w domu bożym, i niektórzy pognali za nim.

W zapadłej nagle ciszy rozległ się głos dowódcy zbrojnych:

– Gdzie jest cudzoziemiec o nazwisku Rakoczy? Mamy rozkaz cara Fiodora nakazujący nam natychmiastowe dostarczenie go do Moskwy.

W pierwszej chwili nikt się nie odezwał, a potem wielu Anglików sięgnęło po broń; nie zrozumieli tego, co mówił gwardzista, ale rozpoznawali zagrożenie; zareagowali więc szybko i sprawnie.

– Czekaście, czekaście! – krzyknął Lovell po angielsku, idąc ku

Rusinom. – Jesteśmy cudzoziemcami – wyjaśnił po rusku. – Zmierzamy do Nowych Chołmogorów z towarami przeznaczonymi na angielskie okręty. Jesteśmy Anglikami. – Odwrócił się tak, by móc przemówić do Flemminga po angielsku. – Powiedzcie naszym, żeby opuścili broń. Ci ludzie zaatakują, jeżeli ich sprowokujemy.

– Nie sędzę – mruknął Anglik. – Mamy przewagę liczebną.

– Myślałem, że nie podoba się wam pomysł obrony naszego cudzoziemskiego przyjaciela – stwierdził Lovell zaskoczony nastawieniem Flemminga.

– Przebóg, nie – odpowiedział Anglik. – Ale on jest bezbronny, a te gnojki za bardzo się do tego palą. Jeżeli zechcą go wziąć, pierwsi będą musieli przejść przez nas. Jesteśmy gotowi. – Skrzyżowawszy ramiona, poczekał, aż Lovell przełoży jego słowa.

Lovell zrobił to, czego się po nim spodziewano, i przekazał opinię Flemminga Rusinom, łagodząc nieco jego słowa. Wysłuchawszy Rusina, przekazał Anglikowi:

– Chce, żebyśmy wszyscy odłożyli broń. Wszyscy.

Flemming skrzywił się, ale zawołał do ziomków:

– Dobra, chłopcy, ci, których Rusini widzą, niech odłożą broń. Pozostali niech trzymają ją w pogotowiu. Wszystko to mi się nie podoba. – Skinął Lovellowi, odkładając swój sztylet. – Powiedz im, że odkładamy broń, i nic ponad to.

Lovell wykonał polecenie, dodając od siebie:

– To kupcy, nie żołnierze. Zobaczcie sami.

– Kupcy nas nie interesują – stwierdził dowódca oddziału gwardzistów. – Chcemy tylko cudzoziemca. Mamy to – podniósł w górę carską gramotę – jako upoważnienie do działań przeciwko cudzoziemcom.

Rakoczy w swoim wozie usiłował usiąść, ale tak go to zmogło, że ponownie opadł na poduchy.

– Nieważne – wycharczał, gdy zmysły mąciły mu pasma mroku. – Kseniu, podaj mi miecz. Ten krótszy. Jest za skrzynią. – Podniósł dłoń, nie potrafił jednak zapanować nad jej drżeniem. – Podaj mi go. Już. – Zamknął palce wokół rękojeści, ale utrzymał broń w dłoni tylko przez kilka uderzeń serca. – I ukryj się. Musisz się ukryć. Nie chcę, żeby cię znaleźli. – Rozejrzał się po wozie. – Tam, z przodu, w skrzyni pod siedzeniem woźnicy. Jeśli się skulisz, to cię nie znajdą.

Ksenia odwróciła się ku skórzanemu pokrowcowi leżącemu obok skrzyń i wyciągnęła długi, bizantyjski miecz.

– Nie jestem myszą, mój mężu, żebym się kryła przed takimi jak oni.

– Jesteśmy Anglikami – mówił tymczasem Flemming stojący obok tłumaczącego wszystko Lovella. – Wieziemy towary na mój statek, *Phoenixa*. Nie czynimy niczego przeciwko carowi. Mamy dokument podpisany przez niego i Borysa Godunowa, pozwalający nam na handel z Rusinami. Powiedzcie mu to, mistrzu Lovell. I zwlekajcie przy tym, jak długo się da. Chcę, żeby moi ludzie napięli kusze i nałożyli bełty na prowadnice tak, by ci Rusini niczego nie spostrzegli.

Lovell mocno się pocił, liczył jednak, że gwardziści złożą to na karb upalnego wieczoru i jadła oraz picia. Zrobił, czego żądał Flemming, dodając od siebie:

– Mości gwardzisto, nie możemy wam pomóc. Gdybyśmy wiedzieli...

– W Wołogdzie i Niżkowie powiedziano nam, że cudzoziemiec jedzie z wami. Pozwólcie nam go zabrać i zostawimy was w spokoju. Nasze rozkazy dotyczą wyłącznie jego, ale mamy go zatrzymać bez względu na koszty. Jeżeli nam się przeciwstawicie, będziemy się bić, żeby pojmać tego człowieka. – Dowódca oddziału straży uniósł się w strzemionach. – Dam rozkaz moim ludziom, żeby was zaatakowali.

– Powiedz mu, że nasza królowa złoży protest – rzekł Flemming,

gdy Lovell przekazał mu odpowiedź Rusina.

– Wasza królowa o niczym się nie dowie. Znikniecie w głuszy. W głuszy ginie wielu ludzi. – Odwróciwszy się do swoich, Rusin niemal wypłuł z siebie kilka krótkich rozkazów.

– Co on powiedział? – zapytał Flemming, ruszając bokiem ku wielkiemu, drewnianemu stołowi, na którym leżały porzucone talerze i misy zjadłem.

– Powiedział, żeby przeszukali wozy i zastrzelili albo zakłuli spisami każdego, kto zechce im przeszkodzić – odparł Lovell. – Oni naprawdę to zrobią.

– A ja zamierzam ich zatrzymać – oświadczył Flemming dość głośno, żeby rozkaz dotarł do jego ludzi. – Czy wszyscy Anglicy gotowi są do ukrycia? Wyjaśnijcie mu, doktorze, że mamy przewagę liczebną i nie pozwolimy na przeszukiwanie wozów.

– Jeżeli tego właśnie chcecie... – odparł Lovell z westchnieniem i przełożył słowa Flemminga na ruski. Widział, że gwardziści szykują się do szarży; zaciskali pięści na wodzach dońskich koni i opuszczali groty spis. Postanowił, że on sam w razie czego da nura pod najbliższy wóz.

– No to... komu sążone – stwierdził gwardzista i dał znak swoim ludziom.

Szarża była krótka, ale gwałtowna i pełna furii. Dźgnięte ostrogami konie runęły w głąb obozu. Jeźdźcom udało się zranić jednego z żeglarzy, godząc go grotem spisy w ramię.

Rothger obserwował szarżę z miejsca, w które posłał go Rakoczy, zza szeregu pasących się koni. Współ z Gezą utrzymywali zwierzęta, które rżały i stawały dęba. Pomagali im dwaj ludzie, ale ponad piętnastka koni czyniła to zadanie niewdzięcznym i niebezpiecznym.

Zaledwie Lovell zdążył ukryć się pod wozem, gdy usłyszał wrzask rannego, a zaraz potem rozległy się ryki bólu zaskoczonych,

ugodzonych bełtami. Jeden z koni runął, wierzgając rozpaczliwie kopytami i obalając przy okazji kocioł ze strawą; jeździec utknął pod nim, wrzeszcząc ze strachu. Inny gwardzista spadł z siodła, brocząc krwią z ust i uszu. Trzeci dostał bełtem w udo, gdzie łączyło się z biodrem. Zawył, chwycił za drzewce bełtu i zawył jeszcze głośniej. Dowódca gwardzistów z rykiem domagał się nawrotu i powtórzenia szarży.

Teraz jednak otwarty dotąd wylot obozu zamykało czterech ludzi Flemminga, którzy szyli z kusz.

Koń dowódcy oddziału runął na ziemię ze sterczącym mu z karku, wbitym głęboko bełtem. Gwardzista wrzaskiem wezwał ludzi, by się rozproszyli i zamiast spis użyli "szaszek".

– Ciąć! Ciąć wszystkich!

Sześciu gwardzistów wciąż jeszcze tkwiło w siodłach, a dowódca porzucił leżącego konia i wyciągnął długą, zakrzywioną szaszkę, żeby się bronić. Gwardziści zawrócili i przeskoczywszy pomiędzy wozami, rozproszyli się na zewnątrz obozu zdecydowani zagonić Anglików do środka.

Dwaj kusznicy załamali się i skoczyli w las, nie zamierzając się mierzyć z szablami jeźdźców. Pozostali puścili bełty w najbardziej oczywiste cele, trafiając jednego z gwardzistów w pierś i zrzucając go z siodła.

– To straszne! – wyszeptał Fleming, który akurat podczołgał się i przyłączył do Lovella. – Będziemy musieli wszystkich zabić, bo Bóg jeden wie, co zrobią tym wieśniakom. – Cmoknął językiem. Na pewno nie pozwolimy im zabrać Rakoczego. Nie wiadomo, co mu zrobią, a on dość już się nacierpiął.

– Macie chyba rację – stwierdził Lovell, który nagle wyzbył się całego swego zamiłowania do przygód. W tej chwili chciał jedynie bezpiecznie wrócić do Kolegium Brasenose; pragnienie było tak silne,

że przygryzł sobie wargę. – Sądzicie, że po tym wszystkim wieśniacy zechcą nam pomóc?

– To dzikusy, ci Rusini – oznajmił Flemming. – Są gorsi nawet od tych malowanych, noszących pióropusze mieszkańców Nowego Świata albo od tureckich derwiszów. – Wyciągnął z pochwy długi sztylet z morderczym hakiem na końcu. – Na wszelki wypadek – wyjaśnił.

– Rozumiem – rzekł Lovell, blednąc nagle na myśl, że sztylet może zostać użyty na nim albo Flemming zwróci go przeciwko sobie.

– Chciałbym mieć teraz moje pistolety, ale zostały na wozie. Na zęby Najwyższego, teraz by mi się przydały! – Flemming wskazał najbliższego ze strażników i wykonał gest naśladujący strzelanie.

Dowódca oddziału gnał wzdłuż linii wozów po zewnętrznej stronie obozu z uniesioną, gotową do ciosu szaszką. Usłyszał okrzyk kolejnego z padających swoich ludzi i zaklął. Mijając każdy z wozów, ciął ciężkie płótno pokrycia i zaglądał do środka.

Raz natknął się na jakiegoś usiłującego stawić opór człowieka i zabił go jednym pchnięciem szabli.

Gdy dotarł do końca szyku, pojął, że stracił kolejnych trzech ludzi i że może przegrać całą utarczkę, choć z początku wydawało mu się to niemożliwe. Jego wściekłość wzrosła, gdy uświadomił sobie, że pokona go garść angielskich żeglarzy i kupczyków. To było nie do pomyślenia! To było nie do zniesienia! Podjechawszy do ostatniego wozu, spostrzegł, że jest pokryty drewnem zamiast płótnem i ma niewielkie drzwi. Zeskoczył z konia, podszedł jeszcze bliżej i walnął w nie ręką szaszki, żądając, by je otworzono. Gdy nikt mu nie odpowiedział, kopnął w nie z całej siły, wzywając na pomoc wszystkich świętych. Miał zaczerwienioną twarzą czuł, że tryumf jest na odległość wyciągniętej ręki. Krzyknął radośnie, gdy drzwi wyleciały z zawiasów i drewno ustąpiło.

Wewnątrz natknął się na kobietę trzymającą długi, prosty miecz, a za nią zobaczył obleczonego w czarne szaty człowieka spoczywającego na prowizorycznym łóżku ze skrzyń i poduszek. Teraz już był pewien, że znalazł właściwego człowieka.

– Rakoczy – stwierdził z satysfakcją w głosie.

– Nie tkniesz go – oświadczyła kobieta, która zebrała dziwnie lekki sarafan tak, by mieć swobodę ruchów. Machnęła mieczem w jego kierunku. – Ty! Idź precz, albo cię zabiję!

– Kseniu... – zaprotestował słabym głosem mężczyzna w czerni.

Zignorowała go, nacierając na gwardzistę. Miecz trzymała niezbyt umiejętnie, ale z niezachwianą determinacją.

– Precz! – stwierdziła zawzięcie i bez śladu trwogi w głosie.

Gwardzista zaśmiał się krótko i zamachnął szaszka. Tak jak się tego spodziewał, odparła cios płazem długiego miecza. Nie uczyniłby tego nikt, kto wiedziałby cokolwiek o fechtunku. Zawinał swoją klingą i trafił ją pod lewe ramię, godząc głęboko w pierś. Wydał tryumfalny okrzyk, zobaczywszy, że tryska z niej krew, spryskując jego samego, ściany wozu i wszystko wokół.

– Neeee! – Rakoczy widział, co się szykuje, i zebrał resztki sił, żeby bronić żony albo odeprzeć atak. Zmusił swe palce do zamknięcia się na rękojeści krótkiego miecza i z ogromnym wysiłkiem woli, przemagając rozdzierający mu rany ból, opadł na jeden łokieć, drugim ramieniem miotając mieczem niby sztyletem, odwołując się do resztek sił na chwilę przedtem, zanim Ksenia zachwiała się i upadła na niego.

Miecz ugodził gwardzistę tuż pod mostkiem i przebił się przez całe ciało aż do kręgosłupa. Rusin przez chwilę stał nieruchomo ze zdumieniem na twarzy. Potem cofnął się przez drzwi i runął na zewnątrz z wciąż drżącym kordem w piersi.

Rakoczy opadł na poduszki i przytulił Ksenię, jakby mógł

zatomować krwotok i przywrócić jej życie. Zanim zapadł w otchłań bólu i mroku, uzmysłowił sobie, że ta rana byłaby śmiertelną i dla niego, i dla gwardzisty.

Ostatni z gwardzistów zostali już pozrzućani z siodeł, a ich konie rozbiegły się bezładnie, gdy Lovell dotarł do wozu Rakoczego i zobaczył, co się stało. Zawołał Rothgera i przez chwilę obaj stali w milczeniu w obliczu przerażającego widoku.

W końcu przemówił sługa:

– Załatwcie się z gwardzistami. Ja zajmę się moim panem i jego żoną. Jeśli będę potrzebował pomocy, poproszę Gezę.

Lovell zmilczał. Pochylił się, żeby wydobyć kord z piersi gwardzisty, i z trudem przełknął kulę żółci, która zebrała mu się w krtani. Potem ujął trupa za stopy i odciągnął ciało precz.

Gdy Anglicy skończyli zakopywać gwardzistów wespół ze swoimi zabitymi, Rothger ofiarował ojcu Sebastianowi niewielki rubin.

– Na pamiątkę mojej pani ozdóbcie nim ikonę Najświętszej Panienki. Odprawcie też za nią kilka liturgii i zadbajcie, by nikt nie bezcześcił jej grobu. – Poleciał, widząc, że Geza wnosi ciało Kseni do cerkwi i ku ikonostasowi.

– Ale... z pewnością byłoby lepiej, gdyby pochowano ją z rodziną męża, albo jej własną – zaprotestował ojciec Sebastian, nie bardzo mając ochotę na kopanie takiego grobu przy swojej cerkwi. – Jako jego żona...

– Mój pan jest wygnańcem, a jej rodzice nie żyją – oznajmił prosto Rothger. – Nie ma miejsca, gdzie mógłby ją pochować. Okaż miłosierdzie, ojcze. – Podjął ostatnią próbę. – Pozwólcie jej spocząć w ruskiej ziemi, ojcze Sebastianie, bo jest Rusinką.

Oczy ojca Sebastiana pełne były niepokoju, ale wziął rubin.

– Niechże i tak będzie. Pochowamy ją wśród innych mieszkańców wioski i postawimy krzyż na jej grobie. A potem odprawimy modły za

jej duszę. – Przeżegnał się. – Pomodlimy się też za niego.

– To bardzo uprzejme z waszej strony – stwierdził Rothger, który widział krew plamiącą czarne szaty pana, i wiedział, ile z niej należało do Rakoczego; był też wdzięczny losowi za to, że pan jest nieprzytomny i dowie się o wszystkim później.

Ojciec Sebastian spojrział w stronę ikonostasu; Geza położył przed nim ciało Kseni i ukląkł, żeby się pomodlić. Skinął głową.

– Lepiej już odejdźcie.

– Tak – odparł Rothger i skinieniem dłoni wezwał Gezę, a potem ruszył ku angielskim wozom.

Spisany po polsku listu od Borysa Fiodorowicza Godunowa do króla Stefana Batorego, wysłany za pośrednictwem oficera eskorty odprowadzającego członków polskiego poselstwa w Moskwie wracających do kraju:

Potężnemu, boskiemu władcy Polaków, najwspanialszemu z Siedmiogrodzian, Stefanowi Baturemu pełne najwyższego szacunku pozdrowienia od Borysa Fiodorowicza Godunowa, rzecznika spraw cudzoziemskich na dworze cara Fiodora Iwanowicza, Wielkiego Księcia i Cara Wszechrusi.

List ten wysyłam z eskortą towarzyszącą waszym jezuitom i niechaj uznany zostanie za wyraz dobrej woli i szacunku. Dla tego też szacunku, jaki żywię wobec Ciebie, Najjaśniejszy Panie, powiadamiam Cię o pewnych wydarzeniach i sprawach, o których mógłbyś się nie dowiedzieć, a które znać powinienesz ze względu na Twoje dobro.

Jak Ci zapewne wiadomo, ojciec Pogner został zatrzymany w Moskwie, żeby odpowiedział na pewne pytania dotyczące jego działań i związków z kilkoma zdradzieckimi bojarami. Cdy udzieli nam zadowolających odpowiedzi, pozwoli mu się na wyjazd z Moskwy i masz, Najjaśniejszy

Panie, moje zapewnienia, że dostanie odpowiednią eskortę, która zapewni mu bezpieczny powrót do Polski, udaremniając wszelkie zbrojne wysiłki pozostałych z pomienionych zdrajców. Byłoby wielce niefortunne, gdyby zdołali wyrzucić na nim zemstę.

Przywódca owych zdrajców zdał się na miłosierdzie Cerkwi, a metropolita oznajmił, że jego szczery żal za grzechy wyjmuje go spod sprawiedliwości carskiej i oddaje jego sądowi. Bojar ów wyrzekł się świata i wyraził wstręt do własnych czynów. Chciałbym Cię powiadomić, panie, że człek ów odpowie za zło, które sprowadził na świat; on i my wszyscy odpowiemy przecie przed Bogiem.

Zostało dowiedzione, że wszelkie oskarżenia o bezprawne i niemoralne czyny, jakie zarzucano Twojemu ziomkowi, Ferencowi Rakoczemu, hrabiemu Saint-Germain, są fałszywe i nieprawdziwe, czego ja zawsze byłem świadom. Oczyszczono jego reputację, a jego imię będzie na ruskim dworze otoczone szacunkiem. Głosiciele dalszych zarzutów będą karani klejmem. Poważne cierpienia, na jakie skazano Rakoczego, były wynikiem fałszywych oskarżeń i dwór oficjalnie wyrazi mu swoje przeprosiny, gdy tylko go znajdziemy. Niestety, nie mogę Ci, panie, rzec, gdzie Rakoczy przebywa w tej chwili. Opuścił Moskwę w towarzystwie angielskich kupców i żeglarzy, kierując się do Nowych Chołmogorów, by od płynąć do Londynu na pokładzie statku Phoenix. Nie mam żadnych wiadomości o odpłynięciu tego statku, nie wiem też, czy Rakoczy był na jego pokładzie. Dowiedziałem się o bezprawnej próbie pojmania Rakoczego przez oddział gwardii wysłany ze strażnicy Spaso-Kamiennej, ale ludzie ci nie wrócili do swego garnizonu i nikt nie zna ich losu. Jeżeli zatrzymali Rakoczego, nie ma żadnych w tej sprawie zapisków, ponieważ bez śladu przepadli i oni, i Rakoczy. Głęboko żałuję, iż nie mogę Ci, Najjaśniejszy Panie, powiedzieć nic o losie Twojego ziomka. Jego żona przepadła razem z nim, co sprawia, iż odczuwam głęboki niepokój i rozterkę, ponieważ zagwarantowałem jej bezpieczeństwo i majątek, co wydaje się niemożliwe do spełnienia, skoro

nikt nie wie, gdzie można ją znaleźć. Modłę się o to, żebyśmy znaleźli Rakoczego, a razem z nim Ksenię Jewgienijewną.

Nalegam, Najjaśniejszy Panie, żebyś przemyślał swoją chęć przesunięcia granic Polski na wschód. Macie prawa do tych terenów, ale mamy je i my, a podtrzymywanie obecnego stanu oznacza wojnę oraz niszczenie miast i plonów. Na Europę uderzają Turcy osmańscy, czy nie lepiej więc byłoby, gdyby nasze wojska walczyły z nimi, zamiast toczyć wojny z chrześcijanami? I czy nie lepiej będzie, jeżeli kwestionowane ziemie pozostaną w rękach ruskich niż w osmańskich? Proszę, żebyś to przemyślał, zanim ponownie podniesiesz swój miecz przeciwko nam.

Francuskie i węgierskie wina, które raczyłeś nam przestać za pośrednictwem kupca Zygmunta Dziennego, zostały wysoko ocenione przez cara Fiodora i tych, co mieli zaszczyt zjeść z nim posiłek. Od dawna cieszymy się na dworze tokajem, ale wielu z nas nigdy nie zaznało smaku byczej krwi. Jest mocne, jak nas ostrzegłeś, i idzie do głowy, co doceniło wielu bojarów, którym pozwolono go spróbować. Rad byłbym, gdybyś mi zechciał napisać, jakimi sposobami polscy kupcy zdobywają takie trunki.

Na carskim dworze zawsze chętnie powitamy polskich emisariuszy i postów. Nie musisz się obawiać, możesz ich przystać, kiedy zechcesz. Ufam, że najmądrzej będzie mieć ich pod ręką, ponieważ idą ciężkie czasy, w których niełatwo będzie władcom wzajemnie się rozumieć. Nalegam, żebyś przystał nowych ambasadorów, ja zaś wybiorę czterech mężów uczonych i prawych, którzy na Twoim dworze będą reprezentantami interesów cara i Rusi.

Niech Bóg zsyła Ci samą pomyślność i mądrość o królu Stefanie, i niech skieruje nas na drogę braterskiego porozumienia i miłosierdzia. Rozkwitaj w cnocie i skromności, jak Polska niech wzrasta w siłę. Niechaj Bóg oszczędzi Wam głodu, zarazy i wojen. I niechaj Twój Anioł Stróż zawsze prowadzi Twoje myśli ku wielkości Twego Królestwa.

Ręką Borysa Fiodorowicza Godunowa Opiekuna cara Fiodora

Iwanowicza spisane

*11 września roku 1585 wedle kalendarza rzymskiego na Kremlu w
Moskwie*

EPILOG

List Acji Oliwii Klemens, napisany w angielskim Greengages po łacinie do Sanct' Germaina w Gandawie:

Najdroższemu, najstarszemu i najwyżej przeze mnie cenionemu z przyjaciół Rakoczemu Saint Germainowi Franciskusowi najserdeczniejsze pozdrowienia.

Wiesz, że nie musiałeś ode mnie wyjeżdżać. Z największą przyjemnością gościłabym Cię przez całe lata. Mogę zrozumieć, że sielankowe życie po pewnym czasie może znudzić, nie miałam jednak powodów sądzić, iż przepętniło Cię znużenie i zniechęcenie, nazwałabym to raczej melancholią. Jeżeli podróż po nizinach położy temu kres, życzę Ci szczęścia i szybkości jednego z Waszych zapomnianych bogów. Jeżeli jednak szukasz tylko miejsca do ukrycia się, ostrzegam, iż może dojść do tego, że ruszę za Tobą w pościg.

Twoje ruskie konie mają się doskonale, muszę jednak stwierdzić, że nie bardzo przypadły do gustu Anglikom, którzy wolą rumaki cięższe i bardziej piecyste niż te. Jeżeli się zgodzisz, skrzyżuję je z niektórymi z moich italskich rumaków. Gdybym zdołała utrzymać barwę, myślę, że znalazłyby uznanie w Italii. Wciąż nie mogę uwierzyć, że wykorzystywałeś te wspaniałe zwierzęta jako konie do zaprzęgu.

W nadchodzącym miesiącu ma mnie odwiedzić Benedict Lovell. Tak, wiem, że grozi mu niebezpieczeństwo, iż stanie się jednym z nas, powiedziałam mu jednak o ryzyku i gotów jest spróbować. Nie jestem pewna, czy mi wierzy i w pełni rozumie, kim się stanie, ale jeżeli taka będzie jego decyzja, nie wyrażę sprzeciwu; on wie, że ludzie naszej krwi różnią się od pozostałych, i jest tego w pełni świadomy. Powiada, iż

wiedział, że w Twoim ozdrowieniu po chłości knutami jest coś więcej niż zwykła ludzka wytrzymałość. Gdy wspominam, jak opisywał Twoje okaleczenia, nie mogę powstrzymać przenikających mnie dreszczy zgrozy. Mieć mięśnie porozrywane tym ruskim batem, a potem rozszarpać je na nowo... Cóż, u licha, Cię napadło?

Nie, nie mów. Wiem. I choć mogę Cię strofować za okaleczenia, jakie sam sobie zadałeś, nie mam niczego oprócz wyrazów najgłębszego współczucia dla utraty Kseni. Żałujesz, że zabrakło Ci czasu, byś mógł ją zjednoczyć z naszą krwią, choć mówiłeś, że kochała Cię takiego, jaki nie byłeś, a nie takiego, jaki byłeś. Wiem, jak bardzo chciałbyś spotkać kogoś, kto będzie Cię kochał w pełni świadomy Twojej natury. Ale, drogi Sanct' Germain, Tyją kochałeś taką, jaka była, i trapi mnie Twój żal, a nie brak zrozumienia z jej strony. Być może ona znalazła większe wyzwolenie, stając przeciwko tamtym żołnierzom, niż mogłaby znaleźć, dzieląc z Tobą życie, bo nie Ty byłeś jej wybranym.

I tak Twoje rany się zagoiły, jakbyś nigdy nie doznał tej chłosty, a blizny zostały na Twojej duszy. Jak sam mi mówiłeś, tylko takie blizny pozostają u wampira. Ale jakież rany są gorsze od ran duszy i jakież blizny mogą być głębsze?

Nie zamierzałam Cię urazić, drogi przyjacielu, mówię to z troską, a nie z wymówką. Gdybym miała czynić Ci wymówki, to dlatego, że zamieszkałeś w Gandawie, a nie z powodu Twojej odwagi w miłości. A skoro mówimy o Gandawie, zechciej mi napisać, jak długo zamierzasz tam zostać i dokąd udasz się potem. Ja sama zostanę na dłużej w Anglii, choć nie wszystko mi się tu podoba; miłą jednak odmianą jest przebywanie w kraju rządzonym przez kobietę. W ciągu najbliższych dwu lub trzech lat będę musiała wrócić do Italii. Czemu nie miałbyś tam do mnie dołączyć? Mosimy odwiedzić wszystkie miejsca, które znałam za życia. Daj mi słowo, że nie odrzucisz mojej propozycji bez głębszego namysłu. Ja zaś daję Ci słowo, że nie będę Ci się z nią narzucała.

*Własną dłonią z wyrazami niezmiennej miłości Oliwia
14 kwietnia 1586 roku wedle kalendarza angielskiego w Greengages
nieopodal Harrow*